

4567/102

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1867.

Tom czwarty.

WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1867.

4620. 1867. 4

II

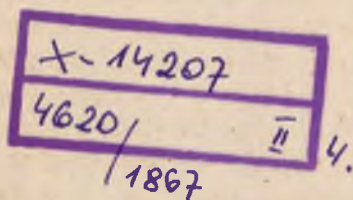
Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 14 (26) września, 1867 r.

Cenzor, J. Błeszczyński.



30.000,-



RĘKOPISM XV^{go} WIEKU.

POSTĘPOWANIE SĄDOWE W CZECHACH.

PRZEZ

Romualda Hubego.

Pan Maciejowski wydał w tomie VI Historji prawodawstw słowiańskich między innemi bardzo ciekawy pomnik dawnego prawodawstwa czeskiego pod napisem: *Jus terrae Boemiae*. Kopią do wydania miał sobie udzieloną przez zmarłego dzisiaj nieodżałowanego Hankę. Pomimo ważności swój, pomnik ten nie zwrócił jeszcze był dotąd na siebie zasłużonej uwagi, w części może dlatego, że niedostatecznie było wiadomo zkąd kopia Hanki wzięła się, a badacze starożytności czeskich, jak słusznie, nie dowierzają pomnikom niedość krytycznie zbadanym.

Bawiąc przed kilką tygodniami w Petersburgu i przeglądając ogromny zasób rękopisów łacińskich zachowanych w publicznej cesarskiej bibliotece, między innemi natrafiłem w katalogu na rękopis zapisany pod lit. *q* pod numerami II, 142 z napisem ręką Załuskiego dodanym: *Processus judiciarius Bohemiae*. Otrzymawszy go do przejrzania dostrzegłem zaraz, iż obejmuje w sobie pomnik znany mi z wydania p. Maciejowskiego, żałowałem tylko iż nie miałem pod ręką samego wydania dla dokładnego porównania druku z rękopisem. Sporządziwszy zatem o ile krótkość czasu dozwalała opis rękopisu, poprzestałem tylko na udzieleniu krótkiej wia-

domości o tém co znalazłem, panu doktorowi Hermenegildowi Iireczkowi znanemu autorowi: Historji prawodawstwa czeskiego, urzędnikowi ministeryum oświecenia w Wiedniu.

P. Iireczek uradowany mojem doniesieniem, natychmiast zgłosił się do Pragi, celem udzielenia mu bliższych wiadomości, jakieby tam znaleźć się mogły co do szacownego naszego pomnika.

Rozumiem, iż uczynię przysługę badaczom prawodawstw słowiańskich, udzielając wiadomość o tém co mi p. Iireczek z niezwykłą skwapliwością doniósł i dodając do tego krótki opis rękopisu petersburgskiego a zarazem porównując go z wydaniem p. Maciejowskiego.

Podług zebranych przez p. Iireczka wiadomości zabytek nasz przechowywał trzy rękopisy znajdujące się w Pradze, a złożone wszystkie trzy w bibliotece tamtejszego uniwersytetu. Są niemi rękopisy pod znakami: XVII, E. 4, drugi pod znakiem XVII, E. 17, a trzeci pod sygnaturą: I, G. 18. Wszystkie trzy kończą się na ustępie 119 wydania p. Maciejowskiego. Są więc znacznie krótsze od rękopisu z którego wzięta kopia p. Maciejowskiego, z czego płynie przekonanie, że dotąd nieodkryty rękopis z którego pochodzi kopia przesłana naszemu uczonemu badaczowi i że pozostaje jeszcze takowy odszukać, aby można wydać ostateczny sąd o postaci pierwiastkowej całego pomnika i o składowych jego częściach. Natomiast rękopis pragski pierwszy po ustępie 119 mieści w sobie w języku czeskim formuły różnych sądowych przysięg, pod napisem: „počinaji se přisahy řadem.” Może być że i w innych dwóch rękopisach te same formuły są reprodukowane, nie wspomina jednak o tém list p. Iireczka. Równie manuskrypta pragskie w stosunku do wydania p. Maciejowskiego, mieszczą jeszcze w sobie na samym początku kilka przepisów o ilości wydać się mających pozwów ze względu na przedmiot sprawy. Pierwszy z pomiędzy tych przepisów brzmi: pro debito majori trina citatio. Drugi: pro debito fidejussorio majori trina citatio i tak dalej aż do ustępu pierwszego wydanego zaczynającego się od słów: Rex debet per baronem datum.....

Przechodzę do opisu rękopisu petersburgskiego. Pismo rękopisu wskazuje na wiek XV. Rękopis złożony jest z 34 ćwiartek czyli 68 stronnic na papierze. Traktat nie przed-

stawia żadnego napisu, tylko że wprost z góry na pierwszej stronnicy stoją ustępy które się mieszczą w rękopisach pragskich, jak dopiero co nadmienioném zostało, poczem dopiero ustęp pierwszy wydania warszawskiego: *Rex debet....* Rozporządzenia ustępu 2go wydania w rękopisie petersburgskim więcej pełne. I tak dodane: że pozew powinien być wręczony przed południem i że: *citatio per camerarium in equis nulla*. Za ustępem tym w rękopisie cztery wiersze puste. Potem idzie ustęp trzeci wydania i znowu miejsce puste na trzy wiersze, poczem idą ustępy od 4 do 38. Zwracam uwagę na ten ustęp, dla tego, że w manuskrypcie petersburgskim po wyłożeniu treści stanowiącej przedmiot ustępu 38, w którym mowa o przysiędze, którą ma składać kmięć czyli jeden z dwunastu przysiężnych składających sąd, w sprawie przeciw niemu wytoczonej, dodane bezpośrednio w nawiasie: *ex inventione baronum*, to jest, że przepis ten wszedł w użycie sądowe na skutek nakazu czyli prejudikatu pańskiego. Za ustępem 38 w rękopisie biblioteki petersburgskiej idą tak samo jak w wydaniu dalsze ustępy od 39 do 79, gdzie także na końcu przepisu dodane: *inventio baronum*. Znowu od 80 do włącznie 121 wydania w téj samej kolei wszystkie ustępy. Ustęp 121 zachodzi w manuskrypcie petersburgskim na stronę 8mą, poczem już reszta stronnicy pozostawiona pusta; i opuszczono ustępy wydania 122 do 126 włącznie. Na stronie 9 idzie tak jak w wydaniu: *Nota. Si quis in presencia regis aut in consilio pleno... aż do końca.*

Odtąd rękopism biblioteki cesarskiej w składzie swoim stanowczo różni się od wydania. Różnica ta polega na większej obfitości zawartego w nim materyału, albowiem po ustępie zamieszczonym na końcu stronnicy 227 wydania, który mieści się w rękopisie petersburgskim na str. 12, idzie od stronnicy 13 aż do 30 cały rząd rozporządzeń nieobjętych już w wydaniu. Rozporządzenia te są nawet uklassyfikowane pod oddzielnemi rubrykami, jakoto: *de homicidiis, de abscussis, de susceptionibus, de consule terre, de poprawczonibus, de debitis majoribus*. Wreszcie na str. 29 odwrotniej ustęp: *Prothonotarius tabularum debet stanie et nestanie indicere*, poczem jeszcze 8 innych podobnych reguł, na boku których napisano: *inventio*. W samym końcu od

str. 30 rękopisu do 34 *formae juramentorum* po czesku. Pod pierwszą formułą stoi: Ita domini barones invenerunt anno LXVIII.

Śledząc coby znaczyły dodatki o których dopiero co wspomnieliśmy, dostrzegamy że one nie są niczem inném jak traktatem o procesie ziemi czeskiej, *ordo iudicii terrae*, który po raz pierwszy ogłosił był w Warszawie r. 1838 zasłużonej pamięci Kucharski w swoich *najdawniejszych pomnikach prawodawstwa słowiańskiego*, za użyciem nadesłanych również przez Hankę wypisów z rękopisów pragskich.

Gdybym miał pod ręką rękopism petersburski, porównanie moje rękopismu z drukiem mogłoby być dokładniejsze. Nie tracę nadziei że to kiedyś nastąpi, a wówczas nie omieszkam tego uczynić, tymczasem poprzestanę na kilku ogólnych uwagach jakie mi pomnik nasz nastęcza.

P. Maciejowski zastanawiając się w historii prawodawstw słowiańskich (t. I § 24) nad wydaną przez siebie pierwszą częścią naszego pomnika wyrzekł zdanie, jakoby takowy składał się z dwóch części, z których pierwsza od § 1—28 ma w sobie zawierać prawo zwyczajowe, druga od § 29 do końca należy, czyli prejudikata sądu ziemskiego. Powążam się twierdzeniu temu zaprzeczyć. Powstało ono z omyłki w kopii Hanki, albowiem w oryginale z którego wziął Hanka swój odpis, słowa: *ex inventione baronum*, nie formowały inskrypcyi do następnych paragrafów, ale zapewne tak samo jak w rękopiśmie petersburskim odnosiły się do poprzedniego 37 ustępu i wskazywały tylko że wyłuszczone w nim reguła powstała z prejudikatu pańskiego, tak samo jak to oznaczono przy wstępie 79 i przy dziewięciu ustępach zamieszczonych na str. 29 rękopismu petersburskiego, o czem wyżej wspomniałem.

Okoliczność ta rzuca pełne światło na nasz pomnik. Jest niczem inném jak opisem starodawnego processu czeskiego tak jak on się przedstawiał w praktyce, a ponieważ jak wiadomo praktykę tę w Czechach regulowały w kwestiach wątpliwych wyrzeczenia (należy) panów którzy składali sąd ziemski pragski, przeto wszędzie tam gdzie autor naszego opisu przy wykładzie swym spotykał na prejudikata, oznaczał, iż podana przez niego reguła na nich ufundowana.

Dalój rozważając nasz pomnik znajduje, co i pan Maciejowski zauważał, iż autor onego często przystępując do wykładu jakowój reguły processowój, nie rozwija jój całkowicie, tylko urywa na *et caetera*, dalój że w jedném miejscu pisma swego powołuje się na *tractatus de capite*. Urywkość tę wyklada i dopiero co przytoczone powołanie tłumacząc sobie tym sposobem. Autor nasz był drugim z kolei pisarzem, który zajmował się opisem procesu starodawnego czeskiego. Pierwszym był ten który układał *ordo iudicii terrae* znany nam z wydania Kucharskiego i p. Palackiego. Autor nasz miał przed sobą ten opis czyli wykład, lecz znalazłszy go nie pełnym i nie dość systematycznie obrobionym, bo zaczynającym się wprost od processu o głowę, postanowił wykład ten pismem swoim uzupełnić, co téż rzeczywiście dokonał, ale, aby nie powtarzać rzeczy dokładnie opisanych przez poprzednika, tam wszędzie gdzie spotykał się z częściami processów wyłożonych przez niego, urywał wykład i przez dodanie słów *et caetera* wskazywał że resztę czytelnik znajdzie w traktacie poprzednim, na który nawet w jedném miejscu wprost odwołuje się, nazywając go jak wspomnieliśmy *tractatus de capite*.

Co do czasu w którym nowy traktat o procedurze spisany został, tyle zdaje się z pewnością powiedzieć można, iż to nie nastąpiło przed rokiem 1386, albowiem w ustępie 119 cytowany jest nalez pański z tego roku. Inny wcześniejszy wyżej powołany jest z r. 1368. Zapewnie więc traktat nasz sięga końca wieku XIV, lub początku XV. Jeżeli tak jest, pierwszy traktat o procesie czeskim, jako ten na który się drugi powołuje musi być znacznie wcześniejszy (1).

Czy jednakże cały nasz traktat w jednym czasie powstał, czy nie składa się z kilku oddzielnych części, które mogłyby mieć różnych autorów, jak to wskazywać się zdaje rękopism petersburgski przedstawiający w dwóch miejscach ustępy niezapełnione pismem, tego bez dokładnego porównania wszystkich rękopismów, trudno rozstrzygnąć: zresztą to pytanie drugorzędne.

Cieszy nas że przez odkrycie rękopismu petersburgskiego dodajemy cośkolwiek do krytycznego wyświecenia źró-

(1) Różniące się co do epoki powstania onego zdania zobacz w *Historji praw słowiańskich* I § 239.

deł dawnego prawa czeskiego. Nie wątpimy iż wkrótce pojawi się nowa edycja uzupełniona naszego pomnika; zajmie się zapewne sporządzeniem jej p. lireczek. W każdym razie nie zapominajmy iż pierwsza zasługa wydania tak ciekawego pomnika spada na p. Maciejowskiego, tak samo jak pierwsza zasługa wydania wcześniejszego traktatu powinna być przyznana p. Kucharskiemu. Wspominamy o tem dla tego, że w czasach naszych, zasługi podobne zaczynają się wysoce cenić.

Jak dalece pomnik nasz przykłada się do ostatecznego wyświetlenia ze wszech miar oryginalnego dawnego procesu czeskiego, który nader wysoko staje w rzędzie starodawnych przewodów sądowych słowiańskich, niech mi wolno będzie powiedzieć, iż p. lireczek w pisanym do mnie w tych dniach liście tak się wyraża: „jestem uszczęśliwiony że będę już teraz mógł śmiało pomnik nasz użyć jako ważne źródło do obrobienia mojego trzeciego tomu Historyi praw czeskich, bez pomocy jego wieleby brakowało memu wykładowi. Rozwinięcie słowiańskiego przewodu sądowego cudowne!”

Warszawa,
d. 18 sierpnia 1867 r.



O MONECIE MIĘDZYNARODOWEJ.

PRZEZ

J. Belejowską.

Jednym z najsilniejszych objawów ducha pokoju i miłości, są niezawodnie owe nieustanne usiłowania i prace podejmowane w celu ułatwienia przemysłu, handlu i wszelkich stosunków międzynarodowych, za pomocą ujednostajnionej monety, posiadającej jednaką wartość, miarę i wagę, i jeśli usiłowania te zostaną pomyślnym uwieńczone skutkiem, będzie to najświetniejszy tryumf, największa chwała XIXgo wieku.

Już Francya, dnia 23 grudnia 1863 roku, zawarła konwencyę monetarną z Włochami, Szwajcaryą i Belgią, konwencya ta wielkie wywołała wrażenie w Stanach Zjednoczonych i Anglii, która pojęła niebawem, jak wielkie zapewniły sobie korzyści, kraje posiadające jedno narzędzie cyrkulacyi, jednakiego pośrednika zamiany, w skutku czego najznakomitsi ekonomiści poczęli tam gorliwie pracować nad wytworzeniem systemu, mogącego zamienić świat cały w jedną federacyę monetarną.

Przed nie wielką jeszcze laty, myśl podobna uważaną była jeśli już nie za utopię, to przynajmniej za mrzonkę nigdy nie mającą się urzeczywistnić; dziś nikt już chyba nie wątpi że fakt ten nie tylko jest możliwym ale nawet koniecznym, i prędzej czy później, koniecznie nastąpić musi, bo domaga go się silnie tak głos ogółu, jakoteż coraz więcej rozszerzające się stosunki i interesa międzynarodowe.

Kiedyś, dawno już temu, wyjazd do obcych krajów należał do nadzwyczajności, stanowiących epokę, nie tylko w życiu przedsiębiorczej go osoby, ale całej prawie rodziny; później, powoli, podróże stawały się coraz powszechniejsze, jednak rozrywki tej pozwalali sobie tylko magnaci, mało ich więc obchodziły straty jakie na zmianie lub z nieznajomości obcych pieniędzy ponosili. Dziś, jakże czasy się zmieniły! podróż stała się udziałem wszystkich klass społeczeństwa; prócz bogaczy zwiedzających obce kraje jedynie dla rozrywki, prócz kupców i przemysłowców podróżujących dla handlu lub interesu, ileżto ubogiej młodzieży jedzie za granicę dla kształcenia się w naukach i sztukach; ilu biednych rzemieślników oszczędza lat kilka grosz krwawo zapracowany na wędrowkę do obcych krajów, aby się wydoskonalili w swém rzemiośle; ilużto nareszcie chorych musi oddać grosz ostatni i jechać do wód zagranicznych, aby tam szukać zdrowia, lub choćby ulgi w cierpieniach. Pomyślmy tylko jak podobnym podróżnikom dotkliwie uczuć się daje owa nie raz tak ogromna różnica kursu, która, jak to nie zbyt dawno miało miejsce, dochodzi niekiedy aż do 40 na 100. Ale nawet i ci szczęśliwi wybrańcy losu, którzy nie potrzebują rachować się z wydatkami, ileżto jeszcze muszą ponosić nudów i nie uniknionych przykrości, kiedy podróżując np. po Niemczech, co godzina niemal coraz o inną muszą starać się monetę, i co chwila zamieniać talary na złote reńskie, złote reńskie na floreny austriackie, srebrne grosze na krajcary i t. p., i w dodatku raz po raz być oszukiwanym; gdzież tu szukać człowieka obdarzonego tak nieprzebraną dozą cierpliwości, aby mu jój nie zbrakło wśród tak ciężkich turbacyi, i aby nie złorzeczył krajom i rządowi które go o nie przyprowadzają! Tak więc, ta niejednolitość monety, nie tylko naraża na niezliczone straty pieniężne, ale nadto wywołuje rozdrażnienie, niechęć i przesady utrudniające porozumienie i dobre stosunki międzynarodowe.

Wracając się do Niemiec, cóż może być śmieszniejszego jak ta różność monety w tak licznych dotąd jeszcze księstwach i księstewkach. I naród który od tak dawna marzył o zjednoczeniu, nie umiał się jeszcze zdobyć na ujednolitenie monety, bez którego przecie nigdy prawdziwie zjednoczonym nie będzie. Tę dziwną różnorodność monety niemiec-

ckiej, wyszydził już od dawna słynny humorysta Safir. Rozmaitemi spowodowany okolicznościami, zamieszkał w którymś z małych księstw; po pewnym przeciągu swego tam pobytu, miał sposobność poznać *wielkie* słabostki i śmieszności *miniaturowego* dworu, zaczął więc wyszydzać je kosztownie, z zwykłą sobie werwą i humorem, i coś najwięcej się tam dostało *pierwшему* ministrowi *ostatniego* państewka. Ten obrażony, udaje się do panującego księcia, i musiał pewnie wmówić w niego, iż pobyt Safira w Księztwie może naruszyć pokój lub równowagę Europy, dość że ksiązę polecił przesłać Safirowi rozkaz natychmiastowego opuszczenia Księstwa. Odebrawszy to polecenie, słynny humorysta odpowiedział najuprzejmiej: iż mimo najszczerzej chęci nie może zadość uczynić żądaniu księcia, ponieważ stan funduszków nie dozwala mu myśleć o podróżowaniu. Wtedy ksiązę kazał posłać mu 10 talarów. Obrażony tęp Safir, zmienił jednego z przysłanych talarów i zostawiając 1 zł. resztę odesłał księciu, z powodu: że do wyjazdu z jego państwa jest to summa aż nadto dostateczna, a po za granicami pieniądze te nie mają kursu.

W kraju gdzie jest odbita, moneta każda przyjmowaną bywa według swjej wartości nominalnej, ale za granicą staje się prosto towarem; tak więc wywóz jej naraża na nieuniknioną stratę i często nie dopuszcza lub przynajmniej utrudnia transakcyę. Jeśli jak np. w Niemczech i w Anglii, w jednym kraju zaprowadzona jest moneta srebrna, w drugim złota, wtedy wywóz monety z jednego do drugiego na większe jeszcze naraża trudności i straty, ponieważ w obu krajach nie jednakowy zachodzi stosunek wartości między dwoma metalami. Powie ktoś może, iż w ogóle wszelkie prawie większe wypłaty nie uskuteczniają się monetą ale za pomocą weksli; prawda, ale i w takim razie trzeba opłacać zmienne, a z resztą, przewyżka dowozu nad wywozem, wynikająca z braku równowagi handlowej musi być dopłacana monetą; a w miarę jak zwiększają się wzajemne stosunki ludów i handel coraz kolosalniejsze przybiera rozmiary, przewyżki te, zawsze niejednostajne, stają się coraz znaczniejsze. I w tych więc razach, moneta między-narodowa, uregulowałaby zachodzące różnice z równą obu stron korzyścią.

Daléj, dziś gdy geniusz przedsiębiorczy Europy zachodniej i gwałtowna gorączka z bogacenia się i powiększania posiadanych kapitałów, nie poprzestając już na zbyt szczupłym dla siebie zakresie ojczystych granic, śmiało przebywa morza i odległe lądy, szukając krajów gdzie niwa przemysłu leży jeszcze odłogiem, aby tam budować koleje żelazne, urządzać kopalnie, zakładać banki, podnosić rolnictwo, przebijając międzymorza, słowem coraz wszechstronniejsze spekulacyi otwierać szranki; reforma monetarna staje się coraz niezbędniejszą, bo ona tylko jedna może zapewnić kapitałom obywatelstwo świata.

Chcąc aby ta wędrówka kapitałów mogła być prawdziwie pożyteczną dla narodów, i równie wielkie tak wypożyczającym jak i zapożyczającym przynosić korzyści, trzeba koniecznie aby rządy odbijały monetę jednej wartości i wagi, któraby mogła równie łatwo kursować po całym świecie jak w granicach jednego kraju. Aby wykazać możliwość monety między-narodowej, musiny przytoczyć tu po krótku system monetarny znakomitszych państw europejskich, oraz główne dane na jakich opiera się wyż wspomniona konwencya, zapewniająca 68,000,000 ludzi, dobrodziejstwa jednakowej monety.

Włochy, Belgia i Szwajcarya trzymają się systemu monetarnego francuzkiego, który jak wiadomo dopuszcza podwójną miarę i wagę, to jest zostawia do woli dłużnika spłacenie swego wierzyciela srebrem albo złotem, co nie jest dozwoloném w krajach gdzie obowiązuje jedna tylko stopa menniczna. I tak w Anglii, summa przenosząca dwa funty szterlingów (12 rs.) powinna być płacona złotem. W Niemczech i Holandyi gdzie obowiązuje stopa menniczna srebrna, samo tylko srebro ma kurs prawny nieograniczony. Dla zapewnienia jednoczesnego kursu złota i srebra, prawo francuzkie z XIgo roku oznaczyło stały stosunek wartości odnośnie do obu metali; prawo to wyrażone liczbami jak 1 do 15— $\frac{1}{2}$, po dziś dzień obowiązuje w zasadzie i dozwala uiścić się z długu 200 fr. jużto dając 64 grammów, 51 złota, jużto 1 kilogram srebra, w monecie zawierającej 9 dziesiątych czystego kruszcu na 1 dziesiątą aliażu, to jest z tytułem 900 tysięcznych czystego kruszcu.

Ta dogodność płacenia jużto srebrem, już złotem wyrodziła niedogodności, którym wspomniana konwencya stara się zapobiedz. Łatwo pojąć iż daremnie prawo stanowi, że jeden kilogram złota równy jest piętnastu $\frac{1}{2}$ kilogramom srebra, bo wartość względna tych dwóch metali zależy głównie od ilości wytworzonych i zużytkowanych, żądanych i zaofiarowanych. Przed odkryciem pokładów w Australii i Kalifornii wartość złota przewyższała 15— $\frac{1}{2}$ razy wartość srebra, i z tego powodu, pomimo prawa, samo tylko srebro było w obiegu we Francyi, złoto zaś stanowiło monetę zbytkową, jak towar nabywany u wekslarzy w razie potrzeby, za opłatą 5 do 10 od 1000, a wszystkie wypłaty dokonywano sztukami 5 fr. Nieco później, gdy złoto z Australii i Kalifornii zaczęło napływać na targowiska europejskie do wysokości pół miliarda rocznie, stosunek wartości dwóch metali zmienił się nieco na korzyść srebra, które zaczęło się podnosić w cenie, w skutku licznych wówczas żądań na zakup towarów w Indo-Chinach, których przywóz do Europy wzrastał z dniem każdym. Wtedy to wszystkie kraje rządzące się systemem podwójnej stopy mennicznej, nastroczały korzystne bardzo operacye handlującym kosztownemi kruszcami. Za 1 kilogram złota zmienionego w mennicy na napoleondory, handlujący nabywał 15 kilogr. $\frac{1}{2}$ srebra w monecie 5 fr. a ponieważ na targowiskach zagranicznych te 15— $\frac{1}{2}$ kilogr. srebra warte było więcej jak 1 kilogr. złota, zatem przewyżka ta zapewniała mu wyraźny zysk. Początkowo, spekulanci wybierali tylko sztuki nowe i niewytarte, ponieważ zawierały więcej czystego metalu, ale w latach od 1856 do 1859 gdy żądania od Indyi stawały się coraz większe i coraz znaczniejsze zapewniały korzyści, cała niemal moneta srebrna aż do sztuk pół-frankowych została wycofaną, i jak przekonywają wykazy komór celnych francuzkich, od 1850 do 1860 r. wycofano w ten sposób z Francyi więcej niż miliard $\frac{1}{2}$ srebra, które zastąpiły 2— $\frac{1}{2}$ miliardy złota.

Tak więc Francya i kraje rządzące się tymże samym systemem monetarnym, stały się korzystną *kopalnią* srebra, wyzyskiwaną na korzyść oddalonego Wschodu, w miejsce zaś wywożonego z nich srebra, złoto napływało coraz więcej do Europy, i wtedy to z wielkiem przerażeniem niektórych ekonomistów, a uciechą publiczności, nastąpiła owa zmiana

monetarna, która w miejsce dużych i ciężkich sztuk 5 fr. podstawiała małe i ładne sztuki złota tejże wartości. Wtedy także niektóre z krajów rządzących się systemem podwójnej miary i wagi, chcąc zabezpieczyć się od strat na jakie mogło ich narazić podstawianie spadłego w cenie złota, w miejsce tak wówczas popłatnego srebra, postanowiło odjąć złotu charakter monety, i tym sposobem powstrzymać jego obieg. Środka tego chwyciła się najpierw Holandya, powodowana dowodzeniami teoretycznemi, zanim jeszcze napływ złota kalifornijskiego dał jej uczuć swe skutki. Dalej, w r. 1850 Belgia, a nieco później Szwajcarya, odjęły złotu wartość monety i za jedyną stopę przyjęły frank srebrny, czyli sztukę zawierającą 4 gramma $\frac{1}{2}$ czystego srebra i $\frac{1}{2}$ gramma aliażu. Środek ten powiódł się w Hollandyi, dzięki specjalnemu systemowi monetarnemu, opartemu na złotym niderlandzkim, ale nie dał się zastosować w Belgii ani w Szwajcaryi, ponieważ ludność tych krajów nawykła do zupełnej wspólności monetarnej z Francją, nie chciała przystać na wykluczenie z obiegu napolcondorów, dotkniętych interdyktem prawnym. Tak więc, gdy stosownie do wydanych postanowień, kassy publiczne nie chciały przyjmować złota, a prywatni przeciwnie brali je jak najchętniej, wywiązały się z tego tak różnorodne zawikłania i reklamacye, że chcąc nie chcąc Szwajcarya już w r. 1860 a Belgia w 1861 musiały przywrócić podwójną stopę.

Od tej chwili złoto odniosło stanowcze zwycięztwo i stało się głównym narzędziem zamiany.

Wprowadzenie lekkiej i eleganckiej monety złotój, która tak zadowolniła publiczność, przedstawiało jednak pewne niedogodności, tak w codziennych wydatkach domowych, jakoteż przy wypłacie zarobnego. Skutkiem wyż wspomnianej spekulacyi, tak wyczerpano monetę srebrną, że nawet sztuki 1 i $\frac{1}{2}$ frankowe prawie znikły z obiegu, z wyjątkiem bardzo małej liczby tak już wytartych, że stempel zupełnie był niewidoczny, a wartość ich obniżyła się o $\frac{1}{10}$ część. Z tego powodu przemysłowcy i fabrykanci zamieszkujący północne departamenta Francyi, nie mogąc dostać w kraju zdawkowej monety na tygodniowe wypłaty robotnikom, zmuszeni byli sprowadzać ją z Belgii, co było powodem głośnych skarg i narzekań. Aby temu zapobiedz trzeba było naśla-

dować Anglią, która w podobnych okolicznościach w 1816 r. obniżyła tytuł swęj monety srebrnej, stanowiąc zarazem: iż nikt nie jest obowiązany przyjmować jej w summie przenoszącej 2 funty szterlingów. Tak Francya jak i inne kraje w których zaprowadzony był jednaki system monetarny, nie mogły się wahać; gdyby bowiem były monetę, według dawnej swęj stopy mennicznej, wtedy rzetelność wagi podsycając chciwość spekulantów, byłaby znow przyczyną rychłego wyczerpania jej z obiegu.

Z tych powodów, jak to już powiedzieliśmy wyżej, w r. 1860 Szwajcarya najpierwsza postanowiła upodlić zdawkową srebrną monetę swoją, i prawem wydanem d 31 stycznia t. r. obniżono tam tytuł sztuk 2 fr. 1 fr. i $\frac{1}{2}$ frankowych z 900 na 800 tysięcznych czystego kruszczu. Za przykładem Szwajcaryi poszły i Włochy w r. 1862, ale poprzestały na obniżeniu do 835, a w r. 1865 Francya, zatrzymując stopę obniżenia zaprowadzoną we Włoszech, zastosowała ją tylko do sztuk 50 i 20 cent., żadne jednak z powyższych państw nie obniżyło wewnętrznej wartości monety 5 fr.

Belgia, wierna systemowi monetarnemu z XIgo roku, nie mogła być drobnęj monety, zatem zmuszona była poprzestać na niedostatecznej liczbie sztuk starych i wytartych, pogardzonych przez handlujących drogiemi kruszczami. Chcąc wyzwolić się z tak kłopotliwego położenia, rząd belgijski zwrócił się w r. 1865 do rządu francuzkiego, proponując zawarcie konwencyi monetarnęj, opartęj na jednozgodnęj reformie dawnego systemu. Przyjmując chętnie to oświadczenie, Francya zaproponowała, aby ze względu iż nie tylko Belgia, ale oraz Włochy i Szwajcarya mają system monetarny, z jednego wypływający źródła, i utrzymują z sobą tak ważne stosunki handlowe, zebrać komisję międzynarodową, z poleceniem obmyślenia najkorzystniejszych warunków wyrabiania i obiegu monety w tych wszystkich krajach. Zgodzono się chętnie, oceniając wzajemne korzyści wspólnego narzędzia zamiany.

W tęj myśli cztery powyższe państwa wysłały znakomitych i kompetentnych ludzi, z tytułem komissarzy międzynarodowych, którzy zgromadzili się w Paryżu, w pałacu ministra spraw zagranicznych, pod przewodnictwem p. de Parieu, wiceprezesa Rady Stanu (d. 20 listopada 1865 r.).

Wszystkie te rządy upoważniły swoich pełnomocników do wzajemnego czynienia sobie wszelkich możliwych ustępstw, i z tych to posiedzeń wywiązała się konwencya którą słusznie *Economist* znakomite specjalne pismo peryodyczne angielskie, uważa za najpłodniejszą w błogie następstwa, ze wszystkich tegoczesnych umów międzynarodowych.

Według brzmienia konwencyi, próba i waga złota przedstawiona jest przez sztuki 10 fr. i 5 fr., próba i waga srebrna przez talary 5 fr. zachowujące dawny swój tytuł; zaś sztuki 2 fr., 1 fr. i 50 cent. uważane są za bilon, przez obniżenie czystego kruszcu do 835 tysięcz.—Szwajcaryi dozwolono zatrzymać czasowo swoją zdawkową monetę, odbitą z tytułem 800 tysięcznych, z warunkiem że je zupełnie wycofa z obiegu do r. 1878, po którym nie będą już miały żadnego kursu w krajach złączonych konwencyą. Dalej, ponieważ wyrabianie monety której wartość wewnętrzna niższa jest od nominalnej, mogłoby narazić zjednoczone państwa na stratę, gdyby ktoś z kontraktujących własną powodowany korzyścią, kazał bić zbyt znaczną sumę tej upodlonej monety i zalewał nią targowiska innych, zatem oznaczono maximum ilości monety zdawkowej, jaką każde państwo będzie mogło odbijać i puszczać w obieg. Wzięto do tego za zasadę stosunek ludności jaką każde państwo mieć będzie w dniu expiracyi umowy, to jest 1 stycznia 1880 r. biorąc za normę uprzedni przecięciowy wzrost ludności, i na każdego mieszkańca wyznaczono 6 fr. Tym sposobem na Francję przypada 230 milionów, na Włochy 141 milion., na Belgię 32 mil., a na Szwajcaryę 17 milionów.

Kassy państw złączonych konwencyą przyjmują swe monety bez ograniczenia summy, ale chcąc zapobiedz aby dłużnicy nie posługiwali się nią z krzywdą wierzycieli, artykuł 6 konwencyi stanowi: „żaden z prywatnych mieszkańców nie jest obowiązany przyjmować je w należności przewyższającej 50 fr. Nadto aby zapewnić obieg zdawkowej monety innych państw, kassy publiczne przyjmują ją do wysokości 100 fr. a każdy z rządów kontraktujących zobowiązuje się wycofać puszczone przez siebie sztuki dywizyjne i zamieniać je na równą sumę w monecie złotej lub srebrnej. Tak dobrze obmyślane warunki zamieniają billon w rodzaj monety fidei komissowej czyli raczej metalowych bile-

tów bankowych, płatnych na okaziciela. Tym sposobem nie dopuszcza się deprecyacji, jaka mogłaby nastąpić skutkiem nadmiernych emisji, bo w takim razie publiczność domagałaby się wymiany zdyskredytowanej monety, skutkiem czego zostałaby wykluczona z obiegu, dopokąd ilość nie dorównałaby zapotrzebowaniu.

Daliej, ponieważ interes państw połączonych nakazuje im znać dokładnie rezultata konwencji, oddzielny artykuł tejże stanowi: Rządy kontraktujące zobowiązują się zawiadamiać się corocznie o summie emisji swęj monety złotej i srebrnej, oraz o ilości staręj monety wycofanęj i przetopionęj, i zarazem komunikować sobie wzajemnie wszelkie dane, odnoszące się do kursu swych monet złotych i srebrnych. Nie poprzestając na tém, oddzielny artykuł zastrzeżę, iż pragnąc aby konwencya ta jak najogólniej rozpowszechnić się mogła, dozwala się każdemu mocarstwu któreby przyjęło system monetarny unii, możność przystąpienia do nięj.

Korzystając z tego, niezaślęgo zaraz Państwo kościelne postanowiło przystąpić do konwencji, a następnie Rumunia zamierzyła iść za tym przykładem. Starac się więc tylko należy, aby inne główne mocarstwa europejskie, uwzględniając wzajemne korzyści, zrzuciły z siebie jarzmo przestarzałych przesądów, i zawarły nareszcie nową konwencyę powszechną, której domaga się wspólny interes narodów. Wykażemy tu pokrótce, że podobna konwencya tak błogie zapewniająca rezultaty, nie wymaga żadnych ofiar prócz wyrzeczenia się marnęj drażliwości i źle zrozumianęj pychy i czułości własnej.

Zacznijmy od Anglii:

Zasadą monety angielskiej nie jest system dziesiętny ale dwudziętny, nie dobrze zastosowany. Jednostkę monetarną stanowi funt szterlingów albo suweren (*sovereign*) dzielący się na 20 szellingów, z których każdy wartuje 12 pensów. Od 1824 r. myślą wiele nad reformą monety angielskiej, na zasadzie systemu dziesiętnego, i różnemi czasy przedstawiano w parlamencie nowy system zwany *pound and mil scheme*. W r. 1854 utworzyło się stowarzyszenie pod nazwą *Decimal Association* pod przewodnictwem zmarłego następnie Williama Brown członka parlamentu; proje-

ktowana reforma zasadzałaby się na podzieleniu 1 funta szterl. na 10 *złotych*, każdy wartości 2 *szellingów* dzielących się znów na 100 *mils*; tym sposobem, mil, tworzyłby tysięczną część suwerena i równał się pół susowi francuzkiemu czyli dwom pół-centymom. Kongres statystyczny zgromadzony w Londynie w r. 1860 a w Berlinie w 1863, oświadczył się za monetą międzynarodową, opartą na systemie metrycznym. Od czasu zawarcia powyższej konwencji monetarniej, uwaga publiczna w Anglii silniej jeszcze zwracała się na ten przedmiot, i wielka liczba kompetentnych mężów zaczęła pisać i przemawiać w tym przedmiocie, dowodząc konieczności konwencji, któraby na mocy wzajemnych ustępstw zaprowadziła wszędzie jednostajne narzędzie zamiany, podobnie jak to dziś zapewniła 68 milionom ludzi.

W rzeczywistości już obecnie mała bardzo zachodzi różnica między monetą angielską a francuzką. Funt szterlingów zawiera 60 milligramów złota więcej niż 25-cio fr. sztuka złotej monety francuzkiej; wartość tej całej różnicy wynosi więc 20 cent. Widzimy więc jaka drobnostka stoi jedynie na zawadzie ujednostajnieniu monety dwóch narodów, których wzajemne rozliczne interesa tak żywo się tego domagają. Odjąć suwerenowi 60 milligr. złota i zastąpić je 144 milligr. aliażu, a moneta zostanie w zupełności ujednostajniona. Nadto, gdy podług najskrupulatniejszej kontroli, każdy niemal suweren utracą rocznie 8 milligr. przez wytarcie, zatem dziś już wiele suwerenów mało co przewyższa wartość wymaganą od 25 fr. monety unii, a koszt przebicia sztuk nowych opłaciłby się sownie obniżeniem tytułu do 900 tysięcy.

Kongres Stanów Zjednoczonych Ameryki skłania się także do przyjęcia systemu metrycznego, a nawet systemu monetarnego francuzkiego. Dolar amerykański wart jest 5 fran. 18 centymów, trzebaby więc obniżyć ją o 18 centymów, co stanowi różnicę pięć razy większą niż zachodząca między 25 fr. suwerenem angielskim; ale to obniżenie wartości jednostki monetarniej żadnego nie ma znaczenia, i przeszłoby niepostrzeżone, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy nadmiar emissyi papierowej monety obniżył narzędzie zamiany o jedną trzecią a nawet połowę. Nowy dolar złoty odpowiadałby w zupełności 4 szellingom angielskim, zaś

sztuka pięcio-dolarowa nowemu suwerenowi, zawierającemu 900 tysięcznych czystego kruszcu. O ileż to takie jednostajne narzędzie zamiany ułatwiłoby wspólne stosunki obu anglo-saxońskich plemion, tak wszechstronny z sobą prowadzących handel! Nie dość na tém, ponieważ dolar odpowiada wartości dwóch rupii, mógłby więc stać się monetą Indyi angielskich, i tym sposobem przyczynić się do ograniczenia nicustannego wywozu srebra, jakiego dziś wymaga wielki handel ze Wschodem. Nie ma wątpliwości, że w niedalekiej przyszłości wszystkie ucywilizowane państwa poszłyby za przykładem połączonych mocarstw, tworząc jedną wielką federacyą monetarną, ogarniającą Zachód Europy, Azyę południową i całą Amerykę.

Rossya bez trudności mogłaby przystąpić do unii, bo złota i srebrna jej moneta z łatwością dałaby się ujednolajnić z monetą konwencyjną. *Pół-imperyał* 5cio rublowy wart jest 20 fr. 66 centy.; zatem odejmując od rubla sr. nieco czystego kruszcu, czyli obniżając jego wartość o 13 centy., pół-imperyał ujednolajniłby się z napoleondorem. Dziś przy zupełnem niemal wycofaniu z kursu monety srebrnej i złotój, reforma ta byłaby czysto teoretyczną, ale w razie ograniczenia emissyi monety papierowej, której kurs ciągle się obniża, a puszczenia w obieg rubli i pół-imperyałów, jakże to wielkie zapewniłoby korzyści.

Austria z łatwością mogłaby się przyłączyć do konwencyi mocarstw, ponieważ nie wielka zachodzi różnica między jej monetą a monetą unii. Dziś 1 złoty (floren) austriacki wart jest prawie 2 fr. 48 centymów, zatem 2 zł. austriackie tylko o 4 centymy różniłyby się od talara, 5 fr. Obecnie Austria nie ma złotój monety, trzeba więc tylko aby rząd kazał odbijać dwa i dziesięcio-złotowe sztuki złota. a moneta jej zrównałaby się z monetą federacyjną. Jeśli Austria wytrwa na drodze na którą zdaje się wstępować, i ograniczając coraz więcej tak już zdyskredytowaną monetę papierową, skutecznie będzie swe wypłaty monetą brzęczącą, łatwo jej przyjdzie wprowadzić wymagane zmiany.

Talary pruskie większą już przedstawiałyby trudność, choć i tu łatwo temu zaradzić, skoro w większej części krajów niemieckich dziś już kursują napoleondory, a obieg ich

tak się tam stał pożądanym, że niezbyt dawno kongres ekonomistów niemieckich, zalecił powszechne ich przyjęcie.

W Hiszpanii dublon 100 *realów* wartuje 25 fr. 84 cent.; tu więc musiałoby nastąpić obniżenie nieco większe. Gdyby idąc śladem swych kolonii w Ameryce Południowej, Hiszpania zaprowadziła monetę 5 fr. podzieloną na 100 centy., wtedy real równałby się 25 cent. a zatem 4 reale miałyby wartość 1 fr.

Portugalia chcąc przystąpić do konwencji monetarniej, musiałaby obniżyć wartość swęj jednostki monetarniej. Od 1856 *milreis* portugalski ma wartość 5 fr. 60 cent., trzebaby więc ująć nieco czystego kruszcu a dodać aliażu, czyli obniżyć o 60 procent.

Te krótkie porównania wartości monet wykazują dostatecznie jak małe zawady stoją na drodze ujednostajnienia monety. W jednych krajach obniżenie wartości byłoby tak małoznaczne, że przeszłoby niepostrzeżone, w innych, gdzie większa zachodzi różnica, aby zapobiedz krzywdzie wierzycieli, dość postanowić taryffę konwencji monety dawniej na nową, mającą być podstawą wypłat długów zaciągniętych przed reformą.

Co zaś do zarzutu stawianego w Anglii, iż mogłoby się zdarzyć że niektóre rządy puszczałyby w obieg monetę nie dość sumiennie wyrabianą, dość byłoby zamieścić w konwencji: iż każdemu z państw połączonych konwencją służy prawo wzajemnego kontrollowania monety bitej przez współkontraktujących, a w razie dostrzeżenia jakiegś niedokładności, może wezwać winnych o większą sumienność pod zagrożeniem wykluczenia z unii i niedopuszczenia kursu upodłonej monety.

Wracając do konwencji monetarniej z d. 23 grudnia 1865 roku, musimy nadmienić, iż większość ekonomistów robi jęj zarzut: że nie zgodziła się na wniosek kommissarza belgijskiego, poparty przez kommissarzy Włoch i Szwajcaryi, aby państwa stowarzyszone przyjęły stanowczo jedną tylko stopę menniczną, przedstawioną przez monetę złotą; chociaż i p. de Parieu (jak dowodzi jego sprawozdanie) uznawał słusność żądania. Zdaje się że było to wynikiem wątpliwości: czy Ciało prawodawcze francuzkie zezwoli i zatwierdzi taką zmianę prawa z XI roku? Mniemamy jednak

że była to obawa nieuzasadniona, bo zgromadzenie to liczy w swém gronie tak wielu światłych i kompetentnych mężów, że łatwo wytłumaczyliby kolegom powód i pożytki podobnej zmiany.

Zbyt szczupłe ramy tego artykułu nie pozwalają nam wdawać się w szczegółowy rozbiór kwestyi, co do której zdania ekonomistów nie zupełnie są zgodne; podamy więc tylko główne dane.

Obrońcy podwójnej stopy mennicznej (*double étalon*) a między innymi p. Ludwik Wołoski, twierdzą że kraj rządzący się tym systemem, lepiej zawsze będzie zaopatrzony w brzęczącą monetę. W braku złota, pozostaje srebro; jeśli przeciwnie srebro podnosi się w cenie, a złąd więcej wyczerpuje, złoto pozostaje w obiegu. Wprawdzie z upływem pewnego czasu ceny podniosą się znacznie, ponieważ podwójna próba i waga więcej podlega upodleniu, ale nigdy nie będą narażone na zbyt nagłe zmiany, jakim je poddaje rzadkość uprzywilejowanego kruszcu, w krajach gdzie obowiązuje jedna tylko stopa. Nadto utrzymują jeszcze, że jednoczesny kurs złota i srebra, korzystny jest bardzo dla banków, pozwalając im zaoszczędzać swe zasoby i tym sposobem uniknąć podwyższenia eskonty. Jeśli handel wywozowy rzuca się na złoto, bank wypłaca swe papiery srebrem; w razie przeciwnym wypłaca znowu złotem. Nie zaprzeczając tych względnych korzyści, trudno nie uznać iż nie równo ważą niedogodności.

Większość ekonomistów uważa system podwójnej próby i wagi niemal za utopię, niezgodną z naturą rzeczy. Prawo chce oznaczyć i ustalić między złotem a srebrem stosunek stały $15\frac{1}{2}$ do 1, a stosunek taki nigdy prawie nie istnieje, ponieważ niema niewzruszonego stosunku między dwoma towarami. Wszelkie wartości podlegają nieustannym zmianom. W starożytności, wartość złota zaledwie 10 lub 12 razy przewyższała wartość srebra, jak to po dziś dzień ma miejsce w odległym Wschodzie; przed odkryciem kopalni australijskich i kalifornijskich, wartość złota w stosunku do srebra była jak $15\frac{3}{4}$ jest do jednego; później spadła do $15\frac{1}{4}$, dziś znowu zmierza nieco ku podniesieniu. Tym więc sposobem, system monetarny jest w zupełnej sprzeczności z faktami, jest zatem mrzonką nie doprowadzającą

do zamierzonego celu. Nigdy jeszcze złoto i srebro nie kursowało regularnie jednocześnie, gdy oba metale zostały uznane za stopę menniczną, *legal tender*, to jest gdy wolno było wypłacać zaciągnięte długi, zarówno złotem jak srebrem; zawsze bowiem tylko moneta niższej wartości przeważała w obiegu. Dłużnicy uiszczając się wierzycielom, zawsze poszukują monety obniżonej; handlujący kosztownymi kruszcami, ilekroć tylko srebro staje się popłatniejsze, nabywają je za niższe stosunkowo wartością złoto; jeśli przeciwnie złoto staje się rzadkością, wtedy znowu kupują je za spadłe w cenie srebro. Przejdźmy dzieje monety wszystkich krajów, a przekonamy się że zawsze jeden tylko kruszec, i to niższy wartością, służy za narzędzie zamiany. Wszystko to przemawia silnie za powszechném odrzuceniem podwójnej stopy.

Jeśli, jak mamy niepłonną nadzieję, powszechna konwencya monetarna przyjdzie obecnie do skutku, i mocarstwa zgodzą się na system jednej stopy mennicznej, niemożna wątpić że zgodnie z propozycjami komissarzy wybór padnie na złoto. W kilka lat po odkryciu kopalni w Kalifornii, p. Michał Chévalier, znakomity ekonomista francuzki, dowodził tak wymownie nieuniknionej konieczności obniżenia wartości złota, iż jakiś paniczny złotowstręt ogarnął umysły, i z tego powodu niektóre państwa, lękając się złowrogięj powodzi kalifornijskiego kruszczu, zdyskredytowały złoto, odejmując mu wartość monety. Dziś popłoch ten ustał, a p. Chévalier nie wahał się przyznać iż przepowiednie jego nie były uzasadnione.

Złoto napływa ciągle w stosunku pół-miliarda rocznie; stosunek między produkcją srebra i złota zmienił się widocznie. W roku 1800, na ogólną sumnę 300 milionów, przypadało złota 28 a srebra 72 na 100, zaś w roku 1863, na sumnę 800 milionów, przypadało złota 67 a srebra tylko 33 na sto; jednak mimo to stosunek wartości dwóch kruszców nie zmienił się widocznie. W miarę zmniejszania się wywozu do Indo-Chin, przewaga srebra znika; już w roku 1865, dowóz kruszczu tego do Francyi, przewyższył wywóz o 73 miliony franków. Nie ulega wątpliwości, że z biegiem czasu wartość drogich metali będzie się zmniejszać, i jakkolwiek niepodobna oznaczyć stanowczo, który więcęj spa-

dnie w cenie, wnosząc jednak z tego że pokłady srebra są daleko liczniejsze niż pokłady złota, śmiało można przypuszczać że smutny los ten stanie się udziałem srebra.

Wszystko więc zdaje się przemawiać na korzyść monety złotój, tak dogodnej, tak niezbędnej do wielkich interesów. Moneta srebrna, jako zbyt ciężka i zbyt wiele wymagająca miejsca, jest często niemożliwą, co może także przyczynia się poniekąd do nadmiernych emisji biletów bankowych, tak zgubnych w swych następstwach. P. Emil de Laveleye, jeden z najgorliwszych stromików monety międzynarodowej, z którego czerpiemy główne dane tego artykułu, jest zdania że powszechna unia monetarna powinna by przyjąć jedną stopę menniczną złota, w formie monety międzynarodowej, odpowiadającą następującym zrównaniom:

Sztuka 1, 25 fr. to jest 8 grammów, 06,450 złota, wczem z $\frac{9}{10}$ czystego kruszcu—1 suweren—10 florenów—5 dollarów—5 milreisów—5 dublonów czyli 100 realów—10 rupij. Jedna sztuka 25 fr. czyli 6 gr., 45,160 złota—pół-imperyał rossyjski, czyli 5 rsr. Jedna 5 fr. czyli 1 gr., 61,290 złota—1 dolar—1 milreis—20 realów. Nadto, należałoby, mówi on, obmyśleć nową jaką monetę dla powszechnej unii monetarnej: jedna jej strona przedstawiałaby herb i stempel państwa w którym została odbita, a to dla oddania należnego hołdu świętej zasadzie narodowości; druga przedstawiałaby wartość umówioną, nadającą jej prawo kursu we wszystkich stowarzyszonych krajach, i ta byłaby symbolem jedności i braterstwa ludów. Warunki zastrzeżone konwencyą z d. 23 grudnia 1863 r., stosowałyby się tylko do międzynarodowej monety złotój, co zaś do poddziałowej monety srebrnej, wolno byłoby każdemu państwu, albo zastosować u siebie system francuzki, jak to zrobiły Włochy, Szwajcarya i Belgia, i przyjąć wtedy zastrzeżenia kierujące tamże jej emisją i obiegiem, lub też pozostać przy dotychczasowej swjej monecie.

Jak przekonywa *Żółta księga* wiele państw odnosiło się różnemi czasy do Francyi, z rozmaitemi w tej kwestyi zawnioskowaniami; obecnie zatem rząd francuzki, korzystając z wystawy powszechnej, zaproponował wszystkim przedstawionym tam państwom, zebranie w Paryżu konferencyi monetarnej, dla obmyślenia najdogodniejszych środków w wytworzeniu wspólnego narzędzia zamiany.

W obec tego nagromadzenia tylu najróżnorodniejszych płodów przemysłu, które każdy naprzemian naród chciałby sprzedać albo kupić, zrozumiano łatwo jak wielkie zapewniałaby korzyści wspólna moneta między-narodowa. Tak więc głos Francyi nie był głosem wołającego na puszczy: Anglia, Austria, Rossya, Baden, Bawarya, Prussy, Belgia, Dania, Hiszpania, Grecya, Stany Zjednoczone, Hollandya, Włochy, Portugalia, Szwecya i Norwegia, Szwajcarya, Turcya, Württemberg wysłały swoich delegowanych, którzy dnia 8 lipca ukończyli już swoje prace. Umówiono się co do zasad na których nastąpić ma monetarne zjednoczenie; zasady te mają być przedstawione do uznania wszystkim rządóm obecnie reprezentowanym w Paryżu, a następnie umocowani pełnomocnicy zajmą się zredagowaniem formalnego traktatu. Główne przyjęte postanowienia zgadzają się niemal z przedstawianemi przez p. de Laveleye. Za zasadę w urzędzeniu monety w każdym z krajów przystępujących do unii monetarnéj, przyjęto stopę *idealną*, mającą stanowić *typ* powszechny, nie jednak nie obowiązuje do wybijania rzeczywiście takiej monety; trzeba tylko aby zawierała w sobie wielokrotnie i równomiernie ów *typ idealny*, lub tak w nim się mieściła iżby kilka jej sztuk odpowiadało mu w zupełności. Złoto zostało uznane jako najlepiej odpowiadające temu celowi; srebro zaś ma służyć tylko za monetę zdawkową, i kursować tylko wewnątrz odbijającego ją kraju. Jednostkę monetarną stanowić ma złota sztuka wartości pięć franków, z udziałem czystego złota $\frac{1}{10}$ całej wagi; wszelkie zaś inne monety, mają być tylko pomnożeniem téj jedności. Za zasadę téj jedności ma być przyjęta waga francuzka; formy i nazwiska monet mogą być różne w pojedynczych krajach, jednak mimo tego moneta każdego z połączonych konwencyą krajów, ma kurs we wszystkich innych.

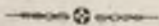
Ostatnie posiedzenie konferencyi, odbyło się d. 8 lipca r. b., nowe zaś jej zebranie nastąpić ma d. 15 lutego 1868 r. i wtedy wszystkie przedstawione rządy mają oznajmić stanowczo: czy przystają na przedstawione sobie zasady i czy zgadzają się na zawarcie konwencyi, której całą dla niektórych krajów trudnością będzie, zdaje się, potrzeba przebicia dotychczasowój monety, w celu potrzebnego jej porównania.

Rzadko, bardzo dziś rzadko, ludy żądają wojny, żaden interes nie popycha ich ku niej, i gdyby chcieć silniejszy jeszcze wstręt ku niej wzbudzić, dość byłoby rozszerzyć i rozkrzewić stosunki którym moneta za pośrednika służy. Niech przez wolną zamianę wytwory pracy jednego ludu, zadawalniają potrzeby innych, i zwiększając dobrobyt kupującego, wzbogacają sprzedające; niech kapitał przez jedne nagromadzony narody, upładnia przemysł innych; a wtedy każda wojna stanie się równie niemal zgubną dla zwycięzcy jak i dla zwyciężonego, wtedy ruina nieprzyjaciela byłaby zarazem ruiną unieszczonych u niego oszczędności, a zabijając wroga, zabijanoby zarazem dłużnika.

Konferencya delegowanych zasiadająca w Paryżu, pod przewodnictwem księcia Napoleona, właśnie podczas tej wystawy na której powiewają obok siebie chorągwie wszystkich narodów pokojowym połączone węzłem, ułożyła już główne zasady jedności monetarnej, teraz, niech podmuch braterstwa ludów dokona reszty. Niech przemoże opór, usunie zawady, niech obdarzy świat monetą powszechną, nieznającą komor ani granic, obiegającą świat cały, jako wymowny symbol węzła łączącego wszystkie ludy, jako konieczne dopełnienie kolei żelaznych i telegrafów elektrycznych znoszących odległości.

Miejmy nadzieję że wiek XIX ziści nareszcie ten ideał powszechnego braterstwa, które jeszcze przed trzystu blisko laty, jakby proroczym ożywiony duchem, przepowiedział prawie Landgraf heski, mąż znakomitego serca i umysłu, kiedy przejęty chęcią odrodzenia świata, zawołał w uniesieniu:

Hätten wir alle einen Glauben,
Gott und Gerechtigkeit vor Augen,
Ein Gewicht, Maass, Münz und Geld,
Dann stünde es besser in dieser Welt.



ROK MAŁŻEŃSTWA.

(Z angielskiego E. Carlen).

PRZEKŁAD

Pawła z Czerniatyna.

Już dziesięć minut upłynęło jak zegar wybił pierwszą; któż może wytłumaczyć podobne opóźnienie w chwili takiej jak obecna?

— Ja, mój aniele, rzekł przybliżając się do swej młodej małżonki Rudolf Brunsberg.

I oparł się o okno, przez które ona z taką niecierpliwością wyglądała.

— Doprawdy? Posłuchajmy więc tego tłumaczenia!

— Pułkownik, zanim został wdowcem, żył rok z swoją żoną, to jest jedenaście miesięcy dłużej jak potrzeba ażeby się przekonać że kobiety nigdy nie są gotowe na godzinę jaką same oznaczają; i on więc ma prawo otrzymać ulaskawienie za kwadrans opóźnienia.

— Rudolfie! i ty śmiesz to mówić mnie, co czekam na jego przybycie od 20-tu minut! O! nie zapomnę zdania twego o kobietach na przyszły raz, jak będziemy mieli wyjść razem.

Julia, ażeby wydać się groźną, wyrzekła te słowa z pewnym wyrazem zadąsania, który mimo przybranęj surowości nie zatarł uroku, i w którym obojętny dostrzegacz dojrzałby figlarne wdzięczenie się i dziecinną prostotę.

— Piękna czarodziejko, po ośmiu miesiącach małżeństwa, trzymasz mnie jeszcze pod cudownym urokiem twych

wdzięków. I zachwycony małżonek usiłował zatrzymać w swych objęciach swą złośliwą małą boginię.

— Nie! o! nie—zawołała Julia uciekając przed dłońmi które ją uchwycić chciały; —pogniółbyś moją suknię. Ale jaka to śmieszna myśl brać ślub na wsi, kiedy w mieście możnaby akt ten odbyć uroczyscie.

— Gdzie suknie nie narażone są na pogniecenie, nie prawdaż?— rzekł Rudolf tonem szydzącym.

— Ale tak jest, odpowiedziała Julia. Bo i dla czego proszę cię nie zajmować się temi na pozór podrzędniemi uwagami? Jakież ubranie może zdobić kobietę, kiedy zmięte jest przez uprzejmych wiejskich sąsiadów, i 10 tysięcy razy deptane przez nich? A co do tych którzy wyśmiewają się z tych szczegółów i uważają je za drobnostki, wiemy dobrze jak oni umieją zwracać uwagę na strój nasz zaniedbany: tak mój panie, każdy ma swoje uprzedzenia i przesady.

— Ażeby być sprawiedliwym, mój aniele, czyż nie należy uznać naturalnem i właściwem, że pułkownik, wdowiec dopiero od lat dwóch, i Lawinia której narzeczony umarł zaledwie przed 10-ciu miesiącami, nie chcą obchodzić gwarniej swe małżeństwo? Oboje mają wspomnienia, które zapewne towarzyszyć im będą aż do ołtarza, a które obrządek ten odżywi.

— Ale przyznaj mój Rudolfie, że oboje mają szczególniejszy sposób postępowania i zachowania swych wspomnień. Jak wiadomo Bogu i całemu światu, żona pułkownika nie była jedną z najpoważniejszych, i on nie był nią zachwycony, a nawet jak mówią nie źle spełniał rolę domowego tyrana; po jój śmierci jednak, kiedy mu zostawiła majątek dosyć znaczny i dwie córeczki bliźnięta, pułkownik pogrążony był w żałobie tak głębokiej, tak szczerzej jak żeby... jakby np. ja ciebie... lub ty mnie utracił. Bratowa moja przeciwnie, zaręczona była człowiekowi najszlachetniejszemu i najwięcej uprzejmemu jakiego kiedy znałam w życiu mojem, tak Rudolfie; bez zaprzeczenia, on był nierównie miłszym od ciebie, a milion razy przyjemniejszym od pułkownika; i ona kochała go uczuciem o jakim piszą w romansach że jest trwałem jak wieczność: a więc? cóż potem następuje? Zaledwie przedmiot tyłu miłości spoczął pod grobowym kamie-

niem, kiedy Lawinia przestała opłakiwać go; i ukazuje się wszędzie, w świecie, na balu, w teatrze! Nie mogłam wyjść z podziwienia, kiedy nazajutrz po pogrzebie chcąc odwiedzinami memi dać jej dowód mego współbolewania, znalazłam ją tak zimną, tak spokojną, tak obojętną, jakby nigdy nie istniał na ziemi człowiek noszący imię Ludwika Heimback, i jakby cały ich związek był tylko utworem wyobraźni, snem jednej nocy, troską dnia jednego!

— A jednak postępowanie Hermmana jest zupełnie naturalne; zwykle szczęście bywa cenione dopiero w chwili kiedy je tracamy. Co do Lawinii, tej nie rozumiem: kto przy charakterze poważnym, kocha tak głębokiem uczuciem, ten zapomnieć tak prędko nie może.

— Jednakże taki jest jej sposób kochania. Od dnia pogrzebu, czy dojrzał kto cienia żalu na jej twarzy, i czyż całe miasto nie jest tém zdumione?

— O! co temu to wierzę; nasze pocziwe miasto zdumiewa się nad wszystkim i dziwi się wielu rzeczom.

— Przyznaj, że tą razą zdziwienie było bardzo zrozumiałe, kiedy w sześć miesięcy po śmierci Ludwika, widziano Lawinią obchodzącą swe zaręczyuy z pułkownikiem, który nie zdaje się otaczać ją dowodami swęj miłości.

— Ja sędzę że właśnie ta zimna powaga pułkownika skłoniła siostrę moją do wyboru, bo przez czas jak się stara o jej rękę, nigdy nie widziałem jej ośmielającęj go do okazywania wyższych oznak przywiązania.

— Jaki wytworny rodzaj starania się! — wyrzekła swawolnie młoda kobieta. Od sześciu miesięcy obecną jestem temu, zawsze straszliwie ziewając, i wiem dokładnie ich zwierzenia, znam ich zajmujące szczegóły: kiedy nasz rozkochany przybywa, co zwykle ma miejsce o jednym czasie z wojskową punktualnością, taką rozpoczyna rozmowę: „Dzień dobry, kochana Lawinio...” Na co Lawinia odpowiada niewzruszenie: „Dzień dobry, kochany Hermanie...” Drugie pytanie: „Czy dobrze noc przebyłaś?” Druga odpowiedź: „Bardzo dobrze.” Trzecie pytanie: „Czy nie pragnęłabyś przejść się dzisiaj po południu?” Odpowiedź: „Nie, dziękuję; albo: dobrze, dziękuję ci.” Prawdziwa to komedia. Ale czyż to nie on przybywa? Tak jest, nie myślę się; umieram z niecierpliwości widzenia pułkownika i Lawinią przy

ołtarzu. Nie miałam jeszcze zaszczytu odwiedzenia siostry twojej, od chwili kiedy zaczęła przybierać się w strój ślubny. Ale co widzę! Czy pułkownik oszalał! cztery kare konie przy jego powozie! O! to prawdziwy karawan ten jego ślubny ekwipaż.

— Julio! Julio! ty jesteś mała waryatka; to są najwspanialsze konie jakie widzieć można na 20 mil w około, prawdziwie rassowe; sprowadził je Herman z Rosenburga aby tam zawieść młodą panią.

— I żeby tam z nudów umarła, jak ta co ją poprzedziła!

— Julio! czy możesz tak mówić! ale trzeba żebym zszedł uprzedzić Lawinią; powóz zatrzymuje się.

— Rudolffie, zaczekaj... chwilkę zaczekaj! Weź mój szal, płaszczyk i kapelusz; zanieś to wszystko do korytarza, ażeby ten wzór zakochanych widział jak winien postępować czuły małżonek.

Rudolf uchwycił śpiesznie szal i płaszczyk i zszedł na przyjęcie swego szwagra, wtenczas kiedy oparta o poręcz schodów jego kapryśna Julia, przywoływała go krzycząc:

— Rudolffie! zapomniałeś o kapeluszu, wróć się po niego!

Widać jednak że uwzględniła to jego zapomnienie w téj chwili wzruszenia, i powróciła do okna aby widzieć pułkownika wysiadającego z pysznego powozu który zatrzymał się przed bramą!

— Doprawdy, myślała sobie widząc go stawiającego nogę na stopniu, on dzisiaj taki piękny; w paradnym mundurze: było to konieczném. Dla uczczenia dnia dzisiejszego przyozdobił usta swe uśmiechem; to także musiało być konieczném, bo pułkownik za bardzo trzyma się przepisów wojskowych, ażeby w czémkolwiek uchybił im. Ale jak mu dobrze w tym mundurze!

Jaki ukłon! Ach panie, jaka szkoda że zapóźno przybywasz złożyć hołd twojej bratowej, tak do dzisiaj przez ciebie zaniedbanej. Jaki pyszny ekwipaż! Boże mój! Dla czego Rudolf nie jest dosyć bogatym ażeby trzymać powóz! Julia westchnęła. Ale co robi Rudolf? Ja nie zejść, dopóki on po mnie nie przyjdzie.

— Julio! Julio!—wołał Rudolf.

Żadnej odpowiedzi; Julia nie słyszała.

— Zejdź, mój aniele: Lawinia już gotowa.

Niepodobna, aniół postanowił sobie dowieść pułkownikowi, że kobiety nie idą jak wojacy na rozkaz i komendę.

Ale Rudolf pobiegł na górę, i biorąc w swe objęcia małą buntowniczkę, zniósł ją do salonu.

Tam oczekiwał ich pułkownik Herman de Rosenbourg, tyle wyśmiany przez Julię. Miał on zaledwie lat 30; ale sądząc po surowości jego postawy, możnaby powiedzieć że nigdy nie był młodym, lub że przynajmniej wielkie nieszczęście, albo szczególniejszy charakter, stał przedwcześnie całą barwę młodości. Jeżeli jednak jego rysy męskie i regularne nie okazywały w tej chwili cały zachwyt człowieka prawdziwie rozkochanego, wynurzały przynajmniej spokojne zadowolenie, a oczy jego zwrócone ku drzwiom jeszcze zamkniętym, mogły, gdyby jedno spojrzenie zachęcenia było im rzucone, odpowiedzieć wyrazem pełnym czułości.

— Widzisz Hermanie jak postępuje się z dziećmi zbuntowanemi—rzekł Rudolf—składając na krzesło śliczny swój ciężar.

— Mój kapeluszu! mój kapeluszu —powtarzała rozkapryszona Julia; poruszając zachwycającą główką.

— Czy nie mogłaś zabrać go ze sobą mała trzpiotko? — rzekł do niej mąż, który jednakże pobiegł po ów zapomniany kapeluszu.

— Wszak Rudolf pełnym jest uwagi i uprzejmości? — przemówiła Julia, rzucając tryumfujące spojrzenie na pułkownika.

— Rzeczywiście—odpowiedział Herman z obojętnością która dowodziła że nie rozumiał ani nauczki ani przyczynku.

— Ten człowiek zabiłby mnie niezawodnie gdybym miała nieszczęściem być jego żoną, pomyślała Julia, i podniosła się aby zastukać do pokoju Lawinii; ale nim doszła do niego, inna ręka uchyliła je z wewnątrz pokoju, i otwierając, ukazał się na progu prawdziwy posąg z alabastru, odziany w czarną draperyę.

— Nieba! jakaś ty blada! —wykrzyknęła Julia przelekniona.

Lawinia rzuciła jej wzrok uśmiechnięty i przybliżyła się do swego narzeczonego. Widząc ją wchodzącą, oko jego zaiskrzyło się, ale wyraz bolesnego zdziwienia pokrył natychmiast blask tego pierwszego spojrzenia.

Ukłon głęboki jakim Lawinia powitała Hermana, był ze strony panny-młodej przyjęciem dosyć zimnem, i jeżeli ukłon pułkownika nie był mniej głębokim, ani mniej ceremonialnym, to przynajmniej było wiele zapachu i szczególniej słodczy w jego głosie, kiedy biorąc rękę Lawinii i niosąc ją do ust swych, rzekł:

— Zdajesz się być cierpiącą, Lawinio; czy życzyś sobie abyśmy nie wyjechali jutro?

— Bynajmniej; nie czuję się cierpiącą, ale tylko...—głos jej drżał nieznacznie—tylko jestem zmieszana, i ty to rozumiesz Hermanie.

Pułkownik odpowiedział na te słowa jeszcze głębszém skłonieniem głowy.

— Może wołałabyś żebyśmy zaczekali chwilkę?

— Nie, jestem gotową.

Wróciła do swego pokoju, zarzuciła na siebie płaszczyk i natychmiast wyszła.

Julia została jak niema i wryta; widziała że pułkownik nie zajmował się wcale myślą naśladowania budującego przykładu jaki mu przedstawił Rudolf.

— Będzie to ślub jeden z najwięcej zajmujących — szepnęła Julia do swego męża, podczas kiedy siadali do powozu. Rudolf nie odpowiedział; myślał o swęj ukochanej siostrze, o jej przyszłości, i wzdychał patrząc na tę twarz bladą; a kiedy drugie spojrzenie rzucone na Julię ukazało mu uśmiechniętą i powabną jego towarzyszkę, zaczął porównywać w myśli swęj, przeznaczenie prawdopodobne tych dwóch kobiet, tak tkliwie przez niego kochanych, to małżeństwo tak szczęśliwe, z zimnym związkiem państwa młodych.

Tymczasem Rudolf zauważył z przyjemnością która wzruszyła jego braterskie serce, troskliwość z jaką pułkownik usiłował rozpostrzeć część swego płaszcza dla zasłonięcia od jesiennego wiatru okna powozu, po stronie Lawinii.

Lawinia podziękowała mu, ale on nie objawił spojrzeniem że podziękowanie to przyjął dla siebie. Oczy Julii spotkały się z oczami Rudolfa; i kiedy te uśmiechały się z radości, w tamtych można tylko było wyczytać te złośliwe słowa: dobrze! dobrze! patrzmy końca.

II.

O milę od miasta z którego oddalał się powóz pułkownika, stała śliczna mała oberża, dokąd zimową porą często udawano się na spacer sanna jazdą a w lecie na wiejskie zabawy, ale która rzadko była odwiedzana w jesieni. W tym dniu jednakże, oberżyści mieli dostąpić rzadkiego bardzo zaszczytu widzenia uroczystego aktu weselnego ludzi wyższego świata, jeżeli można było nazwać aktem weselnym obrządek smutny jaki przygotowywano, i któremu miało towarzyszyć kilka tylko znajomości, postaci tak posępnej jaką zachowali narzeczeni. Kiedy powóz pułkownika nadjechał, ucztą weselną, duchowny i świadkowie byli już gotowi, a szczęśliwi zaproszeni na to wesele obliczali już, wiele zabawnych uwag zbiorą, ażeby niemi w dniu następnym miało całe zabawić.

Te chwile oczekiwania były skrócone dla dam, przez spostrzeżenia i przepowiednie, wyrzeczone cichym głosem, pod zasłoną chustek. — Biedna! jak mi ją żal.

— O! zanim rok upłynie, ona pewnie żyć nie będzie; dziś już ma postać nieżyjącej; czy widziałaś ją w chwili kiedy wysiadała z powozu?

— Ale, powiedz mi, kochana przyjaciółko, co mogło ją znaglić do tak szczególniejszego postanowienia? Charakter pułkownika osławiony wszędzie, nie jest tajemnicą dla nikogo.

— Utrzymują jednak, moja droga, że honor tego człowieka jest bez plamy.

— I na co się to przyda? kiedy ma charakter uparty, samolubny, milczący, dziki: który ceni daleko więcej towarzystwo swoich psów, jak żony; tyran, który chce być słuchanym pierwój nawet zanim objawi swoją wolę!

— O! co w tem, to wszyscy mężczyźni są sobie podobni.

— Przyznaj jednak że to małżeństwo jest oryginalne, mianowicie zawarte w tak krótkim czasie po śmierci narzeczonego, tak szczerze ukochanego. Jój oziębłość dla zmarłego i postępowanie od téj epoki, są to zagadki których nikt nie rozwiąże.

— Zapewne słyszałaś zwierzenie uczynione Lawinii przez Ludwika, krótko przed śmiercią tegoż.

— Zamilczmy! Otóż i ona!

Drzwi otworzyły się; Lawinia weszła prowadzona przez brata i przybliżyła się pewnym krokiem do pułkownika, który podał jej rękę. Wtenczas nie była tak bladą, jak w chwili swego wyjazdu; podróż i ostatnie wysilenie, niezachwianego postanowienia sprowadziły na jój oblicze lekki rumieniec, który dodał świetności i blasku jój piękności. Wzniosła postawa pułkownika piękną wydała się przy wysmukłej i giętkiej postaci jego narzeczonej: czarne zwoje włosów rzuciły na jego brunatne czoło cień, który go jeszcze więcej pochmurzał, ale wzrok, jakim natenczas wpatrywał się w Lawinę był szczególnie jasny; wyraz oczu był tak rzewny i ufający, że pod siłą tego spojrzenia rumieniec coraz więcej wracał na blade oblicze jego narzeczonej, i drzenie, jakiego przedtém doznawała, ustawało zupełnie. Ona także podniosła ku niemu tkliwe spojrzenie błękitnego oka, ale odwróciła je natychmiast, jakby jój było niepodobnem odbić w swych źrenicach ten wyraz ufności jaki widziała w oczach pułkownika. A jednak głos jój, lubo cichy, nie drżał, ani słabł w chwili kiedy wymawiała świętą przysięgę małżeńską.

Po skończonej ceremonii i przyjęciu życzeń szczęścia zaproszonych gości, całe grono przeszło do stołu. Wznoszono toasty, rozmowa szła szybko, ale ani wino, ani zamiana czczych słów nie mogły udzielić nikomu zapału; nie czując się zadowolonymi, wszyscy życzyli sobie prędszego zbliżenia wieczoru, ażeby wrócić do domu i ulżyć sobie wykrzyknikiem:

„Boże mój! jakie wesele i jacy małżonkowie!”

A jednak nie można było dowieść żadnego przekroczenia w zwyczajach obrządku. Pułkownik był zważający, uprzedzający, czasem nawet prawie czuły dla swój żony; ona ze swój strony była serdeczną względem niego, nieraz

odpowiadała mu uśmiechem; ale były to słowa i uśmiech, jak wino i toasta: brakło im tej siły i tego smaku, które nadają im wartość.

— Jaka to różnica między tym weselem a twojém, droga Julio—szepnęła jedna z dam, korzystając z chwili kiedy przechodzili do salonu, ażeby wypowiedzieć sobie wspólne uwagi.

— Wierzę bardzo temu—odpowiedziała młoda kobieta, z zwykłym sobie wyrazem szydzącym—ja lepiej rozpoczęłam moją nową epokę, bo kochałam mego pana młodego. Dzięki Bogu że już jutro jadą! To uwolni ich przyjaciół od składania im kłamliwych życzeń szczęścia.

— Zapewne, nam należy tylko modlić się za nich.

— Od tego zacznę jak tylko wsiądę do powozu, bo pewnie, pięć minut później zasnę na dobre.

Rozmowa, herbata, ogień na kominku, wszystko zdawało się uśpioném jak Julia. Nakoniec księżyc zaświecił na niebie, ten promieniejący i dobroczynny znak odjazdu; i rozłączono się.

Kiedy nowo zaślubieni, Rudolf i jego żona, wsiedli do powozu, Rudolf zajął miejsce naprzeciwko swój siostry, to samo które przedtem pułkownik zajmował. Herman zdawał się niewiedzieć tego; usiadł naprzeciw Julii, która wkrótce zasnęła snem głębokim, wtenczas kiedy Lawinia schylona na ramieniu brata, czasem całkiem opierając na nim swą głowę, trzymała bezustannie dłoń jego w gorącym uścisku.

— O! siostro moja—szeptał młody człowiek, tak cicho że słowa jego nie mogły dojść jak tylko do ucha tej do której były wyrzeczone—moje serce zmęczone; widzę wszystko od sześciu miesięcy: ty potajemnie gwałt sobie zadałaś, a teraz zawiele cierpisz abyś to ukryć mogła.

— Nie—rzekła Lawinia głosem pewnym—nie, na mą duszę, ja nie zrobiłam sobie przymusu; niczego nie żałowałam i nie żałuję, a mniéj jak wszystko inne żałuję tego, którego zdaje ci się że wspomnienie niepokoi jeszcze moje serce.

— Obawiam się—rzekł głośno Rudolf—żebyś niecierpiała pomimo twego zaprzeczania; patrz Hermanie—dodał podając mu rękę jego żony—czy nie dowodzi to gorączki?

— Tak sędzę—odpowiedział Herman z zupełną obojętnością—osłoń się twoim płaszczem Lawinio. Puścił bez uściśnienia rękę swęj żony i przechylając się przez drzwiczki, polecił furmanowi pośpieszyć.

— Mój pułkowniku, droga jest zła—odpowiedział pocztylion.

— Doskonała jest, bądź posłuszny!

— Nie, na Boga, każ zwolnić—zawołała Julia,—podnosząc się na wpół śpiąca; droga jest pochyła, ja chcę wolno jechać: każ jechać powoli, pułkowniku!

— Pocztylion jest pewny, a o konie nie należy się obawiać.

— Jeżeli tak dalej jechać będzie, to zasłabnę.

Rudolf, słysząc głos Julii i widząc ją niespokojną, gniewał się niemal że pułkownik nie cofnął natychmiast swego rozkazu, i głosem wymuszonym przemówił:—Hermanie, ponieważ odezwa mojęj żony nie wystarcza, pozwolisz że dołączę do nięj moją prośbę....

Lawinia dotąd milczała i nie wyrzekła ani słowa po przemówieniu swego brata; słyszała ona że mąż jęj należał do tego rodzaju ludzi, którzy bardzo niedbali o swe życie, pragną ażeby wola ich była zawsze spełnianą, i którzy woleliby utracić pierwsze, jak zmienić drugie. Czy ta opinia była zasłużoną lub przeciwnie, Lawinia nie mogła osądzić, bo Herman po odezwie swego szwagra, rzekł do furmana, ale z wyrazem gdzie widoczną była ironia:

— Jedź wolno, krok za krokiem, te damy lękają się, i nie otworzył ust aż do chwili przyjazdu na miejsce; dopiero natenczas, i tonem naigrawającym się, podając rękę Lawinii przy wysiadaniu, zapytał ją czy także obawiała się koni kiedy szły szybko?

— Bynajmniej, bo mnie za nie ręczono.

— O! nie przedstawiam ci ją za bohaterkę—odrzekła Julia.

— A więc! dołożę starań aby stać się nią—odpowiedziała Lawinia—bo wiem że Herman jest nieprzyjacielem bojaźliwych.

Pułkownik uśmiechnął się i rzekł:

— Nie obawiaj się niczego Lawinio, odwagi twęj niewystawię na zbyt ciężką próbę:

Przybyli na miejsce, i wszyscy weszli do salonu, gdzie kilka chwil przepędzili na rozmowie. Trzy razy Lawinia podnosiła się chcąc pożegnać brata swego życzeniem dobrej nocy, i trzy razy napowrót siadała. Nakoniec wzrok spokojny Hermana spotkał się z jej wejrzeniem: zrozumiała życzenie, wstała, uściśnęła swego brata, ukłoniła się z lekka mężowi, i z swą bratową wyszła z salonu.

III.

Zaledwie pół godziny przeszło, kiedy Julia opuściła lekkim krokiem pokój swój bratowej, zostawując w nim nowo-zaślubioną. Lawinia stała przed stolikiem, o który oparła drżącą rękę; ślubna suknia w którą była przybrana nie była bielszą jak jej lice; szal z ponsowego kaszmiru okrywając jej ramiona, zaledwie tyle odbijał się o twarz jej marmurową, że dawał lekki pozór życia temu przepysz-nemu posagowi, bo nawet nieruchoma i pobladła była tak piękną, jak marmur ożywiony dłutem Fidyasza, piękną jak postać allegoryczna rozpaczy, z głową przechyloną i prze-śliczną ręką która się gubiła w bujnych splotach jej rozpiętych włosów, a jasne światło kandelabrow wydawało się światłem świec grobowych. Łzy gorące spływały po licach alabastrowych, łkania wznosiły jej łono, a tłoczące myśli wyrывały się w przerywanych słowach.

— Co uczyniłam? jak śmiałam? O! jakże pomyliłam się! jak strasznie zawiodłam; chciałam wyrwać z duszy mój rozpacz która ją pożerała!..... A lekarstwo jest tysiąc razy gorsze! Zawiodłam się na mych własnych siłach!

W tej chwili usłyszała w przyległym pokoju odgłos kroków powolnych ale śmiałych. Lawinia pozostała jak wryta a jednak silnie wzruszona, niezdolna była ani przemówić ani poruszyć się z miejsca. Ona sama tylko mogła powiedzieć, wsparłszy rękę na swém wzburzoném sercu, do jakiego stopnia podnosiła się ta wewnętrzna burza.

Pułkownik wszedł.

Miejsce gdzie stała Lawinia nie było tém którego wzrok jego szukał, ale kiedy oswoił się z jasnym światłem, jakie go prawie olśniło, ujrzał swą żonę, i mimowolne osłupienie kazało mu się cofnąć; ten cień blady i nieruchomy,

byłaż to jego pierwsza żona, okryta całunem, wyszła z grobu w który ją złożył; czy téż dzisiejsza panna-młoda w swęj ślubnej sukni! Przybliżył się i patrzył na nią przez chwilę. Byłże to wzrok badawczy artysty, czy kochanka? Byłż to wzruszenie duchowe znawcy przed arcydziełem, czy gorączkowy niepokój męża w obec ukochanej kobiety? O! było to więcj uwielbienie artysty! Nakoniec Lawinia uczyniła poruszenie, i Herman przemówił półgłosem:

— Przybyłem zawczasie, będę czekał w drugim pokoju i powrócę.

— Hermanie!

— Droga Lawinio! Uchwycił jęj rękę, i zaprowadził ją ku sofie, gdzie okok nięj usiadł. Ona spojrziała wzrokiem pełnym śmiertelnęj obawy i nieopisanego wzruszenia.

— Lękasz się mnie— rzekł jęj, przerażam ciebie,—i głos jego przybrał ton, o jaki nigdy Lawinia nie byłaby go posądziła. Powiedziano ci że byłem nieubłagany. Jestem nim rzeczywiście, ale tylko dla tych co mnie nie pojmują, a dotąd nikt mnie nie zrozumiał; dlatego to słodkie wrażenia, które wzruszają sercem człowieka, są mi dotąd obce, ale ty, Lawinio, może będziesz umiała obeznać mnie z tą rozkoszą.

— Ja!

Zadrżała i cofnęła się.

— Czy nie przyrzekłaś mi to, stawszy się moją żoną i matką moich dzieci?

— Przyrzekłam być matką twoich dzieci, i będę nią ile mi sił starczy; ale jakże potrafię obudzić w tobie uczucia nieznane twemu sercu? Miłość tylko zdolną byłaby zapoznać cię z niemi, a tak długo jak czuć jęj nie będziesz, tak długo jak ona tobie będzie obcą, a będzie nią zawsze..... Oko pułkownika, które przed chwilą błyszczało, pochmurzyło się na nowo.

— Jak wiesz o tém, Lawinio? Ja miałem inną nadzieję; dlaczegóż tymi wyrazami chcesz mi ją odjąć? Kiedy starałem się o twą rękę, nie ukrywałem że nie była to miłość, która do tego mnie skłoniła; zawsze jednak był to wybór serca. Uwielbiałem w tobie kobietę godną wysokiego szacunku, spodziewałem się że przyszłość zamieni tę braterską ufność w uczucie silniejsze, że może doprowadzi mnie do miłości, która mi była obcą.

— I która jest ci nią dotąd — szepnęła Lawinia głosem zaledwie zrozumiałym.

— A więc niech i tak będzie! która mi jest jeszcze obcą, ponieważ tak sobie życzysz. A jednak, Lawinio, są chwile kiedy czuję że mogłoby być inaczej, i może już teraz, gdybyś sama nie unikała tak starannie wszelkiego wylania uczuć, dopatrzyłbym że w sercu mojem jest coś więcej jak szacunek. Jesteś tak piękną, Lawinio, że żaden człowiek nie może widzieć ciebie bez zachwycenia; ale ty sama czuwasz ażeby to zachwycenie nie zamieniło się nigdy w uczucie żywsze.

— Prawdę mówisz, Hermanie; bo wzbudzenie uczucia wyższego, byłoby mojem nieszczęściem.

— Twojem nieszczęściem?

— Tak jest: ale nie unoś się tak: czyż nie upewniłam ciebie....

— Że pamięć twego narzeczonego zamarła w twém sercu, i że nawet żalu po nim już nie zachowujesz: oto, o czém mnie upewniałaś.

— I prawdę mówiłam, ale nie ukrywałam także przed tobą, że miłość będzie dla mnie obcą, i że dla ciebie takie tylko uczucie mieć będę, jakiem ty mnie obdarzysz: szacunkiem i przyjaźnią.

— Zdaje mi się że jeszcze jedno przyrzekłaś?

— O czem mówisz?

— To, na czém spodziewałem się zbudować nasze szczęście domowe! Zaufanie:— czy zapomniałaś o tém?

— Nie, Hermanie, ale zaufanie nabywa się, nie daje.

— Ja wymagam abyś mnie niem obdarzyła, abyś mi je od téj chwili okazała.

— Czego żądasz?

— Chcę powiedzieć, że, ponieważ w naszym związku widzimy brak miłości, tém mocniej oprzeć się winniśmy na uczuciach które mają zabezpieczyć nasze szczęście wewnętrzne. Z wszystkich tych uczuć, zaufanie jest najpewniejsze, najświętsze, i sądząc się być w prawie do niego, pozwolę sobie uczynić ci zapytanie, na które odpowiesz mi podług twego sumienia i bez namysłu: czy myślisz że małżeństwo bez miłości może być szczęśliwem?

Lawinia milczała: widocznie odpowiedź była trudną.

— Łatwémby mi było wytłumaczyć twoje milczenie, ale ponieważ podobne objaśnienia mogą być niedokładne, usilnie proszę o odpowiedź.

— Ponieważ przymuszasz mnie do tego, powiem ci, że kiedy żądałeś mojej ręki, sądziłam iż szacunek, przyjaźń i zaufanie wystarczą do zapewnienia szczęścia w małżeństwie; ale teraz przekonałam się że byłam w błędzie: że zdanie to było z braku doświadczenia i zdrowego sądu.

— I kiedyż to, chciaj mi powiedzieć, spostrzegłaś błąd ten?

Pułkownik chciał być spokojnym, ale pomimo usiłowań głós jego drżał z szyderstwa i gniewu.

— W dzień podpisania kontraktu.

— I mnie nie udzieliłaś tego odkrycia!

Pułkownik odskoczył z swego siedzenia, i rzucił na młodą kobietę wzrok straszny, na który zadrżała.

— Pozostawiłaś mi nadzieję że znajdę małżonkę pragnącą przynajmniej mego szczęścia! Dzisiaj nawet przysięgłaś przed Bogiem.... O! ale teraz przypominam sobie, że wymawiając tę przysięgę, zarumieniłaś się; rumieniłaś się pani tém krzywoprzysięstwem.

— Panie, zapewniam ciebie....

— Zwiodłaś mnie pani. Można się pobrać bez miłości; ale nienależy tego czynić kiedy kto ma przekonanie że nie może ani udzielić ani otrzymać szczęścia. Kobieta która niepragnie zdobyć miłości męża, ale przeciwnie obawia się uzyskać ją, kiedy wymawiała swą przysięgę przed Bogiem, znieważyła świętość obrządku; a mąż, który dostrzegł to krzywoprzysięstwo, winien o tém ciągle sobie powtarzać, jeżeli nie chce utracić jedyną, ostatnią pociechę która mu pozostaje,—szacunek samego siebie!

Herman przechadzał się przez pokój tam i napowrót, z niewymowném wzruszeniem, i zatrzymując się przed przeżoną młodą kobietą, usłyszał te słowa wymówione z ust jej:

— Nie rozumiem ciebie.

— Doprawdy! a więc! żądać będę rozwodu.

— Panie! niemówisz tego z myślą—wyrzekła Lawinia, powstając z gwałtownością.

— Tak, przysięgam na Boga! Niechaj świat myśli i mówi co mu się zdawać będzie; ja żądam rozwodu. Oznaj-

miam ci to w dzień naszego ślubu. Jutro jadę sam do Rosenburga, ono już raz było świadkiem nieszczęśliwego związku. Szalony! bezrozumny byłem myśląc sprowadzić tam szczęście! Pani — wykrzyknął tonem rozdzierającym — zraniłaś mnie śmiertelnie, trzeba nam rozłączyć się.

— Ale, panie, ty mnie gubisz — wyrzekła Lawinia, która w obec tego postanowienia, ułożonego tak prędko po ślubie, uczuła powrócone wszystkie swe siły, — nie zniesławisz nas oboje!

— Czyż należy mnie o to obwiniać? Ja w sercu mojem nosiłem gorące pragnienie szczęścia, i sądziłem biedny szaleniec, że nieszczęścia jakich oboje doznaliśmy, winne były nas zbliżyć i złączyć. Ale ty pani, inaczej myślałaś; nawet wymawiając przysięgę panny-młodej utrzymywałaś inne nadzieje, inne pragnienia. Dlaczego chcesz nosić imię moje, dlaczego chcesz się oddać człowiekowi którego prawie nienawidzisz, kiedy możesz tak zimno rozważać przyszłość którą przewidujesz tak opłakaną dla niego?

— Gniew twój panie, w błąd ciebie wprowadza. Co do twego pierwszego pytania, już na nie odpowiedziałam przyznając że zawiodłam się sama, i że zapóźno odkryłam prawdę ażebym z niej korzystała. Co do drugiego, — i Lawinia zarumieniała się mocno na te słowa, — oczy twoje mogły być udzielić ci, od chwili jak wszedłeś tutaj, rzetelną odpowiedź. Kiedy ciebie ujrzałam, zaledwie mogłam utrzymać się na nogach, a jeżeli teraz mam więcej siły, to dlatego że nie mam się już czego obawiać.

Głębokie milczenie panowało chwil kilka. Przed tą postacią marmurową, którą tylko boleść ożywiła, stał pan młody z ustami ściśniętymi i czołem zmarszczonem.

— W samej rzeczy, nie masz się już czego obawiać — rzekł tonem zinnym, i skłoniwszy się, przybliżył się do drzwi.

W téj chwili blizkiego niebezpieczeństwa, młoda kobieta odniosła nad sobą trudne zwycięstwo. „Pozwól mu odjechać, okaż mu obojętność,” mówiła duma; ale rozsądek przemawiał silniej.

— Nie rzucaj nas na pastwę publicznej ciekawości, rzekła młoda kobieta z gwałtownem wzruszeniem. Dopóki nie przejdziesz progu tego pokoju, tajemnica naszego mał-

żeństwa pozostanie nam tylko wiadomą; ale skoro raz wyjdiesz ztąd, całe miasto wiedzieć o tém będzie.

— Całe miasto wiedzieć musi koniecznie o wszystkim, ponieważ ty pozostajesz w tém miejscu.

— Ja też nie chcę zostać—rzekła Lawinia. I głos jej lubo nie zniżył się, ani podniósł, wyrażał niezachwiane postanowienie. Nie chcesz?—powtórzył zdumiony pułkownik.

— Nie. Nie zostanę. Jeżeli wyjeżdżasz jutro, będę ci towarzyszyć; nie dlatego zostałam twoją żoną aby być opuszczoną przez ciebie, a wyśmianą przez świat cały. Prawo nakazuje ci osłaniać mnie twą opieką, i o nią to dopominam się.

— Zdajesz się sądzić że moje wyrażenia były tylko próżną groźbą, ale mylisz się pani: ja zawsze pozostaję przy mojem słowie.

— Wiem o tém i jestem stale przekonana, że nikt nie potrafiłby je zmienić; ale winienesz uznać że rozwód ten, jeżeli będzie rozpoczęty natychmiast po ślubie, zostaniemy nietylko celem żartów bez liczby, ale przedmiotem zgorszenia i pogardy.

— A potem! potem!

— Rozwód, po dwunastu godzinach małżeństwa, byłby zgorszeniem dla całego świata, a dla mnie niezmazanym wstydem; po dwunastu miesiącach, przeciwnie, będzie się tylko wydawać skutkiem smutnego doświadczenia sprzeczności charakterów, niezgodności która groziła szczęściu obojga; a lubo zawsze surowo gromiłam tych co zrywali taki święty związek, jednakże po upływie dwunastu miesięcy, przychylię się do twego żądania.

— A więc! niechaj się stanie podług twego życzenia! Przez rok ten zachowujmy, w oczach świata pozór ludzi ożenionych, a po upływie tego czasu, zerwijmy łańcuch cięższy od kajdan galerników. Wtenczas będziemy mogli przedstawić sądom powody które ty sama tak rozumnie przygotowałaś: tym sposobem oszczędzimy mnie śmieszności, tobie wstydu.

— Łańcuch o którym pan mówisz, będziemy oboje dźwigali—rzekła wyniosłe Lawinia—może to przekonanie będzie ci pociechą lub zemstą.

— Wybacz mi, nie pojmujesz mnie,... ale cóż ci zależy na zrozumieniu myśli moich? Odpocznij przez kilka godzin, ażebyś mogła udać się jutro w podróż; ja pozostanę na tem miejscu.

Tak się zakończył dzień ślubu; było to 25-go września.

IV.

Dnia następnego, zegar wybił ósmą, kiedy Rudolf obudził swą żonę składając pocałunek na jej świeże lica, i piękna śpioszka, na wpół obudzona, wyciągnęła ku niemu swe śliczne ramiona.

— Dzień dobry, kochany Rudolfie! Mój Boże! jak ty zawsze wczesnie wstajesz! Ale czy nasi nowo zaślubieni pojechali bez pożegnania? wszystko zdaje mi się tak cichem w tem domu.

— Uspokój się, mój aniele, oni śpią tak dobrze jak ty. Dla szczęśliwych jutrzeńka nie ukazuje się nigdy tak wczesnie.

— Mówisz jakby o najszcześniejszem w świecie małżeństwie, a jednak powiedz szczerze, czy ty wierzysz żeby oni byli przynajmniej znośni dla siebie?

— Nie wiem droga Julio; ale wczoraj, żegnając Hermana, poważylem się tytułem brata polecić mu szczęście Lawinii. Odpowiedział mi tylko kilku słowami; w jego spojrzeniu jednak był jakiś wyraz, który rozbudzał zaufanie, i nie mam obawy o przyszłość mojej siostry.

— Jakież więc były te upewnijające słowa? zapytała Julia złośliwie.

— Rudolfie, mówił do mnie, bądź przekonany, że unięm ocenić twoją siostrę, i że starając się zasłużyć na szacunek i życzliwość którą mi ona dziś już okazuje, będę usiłował zachować ją na wieki.

— Szacunek, życzliwość! powtórzyła Julijs ironicznie, czy to zadowolniłoby ciebie. Wielki Boże! coby się z tobą stało gdybym cię obdarzyć miała tylko zapewnieniem tych pełnych uszanowania, uczuć.

— Bez zaprzeczenia, moja czarodziejko, dla mnie życie nie miałoby żadnego uroku gdyby miłość nie była jego celem.

Ale nie wszyscy śmiertelni bywają zaproszeni na ucztę bogów; znajdują się wśród nich tacy, których zadawalnia szczęście więcej ziemskie, i może do ich liczby zalicza się pułkownik.

— Nie sędzę, bo widziałam w oczach Hermana wyraz, który nie obiecuje nic dobrego. Wreszcie, zobaczymy jaką nam wiadomość ranek zwiastować będzie.

Rudolf opuścił Julię ażeby dowiedzieć się o nowozamężnych; zastukał do ich drzwi trzykrotnie bez otrzymania odpowiedzi.

Lawinia obudziła się bardzo wcześnie. Wzrok jej zwrócił się natychmiast ku sofie, gdzie pułkownik miał spoczywać: wydała okrzyk przestachu, nie widząc go tam.

— Wielki Boże — wyrzekła — pojechał nędznik! pozostawił mnie na pastwę pogardzie i żartom.

— Racz pani lepiej o mnie sądzić.

Lawinia zarumieniała się. O kilka kroków za nią, pułkownik, już przybrany w wytworny ubiór podróżny, usiadł niedbale w fotelu.

— O, przebacz mi Hermanie — wyjąknęła zawstydzona.

— Niech cię to nie mięsza — rzekł pułkownik z niewypowiedzianem zanedbanie; a co do przebaczenia, zapewne mało je cenisz ze strony „nędznika.”

Powtórne stukanie do drzwi dało się słyszeć: — niedługo południe.

— O! dzień dobry — wykrzyknął pułkownik, jakby budząc się — stawię się natychmiast na twoje rozkazy, kochany mój bracie.

— Dzień dobry, Lawinio, jak twoje zdrowie?

Młoda kobieta odpowiedziała, ale tak niewyraźnie, że Rudolf chciał powtórzyć pytanie.

— Moja żona mówi że zdrowa i cieszy się z pogody jaką mieć będziemy na naszą podróż — odpowiedział Herman.

— Zaraz wracam po was; śpieszcie się.

— Dobrze — rzekł pułkownik, i rzucając ironiczne spojrzenie na swą żonę — czy obecnie mogę wycofać się ztąd? zapytał: tym sposobem oszczędzę ci zakłopotania usuwając się przez czas twego ubierania się.

— O! mało mi na tém zależy — rzekła Lawinia, siadając przed toaletą. Zrzuciła mały czepeczek koronkowy,

jedyną oznakę lekkiego spoczynku, i zaczęła rozpinać swe piękne warkocze, które wkrótce zsunęły się na posadzkę, w bujnych i przepysznym splotach. Pułkownik wpatrywał się w nią milczący i roztargniony. Smutne przejście i niepokojące myśli przedwcześnie sprowadziły bladłość na lica młodej kobiety i przyćmiły blask jęj gorejącej żrenicy. Grzebień przebiegał jak strzała po szerokiej przestrzeni tych jedwabnych zwojów, a pułkownik olśniony, oczarowany śledził harmonijne ruchy Lawinii; i tak był upojony urokiem piękna, że nie słyszał powtórnego wezwania Rudolfa.

— Rudolf czeka — rzekła Lawinia, obróciwszy wzrok ku drzwiom.

— Idę zaraz! ale ponieważ zapewne pierwszy i ostatni raz mam zaszczyt towarzyszyć twojej toalecie, nie pozazdrościsz mi tych kilku chwil; na mą duszę, nigdy nie widziałem podobnych warkoczy! Ale do widzenia, a jak będziesz gotową do podróży, pojedziemy.

— Niedługo zejść do was.

W godzinę potęm, Lawinia siedziała przy stole, tak świeża, tak swobodna, że Rudolf i Julia nie mogli oderwać od nięj swego zdziwionego wzroku. Oblicze jęj piękne i spokojne jakże różniło się od posępnęj twarzy dnia ubiegłego.

Któż mógłby zrozumieć jakiej zmianie uległo w ciągu dnia jednego przeznaczenie tęj kobiety? Czuła siebie wolną, i nie potrzebowała już obawiać się pieśszcot człowieka, dla którego serce jęj było zimnem. W oczach świata, będzie ona jego żoną, a w obec jego pozostanie panią siebie; nie poniżyła duszy swęj nikczemnęm milczeniem, a za rok będzie uwolnioną nawet od jego obecności; za rok, uniknąwszy nagany świata, będzie wolną od wszelkiego przymusu: jakie to szczęście dla nięj ta wolność pozwolona! Ale przez myśl tego szczęścia, nie zapomni ona obecnych obowiązków; będzie cierpliwą i troskliwą matką córek pułkownika, zacną i przewidującą gospodynią, a nawet o ile będzie można uprzejmą dla Hermana towarzyszką. Wprawdzie, jeżeli opinia publiczna nie myliła się z rzeczywistością, obowiązki te będą dla nięj łatwe do spełnienia, i nie będzie potrzebowała zaniedbywać miłych zajęć muzyką i rysunkiem, bo on przepędzał w lasach, na polowaniu i z ulubionemi sobie psami cały czas

który mu pozostawał wolny od służby wojskowej i zajmowaniu się gospodarstwem w jego posiadłościach.

Takie były myśli Lawinii.

— A więc do przyszłej wiosny, moi przyjaciele — rzekł pułkownik stojąc i spełniając jednym łukiem strzemienne.

— Ale przedtém, spodziewam się — wyrzekł Rudolf — że przyjedziecie przepędzić z nami Święta Bożego Narodzenia?

— Nie mogę! W dniu takim córki moje powinny widzieć mnie obok siebie. Ale nie stawię żadnych przeszkód żądaniu Lawinii, jeżeli będzie chciała.....

— Niepowinnam, przerwała młoda kobieta patrząc z miłym uśmiechem na swego męża — nie sądzę bowiem żeby przysłało matce rodziny wydać się samą. Tak więc, albo wszyscy przyjedziemy, albo żadne z nas nie ukaże się.

— Do wiosny więc — rzekł Rudolf, a widząc że pułkownik wychodził i że Julia pozostawiła Lawinię samą, ażeby mu dać sposobność pomówienia z siostrą, przybliżył się do niej.

— Lawinio — rzekł z wzruszeniem — siostro moja ukochana, jeżeli nie towarzyszy ci do domu męża twego, ani błogosławieństwo matki, ani serdeczne życzenia ojca, to przynajmniej nie zabraknie w życiu twojem najgorętszych o twą pomyślność modłów brata, najgłębszych jego pragnień niezmiennego twego szczęścia. O! Lawinio! czy mogę być spokojnym?

— Najzupełniej, mój bracie; wybór mój był wolny, a z człowiekiem jak Herman, u którego uczucia honoru tak głęboko są wkorzenione, kobieta musi być zawsze pewną spokoju.

— O! to za mało — wyrzekł Rudolf — dla ciebie pragnąłbym więcej, o wiele więcej, ja co jestem tak szczęśliwy!

— A ja Rudolfie, sądzę że posiadam warunki szczęścia przynajmniej o tyle pewne, jak te któremi ty możesz się chlubić. Dałby Bóg, i mówię to z głębi mego serca, żebyś ty nigdy nie był mniej szczęśliwym jak ja nią będę.

— O! jeżeli tak jest w istocie, to muszę wierzyć że twoje szczęście jest zupełnem, wyższém niżeli sama je uznajesz, i pozostaje już bez obawy o twą przyszłość.

Lawinia śledziła z niepokojem i rzewną czułością spojrzenie brata swego.

— Rudolfie — rzekła poważnie — w tej godzinie rozłączenia, nie chciałabym żeby moje słowa zawierały cię z zazdrości, mówię do ciebie z szczerego przywiązania, wolna od wszelkiego innego uczucia: ty jesteś zbyt uległy Julii.

— Uległy!

— Tak jest, i lękam się żebyś kiedy nie żałował tego. Ona jest dobrą, kochającą, ujmującą powierzchowności, ale jest to dziecko kapryśne i samowolne, i ażeby ją widzieć zawsze równie powabną, należałoby może więcej uczynić poświęceń, niżeli byłbyś do nich zdolny. Ta moja rozmowa, wiele mi sprawia przykrości, ale gdybym nawet przez nią miała osłabić twe dla mnie przywiązanie, szczerose w tym przedmiocie była konieczną.

— A dla mnie, droga Lawinio, bolesnem jest w chwili kiedy moje serce przepełnione jest miłością i troskliwością widzieć je przez ciebie zaniepokojonem. Dla czego nie możesz kochać Julii? Gdyby nawet była dzieckiem kapryśnem, jest jak sama przyznajesz, stworzeniem powabnem, i wierzaj mi, ona jest tak łagodną, tak zgodną, tak do mnie przywiązaną, że rozsądkiem zrobię z niej wszystko czego zapragnę.

— Dałby Bóg żebyś nieustannie kierował nią rozsądkiem, i żeby ona zawsze była godną twój miłości i twego szlachetnego zaufania. Może też macierzyństwo rozwinie w niej uczucia dotąd dla niej obce, poświęcenia i odpowiedzialności

— O! jestem tego pewny. Ale słyszę nadchodzącego twego męża. Szacuję go i sędzę że słodki wpływ kobiety kochającej zmieni jego usposobienie. Bądź taką dla niego. Żegnam cię!

Te słowa zdziwiły Lawinią, ale przybycie pułkownika oszczędziło jej odpowiedzi.

W kilka chwil potem, powóz unoszący młodych małżonków zniknął w kurzawie, podniesionej szybkim biegiem koni.

V.

Lawinia miała zaledwie lat 17, kiedy utraciła matkę którą tkliwie kochała. Boleść wywołana jej śmiercią głę-

boko wzruszyła serce Lawinii; ojciec jęj oddawna nie żył, i z całego rodzeństwa ona tylko pozostała z bratem, którego nauki zatrzymywały natenczas zdala od nięj, i nie mógł zapewnić jęj przyszłości. Lawinia więc była przymuszoną przyjąć zaproszenie sędziwęj ciotki, a jęj samotne życie wydało się powabném dla smutku młodej dziewczicy. Tryb życia pani Schomberg zgodny był ze stanem jęj serca tak ciężko ranionego, bo z wyjątkiem kilku starych panien, które przychodziły na herbatę, i kilku męczyzn podeszłego wieku, należących do gry w rumla, nikt domu tego nie odwiedzał. Lawinii nie brakło przyjaciół, pragnących przyjmować ją u siebie; piękna, z staranném wychowaniem, szlachetna, wszystkich zyskała serca, i obecność jęj była pożądaną.

W obszernym i bogatym domu, w którym Lawinia miała zamieszkać, wszystko, było zimne, ponure i bezludne jak w wielkim grobie. Pani Shomberg w wieku podeszłym, żyła tam otoczona swemi ulubieńcami, to jest starą papugą, starą gospodynią, starym kotem i starym pudlem. Lawinia jedna tylko była młodą wśród tego wielkiego muzeum starożytności, i ażeby nie doznała nudów, dobra ciotka obdarzyła ją zaraz w pierwszym tygodniu pieskiem białym najpiękniejszym, jakiego można sobie wyobrazić, parą kanarków i dwiema złotemi rybkami. Miała ona przekonanie, że ci mali towarzysze sprawią Lawinii wielką przyjemność i zajęcie, i nigdy nie dozna znudzenia.

Lawinia była wdzięczną za te dowody współczucia i przywiązała się do swęj ciotki z całém gorącym serca, które stworzone aby kochać, nagle znalazło się pozbawione wszystkich rozkoszy, odłączone od wszystkich wrażeń, o jakich dusza z tęsknotą marzy. Ale zajęcie jakiego jęj dostarczyła przewidująca i roztropna ciotka, kilka tylko chwil czasu zajmowało, a pozostałe godziny wlekły się dla nięj z dokuczliwą powolnością. Sama boleść nie wystarcza na zapełnienie życia, a jakkolwiek głęboko, zawsze jeszcze pozostawia w sercu które opanuje miejsce, na nudotę i pragnienie. Lawinia doznała tego, mimo ulotnych roztargnień jakich jęj mogła dostarczyć korespondencya z bratem.

— Obawiam się, moje dziecko, żeby czas nie wydawał ci się zbyt długim—powtarzała niezmiennie co wieczór stara ciotka, w chwili kiedy jęj codzienni goście opuszczali ją,

a widziała tylko Lawinię, w framudze okna, z robotką w ręku, patrzącą przed siebie wzrokiem niepewnym.

— Może, droga ciotko — opowiedziała jednego dnia młoda dziewczica — może uczuję wkrótce potrzebę zobaczenia kilku osób równego ze mną wieku?

— A dla czegoż nie zaprosisz ich, jeżeli twoje serce pragnie tego? Przyjmij w twoim pokoju, jak ja przyjmuję w moim, stwórz u siebie małe kółko, byle nie było zbyt gwarne; wybuchy śmiechu, śpiewy i głośne rozmowy, są to moi najwięksi nieprzyjaciele.

Niedosyć ośmielona tém upoważnieniem, Lawinia starała się jednak zwabić do siebie kilka młodych dziewczynek, ale ponieważ nie było w tém gronie ani jednego młodego mężczyzny, mały klub prędko został rozerwany, i Lawinia pozostała samą.

— Trzeba, rzekła do siebie Lawinia, ażebym wymknęła się tej nudocie jaka mną ogarnia; czuję bowiem, że miałyby ona straszny wpływ na mój charakter. Kiedy smutek zamienia się w znudzenie, traci swoją cechę czystą i wzniosłą; boleść jest uczuciem zbyt szlachetnem, ażeby mu dozwolili przemienić się w zgnuśniąłą niemoc, która wygładza w duszy to, co jest w niej najpełniejszym życia i myśli.

Nazajutrz rano, w chwili kiedy Lawinia zamierzała uwiadomić ciotkę o swych projektach, ta z wielkiem jej zdziwieniem oznajmiła o postanowieniu zabawienia kilka tygodni u wód licznie zwiedzanych, i w 8 dni pani Shomberg wyjechała z Lawinią i domowemi faworytami. Od dziesięciu lat nie opuszczała swego domu, i nigdy nie byłaby uczyniła tego poświęcenia, gdyby nie miłość dla Lawinii, i chęć oderwania ją od nudów; Lawinia też rzeczywiście znalazła tam rozrywkę.

Po raz pierwszy uczuła przywileje piękności: wszędzie gdzie się ukazała, obudzała uwielbienie, i szczere hołdy były jej składane. Wielu oświadczyło się o jej rękę, ale wszystkimi odmówiła, bo pomiędzy świetnemi korzyściami jakie jej partye te przedstawiały, nie znalazła tej jedynej jaką ceniła: serca podobnego jej sercu.

— Uczyniłam dla niej wszystko co było moją powinnością i co mi sumienie nakazywało — mówiła z rezygnacją stara ciotka do swoich zwykłych gości, którzy przybiegli pier-

wszego wieczora jęj powrotu, ale niepodobna zadowolnić ją; niech się więc cobądź stanie, a czy pójdzie za mąż czy przez całe życie zostanie starą panną, umyвам sobie ręce od wszystkiego.

Lawinia nie poszła za mąż, ale nie wróciła do dawnych zwyczajów; nabyła ona nad panią Shomberg pewnej władzy której używała zawsze z najwyższém i najtkliwszém uszanowaniem, ale która czyniła ją wolną w urzędzeniu trybu życia podług jęj upodobania i potrzeb. Często udzielała się światu, i nawet otrzymała od ciotki pozwolenie przyjmowania u siebie; tak więc powoli nabrał życia „grób Shomberga” nazwa dawno już nadana temu ponuremu domowi. Za nadejściem zimy ukazała się nowa liczba ubiegających się o rękę Lawinii, bo majątek staręj ciotki dodawał jeszcze wartości wdziękowi i zaletom młodej dziewczicy; ale ona zdawała się stałe mieć postanowienie niewyjścia za mąż, i nowe oświadczenia sprowadzały tylko nowe z jęj strony odmowy. Taki był stan rzeczy, kiedy przyjmując zwykłą wizytę swego doktora, który za znaczne honorarium jakie mu udzielała p. Shomberg, przynosił jęj nowinki o wszystkim co się działo w mieście a nawet i po za jego murami, dowiedziała się, że młody baron ciężko chory, miał przybyć do tego miasta dla chwilowego odpoczynku i zdrowszego powietrza, i doktor który go leczył, odebrał od niego list z prośbą o wyszukanie mu małego mieszkania na ustroniu, któreby mogło odpowiedzieć potrzebom jego nadwreżonego zdrowia, i wszystkim kaprysom mizantropijnego umysłu.

— Zapewne znajdzie się wiele osób które będą chciały zadowolnić jego życzenia—rzekła pani Shomberg—daleka od myśli że doktor miał zamiar umieszczenia u nięj swego chorego.

— Bez wątpienia—odpowiedział—takich nie zabraknie; ale mało osób czuwałoby nad utrzymaniem spokoju, tyle mu potrzebnego. I rzeczywiście nie widzę żadnego schronienia któreby mu przystało, z wyjątkiem jeżeli pani przez dobroć, litość i miłość bliźniego, pozwoli mu przebywać w swoim domu. Byłby to bardzo cichy mieszkanić, z służącym żyliby jak duchy; wreszcie, lewe skrzydło domu jest tak odosobnione od pani mieszkania, że nie widzę żadnej nieprzyzwoitości w umieszczeniu tu mego chorego.

— Ale i ja żadnej w tém nie widzę — odpowiedziała pani Shomberg, która z szczególniejszém pobłażaniem była dla swego doktora. Nie miałam nigdy u siebie lokatora, ale ponieważ dom mój jest jedynym jaki przystoi twemu pacjentowi, będziemy starać się porozumieć, i wzajemnie, nie być sobie na przeszkodzie.

— Dzięki ci droga pani — wykrzyknął doktor, uradowany z przyprowadzenia do skutku swego planu — a więc rzecz już ukończona.

W piętnaście dni potém, błądy podróżny przybył osiedlić się w spokojném zaciszu, i w domu p. Shomberg nic nie uległo zmianie; chory żył jak duch, wedle wyrażenia doktora, 8 dni upłynęło a niewidziano go nawet wychodzącego z zajmowanych pokoi.

Raz jednak w godzinie po południowej, służący barona przybył z zapytaniem czy będzie przyjętym; i w kilka chwil później, młody nieznajomy wszedł do salonu. Czoło wydatne, rysy twarzy regularne, a wyraz oczu myślący i smętny, czyniły go zajmującym. Ruchy pełne wdzięku zachowały pewien rodzaj nieśmiałości niemal dziecinnej; tłumaczył się że pragnienie samotności nie tyle było skutkiem stanu zdrowia, które lubo osłabione, nie zmuszało go jednak do zupełnego odosobnienia się, ile z niewymownej potrzeby swobody i wolności, mianowicie wolnego wyboru znajomości.

Po pierwszych krótkich odwiedzinach dosyć długa przerwa upłynęła, poczem widziano go zwykle trzy razy w tygodniu i częściej, a wreszcie przychodził codziennie. O godzinie 3-jej służący meldował jego przybycie; Lawinia i jej ciotka z początku oczekiwały go, później były już pewne tych odwiedzin, i uśmiechały się kiedy ich spojrzenia spotykały przy zegarze bliskim wskazania godziny, jaka im sprowadzała pożądanego gościa. Baron nie wychodził nigdy wieczorem; „nie trzeba udzielać światu godzin, które są nam najmiłsze” miał zwyczaj powtarzać. Lawinia więc nie spotykała go w żadnym z tych świetnych zgromadzeń na jakie uczęszczała; ale codziennie przed wieczorem widywała go przez godzin kilka, i w chwili kiedy schodził ażeby odbyć zwykłą konną przejażdżkę.

Dobroczyńne powietrze czy też przepisy doktora lub może jakie inne skuteczniejsze lekarstwo, zdawało się od-

działać szczęśliwie na wątłe zdrowie młodego barona i wkrótce zaczął odwiedzać swoje sąsiadki tak dobrze rano jak po południu. Ale pomimo całej życzliwości pani Shomberg dla jej uprzejmego gościa, nie mogła zmienić swego przyzwyczajenia do pozostawiania w łóżku aż do godziny południowej, Lawinia i baron mieli częstą sposobność pozostawiania sam na sam.

Ponieważ zobowiązanie Lawinii i Ludwika nie jest już tajemnicą dla naszych czytelników, nie będziemy rozszerzać się nad stosunkami coraz ściślej się ich łączący. Baron był młody, ale jeszcze nie kochał; miał serce łatwe do wzruszeń, piękność szybko obudzała w nim tkliwe uczucia. Powierzchowność jego szlachetna, pewna powaga, dźwięczny organ mowy, nawet ta pozorna nieśmiałość i chorobliwość przedstawiały go tak ujmującym, że trudno było oprzeć się sile jego uroku, mianowicie dla tak młodej dziewczycy jak Lawinia.

Wkrótce i młodego barona dla niej uczucia nie były dla nikogo tajemnicą. Lawinia nie była wszakże kobietą która ustępuje pierwszemu wzruszeniu serca, starała się je uspokoić i ukryć w duszy, ażeby dobrze i poważnie osądzić ważność uczucia, zanim odda mu się całą myślą. Ale jeżeli młoda dziewczica potrafiła ukryć walkę swego serca, Ludwik posiadał tę naturę której siła ujmowania i powabu jest tak nieprzewyciężona, że odbiera tym na których działa całą swobodę badania i rozważa. Kiedy opowiadał porywającym tonem o swém życiu smutném i jego próżni, nieopromienioném żadną nadzieją; kiedy mówił z zapalem te słowa „samotny, tak jak byłem nim zawsze na tym świecie od mego urodzenia, czułem nieskończone pragnienie miłości, i wiem że twoja zapełniłaby całe życie moje, niszcząc goryczych wspomnień; tak jest miłość ta, podniosłaby mnie do takiej wysokości, że śmierć zamieniłaby tylko w życie błogosławione to życie już obok ciebie niebiańskie.” natenczas Lawinia czuła się pomieszaną i wzruszoną; rozsądek ją opuścił, i w końcu wyznała mu wzajemną miłość.

Nadszedł wreszcie dzień ich zaręczyn. Zdrowie Ludwika wzmacniało się codziennie, powtarzył też on bezustannie z wzrokiem zatopionym w piękne oblicze swój narzeczonej:

— Widzisz luba moja, jak przewidziałem że twoja miłość będzie dla mnie życiem.

— A twoja—odpowiadała ona głosem, którego rzewność odkrywało wzruszenie jęj duszy—jedynie twoja, ukazała mi wartość życia.

Tymczasem miłość barona Ludwika de Leuhenthal, która przez długi czas była przedmiotem wszystkich rozmów w mieście, przeszła wkrótce w szereg starych nowin, i cała uwaga publiczna zwróconą została na Rudolfa, który przywołany na ważne stanowisko, świetnie rozpoczął pierwszy swój wstęp w świat wyższy.

— Zabiorą mi wkrótce twoje serce—mówiła często Lawinia śledząc zachwycone wejrzenia jakie zewsząd rzucano na młodego radcę.

— Zdaje mi się że to już nastąpiło, ofiara została spełniona—odpowiedział jęj dnia jednego—czuję się szalenie zakochanym, i należę sercem i duszą do tęg która mi rzuciła zdradziecką strzałę.

Lawinia zadrzała na to zwierzenie brata swego, bo znała go jako jednego z tych których miłość zaślepia, i obawiała się usłyszeć imię od niejakiego czasu często zestawiane obok imienia młodego człowieka.

— Rudolffie, powiedz mi jęj imię?—wyrzekła niespokojnie.

— Prześliczna, pełna dziecięcęj prostoty, czarująca Julia.

— O Boże—wykrzyknęła Lawinia—Rudolffie, jeżeli nie uczyniłeś dotąd stanowczego kroku, wstrzymaj się jeszcze: nie lubię ani swobody nierozważnęg, ani kokieteryi tęg młodej osoby; jęj niedorzeczności przestraszają mnie, bo lubo za wiele lat liczy na dziecko, jest niēm jednak, i to samowładnēm i zepsutēm dzieckiem.

— Ale jest jedyną jaką kocham, i którą pragnę pojąć za żonę—odpowiedział Rudolf stanowczo.

Nie czekając długo, w kilka tygodni obchodził z Julią zaręczyny. Zbliżał się także i czas ślubu Lawinii; baron zagniony jechać do wód dla dokończenia kuracyi, postanowił wrócić w końcu sierpnia, i natenczas ślub jego miał się odbyć. Ludwik prosił usilnie Lawinią i jęj ciotkę żeby mu towarzyszyły, ale ponieważ p. Shomberg oświadczyła że

żaden powód nie skłoniłby ją powtórnie opuszczać ulubione mieszkanie, młody baron sam udał się w podróż. Sześć tygodni są w rzeczywistości krótkim przeciągiem czasu, ale zbyt długim dla osoby rozłączonej z drogim sercu przedmiotem, i Lawinia która liczyła każdy dzień i godzinę, czuła opuszczając ją odwagę, kiedy w końcu sześciu tygodni, list Ludwika oznajmiał jej że stan jego zdrowia, zamiast polepszenia, tak się pogorszył, że niezdolny znieść trudów długiej podróży, będzie zmuszony przedłużyć ją przerwami i odpoczynkiem, co zapewne opóźni jego powrót aż do października. Rudolf byłby pojechał na przeciw niego, gdyby list barona zawierał choć najmniejszą skazówkę drogi jaką miał się udać, ale nie dawał on żadnych objaśnień i pisał tylko że listy przesyłane do wód tam go nie znajdują.

Piętnasty września przeszedł, poczem i ostatnie dni miesiąca, a Ludwik nie wracał. Nakoniec pierwszych dni października zapowiedział swe przybycie. Lawinia wybiegła naprzeciw niego, ale ujrzawszy go, cofnęła się i serce jej bić przestało. Czyż to ów młody blady człowiek, który zaledwie trzymał się na nogach, i którego dusza równie jak ciało zdawała się być cierpiącą, był ten sam niedawno tak piękny baron de Leuhenthal?

O ślubie nie było już mowy: Ludwik także nie wspominał o nim. Straszliwie zmieniony w powierzchowności swój i w obejściu. Lawinia zaledwie go poznawała, a kiedy próbowała ożywić tę cierpiącą istotę słowami nadziei i miłości, kiedy starała się spojrzeniem i tkliwymi wyrażeniami udzielić mu życia, potrząsał głową mówiąc ze smutkiem: „przestań, o przestań Lawinio, ja nie zasłużyłem na tyle szczęścia; śmierć bliska: oto moja jedyna nadzieja.” Boleść Lawinii była głęboka, bo widziała że pragnie śmierci, że odrzucał nawet nadzieję życia, i myśl o ich związku w miejsce ulgi, zwiększała ciężar jaki tłoczył jego serce, a jednak często powtarzał: „Gdyby Bóg był już nas dawno połączył, o ileż śmierć wydałaby mi się piękniejszą i słodsza.” Te słowa wyrzywały mu się jakby jaki wyrzut sumienia, bo gdyby był rzeczywiście pragnął ażeby Lawinia doglądała go i opłakiwała jak męża, gdyby tém złagodzone było jego konanie, byłaby ona bez wahania się i żalu oddała swą rękę umierającemu, ale odrzucał to poświęcenie. Gdyby Ludwik

był ubogim, Lawinia byłaby pierwsza objawiła życzenie tego związku w owiej grobowej chwili, i obrzędkiem ślubnym poprzedziła straszne chwile skonu; ale obawa ażeby fałszywie nie osądzono tej szlachetnej ofiary wstrzymywała ją, i tak schodziły dnie i tygodnie. Dwa miesiące upłynęły, a żadne słowo któreby mogło zmienić ich dziwne położenie nie zostało wyrzeczoném. Nigdy kobieta cierpliwszą, z gorliwością nigdy niezmordowaną, nie pielęgnowała człowieka którego imię nosiła, jak to czyniła Lawinia dla swego narzeczonego a spojrzenia jego były jedyną nagrodą za całe jej poświęcenie i zupełną abnegacyą. Dnie spędzała na staraniach, zachęceniach i uśmiechach, a noce na czuwaniu i żałosnych łkaniach.

— Boleść zabije ją — mówili jej przyjaciele.

A jednak przeżyła ją!

Po świętach Bożego Narodzenia przyszła chwila wielkiej próby, którą Lawinia oddawna przewidywała, nie mogąc jednak przygotować się do niej, i nieszczęście znalazło ją bez odwagi tak jak bez siły. W wigilią swjej śmierci, Ludwik wiedział że nie policzy już wszystkich godzin dnia następnego. Żądał aby wszyscy co go otaczali, zostawili go na chwilę samego z jego narzeczoną, a kiedy odeszli, z głową opartą na ramieniu młodej dziewicy, przyłożył usta do ręki którą mu na jego prośby podała, i przemówił z wzruszeniem:

— O! Lawinio, jam niegodny twjej miłości.

— Ludwiku — rzekła boleśnie — nie mów tak; nikt więcej na nią nie zasłużył od ciebie, którego cierpliwość była tak wielką, że jakaś słodycz nawet łączyła się do tych chwil niewysłowionej goryczy, i jeszcze raz powtórzę, że pragnę całą wielkością méj dla ciebie miłości, ażeby śmierć połączyła mnie z tobą, jeżeli nie możemy być złączeni w życiu.

— Lawinio, Lawinio, ty się zawiodłaś na mnie! O boleści wyższa nad wszystkie inne! ty wywiedziona będziesz z błędu, nie teraz, nie dzisiaj, ale ta straszna chwila wkrótce nadejdzie; przyrzeknij mi droga moja, spełnić ostatnią moją prośbę. Nie czytaj listu który znajdziesz w mojem biurku, aż dopiero w dzień mego pogrzebu; ale nie chcę go teraz widzieć w twym ręku.

Przytłoczona boleścią Lawinia wzięła machinalnie list ten i wyrzekła żądane przyrzeczenie, a Ludwik przeraźliwym tonem wykrzyknął patrząc na nią:

— Nie czujesz jak twoje serce oziębia się już dla mnie? O jeszcze nie Lawinio, jeszcze nie! zaczekaj chwilę, niech nie lodowacieje pierwój aż moje zastygnie pod zimnym i wilgotnym piaskiem grobu.

Na te słowa Lawinia zapomniała o wszystkiem; Ludwik był jedyną jej myślą i jedyną miłością; stwierdziła to przysięgą w chwili nawet kiedy on już ostygł, z jej objęć wyrwany został.

W dwa dni później, śnieg styczniowy pokrył białym całunem pogrzebane ciało barona Leuhenthal, a Lawinia jakby wychodząc ze stanu długiego szaleństwa, przygotowywała się do spełnienia ostatniej woli Ludwika. Uchwyciła list, długo nań patrzyła, do ust przycisnęła, i zaniósła w niebo gorącą prośbę ażeby list ten jeszcze zamknięty nie zawierał nic coby powiększyło jej boleść. Kiedy pieczęć została zerwaną, łyż napełniające jej oczy rozciągnęły między nią a pismem tak gęstą chmurę, że wyrazy zaledwie dawały się odróżniać; po mału jednak zasłona ta rozjaśniła się, oko jej oschło ażeby zaiskrzyć uczuciem zupełnie nowem; a gdy skończyła, wyprostowała się: powiedziećby można że dusza jej nagle przeczyła żałobie jaka ją okrywała, i że miłość przed chwilą wyłana w strasznych łkaniach, ta miłość zamarła dla niej wraz z oblubieńcem. Od tego wieczora usta jej nie wymówiły imienia Ludwika. Wróciła ona do codziennych zajęć, i jakkolwiek bolesną była ta walka, odbyła ją z siłą woli, którą postanowiła zwyciężyć boleść, a nawet zniszczyć jej pamięć.

W trzy miesiące po śmierci Ludwika utraciła ciotkę. Lawinia była jedyną jej spadkobierczynią, w czem nie widziała dla siebie korzyści, bo obecne położenie odejmowało jej swobodę, i zmuszało ją wejść w dom brata, szczęśliwego małżonka Julii. Rudolf obiecywał sobie widzieć szczęście swe podwojone obecnością siostry, ale stało się inaczej. Lawinia była zbyt poważna, zbyt zamyślona, jednem słowem nie stosowną towarzyszką dla swój bratowej, która nie umiała rozmawiać jak tylko o modach, balach, teatrze i miłości, ale takiej jaką Julia rozumiała, objawiającej się jedynie załotami i mało znaczącymi grzecznościami. Z takim charakterem, Julia nie mogła sympatyzować z Lawinią, która więcéj jak kiedykolwiek oddalona od wszystkich czczości światowych, tylko w poważném przywiązaniu dla Rudolfa znajdo-

wała pociechę, a rozrywki szukała w nauce, lub rozmowie z kilku wybranemi umysłami. Rudolf z naturą szczerą, otwartą i czułą, w drażliwém był położeniu; bo jeżeli był bardziej uważający na Lawinią, Julia okazywała jawnie swą zazdrość; jeżeli dla uspokojenia jęj, podwajał swą dla nięj pobłażliwość i starania, w milczeniu Lawinii znajdował dla siebie naganę i pomimo wszystkich usiłowań i tkliwych uczuć, nie widział w domu tęg swobody i wesołości jakieg się spodziewał.

W owęj to chwili, gdzie Lawinia czuła się jakby niepotrzebnym gościem u brata, a jednak nie śmiała opuścić go, i w chwili gdzie dusza jęj zwycięzka w odbytej walce pragnęła nowych obowiązków, więćj działalności, a nade wszystko opuszczenia tęg siedziby zazdrości i sprzeczek, w tęg to chwili przedstawił się jęj pułkownik. Lawinia znała go już z widzenia i opinii, wiedziała że jest delikatnym i posuwającym aż do zbytku cześć dla honoru: i miłości żądać nie mógł wzajemnej. To tęg kiedy prosił o jęj rękę, uważała ten związek jako odpowiadający lepiej jak każdy inny rzeczywistym potrzebom jęj duszy. Wiedziała że jego pierwsze ożenienie było nieszczęśliwe, bo w małżeństwie, brak szczęścia, jest nieszczęściem; ale Lawinia spodziewała się udzielić i otrzymać jedyne szczęście, jakiego oboje pragnęli, i kiedy przyrzekła spełniać obowiązki żony i matki, nie myślała kiedykolwiek cofnąć się przed niemi. Im więćj jednak zbliżała się chwila związku, tęg mocniej przerażała się temi obowiązkami, a zimna powaga Hermana oziębiała jęj postanowienia. Okazywał on dla nięj wprawdzie względy i uszanowanie, ale nie obdarzał ją tą tkliwością, która byłaby nadała prawdziwą wartość tym względom. Ponieważ jednak postanowienie zostało uczynione, i krok stanowczo przedsięwzięty, Lawinia która zawsze okazywała zbyt wiele powolności na opinią publiczną, nie miała odwagi zerwania ułożonego związku. Mówiła do siebie że zgodzi się z nowem położeniem, że znieść je potrafi, że lepiej poznawszy Hermana, więćj go kochać będzie. Wreszcie nadszedł dzień jęj ślubu, który jak widzieliśmy zmienił jęj zdanie i jednocześnie postanowienie; pomimo tego wiedząc co było prawdziwem dobrem, Lawinia nie cofała się przed spełnieniem swęj powinności. Tak więc, z myślą rozvodu, nowożeńcy byli swobodniejszymi

i życie wydało im się łatwiejsze, aniżeli gdyby związek swój uważali za nierozzerwany.

VI.

— Okolica ta musi być przepyszną w czasie lata, bo nawet w tój porze tak spóźnionej, jest czarującą — wyrzekła Lawinia, wychylając się z powozu.

— Pochlebia mi bardzo, że dzielasz choć w czemkolwiek moje upodobanie — odpowiedział pułkownik — bo nie ma miejsca na ziemi którebym więcej lubił jak tę okolicę. Te wierzchowiny skał przyrodziane w cedry i jodły, podnoszą zawsze moją wyobraźnię: burzliwy szmer tego potoku przerażał niegdyś moją dziecinną duszę zabobonną trwogą, a te łąki i lasy, między któremi Rosenberg kryje się przed najciekawszym wzrokiem obudzają we mnie myśli, co w dniach mego wygnania były mi tysiąc razy milsze od najwytworniejszego towarzystwa.

A więc on ma serce, i skłonny jest do uczuć, więc nie na wszystkie wrażenia pozostaje głazem, pomyślała Lawinia; ale poprzestała na słowach wyrzeczonych obojętnym tonem:

— Szczęśliwi, którym miejsce ich urodzenia jest drogiem!

— Ażeby być szczerą, przyznaj że wolałabyś gdybym mniej sobie w niem upodobał.

— A to dlaczego? nie rozumiem ciebie.

— Bo zdaje mi się, że w stosunkach w jakich pozostajemy, żona nie pragnie by dom jój był miejscem ulubionem jój męża...

— Hermanie — wyrzekła młoda kobieta przerywając mu — zapomnij słów mych wyrzeczonych w dniu wczorajszym, i nie wracajmy do przeszłości; nie mogę mieć niechęci do człowieka którego dobrowolnie wybrałam, mianowicie wiedząc...

— Że związek który cię z nim łączy, rok tylko trwać będzie.

— Żle mnie zrozumiałeś, chciałam powiedzieć: mianowicie wiedząc że przypisując ci charakter cierpki i egoistyczny, rzucono tylko potwarz.

— Cóż ci podało myśl podobną? czy charakter mój wystawiałaś na jakie próby?

— Wielokrotnie nawet, i temu zawdzięczam sąd mój jaki w téj chwili objawiłam. Uważam ciebie Hermanie nieugiętym przez zasadę ale nie przez egoizm, a ponieważ jestem przekonana że te zasady są wpojone przez żywe uczucie honoru, stoję przed tobą bez obawy.

Usta pułkownika roztworzyły się jakby do uśmiechu, ale zamilczał, a Lawinia kończyła z zapałem:

— Zniewagą byłoby dla mnie posądzanie że przyjąłam twe imię i twą opiekę utrzymując występłą myśl obrzydzenia ci twego domu. Daleką jestem od niéj: wszystko co mogłabym uczynić ażeby podnieść w oczach twoich wartość twego domu, przedstawić ci go przyjemniejszym, a tém samém uczynić ci go droższym, nie zaniedbam spełniać tak długo jak w nim pozostanę.

— Jakie uroczę żarty! — wyrzekł pułkownik; poczem dodał tonem gorzko ironicznym: — ale czemuż nie miałbym się cieszyć z tego usposobienia? Iluż ludzi czuje się szczęśliwymi, nie ze skarbu jaki posiadają, ale wiedząc że on w drugich wzbudza zazdrość! Mało im nawet zależy że skarb ten jest tylko pożyczonym, jeżeli się nim przyozdabiają i chlubią. Dlaczegoż nie miałbym ich naśladować? Prawdę mówiąc, nędzne to szczęście! nie może ono zapełnić życia człowieka, i o wiele uważam szczęśliwszym tego, kto lubo mało posiada, czuje się prawdziwym właścicielem swego dobra, cieszy się niém, bo wie że ono jest częścią jego serca i życia... ale, w braku jednego bierze się drugie; każdy musi przyjąć los jaki nań padnie! i ja na mój nie narzekam, lubo wolałbym posiadać inny.

Na ten niespodziewany wybuch burzliwych i tak przeciwnych sobie uczuć Lawinia pobladała. Co miała czynić? jak miała zachować się względem człowieka którego wszystko raniło? Czy miała pozostawić bez odpowiedzi te gorzkie wyrażenie? czy to nie będzie zdawać się dowodem lekkości która nigdy nie była w jéj charakterze? Czy należało wytłumaczyć się i usprawiedliwić? Duma jéj sprzeciwiała się temu. Miałaż się przedstawić smutną, zaniepokojoną i obrażoną, jak nią była rzeczywiście? Nie byłoby to nadawać wielką ważność słowom, których nawet wspomnienie należało

zatrzyć w pamięci obojga? Usiłowała więc najpierw zapanaować nad sobą, a po kilku chwilach milczenia, wyrzekła głosem pewnym i silnym, ale którego dźwięk czysty i uroczy czynił jej mowę uroczystą i wzruszającą:

— Hermanie, ty masz żal do mnie; ale zaklinam cię nie wnoś tych nieprzyjaznych uczuć w dom w który wchodzimy, i złoś tutaj wszelką pamięć urazy i gniewu.

— Objedź naokoło kościoła — wyrzekł pułkownik do furmana, który jak zwykle kierował ku przepysznej cedrowej alei prowadzącej do zamku.

Lawinia nie umiała wytłumaczyć sobie powodu tego rozkazu. Szczyty murów Rosenborga dawały się już wśród drzew dostrzegać, a kościół był w kierunku przeciwnym. Czy Herman chciał tylko przedłużeniem podróży zyskać na czasie ażeby uspokoić się przed wejściem do domu? lub też nie zauważył jej prośby, a może nie chciał udzielić jej odpowiedzi? Przemówiła jeszcze słów kilka ale i te nie zwróciły jego uwagi i musiała wyznać sama przed sobą, że początek nie obiecywał nic dobrego. Tymczasem konie unosiły szybko powóz i podróżnych, i wkrótce znaleźli się przed kościołem, starożytną świątynią w stylu gotyckim, ocienioną stuletnimi dębami, których ponure wierchołki nadawały jeszcze posępniejszy charakter kaplicy mającej powierzchowność i tak już grobową.

— Zatrzymaj się! — wyrzekł pułkownik, i na to polecenie rozkazującym tonem wydane Lawinia zadrżała; nie wiedziała czego się ma spodziewać, i czego obawiać, ale niewytłumaczone postępowanie jej męża napełniało ją trwogą.

— Jeżeli pozwolisz pani, zwiedzimy razem grób mojej żony.

Lawinia wstała natychmiast, i jakkolwiek bolesne jej były te odwiedziny, nie mogła uniknąć ich, i nie stawiała żadnej przeszkody; pułkownik stanął przed stopniem powozu, podając ceremonialnie rękę; i weszli razem na cmentarz. Wiatr jesienny oderwał już był od gałązek kwiaty które przyszcinały groby; drzewa огоłocone z liści zasłaly niemi cmentarną ziemię; kilka złamanych krzyżów leżało zdala od miejsc gdzie spoczywali ci, których pamięć uwiecznić miały. Atmosfera była pochmurna, zimna, i zdawała się okrywać cały horyzont tak jak groby śmiertelną powłoką.

— W tém miejscu—rzekł pułkownik, zatrzymując się przed kratą żelazną okalającą grób bogato przybrany— w tém miejscu spoczywa moja biedna Karolina.

Lawinia oparła się o wspaniały filar tego grobu, patrząc boleśnie utkwionym wzrokiem w to łoże spoczynku matki dzieci, które ona obecnie winna uważać jak swoje, i im dłużej wpatrywała się, tém więcej serce jój było przygniecioném tysiącem myśli jakie w nie uderzały.

— Może zadziwia cię Lawinio—rzekł pułkownik tonem którego smutek zacierał gniew i gorycz—może zadziwia cię że zaprosiłem ciebie na bolesną pielgrzymkę, pierwój nim wprowadziłem do mieszkania jakie Karolina opuściła, aby przejść do tego ponurego i zimnego ustronia; ale wybrałem to miejsce jako najstosowniejsze do odkryć jakie mam przed tobą uczynić.

Lawinia podniosła głowę: mąż jój stał przed nią poważny i blady, jakby całą siłą zbierał ducha i myśli do téj uroczystej rozmowy, a wszelki ślad gniewu znikł z jego oblicza.

— Opinia publiczna przypisując mi charakter surowy i wymagający, nie pomyliła się Lawinio, ale jak ci w dzień ślubu naszego powiedziałem, mógłby on zmienić się; milczę o moich nadziejach. Nie one téż masz poznać, ale moją przeszłość! Może zbłądziłem mówiąc że nikt nie próbował pojąć mnie i zrozumieć: Karolina pragnęła tego, tak sędzę, ale w charakterach naszych za wiele było podobieństwa i zarazem różnicy. Ja sędzę że szczęście wyradza się prędzej ze skojarzenia dwóch charakterów zupełnie sobie przeciwnych a ściśle związanych i zjednoczonych przez miłość, przez głęboką miłość.

Zatrzymał się, poczem mówił dalej: —Po długich i ciężkich walkach doszedłem do zwalczenia choć w części wrodzonej gwałtowności mego charakteru, do zapanowania nad strasznymi wybuchami rozhukanéj natury; alełączony z kobietą która unosiła się kiedy ja się unosiłem, niecierpliwiła jak ja się niecierpliwiłem, a kiedy uspokajałem się, stawała się zimną jak marmur ażeby na nowo okazać swą porywczosć w chwili kiedy gniew mój wracał... Ale dosyć tego, zrozumiałaś mnie zapewne, i pojmujesz dla czego przez przeciąg dwóch lat opłakiwałem stratę téj kobiety tak mało przeze mnie kochanéj. Tu na tym grobie (głos jego dziwnie złago-

dnia!) tutaj, Lawinio, płakałem łzami żalu i wyrzutów, a boleść co powoli przegryza serce, przemogła jego gwałtowność.

Zamilkł, Lawinia nie śmiała podnieść oczu na niego, ani mu odpowiedzieć. Dźwięk jego głosu tak był przenikający, że serce młodej kobiety było nim silnie wzruszone, i mimowolne współczucie, nieprzewyciężona sympatya, zaczęła powstawać; ona go teraz rozumiała, rozumiała powierzchowną sprzeczność jego charakteru ze sposobem przedstawienia siebie; on także przebywał straszne walki, jego także pogłębiła boleść.

Herman dalej mówił:

— To jeszcze nie wszystko co ci mam powiedzieć. Doświadczenie było dla mnie cierpką nauczycielką; sądziłem że mogę polegać na niej, i z uspokojonem sercem, pewny że Karolina dawno mi już przebaczyła mimowolne przykrości jakich byłem sprawcą, uczulem odradzającą się we mnie głęboką potrzebę, ogarniające mnie pragnienie szczęścia, bo wierzyłem w nie, wierzyłem w szczęście, lubo ono zawsze odbiegało odemnie. Widziałem wiele kobiet, ale serce moje zostało obojętnem, miłość nie objawiała się, i w dwudziestym dziewiątym roku nie doznałem jeszcze żadnego napadu tego uczucia, które przecież było celem życia mego, ale o którym myślałem jak o zagadce niepodobnej do rozwiązania. Kiedy usłyszałem o tobie Lawinio, o twém postępowaniu po śmierci twego narzeczonego, obudziła się we mnie ciekawość poznania ciebie. Kobieta tak silnej woli musi posiadać odznaczający się charakter; tak myślałem, wiedziałem bowiem że twoje postępowanie nie pochodziło z lekkomyślności ani było dowodem zapomnienia, ale był to tryumf rozsądku nad niebezpiecznym pociąganiem uczucia. Postanowiłem widzieć ciebie. Piękność twoja przyciągnęła mnie, ale, jak już o tém mówiłem nie wzruszyła głęboko serca mego; była ona za zimną, obejście twoje było zbyt baczne, powaga twoja zbyt surowa ażeby zaniepokoić serce nie skłonne do wrażeń; jednakże niewieścia twa słodycz, wyższość twego umysłu, przywiązanie twe do Rudolfa, wszystkie te zalety tak silną dla mnie były ponętą, że wzbudziły w duszy mój przekonanie, iż ty jedna mogłaś mnie uszczęśliwić.

Wtenczas to prosiłem o twoją rękę, stale postanowiwszy zapewnić sobie szczęście. Wzajemne nasze usposo-

bie nie było dla nas tajemnicą, żadne złudzenie nie zaślepiło naszej wyobraźni; sądziłem więc iż mogę myśleć że zbliżą się serca nasze. Inaczej jednak stało się: widziałem że pragnęłaś oddalić chwilę naszego małżeństwa; nadeszła ona wszakże, a z nią i te odkrycia które uczyniłaś mi z wszelką szczerością; nie wymawiam ci je, lubo oddałbym połowę życia mego żeby ich nie usłyszeć. Wszystko to mówię jedynie dla określenia ci dobrze charakteru którego gwałtowność z trudnością przewyciężona z łatwością wybuchła, i ażeby zobowiązać cię do ostrożnego postępowania, albowiem jedynie takie, może zapewnić spokój naszego krótkiego pożycia. Teraz, zawiozę cię do twego mieszkania; ale usłysz pierwój ostatnie słowo, ostatnią prośbę, i jedyną jaką kiedykolwiek zaniosę do ciebie Lawinio: bądź dobrą dla mych córek, bądź tkliwą i czułą dla tych biednych dzieci, ażebyś mogła bez zgryzoty wracać na grób ten gdzie ciebie przyprowadziłem, i ażebyś w braku miłości mój którą odpychasz, zyskała wdzięczność moją i szacunek.

Lawinia była tak wzruszoną, że zaledwie wyjąkać mogła te słowa:

— Obowiązek ten będzie dla mnie równie drogim jak świętym: bądź bez obawy.

Ta odpowiedź zdawała się zadawałniać Hermana; ale nie odrzekł już ani słowa, i podając rękę żonie, odprowadził ją do powozu, gdzie wsiedli oboje. Lawinia mówiła do siebie: Otóż drugi dzień roku; mam więc jeszcze jedenaście miesięcy i dwadzieścia ośm dni! Zamiast pięknej drogi którą dotąd jechali, powóz skierowany był ku wązkiej i krętej ścieżce; z dwóch stron wznosiły się dzikie przepaście i malownicze skały, których widok więcej był wspaniały, ale przerażający, mianowicie ze strony w którą Lawinia patrzała. Wkrótce przybyli do miejsca, gdzie jeden z potoków, którego szum burzliwy tyle sprawiał przyjemności dzieźdźcowi Rosenborga, wypadłszy z swego łożyska, zalał drogę i okoliczne wioski, przemieniając je w szerokie jezioro.

Pocztylion zatrzymał się; niepewny czy powóz będzie mógł przejść po drodze zalanej potokiem, nieśmiało jechał dalej bez rozkazu.

— Droga jest strasznie zła—Johnsonie, rzekł pułkownik wychylając głowę przez okno w powozie.

— Strasznie zła — powtórzył Johnson wykrzywiając usta, co znaczyło: mogłem ci dawno to powiedzieć, gdybyś słuchał co do ciebie mówią. Lawinia zaczęła się na prawdę obawiać. Niepodobnem było skierować powóz na téj drodze, a choćby to było możebnem, nie śmiałyby prosić o to męża, który zdawało się że uczynił postanowienie jechania dalej tą samą drogą.

— Zatrzymaj się i wyprząż jednego konia — krzyknął pułkownik otwierając drzwiczki i wyskakując z powozu.

— Lawinio! — rzekł — nie obawiaj się i polegaj na mnie. Niema żadnego niebezpieczeństwa, upewniam cię.

— Ponieważ tak mnie uspakajasz, nie lękam się już niczego.

Uśmiechnął się mówiąc:

— Nie wymagam jednak ażebyś sama została w powozie, wsiądź zemną na konia którego wyprzężono. Podał jęć rękę, posadził ją jak dziecko na pięknym siodle w jakie przybrano konia, i przejechał wolnym krokiem to improwizowane jezioro.

Przybywszy na suchą ziemię, zesadził żonę z konia, a widząc że powóz zaledwie mógł wydostać się z kamieni uniesionych potokiem na drogę, i że lada chwila mógł być zdruzgotany, wszedł do wody aż po biodra, a uchwyciwszy konie za cugle, prowadził je dłonią równie pewną jak silną.

— Widzisz że nie było żadnego niebezpieczeństwa — rzekł obojętnie do Lawinii — wsiądź teraz do powozu, ale ponieważ przemokły jestem cały, wybaczone cię prosić będę ażebyś sama przejechała ten mały kawałek drogi jaki jeszcze pozostaje do przebycia. Zamknął drzwiczki skłaniając się lekko i wskoczył na konia na którym przedtém jechała Lawinia. Po kwadransie drogi, jakby zaczarowany pałac, Rosenborg wychylił się nagle z pod zasłony drzew i skał jakie go kryły; w całej piękności, z białym frontonem, świecącymi dachami, pięknymi balkonami z rzeźbionego kamienia, z klombami drzew, wzgórz, szerokich alei, przepysznych sadzawek, okazałych krat i ogromnych przysionków.

Wreszcie drzwiczki otworzono, stopień spuszczone; młoda pani przybyła do zamku.

(Dalszy ciąg nastąpi).



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Popisy: Polityka i wychowania. — Posiedzenie pięciu akademii. — Posiedzenie akademii napisów. — Vaudeville i komedia. — Offenbach i wpływ jego. — Wznowienia w paryzkich teatrach. — Ambulanse na wystawie powszechnej: Historia towarzystwa pomocy rannym. — Drewniana ręka wynalazku hrabi Beaufort'a. — Metalurgia, Zbiory mineralogiczne i Mapy geologiczne na wystawie powszechnej. — Francuzkie towarzystwo geologiczne. — Wiadomości literackie.

Upłyniony miesiąc bywa w Paryżu wyłącznie poświęcany popisom. Sorbona zaczyna, za nią idzie pięć akademii z których instytut francuzki złożony. Nauczyciele i uczniowie; towarzystwa naukowe, artystyczne, przemysłowe; uczeni i uczący, wszystko się popisuje. Mowa tylko o nauce i wychowaniu, ale w gruncie, polityka daleko więcej umysły zajmuje. Zwykle tak bywa że ludzie nie zważają na przyczyny, tylko widzą skutki.

Starożytni twierdzili że politykę tworzy wychowanie, prawda ta gdyby była zastosowaną, w następstwach swoich zmieniałaby świat.

Los narodu zawisł od jego klasy średniej. Mówią, że klimat, grunt, położenie geograficzne wpływają potężnie na ludzi. Zapewne. Ale czyż ich skutki nie zawisły zawsze od człowieka, który wedle swojego charakteru albo opanuje przyrodę, albo jej dozwoli panować despotycznie? Człowiek w znacznej części tworzy ziemię i klimat swojego kraju: dowodem Holendrzy.

Przypisują więc jeszcze działania prawom, obyczajom, ustawom; cóż jest to wszystko jeżeli nie formą geniuszu

człowieka? Prawa w każdym narodzie niepodległym stanowią obywatele, obyczaj w każdym kraju może być dobry jeżeli mieszkańcy zechcą.

Jeżeli wszystko wychodzi z jednostki, co rzecz pewna, idzie zatem, że co chcemy żeby przeszło w rzeczywistość, trzeba najpierw złożyć w człowieku. Zmienmy człowieka, a wszystko zmieni się w tym stosunku. Modyfikując jedynie rzeczy, a nie tykając człowieka, nic trwałego nie zbuduje.

Zmienić jednostkę, może tylko wychowanie. Owe wielkie mechanizmy społeczne, zarząd, policja, dyplomacja, wojsko do którego się powszechnie uciekają; działają tylko powierzchownie: duch, uczucia człowieka, to jest *przyczyna powszechna*, wymyka im się zupełnie, przebiegają wrzekomy postęp i tylko czasowy. We Francji było dość rządów mocnych które rozmaite wskazywały zasługi. Francuzi czas jakiś, pod każdym z nich dawali oznaki zewnętrzne żądanych zalet; w końcu, zawsze powrócili do swojego charakteru.

Z tego widać, w jak ścisłym stosunku pozostaje polityka z wychowaniem. Rola pierwszej przechodnia: jej posłannictwem, utrzymać porządek zewnętrzny, zanim wychowanie zaszczepli w każdym *poczucie sprawiedliwości*, które jest porządkiem wewnętrznym, prawdziwym. Ażeby rzeczy szły w kierunku naturalnym, trzeba żeby polityka cofała się ciągle, zostawiając miejsce wychowaniu, aż do idealnego kresu, kiedy wychowanie będzie wszystkiem, a polityka niczem.

Nie tu miejsce do rozwinięcia powyższego założenia. Więc basta! Chcieliśmy tylko zwrócić przy sposobności, uwagę na ważność wychowania będącego w tej chwili we wszystkich ustach a w niewielu sercach, chcieliśmy postawić je na właściwem miejscu, to jest po nad wszystkiem, bo mieści w sobie wszystko. A mówiąc o wychowaniu, rozumiemy przez nie *poważną sztukę ulepszania ludzi*, sztukę, będącą jeszcze w kolebce, nawet we Francji.

W kilka dni po ogólnym popisie uczni w Sorbonie, na którym minister oświecenia Duruy, prawił komunały i zbyt nisko się kłaniał, co zdziwiło wielu w tak liberalnym ministrze, pięć akademii odbyło swoje doroczne posiedzenie. Każda była reprezentowana przez kilkunastu członków swoich. Lebrun, dyrektor tegoroczny akademii francuskiej, pre-

zydował i zagałł posiedzenie wstępną przemową. Pierwszą jej część poświęcił sławieniu wystawy powszechnéj; następnie wygłosił *Nagrodę dwuletnią*, którą w tym roku akademii sztuk pięknych mając do rozporządzenia, przyznała Felicjanowi David.

Prezes odczytał raport, w którym akademii sztuk pięknych ocenia znakomite zalety dwóch nagrodzonych oper: *Herkulanum* i *Lalla-Roukh*. „Chwaląc mianowicie te dwie opery, powiada sprawczdawca, nie poniżamy bynajmniej jego prześlicznych symfonii: *Pustynia* i *Krzysztof Kolumb*; przeciwnie: wieńczymy to wszystko razem w osobie pana Felicjana Davida.”

Akademii długo wahała się z rozdaniem téj nagrody, pomiędzy Davidem a Karolem Blanc, autorem dzieła o którym mówiliśmy na tém miejscu: „*Sztuki rysunku*.” Sprawczdawca akademicki bardzo chwali tę pomnikową pracę w tych słowach: „Malarstwo, rzeźba, architektura, z kolei zwracały uwagę autora; jestto praca estetyczna pierwszego rzędu, pełna gustu i światła; jestto studyum głębokie i zupełne sztuk rysunku, które uczy znawstwa, budzi miłość piękna, pokazuje sztukę w całej wielkości. Książka pana Karola Blanc stanie się podręcznikiem i mentorem artystów.”

Nagrodę lingwistyki (Volney'a) podzielono pomiędzy pp. Vullers i Schleicher. Zaszczytną wzmiankę w tym dziale, przyznano panu Schuchardt.

Po prezesie, pan Ernest Renan czytał rozprawę o imperatorowej Faustynie, której rehabilitacyą przedsięwziął, całkiem bezinteresownie. Prace tego rodzaju są teraz w wielkiej modzie; każdy mniej więcej uczony, występuje z jakąś poprawką historyi uznanéj. Kierunek chwalebny: mnóstwo rzeczy jest do poprawienia, do sprostowania, ale nie trzeba w téj pracy sił swoich rozpraszać na rzeczy tak nie warte wzmianki jak imperatorowa Faustyna, z cnotą czy niecnotą swoją.

Argumenta podane przez pana Renan są bardzo naiwne. Zwraca najpierw uwagę na słabość dziejopisów z epoki Antoniuszów; uwydatnia ograniczenie i łatwowierność autorów historyi Augusta; przeciwstawia im świadectwo Marka Aureliusza ujęte w jego *myślach* i jego listach do Fronton'a, Zdaniem Renana, charakter Marka wyklucza przypuszczenie

dyssymulacyi, a skandale przypisywane Faustynie, są tego rodzaju, że mąż nie mógł o nich niewiedzieć.

Julius Capitolin przytacza dwa fakta przypisujące Markowi niegodną uprzejmość. Radzono mu żeby się wyparł żony. „Trzebaby oddać posag” miał odpowiedzieć, rozumiejąc przez *posag* Cesarstwo.

Innym razem w teatrze, w obecności Marka i Faustyny, aktor miał uczynić alluzję hańbiącą Imperatorowę. Publiczność chciwie to podchwyciła, Imperator zmilczał najfilozoficzniej w świecie.

Prawdopodobieństwo tej drugiej anegdoty przypuszcza Renan, dla tego że Marek Aureliusz nie był lubiony przez amatorów widowisk. Pierwszą stanowczo odrzuca. Nadto, zwraca uwagę, że opowiadanie Capitolina pełne jest omamień i dwuznaczników, które pokasowali treściopisy czwartego wieku. Przeszedłszy z kolei zarzuty czynione Faustynie, (co mówiąc nawiasem przerwało sen kilku akademikom) Renan konkluduje, że legenda o niej urosła z powodu patrycyuszowskiej dumy, którą Faustyna ciemniżyła filozofów otaczających męża. Że w gruncie była to osoba dobra i zacna... Pan Renan ręczy: kto nie wierzy, niech da talara.

Z kolei pan Bertrand opowiadał historią Akademii Nauk od 1789 do 1793 roku. Opowiadał prace do których dało powód oznaczenie systemu metrycznego; przytaczał kilka konsultacyi dawnych, kiedy jeszcze Zgromadzenie Narodowe radziło się Akademii. Akademicy zamiast słuchać, spali pokotem, a szkoda, bo owe zasady były ciekawe: dowodzą one istnienia wówczas skrupułów, z których dzisiaj kwita, jak z wielu innych rzeczy.

Na podany sobie w 1798 roku projekt *ładunków podpalających*, akademia odpowiedziała Zgromadzeniu Narodowemu: „Zwracamy uwagę, nie wchodząc w szczegóły, że gdyby takie ładunki trafiały zawsze do celu, wynikałaby z tego wielka zagłada ludzi, gdyż podpalone w czasie bitwy żagle, mogłyby spowodować spalenie całej załogi, zanimby jój kto na ratunek pośpieszył”. Ta uwaga zaprowadziła naturalnie do dyskusowania wielkiej kwestyi politycznej: „Przyjąć-li, czy nie przyjąć sposób podpalania, któryby szybko zniszczył nieprzyjacielską flotę, ale pociągał zarazem wielką stratę ludzi.”

Skończyło się na następującem oświadczeniu uczonych: „Akademia, której celem jest doskonalenie nauk i sztuk, nie chce się trudnić kwestyami politycznymi. Przypomina, że skoro w 1759 roku, w czasie wojny siedmioletniej, zaproponowano Ludwikowi XV żeby skorzystał z wynalazku paryzkiego jubilera który wynalazł ogień nie ugaszony nawet w wodzie, monarcha ten, kazał żeby fatalny sekret *został zapomniany*. Po téj uwadze, Akademia wierna swoim zasadom i zasadom ludzkości, nie może, bez wyraźnego rozkazu rządu, robić doświadczeń z przedstawionemi sobie nabojami.”

Naboje nie zostały przyjęte z powodu swéj *morderczości*. Jakże daleko ztamtąd do rac kongrewskich, armstrongów, monitorów i głowej broni!

Z kolei, pan Ludwik Wołowski czytał swoje studyum *Mazarina*. Jest to ułamek z napisanej przez p. Wołowskiego „*Historyi stosunków handlowych pomiędzy Francją i Anglią*.” (*Histoire des relations commerciales entre la France et l'Angleterre*). Za tę pracę p. Wołowski dostał zaszczytną wzmiankę.

W programie stał jeszcze odczyt pana Signol: *O Sztuce Chrześcijańskiej*; ale spóźniona pora nie dozwoliła rozpocząć tego odczytu.

Akademia Napisów odbyła swoje doroczne posiedzenie pod prezydencją uczonego numizmata, Adriana de Longprier.

Na konkurs tegoroczny Akademia zadała przedmiot zajmujący: *Studyum Kazań z XIII wieku*, wyrzeczonych przez kaznodziei takich jak Maurycy Sully, biskup paryzki; Robert Sorbon, fundator Sorbony; Piotr Limoges, i mniej znanych. Kazania te dostarczyć mogą drogocennych szczegółów dotyczących ówczesnych obyczajów, stanu umysłów, historyi religijnej i świeckiej.

Dostarczono cztery memoryały. Akademia nagrodziła dwoma tysiącami franków, pana Lecoy de la Manche. „Autor ten, powiada prezes, napisał najgruntowniejsze studyum kazań; zawsze on popiera swoje twierdzenie cytacyami, a wyjaśnia je porównaniem. Praca jego dowodzi umysłu prze-

nikliwego, który nie poprzestaje na gotowych rozwiązaniach i który umie nowém światłem rozjaśnić podjęte przedmioty.“

Od 1863 roku nagroda daremnie czeka walecznego pracownika, który najlepiej streści wszystkie dane historyczne, geograficzne i topograficzne o Palestynie, rozsiane w księgach żydowskich, Talmudach, Midraszynie, Geder Olam i t. d. Długo nikt się do téj roboty nie zapalał; aż zeszłego roku przedstawiono dwa memoryały — pono nie osobliwe, ale akademii mogła przyznać nagrodę panu Adolfowi Naubaer.

Trzy medale i sześć zaszczytnych wzmianek rozdano autorom rozmaitych prac dokonanych w dziedzinie starożytności francuzkich. W pierwszym rzędzie stoją pp. Lepinois i Merlet, którzy wydali w trzech tomach „*Castulaire de Notre-Dame de Chartres*.” Dzieło to nie jest tylko reprodukcją *Szartów* i dokumentów rozmaitych przechowywanych w archiwach starożytnej katedry; komentarze wydają właściwości drogocenne dla historyi kościoła i ustroju społecznego. Pewnie Lepinois i Merlet poszli za przykładem Guérard’a, chwalonego sprawiedliwie wydawcy 2-ch dzieł ważnych dla uczonej Francyi: „*Cartulaire de Saint-Père de Chartres*” i „*Polylique d'Irminon*.”

Drugi medal przyznano byłemu deputowanemu p. Giraud, który przestał reprezentować ziomków dla tego, żeby mieć czas pisać ich roczniki. Napisana przez niego *Historya romansu* doprowadzona tylko do końca XIV wieku, obejmuje już cztery tomy.

Pan Desjardins któremu dano trzeci medal, jest autorem dzieła z mappami o *przemianach ujścia Rodanu*, od najdawniejszych czasów po dziś dzień. Jestto studyum archeologiczne mające mieć użyteczność praktyczną, przyczyniając się do oznaczenia jaki jest najlepszy kierunek kombinacyi.

Zaszczytne wzmianki otrzymali:

Pan Simonnet który wynalazł w protokołach dawnych notaryuszów nieznane objaśnienia ustaw i życia prywatnego Burgundy.

Pan Mabilie za prace dotyczące Lotaryngii.

Książd Gyss, za Historyą miasta Obernai; pan Puiseux za poszukiwania nad miastem Rouen i Normandya; pan Pilorgorie za narracją wyprawy Karola VIII do Italii w 1494

i 1495; pan Mostatrie za memoryał o prawie piętnowania czyli średniowieczném prawie odwetu.

Liczni konkurenci dobijali się o nagrodę Goberta „za najgłębsze studyum Historyi Francuzkiéj.” Pierwszą nagrodę otrzymał pan Olleris, dziekan wydziału literackiego w Clermont-Ferrand, za pracę pod tytułem *„Oeuvres de Gerbert, pape sous le nom de Sylvestre II, collationées sur les manuscrits, précédées de sa biographie, suivies de notes critiques et historiques.”*

Jestto pomnik wystawiony pamięci pierwszego papieża Francuza, syna ludu, który do najwyższych godności doszedł własną pracą i zdolnością, a którego wiedza w literaturze, matematyce, mechanice była tak dalece wyższą od wiedzy społecznych, że go posądzano o czarnoksiężtvo.

Drugą nagrodę Goberta dano panu Leonowi Gautier, za studyum śpiewek z gestami i początków literatury narodowój.

Nagrodę numizmatyki otrzymał p. Aloys Heiss, który wydał tom pierwszy dzieła napisanego po hiszpańsku p. t. *„Opis monet chrześcijańskich Hiszpanii, od czasu inwazyi Arabów.”* Tom zdobią portrety, reprodukcyje szartów i medali.

Akademia napisów przypomniała, iż do konkursu na rok 1868 zadała następujące przedmioty: „O walce filozofii z teologią u Arabów, za czasów Gazzali; o wpływie jaki ta walka jedna na drugą wywarła.” Przypomniała także, iż odłożyła na rok 1868 nagrodę konkursową 1864. „Wyłożenie teoretyczne i katalog opisowy *Stelów* starożytnych przedstawiający sceny znane pod nazwą obiadów pogrzebowych.” (Styp).—Na konkurs do nagrody roku 1869, akademia proponuje: „skreślić ekonomią polityczną Egiptu pod Lagidesami, od założenia Alexandryi, aż do podboju rzymskiego.”

Dwa pierwsze przedmioty są powabne jedynie dla erudytów; trzeci nadaje się do pięknego rozwoju i dramatycznych obrazów. Obejmuje III wieki, od 331 do 30 przed Chr. panowanie Ptolomeusza, Soter’a i jego następców aż do Kleopatry. Czem był w tym okresie dziejowym Egipt, jego ludność, handel, przemysł—organizacya jego rządu? Co wynikało z jego dawnych praw? W czém zostały zmienione przez

ustawy przywiezione z Grecyi i Macedonii? Są w tém zadaniu rzeczy ciekawe do wyjaśnienia.

Znaczna ilość przedmiotów konkursowych została nadal utrzymana: „Zbadać dzieła moralne Plutarcha; opisać organizacyą floty rzymskiej; oznaczyć jakie ludy od XI wieku aż do podboju ottomańskiego zamieszkiwały Grecyą, Francyą i Illiryą; dać rozbiór krytyczny i filologiczny napisów himyarickich, odkrytych w dawném mieście Himera w Sycylii.” Wszystko to dotąd nie opracowane zadania, zostawione na późniejsze konkursy.

Jako przedmiot do trzecztyśięcnej nagrody Bordin'a na rok 1869, akademia napisów proponuje: „Dać poznać żywoty świętych i zbiory cudów, ogłoszone lub niewydane, a mogące dostarczyć dokumentów do historyi Gallii pod panowaniem Merowingów.”

Pisarz umiejący wyczerpać ten przedmiot, mógłby znacznie rozjaśnić początki francuzkiej historyi. Te legendy pełne są szczegółów dotyczących obyczajów, praw, topografii i stosunku klas społecznych pomiędzy sobą.

Wyliczywszy rozdane i odłożone nagrody, pan Longprier wspomniał ogólnie o pracach uczniów Szkoły Ateńskiej (wiadomo że tam Francya ma szkołę archeologiczną); następnie złożył hołd pośmiertny kolegom, których akademia utraciła w ciągu ubiegłego roku. Poussaint Reinaud, autor *Historyi Mahometa i Arabów*; Salomon Munk, który tak trafnie prawdę od fałszu odróżniał w chaosie tradycyi hebrajskich; Edward Gerhard, Berlińczyk, członek zagraniczny akademii napisów, autor znanych studyów starożytności greckich, etruskich, rzymskich i focińskich.

Niechcąc zostawiać słuchaczy pod smutnym wpływem nekrologii, prezes zakończył przypomnieniem miłej rocznicy temu lat 50 jak został obrany dziekanem akademii napisów Józef Naudet. „Uczony ten, mówił prezes, daje nam przykład siły i wytrwałego zamiłowania najszlachetniejszych nauk. Pożyteczne prace jego, długa służba, surowa godność charakteru, dają mu prawo do naszych hołdów; pogoda jego umysłu i dobroć serca, daje mu prawo do naszej miłości.”

Pan Guigniaut, sekretarz wieczysty akademii, zajął drugą połowę posiedzenia czytaniem rozprawy o życiu i pracach

Karola Hase. Był on synem luterskiego biskupa Abstedt; urodził się 1780 roku. Zaczęte w Wejmarze nauki skończył na uniwersytecie w Jena.

Po śmierci ojca pozbawiony majątku, przybył do Paryża w 1801 roku. Bez chleba, bez dachu, bez podpory bładził smutnie pod arkadami pałacu królewskiego, kiedy spostrzegłszy Mameluka Yusufa, zaczął go arabskim językiem. Yusuf przyjemnie zdziwiony, zaprowadził go do Ambassady tureckiej, gdzie spotkał tłumacza Codrikas'a z którym znów młody Hase mówił po grecku. Wiedza jego zdumiała muzułmanów. Przedstawiony przez Codrikasa hellenistę Villoison, a przez tegoż, hrabi de Choiseul Gouffier, Hase wnet stanął wysoko: poruczono mu ważne prace dotyczące starożytności greckich. W 1805 roku postawiony na czele działu rękopisów w Bibliotece Cesarskiej, pozostał tam aż do śmierci, to jest do marca 1864 roku.

Pomiędzy słuchaczami obecnymi na posiedzeniu akademii, było wielu takich którzy dobrze znali Hasa; tych rozrzewniła słuszna pochwała tego starca pełnego łagodności, wiedzy i dobrego humoru, który może służyć za wzór uczonym i bibliotekarzom całego świata.

Podczas kiedy świat uczony obraduje, świat biesiadujący pomnożony wystawą, wyczerpuje do dna paryżkie zabawy—a jest ich bez liku. Teatra, koncerta, bale, jak wśród zimy uczęszczane. Dla tego bawiącego się świata, wypadkiem ważnym, iż dyrekcyja *Buffów paryżkich* postanowiła przywrócić wodewil wygnany ze wszystkich prawie teatrów przez błazeństwa Offenbacha.

Jestto nowina mogąca obchodzić lubowników paryżkiego dowcipu, którzy nie gardząc Offenbachem, jego *Orfeuszem*, *Helena* i *księżną Gerolstein* tęsknili jednak za krotocwilą, rodzajem scenicznym, w którym Francuzi niezaprzeczenie celują.

Wodewil po wszystkie czasy był najżywszym i najmilszym wyrazem paryżkiego sprytu—że nie powiem, francuzkiego geniuszu. *Vaudeville!* Sama ta nazwa wywołuje w pamięci mnóstwo arcydzieł przednich i rozmaite epoki pojawienia się tych brylantowych sztuczek; gdyż po dziś dzień

nigdy nie zbywało na nich Paryżowi. Każde pokolenie miało swoje; był to owoc gruntowy, owoc paryżkiego bruku. Tragedya przeminęła; komedya miewała swoje chwile zaćmienia; Wodewil nigdy! wczorajszy podawał rękę dzisiejszemu, dzisiejszy jutrzejszemu, i tak tworzył się nieprzerwany łańcuch tego błyszczącego wyrobu narodowego, czy sto narodowego: ani Niemcy, ani Anglicy, ani Włosi nigdy nie mieli krotchwili. Gdyby utłuc w móżdżerzu Szekspira, Szylera, Danta, Goethego i ile chcieć nie francuzkich geniuszy — nie wydobędzie z nich nigdy téj rzeczy ślicznej, fruwaćcej... tego subtelnego a wytwornego *nic*, które się zowie w Paryżu *vaudevillem*.

Piosnka jest skrzydłem sztuczek takich, jest wachlarzem odpędzającym od nich nawet cień nudy. W krotchwili, jak w każdym utworze scenicznym, muszą być opowiadania—zwykle to niezabawne. Wodewil wziął się na sposób: opowiada na skoczną nutę, a wyobraźnia wnet puszcza się z nim walczyka... Wodewil śpiesząc zawsze przez szereg nieprawdopodobieństw do szybkiego rozwiązania, potrzebuje osób ruchliwych które wchodzą i wychodzą nieustannie rzuciwszy sobie słowo w przebiegu. Jaki powód dać téj ciągłej gonitwie? Żadnego: piosnka odchodzącego jest wiązaniem. Ona zapełnia wszystkie szczyby akcji, ona znaczy miejsca gdzie się zatrzymać i dać od niechcienia nauczki moralną. Piosnka na skrzydłach melodyi akcyą unosi, tak że się nigdy nie znuży, nigdy nie ustanie.

Czem Wodewil różni się od komedyi? Nie ma bardzo wyraźnej granicy; a jednak chociaż nie rozgrozione rowem, chociaż krańce ich się mieszają, można poznać Wodewile po pewnych odrębnych znamionach.

Wodewil maluje tylko powierzchnią życia ludzkiego, to jedynie co w niém chwilowe, co nie trwa; przedstawia na scenie nie charakter, ale *typ* jakiś—śmieszność nie przywarę. Polem jego więcćj moda niż obyczaje. Położenia nawet, wieczne jak przywara co je rodzi, Wodewil przedstawia we właściwém sobie świetle, *pobiegającym*. *Les Precieuses ridicules*, *Pourceaugnac*, Moliera, są Wodewilami, chociaż mają tytuł komedyi. Niektóre znów Wodewile nowsze, zasługują na nazwę komedyi.

Dokładnych narzędzi brak; ale z grubsza można łatwo odróżnić cechy po których się Wodewile poznaje. Prześliznie się jedném słówkiem tam gdzie komedia nacisk daje. Ale równie jest rozmaity jak ona i nagina się jak ona do wszelkich rodzajów. Są komedye *intrygowe*, komedye *obyczajowe* i komedye *charakterowe*. Wodewile także można na trzy kategorie podzielić: w każdej liczy w Paryżu arcydzieła. Wodewile *intrygowe* pisał Scribe. Krotochwila intrygowa ogranicza się na jednej sytuacji, z której wesoło dobywa wszystkie wypadki jakie znieść może. „*Passé minuit*” jest arcy dziełem tego rodzaju. Północ wybiła. Mieszczanin śpi spokojnie w łóżku. Wtém, ktoś stuka... budzi się, i nie mogąc już zasnąć, sprowadza do pokoju chałásnika. Położenie takie. W dyalogu dowcipu na trzy zbytki.

Ten rodzaj prawie zaginął—a szkoda, bo może najkomiczniejszy.

Wodewil *obyczajowy* jest wyższy. Dawniejsi pisarze francuzcy zostawili jego wzory. Dawni komicy lubili czasem rzucić na scenę w kilku zarysach jakąś śmieszność bieżącą. Do takich dawnych krotochwil należą *Kucharki* i *Sal-timbanks*; do nowych „*Homme n'est pas Parfait*” pana Thiboust, i „*les Curieuses*” p. Meilhac. Obaj ci autorowie uchwycili i ustalili, jeden w straganie, drugi w buduarze, nikłą chwilę życia tegoczesnego.

Giboyer głębiej wnika w twardszy pokład społeczny. Długo jeszcze ludzie utalentowani walczyć będą z nieszczęściem urodzenia i wychowania; nie wyjdą z nich chyba w osobie synów swoich—i to z trudnością. Rysy jakimi je szkicuje Augier, za dwa wieki jeszcze się nadadzą do klasy ludzi wyszłej z oświaty, gdzie równość jest prawem, a arystokracja pieniężna panuje *de facto*.

To téż *Syn Giboyera* jest prawdziwą komedią. *Les Curieuses* malują tylko nikłą chwilkę obyczajów—ale z jakimże wdziękiem!

Ze wszystkich rodzajów krotochwil, rodzaj *charakterowy* najobficiej w ciągu ubiegłych lat 20-tu kwitnął w Paryżu. Sztuka taka wychodzi zawsze albo z godnego pędzla charakteru, albo z myśli filozoficznój. Pierwowzorem tego rodzaju jest „*Le Voyage de monsieur Perrichon*.” W sztuce téj autor rozwinął tę zasadę Rochefoucault'a, że człowiek jest

niewdzięczny i woli widzieć twarz obowiązanego, niż dobrodzieja.

Powyższa myśl filozoficzna ożywia całą krotoczwilę. Pan Perrichon przedziwny! Nic pociesznieszego jak odmalowana z natury figura tego zubożonego czapnika.

Podobnego Perrichona Sardon odmalował téż w *la Cagniotte*, drugie arcydzieło tego rodzaju. Nie może być prawdziwszy obraz życia parafiańskiego jak ten akt, w którym czterech oryginałów typowych gra w tak zwaną *Cagniotte*, rodzaj poczwórnego maryasza.— „*Célimare le bien Aimé*” także dzieło mistrzowskie tego gatunku -- niby lekkie, a głębokie, więcej dające do myślenia niż nie jedna długa lekcya moralna.

Nie zliczyłbym wszystkich sztuk takich, pełnych wesołości i rozumu, które z paryżkiego bruku wytrysły w ciągu ubiegłego ćwierć wieku.

I taki to repertoar znika, zapędzony w cień przez głupią *Helene* i jeszcze głupszą *Wielką księżnę*. Brząkanie zagłuszyło słowa. Od wodewilistów wymagają tylko dobrze wystrzyżonych scen i akcji zastosowanej do kankana. Krotoczwila, wyskok francuzkiego dowcipu, stał się librettem. Był to upadek sceniczny. Dyrektorowie tłumaczyli się tém, iż publiczność woli *śpiewającego* niż *rozumującego* błazna. Tak było w istocie; ale dla tego że wystawa błazeństw Offenbacha wspaniała, że w nich występują najładniejsze kobiety i najlepsi aktorowie.

Dyrekcya *Buffów* obiecuje równie świetne przedstawienie krotoczwilne bez orkiestry. Obietnica jej tak wielkie znalazła poparcie w całej inteligentnej ludności Paryża, iż o wskrzeszeniu i powodzeniu wodewilu wątpić nie można. Zdeterminowanie Offenbacha będzie wielką wygraną geniuszu francuzkiej stolicy.

Ale Offenbach trzyma się uporczywie i coraz częściej bombarduje miasto. Na tę zimę obiecał Paryżowi nowych oper co nie miara: Operze komicznej *Robinsona*, Teatrowi Châtelet *Guliwera*, teatrowi des Menus Plaisirs *Genvière de Braband*. Nowe trzy akta jeszcze bez tytułu, dostanie Teatr Rozmaitości; Porte-Saint-Martin *Panurga*; Palais Royal przez całą zimę nie porzuci *Życia paryżkiego*.

Widzicie że cały Paryż zalewa Offenbach! Istny szatan z niego: już przemienił repertuar paryżki; jeżeli go nie powstrzymają, przemieni francuzki temperament. Onto pobudził do tego tańca *świętego Gwida*, w którym Paryż obecnie skacze.

Nie dawniej jak przed 12-tu laty Paryżanie byli bardzo spokojni; łatwo ich można było zabawić; śmieli się z byle czego, wesołość mieli zdrową i umiarkowaną; lubili naderwysztko dowcipną rozmowę i radosne piosneczki. Nagle jawi się pomiędzy nimi, jak diabloten wypuszczony z pudełka, mały człowiek, suchy, nerwowy, podobny jak dwie krople wody do Mefistofelesa, którego pan Twardowski znalazł na dnie kieliszka:

.....Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokecie;
Nos jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ma paznokcie."

A! to Paryż; witam bracie!
To mówiąc bieży obcesem:
Cóż to, czyliż mię nie znacie:
Jestem... Offenbachem.

I nie czekając odpowiedzi, zagrał na nową nutę. Paryż słuchał... i usłyszał nieznane dźwięki, muzykę jakąś skoczną, pijaną, gorączkową, podobną do chińskiej nadwornej kapeli. Grajek zadziwił i uwiódł. Skupili się około niego Paryżanie, co widząc szatański człeczek, podniósł smyczek, uderzył tempo walca i wszystko skakać zaczęło. Był to prąd elektryczny. Wszyscy jeli nucić jego piosneczki, tańczono je w teatrach i w domach, grano na fortepianach, skrzypcach, flecikach; wszedłszy przez uszy, porywały ludzi za nogi i zmuszały do skakania; czekały na rogach ulic na spokojnych przechodni; chwytaly ich w teatrze, w domu, w mieście i na wsi—istna epidemia!

Szerzyła się ta plaga—i niepodobna jej było wstrzymać. Śmiech nerwowy porwał wszystkich... W czasach smutnych, jak dzisiejsze, Paryż śmiać się począł przenikliwie; nie jak wesoły towarzysz, zdrów i szczęśliwy—ale jak człowiek chory, którego pod podeszwy lechcą.

Jeżeli kiedy kto zechce zrobić allegoryczne malowidło tegoczesnego Paryża, niech nie zapomina mianowicie postawić po nad epileptycznym sabatem francuzkiej stolicy, chudego Offenbacha dającego takt kapeli.

Przeciw temu tumaniącemu grajkowi który Paryżanów muzyką swoją poi, a w końcu, jak Metistofiles, trzymających się za nosy, porzuci—zawiązało się sprzysiężenie. *Buffy*, kołębka Offenbacha, będą jego grobem. Jeżeli spiszek uknuty przeciw wielkiemu uśpiicielowi dowcipu, się uda, Offenbach ukarany będzie na miejscu gdzie popełnił zbrodnię.

— W Odeonie wznowiono z wielkiem powodzeniem rozczulającą sielankę pani Sand „*François le Champi*.” Jestto arcydzieło swojego rodzaju. Wszystko tu z żywego płynie źródła: myśli, uczucia, język. Wieśniaczki prawdziwe, wieśniacy prości, zdają się wyrosli na polu jak drzewa ich lasów i łąk ich kwiaty. Ileż gustu, ile taktu potrzeba było, żeby malując taki obraz wierny, nie popaść w pospolitość. Pani Sand obserwuje i czuje naturę wirgilowską wyobraźnią: przebijając się w nią, rzeczywistość łagodnieje i szlachetnieje. Jój pejzażystowski geniusz rozciąga się do figur zapełniających sielskie widoki. Podobnie, jak z przenikającą prawdą oddaje piękność doliny, spokój pól, melancholię wąwozu, powab ścieżki biegnącej kręto pod wierzbami — tak umie wydobyć poezją ukrytą i cnoty wewnętrzne istot żyjących na łonie natury. Zapewne nie mówią one tego wszystkiego co im mówić każe; ale czyta w ich ciemnej duszy, sny ich przenika, i co tam odkryła objawia w przedziwném narzeczu urobioném jak miód, z soku kwiatów, starój mowy i pokładów gruntowych.

Ta to mieszanina harmonijna ideału i prawdy, nadaje tyle wdzięku *Franciszce Champi*. Magdala, Franka, Marynka, Joasia, wszystkie malowane z natury, ale podwyższone surowością obrysu, lub wdziękiem pędzla, promieniem, lub światłocieniem spokojnym, który artysta na ich czoła upuścił... Na drugim planie stoi jaskrawy wizerunek Sévèry, wiejskiego Heroda, przedziwnego wykroju.

Jedna tylko rzecz psuje nieco tę sielankę: miłość Franciszka dla Magdaleny i jego z nią ożenienie. Wiadomo że jest tylko jego matką przybraną; że innego pokrewieństwa pomiędzy niemi nie ma prócz wspólnego przywiązania. Ale

macierzyństwo, to rzecz tak święta, tak dostojna, że namiętność powinna szanować nawet jego cienia, pod karą moralnego kaziorodztwa.

Wyraziwszy powyższy skrupuł, nie można przechwalić czystości i powagi jaką autorka nacechowała miłość Franciszka dla jego dobrodziejki. Jestto tylko wyegzaltowana miłość synowska: chłopiec zostawszy człowiekiem, ofiaruje się swojej przybranej matce—mniej jak mąż, już jako sługa i opiekun jej życia; oddając jej rękę, chce przezto dać podporę jej słabości. Ze swjej strony, Magdalena dopiero w ostatniej chwili dostrzega tę miłość przysłonią uszanowaniem. Dojrzawszy prawdę, odwraca się, prawie obrażona... Jeżeli ulega, jeżeli zezwala, to jak powiada „że wszyscy chcą tego, więc i ona musi.”

— W Teatrze Ambigu wznowiono *Żyda wiecznego*. Olbrzymi ten dramat wykrojony ze sławnego romansu, willustrowany sentymentalnymi obrazkami i groźnemi karykaturami, był w swoim czasie jedną z najpoważniejszych sztuk dla Paryża. Żydy, Rodin, garbata Mayeux, ruda panna Cardoville, Dagobert z dwoma owieczkami: wszystko to figury grubo wyciosane i jaskrawo ukolorowane; dodajmy Ahaswerusa, Moroka i widok sądu ostatecznego, a mieć będziemy sabat sięgający od balu Opery do Apokalipsy—widzenie palacza opium. A jednak snu tego słuchano z najwyższą ciekawością.

Przez ubiegłe lat ośmnaście, *Żyd wieczny* okropnie postarzał: to wznowienie będzie pewno jego ostatnią podróżą.

Ahaswerus podrzędną ma rolę w sztuce Ambigu, a jednak możnaby osnować przepyszny dramat na tym wiekowym włóczędzie. Niema piękniejszego przedmiotu do historyczno-legendowej dramy jak wieczna wędrówka tego nieśmiertelnego żyda, co siwą brodą gościńce świata umiata. Przechodzi on przez bitwy gdzie ludzi koszą jak kłosa, i opadają przed nim miecze; rzuca się w nawałnicę... ocean wściekły pluje mu na sandały i nie chce pochłonać... W pustynie bieży, gdzie się roją potwory: tu węże syczą nie gryząc... tygrys powącha i odbiega ogon podtuliwszy... I tak chodzi po świecie, wzywając śmierci która zatyka sobie uszy i dozwala błądzić, dopóki nie przybędzie na dolinę Józefata... Tu nareszcie, żyd pada wycieńczony na kamień

otwartego grobu, pośród ogromnego zmartwychwstania Sądu Ostatecznego.

— W teatrze *de la Gaité* wznowiono „*La Tour de Londres*.” To własność Szekspira: on jeden ma prawo życia lub śmierci w tym tragicznym zamku. W téj ciemnej wieży wiszą rozczochrane żony Henryka VIII, owego ukoronowanego upiora; pokutują nadobne cienie dzieci Edwarda, jak dwa ptaki w gnieździe uduszone; processya długa królewskich i książęcych nieboszczyków, kroczy... trzymając swoje głowy w rękę.

Dziś jeszcze wieża londyńska z tajemniczymi groby i hukiem poczerwienionem jak jatki, przeraża! Zda ci się że widzisz ową wieżę Alepu, którą Tamerlan kazał zbudować z *siedemdziesięciu tysięcy* ludzkich czaszek z cegłą pomieszanych. W Białej Wieży (White Tower) stróż pokazuje wielką sprężynę dawnych dziejów Anglii: jestto grubo wyciosany pień, porysowany w całej długości cięciami topora, który pordzewiały wisi przykuty na łańcuchu. Topór ten, to nóż wszystkich hekatomb politycznych Wielkiej Brytanii. Najdumniejsze czoła, najładniejsze twarze kładły się z kolei na tém krwawém drewnie. Joanna Grey z zawiązanemi oczyma, długo po nim suwała małe rączki, jak dziecię szukające w nocy poduszki; Anna Boulén, zanim nań położyła jasną główkę, zwróciła uwagę kata że ma cienką szyję więc będzie ją mógł przeciąć jednym zamachem...

Dramat pana Nus obraca się około téj rzeźalni rozumu Stanu i wojen domowych. Widzimy Duglasa wyręczającego kata, ażeby mieć przyjemność ściąć uwodziciela siostry przez Cromwella na śmierć skazanego. Z czasem, wyrzuty sumienia do obłąkania przywodzą człowieka co śmiał dotknąć topora. Syn Karola, znowu potężny, do zabójcy ojca stosuje prawo odwetu. Matka w rozpacz, para kochanków których rozdziela rusztowanie, składają ten silnie zbudowany dramat.

Nowych sztuk żadnych niema w obecnej chwili, za miesiąc dopiero, po zamknięciu wielkiego widowiska, Pól Marsowych, obaczymy nowe widowiska teatralne.

W czasie kanikuły mniejszy trochę napływ zwiedzających wystawę. W pałacu, dzięki wyborniej wentylacyi, wiel-

kiego upału niema, ale dostanie się do niego i utrudzenie chodzeniem, odstrasza wielu. Można powiedzieć, że teraz najwięcej prawdziwych badaczy bez tłoku bada ekspozycją.

Klasa jedenasta drugiej grupy wystawy powszechnej jest bardzo ważna. U wnijsia czytamy napis nieobojętny nikomu, kto ma aby trochę miłości bliźniego: „*Ambulances de Guerre des Comités de Secours.*”

Od czasu traktatu między-narodowego o neutralności ambulansów, niema różnicy w urządzeniu ambulansów towarzystw pomocy; są one dobrem wszystkich rannych; towarzystwa udzielają sobie wspólnie swoich przyrządów. Dla uproszczenia służby wprowadzony będzie niebawem jeden i ten sam miteriał ambulansowy, rzecz bardzo potrzebna, gdyż wtedy szpitalnicy różno-krajowi nie będą tracić czasu na poznawaniu składu zagranicznych przyrządów, który to czas ranny życiem przypłacał.

Patrząc na wystawę przyborów wojennych, przychodzi na myśl książdz Saint-Pierre i jego „*Projekt wieczystego pokoju.*” Patrząc na ambulanse myślisz znowu, jak wielkiej pociechy doznałby ten miłosierny kapłan widząc przynajmniej złagodzenia poczynione w okrucieństwach wojny. Sposoby niszczenia mnożą się, ale mnożą się także sposoby zaradzania o ile możliwości pladze.

Historja *Towarzystwa pomocy rannym*, następująca.

W roku 1859, genewczyk Dunand powziął myśl złagodzenia klęsk wojny; w tym celu zgromadził zebranie między-narodowe, które obradowało w Genewie 1863 roku i w którym brali udział reprezentanci szesnastu państw. Uświęcono na tém zebraniu zasadę zupełnej neutralności służby sanitarnéj; postanowiono założenie komitetów, któreby przygotowywały pomoc na przypadek wojny, oraz sformowanie oddziałów szpitalnych ochotników.

Z powyższych usiłowań wynikł urzędowy traktat podpisany przez szesnaście państw.

Paryż żywo się zajął dziełem. Zawiązany tu wkrótce komitet znalazł poparcie Cesarza; użyteczność publiczna *Towarzystwa pomocy rannym* została uznana dekretem z dnia 23 czerwca 1866 r.

Minister spraw wewnętrznych polecił dzieło prefektom. Minister wojny w raporcie o reformach administracyjnych

wojska zamieścić Towarzystwo, a przewidując jego rozwój i wynikające zeń korzyści, nadał mu przepis wojskowy.

Dziś pawilon *Towarzystwa pomocy rannym* z jego czerwoną chorągwią i czerwonym krzyżem, stoi w parku wystawy. Znajdują się tam wszelkie przyrządy przeznaczone do noszenia i opatrywania rannych podjętych na pobojuwisku. Każdy kraj tu czémś właściwém się przysłużył: Francya bandażami z metalicznego płótna; Austria przyrządami do trzymania świeżo lekarstw i napojów; Księstwo Badeńskie i Hiszpania noszami poręcznemi; Stany Zjednoczone furgonami lekarskiemi; Prusy szpitalnemi namiotami; Szwecya łózkami mechanicznemi i t. d.

Jeden z członków Towarzystwa, doktor medycyny Henryk Arrault napisał bardzo użyteczną książkę pod tytułem: „*Notice sur les leçons aux blessés du Champ du bataille.*” Streszcza w tej pracy starania natychmiastowe jakie dać trzeba ofiarom boju, oraz uczy jak działać. Dzięki bandażom jego wynalazku, opatrzenie złamanego członka dokonywa się na miejscu w kilka minut i pozwala bez powiększania bólu, pieść rannego do ambulansu. Ciężkie furgony wyładowane koszykami szarpi, bandażami i butelkami lekarstw, zastępuje workami, które każdy zarzuciwszy na plecy, może zanieść gdzie trzeba.

Mając doskonałe przyrządy, potrzeba było jeszcze znaleźć ochotników infirmierów. Udano się do zakonników, tak zwanych Frères de Saint Jean de Dieu: ci chętnie przyjęli niebezpieczną misję którą im ofiarowano. Święto Jańcy dotąd opiekowali się obłąkanymi, ślepymi dziećmi i osobami nawiedzonymi chorobą nieuleczoną: teraz ich służba przejdzie na pobojuwisko.

Wedle statystyk doktora Chenu, rany w głowę zadane są najczęstsze i najniebezpieczniejsze. Pan Preterre obdarzony wielkim medalem przez sędziów przysięgłych wystawy powszechnej, któremu niedawno fakultet medyczny przyznał wielką nagrodę, napełnił całą szafę gipsowemi odciskami zdjętymi z natury, a straszniemi do widzenia. Przedstawiają one twarze nieszczęśliwych, którym z pomocą swoich przyrządów wstawiał połamane szczęki i popękane podniebienia. Kampania krymska, włoska i mexykańska dostarczyły mu aż nadto okazyi do naprawiania przez kule wyrządzonych

szkód. Tego rodzaju ofiary nie mając skutecznej pomocy, zwykle mrą z głodu, gdyż nie mogą połykać strawy. Z przyrzędem Préterra mówią i jedzą z łatwością: ogromne to dobrodziejstwo dla rannych!

Nie mniejszą usługę oddał kalekom hrabia Beaufort wynalezieniem ręki drewnianej. Ta ręka najosobliwszą jest w tym opłakanym wydziale *miłosierdzia* będącego odwrotną stroną wydziału *chwały*.

Ręka sztuczna Beauforta zrobiona z kartonu i drewna, jest równie inteligentna jak ręka naturalna. Znamy kapitana pozbawionego rąk obu, który za pomocą takich sztucznych, gra w szachy, trzyma sztucce i kraje mięso. Kto nie wierzy, niech w pawilonie francuzkim gdzie wystawiona ta ręka, spyta o stróża Bernis: ten wiarus pokaże zarazem i przyrząd i praktyczne jego na sobie zastosowanie.

Słowo nie da wyobrażenia o ruchach jakie nadaje ręce prosty i praktyczny mechanizm; opiszemy tylko jej kształt. Jest drewniana aż do pięści; od pięści do ramienia jest z tektury. Palce są napół zamknięte, tak, że mogą uchwycić wielkim i średnim palcem ściskając, żądany przedmiot. Wielki palec sam działa: otwiera rękę oddalając się od innych palcy; pasek z kauczuku silnie przywiązany, wywiera nań parcie i nagina do kierunku reszty palcy. Sznurek przytwierdzony do ramienia przeciwnego sztucznej ręce, zmusza ją do otwierania się lub zamykania. Lekkość tej ręki jest nadzwyczajna. Prostota mechanizmu pozwala sprzedawać ją wyrobnikom i żołnierzom za bardzo niską cenę, to jest franków piętnaście. (Adres: w Paryżu Mr Fichat, 164 rue de Rivoli).

Sprawozdawcy dziękują panu Beaufort w imieniu ofiar pracy i wojny. Ale wymyślniejszym jest błogostawieństwo które publicznie jemu daje wyż wspomniany inwalida, pokazujący tę rękę na wystawie. „Oto, powiada, ręka mechaniczna hrabi Beauforta, prawdziwe dobrodziejstwo dla kalek, a mianowicie dla ubogich, gdyż wynalazca szlachcie wymagał od fabrykantów żeby ją sprzedawali biednym za tyle ile kosztuje. Dla tego ta ręka zowie się *la mein du pauvre*.”

Jakim trafem majątny pan zajął się tym przedmiotem? Co myśl jego mogącą bujać swobodnie po rzeczach przyjemnych, skierowało w tę stronę? Co go spowodowało do poświęcenia lat parę temu wynalazkowi? Byli tacy, co powyż-

sze pytanie następczające się każdemu, zadali wynalazcy. Odpowiedział im następującą anegdotą:

„Podczas obleżenia Sewastopola (w którym hrabia brał udział) kapitan artylerji Fremont był dnia pewnego na służbie w przekopie: bomby padały gradem.

Dowódca posterunku trzymał w ręku dziennik, i z wesołością zwykłą francuzkiemu żołnierzowi, jakby urągając niebezpieczeństwu, wyciągnąwszy rękę zaczął wołać; „Voilà la Patrie! Journal du soir, qui vent la.....” nie mógł dokończyć, bomba urwała mu nogę i obie ręce! Święty Boże! mało kto na jego miejscu byłby się oparł chęci samobójstwa; ale Fremont był równie silny jak odważny. Podał się kuracyi, a ja zająłem się wynalezieniem dla niego rąk sztucznych. Bóg pobłogosławił zamiarowi zrodzonemu w czystym źródle miłości bliźniego. Fremont ma ręce i mogą je mieć wszyscy co je potracili na polu pracy czy bitwy.”

W dziale amerykańskim znajdują się tak zwane *Ambulances Volantes*. Są to ciężkie furgony, których pochód może łatwo wstrzymać zła droga. Amerykanie twierdzą że te ich wozy oddały wielkie usługi w czasie ostatniej wojny; Francuzi odpowiadają na to, że zarzucili takie ambulansy konne, po smutnych doświadczeniach odbytych pod Solferino: tam podobne furgony wjechać nie mogły na wzgórze, gdzie ich najwięcej potrzebowano.

Słusznie zapewne utrzymują ludzie doświadczeni, że prawdziwym ambulansem latającym są sakwy, które człowiek zarzuciwszy na konia lub plecy, może przenieść śpiesznie w najdalsze posterunki. Amerykanie nie posiadają właśnie tych ambulansów *pierwszego opatrzenia*, najważniejszych; Francuzi je mają, co nadaje ich wystawie pierwszeństwo. Wyższość ta będzie jeszcze większa skoro Francuzi swoje podręczne apteki lekszemi uczynią, uwalniając je od pił i nożów do amputacyi, którymi ich worki wypchane zupełnie nie potrzebnie, albowiem francuzka rada lekarska stanowczo zakazała chirurgom dokonywać amputacyi na polu bitwy, jako operacyi nie mogącej się odbyć pośpiesznie bez należytego rozmysłu i przygotowań.

Zbiory mineralogiczne na wystawie, mieszczą w sobie duszę przemysłu. W tej bezwładnej materji oświeconej

przez intelligencyą ludzką, złożone żywioły których przeobrażenia powiększają potęgę umysłową człowieka. Zbiory te są liczne i zajmujące z wielu miar. Wszystkie kraje przyniosły swoje okazy: szereg kruszców od najwyższego do najniższego, przedstawia bogactwo ziemskiego globu. Tu złoto, srebro, drogie kamienie, tam piasek, glina, gips i bezbarwny kamień wchodzący do budowy najprostszego domu, lub głazy poszukiwane z powodu twardości lub barwności, jak granity, marmury, porfiry i jaspisy używane na pomniki lub ustrojenie najwspanialszych pałaców.

Minerały palne, żelazo i miedź zajmują pierwsze miejsce w tej wystawie, gdyż w sztuce i przemyśle najużyteczniej są zastosowane. Miare przemysłu krajowego nie tyle wydobyła z jego gruntu ilość kruszcu, ile użytek jaki ludzie z niego czynić umieją.

Ażeby miał zupełne znaczenie, zbiór kruszców każdego kraju, powinien mieć mapę geologiczną, wyjaśniającą pokłady i przyczyny ich różności. Kilku wystawców tak tę ekspozycję pojęło, i pokładło obok minerałów mapy, wyłamując się tém z pod klasyfikacji metodycznej ale nie racjonalnej przyjętej przez Komisję, która wszystkie mapy geologiczne przyłączyła do XIII klasy, gdzie figurują jako okazy sztychu między sztukami wyzwolonemi.

Geologia postępy swoje zawdzięcza zbiorom mineralogicznym zgromadzonym na rozmaitych punktach globu ziemskiego. Porównywając, mogła stwierdzić ich jednaką cechę w najodleglejszych miejscach, oraz jednakowość warunków fizycznych, które w pewnych epokach panowały. Mineralogia wskazała geologii porządek rozmaitych pokładów, łańcuch po sobie następujących rewolucyi, które przeobraziły glob i na kształt jego wpłynęły; wskazała grunta w których można napotkać węgiel, żyły metalu, marmury, wszystko czego człowiek ku pożytkowi swojemu w łonie ziemi szuka.

Różne materje z których glob złożony, nie są rzucane przypadkiem; pewien porządek układowi ich przewodniczy: stwierdzono prawa formacyi i położenia każdego ciała, prawa równie surowe jak wszystkie które rządzą światem fizycznym. Geologia zdaje sprawę z tych praw; dla tego jej skazówki są najlepszym przewodnikiem w szukaniu pokładów kruszco-

wych. Jeżeli nie zawsze wiodą do celu, mogą oszczędzić fałszywego kierunku i kosztownych poszukiwań.

Zbyteczna, dłużej dowodzić stosunku jaki istnieć powinien pomiędzy zbiorami mineralogicznymi a mappami geologicznymi. Każdy także oceni ich ważność praktyczną, nie tylko dla przemysłu kruszcowego, ale i światła jakie rzucają inżynierowi i architektowi przy wykonaniu wielkich prac publicznych.

Karty geologiczne są poniekąd reprodukcją kart topograficznych kraju lub okolicy; oznaczono na nich kolorami, lub znakami, przestrzenie zajęte rozmaitym gruntem. Niwelacye, mniej więcej rozciągle profile, przekroje czynione w rozmaitych punktach, pozwalają przedstawić położenie względne pokładów, stosunek gruntów pomiędzy sobą. Dochodzi się tym sposobem do oznaczenia wszelkich szczegółów charakterystycznych gruntu i pokładów użytecznych jakie się w nim znajdują.

Karty geologiczne jednej okolicy nakreślone na większą skalę, lepiej oznaczają jej charakter i dopomagają do uzupełnienia kart powszechnych. Na nieszczęście francuzkie karty lokalne, czyli departamentalne, zwykle się różnią rozmiarem i podziałem; ztąd pochodzi, że je trudno pogodzić i należycie z nich skorzystać. Ten wielki błąd zwrócił uwagę znawców na wystawie: na przyszłość, wszyscy topografowie francuzcy mają się trzymać klasyfikacyi przyjętej przez pana Elie de Beaumont w jego pomnikowej pracy.

Mappy mineralogiczne, rolnicze i hydrograficzne, których nazwa, znaczenie i cel wskazuje, są we Francyi dwójakie: dają poznać pozycyą pokładu kruszców, lub zdają sprawę z przyczyn różności uprawy każdej przestrzeni. Wspólny węzeł łączy te rozmaite zastosowania geologii. Wszechstronne badanie tej nauki tłumaczy przyczynę bytu przemysłów kraju, a nawet przyczynę obyczajów jego mieszkańców, bo człowiek czerpie natchnienie ze swego fizycznego i moralnego okolenia. Jednostajność żywiołów i produktów, zaspakajając jednakie potrzeby, zbliża ludzi mimowiednie, i stosunki ich miesza. Geologowie francuzcy mogli wyrzec bez przesady, że dawne granice Francyi oznaczone jej geologicznym charakterem: toż samo da się powiedzieć o krajach sąsiednich.

Wystawiono mnóstwo kart geologicznych, ale mało takich któreby mogły służyć krajom za *dokument*. Większa część figurowała już na wystawie paryzkiej 1855 roku i londyńskiej 1862 roku.

Najlepszą mapę geologiczną powszechną Francyi, wykonał wyż wspomniany członek akademii nauk, pan Elie de Beaumont: jestto praca ogromna, równie zalecająca się zarysem ogólnym, jak szczegółami.

Na równi stoi przepyszna mappa *Wysp Brytanicznych* wydana przez *Geological survey*. Jestto dzieło pierworzędne! Najmniejsza falistość gruntu oznaczona, a liczne przecięcia poznajamiają z rodzajem ziemi. Szczegółowość, wykończenie, zdumiewające. Pokłady węgla oznaczone z matematyczną dokładnością.

Po tych dwóch, następuje karta Belgii Dumont'a. Temu zarzucają że zbyt rozdrobnił podział gruntów. W czwartym rzędzie mappa Westfalii i prowincyi Nadreńskich, postawiona na czele wystawy mineralogicznój pruskiej. Dalej karta Niemiec Hoffmana; rozmaite działy monarchii austriackiej, wydane przez instytut cesarski austriacki, pod kierunkiem Hajdinger'a. Nakoniec mappa Holandyi, Bawaryi, Szwajcaryi i Szwecyi.

Wszystkie wymienione mapy odznaczają się dokładnością, czystością roboty i pięknością kolorytu. Toż samo można powiedzieć o karcie Indyi, Osad Angielskich, Australii, Kanady i Nowej Szkocyi, które dobrze poznajamiają z dalekimi krajami.

Stany Zjednoczone mało prac tego rodzaju dostarczyły; jest tylko kilka szkiców Stanów Północnych. Stany Południowe nic prócz Chili nie nadesłały.

Liczne karty departamentalne, nadały nowy impuls naukom geologicznym we Francyi. Dopełniają one dzieło rozmaitością szczegółów, które można było lepiej oznaczyć na małej przestrzeni. Najdoskonalszą z kart departamentalnych Francyi których same wymienienie arkuszy zajęło, jest mappa de la Haute-Marne, przez Duhamela, uwydatniająca stosunki istniejące pomiędzy pokładami kruszczowymi.

Serya mapp zebranych przez Amedeusza Burat, głównych pokładów węgla we Francyi, Belgii i Prusach, nader użyteczna przemysłowi. Pana Mussy plan wypukły pokładu

żelaza w Ramcié, uważany jest za ostatnie słowo tego rodzaju pracy. Taki plan pozwala najmniej wprawnemu w sztuce górniczej, iść za postępem eksploatacyi i zrozumieć trudności jakie człowiek przełamywać musi ażeby z wnętrzości ziemi wydrzeć bogactwa.

Wystawa dała powód do nadzwyczajnego zgromadzenia Towarzystwa geologicznego Francyi. Towarzystwo to, nader liczne, nie sądzi że po pracach Cuvier'a, Brongniart'a, Beaumonta, Colomba i innych uczonych, grunt geologiczny okolic Paryża dostatecznie jest znany. Przedsiębierze więc nowe studia wspólném dopomagając sobie światłem.

Towarzystwo geologiczne francuzkie zgromadza się co rok na innym punkcie, celem zbadania na miejscu składu gruntu. Zeszłego roku zgromadzono się u podnóża Pyreneów; inną razą w Prowancyi, okolicach Cherburga, w Alpach i t. d. Tego roku posiedzenie odbyło się w Paryżu, dlatego żeby cudzoziemscy geologowie mogli z niego korzystać i w zamian światła swojego udzielić Francuzom. Posiedzenie trwało dni sześć. Dzień pierwszy zajęło zwiedzenie wystawy: przegląd wszystkich znajdujących się tam minerałów. Dzień drugi: wycieczka do Pont-Sainte-Maxence, pod dyrekcją pana Verneuil, członka instytutu, miejsce bardzo ciekawe z powodu kompletnej seryi pokładów ziemnych. Dzień trzeci: studyum łożyska Sekwany pod kierunkiem pana Belgrad, inspektora generalnego dróg i mostów. W tém dawném łożysku znaleziono kamienne topory ręką przedpotopowych ludzi ciosane i kości zwierząt przedpotopowych, które to szczątki są na expozycyi w jednej z sal historii pracy. Dzień czwarty: zwiedzenie głównych zakładów naukowych Paryża, szkoły min i ogrodu botanicznego. Dzień piąty: wycieczka do Bar Meudon dla widzenia pokładów białej kredy, podstawy stałej, na której spoczywają wszystkie inne pokłady bassenu Sekwany. Dzień szósty: wycieczka do Argenteuil, miejsca obfitującego w osobliwości kopalne.

Na wieczornych posiedzeniach codziennie, sekretarze Towarzystwa odczytywali treść dyskusyi i obserwacyi poczynionych w czasie wycieczek.

Naukowe to Towarzystwo tém się wyszczególnia, że bez trudności przyjmuje w grono swoje wszystkich cudzoziemców. Kto się zajmuje geologią, albo pragnie się poświęcić téj ważnej nauce, znajdzie w Towarzystwie geologów francuzkich pomoc i wszelakie ułatwienia ku osiągnięciu wiedzy nabytej, którą sam, bez pomocy, musiałby przez długie lata zdobywać z uszczerbkiem dalszych poszukiwań.

Wyszedł w Londynie a w Paryżu został jednocześnie przetłumaczony, pierwszy tom dzieła wydawanego przez królową Wiktoryą pod napisem: *Młode lata księcia Alberta*. Tytuł francuzki: „*Jeunes Années de son Altesse Royale le Prince Consort, ouvrage Composé sous la direction de Sa Majesté la Reine, par le lieutenant-général Charles Grey.*” Większą część téj zajmującej publikacji składają listy Alberta do królowej i jéj odpowiedzi. Całe skojarzenie tego małżeństwa opowiedziane listami. Listy królowej z tego powodu pisane do króla belgijskiego bardzo ciekawe. Cała ta publikacja tajników domowych, głów ukoronowanych, jest jedyną w swoim rodzaju. Prócz wydanego, będą jeszcze dwa tomy.

— Znany pisarz angielski Dixon wydał nader zajmującą książkę pod tytułem: „*Ameryka Nowa.*” Ukazuje on Amerykę religijną i mistyczną. Dotąd Europejczycy znali ją tylko ze strony sceptycyzmu i niereligijności. Książka wyszła po angielsku; ale téż na francuzki przełożoną została. Jak widzicie, Paryż zaczyna żyć przekładami.

— Pan Vilnac napisał wytworny tomik pod tytułem: „*Kobiety.*” Jestto studyum płci pięknej, w którym znać rękę bardzo wprawnego pisarza i psychologa niepospolitego. Podpis autora zmyślony. Mówią że jakaś wysoka osoba ukrywa się pod nazwą Vilnac’a.

— Ludwik Figuier wydał nowy poszyt *Cudów Nauki*. Cały zajmuje telegrafia elektryczna. Centralne biuro telegraficzne Paryża opisane w sposób naukowy a bardzo zajmujący. *Cuda Nauki* są niewątpliwie najlepszą publikacją licznych rozpowszechniaczy nauki.

— Pan Laufray wydał tom nowy „*Historyi Napoleona Igo.*”

— Professor Alfred Mézières wydał znakomite studyum pod tytułem: „*Etat actuel de l'Université.*” Professor wydziału literackiego w Paryżu, Mézières może mówić o uniwersytecie z zupełném znawstwem. Owóż, zdaniem jego nietylko wychowanie elementarne, ale wychowanie wyższe Francyi niżej stoi od wychowania w krajach ościennych. Wytknąwszy błędy i wskazawszy rady, professor powiada: „Szpada Francyi już nie najwięcej waży w przeznaczeniach świata; nie pozwólmyż żeby także w pierwszym rządzie jaśnieć przestała intelligencja.”



TRZEJ SAMOZWAŃCY

Z CZASÓW PIERWSZYCH CEZARÓW.

SZKIC HISTORYCZNY

PRZEZ

L. S. Wieczora.

Kand. fil.

W przeciągu dwudziestu kilku wieków, które historia ludzkości obejmuje, nierzadkie są wypadki zjawienia się samozwańców, oszustów, przybierających cudze imię, najczęściej wysoko położonych i gwałtowną śmiercią zgładzonych ludzi. Od śmierci Smerdysa, brata Kambizesowego, gdy zjawił się pierwszy znany nam w historii samozwaniec, mag Smerdys według Herodota, według innych zaś zwany Arapastem, lub Sfeudadatem, aż do ostatnich czasów, pamiętamy bowiem fałszywych Ludwików XVII, nie mało było podobnych awanturników, śmiałków lub oszustów we wszystkich krajach i czasach. Wiadomo, że względem niektórych z tych ludzi, jak np. Sebestyana Portugalskiego do dziś dnia, według zdania niektórych historyków, pozostaje wątpliwość, co do ich prawdziwego pochodzenia, i czy rzeczywiście byli oni oszustami. Cudowność, nawet w ostatnich czasach, ważną odgrywa rolę w historii samozwańców: przybierając imiona zgładzonych przemocą i dla tego samego po części używających popularności i opłakiwanych przez masy, mniej dla rzeczywistych swych przymiotów, oszuści ci pobudzali opowiadania o swém cudowném ocaleniu drzemiący w ludziach

instynkt cudowności i lud, jak już za życia, tak i więcej jeszcze po zgonie tych awanturników otaczał ich przedzą poezyi, opowiadał cudowne podania. Ta aureloa cudowności dopomagała wiele tym awanturnikom w ich śmiałych przedsięwzięciach a po ich po większej części tragicznym zgonie, otacza jeszcze ich pamięć. Pod wpływem téj cudowności lud widział w samozwańcach uderzające podobieństwo do ich, że tak powiemy, wzorów: historyk może, co najwięcej, widzieć podobieństwo wieku, niepodobieństwem zaś jest uznać we wszystkich samozwańcach zupełne podobieństwo postawy i rysów, które jednak uznawali społecześni.

Zresztą, szczególnież na Wschodzie, osoby z panujących domów rzadko się ukazywały i wszystkim znane nie były i dla tego lud, który częściej o nich słyszał niż je oglądał, łatwo mógł być w błąd wprowadzony; znakomitsze zaś osoby więcej przez wyrachowanie, ambycją lub politykę niż z przekonania, wspierały samozwańców.

Mówiąc w ogólności, te wybryki nadzwyczajności w historii nie trwałego nie zbudowały, trwały krótko i przeminęły bez ważnych następstw. Jednakże, dzieje niektórych samozwańców mogą stanowić wyjątek od téj zasady: zjawiali się oni niekiedy w epokach ważnych i byli narzędziem Opatrzności, przyczyniając się niekiedy znacznie do zmiany kierunku w historii narodu, do nowych zwrotów: przynosili oni nieraz nowe wpływy, nowe idee, których dłuższe lub krótsze panowanie zależało od późniejszych okoliczności.

Zjawienie się w pierwszych czasach cesarstwa Rzymskiego trzech samozwańców, o których mówić mamy, nie pociągnęło za sobą żadnych ważnych następstw. Były to krótkotrwałe wybryki, o których wzmiankę znajdujemy, jako poboczne epizody, w przepełnionych opowiadaniem o okrucieństwach pierwszych cesarów, nieśmiertelnych dziełach Tacyty, którego przedewszystkiem trzymać się będziemy.

1. Agryppa.

Oktawian Cezar *uspokoił* rzeczpospolitę rzymską, to jest wymordował nieprzyjecznych sobie senatorów i obywateli, a tym, których pozostawił przy życiu, wydarł ich własność

i rozdał swym żołnierzom, zgniótł orężem ostatnich obrońców dawnego porządku rzeczy, a dogadzaniem pospólstwu i żołnierstwu utrwaliwszy swój wpływ, pozbył się ostatecznie wszystkich spółzawodników i nie mając już potrzeby być zimno-okrutnym, jak przedtém, zaczął swe łaskawe rządy w podupadłym, z lepszych ludzi ogołoconém, wojnami domowemi znękaném, państwie. Spokój, który nastąpił, był raczej odrętwieniem niemocy: wiek Augusta, przez pochlebstwo nazwany złotym, był chyba tylko pozłacanym. August wypoczywał na laurach, odbierając cześć prawie boską już za życia; poniżenie i pochlebstwa senatu rosły co raz to bardziej: władza Cezara była utrwaloną. Do pomyślności Augusta brakowało tylko szczęścia familijnego. Chociaż właściwie monarchia nie została zaprowadzoną *de jure*, nie została wprowadzoną żadna konstytucya monarchiczna i wszystkie dawne formy rzeczypospolitej pozostały na pozór nietkniętymi; jednakże August wiedział dobrze, że w skutek dążenia historyi i okoliczności, każda inna forma rządu, oprócz monarchicznój, była niemożliwą, nie obawiał się więc powrotu rzeczypospolitej. Co do następstwa tronu, (że użyjemy tego nowoczesnego wyrażenia), tém mniej mogło być jakieś ustalone prawo; panujący już za życia mógł ustanowić swego następcę, nadając komubądź ze swojej rodziny godności i tytuły, które sam posiadał i przybierając go niby za współrządcę, wprawdzie dopóki sam żył, tylko tytularnego. Otóż los pozbawił Augusta kolejno tych wszystkich, których przybierał sobie za następców: zięcia Agryppy, wnuków Kajusa, Lucjusza i Marcellusa siostrzeńca. Pozostał mu jeden tylko wnuk, Agryppa Pogrobowiec, syn wymienionego i jedynéj córki Augusta rozpustnéj Julii. Agryppa był to młodzieniec nieokrzesany, dzikiego charakteru, niesforny i złych obyczajów: dla tych powodów, a więcej w skutek intryg żony swéj Liwii, August skazał go na wygnanie na wysepkę Planazyę (1), i osamotniony ujrzał się zmuszonym przybrać za synów swych pasierbów Druzusa i Tyberyusza.

Był to cel wszystkich zabiegów Liwii, ażeby synom swym zapewnić następstwo po Auguście. Lepszy z pasierbów waleczny i przez lud ukochany, nawet o republikańskie dą-

(1) Mała wysepka u zachodnich brzegów Italii, okolo Korsyki.

żności posądzany Druzus, umarł przed Augustem, a ponury Tyberyusz sam jeden pozostał pewnym następstwa. Ale August nie miał serca do niego i w ostatnich latach życia przypomniał sobie wygnanego rodzonego wnuka Agryppę. Kryjąc się przed okiem dbałój o syna Liwii, bezsilny starzec pokryjomu, jak opowiada Tacyt, w towarzystwie zaufanego przyjaciela, Fabiusza, odwiedził młodzieńca, uściskał go ze łzami i po wielu oznakach przywiązania powrócił do domu, powziawszy niepewne jeszcze postanowienie odwołania z wygnania wnuka, gdyby się to udać mogło. Na nieszczęście, Fabiusz zniweczył te zamiary i stał się przyczyną zguby własnej i Augusta: nie umiał on dochować tajemnicy i o podróży swój z Augustem opowiedział żonie swój Maryi, ta zaś Liwii. Skutkiem tego była nagła śmierć Fabiusza, o której rozmaicie ludzie mówili: prawdopodobnie zgładził go August za niedochowanie tajemnicy, co potwierdzały jęki i skargi Maryi żalącej się na pogrzebie męża, że była przyczyną jego śmierci, zdradziwszy tajemnicę przed Liwią (1). I sam August drogo przypłacił tę niewczesną i zamiarom Liwii przeciwną tkliwość względem wnuka: żadna władzy dla syna, ta kobieta nie wahała się poświęcić męża i otruła 78-letniego starca w Noli. Zresztą Tacyt nie podziela stanowczo tego zdania *niektórych*, jak się wyraża (2).

Pierwszym czynem Tyberyusza było morderstwo Agryppy, przedmiotu niebezpiecznej tkliwości dziada. Zbrodnię tę spełniono skrycie i podstępnie: posłany centuryon bezbronnygo i niespodziewającego się rychłego końca młodzieńca zamordował, gdy tymczasem w Rzymie Tyberyusz, chociaż wówczas jeszcze udawał człowieka prywatnego i o wszystko odnosił się do senatu, dając się zarazem prosić i błagać o przyjęcie rządów, nie wspomniał ani słowem o zgonie Agryppy. Rozpuszczono natomiast pogłoskę, jakoby sam August rozkazał pilnującemu wygnańca trybunowi zgładzić młodzieńca natychmiast, gdy się dowie o jego śmierci. Fałsz ten był wymysłem Tyberyusza: August, aczkolwiek surowy dla swój rodziny, nikogo z niej życia nie pozbawił i trudno wierzyć, powiada Tacyt, żeby zadał śmierć wnukowi dla

(1) Tacyt. Annal. I. 5.

(2) Tacyt, *tanżc.*

bezpieczeństwa pasierba, choćbyśmy nawet ostatnie odwiedzi-
ny Augusta uważali za niedowiedzioną pogłoskę. Nadto
gdy centuryon po dokonaniu zbrodni oznajmił Tyberyuszowi,
że rozkaz jego spełniony został, Cesarz oświadczył że żadne-
go w tym przedmiocie nie dawał rozkazu i że senatowi wy-
pada dać znać o téj sprawie. Dowiedziawszy się o tym
mniemanym zamiarze Tyberyusza, Sallustysz, jego powie-
nik i spółuczestnik zbrodni, udał się do Liwii, dowodząc
niestosowności rozgłaszania sprawy w senacie, oraz dla ko-
nieczności zachowania domowych tajemnic, potem dla dobra
panującego, który nie potrzebuje zanadto osłabiać swą władzę
częstém odwoływaniem się do senatu. Sallustysz trącił
w myśl Tyberyusza, który będąc z natury skrytym i przewro-
tnym, lubił gdy zausznicy i służalczy senat odgadywali jego
myśl i gorącemi prośbami nakłaniali go niby do uczynienia
tego, czego rzeczywiście najusilniej pragnął, chociaż zupełnie
przeciwnie mówił. Sallustysz obawiał się o siebie, sądząc
niebezzasadnie (jak tego późniejsze nieco tragiczne wypadki
dowodły), że w razie gdyby Tyberyusz wniósł sprawę do
Senatu, mogliby jego samego obwinić o morderstwo Agryppy,
i Tyberyusz, jak potem Pizona w sprawie o otrucie Germani-
ka, tak bez wątpienia byłby poświęcił Sallustysza dla pod-
trzymania maski swéj własnej niewinności.

Ostatecznie więc, na prośby Liwii i Sallustysza, Tybe-
ryusz pokrył milczeniem zgon Agryppy i zapomniano wkrótce
o morderstwie nad ostatnim wnukiem Augusta dokona-
ném (1).

Miał Agryppa w Rzymie wiernego i przywiązanego nie-
wolnika, imieniem Klemens. Ten, dowiedziawszy się o gro-
żącém swemu młodemu panu niebezpieczeństwie, zaraz po
śmierci Augusta powziął śmiały zamiar porwania Agryppy,
ażebym następnie udać się z nim do Germanii pod opiekę legii
tam stojących i tym sposobem nie tylko ocalić mu życie, ale
przy pomocy zbrojnej siły wynieść go do władzy. Ale okręt,
na którym Klemens zdążył do Planazyi, zbyt obłożony,
w czas nie pośpieszył i zabójcą wysłany przez Tyberyusza,
uprzedził jego zbawcę.

(1) Całą tę historiją, malując w niewielu słowach sprzeczności w cha-
rakterze i przewrotność Tyberyusza, skroślił po mistrzowsku Tacyt.
Annal. I. 6.

Wierny niewolnik musiał poprzestać na tém, że skradł popioły swego pana i zabrawszy je z sobą, udał się do Etrurji. Tu w okolicy przylądka Cosas skrył się w nieprzystępném miejscu, zapuścił brodę i długie włosy i po upływie dwóch lat, 16 r. po Chr. a 2 panowania Tyberjusza, wystąpił jako samozwaniec Agryppa. Znaleźli się wkrótce zwinni i ukryci sprzymierzeńcy, którzy rozpuścili pogłoskę że młody Agryppa żyje. Sam samozwaniec, opuściwszy dotychczasowe kryjówki, zaczął ukazywać się w miastach, ale zwykle o zmierzchu i na czas krótki, żeby nie być poznanym. Pogłoski szerzyły się i rosły, rosła także i wiara w samozwańca: w całej Italji, i w samym Rzymie lud o nim tylko mówił, wyglądano go lada chwilę, twierdzono nawet że zawinął już do Ostyi i idzie do Rzymu upomnieć się o swe prawa. Mnożyły się codziennie w stolicy potajemne zbiegowiska i narady: stan rzeczy mógł stać się niebezpiecznym.

Sam Tyberysz zatrwożył się, wahał się jednak pomiędzy strachem i wstydem: już to chciał użyć całej swęj siły zbrojnej dla położenia tamy wzburzeniu i zgnicenia samozwańca, już to przez pogardę dla jakiegoś tam niewolnika, niegodnego podobnych środków, miał zupełnie nie zważać na próżne strachy, aźby się takowe same biegiem czasu rozwiały.

Nakoniec poruczył tę sprawę Sallustyuszowi, interesowanemu, jak wiemy, w co rychlejszém przytłumieniu zamieszek. Sallustysz uciekł się do podstępu, zkąd widać że fałszywy Agryppa miał wielu stronników i trzeba było brać się do rzeczy ostrożnie. Dwaj klienci tego zauszniaka Tyberyszowego, według innych zaś dwaj żołnierze posłani byli do Klemensa, jak gdyby nowi stronnicy, żeby wkradli się w jego zaufanie i wypatrzyli stosowną chwilę do schwytania samozwańca. Podstęp udał się: za pomocą wojska schwytany w nocy Klemens, związany, z zakneblowanemi ustami, stawiony został przed Tyberyszem. „Jakim sposobem zostałeś Agryppą?” szyderczo zapytał Cesarz. „Podobnie jak ty Cezarem” odpowiedział samozwaniec. Usiłowano wykryć współników; lecz żadne tortury i męczarnie nie zdołały zmusić mniemanego Agryppę do ich wydania. Nie dając sprawie żadnego rozgłosu, Tyberysz rozkazał zgładzić Klemensa w samymże swoim pałacu, a ciało wywieźć potajemnie. Wiedział dobrze cesarz, że samozwaniec miał wielu stronni-

ków pomiędzy senatorami, rycerzami, a nawet w jego otoczeniu; wiedział że dawano mu pieniądze i rady i na jego korzyść działano na lud, ale po części dla braku dowodów, a były to jeszcze pierwsze lata łaskawszych rządów Tyberjusza i okropny system oskarżycieli, i ślepego okrucieństwa nie był się jeszcze wykształcił, po części przez ostrożność, ażeby tej przykrój i niebezpiecznej sprawie nie dawać rozgłosu, po ukaraniu samozwańca zaniechano wszelkiego dalszego dochodzenia (1).

Tak zginął mniemany Agryppa, i po jego zgonie chwilkowa agitacya zupełnie ucichła; lud zapomniał o nim i wrócił do dawnego stanu zwierzęcego materyalizmu i odrętwienia, przerywanego wołaniem o *panem et circenses* i pochlebstwami Cezarowi.

2. Druzus.

Cezar Germanicus, syn Druzusa, synowiec przybrany za syna przez Tyberjusza z woli Augusta, był najlepszym z całego złowrogiego rodu Klaudyuszów, Neronów, który przez adopcyą zasilał dom Cezara. Młodzieniec ten wielkich nadziei zginął 5 roku panowania Tyberjusza, otruty, jak wieść niosła, przez swego spółzawodnika w rządzeniu prowincyą Pizona, nie bez udziału cesarza, który następnie, ustępując przed naciskiem opinii publicznej, przychylniej Germanikowi, dozwolił potępić Pizona i zmusić go do odebrania sobie życia (2). Germanicus zostawił wdowę Agryppinę, córkę Julii i Agryppy, siostrę zgładzonego na Planazyi Agryppy i sześcioro dzieci.

Dumna i wyniosła wnuczka Augusta, widząc się osieroconą i nienawidzoną przez Tyberjusza, który już wtedy zaczynał być podejrzliwym i nieznoszącym ludzi, zyskujących popularność cnotą i zasługami, nie umiała znosić swego smutnego położenia, głośno objawiała swą boleść i niezadowolnienie i sama dawała łatwo powód swym wrogom do oskar-

(1) Historia fałszywego Agryppy zawiera się u Tacyty w *Annal.* II. 39 i 40.

(2) Ostatnie chwile Germanika, zbrodnię Pizona i jego sprawę po mistrzowsku skreślił Tacyt w *Annal.* II. 69—83 i III. 1—18.

żeń o spiskowanie (1). Elius Sejanus, prefekt straży pretoriańskiej, pozyskał w owym czasie względy Tyberyusza i przez dwanaście lat potrafił być powiernikiem i doradcą tego podejrzliwego i skrytego starca. Ufny w swą potęgę, Sejanus powziął zuchwały zamiar dostąpić samemu panowania i dla uskutecznienia tego zamiaru postanowił usunąć najprzód wszystkich spółzawodników, zgładzić familią Cezara. Intrygami i tajemnymi zbrodniami Sejanus chciał zgładzić, jak potomstwo Germanika, tak i potomstwo samego Tyberyusza i zaczął od tego ostatniego. Liwia, żona Druzusa, jedyne go syna cesarza, była, jak większa część ówczesnych rzymskich kobiet, niewiasta zepsuta i złych obyczajów; Sejanus zaprowadził z nią miłości i namówił do otrucia męża (2). Podobne wypadki, o których słyszymy i czytamy ze zgrozą, były w owych czasach, podobnie jak najwyrafinowane inne zbrodnie, na zwykłym porządku dziennym. Zgładziwszy tym sposobem Druzusa, Sejanus, ten zły duch morderca cesarskiego domu, otwarcie prosił Tyberyusza o rękę Liwii i chociaż podejrzliwy starzec na ten raz zřęcznie odmówił, zuchwały faworyt nie tracił jeszcze nadziei. Pozostawała jeszcze do usunięcia rodzina Germanika: Sejanus pałał ku niej nienawiścią, jaką żywią zwykle zbrodniarze nawet względem potomstwa cnotliwych ludzi i w niósł w nią zgubę i rozdwojenie: za pomocą całego pasma podstępów i intryg potrafił wzbudzić podejrzenia i spowodzić wybuch dawno tłumionej niechęci Tyberyusza ku Agryppinie: nie-szczęśliwa ta niewiasta skazaną została na wygnanie na wyspę Pandataryą (3), przetrwała tam cały czas panowania Sejana i we dwa lata po upadku i zasłużonej karze tego zbrodniarza, widząc że próżna nadzieja powrotu, okrucieństwo Tyberyusza coraz to bardziej w owych latach rosło, obrzodziwszy sobie smutne życie, dobrowolnie umorzyła się głodem (33 r.) (4). Z trzech synów Germanika, starszy Nero, młodzieniec łagodnego charakteru i wielkich nadziei, chociaż zniewieściaty i już zbyt kom oddany, najbliższy po zgonie Druzusa domniemany następca Tyberyusza, prześla-

(1) Patrz głównie: *Annal.* IV. 52—54.

(2) *Tacyt:* *Annal.* IV. 8.

(3) Na południo-wschód od Rzymu, u wybrzeży Kampanii.

(4) *Tacyt:* *Annal.* VI, 25.

dowany i szpiegowany przez Sejana na każdym kroku, w dzień i w nocy, nakoniec za sprawą tegoż razem z matką oskarżony i zgładzony został (1). Młodszy syn Germanika, Druzus, młodzieniec złego charakteru, w którym przebijają się już zbrodnie i okrucieństwo, wciągnięty został przez Sejana do jego intryg; pobudzany przeciwko bratu (2), po jego zgubie przez czas krótki cieszył się nadzieją następstwa, lecz po upadku Sejana i straszliwej rzezi wszystkich jego współników, jako jeden z nich uwięziony. Wieść niesła że Tyberyusz, obawiając się jeszcze zbrojnego powstania Sejana, rozkazał Makronowi, nowemu prefektowi pretoryanów, aby w takim razie wypuścił z więzienia Druzusa i postawił go na czele ludu. Ale to rzecz wątpliwa, gdyż Tyberyusz po zgubie Sejana, oburzony pogłoskami, które posadzały go o łaskawość i chęć pojednania się z Agryppiną i jej synem, rozkazał umorzyć głodem Druzusa (3). Nieszczęśliwy, chociaż mało na politowanie zasługujący młodzieniec przeciągnął jeszcze swój nędzny żywot dni dziewięć, jak mówi historyk, jedząc siano, słomę i inne rzeczy z własnej pościeli. Zimne i nagie okrucieństwo Tyberyusza, który po tak nędznym zgonie własnego wnuka lżył go jeszcze po śmierci przed senatem, rozkazawszy czytać listę jego występków i prawdziwych lub mniemanych zbrodni, napełniło zgrozą nawet przywykłych do wszelkiego rodzaju okropności społecznych. Okazało się, że w ciągu kilku lat Druzus otoczony był szpiegami, którzy śledzili jego ruchy, postawę, słowa, nawet jęki i szemrania. Żołnierze i centuryonowie lżyli go i bili w więzieniu, gdy napełniony rozpaczą, graniczącą z szaleństwem, miotał przekleństwa na Tyberyusza lub błagał o nędzne pożywienie (4).

Gdy jeszcze Druzus włókł nędzne życie w więzieniu, zjawił się na wyspach Cykladzkich samozwaniec, który przybrał jego imię. Okropne położenie i tragiczny los potomstwa ulubionego niegdyś Germanika, obok lekkomyślności Greków i ich zamięłowania w nowościach sprawiły że ten

(1) Brak nam szczegółów o śmierci Nerona, gdyż w V księdze *Annalów* Tacyty znajduje się znaczna przerwa, właśnie od oskarżenia Agryppiny z synem aż do upadku Sejana.

(2) Tacyt: *Annal.* IV, 60.

(3) Tak mówi Tacyt: VI, 28.

(4) *Annal.* VI, 24.

samozwaniec zyskał wiarę i stronników. Wkrótce fałszywy Druzus z Cykladów przybył do Grecyi, otoczony wyzwolencami domu Cezarów: upatrywano w nim rysy Druzusa i mówiono że umknąwszy z więzienia udaje się do legii Syrii i Egiptu, zachowujących jeszcze pamięć jego wielkiego ojca, ażeby stanąwszy na ich czele pomścić się na Tyberyszu krwawych krzywd swój rodziny. Poppeus Sabinus, prokurator Macedonii i Grecyi ścigał samozwańca, dowiedział się od niego, jakoby był synem M. Silanusa i napisał o tém wszystkim do Tyberysza. Samozwańca wsadzono na okręt ażeby zawieźć do Italii. Co się następnie z nim stało, nie wiemy, nie wiedział i Tacyt (1).

3. Neron.

Całe stulecie dobiegało już swego kresu, od czasu jak zwycięstwo Oktawiana pod Akcyum ugruntowało nową formę rządu w świecie starożytnym. Następcy Oktawiana panowali w ten sposób, że przez porównanie, *rządy bożkiego Augusta* mogły słusznie uchodzić za wzór dobrośliwości i łaskawości. Skryty i obłudny Tyberys, szaleniec Kaligula, idyota-erudyta Klaudyusz, ślepe narzędzie bezwstydných kobiet i wyzwolenców, nakoniec okrutny śpiewak i aktor Neron, wariacy byli jeden drugiego. Gdy legie Galby powstały przeciwko Neronowi i zarozumiałe śpiewak, opuszczony przez wszystkich, zadał sobie śmierć, świat rzymski niewiele na tém zyskał. Błędnieby było sądzić że upadek Neronu i wyniesienie Galby były skutkiem przebudzenia się rzymskiego ducha, wyczerpania cierpliwości ludu rzymskiego; nastąpiło to raczej w skutek przebudzenia się, że tak powiemy, nowego źródła nieszczęść państwa rzymskiego: swawoli wojska. Dotychczas wszystkie rewolucye, intrygi, morderstwa dokonywały się w Rzymie; pałacowe tragedye pozbawiały życia lub wynosiły do władzy członków domu Cezara; Rzym, jak nowożytny Paryż, był ogniskiem władzy i dawał panów światu, a prowincye zawdzięczały swą pomyślność i pokój brakowi udziału w tych przewrotach, których wszelkie złe

(1) *Annal.* V, 10.

skutki spadały na stolicę. Teraz legie prowincjonalne zaczęły tworzyć cesarzów, i mordy, gwałty, spustoszenia i zacięte wojny o panowanie rozszerzyły się po całym państwie. Tak wygaśnięcie domu Cezarów nie sprowadziło pokoju i nie wywarło dobrych skutków: w ciągu dwóch lat zginęli czterej cesarze: Galba, Pizon, Otton i Witelliusz; pożar wojny domowej rozszerzył się w Italii i przyległych prowincjach, a ofiary gwałtów i mordów były w ciągu tych dwóch lat omal nie liczniejsze od ofiar despotyzmu pierwszych Cezarów w ciągu półwieku. W smutnych tych czasach, gdy wojna pomiędzy Ottonem i Witelliuszem srożyła się w Italii, byli tacy, szczególnie między pospółstwem i wojskiem, co żałowali Nerona. Przyczyn tego należy szukać z jednej strony w szczodroblowości Nerona względem ludu i żołnierzy, zwykłej u prześladowców klass wyższych; z drugiej strony w naturze ludzkiej, która w obec terażniejszych nieszczęść dawne uważa za mniejsze. Przytem historia dostatecznie nas przekonywa, że nie było złego, któreby nie miało swych stronników i obrońców; że zdania ludzkie co do dobrego i złego zawsze były podzielone, tak że najgorsza sprawa i najgorsi ludzie znajdowali, i dopóki ludzie ludźmi, znajdować będą, przyjaciół i poleczników.

Korzystając z takiego tu i owdzie objawiającego się usposobienia umysłu i rozmaitych pogłosek co do zgonu Nerona, budzących wątpliwość w niektórych, pojawiło się (jak wyraźnie powiada Tacyt) kilku samozwańców (1). Jednego tylko z nich przygody znamy dokładniej. Pojawił się on w Grecyi; jak zwykle, tak i w nim, upatrywano podobieństwo do Nerona, podobnie grał on na cytrze i śpiewał, jak niegdyś młody cesarz. Nie zabrakło łatwowiernych towarzyszy i spółników mniemanemu Neronowi: wałęsający się tu i owdzie niewolnicy, wyzwolenicy, żołnierze i przed burzą wojny domowej zbiegli obywatele składali jego orszak. Samozwaniec; naśladowując swój wzór, nie postępował zbyt łaskawie: niechających go uznać żołnierzy karał śmiercią, a złupiwszy kupców uzbroił za te pieniądze swych niewolników. Usadowiwszy się na wyspie Cytnus (2),

(1) Tacyt: *Histor.* II, 8.

(2) Jedna z pomniejszych Cykladów.

wypędził z tamtąd centuryona Sizenę, wysłanego w poselstwie do pretoryanów przez legie syryjskie i zbierał coraz liczniejszych stronników. Nakoniec Kalpurnius Asprenatus, rządca prowincyi Galacyi i Pamfilii, posłał dwa okręty dla schwytania oszusta. Fałszywy Neron usiłował przeciągnąć załogę okrętów na swoją stronę, a gdy to się nie wiodło, błagał żeby go zawieźli do Egiptu lub Syrii. Dowódcy okrętów, działając ostrożnie, udawali że się zgadzają lecz skoro tylko samozwaniec wsiadł na okręt, zamordowano go z rozkazu Kalpurniusza, a trupa zawieziono do Azji, a z tamtąd do Rzymu (1).

Szczególny wyraz oczu, długie jasne włosy i dziki wyraz twarzy samozwańca wielce przypominały Nerona. Od niego samego nie dowiedziano się, kim był rzeczywiście i pozostała pewna wątpliwość, którą zdaje się dzielić Tacyt (2). Twierdzili niektórzy że był to zbiegły niewolnik z Pontu, według drugih, miał to być wyzwoleniec z Italii (3).

Takie były losy tych trzech śmiałych awanturników z najsmutniejszej epoki Rzymu, napełnionej okropnościami wszelkiego rodzaju, której mistrzowskim historykiem był Tacyt, godny lepszych czasów.

Kielce, dnia 31 lipca 1887 r.

(1) Tacyt: Histor. II, 9.

(2) Tamże: et interfectus, *quisquis ille erat*.

(3) Tacyt: Histor. II, 8.

JERZY JULIUSZ KLOWIO,
MINIATURZYSTA CHORWACKI.

(1498 † 1578).

PRZEZ

Franciszka Edwarda Matejkę ()*.

Mąż, którego żywot i prace artystyczne czytelnikom przedstawić zamierzam, nie jest rodakiem naszym, wedle dotychczasowego rozumienia rzeczy; a który przecież jako Słowianin obojętnym być nam nie powinien, choćby jeno z tego względu, że jako miniaturzysta tak wysoko ceniony przez spółczesnych i potomnych, a w dziedzinie sztuki jedno z najznamienitszych zajmujący miejsce, własnością jest wszystkich cywilizowanych narodów; jako zaś z jednego z nami pochodzący szczepu, chluba i zaszczytem być winien całej Słowiańszczyzny.

Zasłużony chorwacki uczony Jan Kulikiewicz Sakciński zajmujący się zebraniem i spisaniem żywotów artystów południowo-słowiańskich, który wydaje pod nazwą: „*Słownik umiactników jugosławenskich*” (1), rozpoczął znakomitą swą pracę biografią Jerzego Juliusza Klowia, którą tu wedle opowiadania samego autora tudzież J. B. Müllera (2), czytelnikom naszym podaję.

(*) Treść tylko téj rozprawy drukowaną była w Tygodniku Ilustrowanym obok portretu Klowia, na żądanie przeto autora podajemy w całości zajmującą tę pracę. (Przyp. Red.)

(1) Zob. Arkiv za powiestnicu jugoslawensku. Zagrzeb 1862.

(2) Czasopis Muzea Králoství czechého. 1855 IV.

„Nie było, ani będzie po wiele wieków tak wybornego i znakomitego malarza miniatur, jak był *Jerzy Juliusz Klowio*; przewyższył on bowiem wszystkich, którzy się zajmowali malowaniem tego rodzaju.” Temi słowy rozpoczyna opowiadanie swoje biograf Klowia, spółczesny mu znany malarz i zarazem pisarz *Jerzy Vasari* (1). Słowa jego zostały w swęj mocy i wadze aż po dni nasze; świat bowiem nie wydał dotąd artysty, któryby go był prześcignął w malarstwie miniaturowém. Mało jest zaiste artystów, oprócz Rafaela, Michała Anioła, Correggia, Ticiana i Leonarda da Vinci, o którychby tak zgadzały się głosy całego świata umiętne-go i artystycznego, jako się zgadzają co do Klowia. Włoscy, angielscy, francuzcy i niemieccy pisarze mówiąc o Klowiu, dają mu rozliczne przydomki; z wszystkich atoli ten się daje wyprowadzić wniosek, że Juliusz Klowio dosięgnął, w bie-głości malarstwa miniaturowego, stopnia najwyższej dosko-nałości.

Wedle świadectwa wszystkich życiopisarzy, urodził się Klowio r. 1498 w *Gryżanach*, małej wioseczce chorwackiego pomorza, w obwodzie Winodolskim. Nie wiadomo wcale kto byli jego rodzice i jak się zwali właściwie. Łatwo się domy-słać, iż stosownie do zwyczaju owego czasu, we Włoszech nazwisko jego zostało zmienioném i przykrojoném na włoski sposób. Na całym pomorzu chorwackim niema ani jednej pamiątki piśmiennej, w którejby wzmianka choć była o ro-dzinnj nazwie Klowia; kiedy przeciwnie napotykanymy w za-bytkach owego wieku imiona: „Głowicz“ i „Gławicz“ w *Griżanach* i w *Nowém* (w *Nowom*); „Glowon“ i „Glawon“ w *Ter-sacie*; „Gobicz“ w *Griżanach*, „Gławicz“ w *Bośni*, a późniéj w *Dalmacyi* i na *Chorwackim pomorzu*. Być więc może, według przypuszczenia J. Kukulewicz Sakińskiego, że Klowio pochodził z jednój z owych rodzin, lub téż rodzina jego przybyła z innymi wychodźcami (*Uskokami*), z ziem turecko-słowiańskich do Chorwacyi; Vasari bowiem twierdzi, że przodkowie jego przybyli z *Macedonii*, gdzie z dawien dawna należeli do rodziny szlacheckich. Tego zaś mniemania

(1) Vasari. Dell vite de' piu eccellenti pittori, scultori et architetti etc. Fiorenza 1568 4to, tudzież w przekładzie niemieckim tegoż dzieła L. Schorna i E. Förstera. Stuttgart u Tübingen 1832—1849, tomów 6.

to mogło być powodem, że w sto lat po przyjeździe Uskoków na pomorze, potomkowie sami dobrze nie wiedzieli, z kąd przybyli ich ojcowie; tak że Vasari, a i sam Klowio łatwo mogli wiarę dać bajce, że Chorwaccy Uskokowie przyciągnęli z Macedonii, z Tracyi i Bóg wie z kąd, chociaż wszyscy przybyli z pobliskiej Bośni lub sąsiedniej Serbii, z Macedonii, a w części nawet aż z Grecyi. Wiadomo z kądinąd, że zwyczajem było w owęj dobie odrodzenia i niezwykle pragnienia światła, iż każdy uczony lub sławny mąż szukał początku swojego w jakiej rodzinie klassycznego nazwiska lub też przynajmniej na klassycznej ziemi. U Chorwatów, jako i u innych narodów, znachodzi się niezliczone mnóstwo podobnych przykładów. W tęto więc okoliczności, powiada nasz przewodnik, upatrywać należy przyczynę, dla czego nazywano Klowia niekiedy „Macedończykiem“ (Macedonus), kiedy on sam podpisywał się najwięcej „Crovatinus,“ „Crova-ta,“ „Illiricus,“ „di Crovazia,“ „da Croazia.“

Klowio otrzymał na chrzcie imię *Jerzy* (ulubione po dziś dzień na całym pomorzu i w Bośni), później jako zakonnik, przezwiał się *Juliuszem*. Do ośmnastego roku życia przebywał w kraju ojczystym. Zajmując się, według świadectwa Vasariniego, od dzieciństwa naukami, uczęszczał snadź do szkół bądź w Riece (Rzeka, Fiume), bądź w Nowém, lub też przebywał, wedle obyczaju owego czasu, w jakim pobliskim klasztorze, gdzie sobie niewątpliwie upodobał malarstwo, osobiście miniaturowe. Wiadomo powszechnie, że jak gdzieindziej, tak i u Słowian południowych od najdawniejszych czasów mnisi zajmowali się malarskiem ozdabianiem rękopisów. Każdy niemal klasztor w ziemiach południowo-słowiańskich miał swego krasopisca (kalligrafa, przepisywacza), i zdobiciela rękopismów, a niebyło-li w nim takowego kunstmistrza, to przechowywał pewnie w murach swoich przynajmniej jaki starożytny, malowidłami ozdobiony rękopism. Z takichto rękopisów, a może pod kierunkiem jakiego głągolskiego mnicha, czerpał Klowio pierwsze początki swęj sztuki malarskiej. Tym tylko sposobem wyjaśnić sobie można, co Vasari i inni piszą, że kiedy Klowio przybył do Włoch w ośmnastym roku życia, to w pierwszych zaraz trzech latach wykonywał takie artystyczne dzieła, jakichby się wtenczas nikt nie mógł po nim spodziewać.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, z początkiem zaraz pobytu we Włoszech wziął go pod szczególną opiekę kardynał *Marino Grimani*, mąż uczony i wielki lubownik sztuk pięknych. Nieznane są bliższe szczegóły owęj znajomości i znacznej opieki uczonego i wysoce wykształconego prałata; to tylko pewna, że wspomniany kardynał aż do swęj śmierci wspierał Kłowia i w wielkięj miał go cenie.

W ciągu trzech lat (1516 — 1519) wykonał Klowio dla Grimaniego piórem, w niezmiernie drobnym formacie, między innemi, kilka pięknie nakreślonych medali, pieczęci i innych utworów przeznaczonych do rycin, a to z niezmierną, prawie do wiary niepodobną starannością, („con estrema e quasi incredibile diligenza“ mówi Vasari). Zachęcony wziętością, jakiej doznały wszystkie jego prace, z tém większą pilnością wziął się Klowio do malarstwa miniaturowego. Niejednokrotnie zabierał się do utworów na większe rozmiary, radziło mu wszakże wielu, iżby pozostał jedynie przy miniaturze. Między innymi był i *Ginlio Pipi*, zwany *Romano*; najlepszy uczeń Rafaela, z którym się Klowio poznał podobno w Mantui. Od tego słynnego malarza nauczył się sposobu mieszania kolorów oraz zażywania gummy i wody. Rzymianinowi owemu winien ogromne postępy w malarstwie i ów miły koloryt, którym Rafael pozyskał sobie sławę nieśmiertelną.

Jednym z najpierwszych utworów Kłowia, był obrazek Matki Boskiej, a to podług jednego z pierwszych drzeworytów Albrechta Dürera, znajdujący się w księdze „*Epitome in divae Mariae historiam etc. fol. Norimbergae 1511.*“ Wykonał później wiele innych obrazków, których sława tak się była rozgłosiła, że go na chlubne przedstawienie niejakiego Alberta Carpia powołał na dwór swój Ludwik II król węgierski. Tu pozostał Klowio aż do bitwy pod Muhaczem i wykonał dla króla obrazek w światłocieniu (*chiaroscuro*) wyobrażający sąd Parysa; a dla królowej Maryi, siostry cesarza Karola V, obrazek przedstawiający samobójczą śmierć Lukrecyi Rzymskiej. Oprócz tego malował tu jeszcze kilka innych miniatur, które się wielce podobały. Zdaje się, że po bitwie pod Muhaczem, powrócił Klowio do swęj rodzinnej ziemi Chorwacyi. Wszelako, gdy i tu rozjątrzone strony w ciągłej z sobą zostawały walce, a zwłaszcza w obec srogości i okrucieństw tureckich, gdy i gród Modrusz, główna

siedziba biskupów, legł pod ich ciosami; Klowio w smutnem położeniu nie widział innéj rady jak szukać schronienia we Włoszech. Około r. 1526 przybywszy do Rzymu, dostał się na dwór starego kardynała *Wawrzyńca Kampeggia*, męża słynnego z nauk i licznych poselstw, jak niemniej rozwiozłego życia. Dla tego kardynała oprócz kilku prześlicznych miniatur, wymalował także Bogarodzicę. Wspierany i protegowany przez tak możnego prałata, miał zarazem sposobność poświęcić się z większą jeszcze gorliwością swéj sztuce, do czego za główny wzór służyły mu wspaniałe utwory Michała Anioła Buonarottiego. Upodobał z wielką starannością liczne obrazy tego sławnego mistrza, naśladować je w małych rozmiarach tak umiejętnie, że za życia jeszcze Buonarottiego Włosi nazywali Klowia „Małym Michałem Aniołem.“

Postępując tak z wielką w sztuce korzyścią, nagle zepchniętym został Klowio z owéj wytkniętéj sobie drogi zewnętrzniemi wypadkami burzliwego świata. Zaledwo że uszedł r. 1526 w Węgrzech rąk dziczy tureckiej, aliści potykają go w stolicy cywilizacyi większe jeszcze nieszczęścia i klęski. Zdobyły bowiem r. 1526 Rzym połączone wojska niemieckie, hiszpańskie i włoskie, pod przywództwem Karola Bourbona i Filipa Chalońskiego, dwóch hetmanów polskich cesarza Karola V.

Nie będziemy tu opisywali całego szeregu okrucieństw jakich się dopuszczali zwycięzcy, opowiadanie bowiem takie należy do historyi; tu tylko przypomnieć nie będzie od rzeczy, iż nieludzkie postępowanie tych wojsk chrześcijańskich, porównać chyba można z barbarzyństwem dzikich hord Hunnów, Gotów lub Wandalów. Wpatrując się w owe bezprawia krwawemi zapisane głoskami w dziejach, wyrzec można śmiało, acz ze smutkiem, iż Rzym nigdy nie ucierpiał tyle od pogańskich najeźdźców, ile od żołdactwa słuchającego rozkazów katolickiego monarchy.

I cichy a pokój miłujący Klowio wpadł wtedy w ręce owych okrutników. Wtrącony do więzienia, pozbawiony wszystkiego, Klowio nie ma innéj pociechy, ani ucieczki, jak zdać się na wolą Opatrzności. Owóz w téj srogiéj niewoli swojéj i ucisku czyni ślub Bogu, iż jeżeli go wyswobodzi z tego nieszczęścia, wyrzecz się świata i wstąpi do którego klasztoru. Po kilku miesiącach, wydostał się szczęśliwie

z więzienia. Wypełnił zaraz ślub, wstąpił w Mantui do klasztoru św. Rufina, mając tam snadź jednego ze swych przyjaciół; i w ten sposób został mnichem Skopetyńskim. W tym nowym stanie przyjął téż i nowe imię „Juliusz;” może być, że z przywiązania i wdzięczności ku pierwszemu nauczycielowi swojemu Juliuszowi Romanowi. Ta jest przyczyna, dla czego się na wszystkich swoich późniejszych pracach podpisywał „Don Giulio,” nie podając nigdzie pierwotnego swego imienia chrzestnego „Jerzy.”

Przeszło trzy lata strawił Klowio w owym klasztorze Mantuańskim, zajmując się nieustannie malowaniem miniaturowych. Tu wykończył chóralską księgę, z małemi wielce zajmującymi obrazkami i prześlicznemi ozdobami. Oprócz tego wykonał obraz Jezusa objawiającego się Magdalenie w postaci ogrodnika. Dzieło to uważanem było przez znawców i miłośników sztuki za coś nadzwyczajnego. Również tu wymalował z mnóstwem postaci większych, historią niewiasty grzesznej przywiedzionej do Jezusa. Przedmiot do tego utworu wziął z nieśmiertelnego dzieła Ticyana, znajdującego się w Wenecyi.

Odwiadał Klowio, wedle ówczesnego zwyczaju zakonników, inne klasztory sąsiednie. W jednej z takich podróży, złamał sobie w klasztorze Kandiańskim w Padwie, jakimś wypadkiem nogę. Skutkiem zapewne złego obsługiwania w cierpieniu, zmierził sobie całkiem stan zakonny; jakoż zaledwo przyszedł trochę do zdrowia, udał się znów pod opiekę byłego protektora swojego i dobroczyńcy, kardynała Grimaniego, właśnie wtenczas sprawującego urząd wystanica papieżkiego w Peruggii. Dostojny prałat powołał zaraz do siebie ulubieńca swojego, dla którego po zupełnem onegoż wyleczeniu, wyrobił u papieża pozwolenie zdjęcia sukien zakonnych i powrócenia się na świat. Przed opuszczeniem jeszcze klasztoru zapoznał się Klowio ze sławnym na owe czasy malarzem i miniaturzystą *Hieronimem dai Libri*, od którego miał wiele skorzystać.

W Kandianie zostawił oprócz wspomnionego wyżej chorału, inne jeszcze księgi kościelne, ozdobione pięknymi malowidłami, które do niedawna znajdowały się tamże (1).

(1) Klasztor ten został zburzony; gdzieby się poliziały bogate zbiórki sztuki, niewiadomo.

Bawiąc na dworze kardynała Grimaniego, wykonał dlań Klowio następujące miniatury: 1) książki z modlitwami do Matki Boskiej, ozdobione czterema pięknymi obrazkami; 2) wyobrażenia pobożności (pieta); 3) Jezus na krzyżu; ostatnie dwa obrazki dostały się po śmierci Grimaniego do rąk Jana Gaddi'go, księdza u papieżkiego dworu (1); 4) pięknie pisany rękopism zawierający w sobie wykład „Listu św. Pawła do Rzymian,” ozdobił trzema wielkimi obrazkami, z których jeden był później posłany do Hiszpanii. Rękopism ten z napisem „Liber Commentariorum in Epistolam Pauli ad Romanos” znajduje się w Londynie w zbiorze Soanego, dokąd się dostał z Wenecyi, i uważany jest za główną ozdobę owego szacownego zbioru. P. Jan Kukuljowicz Sackciński szczegółowo bardzo opisał ów rękopism wraz z kolejami losu jakie przechodził; co my tutaj jako rzecz mniej nas obchodzącą opuszczamy.

Wkrótce potem (r. 1537) ozdobił Klowio dla tegoż kardynała mszał łaciński prześlicznymi obrazkami. Mszał ten znajduje się teraz w Anglii w bibliotece lorda Holforda, który go nabył za 161 funtów szterlingów. Piękny mszał pod tę właśnie wykonany porę, znajdował się także w Anglii w zbiorze niejakiego Webba. Ten mszał, powiada Anglik Dibdin, uważany jest za arcydzieło przewyższające wszystkie podobne prace. Również zasługuje na wspomnienie piękny mszał znajdujący się w zbiorze lorda Toconleya, z sześcioma głównymi obrazkami: 1) Narodzenie Jezusa, 2) rozprawa apostołów, 3) Jezus oddający klucze św. Piotrowi, 4) Zmartwychstanie Pańskie, 5) Zesłanie Ducha Św. i 6) Sąd ostateczny. Mszał ten był kupiony za 400 gwinei. Klowio ozdobił dalej dla rzeczzonego kardynała rękopism poezyi Petrarki. Dzieło to znajduje się teraz w ogromnej bibliotece rodziny Trivulzi w Medyolanie, gdzie jest uważane za wielką i szacowną rzadkość. Delikatność i doskonałość, jaka się widzieć daje w obrazkach tego rękopismu, wątpić prawie nie dozwala, że je wykonał Klowio w tę samą dobę, co i wyżej wspomniane mszały. W ważnym dziele

(1) Być może, że to jest ten sam Gaddi, który r. 1480 żył ze swym bratem Piotrem w Cremonie, zajmując się malowaniem miniatur i kalligrafją.

Rossiniego „Storia della pittura italiana, Pisa 1839—1847 T. V. 143” znajduje się jedna na miedzi ryta kopia z rzeźzonego rękopismu przedstawiająca Petrarke w swój izbie siedzącego.

Tak znakomite utwory przyczyniły się wkrótce do rozszerzenia po całych Włoszech sławy Klowiowej. Jakoż zwrócił on na siebie uwagę papieża Pawła III i jego synowca znanego powszechnie Alexandra Farneseego, który go w swoim i papieża imieniu powołał do Rzymu. Nie mogąc się oprzeć tak zaszczytnemu wezwaniu, po przyzwoleniu na to pierwszego jego protektora kardynała Grimaniego, około r. 1540 udaje się Klowio do Rzymu, gdzie go oczekiwała nieśmiertelna sława. Roku 1542 ozdobił dla papieża Pawła III psalterz łaciński ślicznymi obrazkami, w którejto pracy połączył styl Rafaela, ze stylem Michała Anioła. Na krajach niektórych rękopisów naśladował ozdoby łóż rafaellovskich. Przedstawiał tu ślicznych aniołków, geniuszków, herby, larwy, rzeźbę wypukłą, szczególnież tak zwane onixowe kamee z taką dokładnością i wdziękiem, iż go nikt nie przewyższył w podobnych utworach. Przez swą delikatność, miękkość w malowaniu wodnymi farbami, utwory te są prawdziwym podziwem i usprawiedliwiają europejską sławę, jakiej doświadczał wtenczas Klowio. Rękopism ten znajduje się w bibliotece paryzkiej w Luwrze (suppl. lat. N. 702), gdzie go około r. 1837 znany pisarz niemiecki i badacz téj gałęzi sztuki, widział i opisał (1).

W cztery lata potem (1546) ozdobił Klowio dla kardynała Farneseego mszał łaciński, w którym, jak powiada Volkmann (2), znajduje się takie mnóstwo obrazków, żeby myśleć można, iż Klowio pracował nad niemi całe swoje życie. Tenże pisarz twierdzi dalej, iż trudno znaleźć coś piękniejszego w tym rodzaju. Obrazki te nie są punktowane, jak miniatury w ogóle, ale umiejętnie robione pędzlikiem, co im szczególnéj piękności dodaje. Anglik Richardsohn utrzymuje, że ten mszał jest o wiele piękniejszy od tych, co się znajdują w Watykanie, a które pochodzą także od Klowia. Mszał ten, według zdania Richardsohna, jest

(1) Waagen-Kunstwerke und Künstler in England und in Paris.

(2) Volkmann: Historische Nachrichten von Italien. Leipzig 1771.

bardzo dobrze zachowany, wybornie rysowany i malowany prześlicznie. Sposób malowania w nim jest bardzo prosty a ozdobny. Niektóre figury są wykonane całkiem w pojęciu i smaku Michała Anioła. Na końcu rękopismu stoi napis: „Julius Clovius monumenta haec Alexandro Farnesio domino suo faciebat. 1546.” Rękopism ten znajduje się w Neapolu (od r. 1735).

W tymto okresie najwyższej Klowia wziętości i sławy, uczucie dla kobiety pobudziło go do tém większego udoskonalenia sztuki umiłowanej przez siebie. Znajdowała się podtenczas w Rzymie Niemka jakaś młoda a piękna, bardzo biegła w malarstwie. Głośna owa artystka, niewiadomo jak się nazywała właściwie: Clovio czy Clavio? Tak piękność jak i umiejętność jęj zwróciły na siebie uwagę Juliusza Klowia, który poznawszy się z nią i ściśle zaprzyjaźniwszy, wysoko cenił jęj talent malarski. Z listu Klowia dochowanego do dni naszych, poznać można, jak wielkiem przejęty był dla nięj uczuciem i uwielbieniem (1). Z zabytku owego dowiadujemy się, iż sobie najprzód wzajemnie wymienili własnej roboty wizerunki.

Dla papieża Pawła III pierwěj jeszcze wymalował w małym czworogranie obrazek Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Około nięj stoi mnóstwo świętych, a przed nią klęczy papież Paweł III, który ma być wybornie zrobiony. Reszcie postaci, wedle świadectwa Vasarięgo, braknie chyba mowy. Obrazek ten darował papież Paweł III jako osobliwość, cesarzowi Karolowi V, który się go nie mógł nigdy dość napodziwiać. Vasari mówi o tym obrazku jako o pojedynczym; zdaje się wszakże podobniejszém do prawdy, że go wykonał Klowio razem z kilkoma innemi obrazkami do małego brewiarza poświęconęgo Najświętszēj Maryi Panie, jaki malował dla kardynała medycejskiego, od którego otrzymał za swą artystyczną pracę 2000 skudów. Breviaryk ów dostał się późniěj niewiadomo jakim sposobem papieżowi Pawłowi III, który kazawszy go oprawić w złoto sławnemu w owym czasie złotnikowi Benvenuto Celliniemu, przesłał go w darze cesarzowi Karolowi V wkrótce po jęgo

(1) List ten znajdujący się w wydaniu O. Wilhel. Della Valle dzieła Vasarięgo (z r. 1793), w całości przytacza Jan Kukuljewicz Sakeiński.

powrocie z Tunis. Benvenuto Cellini czyniąc w swojej biografii wzmiankę o tym brewiarzu powiada, że go oddał cesarzowi z następującemi słowy: „Najświętobliwszy Ojciec Paweł posyła Waszjej Cesarskiej Mości ten brewiarz pisany i ozdobiony ręką najznamienitszego męża, jaki się zajmował kiedy podobną sztuką.“ Dla kardynała di Trento malował Klowio obrazek z drobniotkami figurkami tak powabny i piękny, że go kardynał właśnie dla tej jego piękności darował także cesarzowi Karolowi V. Dla tegoż kardynała malował Klowio Matkę Boską i wizerunek króla hiszpańskiego Filipa II; które to prace posłał rzeczony kardynał w dowód czci swojej królowi Filipowi II. Dla swego protektora kardynała Farnesego wykonał tą dobą obrazek Panny Maryi, dalej św. Elżbiety, św. Jana Ewangelisty i kilka innych obrazków, które tenże kardynał posłał do Rigomes w Hiszpanii. Dla tegoż kardynała malował także św. Jana Chrzciciela na puszczy z pięknym widokiem i dzikimi zwierzęty. Obrazek ten dla szczególnej piękności musiał malować powtórnie dla króla Filipa hiszpańskiego.

Wyobrażenie pobożności (pieta) z pięcią postaciami tudzież obrazek Matki Boskiej z kilkoma figurami darował kardynał Farnese papieżowi Pawłowi IV, który Klowia tak cenił, iż go zawsze chciał mieć u siebie. Rzeczony wyobrażenie pobożności znajduje się we Florencyi, w pałacu W. K. Toskańskiego, w sali zwanój „Camera della Madonna.“ Malowidło wykonane jest według marmurowego posągu Michała Anioła, przeto nie może się porównać z resztą dzieł Klowiowych; koloryt bowiem pozbawiony jest żywości, a rysunek cokolwiek twardy a martwy. U spodu stoi napis: „Julius Clovio Macedo;“ niewiadomo jednak, czy to jest podpis samego artysty, czy też obcej ręki.

Wyżej wspomniane, tudzież inne artystyczne utwory zjednały Klowiowi taką sławę, iż prawie wszyscy książęta i panowie, których doszła o nim wiadomość, pragnęli mieć jaki utwór jego roboty. Między innymi zwrócił nań szczególną uwagę znany książę Toskański Cosimo I (Kosmas). Jako opiekun i wspieracz wszystkich sławniejszych pisarzy i artystów swojego czasu, poczytywał sobie Cosimo za ujmę honoru, niemić tak sławnego męża na dworze swoim; wezwał go więc do Florencyi. Klowio przyjął to zaproszenie,

krótko tam jednak zabawiał; uczucie bowiem wdzięczności ku kardynałowi Farnesemu nie dozwalało mu opuścić go aż do śmierci. We Florencyi wygotował Klowio dla rzeczono-ego księcia, okrom innych prac, małą główkę Pana Jezusa, według jakiegoś starego obrazu, o którym było mniemanie, że jest najpodobniejszy do Jezusa, a który należał niegdyś do króla Jerozolimskiego, Gotfryda Bouillon. Później (1553) malował Klowio Chrystusa na krzyżu, ze stojącą pod nim żalosną Maryą Magdaleną. Obraz ten znajduje się we Florencyi. Wykonał tu na małym obrazku *pobożność* (także we Florencyi, w zbiorze W. K. Toskańskiego w sali zwanój Jowiszową, pod L. 241), wraz z inną miniaturą przedstawiającą Matkę Boską stojącą z Dzieciątkiem Jezus. W około widać wielki zastęp ślicznych aniołów modlących się do niej. Vasari miał pierwotne rysunki obu tych utworów. Dla księcia Cosimy kopiował też Klowio obraz Michała Anioła wyobrażający Jowisza unoszącego Ganimeda w postaci orła. Książę ten miał jeszcze roboty Klowia w swojej komnacie św. Jana Chrzciciela siedzącego na skale. Około tego obrazu wisiało kilka innych prześlicznych i wybornie wykonanych malowideł Klowia.

Powróciwszy do Rzymu, odebrał Klowio zaszczytne wezwanie od króla hiszpańskiego, iżby dlań malował kilka historycznych miniatur. Klowio obrawszy sobie za przedmiot czyny Karola V, ojca Filipa, wykonał w pięknie pisanym rękopiśmie 12 obrazków, przedstawiających czyny odnoszące się do żywota rzeczonoego cesarza. Na pierwszym wyobraził cesarskiego orła, zwyciężającego sułtana Solimana. Na drugim bitwę pod Pawią, w której był na głowę porażon Franciszek I król francuzki. Na trzecim zdobycie Rzymu przez wojska cesarskie i śmierć Karola Burbońskiego. Miniatura ta tém jest szacowniejszą, że przedstawia rzecz, której Klowio był świadkiem naocznym. Na czwartym, układ papieża Klemensa VII z cesarskimi co do wypuszczenia z twierdzy ś. anioła, r. 1527. Na piątym, oswobodzenie Wiednia od Turka r. 1529. Na szóstym, wyprawę hiszpańską do Ameryki r. 1530. Na siódmym, wjazd Karola V do Tunisu, r. 1535. Na ósmym, ujęcie księcia Klewskiego r. 1543. Na dziewiątym, zjednoczenie hrabiego Egmonta z Karolem V i jego wojskiem, r. 1546. Na dziesiątym,

bitwa pod Mühlbergiem r. 1547, i ujęcie Fryderyka Saskiego. Na jedenastym, poddanie się jakiegś twierdzy niemieckiej, r. 1547. Na dwunastym, ujęcie landgraфа Heskiego r. 1547. Na każdym z tych obrazków jest w języku hiszpańskim kilka pięknie napisanych wierszy, które w krótkości objaśniają przedmiot malowidła.

Miniatury te są wedle świadectwa Dibdina, prawdziwym cudem grafickiej doskonałości (a miracle of graphic perfection), a mają tém większą wartość, że można na nich widzieć bardzo dokładne wizerunki sławnych ludzi owęj głośnej w dziejach epoki. Drogocenny ten rękopism znajdował się aż do początku naszego stulecia w pałacu królewskim w Madrycie. Podczas wojny francuzko-hiszpańskiej przywieźli go Francuzi po zrabowaniu królewskiego zamku w Madrycie do Francyi. Żołnierz jakiś miał go sprzedać w Paryżu r. 1816 drukarzowi Woodburnowi, z którego rąk dostał się za znakomitą summę do bogatej księżnicy lorda Grenvilla, który go znów mocą ostatniej swęj woli przeznaczył do muzeum Brytańskiego, gdzie się dotąd znajduje.

Wtenczas lub téż może nieco wcześniej, malował Klowio dla króla portugalskiego Jana III prześliczny psalterz z wielkiem innóstwem obrazków. Artystyczny ten utwór tak dalece natchnął Anglika Bonde'go, że napisał o nim całą książkę, zachęcając w nięj króla portugalskiego Jana V do odkupienia tego rękopismu skradzionego niegdyś z biblioteki królewskiej. Wspomnione dzieło Bondego nosi następujący tytuł: „Guilelmi Bonde Thesaurus artis pictoriae ex Julii Clovii clari admodum pictoris operibus depromptus. Libri sive sermones tres. Idea, Judex, Deliberationes (in Anglia) 1733.“ Drukowano po jednéj tylko stronie bardzo małą liczbę egzemplarzy, przeto książka ta stała się taką rzadkością, iż w samęj Anglii znajdują się tylko dwa egzemplarze. Z nięj tedy, według tego co podaje J. Kukuljewicz Sakciński, przytaczamy tutaj w krótkości ośnowę wspomnianego rękopismu i miniatur tamże pomieszczonych. Cały rękopism składa się z 200 kart pergaminowych. Na pierwszėj ozdobionėj złotem, srebrem i rozmaitemi innemi upiększeniami, znajduje się herb Królestwa Portugalskiego. Po czém następuje kalendarz na 12tu kartkach. Kartki 13-ta i 14-ta zapełnione są przedmiotami wyjętymi z ewangelii

św. Jana i św. Marka. Kartka 15-ta obejmuje modlitwę św. Grzegorza; 16-ta św. Trzech Króli; 17-ta Koronacją N. P. Maryi; 18-ta Matka Boska opłakuje śmierć Jezusową; 19-ta spotkanie Elżbiety z Maryą; 20-ta bój Michała Archanioła z upadłymi aniołami; 21-sza Archanioł Michał sam z kopią w ręku pokonywający nieprzyjaciół Boga; 22-ga św. Sebastian; 23-cia Chrystus Pan na krzyżu między łotrami. U stóp krzyża stoi Marya i Jan Ewangelista; 24-ta wyobraża służbę Bożą odprawianą w wnętrzu kościoła wśród mnóstwa ludzi; 25-ta wnętrze kościoła, gdzie się odprawia msza św. także z mnóstwem ludu 25 jak poprzedni. Przed wielkim ołtarzem król Jan, któremu rękopism był poświęcony przyjmuje N. Sakrament ołtarza; 26 św. Jakób w podróży. Obrazek 38 przedstawia św. Wincentego w szatach biskupich z książką w ręku. Na boku wyobrażona jest męka tegoż świętego; 39 św. Hieronim na puszczy; 40 św. Antoni pustelnik; 41 św. Franciszek modlący się na wysokim kopcu. Przepisaniem całego dzieła w Londynie zajmował się A. T. Berlicz. Niewiadomo gdzie się podział ów drogienny psalterz; być może, iż go król Jan V kupił od Bondego i że się znów tym sposobem dostał do Portugalii. Jak wysoko był szacowany, łatwo się ztąd przekonać, że Klowio dostał zań od króla Jana III 2000 dukatów; co jak na owe czasy, jest bardzo znaczną summą pieniędzy.

Oprócz przytoczonych utworów ozdobił Klowio swemi malowidłami następujące jeszcze rękopisma:

1. *Danteo Komedyą Boską*. Rękopism ten znajdujący się w bibliotece watykańskiej, ma dla każdego przyjaciela sztuki tém większą wartość i znaczenie, iż obejmuje w sobie prace trzech artystów z różnych epok. Imiona dwóch pierwszych artystów dawniejszych są nieznane; ostatnie wszakże miniatury, zdobiące końcowe śpiewy o „czyścu“ i cały „raj“ wyszły z pod ręki Klowia. Jego allegoryczne obrazy nacechowane są wdziękiem i delikatnością, właściwemi przymiotami Klowia utworów. W zestawieniu i szyku tych allegoryi widocznym jest styl rafaelowski.

Sławny francuzki uczony Silvestre de Sacy, umieścić w głośnym swém dziele „*Paléographie universelle* T. III“ wzory z tych Klowia obrazków. Nawiasem wspominamy, iż niemieckim nczonym nie przypadają do smaku utwory

Klowia. Robią im w ogóle ten zarzut, że wprawiają w podziwienie, ale zadowolenia duchowego uczynić nie zdołają.

2. „*Zywoť Franciszka Maryi di Montefeltro della Rovere, księcia Urbinu.*“ Rękopism ten znajdujący się także w Watykańskiej bibliotece, zawiera w sobie pięć miniatur Klowiowych, wybornie narysowanych i pięknie malowanych (Richardsohn). Obrazki te różnią się poniekąd od wspomnianych wyżej, gdyż je w XVII stuleciu poprawił *Don Felice Ramelli*. Zresztą ten rękopism dla tego jest szczególnie zajmującym, że się w nim znajduje własnoręczny wizerunek Klowia. Jest on tu przedstawiony w wieku już starszym, w okularach i szacie duchownej.

3. „*Zywoť Fryderyka di Montefeltro, księcia Urbina.*“ Dwa te manuskrypta pisał Istrianin *Hieronim Mucio*, rodem z Kopru (Capo d'Istria), około r. 1554—1557, dla Guidobalda II z Urbinu. Ów Mucio był zapewne przyjacielem Klowia, a ten z przyjaźni ozdobił ów rękopism herbem i wizerunkiem księcia Urbinackiego, jako i innemi malowidłami. Ponieważ się nie dostrzega, wedle zdania niektórych biegłych krytyków, w tém drugim dziele owęj wzniosłości artystycznej, jaka cechuje inne Klowia utwory, przeto możliwą jest rzeczą, iż miniatur owych nie malował sam Klowio, ale że je dał wykonać uczniom swoim. Wiadomo bowiem, że Klowia otaczało mnóstwo młodzieży, która się uczyła u niego i pomagała mu w mniej ważnych pracach. W wieku XVII odświeżał i tego rękopismu kolory wyżej wspomniany Ramelli, czemu téż snadź łatwo przypisać mniejszą doskonałość w malowaniu. Rękopism ten przechowywanym jest również w bibliotece Watykańskiej.

4. „*Stanze d'Eurialo d'Ascoli.*“ Poezye te opiewające sławę cesarza Karola V, znajdują się w cesarskiej bibliotece nadwornej w Wiedniu (N. 2600). Na wewnętrznej stronie pierwszej okładki stoi nieznanęj ręki napis: „*Le miniature di Don Giulio Clovio. Li carateri sono scritti di Lettera formata del Monserchi, che come dice Vasari fol. 261 nella vita di Giulio Clovio, è d'un genere raro e meraviglioso.*“ Pismo, a zwłaszcza malowidła Klowia, których niewiele w sobie mieści ów rękopism, są znamienite.

5. *Mszał* kardynała Farnesego, ozdobiony przez Klowia dwiema miniaturami. Pierwsza przedstawia Jezusa

Chrystusa między apostołami, druga zaś Sąd Ostateczny. Jest to zapewne ów mszał, przechowywany teraz w Watykanie, o którym Baglione mówi, że znajdujące się w nim miniatury są tak dziwnie piękne i artystycznie wykonane, że nie z nimi w porównanie iść nie może, i że dlatego mszał ów oddany został do zakrystyi papieżkiej. Oprócz tego uważają się jeszcze dwa inne mszały w bibliotece Watykańskiej za dzieło Klowiowe (Robertsohn).

6. *Księga chóralna*, która się znajdowała na chórze klasztoru San Salvatore w Rzymie (Le Comte).

7. *Chorał* ozdobiony miniaturami, a przeznaczony dla kardynała Farnese'go (z r. 1546); znajduje się w Neapolu w Capo di Monte.

8. Kilka wybornie malowanych *chorałów*, przechowywanych według świadectwa Konki (Conca) w Sewilli w kościele metropolitalnym (Conca, Vaggio di Spagna III, 234).

9. *Chorał* z mnóstwem pięknych malowideł, który się znajdował w Wenecyi w klasztorze św. Salwatora. Podczas pożaru w r. 1741 został skradziony; gdzie się znajduje nie wiadomo (1).

10. *Książka modlitewna*, ozdobiona dla kardynała Farnese'go, a znana pod imieniem „Flora;“ znajdowała się w królewskiej bibliotece w Neapolu (2).

11. Pięknie ozdobiony rękopis w rzymskim klasztorze S. Croce in Gurasalemme, który widział Robertsohn u Mark-Antonina Sabbatina; pargaminowy w dwunastce.

12. Romans wierszem pisany pod nazwą „Alessandro,“ znajdujący się w Oxfordzie, w księgozbiórce „Bedleian Library,“ którego jest główną ozdobą. (Dibdin-the chief jewel in in the department).

Oprócz chorału wymienionego pod N. 7, o żadnym innym z przytoczonych rękopismów nie wiadomo, kiedy był pisany i malowany. Zdaje się nie ulegać wątpliwości że Klowio używał do tej roboty swoich pomocników, gdyż sam nie byłby w stanie podołać wszystkiemu. Jakoż łatwo dostrzedz

(1) Biblioteca degli nomini illustri della Congregazione dei Canonici Regolari del SS. Salvatore... scritta dal Prospero Cavalieri ed arricchita da D. Vincenzo Garofali. Velletri 1836. I. 14—21 nota 2.

(2). Giustiniani. Guida pello Real Museo Borbonico. Neapoli 1824.

na niektórych większą lub mniejszą biegłość i doskonałość. Styl, wyraz i sposób przedstawiania myśli są wszakże wszędzie jednakie.

Poznawszy większą część utworów Klowia, przystępujemy teraz do dzieła, nad którym strawił lat dziesięć, a którym zjednał sobie nieśmiertelne imię. Miniatury te, należące jak powiada Rosini (1), do najznakomitszych pomników sztuki w Europie, znajdują się w małych książeczkach do nabożeństwa, na cześć N. Maryi Panny, które Klowio w dowód wdzięczności swój dla kardynała Farneseo ozdobił podziwieniami godnymi pomysłami artystycznymi. Malowidła owe mieszczą się w 26 oddziałach, z których każde dwie kartki należą do siebie. Każda stronnica jest po brzegu ozdobiona rozlicznymi malowidłami, jakoto: aniołkami, geniuszkami i różnemi zwierzęty, kwiatami, kamieniami i kameami, pieczęciami, herbami, przeróżnemi arabeskami i groteskami, zastosowanemi zawsze do przedmiotu głównego. W pośrodku ozdób znajdują się główne obrazy przedstawiające z jednej strony sceny ze Starego Testamentu, z drugiej zaś odpowiednie im przedmioty z Nowego Zakonu.

W opisie głównych obrazków idziemy w ślady Vasariego (2), który jeden dotąd dokładnie opisał te miniatury. Na pierwszej stronnicy, gdzie się poczyną jutrznia, wyobrażony jest Anioł Gabryel zwiastujący Pannie Maryi. Na przeciwniej kartce widzimy proroka Izajasza rozmawiającego z królem Achabem. Na okalających ozdobach widać mnóstwo dziełek przedziwnej piękności. Następująca kartka przedstawia odwiedzin Panny Maryi u Ś. Elżbiety. W okło bronzowe ozdoby. Na przeciwniej stronie ściskają się prawda i pokój. Na stronie, gdzie jest pierwsza modlitwa (hora), widać narodzenie Chrystusa Pana; naprzeciw: raj ziemski z Adamem i Ewą, jabłko pożywającemi! Te dwie strony zasnutę są geniuszkami, aniołkami i zwierzętami, wedle natury malowanemi. Do trzeciej modlitwy (hora) należą paste-

(1) „Che rimane uno dei più preziosi monumenti delle arti, che si ammirino in Europa.“ Rosini, Storia della pittura italiana. Pisa 1839—1847. T.V. p. 143.

(2) Vasari, jak wyżej (w przekładzie niemieckim Tom VI str. 149 sg.).

rze, którym anioł zwiastuje narodzenie Pańskie. Naprzeciw jest Sybilla Tiburtyńska, ukazująca na niebie cesarzowi Augustowi Oktawionowi Pannę Maryą z Dzieciątkiem Jezus. Między arabeskami i groteskami owych kartek widać wizerunki Alexandra Wielkiego i kardynała Alexandra Farneseego. Na stronie obejmującej „szóstą horę,” jest wyobrażenie obrzezania Jezusowego, gdzie ś. Symeon przedstawiony jest pod postacią papieża Pawła III. Między niewiastami znajdując się tu wizerunki Manciny i Septymii, dwóch pań rzymskich, głośnych wówczas z piękności. Na przeciwniej stronie jest chrzest Pana Jezusa z mnóstwem nagich postaci. Na karcie dziewiątej „hory” wyobrażeni są święci Trzej królowie; a na przeciwniej stronie królowa Saba przed Salomonem. Obie te stronnice napełnione są rozmaitemi bogatemi ozdobami; u spodu, w wązkim obrąbku, wyobrażona jest uroczystość rzymska, tak zwana „festa di Testaccio.” Widać tu wielkie mnóstwo ludzi obleczonych w rozmaite dworskie suknie, które kardynał Farnese służbie swojej robić kazał umyślnie na tę uroczystość. Figury wszystkie są niemal mrówczej drobności. Zadziwiającém jest prawdziwie, pisze Vasari, jak mógł artysta ozdobić pędzlem tak drobne rzeczy. Utwory te należą do najdziwniejszych i najrzadszych, jakie wykonała ręka ludzka i jakie oko ludzkie widziało. Na kartce zawierającej modlitwę wieczorną (nieszpór), wyobrażona jest ucieczka do Egiptu, a na przeciwniej stronie zaguba wojska Faraonowego w morzu Czerwonem. Przy końcu modlitwy jest koronacja Panny Maryi, otoczonej mnóstwem aniołków; na przeciwległej stronie koronuje Ahaswer Esterę. Na karcie obejmującej mszę, jest znów między ozdobami w ramie kolistej, jako na kamei, anioł Gabryel zwiastujący Maryi Dziewicy. Główne dwie miniatury przedstawiają: Madonnę z Dzieciątkiem na ręku, i Boga Ojca stwarzającego niebo i ziemię. Przed psalmami jest wyobrażona bitwa, w której z rozkazu Dawida zginął Uriasz. Widać tu mnóstwo koni, rannych, zabitych i walczących, dziwnie umiejętnie przedstawionych. Na przeciwniej stronie jest Dawid czyniący pokutę. W około znajdują się groteski. Kto się wszakże bez końca chce dziwić, mówi dalej Vasari, niechaj popatrzy na kartkę z litanją, na której Klowio umieścił ozdobę złożoną z samych imion pisanych w dziwnie drobnych splotach. Od góry na

obwodzie wyobrażone jest niebo, gdzie się wznosi mnóstwo aniołów około Trójcy Świętej. Na przodzie stoją apostołowie i inni święci trzymający się wspólnie za ręce. Naprzeciw jest przedstawione inne niebo, w którym mnóstwo świętych dziewic otacza N. Pannę. U spodu tej kartki wyobraził malarz w maleńkich postaciach całą uroczystość processyi odbywanęj w Rzymie na Boże Ciało. Tu widać urzędników z pochodniami, biskupów, kardynałów i samego Papieża niosącego N. Sakrament, otoczonego całym dworem i hufcem kopijników. Wreszcie widać też na owym małym obrazku zamek ś. Anioła (Castel S. Angelo) z girandolą czyli rzesistém oświetleniem i ogniami sztucznymi, które puszkarze palą właśnie. Wszystkie te przedmioty, nie wyjmując nawet najdrobniejszój i najniepokażniejszój, są tak odrobione pięknie i dokładnie, że się im żaden najsurowszy nawet oceniacz dość nadziwić nie może. Na stronnicy zawierającej modlitwę za umarłe, znajdują się dwa obrazki: jeden przedstawiający śmierć panującą nieubłaganie nad potężnymi władcami, bogaczami i ubogimi. Na przeciwnęj stronie wyobrażone jest wskrzeszenie Łazarza, a z tyłu znów śmierć w zapasach z kilku jeźdźcami. Na stronnicy z modlitwą do Świętego Krzyża wyobrażony jest Chrystus na krzyżu; na przeciwległej zaś stronie deszcz gadów na puszczy, i Mojżesz stawiający Izraelitom węża miedzianego. Przy modlitwie do Ducha Śgo wyobrażone jest zesłanie Ducha Śgo; a na przeciwnęj stronie stawianie wieży Babilońskiej przez Nimroda.

Powiedziało się już wyżej, że Klowio poświęcił lat dziewięć wykończeniu tój pracy, która zarazem jest dowodem, co duch ludzki i niezmordowana wytrwałość dokonać są zdolne. W owych miniaturach widna jest taka rozmaitość w osobach mężczyzn i niewiast, w ich postaciach i ubiorach, w perspektywie, widokach i drzewach, w ozdobach w całym układzie, przedstawieniu, że się wcale opisać nie da owa zadziwiająca piękność, staranność, wzniosłość i idealność, jaka się tu objawia. Całe dzieło zdaje się być raczej utworem boskim niż ludzkim („opera di tanta bellezza, mówi Vasari, che ella pare cosa divina e non umana“). Kto je widział, przyznać musi, że Klowio przewyższył w miniaturze wszystkich innych malarzy tego rodzaju, i że się słusznie, wedle Vasariniego, może

nazywać „małym a nowym Michałem Aniołem,” albo według Rosiniego „Rafaelem między miniaturzystami.“

Drogocenny ten zabytek sztuki wykonany był podług świadectwa Vasarięgo, dla kardynała Alexandra Farneseęgo; co się też pokazuje z przytoczoneęgo wyżej wizerunku owego kardynała; a że się tu znajduje także wizerunek jego wuja papieża Pawła III, było więc to dzieło według wszelkiego prawdopodobieństwa dokonane jeszcze za życia tegoż papieża, t. j. jeszcze przed r. 1549, w którym tenże zszedł z tego świata. Bogatą oprawę tej książki do nabożeństwa wykonał sławny złotnik Benvenuto Cellini, przyozdobiwszy ją piękną rzeźbą. Do r. 1852 znajdowało się to arcydzieło ozdobione mnóstwem kamieni drogich, w prywatnej bibliotece króla neapolitańskiego, a że cenionem było na 30,000 dukatów, musiał każdy chcący je widzieć, żądać osobnego pozwolenia, czyli jak powiedział pewien Anglik „zaopatrzyć się w osobny przywilej.” Ta jest przyczyna, dla czego jest tak mało znanem w świecie umiętęnym, a z powodu braku dobrych kopii także się znajomość jego nie rozszerzyła.

Oprócz wyliczonych dotąd prac artystycznych Klowia, które są głównemi jego dziełami; malował on nieustannie rozmaite obrazki, które pozbywał za droęie pieniądze. *Zani* powiada, że malował też w tak ścieśnionych ramkach, jak sobie wyobrazić nawet trudno, bo na pestkach brzoskwiniowych lub innego jakiego owocu. Vasari przytacza, że malował rozliczne przedmioty i portreciki w małych medalionach noszone na szyi od kochanków, przyjaciół i t. p. Bardzo często malował całe figury wielkości mrówczej, tak dokładnie wyrobione, że w naturalnej nawet wielkości nie mogły być wykonanemi dokładniej. Z tej przyczyny nadawano mu też nazwę mrówki „il mirmecide.“ Wreszcie nadmienię nam jeszcze wypada o dwóch pięknych utworach wykonanych przez Klowia dla arcyksiężniczki Małęorzaty Austryackiej, córki naturalnej cesarza Karola V, wydanęj najpierw za Juliusza de Medici, później zaś za Oktawiana Farneseęgo. Pierwsza miniatura przedstawiająca Dawida z Goliatem, tak się spodobała rzeczonej arcyksiężniczce, że ją darowała swemu bratu, królowi hiszpańskiemu Filipowi II. Druga wyobraża Judytę z głową Holofernesa. Oba te dzieła wypracował Klowio w późną starość, kiedy mu już walczyć przycho-

dziło tak z dolegliwościami ciała jako i innemi przykrościami, o których wzmiankę czyni w piśmie wystosowaném do arcyksiężniczki, przesyłając rzeczzone utwory. (Pater Della Valle, Rzym 11 września 1561).

Klowio pracował aż do późnej starości z równą pilnością i szczęśliwym skutkiem. W Rzymie mieszkał we wspańnialym pałacu kardynała Farneseego. Tutaj uprzejmie a skromnie przyjmował cudzoziemców licznie przybywających do Rzymu, dla obejrzenia prac jego artystycznych, jak niemniej starożytności rzymskich. Wielu artystów naśladowało i kopiowało jego utwory, jeszcze za jego życia; inni je ryli na miedzi. Z pomiędzy nich najznakomitsi są: *Holendrzy*: Kornelius Cort, Filip Soye, J. Janson, I. Sadeler i t. d.; *Włosi*: Agostino Caracci, Enea Vico, Domenico Tibaldi Pellegrini, G. B. Mazza, Geronimo Olgiati, Nicolo Nelli, Domenico Vito, Aliprando Capriolo, Giovanni Cavalieris, Giov. Orlandi, Jacopo Franco, Jac. Valegio i inni; *Francuzi*: Filip Tommasin, Alexander Vallée i inni; *Anglik* Humphreys; *Niemiec* Jan Bussemecher; z pomiędzy Słowian głośny Marcin Rota ze Szibeniku.

Jako znamienity artysta i mąż uczony, Klowio zostawał w stosunkach znajomości ze wszystkimi prawie społecznymi artystami i pisarzami. Między nimi było zapewne dość południowych pobratymców naszych, którzy niestety zapomnieli podać rodzinne jego imię potomności. A gdyby nie współczesny Vasari, co opisał żywot jego i wspominał o pracach, nie byłoby do dziś dnia znaném miejsce rodzinne Klowia. A przecież był to artysta, którego wszyscy panowie włoscy i niemal wszyscy panujący w Europie wysoko cenili. *Lanzi* nazywa go odnowicielem i wskrzesicielem dobrego smaku w sztukach pięknych w Lombardyi i Wenecyi. Dziwnemu zbiegowi okoliczności przypisać zapewne wypada, iż kiedy obce narody chlubią się z posiadania tak znakomitych prac głośnego w swoim czasie artysty; Chorwacya, ojczyzna Klowia, ani kawałka z utworów jego nie posiada. Niewątpliwie przypisać to należy nieszczyćściom i klęskom, jakie przez cały ciąg dziejów spadały na Słowiańszczyznę; a jak tutaj widzimy, na Południowców naszych ulegających od tylu wieków zgubnemu wpływowi obczyzny i barbarzyństwu tureckiemu.

Napomknęło się już wyżej, iż miał Klowio mnóstwo młodych ludzi około siebie, których kształcił w malowaniu, i którzy mu też pomagali w pracy. Do jego uczniów należała także owa wyżej wspomniana Niemka. Drugim znanym nam uczniem Klowia był *Franciszek Salviati* z Florencyi, który polecony przezeń kardynałowi Farnesemu, malował alla fresco kaplicę zwaną „della Cancellaria,” przy pomocy swego mistrza. Trzecim jego uczniem był *Bartłomiej Torri* z Arezzo. Młody ten a bardzo pracowity malarz, zajmował się nieustannie anatomią, mając w tym celu mieszkanie swoje napełnione trupami, tak że dla nieznośnego odoru niepodobna było wytrzymać w jego sąsiedztwie. Z téj przyczyny musiał go Klowio wydalić ze swego domu, acz mu zkądnął dla jego zdatności i pilności bardzo był przychylny; co poświadcza Vasari i Silvano Razzo. Tenże Torri umarł wkrótce potem w 25 roku swego życia na słabość, której go owe wyziewy z ciał umarłych nabawić miały. Czwartym uczniem był *Bernard Buontaventi* z Florencyi, który pozyskał sobie później taką sławę, iż go Włosi nazywali mistrzem sztuk wszystkich (*ingegno universale nelle arti*). Piątym wreszcie Klowia uczniem był *Marek Duval* (*Mares Du Val*), francuz, później malarz nadworny króla Karola IXgo.

Przy takiéj niezmordowanéj pracy, nauczaniu i podróżowaniu, nie przepomniawszy uszlachetnienia i podniesienia swego serca i swojego ducha, osiągnął Klowio późnéj starości; umarł bowiem w 80 roku życia w Rzymie r. 1578, w pałacu Farnesejskim. Zwłoki jego pochowano w Rzymie w kościele „S. Pietro in vinculo.” Tamże wzniesli mu duchowni jego bracia, w 54 lat po jego śmierci, piękny pomnik, stojący blisko wielkiego ołtarza przy zakrystyi. Znajduje się na nim wizerunek Klowia, z marmuru wykuty, a pod nim napis następujący:

D. O. M.

Urbano VIII Pontifice Maximo.

Lavdivio Cardinali Zacchia Titulari.

Domino Julio Clovio de Croatia.

Ex Canonicis regularibus S. Petri ad vincula.

Pictori eximio.

Principibus viris caro.

In quo diligentia in minimis maxima.

Conspicua Gratia, immortalis Gloria.

Vixit ad ultimam senectutem operando.

Et Romae mortuus, in hac Basilica tumulatus.

Canonici Regulares Socio olim suo P. P. MDCXXXII.

Z utworów Klowia wyżej cytowanych poznać łatwo, że łączył on w stylu swoim wdzięk i świeżość kolorytu, ze śmiałością i majestatycznością w sposobie przedstawiania myśli; zgoła, że prace jego posiadają przymioty będące charakterystycznymi cechami genialnych utworów Michała Anioła. Wrodzona mu słowiańska prostota, uwydatniła się w rysunku i malowaniu, które umiał jednoczyć z klasycznym szykiem i stylem cechującym utwory Rafaelowskie. Wszystko, co wypracował Klowio swoją własną ręką, objawia szczególną żywość i szlachetność ducha. Prace jego przypominają nieraz utwory Ticyana i Branciniego. Cytowany wyżej Lanzi i Zani nie mają dosyć słów na odmalowanie wrażenia, jakie utwory te czyniły na patrzących; jak niemniej żalu, iż tajemnica tego sposobu malowania miniatur we Włoszech wraz z nim zstąpiła do grobu. Klowio zostawił po sobie taką sławę, jakiej żaden jeszcze malarz miniaturzysta nie nabył, przeto zasługuje sobie sprawiedliwie na imię „*pierwszego i ostatniego miniaturzysty*.” Na jego cześć bity medale, z których jeden ma się znajdować w zbiorze Brerskim w Medyolanie, drugi w klasztorze św. Salvadore w Bononii (1).

Oprócz wspomnianych w ciągu całego opowiadania utworów artystycznych Klowia, znane są jeszcze niektóre inne częścią zaginione, częścią po różnych rozrzucone miejscach. Dla dopełnienia wykazu wszystkich znanych prac tego artysty, możnaby, idąc w ślad za autorem jego żywota, przytoczyć tutaj cały szereg miniatur, rysunków i rycin według utworów jego, wykonywanych przez różnych mistrzów. Zakres wszakże niniejszego opowiadania wstrzymuje nas od

(1) Tiraboschi: Storia della letteratura Italiana. T. VII, p. III, 449.

zbytniej drobiazgowości, tém więcćj że chcący obeznać się z tak znakomitym w swoim rodzaju artystą, znajdzie wszystkie bliższe szczegóły w żywocie jego przez Jana Kukuliewicza Sakcińskiego starannie bardzo spisany; ograniczamy się przeto na wskazaniu jedynie miejsca, gdzie się takowe utwory znajdują, a mianowicie:

W Anglii:

W Londynie: *a)* w zbiorze Lorda Holforda mszał z r. 1537; *b)* w zbiorze p. Townley'a mszał z 6 miniaturami, *c)* w muzeum brytańskim: rękopism króla hiszpańskiego Filipa II z 12 przedmiotami z żywota cesarza Karola V. Ten rękopism znajdował się dawniej w bibliotece lorda Grenvilla; *d)* w zbiorze budowniczego Soane'go: wykład listu św. Pawła do Rzymian; *e)* w zbiorze królewskim rysunków i rycin: śś. Trzej Królowie. Rysunek.

W Oxfordzie, w bibliotece Bodlejskiej: romans „Alessandro.“

We Francji:

W Paryżu w Louvrze: psalterz z r. 1542.

W Hiszpanii:

W Sewilli w kościele katedralnym: kilka ksiąg choralnych.

We Włoszech:

W Rzymie: *a)* rękopism Dantego „Komedia Boska.” W Watykanie: *b)* żywot Franc. Maryi di Montefeltro księcia Urbinackiego. Tamże *c)* żywot Fryderyka z Urbino. Tamże *d)* trzy mszały. Tamże *e)* nieznany rękopism z kilkoma miniaturami Klowia, w klasztorze S. Croce in Gerusalemme, gdzie żył posiadacz onegoż rękopismu Pat. Marc. Antonio Sabatini; *f)* księga choralna w klasztorze S. Salvatore.

W Neapolu: *a)* znane powszechnie książki modlitewne poświęcone Pannie Maryi. W król. bibliotece prywatnej; *b)* obraz S. Jana w galeryi królewskiej (museo borbonico), przeniesiony tamże z Parmy; *c)* książki do modlenia, zwane „Flora,” w bibliotece królewskiej; *d)* mszał z r. 1546, ozdobiony dla kardynała Farnassego. Tamże *e)* brewiarz ozdobiony dla tegoż kardynała. Tamże *f)* księga choralna z r. 1546, dawniej w zamku Capo di Monte; *g)* wielki portret

Kłowia, malowany olejno, w museo borbonico w 7-ój galerii szkół zagranicznych, w oddziale I.

We Florencyi: *a)* w pałacu b. W. X. Toskańskiego, w sali zwanój „Camera della Madonna,” większy obraz pobożności (pietà); *b)* w galerii Pitti, w 7-ój sali Jowisza, a 24 mniejszy obrazek pobożności; *c)* w galerii degli Uffizi: Chrystus na krzyżu z r. 1553; *d)* tamże portrecik Kłowia w małym medalionie, malowany olejno; *e)* w pałacu W. X. T. w sali „Camera della Madonna“ Święta rodzina, *f)* tamże Chrystus na krzyżu z wielkim zastępem ludu w odległości.

W Medyolanie: *a)* w zbiorze rodziny Trivulzi, rękopism poezyi Petrarki; *b)* w bibliotece Ambrozyańskiej zdjęcie z krzyża.

W Wenecyi: u rodziny Gonsagów albo ich spadkobierców, obrazek przedstawiający bitwę; przyniesiony tu z Mantuy.

W Asti: Święta rodzina znajdowała się w posiadaniu kanonika Boschi'ego.

W Austrii:

W Wiedniu: *a)* rękopism „Stanze d'Euriale d'Ascoli“ w ces. bibliotece nadwornój; *b)* S. Rodzina w zbiorach arcyksięcia Albrechta.

W Siedmiogrodzie:

W Sybinu (Hermanstadt): w zbiorze barona Brukenshala, Amor żalący się Wenerze, że go pszczoła ugryzła.

W Chorwacyi:

W Zagrzebiu: *a)* niewiasta otulona płaszczem. Rysunek w zbiorze Jana Kukuljewicza Sakeińskiego; *b)* Tomasz niewierny.



O USYPISKACH WYDRAŻONYCH

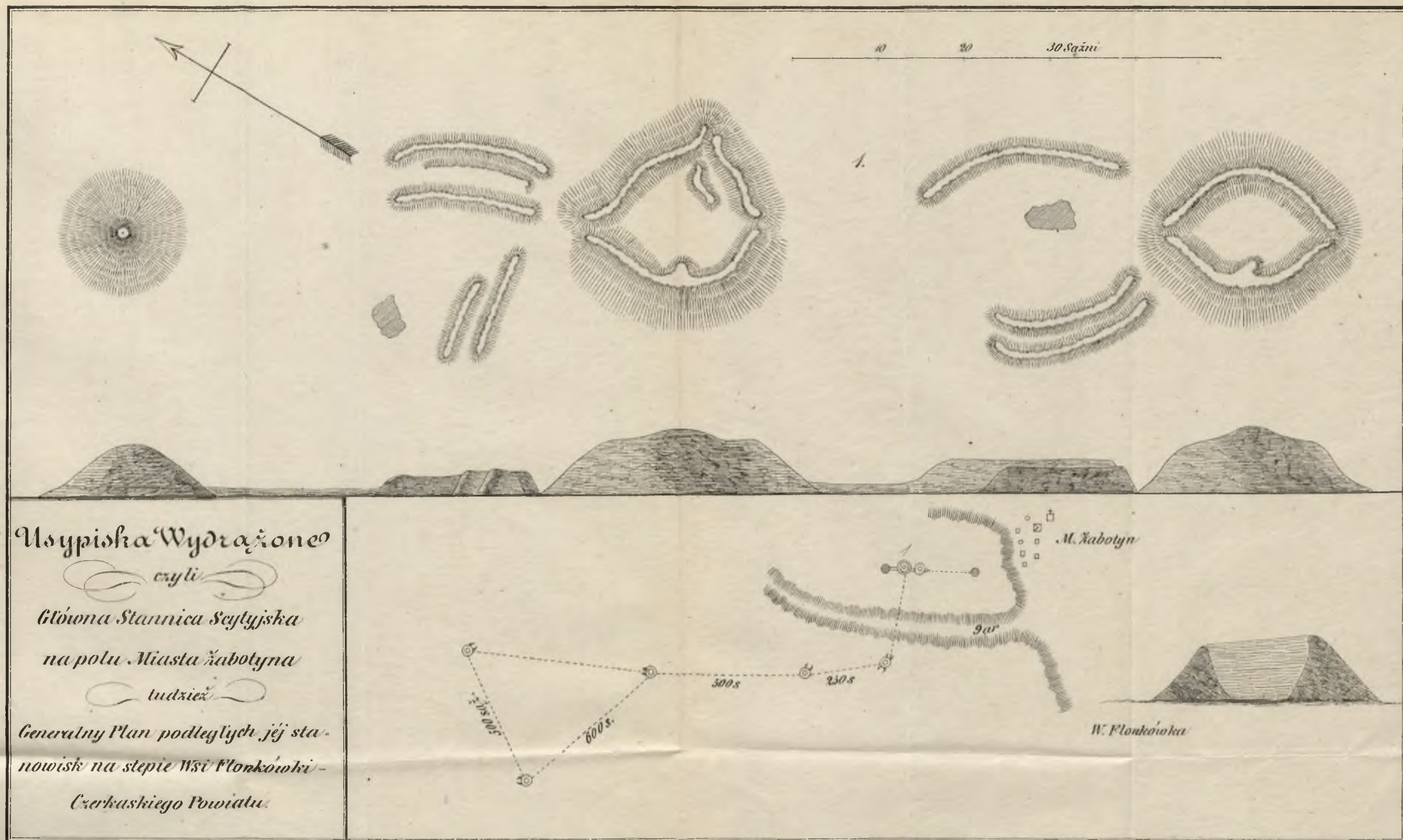
NAD CZARNEM MORZEM.

PRZEZ

Andrzeja Podbereskiego.

(Zdwiema tablicami).

Wtenczas gdy zagadnienie „*mogil*” zwyczajnych, zalegających stępy Rosyi Czarnomorskiej, można uważać za ostatecznie prawie, na pewnikach, rozwiązane, są jeszcze inne, zwykle im towarzyszące *usypiska wydrążone*, nad któremi stale dotąd głęboka zalega tajemnica. Ile nam wiadomo, mityka archeologa ich nie tknęła, a nauka wsparta na powierzchownych domniemaniach, jeżeli wnosi czasem w ich sędziwy zamierzech jakie słabe światelko, więcej jeszcze rumowiskiem uczoności swojej przysypuje. Nie ona dotąd stanowczego nie wyrzekła, i można powiedzieć, tylko nagromadza materiały hipotez, bez praktycznego ich wcale zastosowania z przyrodą. Każdy kto się dotknął tego zadania, kto tylko myślał o nie potracił, rozumie dobrze cały niedostatek swoich poszukiwań i sumiennie w duchu dodając, że: pilniejsze tylko, szczegółowsze zbadanie do czegoś gruntowniejszego doprowadzić może, czyni już jakoby zadość swęj powinności, i zamiast praktycznego a wytrwałego wzięcia się do pracy, spycha ją na przyszłość, na przypadek, na łaskę Bożą... Łatwiej bowiem każdemu, i temu co ma środki, i temu co ich wcale nie posiada, siedząc sobie w gabinecie, rozumować na cudzą wiarę, budować hipotezy na cudzych, pośrednich wiadomościach, częstokroć jeżeli nie zupełnie nieuckich, to zupełnie



pobieżnych, niżeli własną pracą, własnem zgłębianiem rzeczy do dna i cierpliwém lotnych swoich domniemań z rzeczywistością zastosowaniem, położyć choć nie tyle wymowną i uczoną, ale rzetelną swoim poszukiwaniom podstawę. Czuając ważność tego zarzutu, oparty na osobistém przejrzeniu tych zabytków, ośmielam się o *usypiskach wydrążonych* kilka ogólnych uwag przedstawić. W oczach badaczy mieć to powinno przynajmniej wartość dopełnienia szczegółów z danej miejscowości, i że mówiąc o tym, poruszamy słowo w przedmiocie zagadkowym, nierozwiązanym, a przeto samo ciekawym dla każdego poważniejszego umysłu, i nakoniec, doskonale ogółowi jeszcze obojętnego.

W poszukiwaniach tego rodzaju, przedewszystkiem, ważną jest okoliczność wiedzieć ich miejscowość. Z niezupełnych badań miejscowych, z dorywczych nad-drożnych podróżników spostrzeżeń, lub jakie tu-owdzie osobiście mogliśmy zebrać, *usypiska wydrążone* znajdują się w południowej części gubernii czernihowskiej, w środkowiu poltawskiej, mianowicie nad rzeczką *Kolomok*; sięgają też okolice Charkowa i ztąd wracając ku zachodowi średnio-północnem pasmem stepów Ekaterynosławskich, najwięcej ich podobno znajduje się w nad-Dnieprowskich pobrzeżach, poczynając od dolnego pod-Poroża w górę ponad rzekami: Dnieprem, Ingulcem, Taśminą, Rosią i Stuchną, w głąb radomyńskiego powiatu kijowskiej gub. zatulonych. Także w stronie północnej gub. chersońskiej, mianowicie na polach posieleńskiej wsi Pawłowska, po drodze z Nowomirhorodu do Woznesieńska, i nakoniec, wedle wiadomości p. Sreźniewskiego (1) rzadsze ich egzemplarze znajdują się rozrzucone w Zachodniej Galicyi nad Raba, w Szlązku, u podnóża gór Olbrzymich i Hercyńskich lasów, tudzież w dolnej i górnej Łuzacyi, w Kasselskiem, na Braniborzu, i w ogólności dalej na Pomorzu Bałtyckiem, między ujściami Elby, Odry i Wisły.

Z przejrzenia tego widzimy, że zalegają one znaczną bardzo część teraźniejszej i dawniej przedhistorycznej Słowiańszczyzny; lecz też razem idą nieoddzielnie wytkniętym

(1) „O Horodyszczach w ziemiach słowiańskich, mianowicie zachodnich” Pt. Записк. Одес. Общ. Ист. и Арх. Одесса 1850 г. Т. II а. II стр. 582.

szlakiem tajemniczych mogił scytyjskich. Mapa atoli tu wykreślona daleką jeszcze jest od pożądaney dokładności: nie wiemy z pewnością, czy wszystkie one do jednego należą rzędu i pokolenia? Okoliczność tego podziału jest niezmiernie ważną; bez niego z napotykaných sprzeczności nigdy się nie wypłatamy. Do uzupełnienia zaś téj próżni, jeżeli już nie wyłączne obejrzenie całej przestrzeni jednéj świadomej osoby, potrzebne jest przynajmniej współnictwo osób światlejszych każdéj miejscowości, lub uczestnictwo pp. korespondentów rozmaitych gazet, po rozmaitych punktach krajów rozrzuconych, którzyby z miejscowości swojej, wiadomości o nich publicznie podawali. A że opis ten powinien być towarzyszony przytém topograficznym rysunkiem, i u jednego ogniska skupiony, możeby w imieniu nauki *Kłosa* lub *Tygodnik Ilustrowany* kąteczek swej szpalty, ku temu przeznaczyły.

Usypiska w mowie będące, są zwyczajnie okrągłe, koliste, lecz czasami koło ich w środku bywa przypłaszczone, lub w elipsę przeciągnięte; zwykle miewają jedno tylko do środka wejście, rzadziej dwa na przestrzał, lub z boków. a niekiedy i trzy, dzieląc niejako koło na trzy równe części. Przed wejściem, na zewnątrz, poprzedzają je zawsze niższe o połowę przynajmniej od głównego usypu wały, rozmaitej długości, kształtów i kierunków; najpospolicij jednak półkolem z dwóch stron przestrzeń przymykają. Lecz téż są jeszcze usypiska mniejszych rozmiarów, zupełnie okrągłe, i bez zewnętrznych wcale wałów. Te ostatnie, oraz usypiska o jedném wejściu, zwyczajnie są we wnętrzu swoim zagłębione w caliku ziemi niżej powierzchni o drugie tyle prawie, ile wały ich wynoszą się nad powierzchnią; przeciwnie zaś, o dwu lub trzech wejściach, pospolicie sypane bywają na równym poziomie z ziemi branej z zewnątrz, bez wewnętrznego wcale zagłębienia, lub zagłębienie to idzie brzegiem w rodzaju głębokiego rowu, opasującego półkolem wystającą platformę (rys. T. I.). Horyzontalna linija wieńca głównego wału, niezawsze bywa równą; z boku, lub najczęściej pośrodku na tylnéj linii kolistości, podnosi się wyżej, stopniowie poniżając się ku wejściu; bywa téż niekiedy po kilka wyniesionych garbów, ale te prawdopodobnie, wiekiem zniszczenia i przygód zdziałane. Objętość ich bywa

bardzo rozmaite: nie przechodzą jednak, ile mogliśmy zauważyć, arszynów 200 obwodn, wieńcem wału mierzonego, i nie ma mniejszych nad 60, licząc wymiar krokami. W sypaniu ich nie można upatrzeć pewnego systematu, lecz wiąże je z sobą, jednoczy w całość, pewna łączna myśl głęboko w nich ukryta. Czasem sama jedna stoi na rozległym głuchym dokoła stepie; częściej bywa ich po kilka w zbliżonem do siebie sąsiedztwie. W ogólności zaś, łącznie ze zwyczajnemi mogiłami, przytrzymują się okolic nad-rzecznych, leśnych i żyzniejszych, dogodniejsze warunki dla trwalszej osiadłości zapewniających. Wejściem swoim najpospolicij bywają obrócone ku północy, lub północo-wschodowi, a rzadziej ku zachodowi. Ostatni ten kierunek Zoryan Chodakowski (Czarnocki), ważnym bardzo mienił warunkiem w znaczeniu tych usypisk. Nie zapuszczając się w symbolikę, długo sami byliśmy przekonani o takowym wyłącznym kierunku ich otworu; lecz pilniejsze postrzeżenia, większa liczba danych, jak niemniej téż wskazania p. Sreżniewskiego przekonały nas, że przeciwnie, w inne strony częściej jeszcze bywają zwrócone. Najważniejszą zaś, nierozdzielną przynależnością tych usypisk, najwymowniejszym téż ich komentarzem i kluczem zagadki, na którym głównie opierać się chcemy, są zwykle im towarzyszące „*zwyczajne pogrobowe mogiły*” scytyjskie, z których główna i największa najczęściej stoi na czele przed otworem usypiska, gdy inne pomniejsze kurhanki, rozrzucone w postroniach, dalszym niejako żałobnym wieńcem je otaczają.

Lud małoruski nazywa je czasem: „*horodyszcza, horodki*” jakoby rozumiejąc przez to miejsca obronne, lub „*rozkopana mohyla*” i „*maydany*” z których saletrę wyrabiano; wreszcie najczęściej wcale bez nazwisk zostawia. W innych okolicach, wedle p. Sreżniewskiego, znane są pod nazwami: „*gradziszcz, rodzyszcz, gradziska, gradziska,*” albo: „*gródka, gradka, rodziska, horodea, gradca* i t. p. wedle narzecza plemion jakie je otaczają. W świecie uczonym „*horodyszczami*” je mianują Chodakowski i p. Sreżniewski. Lecz na to w gruntowny bardzo i wyrozumowany sposób odpowiada p. Michał Grabowski „(Ukraina dawna i teraźniejsza)” stanowczo znosząc niewłaściwą, przygodną nazwę „*maydanów*” i oddzielając obronne horodyszcz, horodki, czy gródki,

innych wcale kształtów i objętości, od rodzaju usypisk w mo-
wie będących, które sam „obrzędowemi” mianuje.

Chodakowski bez wyróżnienia, zaciągając je do rzędu właściwych horodyszcz, zatém dowolnie zmieszawszy je z rozrzuconemi po całej przestrzeni „od Uralskich gór i Kamy na zachód do Elby i Herceyńskich lasów, a od północnej Dźwiny na południe do gór Bałkańskich i Adryatyckiego morza” bezwarunkowie za pomniki słowiańskie uważa. Lecz p. Sreżniewski jakkolwiek sam między usypiskami różnicy nie czyni i ogólnie „horodyszczami” je nazywa, w praktyczniejszy jednak sposób utrzymuje, że Słowianom południowym nad-Dunajskim, i w ogóle na południowem pomorzu za-Karpackim osiadłym, są prawie nieznane, innego zdaje się być w gruncie przekonania, a przynajmniej o powszechném ich u Słowian sypaniu, powątpiewać każe. Rozumienie zaś swoje o stosunku mogił zwyczajnych do usypisk wałowych, odłożył do późniejszego rozwiązania, czego z żalem naszym, bo głos jego wiele tu może mieć powagi, nigdzieśmy nie spotkali. Po głosie tych pracowników staje wreszcie ze swoją rzeško zarysowaną hipotezą, niejaki p. Bubliw koresp. Odes. Tow., który zacieśniwszy horyzont swoich archeologiczno-historycznych spostrzeżeń, do przestrzeni powiatu Alexandryjskiego chersońskiej gubernii, mianuje je poprostu i bez ogródki: „fortyfikacyami zaporoskich kozaków” siedzących niegdyś po nad Dnieprem swojemi *zimowikami*. Być może, kozacy nieraz korzystali z onych jako gotowych zatulisk w ich napół koczowniczym w stepach burlackiém życiu, ale zresztą zdanie to niedosięgając powagi żadnej krytyki, ostatecznie rozbija się o przestrzeń usypisk jak widzieliśmy, daleko bardzo za granice właściwie zaporoskich posiadłości przechodzących. Nakoniec p. M. Grabowski drogą swojej hipotezy o znaczeniu tych usypisk, połączywszy wbrew textowi Herodota, ościenne plemiona w jedno ze Scytami, wpada prawdziwie przypadkowie, a przeto bardzo oglądając się, na myśl, że to były usypiska „Scytów-Ludożerców”... Lecz ponieważ na wyraźnem wskazaniu Herodota wsparłszy się, okazać możemy, że właściwi Scytowie nigdy Ludożercami nie byli, zatém wedle tego powiedzenia wypada, że to są: albo pomniki Ludożerców, więc nie scytyjskie, albo scytyjskie, więc nie Ludożerców?... Czego osta-

tnim wyrazem będzie, żeśmy nie dość pilnie rozważali i zadania nie rozwiązaaliśmy... Tym atoli wszakże sposobem, usypiska wydrążone trafnie i w epoce i przy imieniu Scytów zatrzymuje. Jeżeli teraz swoje w tym względzie możemy zdanie objaśnić, postaramy się prostszą pójść drogą do jego rozpatrzenia.

Zjawianie się ich stosunkowo liczne do zbiegowiska mogił scytyjskich w niektórych miejscowościach i widomy ich z sobą związek; blizkie i nieodmierne towarzyszenie im kilku większych i mniejszych mogił pogrobowych; wreszcie ukazanie kilka tego rodzaju egzemplarzy ocalonych szczątków w dawno zasiedlonym kraju, między którymi kilka na Szlązku Cieszyńskim, poprzedzonych u wejścia „mogiłami“ dowodzi że jedna w nich wszędzie spoczywa rdzenna myśl; że jednego plemienia, jednego ludu sypała je ręka. Biorąc „mogiły“ jako pewnik za scytyjskie, a tłumacząc Scytyę przez Litwę, wypada wzajemnie jako pewnik, że są to usypiska nie słowiańskie, lecz scytyjskie, które wiekopomni królewscy Herule w pochodzie swoim na Bałtyckie pomorze ze stepów dawniej Scytyi czarnomorskiej, w daleki głąb' zachodniej potem Słowiańszczyzny, razem z obyczajem sypiania mogił, przeciągnęli....

Lecz cóż one znaczą, jaka myśl w nich złożona?...

Jakkolwiek sami podchwytając myśl p. Grabowskiego nazwiemy je *obrzędowemi*, podstawiając tylko, zamiast solennego obchodu ludożerstwa, uroczystsze jeszcze ciałopalenie Kejstuta, wedle Viganda w wydrążonej mogile „na półtory chłopa głębokiej“ dopełnionego, po bliższem atoli wpatrzeniu się, jeżeli nie zupełnie myśli takowej wypieramy się, przynajmniej warunkowie ją tylko bardzo przy oném przeznaczeniu zostawić musimy. Litwini po spaleniu ciała, na tém samém miejscu, wedle Strykowskiemu, sypali kurhan, więc przyjmując je w myśli za jedno pochodne i ku jednemu celowi przeznaczone, nie mogłyby już pozostać wydrążonemi... W przypadku zaś, gdyby po dopełnieniu obrzędu, zostawiano je nietykalnemi, a popioły zebrawszy w urnę w pobliżkiej składano mogile, w takim razie, co znaczą owe wewnętrzne rozmaitych form i przeznaczeń rowy, zagłębienia, lub platformy?... Co znaczy ów labirynt wałów zewnętrznych, rozmaitych kierunków, objętości i załamania,

których przykładu Litwa właściwa nam wcale nie docho-
wuje?... dlaczego nakoniec tyle i tak ogromnych ołtarzy ofiar-
nych bywa w blizkiem sobie sąsiedztwie? Nie możemy
bowiem zgodzić się z p. Grabowskim, że mogli je sypać na
każdą osobno ucztę „ludożerczą“ lub na każdą przygodę
obrzędku „ciało-palenia,“ bo jakkolwiek Scytowie owocze-
snych barbarzyńskich wieków, nie robili cywilizowanej pań-
szczyzny, i czasem swoim dowolnie rozporządzali, trudno
jednak przypuszczać, ażeby jedynie tylko bawili się sypa-
niem wciąż doraźnych usypisk, tak wielkiego rozmiaru, tak
wielkiej pracy, rąk licznych, a długiego czasu wymagają-
cych... Zresztą, w takim wypadku, albo owi Ludożercy
bardzo mało zjedli ofiar, stosując je do liczby usypisk, albo
liczba usypisk stosowana do powszechnego u ludu zwyczaju
zjadania ofiar, stokrotnie większa powinna się znajdować?
Miały więc one zapewne cel jeszcze inny, trwalszy, więcej
z prawdą zespolony, i rozmaitością swoich przeznaczeń, roz-
leglejszy. Cóżbyśmy tedy przecząc sami sobie, zamiast zna-
czenia ich wyłącznie „pogrzebowego“ innego postawić
mogli?

W drodze poszukiwań naszych scytyjskiego Gerrosu,
potrącaliśmy nieraz o „miejsca święte, pod odkrytym nie-
bem, lasą, lub wałem opasane...

Chcemy więc powiedzieć, że „usypiska wydrażone“
w najrozleglejszym ich znaczeniu, znamionują nam główne
scytyjskie obrzędowe stannice.

P. Sztyrmer, znany powieścio-pisarz, na zapytanie czy-
nione mu przez Michała Grabowskiego, odmawiając usypi-
skom wydrażonym wszelkiego charakteru strategicznego,
mieni je główną *kwaterą książęcą*. Ś. p. pułkownik Józef
Paszkowski, to samo potwierdza, i sam p. Grabowski w pe-
wnej mierze przyjmuje ich mniemanie, dodając: „że w rzym-
skich obozach były takowe, że nazwę, *jądra obozów*, miejsca
okopane, gdzie składano świętości legionów, *znamiona fascies*
i t. d. i że w Germanii i Anglii oznaczają się tem dotąd ich
ślady dawnych stanowisk; ale” kończy wreszcie „przeczy
takiemu domysłowi o naszych mogiłach właśnie wielka ich
mnogość...” (1) i, ze swój strony dodamy, szczególnie względ

(1) Pt. Ukraina dawna i terazniejsza „Nowa hipoteza o mogiłach
wydrażonych“ str. 128.

na ich liczne, najczęściej w danej miejscowości blizkie skupienie (1). Łatwo wszakże unikniemy wszelkiej sprzeczności, gdy nie będziemy je brać za doraźne li tylko wojenne, bojowe okopiska; lecz przeciwnie, gdy weźmiemy je za stałe, pokojowe stanowiska osiadłego ludu. Nie trzeba Scytów w ścisłym znaczeniu brać za Nomadów, ciągle miejsca swojego pobytu zmieniających. Herodot rozmieszczając ich w swoim czworoboku, dzieli na: Alazonów, Georgów czyli rolników, Bazyleów czyli królewskich, Borysthenitów, Olbiopolitów, tudzież Gerrów, i наконец, wyróżnia właściwie koczowniczych, czyli *Nomadów*, wskazując oczywiście, że inni takimi wcale nie byli (2). Jakoż, opierając się na badaniach p. Nadeżdina, które i p. Grabowski za podstawę przyjmuje, środkowo-południowa część stepów chersońskich, przypadająca właściwie na miejscowość koczowników, i mogił zwyczajnych bardzo mało dochowuje, przynajmniej nie tyle skupionych i wielkich, jak gdzieindziej, i usypisk takowych wcale prawie nie posiada. Przeciwnie w siedlisku Scytów-Gerrów, tudzież rolników i królewskich, obok wielkiej ilości mogił pogrobowych, są one, jakoby na poparcie naszego dowodu, bardzo powszechne. Więc były one we zwyczaju Scytów osiadłych, rolę uprawiających, rybołówstwem trudniących się, gdy przeciwnie, zmieniający często stanowiska swe pastercy Nomady, ani ku czci religijną w myśli obrzędowych, ani w myśli stannic obozowych wcale nie sypali. Lecz nie powinniśmy tego przed sobą zataić, że tak z własnych postrzeżeń, jako też z rozpytywań, nigdzie nie możemy ich dopatrzeć na całym pobrzeżu czarno-morskim, poczynając mianowicie od Odessy, ładem przez Taurydę do Kerczu; i dalej w górę po nad brzegami azowskimi, gdzie przecie rozciągały się stepowe posiadłości Scytów królew-

(1) Leży czasami jedno od drugiego o kilkanaście i kilkadziesiąt sążni odległości. W Czechryńskim pow. na polach Matwijówki, Kossary, Jureczychy i M. Kamionki; tudzież w Czerkaskim na polach wsi Pruss, Florkówki, M. Zubotyń i w wielu innych miejscach często znajdują się po kilka jedno obok drugiego, lub po pięć i sześć na przestrzeni wiorsty kwadratów rozrzucone: widocznie nie były to obozowiska wojenne.

(2) Podział ten plemion zachowujemy w myśli tekstu Herodota, nie zaś wedle Szafarzyka, który z tego powodu jednych tylko Nomadów uważa za Scytów właściwych, resztę zaś za Słowian.

skich, u których one musiały być, zapewne, we zwyczaju, i gdzie tyle najświetniejszych pomników grobowych nad Olbią i Bosforem, ślady po nich znaczy.... Nie to wszakże nie stanowi, i owszem, hipotezę naszą pomалу wspiera. Gdyby były one w celu wyłącznie obrzędowo-pogrzebowym, z charakterem symboliczno-religijnym, musiałyby wszędy zarówno na całej przestrzeni scytyjskiej znajdować się: chyba nie w zwyczaju wszystkich zarówno leżały plemion, jak to mówiąc o obyczajach ogólnikiem nadmienia Herodot.... chyba że tutaj, wnet po spaleniu, przekazany Litwie sposobem, zasypywano ofiarne wydrażenia wysoką mogiłą, co potworzyło może nad Bosforem owe „olbrzymie kurhany”—owe góry sypane, urny, popioły i zgłiszczą wewnątrz skrywające?... Lecz to wszystko wątpliwości podlega; za pewnik zaś tylko można uważać, że obok charakteru ich obrzędowego, towarzyszy im zawsze myśl osiadłości, a jako taka, nie mogła zaiste ostać się w głuchych, bezwodnych, obszarach stepów, dokąd tylko zapuszczały się dzikie pastwiska, przytrzymując się głównych rzek, lub wiosennych potoków, i gdzie obecnie nawet, przy całej usilności kolonistów, zaledwo o słonej częstokroć wodzie, z głębokich studni wydobywanéj, zaszczerpia się osiadłe życie. Konieczność tylko mogłaby do tego zmusić, a téj, oczywiście, w one pustynne czasy, podejrzwać nie można. W prostym więc porządku rzeczy, usypiska takowe trzymały się miejsc żyznych, lasowych i w wody obfitujące, jako téż miejscowości do dziś dnia nam o tém świadczą. Lecz usunąwszy je ze stepów bezpłodnych, dlaczego nie pozostawiły one śladów swoich w wielkich stanicach scytyjskich, w obec pomienionych znakomitych nadbrzeżnych kolonii greckich: Olbii i Bosforu, czyli Pantikapei?...

Dwie tu następują się odpowiedzi: albo, że stannice te będąc wyłącznie handlowe, religijne swe misterye i obrządki dopełniały w tajemniczéj głębi odleglejszych stepów osiadłych, co bardzo prawdopodobnie, i o czém zdaje się twierdzić ta ogółowość, ta pośredniczość niejako i niezupełność wiadomości Herodota o religijnych obrządkach scytyjskich, których niemając blisko przed sobą w Olbii, naocznym ich świadkiem być nie mógł; albo: że stannice te w blizkiem zostając zetknięciu z wpływem oświaty greckich emporyi,

które ucząc Scytów stawiać w miastach pyszne pałace zdobne sfinxami i posągami, lub ciosowe nad grobami wznosić mauzolea i bogate sztuki greckiej sarkofagi, wskazały też im, zamiast usypisk ziemnych dogodniej opasywać miejsca święte murem kamiennym, które huragan czasów w powietrzu rozwiał i ślady ich zatarł...

Ale jeszcze jedną mamy ominąć sprzeczność. Usypiska wydrążone posuwając się w górę rzek Taśminy i Rosi, sięgając oraz wierzchowiń Stuhny i głębi nawet radomyślskiego powiatu, ostatniego zakątka Kijowszczyzny, tudzież zachodząc szeroką ławą na wschód i na zachód w ziemie Melanchlenów, Issedonów i tajemniczych Hiperboreów, wkraczają daleko nie tylko za obręb scytyjskiego czworoboku, ale za granice wszystkich nawet Ludożerców, przez Herodota wskazanych?!. I to nas nie zbija. Najprzód, jak to już na swoim miejscu powiedzieliśmy, niewiele należy przywiązywać wagi do granic Scytyi, systematycznym zakresłonych „czworobokiem,” której miejscowość właściwie przestrzenią mogliśmy znaczymy. Zresztą gdy za dni Herodotowych badań, Melanchleni i Ludożercy rzeczywiście siedzieli nad Taśminą i Rosią, wedle określeń p. Nadeżdina, to w chwili tej właśnie, gdy on z wykończonym opisem swoich dziejów, nieśmiertelne zbierał laury na igrzyskach Olimpiady, wojowniczy tymczasem Scytowie, nieprzychylnych i słabych swoich sąsiadów, mogli wspierać dalej w stepy, lub dokonawszy podboju, głębiej siedliska swoje, mogiły i obozowiska, w żyzną ich zdobytą miejscowość, posunąć: reszty dokonały późniejsze Scytów i potomków ich herulskich, wędrówki.

Miejscowości usypisk wydrążonych, które w obecnej chwili mamy przed sobą, i które tylko na razie w pamięci zarysować umiemy, należą w ogóle do okolic lasowych. W wielu ich miejscach, gdzie dziś najzupełniej nagie ścielą się stepy, i śladów porośli nawet niema, żyjąca jeszcze tradycja wspomina, sami nawet pamiętamy, niedawno zniszczone dęby, ostatnie szczątki „wielkich niegdyś lasów...”

Więc odpowiadając na to czego szukamy, ostatnim naszą hipotezę wyrazem będzie, że: usypiska wydrążone na przestrzeni Rusi, są to: *miejsca święte, pod odkrytym niebem waleń opasane, a świętymi gajami dokoła ostonione.* Stojące w wyosobieniu na panujących wyniosłościach stepowych, czei

osobnego bóstwa poświęcone świątynie, lub na danęj przestrzeni w pewnym do siebie zbliżeniu skupione, w których poosobno i ojciec bogów Papeos, i Apia-Ziemia-matka, i Artim-pasa-Venus miłośna (Milda), i Tabiti-Vesta najczystsza, której przedewszystkiém, Scytowie łaski starali się pozyskać; i Ares-Mars wojowniczy, i Octosyros-Apollon jaśniejący, składaną sobie cześć i ofiary przyjmowali.... Były też one razem: *jądra obrzędowe głównych stannic scytyjskich*: książęcych, z krwi panującej, lub podległych im naczelników pokoleń i rodowych patryarchów domowego ogniska, w których oni strzegli swe penaty, swe skarby i trofea, a starym patryarchalnym obyczajem, sami powinność kapłanów dopełniali. Otoczone dokoła rozbitymi namiotami, wołokowymi jurtami koczowników, lub stałemi sklecankami drewnianemi i ziemiolkami trwałych osadników zimowych, które wiatr i tysiące lat z powierzchni prochy nawet zdmuchały. Były to, wreszcie może owe na Białorusi dostrzeżone *Soukromne*, miejsca wyrokom i sądom tajemnym poświęcone (1), a które, razem wszystkie pod jedną nazwę skupiając, *usypiskami obrzędowymi* nazwiemy.

(1) Hr. Konstanty Tyszkiewicz w ciekawém swoim poszukiwaniu czynioném nad „okopiskiem w Soukromném“ w okolicach Łohojska znajdującém się (Teki Wileńska Nr. 6. 1853 r. str. 92), opierając się na podaniu ludu Białoruskiego i wyrozumieniu ksiąg czeskich, dowiódł, że to było wyniesione miejsce „sądów tajemnych“, miejsce „ogłaszania sądowych wyroków“ i „staczanych pojedynków...“ Odważamy się tu jednak niektóre drobne swoje porobić uwagi. Najprzód trzymając się ścisłości reguł badaniowych, gdzie każda myśl i każde słowo, winny być jasne, zrozumiałe, gdyby z granitu wykute, nie rozumiemy dobrze, czy w nawias wzięty wyraz „soukromnych“ zamieszczony w tekście zacytowanej przedmowy czeskiego wydawcy ksiąg, jest wyraz właściwie czeski, czy też przytoczony białoruski?... Jeżeli czeski?... jako więc kamień węgielny dowodzenia, dla lepszej wyrazistości wypadałoby wypisać *cursive* lub nawiasowym umocować wykrzyknikiem; jeżeli zaś białoruski?... to jako oboj textowi, albo położyć w cudzysłowie, albo zamknąwszy nawiasem, obostrzyć go znakiem zapytania. Przyémiony także dopisek redakcyi, nie wiele nas objaśnia. Wedle niego zacytowane *soukromnych* zdaje się być wyrazem czeskim. I w takim razie znaczenie okopiska byłoby stanowczo oznaczone. Lecz my przeciwnie, *badaniami* swojemi myśli autora, do innego doszliśmy przekonania, mianowicie: że w nawias wzięty wyraz jest białoruski, nihy postronnie przypominający, że sądy tajemne czeskie mogły się nazywać *soukromne*. W tym więc wypadku dochodzimy do zwątpienia: ażali sądy tajemne czeskie mogły mieć jaki stosunek z okopiskiem w Soukromném lub w „Młynku Boro-

Przez takie tylko przeprowadziwszy je stopnie, tak tylko przeznaczenie ich urozmaiciwszy, zdołamy choć wyobraźnią dopełnić i tę niepojętą rozmaitość kształtów, i ów nieodgadniony labirynt splątanych wałów, których znaczenia, nieświadomości obyczajów, potrzeb i wyobrażeń ludu danej epoki, nigdy inaczej nie wyrozumiemy. Najprawdopodobniej, w niektórych przynajmniej wydrążeniach, a szczególnie w usypiskach na gładkiej powierzchni sypanych, jak Żabotyńskie (ob. rys). były pewnego rodzaju ołtarze, ofiarniki, może sklepione kryjówki i składy. Ale o tym chemiczny chyba tylko rozkład z wierzchniego pokładu pouczyć mógłby. Mogiły zaś bliskie, naprzeciw stojące, lub pomniejsze w postroniach rozsypane, wyraźnie mówią, że są grobami władców, naczelników posiadaczy stannicznych, ich wreszcie sług, lub młodszych członków rodziny, i mogiły te, powtarzamy, są razem o ile jasnym dowodem scytyjskiego usypisk wydrążonych pochodzenia, o tyle najznakomitszymi sprawdzaniami obrzędów i zwyczajów, jakich się ci posiadacze trzymali, a których dotąd nikt kartki odwrócić nie chciał. Chowano jedynie w ziemi, palono, lub po zjedzeniu składano w nich „głowy i kości?” jak się domniemywa p. Grabowski, tajemnica zagadnień w nich się zamyka. P. Grabowski czuł potrzebę rozpatrzenia takowych, lecz innym to wołał zostawić. Ale p. Grabowski otoczony dokoła ciekawemi tego rodzaju zabytkami na polach: Matwijówki, Osoty, Kosary, Kamionki, Prus, Żabotyńa i Aleksandrówki nawet, nie zajrzawszy

wym“ na Białorusi?... Piękna to myśl i dosyć barwna dla wyobraźni, ogłaszać wyroki zgromadzonemu ludowi z wyniosłego okopiska, niby z publicznej trybuny, niby prawdy ewangeliczne z kazalnicy; lecz wątpliwy czy sądy *tajemne* potrzebowały wyniosłego, odosłoniętego nasypu, i czy ogłaszanie ztamtąd wyroków, wśród srogięj zimy i białoruskich zamieci, było dogodne i sędziom, i mówcom, i skazanym... Chętnie więc piszemy się na to, że to były miejsca uroczystej modlitwy, miejsca ofiarne, ku czci bogów pod odkrytym niebem wzniesione, ale co do znaczenia ich sądowego, w wątpliwości zostać musimy. Że zaś „Kopiszcza“ takowe „podobne są do pogańskich mogił, zwanych Żalami, Żalnikami, Żaliskami“ żałujemy bardzo, że autor posunawszy badania swoje na próbę w głąb na „szańce“ nie raczył posunąć jeszcze dalej, wiele potrzeba, choćby na dwa i na trzy do samego dna—do caliku, gdzie opanowani myślą grobowego nasypu, wnosimy iż mógłby się znaleźć tam ciekawy jaki archeologiczny zabytek, właściwe przeznaczenie jego wskazujący.

atoli w ich wnętrza, nie zbadawszy rzeczy do dna, mając ze stanowiska swego i stosunków, wszelkie ułatwiające ku temu środki, dowiódł że traktował rzecz pośpiesznie, wykraczając przeto w obec nauki i prawdziwego zamyślenia przedmiotu, a tém samém dobrowolnie usuwając trwałą podstawę, hipotezę swoją sprawiedliwą lub błędną, na powietrzu oparł (1).

W ogólności historia i archeologia miejscowości tej lekko pomijać nie powinny. Niedaleko Żabotyń w głębokich lasach są wielkie wały, a między innemi sławny monaster Motroneński, opasany dokoła wałem podwójnym, którego miejscowość do najznakomitszych „Horodyszcz” kraju, zaliczyć wypada. Zapuszczając się w otchłań zamierzonych wieków, dzieje tej krainy pomaleńku na tle loicznego wywodu z przedhistorycznych cieniów wychylają się. Takie skupienie mogił usypisk obrzędowych i ogromnych wałów obronnych, nie jest ślepo przygodne, rozmaitą ręką i myślą sypane; jest w nich owszem, pewna łączność, pewna zasada wspólności, ale te na ośniewie tylko myśli naszej scyto-litewskiej, dopatrzeć i rozjaśnić sobie możemy.

Początek monasteru Motroneńskiego wychodzi z okresu historycznego krainy. Oprócz głuchego podania, żadnego dokumentu, żadnego świadectwa o jego pochodzeniu, a dochowany świstek ks. Jabłonowskiego z ostatnich lat przeszłego stulecia, świadczy tylko o nieczystem nadaniu dla monasteru, stu dziesięcin lasu, w obrębie podwójnego wału zamkniętego, jakim darem hojności, dotąd kilku mnichów, liczny „priczot” cerkiewny i służba boża, dostаточно podtrzymują się. Monaster ten znany jest w dziejach Ukrainy. Jest to wyniosła płaszczyna, w pośród ciemnych lasów nad-Taśmińskich położona; całkowicie lasem gęstym pokryta, z małym w pośrodku wyrębem pod monasterskim obejściem, i niby owalna wyspa z głębi otaczających dokoła przepaścistych jarów wystająca, której krawędzią ciągnące w pewnym od siebie odstąpieniu dwa wały wysokie, właściwy obręb monasterski podwójnie zamykają.

(1) Kilkunastoletnia praca nasza nie wyjrzaawszy jeszcze na świat, przeżyła już ś. p. Joachima, a dziś każe nam oplakiwać świeży zgon ś. p. Michała. Nie potrzebuje już ś. p. Michał tej surowej przestrogi, lecz wbrew uczuciom serca, dla innych ją na ołtarzu historycznej sumiennosci składamy.

W wałach tych mają być lochy i kryjóWKi, a po za obrębem ich mnogie zakopane skarby, oraz wskazują „zasiek” hajdamackiego obozowiska w zagłębionej dolinie między górami i jarami zatulony. Oko historyka dotąd powierzchownie tu ślizga się, lub z topielisk uczoności wynurzyć się nie może; a motyka i świder archeologa, wcale jej nie tykały. Pośepny, głuchy, milczący i ponury tu wyraz; lecz my róższczęką scytyjsko-litewską, chcemy odleglejsze i zacniejsze wywołać zeń znamię.

Wedle podania mnichów, o którym nadmieniliśmy, księżna Motrona, za czasów jeszcze poprzedzających Batego, nie doczekawszy powrotu męża swojego z dalekiej wyprawy zobrała nowe drnżyny i poszła go szukać. W drodze spotkały się dwa wojska, a nie rozpoznawszy się z sobą wzajem czy dla zmroku, czy dla zmiany zdobytej w łupach odzieży, zwarły z sobą bój, w którym księżna męża swojego ubiła. Rozpoznawszy potem, zrozpaczona, na pamiątkę swęj chrześciańskiej żałoby i pokuty, monaster ten od imienia swojego postawiła. Podanie to, słowo w słowo, przywiązane jest do znanęj w świecie archeologicznym, mogiły *Perepiatychy*, o kilkaset wiorst ztąd w okolicach rz. Stuhny i m. Chwastowa na wpół przestrzeni prawie z m. Wasilkowa do Białocerkwi położonęj, z tą tylko różnicą, że tam księżna, zamiast monasteru, prastarym obyczajem scytyjskim na śmierć dobrowolnie skazawszy się, osobno mężowi, a osobno sobie, wraz ze służebnemi swojemi, olbrzymie nadgrobne kurhany usypać kazała. Rozkopanie mogiły z żeńskim imieniem *Perepiatycha*, zawierającęj pod spodem 12 porządkiem ułożonych szkieletów z kobiecemi ozdobami, okazało, że podanie ludowe było nieomylne; głuche zaś o tak szczególnym wypadku ruskich latopisców milczenie; układ nasypu, ogrom jego rozmiarów, rodzaj i styl znalezionych przedmiotów, dowodzą, że mogiła i podanie, pierwotnych czasów i obrządków scytyjskich sięgają. Oczywiście więc, podanie przechowane w monasterze, jest późnięj przerobione, na kanwie nowych już okoliczności świątobliwie przetkane; zawsze jednak ma ono wielkie znaczenie miejscowe, i oddzielić go ztąd nie można. Żeby zaś dokładnie je wyrozumieć, trzeba oba tylko razem w jedno połączyć, a rzecz się cała wyjaśni. Wedle tego więc, w obwodzie motroneńskich wałów będziemy mieli:

główną, obronną stannicę książęcą, punkt wyjścia na wyprawę, w mogiłach zaś, *perepiat i perepiatycha*, obojga tych książęcych małżonków, na miejscu nieszczęśliwej potyczki złożone grobowce. Stajemy tym sposobem odrazu u węzła zagadki, lecz żeby go zupełnie rozplątać, przypatrzmy się jeszcze jaka to nie tajemna łączy te wały z okolicznymi mogiłami i usypiskami obrzędowymi?... jaka to była stannica i przybliżona przynajmniej epoka, w której powstać ona tu mogła?...

Krążąc zawsze w poszukiwaniach naszych, około swojej scytowskiej osi, wpadamy na myśl świętego, na tym miejscu, scytyjskiego Gerrosu... W texcie naszych badań okazaliśmy geograficznie, że Herodotowa „kraina Gerros,” kołebka i grzebowisko królów scytyjskich, była w miejscowości późniejszego Zaporozża; loiczny zaś wywód myśli na obrazie prusko-litewskiego Romnowe oparty, oraz poszukiwania archeologiczne wskazały posilkowie, że i miasto tegoż nazwiska, a właściwie stannica główna Gerrosu, tamże nad rzeką Bazawłukiem (Gerrosem) przed wiekami leżała. Jest to pewnik do którego światło historyczne kilku dochodziły drogami. Lecz pewnik ten istniał jeszcze za czasów Herodota, za czasów świetnego panowania scytyjskiego na całej przestrzeni czarnomorskich stepów, gdy w kilka potem wieków, w epoce mianowicie, Chrystusowej, postać tamecznych krajów i stosunków scytyjskich, zupełnie się zmieniły. Scytowie trapieni w siedliskach swoich nieustannie przez władców bosforskich, lub rozmaitemi najazdami, coraz świeżo pojawiających się na tym ciemnym szlaku dziejowym, nowych hord azyjskich; pod naciskiem wreszcie przewagi legionów rzymskich ustępując, zwinawszy namioty, zabrawszy bogi, świętości narodowe i penaty, cicho wiekowe swe siedliska opuścili, w głąb Borysthenskich stepów zasuwając się, z kądem dopiero głucho chyba tylko i niepewne echo, od nich napowrót w kraj pra-ojców dochodziło. I owa, miejscowość dzika, zaciszna, w głęboki zakąt zakulona; jarami, lasami rzekami i błotami od wrogich napadów zabezpieczona, stała się teraz dla nieszczęsnych wygnańców, miejscem świętym nowego Gerrosu, nowym ogniskiem, nowym palladium ich narodowości, gdzie i swoje „złote dary nieba“ bezpiecznie chronili, i rozmaici bogowie cześć swoją otrzymywali.

Taki początek znaczymy tutejszym wałom, mogiłom i usypiskom obrzędowym, które choć niemego są oblicza, choć ściśle tajemnice w łonie swoim skrywają, niemniej jednak pilnemu czytelnikowi, ich ducha, wyraźne o sobie świadectwo podają.

Dalsze losy Gerrosu z zakresu tego miejsca i poszukiwania wychodzą. Powiemy tylko, iż przez potomnych Scyto-królewskich Herulów w dalekie nadbrzeża bałtyckie uniesione, oparły się pierwotnie w Retrze i Arkonie, a po zajęciu tych krain przez plemiona słowiańskie z nad Łaby Germanami spierane, zajaśniały jeszcze całym blaskiem świetności przedśmiertnej na pruskiem Romnowe, i nakoniec przed świętą przewagą krzyża, ostatecznie na dolinie Swintoroga razem z pogańskim Zniczem zagasły!.... Co zaś do miejscowości w mowie będącej, dodamy, iż po zejściu ztąd Scytów, najprawdopodobniej, najbliżsi ich sąsiedzi, a tą razą podbici może tylko i z miejsca wcale nie ruszani wiekowi tubylce, po słowiańsku przed każdym najazdem, jak się wyraża Karol Sleńkiewicz „do ziemi przypadający“ Melanchleni „szczep inny nie skythyjski“ w czarnych świtach, jak nasi Rusini, chodzący i miejscowości tej i wielu wspólnych podań, dziedzicami stałymi zostali. Nakoniec i tu jak na Bałtyckiem pomorzu, tryumfujący chrześcijaństwo, na tradycyjnie poświęconém miejscu pogańskiem, świątynie Motrony pod znamiem krzyża postawił.

*

*

*

Dla dokładniejszego wyjaśnienia przedmiotu i sprowadzenia go do pewnej całości, przytaczamy na tém miejscu rysunek kilku główniejszych przynajmniej usypisk, zwracając oraz szczególną uwagę na jedno z licznych usypisk pruskich pod Nr. 2 (Tablica I) zamieszczonego. Leżą one w ogólności na równym stepie w Czerkaskim powiecie, po obu stronach drogi ze wsi Prus do m. Smiły wiodącej, nie opodal wsi w płytkim jarze na rozdole rozesłanej. W usypisku tém oprócz pospolitych wałów zewnętrznych i zagłębiań, są we wnętrzu głównego okopu i na zewnątrz między wałami, pewnego rodzaju usypiane platformy, rzadko w innych zdarzające się. Zdaje się że usypisko to było przodkującym ołtarzem, przedniejszemu bóstwu poświęconym, w szeregu

otaczających go prostokątem innych, mniej znakomitych, przynajmniej co do układu i rozmaitości swoich wizerunków. Starzy ludzie powiadają, że przed pół wiekiem niespełna, na tém miejscu gdzie dziś step czysty i plenny, były lasy i wielkie dęby, teraz opodal już tylko wieńcem go otaczające. O wiorst trzy nie dalej, od ostatniego z szeregu usypisk Pruskich, poczyną się inny szereg na polach wsi Florkówki i m. Żabotyń. Pomiędzy temi najciekawsze ze wszystkich jaki zdarzyło się kiedy widzieć, tak co do niepospolitej wysokości głównych swoich wałów, jako téż blizkiego połączenia dwóch razem w jednym obrębie, jest usypisko oznaczone pod Nr. 3, 4, 5, (Tabl. I). Leży ono na grzbiecie wyniosłego stepu, od zachodu przedzielone głębokim jarem od mogił Florkowieckich; ze wschodu zaś opasane zagłębioną doliną i stromemi także jarami, w których ukrywa się znane z czasów Koliszczyzny hajdamackiej, miasteczko Żabotyń. Jak Nr. 2 usypiska Pruskiego zdawał się przodkować między swojemi, tak stannica Żabotyńska z wyniosłej pozycyi swojej, (Tabl. II), zdaje się rozciągać ogólne swe arcy-kapłańsko-książęce panowanie nad wszelkiemi, jakie się w okolicy znajdują. We wnętrzu jęj, między stromo osypanemi bokami, zdaje się, że ukryta jakaś przypierała do ścian wału budowa, którą wieki bez śladów spożyły. Okopisku temu towarzyszą naprzeciw głównych wchodów, dwie wielkie mogiły: jedna w pobliżu, druga o półtorasta może sążni na krawędzi jaru żabotyńskiego stojąca. Należą one do jednego systematu, a pilne i umiejętne ich zbadanie, mogłoby doprowadzić do ciekawych bardzo archeologicznych spostrzeżeń. Powinność ta leży na zamożnym ich właścicielu, tém bardziej że jako wielbiciel klassyczności, z małą bardzo pracą, niemalą dla siebie przyjemnością, a dla nauki korzyścią, łatwiej tę żywą kartkę Herodotowego komentarza, przejrzyć mógłby.



KRONIKA LITERACKA.

Kilka słów o przekładach Ludwika Jenikego. (Torquato Tasso, dramat w 5 aktach, Goetego.— Ifigenia, dramat w 5 aktach, Goetego.— Zriny, tragedia z dziejów węgierskich w 5 aktach, Teodora Körnera).

Nie omylimy się, jeżeli powiemy, że największy z poetów niemieckich, Goete, jest bardzo mało i od bardzo niedawna reprezentowanym w literaturze naszej. Pisma peryodyczne dawniejsze i późniejsze dawały w mniej więcej szczęśliwych przekładach drobne jego wierszyki i urywki obszerniejszych poematów. Czajkowski przełożył *Hermana i Dorotę. Faust*, celujący jego utwór, doczekał się aż kilku przekładów. Dawnemi laty Biblioteka Warszawska zamieszczała obszernie tego poematu ustępy w pełnym werwy przekładzie Szabrańskiego; przed ośmią laty zamieściła całość mistrzowsko przetłumaczoną przez Alexandra Krajewskiego; przetłumaczył także całego Fausta Alfons Walicki, ale praca jego jest szczytem nieudolności. Oprócz Fausta i Hermana, żadnego z większych poematów niemieckiego wieszczą literatura nasza aż do ostatnich lat nie posiadała, a wiadomość o duchu jego utworów czerpiemy tylko z dzieła anglika Lewesa, przetłumaczonego dopiero w 1860 r. przez Nowosielskiego. Studyów samodzielnych nie posiadamy żadnych. A jednak Goete, to mistrz wszechwiekowy, geniusz uniwersalny, chociaż w niemieckim stroju. Każdy naród i każda epoka znajdzie u niego wiele do wzięcia; każdy umysł wyższy znajdzie w nim pobudkę myśli i natchnień, wskazówkę w rzeczach sztuki i pojęciach ducha. Goete, to kodex nowoczesnej cywilizacyi wypisany złotemi głoskami poezyi. Jako poeta łączy on swobodę i polot romantyczny z attycyzmem klasycznych

kształtów; jako prozaik zajmuje jedno z pierwszych miejsc pośród myślicieli i krytyków. Jego pojedyncze zdania nacechowane są nieraz taką głębokością, taką mądrością, że wyrokują o sprawach myśli w ostatniej instancji; a lubo nie jest wolnym, jako wolny myśliciel, od barwy panteizmu, to nie ubliża mu bynajmniej, boć i Spinoza lubo najściślejszy z nowoczesnych panteistów nie przestaje być wielkim myślicielem. Ktoby nic innego nie znał w piśmiennictwie, tylko dobrze wystudyował Goetego, ten już przeszedł dobrą szkołę i umysł swój porządnie zasilił; a ktoby miał siłę potemu aby go komentować, mógłby całe tomy wielce nauczających uwag napisać o jego dziełach. I o takim to pisarzu literatura nasza mało ma wiadomości własnych, ledwie głuchych słów tu i owdzie kilka. Gdzieindziej nie czekając na poetyczne przekłady pierwszorzędných obcych poetów, zostawiając je *ad libitum* ludziom utalentowanym, tłumaczą ich tymczasem w prozie dla tego tylko, aby literatury własnej nie pozbawić tych powszechnych elementów cywilizacyjnych i postępowych jakie wielcy mistrze w dziełach swych złożyli, niby ziarno życia duchowego. Ale tak postępują tam gdzie ogół ceni światło i promieni jego poszukuje na seryo. U nas zdobywano się na przekłady Koka, Ducangea, Dumasa i t. p., i jeszcze na jakie przekłady! Tego przelały się stosy, foliały, biblioteki całe, dowodząc jakiego to światła i jakich zadowoleń żądny był umysł publiczności; ale mistrze prawdziwi, pierwsi mężowie w rzeczypospolitej ducha, stali opodal niezaczeptieni, bo snadź nikt ich nie potrzebował, — nie byli w modzie. Dziś zaledwie, kiedy ustaje ta odrażająca powódź stęchłej romansopisarskiej francuzczyzny, zaczynają się wychylać poważne arcydzieła obce w przekładach polskich. P. Ludwik Jenike stanąwszy w rzędzie tłumaczy, zapoznał nas z dwoma arcydziełami Goetego i to naprzód przez pośrednictwo Biblioteki Warszawskiej, a następnie w osobnych z niej odbiciach.

Pierwszym jego przekładem był dramat Goetego: *Torquato Tasso*. Kto weźmie to dzieło do ręki z zamiarem znalezienia w nim dramatu w zwyczajném teatralném znaczeniu, ten zawiedzie się grubo. Akcyi i intrygi niema tam prawie żadnej, i nie mówimy tego bynajmniej na pochwałę tego utworu; boć jeżeli pisze się dramat, to niechże on będzie dramatyczny a przynajmniej sceniczny. Ten jednakże warunek nie był widać w założeniu autora jak tu tak i w innych jego dziełach, dramatami nazwanych, które mimo to nie przestają być arcydziełami poezyi. *Torquato Tasso* jest to wielki psychologiczny obraz, w którym występuje

poeta, bez względu jaki, może Tasso, może sam autor, ze wszystkimi cechami genialnego człowieka; dla którego ziemia i jej warunki są czémś czerem i podrzędnem, a interesem głównym są jego myśli, ideały, marzenia. On kocha i pragnie; a więc mniejsza o przeszkody, które oddzielają go od celu jego miłości i pragnień; on ich nie spostrzega, bo to małostki i widzi tylko swój cel, a tymczasem małostki te, z którymi on się rachować nie umie i nie chce, których nie dostrzega albo je źle widzi, rosną i kształcą się bez niego, i jak drobne ale zjadliwe gadziny wpadają nań i odbierają mu siły. To człowiek którego myśl i uczucie warte więcej niż myśli i uczucia tysięcy, ale on ich nie umie spożytkować dla siebie, on je tylko rzuca na zasiew dla przyszłości, a sam nie pojmowany bo stoi za wysoko, nie pojmujący drugich, bo ci stoją za nisko, szamocze się wśród drobnych a dokuczliwych, nieustających przeciwieństw, i wreszcie pada ofiarą swej niepraktyczności. Szczęśliwy, jeżeli ktoś z przeciwnego obozu, z ziemskiej kategorii, poda mu rękę i podtrzyma upadającego. Otóż i w tym poemacie *idealizm* Tassa ma wyborne przeciwstawienie w *realizmie* Antonia. Tasso ma go za swego wroga, i ten istotnie działa przeciw jego widokom; a jednak Antonio dowodzi, że można, nie będąc poetą i marzycielem, być jednak poczciwym człowiekiem. To też poeta doświadczywszy na sobie, co to jest łaska pańska, gust kobiet, zrozpaczony a uczuwający nareszcie przyjazną rękę Antonia, pięknie w końcu odzywa się do niego:

O, tyś jest silny i nieporuszony!
 Jam jako fala gnana wichrem burzy!
 Lecz pomnij, że i otęga to natury
 Ta sama co opokę niewzruszenie
 Usadowiła,— ruch nadała fali.
 Bóg zayła burzę, fala ustępuje
 I wzbiera, piętrzy się, przelewa z szumem,
 Ta, co niedawno w czystém łonie swojem
 Tak pięknie odbijała obraz słońca.
 I jam był kiedyś silny; dziś łódź moja
 Rozkolatana, stér skruszony pęka,
 Pod stopy memi dno się rozstępuje!
 Więc się oburącz chwytam twojej dłoni,
 Jak żeglarz, który czepia się u skuly
 Tej samej, co rozbila jego okręt.

Cały ten poemat jest jedną symfonią uczuć; brak akcyi, zastępuje muzyka duszy, a każdy jej ton pełen znaczenia, nacechowany mistrzostwem. Boleść bez wrzawy namiętnej, siła wyra-

zem oblicza uie żadném skrzywieniem, godność w każdym ruchu i postąpieniu, myśl w każdym wyrazie, znajdzie czytelnik w tym utworze Goetego.

Drugim podobnego rodzaju dramatem, który dał nam w przekładzie p. Jenike jest: *Ifigenia w Taurydzie*. Dramat ten treścią swą odnosi się do zamierzcłej i zgola mitycznej epoki Hellenów, ale duchem czysto chrześcijański i nowoczesny. Będziemyż za to ganić jego autora? Bynajmniej. W poezyi głównie chodzi o poczyć, a więc o prawdę duchową. Nie zaprzeczamy, iż prawda ta zostając w zgodzie z okolicznościami czasowemi i miejscowemi, staje się, że tak powiem, *prawdziwszą*, niemniej przeto uie godzi nam się utworu jakiegoś odsądzać od wartości artystycznej, jeśli on stoi w przeciwieństwie z archeologią. Jak strzały armatnie Szekspira są częstokroć anachronizmem, tak i tu ta forma uczuć w jaką Goete oparł serce Ifigenii, anachronizmem jest. Choć to przedmiot ktoremu Eschyles i Eurypides częś natchnień swych poświęcili, jednakże tenże sam Eschyles i Eurypides nie poznaliby się w utworze Goetego, ale tém niemniej oddaliby mu serdeczny poklask. Ifigenija Goetego jest istnie chrześcijańską dziewczą. Ifigenija pochodziła z krwawego rodu i predystynowanego na straszne zbrodnie. Ojciec jój, Agamemnon, wybierając się na wyprawę trojańską, dla ubłagania u bogów pomyślnego wiatru, przeznaczył ją na śmierć ofiarną, i tylko litość Artemidy (Diany) uratowała ją wybiegiem, gdy wszyscy obecni sądzili, że ofiara istotnie została spełnioną. Ifigenija niewiedomie porwana przez Artemidę, została kapłanką jój świątyni w Taurydzie. Tymczasem niesłychane zbrodnie dzieją się w jój rodzinie. Matka jój, Klitemnestra, mszcząc się śmierci córki, zabija Agamnenona za powrotem jego z Troi. Brat Ifigenii, Orestes, mszcząc się śmierci ojca zabija matkę i ścigany przez Furyb, szuka uciszenia które ma nastąpić dopiero w Taurydzie, zkąd Apollo brat Artemidy, rozkazał mu uprowadzić siostrę, stawiając to za konieczny warunek jego expiacji. Węc też Orestes z nieodstępnym przyjacielem swym Pyladesem wybierają się do Taurydy, aby posąg Artemidy wykraść i sprowadzić do Grecyi Apollinowi. Tymczasem kapłanka jój, Ifigenija, spełnia tam obowiązki kobiety pojmwanej w najwyższym ideale, jaki tylko dać może najwyższa filozofia, to jest chrześcijaństwo. Smutna, tęskniąca za krajem, nudząca się między obcemi, używa jednak między niemi tego czasu pokuty i wygnania na sprawowanie uczynków miłości. Życie jój zawiera się w tych słowach, które zwraca do niej powiernik królewski:

Mówisz,

Że bezowocnie dni twe upływają?
 A któż rozjaśnił króla chmurne czoło?
 Kto zniósł okrutny zwyczaj starodawny,
 Że cudzoziemiec każdy przed ołtarzem
 Diany padał? Kto łagodną prośbą
 Odwlekał wyrok i od pewnej śmierci
 Ocalił tylu mężów uwiecznionych?
 I czyż Diana, zamiast gniew okazać,
 Że ją pozbawiasz krwawych ofiar tylu,
 Nie wysłuchuje owszem modłów twoich?
 Czy znaków naszych nie otacza stale
 Zwycięstwo? czyż ich nie wyprzedza nawet?
 I czyliż każdy dzisiaj nie doznaje
 Szczęśliwszej doli, odkąd król nasz dzielny,
 Za twoją sprawą stawszy się łagodnym,
 Ułatwia nam należne posłuszeństwo?
 I to nazywasz życiem bezowocnem,
 Gdy dobroczynny balsam na tysiące
 Wysączasz, gdy zesłana nam od bogów,
 Ludowi szczęście niesiesz, cudzoziemcom
 Zbawienie?..

Ten charakter Ifigenii tu ogólnie skreślony, rozwija się w całym dramacie, od przybycia mianowicie Orestesa i Pylada. Orestes jest to dusza również po chrześcijańsku zrozpaczona ogromem spełnionej zbrodni. Łamie się on z wyrzutami sumienia, goreje boleścią i umysł jego się błąka. Jakkież pięknie, jak cudownie, te jego boleści tają stopniowo pod ręką kochającej siostry. Nie inaczej wydaje się nam zwątpiały zbrodniarz, który z żalem i skrucą wylawszy swe boleści przed spowiednikiem, odchodzi od dobroczynnego trybunału z okiem uspokojonem nadzieją i sercem czującym zastępujące miłosierdzie Boże. Nie powtarzamy tu całkowitej treści, bo nie chodzi nam o zupełne sprawozdanie, ale raczej wolilibyśmy, aby sam czytelnik wziął dzieło do ręki i napawał się rozkoszami szczytnej poezyi i myśli niepospolitego ducha; chcielibyśmy wskazać tém pismem naszym, co w tych przekładach znaleźć mogą miłujący prawdziwe piękno w literaturze i pragnący z nim się zapoznać, aby nauczyć się istne światło od świecideł rozróżniać.

Ifigenia ma nierównie więcej życia dramatycznego, jak Tasso; w niej dziwnym sposobem zestrzelił Goete pojęcia nowoczesne ze starożytną treścią i formą. Ktoby zatarł imiona, w miejsce ich podstawił inne, obojętne, niehistoryczne, znajdzie w tém dziele

najdoskonalszy utwór dzisiejszych czasów. Kto nie jest świadomym pojęć starożytnych, kto je wreszcie odłoży na stronę, temu utwór ten wyda się najpiękniejszą tragedją klassyczną, ze względu na spokój i doskonałość jej form, a bez względu nawet na to, że rodzaj miłosnej intrygi, przyspieszony ruch sceniczny, brak chó-rów, odróżnia ją od zwykłej tragedji greckiej. Jest to bo téż tragedia, jakoby dalszy ciąg greckiej stanowiąca, ale wykonana przez artystę nowożytnego, w zastosowaniu do nowych stosunków i potrzeb, z zachowaniem wielkich tradycyi sztuki.

Takie to są w ogólnych zarysach te dwa poemata Goetego, które po raz pierwszy w języku naszym zaprodukował p. Jenike. Wybór zrobił on w tém doskonały i z zadania swego wywiązał się chwalebnie. Jeżeli przekład Tassa był bez zarzutu, przekład Ifigenii należy do najwytworniejszych. Rozmaitym może być dobór wyrazów dla oddania myśli oryginału, zwłaszcza myśli, które ze względu na obszerność swego znaczenia, rozmaicie oddane być mogą: doborem kieruje w tym razie znajomość zasobów własnego języka, umiejętne ich użycie i gust. Wszystkie te warunki łączą się w zdolnościach p. Jenikego; bo porównyując text oryginalny z przekładem, nie znaleźliśmy najmniejszego odstępiania nietylko od sensu ale i od efektownych zamiarów pierwowzoru; jak zaś zażył języka swego p. Jenike, aby odwzorować i ducha i wszystkie subtelne odcienia formy artystycznej, o tém nie potrzeba wydawać sądu; osądzi to każdy, kto zna jakkolwiek swój język. Jest to przekład jeden z najsumienniejszych, który nietylko zabawką, ale poważną był pracą dla tłumacza: nikt nie znajdzie w nim żadnego zaniedbania, żadnej lekkomyślności, żadnej rażącej licencji, żadnego *aby zbyć*, tak jak to się często zdarza wyżej nawet nierównie utalentowanym pisarzom; ale wszystko owszem ujęte w karby prawideł ścisłych, co jednak bynajmniej nie wykluczyło swobody i płynności zwłaszcza w Ifigenii. Tasso, jako pierwsza w tym rodzaju praca, być może mniej pod tym względem celuje, mniej tam posuwisto płyną kadencye języka; ale może téż to i właściwość textu, bo rzeczywiście i oryginał sam ciężej się wypowiada niż Ifigenia. Przekład p. Jenikego jest tak zwany miarowy, zupełnie zastosowany do wzoru niemieckiego. Lubo osobiście przeciwni jesteśmy temu systemowi w poezji polskiej, cośmy już niejednokrotnie mieli sposobność wypowiedzieć, jednakże, zgodziwszy się na tę metodę, wyznać musimy, że ją p. Jenike u nas doprowadził w swych przekładach do możliwej doskonałości. Inni tłumaczą i piszą niby wierszem miarowym, ale ten ich wiersz za-

sadza się tylko na równości liczby zgłosek i na jedności średniówki. Jest to więc prosty wiersz *tinły*, bez rymu, ale jeżeli wiersz ma być miarowym, to niechże będzie takim nietylko w ogóle zgłosek, ale i w każdej pojedynczej części wiersza. Tymczasem, jak u Korzeniowskiego, tak i u Szujskiego jamb z trochejem szturchają się co chwila i szarpią ucho czytelnika. P. Jenike w swych przekładach od początku do końca przeprowadził jednak z kilkanaście tysięcy prawdziwych jambicznych miar, o ile te prawdziwemi być mogą; co już ciż jest pracą mozolną.

To wszystkie zalety tłumaczenia zastosował p. Jenike i w ostatniej swjej pracy, mianowicie w przekładzie „*Zriniego*” Teodora Körnera, poety niemieckiego znanego z czasów wojny o niepodległość Niemiec w r. 1813. Duch tego dramatu jest zgoła innym jak duch poematów Goetego. Przedewszystkiem Körner jest to szczupły talencik, małeńki trytonik w porównaniu z Jowiszem germańskim; powtóre, Goete w najdrobniejszym człowieczku jaki podpadł pod jego poetyczny pryzmat, widzi ludzkość całą, gdy Körner, młodzieniaszek, student, dziecko swojej tylko chwili, patryotyczny entuzysta. wśród całej ludzkości dotąd widział tylko Niemca. Było to z jego strony bardzo do wytłumaczenia, i Körner przy dłuższem życiu, byłby zapewne rozszerzył zakres swego widzenia, ale młodzieńcze i, naturalnie, jedyne jego utwory, wyrobione są na małą skalę tego parafianstwa europejskiego, które poza granicami parafii małe ma znaczenie. Tem też cechuje się i jego dramat: „*Zrini*.” Warunki sceniczne tego dramatu są nierównie szczęśliwsze jak w Goetem, a nawet jedne z najefektowniejszych, ale myśl tam bardzo kusa i pospolita; przedmiotem żołnierz broniący swej chorągwi w imię doprawdy nie wiem, czy jakiejś zasady wyższej, czy honoru wojkowego, ale zdaje się, że prędzej to drugie. Takich bohaterów od Leonidasa do Winkelryda i później nie zbywało ludzkości, i materya to zapewne godna poezyi, chodzi tylko o to, jak jest obrobiona. Kiedy zaś mowa jest o dramacie, to jeden epizod historyczny stanowić go nie może, ale może być chyba jego tylko osią, koło której obrócić się powinny prawdziwe elementa dramatyczne. W Körnerze ich nie ma, tam obrona zagrożonej przez Turków fortecy węgierskiej stanowi istne dramatyczne zadanie, a reszta jest dodatkiem. Dygresye poetyczne i romansowe nie są bez pewnego uroku, rycerski duch przemawia wprawdzie dosyć głośno w całej osnowie poematu, ale pomimo to jakaś fałszywa nuta entuzjazmu, psuje powagę efektu, i obniża skalę wartości utworu, zkądiną sympatycznego.

Słowem dramatu tego, pomimo wyborniej formy językowej przekładu, nie policzymy na równi z poprzedniami do bogatych nabytków literatury naszej, i wolelibyśmy, aby p. Jenike, nie rozpraszając czasu i zdolności swoich na rzeczy podrzędne, pozostał przy wielkim mistrzu, którego dzieła tak zgrabnie przyswajać nam umie.

Kaz. Kaszewski.

Statuta Ordynacyi Zamoyskiej od r. 1589—1848. Warszawa 1867 r. (W drukarni Gazety Polskiej w wielkiej cwiartce str. 76, wstępu II, errat II oprócz spisu i tytułu).

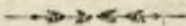
Dzieło to w ozdobnej edycyi wydane, obejmuje na czele wstęp, napisany przez Leopolda Huberta, który dla wyjaśnienia całego zbioru w skróceniu podajemy.

„Statuta Ordynacyi Zamoyskiej z mocy konstytucyi sejmowej w r. 1589 uchwalonej, przez Jana Zamoyskiego hetmana i kanclerza Wielkiego Koronnego, w tymże roku przepisane, a następnie w latach 1590, 1591, 1593, 1601 i 1604 uzupełnione, lub w niektórych punktach przemienione, dwukrotnie ogłoszone już zostały drukiem, raz w 1692, powtórnie w 1752 roku.” Ta ostatnia edycja, której kartę tytułową znajdujemy w wydaniu obecnem, służyła za podstawę do niego, z poprawieniem błędów jakie się pokazały w dokumentach, po ścisłym porównaniu z oryginalnemi zeznaniami do ksiąg zapisów trybunału Koronnego Lubelskiego wniesionemi, a w archiwum głównem Królestwa przechowanemi. Nadto dodano obok oryginalnego tekstu w języku łacińskim, przekład polski, a to dla lepszego zrozumienia osnowy każdego aktu.

Kiedy po pierwszym podziale Polski, największa część dóbr Ordynacyi Zamoyskiej, weszła w skład Galicyi Wschodniej, wówczas zebrane jej statuta przedstawione zostały Cesarzowi Niemieckiemu Józefowi II i uzyskały jego zatwierdzenie ze zmianami zastosowanemi do potrzeb czasu i okoliczności. Przy regulacyi hipoteki dóbr Ordynacyi Zamoyskiej w r. 1823 nastąpionćj, a w r. 1833 przez zwierzchność hipoteczną zatwierdzonej, do księgi wieczystćj tychże dóbr, wniesioną została treść wszystkich statutów i dyploma z roku 1786, którą wydawca w tćj przemowie podaje. Następnie na czele jest umieszczoną Konstytucya Ordynacyi z roku 1589, dalej konstytucya z r. 1590 wraz z pięciu dodatkami po rok 1604, Dyplom Józefa II Cesarza Niemieckiego z r. 1786, a zakończyć ukazuje Najjaśniejszego Cesarza Wszech Rossyi Mikołaja Igo z roku 1848.

Dzieło to w małej ilości egzemplarzy odbite nie znajduje się w obiegu handlu księgarskiego.

R.



ROZMAITOŚCI.

*Obrzędy i zwyczaje rolnicze w powiatach Kamienieckim,
Płoskirowskim i Uszyckim (*).*

Przy uprawie ziemi prócz spełnienia wiadomych agronomicznych prawideł: żeby orać głęboko i drobno, nie szczególnego nie zwraca uwagi, chyba tylko towarzysząca tej czynności wrzawa, nieustannie objawiająca się w krzykach poganiaczyów zmuszających bydło do pośpiechu. Ich śpiewy, śmiechy głośne, granie na fujarkach, i dawanie pociągowym bydłom, a szczególnie leniwym najprzeróżniejszych ale zawsze conceptowych przezwisk, pobudzają słuchaczyów do ciągłego a głośnego rehotania.

Siewbie towarzyszą zwyczaje mające za sobą powagę religijną. W dniu przeznaczonym dla siewu, kiedy wszystkie przygotowania do tego w domu ukończone, gospodarz kładzie na wozy wiozące nasiona i brony, owinięty czystą chustą cały bochen chleba, następnie siewaczów, nasiona, i narzędzia żegnając znakiem krzyża ś. kropi święconą wodą, używając zamiast kropidła, palmy przyniesionej z kościoła w Kwietnią Niedzielę. Przybywszy na miejsce siewacz, rozściela na rolę ową chustę którą chleb owinięty, kładzie na niej przywieziony bochen, a wzięwszy na się siewnię to jest wór ćwierciowej miary napełniony już nasieniem, przeżegnawszy niwę i siebie przy wymówieniu słów „*Boże pomahaj na*

(1) Opis ten otrzymaliśmy od Dr. Alexandra Kremera, jako odpowiedź na zapytania Dra Wilhelma Mannhard'a umieszczone w naszym piśmie w T. IV zr. 1864. P. R. B. W.

szczasływoho dołu" (1), rozpoczyna samo sianie; po skończeniu tej czynności znówu mówi: „*Niechaj Boh rodyt na szczasływoho dołu*" (2), zabiera położony na roli chleb, owija na nowo, aby nie tknięty zawieźć na powrót do domu i na tem kończy się czynność jego (3). Na nowiu księżycy nie sieje się, bo zboże ciągle będzie zielone i kwitnące, kwadra 1sza więcej sprzyja posiewom a pełnia najwięcej: na ostatniej kwadrze wcale się nie sieje. Palma wyżej wspomniona, używa się także jak wprzód, przy wysyłaniu pasieki na toczek, w polu lub lesie, wypędzając pierwszy raz na wiosnę na pastwisko bydło i owce, a nakoniec pędząc bydła do miasta dla sprzedaży, bije się nią one, żeby nie powracały więcej.

Kiedy po obsiewach wiosennych w kilka tygodni zboża ozieme i jarzynne podniosą się w wysoką trawę, zaczynają kłosać, (dzieje się to około Zielonych Świąt), w te więc dniе świąteczne, duchowieństwo z parafianami wychodzą procesjonalnie w pola, obchodzą zboża z czytaniem na wielu miejscach Ewangelii, a w przechodzie swoim zgromadzeni idąc obok zboża chwytają żyto w górze pod kłosami ile się w garsć zmieści i rosnące bez wyrwania zawiązują w węzły, aby się ziarno w kłosach wiązało, prócz tego, gdzie się w polach znajdują krzyże, na takowe wkładają wianki uwite z żytnich kłosów; w owym czasie niektóre zboża wykłoso-
wane zaczynają kwitnąć, i w skutek wiatrów falować, wtedy więc mówią, że po zbożu wilki za baranami gonią.

Następuje zbiór siana, a najprzód koszenie trawy, to się odbywa na gołe kosi bez zębów t. j. nie grabkami. Najprzyjemniejsza i najweselsza to jest robota w dniе pogodne w sianozęciach dąbrownych a szczególnie, jeżeli jej towarzyszy pewien obrządek tak zwany *frycówką* czyli *frycowaniem*. Opisziny go. Parobek pierwszy raz występujący publicznie w zgromadzeniu kosić, winien ten wstęp swój okupić, to jest uraczyć wszystkich kosarzy gorzałką. Biada mu jeżeli przez upór, skąpstwo, lub dla innych jakichby nie było przyczyn tego nie dopełni; do południa zostaje

(1) Boże dopomóż na dolę szczęśliwego.

(2) Niechaj Bóg rodzi (daje urodzaj) na dolę szczęśliwego.

(3) W gubernii podolskiej obyczaj przy rozpoczynaniu siejby nieco odmienny. Wóz z nasieniem i bronami zaprzężony wraz z poganiozem i siewaczem stojący na podwórzu domu, gospodarz obchodzi potrzykroć wokół, kropiąc nasienie, sprzęty i ludzi wodą święconą, do czego używa trzech kłosów złożonych w kisdę; następnie rozwiązuje worek, wlewa weń resztę wody święconej i kistkę, a zawiązawazy na nowo kładzie na worku chleb i sól i tak w pole wyprawia i siewacz rzuca kistkę naprzód w skibę a następnie sieje.

pod najczujniejszą strażą żeby się nie wymknął. W południe po zrobieniu należytych przygotowań, strzeżonego sadzą na kuszce (1), stojącą na ziemi ostrym końcem do góry, a posadziwszy trzymając mocno nie bez naciskania ku dołowi; wtenczas zjawia się mistrz ceremonii i obwołuje przybycie celebrującego jakiegoś arcykapłana, który w tejże chwili w towarzystwie innych podobnych mu, poprzedzany chorągwiami z różnej lekkiej odzieży zawieszonych na kosach, zbliżają się do kandydata, którego trzymający utrzymać już nie mogą, a więc powiększa się na ten cel siła zbrojua. Celebrujący ubrany jest od głowy do nóg, a bardziej okręcony powrósłami z trawy, których końce w okrąg całego ciała zwisają; jest to coś nakszaft jeża, na głowie czapka czy infuła, jakiś niewidziany dziwoląg, w prawej ręce kadzielnica czyli trybularz t. j. końska głowa zawieszona na powrósłach a w tej mocno dymiąca głownia, w lewej ręce młotek którym się kosa klepie. Zbliżywszy się do delikwenta, zaczyna mu kadzić chuśtając kadzielnicą w ten sposób, żeby często zetknęła się nie szkodliwie jednak z kolanami siedzącego, tak okadziwszy trzykrotnie w około, zbliża się do niego kadząc ciągle i podaje mu do całowania młotek; naturalnie że on go nie chce całować ale się wzdraga, wtedy arcykapłan upomina go i reflektuje w tych słowach: „Nie bój się moje dziecko, nie weźmie cię P. Bóg, ale djabeł.” Następnie mistrz ceremonii odbiera od niego młotek i kadzielnicę a na to miejsce podaje inną kuskę, napełnioną jakiemiś *wszetecznościami* (2) z moknącą w nich osełką, arcykapłan wzięwszy do ręki osełkę i umoczywszy ją w tém, co się w kuszce znajduje przystępuje do właściwego pasowania na kosarza. Jeżeli kiedy, to natenczas, mocno winowając trzymają. Teraz assystenci pozostałością w kuszce mydła mu głowę a arcykapłan mrucząc coś pod nosem kreśli osełką po twarzy i czole wiadome mu hieroglify, po skończeniu czego i po trzykrotném jak wprzody okadzeniu, arcykapłan wstępuje zwykle na kamień albo pień drzewa, ma stosowną do okoliczności mowę, dość śmiesznej i nieskromnej treści, przy wyliczaniu obowiązków nowego kosarza na przyszłość; upomina go np. żeby kosząc u żyda, nie omijał brody i pejsów i t. d., którą skończywszy woła wraz z całym zgromadzeniem trzykrotnie *Solvit! Solvit!*

(1) Kuszka, walec drewniany długości około pół łokcia, przez połowę większą z jednego końca wydrążony, w którym u pasa nosi się woda a w tej osełka do ostrzenia, zakończony ostrosłupem.

(2) Zwykle bedłki różnego rodzaju rozrobione z wodą.

Solvi! i wtenczas neofitę puszożają wolnego. Takiej wagi jest ten obrządek, że zgromadzeni czas południowego pożywienia i odpoczynku całkowity mu poświęcają odmówiwszy sobie jak jednego tak drugiego. A w obu razach czyli kto prawo obywatelstwa między kosarzami nabył przez *frycowanie*, czyli przez okup, zawsze trzykrotnie woła się *Solvi!*

Wkrótce po zbiorze siana następują żniwa. Zgromadzeni żęcy, przybywszy na niwę opasani powróżkami z czarnobylu czyli bylicy (*artemisia vulgaris*) zerwanego w wigilią święta św. Jana Chrzciciela w wieczór, rozpoczynają żęcie, kładąc pierwsze dwie garście użęte nakrzyż, po nażęciu pierwszego snopa garście te wraz z bylicą zawiązują w snopy pierwsze, i pewni że ich przy ciągłym chylaniu się po użyciu tego talizmanu w czasie żniwa krzyże boleć nie będą, postępują dalej w rozpoczętą robotę. Przy pierwszych odwiedzinach, otaczają właściciela, otaczają go w okrąg sierpami, a kosarze kosami, składają powinszowania, że żniwa szczęśliwie doczekał, a z tego sens moralny, na traktament gorzałka. Przy dokończeniu żęcia ostatnią garść zboża zostawiają nieżętą, a na ostatnim snopie tarzają się wszyscy żęcy.

Teraz przystępują wśród śpiewów do robienia wianków z kłosów żytnich i pszennych osobno, które wkładają na głowy dwóch dziewczek podścieliwszy pod one białe chusty; w czasie takowej czynności i pochodu do domu właściciela śpiewają ciągle jak następuje:

Nasz Pan młodeńki
 Pidnym kiń woroneńki
 Wyichaw na nywońku
 W szczasływym hodynońku
 Dobrych żeńciw maje,
 Skoro z pola zbyraje.
 Na susidskim polu
 Wsia pasznia w kółolu.
 U naszoho Pana
 Pszenycia jak ława.
 Konec żniwu konec
 Nesem Panowy winec.
 Z dola do stodoły
 Z stodoły do komory.
 Z komory na nywu,
 W szczasływu hodynu.
 Szczo nasz Pan tam dije?
 W stodoli zołoto wije.
 A Pani pidmitaje

Nasz pan młodziutki
 pod nim koń kary
 wyjechał na niweczkę
 w szczęśliwą godzinęczkę.
 Dobrych ma żeńców,
 prędko z pola zbiera.
 Na sąsiedniem polu
 wszystka pasza w kółolu.
 U naszego pana
 pszenica jak ława.
 Koniec żniwu konec
 niesiemy panu wieniec.
 Z pola do stodoły
 z stodoły do komory.
 Z komory na niwę
 w szczęśliwą godzinę.
 Co nasz pan tam robi?
 W stodole złoto wieje.
 A pani podmiata

Bo sio żeńciw spodiwaje.
 U naszoho Pana
 Zołotaja brama
 A sribnaja pryspa
 Siło żeńczykiw trysta.
 A nasza Pani pyszna
 Za tuju bramu wyszła,
 Kluczamy podzwanyła
 Bohu sio pomolyła
 Szezo w polu obrobyła.
 Zhotowsia Pane k'piru (1).
 Prodaj korowu siru
 I z kurczatamy kwoczku
 Postaw horiwki boczku.

bo się żeńców spodziewa.
 U naszego pana
 złota jest brama
 a srebrna przyśba
 usiadło żeńców trzysta.
 A nasza pani pyszna
 za tę bramę wyszła,
 kluczami podzwoniła
 do Boga się pomodliła
 (za to) że w polu obrobiła.
 Przygotuj się panie do uczyty,
 sprzedaj siwą krowę
 i z kurczętami kwoczkę,
 wystaw gorzałki beczkę.

Po przybyciu do domu właściciela, dziewczki uwieńczone z pochylonemi głowami składają mu powinszowania:

„Szczoby Pan doczekaw sijaty,
 oraty,
 „A my zbyraty.”

Oby Pan doczekał się siać,
 orać,
 a my zbierać.

W téj chwili gospodarz śpiesznie zdejmuje wianki z głów obu razem, a śpiesznie dla tego, bo od prędkiego zdjęcia takowych, zależy prędkie za mąż pójście dziewczek; po złożeniu wianków, daje podarunki obu dziewczkom i rozpoczyna się uczta.

Dla zabezpieczenia posiewów ozimych od zjawiających się w jesieni robaków, obsypuje się niwa naokoło sproszkowaném niegaszoném wapnem.

Żeby wróble szkody w zbożu na polu nie robiły, należy w wigilią dnia Bożego Narodzenia w wieczór złowić wróbla, tego spalić i sproszkowanego mieszać z nasionami.

Przy rozsadzaniu flanców kapusty, pierwszy flanc sadi się wraz z gałązką zielonej pokrzywy, żeby uniknąć napaści gąsienic, prócz tego, osoba sadząca winna jedną ręką trzymać się za głowę, żeby głowy kapusty wyrosły do takiej wielkości jakiej jest trzymana głowa.

Przy posiewie marchwi, pietruszki i innych okopowych jarzyn, przy rzuceniu pierwszej garści nasienia, należy trzymać się za łytkę, w zamiarze jak się mówiło wyżej o kapuście.

Żniwo oziminy odbywa się sierpami i snopy wiążą się powrótami (przewiązłami) zaraz po nażęciu ilości na snop potrzebnej, ozimina mniejsza i rzadsza, tnie się kosami.

Zboża jarzynne koszą się kosami mającemi przyrząd drewniany z zębami, ułatwiający porządne układanie pokosów; w razie jednak, jeżeli te zboża są bardzo bujne, żną się sierpami i nażęte snopy jeżeli zawierają wielką ilość trawy u spodu, nie wiążą się zaraz, lecz układają się na powrósłach podścielonych, do czasu wyschnięcia trawy, jak w z żętym zbożu tak i w znajdującym się na pokosach, szczególnie przy zbiorze prosa używa się tego układania na powrósłach co się zowie „*żąć na pomieć*.”

W dzień święta *Maryi Magdaleny*, chociaż nieobchodzony uroczyście dawniej, teraz nie się nie robi, bo w ten dzień cholera w tym zakęcie się pojawiła.

Konopie i len w wodzie nie mogą moknąć w dzień święta Narodzenia N. Maryi Panny Sgo Września, bo jeżeli z takich włókien utkane będzie płótno, ten kto niém będzie odziany niezawodnie utonie.

Kapusty w dzień ścięcia św. Jana ścinać nie można, bo z miejsca cięcia krew popłynie.



WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Wrzesień 1867 r.—Stagnacya w handlu księgarskim coraz się powiększa. Ceny książek, pomimo niesłychanego ich obniżenia, żadnego prawie odbytu niemają. Księgarz S. H. Merzbach ciągle ogłasza rozmaite wydawnictwa własnej firmy zmniejszone więcej jak o połowę, a niektóre mniejszej wartości za piątą część katalogowej ceny: czy ma jednak spodziewany obdyt, musimy powątpiewać. Ruch po księgarniach jaki widzimy, powodują tylko nuty, dzieła zagraniczne i nasze pisma peryodyczne. Mnóstwo prac zarówno ważnych jak zajmujących nietylko spoczywa w tekach autorów, ale nawet i u przedsiębiorczych niedawno wydawców, którzy po opłaceniu już honoraryów za rękopisma, nie śmieją ryzykować kosztów na opłatę druku i papieru, wiedząc że ten wydatek zwrócony im nie zostanie.

— *Encyklopedia powszechna*, której całość obliczaliśmy na 26 tomów, obejmie o dwa tomy więcej, na czém zyskać tylko może to ogromne dzieło. Tom XXVII już w większej połowie wydrukowany; w rękopiśmie redakcyja ukończyła litery: W, X i Y; obecnie ostatnią literę Z, układa, i bezwątpienia w miesiącu październiku ukończy. Tak więc w r. b. cała *Encyklopedia* ukończoną zostanie.

— W Poznaniu nakładem księgarni M. Leitgebra, wydane zostały: *Pieśni kroackie* na język polski przełożył Hieronim Feldmanowski. W roku 1861 wydał tenże pisarz *Pieśni Illiryskie*; dwa te zbiory, poznajamiając nas z nieznanemi dotąd kwiatami poezyi ludowej zasługują na bliższe przejrzanie i szczegółowe sprawozdanie.

— Znacomity nasz kompozytor F. Dobrzyński, po długiej i ciężkiej chorobie przyszedłszy do zdrowia, wykończy znany utwór *Krzyżaków* z poematu Mickiewicza.

— *Geografi* Stanisława Strojnowskiego, nakładem autora, wyszły trzy zeszyty 6, 7 i 8, zamykające tom pierwszy tego ważnego dzieła. Przy końcu znajdujemy *Pomowę*, w której autor odpowiada na gruntowną i uczoną recenzję prof. Papłońskiego, drukowaną w *Gazecie Warszawskiej*, po wyjściu trzech pierwszych zeszytów *geografii*.

— W zeszycie V *Ekonomisty* na rok bieżący, znajdujemy statystykę Królestwa Polskiego, z której ważniejsze cyfry podamy. Królestwo Polskie ma rozległości 2,216 mil kw. jeogr. Ogólnej ludności 5,388,534 głów; w tém miejskiej (w 452 miastach) 1,359,125, wiejskiej (w 1330 gminach wiejskich) 4,029,409.

Do końca 1866 r. dzieliło się na pięć gubernii i 39 powiatów; obecnie podzielone od 1/13 stycznia r. b. na dziesięć gubernii i 85 powiatów. Najludniejsza z gubernii jest warszawska, liczy bowiem 641,449 głów, oprócz Warszawy, która stałej ludności ma 186,147, niestałej 61,521, czyli razem 247,668 głów.

— Zmarły d. 7 sierpnia r. b. w Warszawie w sędziwym wieku Ludwik Kamiński pułkownik b. W. P. pozostawił w rękopiśmie przekład całego *Piekle* Danta, ściśle podług miary oryginału wykonany. Jestto jedno z najwyborniejszych tłumaczeń jakie posiadamy w naszej literaturze wielkiego poety włoskiego.

— W Salzburgu, w roku 1793, wyszło dzieło we dwóch tomach Kausza p. n. „*Nachrichten über Polen.*” Mieści w sobie rzut oka na historią polską, obraz życia domowego, przegląd literatury polskiej, rys ówczesnego ustawodawstwa, ustrój społeczny w podziale ludności, opis podróży ze Szlązka do Krakowa, wreszcie wiadomości o niektórych miastach i kościołach dyssydenckich, a w końcu tabele statystyczne. Jakkolwiek tak pogląd historyczny, jak na literaturę, dziś już niewart powtórzenia, wiele ustępów przecież tak z rozdziałów malujących życie domowe, jak ustrój społeczny, zajmującemi byłyby i dzisiaj, bo dorzucają niemało szczegółów w tych przedmiotach.

— W Prusiech Zachodnich w okolicach *Wąbrzeźna* na polach plebanki (jak donosi *Gazeta Warszawska*) na pochyłości ku jezioru, znaleźli wyrobnicy kopiący kamienie grób z czasów pogańskich. W sześć do siedmiu stóp długości a na cztery stóp szerokości obstawiony był płytami granitowemi i takiemiz pokryty. Wewnątrz było 18 urn z uszami, zawierających popioły i kostki. Robotnicy, myśląc ze skarb odkryli, potłukli prawie wszystkie urny, kilka tylko dostało się całych w posiadanie p. Hartwich z Pruss. Narzędzi, ozdób i t. p., które zwykle w urnach lub naokoło bywają, nieznaleziono wcale.

— Rzeźbiarz Kozłowski wykonał popiersie dyrektora opery polskiej Stanisława Moniuszki, twórcy *Halki*, *Hrabiny*, *Verbum-Nobile*, *Straszego Dworu*, *Flisa* i w. i. oper, popiersie to odznacza się wielkiem podobieństwem,

— Nakładem księgarza Józefa Kaufmana wyszedł w przekładzie Seweryna Goszczyńskiego dramat Ernesta Raupacha p. n. *Robert Djabel*. Raupach zmarły niedawno w sędziwym wieku, położył nie małe zasługi dla niemieckiego teatru, wzbogacając go kilkudziesięciu utworami w różnym rodzaju. Jako talent poetycki nie stoi on na wysokości Szyllera lub Getego, zajmuje jednakże niepoślednie miejsce w literaturze niemieckiej. Dramat ten który mamy w tłumaczeniu twórcy *Sobótki*, autor nazwał tragedią romantyczną: w rzeczy samej pisał to w czasie walk tak zwaną klasycyzm z romantyzmem, a nazwa ta usprawiedliwia się niejako sposobem i duchem które przypominają pisarzy hiszpańskich. Tytuł sam pokazuje że główną osobą

dramatu jest znany z dziejów książe Normandyi Robert, przezwany djablem, a którego postać widzimy na scenie naszej w słynnej operze „*Robert Djabel*.” Tłumacz w końcu swęj przedmowy do tego dramatu mówi: „uderzony przedewszystkiem duchem i tonem oryginału, starałem się być jaknajwierniejszym temu duchowi i tonowi; zdaje mi się że żadnej myśli ważnej nie przeznicowałem, żadnego uczucia wyższego nie poniżyłem. Włożyłem wiele pracy, aby istota utworu miała formę ujmującą, dla tego wyłożyłem wierszem rymowym wszystkie sceny, które w oryginale mają wiersz nie rymowy: prozę zachowałem w tych scenach które są prozą pisane i w oryginale. Nie pozwoliłem sobie nic dodać, nie ująć, zgoła żadnych zmian: zresztą nie widziałem tego w żadnem miejscu, żadnej potrzeby, tak jest czystem według mnie natchnienie tego dramatu i tak zgodne z natchnieniem jego wykonanie.”

— W Lipsku wyszedł poemat dramatyczny Lessinga p. n. *Natan mędrzec*, w przekładzie Rozali M. E. Saulson. Niejedynie to jest tłumaczenie tego utworu: Zygmunt Komarniecki drukował swój przekład w *Pamiętniku Naukowym* za redakcyi Dr. Gregorowicza: najpudatniejszy znany w rękopiśmie p. Henryka Toeplitz'a, który ma być wkrótce wydany.

— Na wystawie powszechnej w Paryżu, w dziale etnograficznym znajduje się kilka fotografii z zakładu Beyera, przedstawiających wiernie postacie z natury zdjęte naszych włościan i włościanek.

— Przy końcu sierpnia r. b. odbył się zjazd międzynarodowy archeologiczny w Antwerpii. Na posiedzeniu 29 i 30 t. m. zabierali głosy Alexander hr. Przezdziecki i Edward baron Rastawiecki współredaktorowie naszego pisma.

— Dnia 16 września 1817 roku, Wacław Hanka w mieście Krolowym-dworze (Kralove Dwur) po niemiecku zwanym *Königshof*, znalazł sławny rękopism krółodworski, znany w naszej literaturze w wybornym przekładzie Lucyana Siemińskiego, nielicząc dawniejszych J. B. Rakowieckiego, i L. Nabelaka. W roku bieżącym przypada pół wieku od tej chwili, która wstrząsała całą Czechą, i zwróciły się oczy uczonych europejskich na ten zabytek szacowny czeskiej poezyi, a w większej części pochodzący z czasów przedchrześcijańskich. W dzień przeto Śgo Wacława obchodzoną będzie w pomienionym grodzie pięćdziesięcioletnia rocznica tego odkrycia, zarazem ma być położony kamień węgielny tak zwanego *Teatru Hanka*, który znalazł ten rękopis, oraz odsłonięcie popiersia Hanka umieszczonego w ogrodzie jego imienia.

— W *Kronice Paryżkiej* umieszczonej w N. 202 Głazety Polskiej, czytamy następujący ustęp godny uwagi:

„Zarzucono niegdyś romantykom, iż myśl poświęcają dla formy: że nie o budowę im chodzi, ale o arabeski. Cóż powiedzieć o francuzkich pisarzach dzisiejszych? Artysta ustąpił miejsca fabrykantowi zgrabnych okresów. Nie ma celu, żadnego ideału...

proceder zasadzający się na powiększaniu małych rzeczy a pomniejszaniu wielkich, z kolei podrygi, wykrzywiania, łamanie.

„Widownia literacka w Paryżu należy teraz do frazesorobów, po tych, co najwięcej gadają o sobie, chwają się i ubierają publicznie. Co robi Piotr? co mówi Paweł? co jada Gaweł? To wypadki dzienne. Temu palma kto najwięcej swoją osobą zdołał zainteresować współobywateli. Taki rodzaj literatury jest następstwem czasu, który jest zły. W dniu ocknienia działalności szerszej, znikną frazesy, zniknie fraszkowanie, przypadnie wielka sekta publicznych usypiaczy, którzy dzisiaj pisarzami się zowią. Usypiające już coraz mniej mają wpływu, pośród splendorów wystawy jakaś obawa ściska serca. Uczeni i ograniczeni, szaleni i rozumni czują niesmak bez nazwy, który zwykł poprzedzać przesilenia. Badającym, wyrocznia nie wie co odpowiedzieć. Mężowie stanu i publicyści żyją z dnia na dzień, na łasce wypadków. Jedni bez wiary w ludzi, bez wiary w Boga, czepiają się faktu dla tego że istnieje: wyłącznie zajęci utrzymaniem tego co jest, przez obawę tego co będzie. Inni, wciągnięci w prąd bieżącej polityki, zajęci kwestyami drgającymi na widomej powierzchni, nie mają ani czasu ani spokoju potrzebnego do zmierzenia próżni będącej pod spodem. Chorobą tego czasu jest próżnia w umysłach, próżnia w sumieniu. Nie się nie ostoi, bo nikt o nie nie stoi. Do jakiejże wiary, do jakiej moralności zwracają się?”

— Jeden z najznakomitszych naszych artystów dramatycznych Jan Królikowski, zagrożony utratą zupełną głosu, dla poratowania zdrowia, udał się do Reichenhallu. Ciekawy opis tej miejscowości w porównaniu z naszymi Karpatami, przesłany nam w listach przez tegoż artystę udzielamy czytelnikom.

„Puściłem się z Wiednia statkiem parowym Dunajem do Linty; nie zastanowiłem się jednak nad tem że będę płynąć pod wodę, więc wolno: jakoż dopiero na drugi dzień o świcie stanęliśmy w Linty. Podróż przepyszna, gdyby nie tak długo trwała. Statek ogromny, wygodny, na którym przeszło 300 osób jechało: widoki czarownie rzeczywiście. Wśród wyniosłych gór pokrytych dotąd (pierwsze dni sierpnia) świeżą zielonością toczy się bystry i szeroki Dunaj: tu i owdzie na niedostępnych z pozoru skałach zamki i ogromne klasztory co chwila się ukazują. Miasta ciągną się wązkim pasem po nad samą rzeką, jakby obrazki przyklepione do gór, pomiędzy któremi Dunaj sobie koryto wyłobił. Z Linty puściłem się do Salzburga i Reichenhall kolejną: to już niedaleka podróż i szybko się przebiega całą przestrzeń zachwycającą, zwłaszcza gdy się już zbliża ku Salzburskim i Tyrolu austriackiego wyniosłościom. Jak Dunaj między skałami i górami krętym płynie korytem, tak tu kolej jak wąż w różne zwija się pierścienie: z jednej strony przepaść, z drugiej skały, ze szczytu ich dojrzeć nie możesz; to znówu zdaje się że cały pociąg rozbija się i zdruzgotuje o skały nagie, niebotyczne, na które jak szalony podzi, nie widzisz drogi wyjścia, gdy nagle zwija się, okrąża skałę i wpada hucząc na

most, pod którym Dunaj się pieni. Odurzające sprawia to wrażenie! Przez Salzburg tylko przejechałem i przesiadłszy się na kolej Bawarską pośpieszyłem do Reichenhallu. Wśród gór, dolina pokryta zielonością taką jak u nas na początku czerwca, i mnóstwem kwiatów, z domami bardzo gustownie na sposób szwajcarski budowanymi, z ogromnymi na pięć albo sześć piątr *tężniami* soli: oto na pierwszy rzut oka Reichenhall. Mieszkania górali z wdziękiem i czystością pobudowane, ale Karpaty wspanialsze, majestatyczne. Powietrze w nich czyste i zdrowe choć ostre, roślinność bujna choć dzika, wśród nich mieszkanie orłów. Opoki nagie bezładnie massami rozrzucone, szczytami o niebo oparte jak strażnice graniczne, z kulistemi piersiami odtrącają burze wiekowe a na świadectwo świata że są, że nie zginęły, że ich burze nie zgruchotały, w lśniącą białą stroją się szatę. Jestem u celu podróży, otóż Reichenhall: tu zieloność tak świeża, młodziuchna, pełna kwiecia i zapachu, zdaje się że rajskie dzieci rozesłały sobie cudny kobieriec do rozkosznych swych igraszek, a w około spokój górski. W dali gdzieś tylko dojrzysz sterczącą nagą skałę pokrytą śniegiem, zapuszczasz się w góry, co chwila nowe obrazy, nowe widoki, a rozkoszne i uroczyste. Harmonia tonów światła i kolorów zachwycająca, a rysunek jaki tylko ręką Boga wykonanym być może. W dali na wyniosłości pałacyk, letnie mieszkanie króla Bawarskiego, a u podnóża miasteczko i saliny: to *Berehtesgaden*, tu posil się, daj spocząć i oku i rozmarzonej wyobraźni, bo jeszcze nie koniec: tą samą drogą niewolno ci wracać, wiozą cię w przepaść ale zawsze drogą wygodną i starannie utrzymaną: znów jesteś w rozkosznej dolinie *Ramsau*. Wsiadasz z powozu aby odetchnąć wonnym powietrzem lasku, który się wije wśród gór i wspinasz się to wyżej to schodzisz na dół, nareszcie znalazłeś się przed nagą, ogromną skałą: w dali słyszysz szum i łoskot ogłuszający: każą ci się ubierać ciepło, owijać dużą wełnianą chustką, a tu upał przecie 32 stopnie gorąca! Jeszcze kilka kroków droga skręca się w rozpadlinę skały i wchodzisz do jaskini wąskiej. Wilgotne zimno raptownie cię ogarnia: widzisz ogromną masę wody spienionej, po której najcudniejsze barwy tęczy igrają, a która bałwaniąc się i rozbryzgując z hukiem i trzaskiem niesłychanym wali się w oteflań u stóp twych będącą i przepada w nią, aby o kilkaset kroków spokojniejszym już strumieniem płynąć między górami: pytasz o źródło, z którego ten potwór wodny wytryska; zamiast odpowiedzi, wskazują ci wąskie, kręte schodki przyczepione jak wąta roślina do skały, pnące się w górę i prowadzące cię prosto pod cały spał wody. Idziesz więc po nich z trwogą aby niebyć porwanym wściekłym prądem i rzuconym w oteflań, gdy nagle po pod wodą chwylający się mostek, prowadzi cię do nowej groty leżącej już na jakie sto stóp wyżej od poprzedniej i tam spotrzymasz ten sam bałwan wodnisty znówu o sto stóp zataczający z gwałtownością półkole: ale schodki wiodą cię wyżej jeszcze, wyżej, coraz nowe kształty rozpadlin, coraz nowe grupy skał

potrzaskanych, przez które szalejąc przeskakujesz spienione bałwany, aż nareszcie światło i ciepło czuć się daje: wychodzisz na równinę zieloną, cichą, otoczoną lasami, gdzie tylko głuchy łoskot i jakby jęk daleki słyszeć się daje, i widzisz spokojnie płynącą rzekę, którą tylko w rozpadlinach tak rozszalałą zostawiłeś. Tu musisz odpocząć po doznaniem wrażeniu, powietrze tu czyste i zdrowe:

„Dalej ludzi, bliżej Boga.”

Naokoło siebie masz jeszcze góry, grotty ciemne, głębokie. Tu także myślą przeniesiesz się w Karpaty i tu rozmarzony cały, przypominasz sobie słodkiego Teofila:

„Matulu moja powiedźcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie.”

Kraj śliczny bogaty, ale nie ludzie w nim: kobiety ociężałe i brzydkie, mężczyźni idyoci bez pocucia piękna które ich otacza, myślą tylko o napchaniu brzucha i kieszeni. Górski lud z okolicy Reichenhallu nieznośny, bo niema w nim życia. Bodajto nasz góral tatrzański. To poeta i sercem i duszą, czuje i widzi cuda Stwórcy obok siebie, kocha prawdziwie swoje uroczne wspaniałe, a straszne i przepaściste góry, na których szczycie gdy stanie, i jasny otwarty wzrok w niebo zapuści, staje się podobnym do orła; kiedy Bawar przykuty do miękkich, zielonych wyżyn, jak sowa, niewidząc Bożego słońca, ciężki i cichy swój żywot wleczł! Któryż więc z nich szczęśliwszy?”

† Dnia 19 sierpnia r. b. umarł w Poznaniu zdolny rytownik Stanisław Łukomski w młodym wieku, bo kończył rok 32 życia. Prace jego znamy z wydań ilustrowanych naszych poetów J. K. Żupańskiego: prócz tego był zmarły głównym rytownikiem wydawnictwa tanich obrazków, które się pomiędzy ludem wiejskim upowszechniały.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Sierpień, 1867.

Sierpień, 1867.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szerokość geogr. $52^{\circ}13'5''$, długość w czasie $1^{\text{h}}14^{\text{m}}45^{\text{s}},7$ czyli w łuku $18^{\circ}41'25''$,⁵ na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stusstopniowy					Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wo- dy do wysokości w milim.	Wysok. wody na Wiśle	
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni		6	10	4	10	6	10	4	10			
		godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	dzienny		godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	godz. rano	godz. rano	godz. w.	godz. w.			
1		745.14	745.58	745.06	745.18	745.240	+11° 2	+12° 5	+15° 7	+11° 9	+12° 8	81.4	poch. desz.	pochm.	pochm.	napół pog.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ2.	Z1.	2.5		7
2		744.50	744.10	743.10	743.19	743.723	11.2	13.8	17.9	13.7	14.15	82.6	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	Z1.	Z1.	PnZ2.	Z1.	0.2		8
3		743.28	743.15	743.16	743.74	743.333	12.8	17.7	15.2	14.8	15.13	82.4	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	PnZ1.	2.3		8
4	Równ.	744.16	745.95	746.54	748.08	746.183	12.6	15.9	15.6	13.8	14.48	80.2	pogodny	pochm.	napół pdg.	pochm.	Z1.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ1.	0.5		7
5		748.19	747.59	747.21	747.82	747.703	13.1	17.1	14.2	14.0	14.60	86.6	pochm.	pochm.	poch. desz.	pochm.	Z1.	Z2.	Z2.	PnZ1.	3.5		6
6		747.65	747.57	747.02	746.78	747.255	13.6	15.6	18.2	14.0	15.35	75.9	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	Pn1.	PnZ2.	PnZ1.			6
7	☾	746.69	747.14	746.57	746.78	746.790	11.6	14.3	19.0	14.8	14.88	75.3	napół pog.	pochm.	napół pog.	napół pog.	PnZ1.	PnZ1.	Z1.	PnZ1.	2.8		5
8		746.57	747.63	747.50	748.45	747.538	13.8	15.6	19.9	13.5	15.0	84.1	pochm.	pochm.	pogodny	pogodny	Pd1.	Z1.	Z1.	Pd1.			5
9		748.69	748.41	748.33	749.48	748.518	14.8	19.0	20.8	14.9	17.36	77.1	pochm.	napół pog.	napół pog.	pog. z chm.	Z1.	PnZ1.	Z1.	PdZ1.	1.1		5
10		749.84	750.21	750.55	751.62	750.555	15.0	14.5	19.4	13.7	16.40	82.7	poch. desz.	pochm.	napół pog.	napół pog.	Z1.	Z1.	Z1.	Z1.	5.3		5
11	Apog.	750.40	750.55	749.86	751.66	750.618	13.8	15.3	15.2	13.1	14.35	87.6	pochm.	pochm.	poch. desz.	pochm.	Z1.	Z1.	Z2.	PnZ1.	3.8		5
12		752.45	753.10	753.26	754.43	753.310	13.1	16.7	20.6	14.6	16.26	79.2	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	Z1.	PnZ2.	PnZ1.	PnZ1.	0.1		4
13		755.28	756.80	755.04	755.96	755.470	12.7	15.4	20.1	15.0	15.80	64.9	pogodny	pog. z chm.	napół pog.	pogodny	PnZ1.	Pn1.	Pn2.	PnZ1.			4
14	☉	757.16	757.71	756.51	756.77	757.038	11.0	15.6	19.8	15.6	15.50	74.9	mgła	napół pog.	napół pog.	pogodny	Pn1.	Pn1.	Pn2.	Pn1.			4
15		756.35	756.26	753.93	753.30	751.960	12.6	17.6	21.6	13.7	16.36	72.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn1.	PnW1.	Pd1.	PdW1.			4
16		752.76	752.64	750.86	750.78	751.760	11.8	19.0	22.6	14.6	17.00	65.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.			4
17		751.04	751.32	751.46	753.58	751.850	12.5	20.3	21.5	18.3	18.90	72.2	pogodny	pogodny	pochm.	pochm.	Pd1.	PdW1.	Pd1.	Z1.			4
18	Równ.	755.09	755.68	755.39	755.94	755.821	14.4	20.4	24.8	17.7	19.39	72.9	napół pog.	napół pog.	pogodny	pochm.	Z1.	PdZ1.	PdZ1.	Pd1.			4
19		756.17	757.15	756.80	756.96	756.770	16.9	24.2	25.1	20.2	21.60	62.9	napół pog.	pogodny	napół pog.	napół pog.	PdZ1.	Z1.	PnZ1.	Pn1.			3
20		757.07	756.59	752.89	751.67	754.305	16.4	23.2	28.3	20.9	22.20	67.5	napół pog.	napół pog.	pogodny	pogodny	PdW1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.			3
21		751.00	750.55	748.96	748.94	749.863	18.6	25.4	30.6	22.8	24.35	69.9	napół pog.	pogodny	pog. z chm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	Z1.	Z1.	4.2		3
22	☾	749.83	750.68	750.78	751.30	750.648	17.3	20.2	22.9	18.8	19.80	76.2	pochm.	napół pog.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Pn1.	PnZ1.			3
23		752.21	752.97	753.00	752.84	753.018	15.6	17.8	21.3	15.4	17.53	70.3	pochm.	napół pog.	pochm.	pogodny	PnZ1.	PnZ1.	PnZ1.	PnW1.			3
24		754.97	755.36	754.79	755.12	755.060	13.5	20.3	23.0	16.9	18.48	69.9	pogodny	napół pog.	napół pog.	pogodny	PnW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.			3
25		754.84	754.36	752.99	753.28	753.868	14.7	19.3	23.5	18.7	19.00	67.8	napół pog.	pogodny	pochm.	pochm.	W1.	W2.	PdW2.	PdW1.			3
26		753.10	752.81	751.87	752.03	752.453	15.6	20.9	25.4	19.4	20.38	72.2	napół pog.	pogodny	napół pog.	pogodny	PdW1.	W1.	PdW1.	PdW1.			2
27	Perig.	751.62	751.16	748.86	749.21	750.213	14.7	21.8	24.8	17.9	20.00	74.1	pogodny	pogodny	pochm.	pogodny	PdW1.	PdW1.	Pd1.	Pd1.			2
28		749.76	750.32	750.07	751.73	750.470	16.8	22.6	27.8	20.2	21.80	77.0	pogodny	napół pog.	napół pog.	pogodny	Pd1.	Pd1.	PdZ1.	Pd1.			4
29	☉	753.99	755.08	755.32	756.15	755.135	15.4	19.7	20.4	16.7	18.00	82.9	poch. mgła	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	Pn1.	PnZ1.	Z1.			3
30		756.81	756.89	755.69	755.36	756.188	13.4	18.8	24.0	14.9	17.70	84.9	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	Z1.	Z1.	PnZ1.	PdZ2.			3
31		755.00	755.44	754.11	753.86	754.603	13.6	19.8	23.4	16.7	18.38	69.9	pogodny	pogodny	pog. z chm.	pogodny	Pd1.	PdZ1.	Pd1.	PdW1.			3
Sr.		751.323	751.566	750.886	751.388	751.291	+14° 03	+18° 49	+21° 47	+16° 16	+17.54	71.9									26.1		4

Średnia wysokość barometru miesięczna	751.291	27	9.044
Najwyżej barometr dochodził d. 14 o g. 10 rano	757.71	27	8.230
Najniżej — — — d. 2 o g. 4 po poł.	743.10	27	5.413
Średnia dzienna zmiana barometru	1.909		0.816
Największa dzienna zmiana barometru d. 20—21 o godz. 6 rano	6.07		2.689
Średnia wysokość barometru jest większa o od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	1.837	27	0.814
Średnia temperatura sierpnia wynosi	+ 17.54 C.	+	14.03 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.69		1.35 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 21—22 o godz. 4 po poł.	7.7 "		6.2 "
Średnia temperatura sierpnia jest mniejsza o od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	0.45 "	+	0.34 "
	+ 17.99 "	+	14.37 "
Termometrograf wskazał: Maximum: +31.5 C. = +25.0 R. d. 21 po poł.			
Minimum: +10.0 " = +8.0 " d. 2 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 74.9 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 10.16 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest większa o 2.3 setnych od normalnej (72.6).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 26.1 mil. czyli 11.56 lin. par.; mniejsza o 46.3 mil. czyli 20.76 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w sierpniu spada (72.9 mil. czyli 32.32 lin. par.).

Dni pogodnych było 5, napółpogodnych 13, pochmurnych 13.

— deszczu 11: (d. 1, 2, 3, 4, 5, 8, 9, 10, 11, 13, 21).

— mgły 1: (d. 7).

— błyskawic i grzmotów 3: (d. 9, 22 i 27).

— błyskawic bez grzmotów 2: (d. 24 i 26).

— wichrów 2: (d. 9 i 22).

Wiatr panujący zachodni i północno-zachodni.

Sierpień b. r. był dość pogodny, w pierwszej połowie chłodny, w drugiej ciepły, w ogóle nieco mniej ciepły jak zwykle; średnia jego temperatura jest: +14.0 stop. R. o 0.4 stop. R. mniejsza od normalnej (14.4 stop. R.), a o 0.6 stop. R. wyższa jak w r. z. W pierwszej połowie miesiąca dni były wilgotne, pochmurne i chłodne, często także padał deszcz lubo drobny i nieobfity; w drugiej połowie niebo po większej części było pogodne, powietrze suche i gorące; taki stan pogodny raz tylko przerwany został krótko-trwałą burzą w nocy z d. 21 na 22 połączonej z grzmotem, błyskawicami i wichrem. Najgorętszy dzień był 26, średnia jego bowiem temperatura wynosi 19.6 stop. R. o 5.0 stop. R. większa od normalnej. Największe ciepło 25.2 stop. R. d. 21 po południu, najmniejsze +8.0 stop. R. d. 2 z rana. Największa zmiana dzienna temperatury 6.2 stop. R. przypadała z d. 21 na 22 podczas ostatniej kwadry księżyca. Barometr przez cały miesiąc, z wyjątkiem kilku dni początkowych, utrzymywał się wysoko i mało stan swój zmieniał; największa jego zmiana dzienna 2.69 lin. par. przypadała z d. 20 na 21. Deszcze padały rzadko i nieobficie. Dni deszczu było 11 o 1 mniej jak zwykle. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny jak w stanie normalnym. Stosunek bowiem dni pogodnych, do napół pogodnych i pochmurnych w normalnym stanie jest jak: 7.2:13.2:10.6, gdy tenże stosunek w r. b. jest jak: 5:13:13. Wiatr panujący był zachodni i północno-zachodni.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stop 4 cali 8.9 n.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 2..... stop 8 " 16 " "

" " najmniejsza " d. 27..... stop 2 " 9 " "

EURYPIDES

NIEPRZYJACIEL KOBIEĆ.

STUDYUM Z LITERATURY GRECKIEJ PODŁUG ŹRÓDEŁ KLASYCZNYCH.

PRZEZ

L. S. Wieczora.

Kilka słów o stanowisku greckich kobiet w społeczeństwie.— Stosunek literatury do kobiet: epos, liryka, tragedia Eschylosa i Sofoklesa.— Eurypides.

Podania i świadectwa starożytnych pisarzy o bohaterskim okresie Grecyi wskazują, iż niewiasta zajmowała wówczas chlubne stanowisko w społeczeństwie. Nazwa „prawej małżonki (1)“ zawierała w sobie pojęcie pewnej godności, jakie np. przywykliśmy łączyć z nazwą „matrona.“ Nie ulega wątpliwości, że w owych czasach mężczyźni oprócz „prawej małżonki,“ miesali po kilka żon ubocznych i jeżeli nie było to powszechnym zwyczajem, to przynajmniej był to fakt nie rzadki. Homer mówi o ulubienicach swych bohaterów, jak o czemś zupełnie naturalnem, nie rzucającem najmniejszego cienia na wielkich mężów, nie uwłaczającem bynajmniej ich cnotom. Syn Telamona, brat Ajaksa, Tencer był synem niewolnicy (2). Pojęcia o formalnościach prawego małżeństwa były bardzo wolne: niekiedy dość było zwykłych, choćby krótkotrwałych miłosnych stosunków. Neoptolemos, owoc

(1) *κοινὴν αἰλοχος* u Homera np. w Iliadzie I, 114.

(2) Sophocl. *Ajas* v. 1228.

takich stosunków Achillesa z córką Lykomeda króla Scyros, uznawany był przez wszystkich za prawego syna Achillesa (3). Zwyczaj kupowania żon zachowywał się długo: jeszcze w historycznych czasach pozostały jego ślady we zwyczaju płacenia posagu pannie przez narzeczonego. Jednakże i zamknięcie kobiet i towarzysząca mu zwykle druga ostateczność, ascetyzm, obce były Grekom. Jasny nastrój ducha starożytnego Hellena i jego takt, z pomocą którego zawsze znajdował we wszystkiem środek i umiarkowanie, nie dopuszczały tych ostateczności.

Pomimo takich dość swobodnych pojęć o małżeństwie i pomimo usunięcia kobiet od działalności publicznej, kobieta miała jednak pewne znaczenie i używała znacznej swobody. Niewieście komnaty (4) nie miały żadnego podobieństwa do wschodnich haremów: kobiety zajmowały się tam ręcznymi robotami, lecz nieraz wychodziły ztamtąd do towarzystwa mężczyzn. Penelopa nie jednokrotnie ukazywała się w sali gdzie biesiadowali jej zuchwali konkurenci: tu ona osypywała ich wymówkami lub zachęcała do szlachetniejszych zabaw (5). Helenie daje Homer miejsce w radzie mężów trojańskich (6); onaż po swynr powrocie, przyjmuje u siebie Telemachosa, wspólnie z Menelaosem, obdarza go upominkami i częstuje, jako gospodyni i pani domu (7). Odyseusz, przybywszy w nędznym stanie do pałacu króla Feaków Alcyousa, obejmuje kolana jego żony Arety, i ją jako panią domu, błaga o gościnność i opiekę (8). Opuszczając wyspę Feaków, Odyseusz, nakształt średniowiecznego rycerza, zwraca swą mowę pożegnalną tylko do Arety i w końcu dopiero po niej wspomina Alcyousa (9).

Z tych kilku przykładów widzimy znaczenie niewiasty jako gospodyni domu i cześć, jaką jej oddawano.

(3) Wiadomo, że nawet później, w czasach historycznych przez pewien przeciąg czasu dzieci nieprawe (*ποδοί*) w Atenach używały praw obywatelstwa.

(4) Niewieście komnaty mieściły się na piętrze domów.

(5) Odyssa XVI, 409—451; XVII, 492 i następ.; XXI na począt.

(6) Iliada III, 111—244.

(7) Odyss. IV.

(8) Odyss. VII, 145—151.

(9) Odyss. XIII, 59—61.

Dla zawarcia małżeństwa, zawsze prawie potrzebnem było zezwolenie dziewicy. Zuchwali młodzieńcy, którzy ubiegali się o rękę Penelopy, czuli ku niej cześć mimowolną i oczekiwali jej wyroku, chociaż mogliby byli użyć przemocy. Podanie o Atalancie wystawia nam tę bohaterską dziewczę dzielącą pracę bohaterów i wybierającą sobie męża. Wiadomo że spartańskie niewiasty i w historycznych czasach, otrzymywały wychowanie podobne do męskiego i odznaczały się nie tylko pięknoscia, ale i miłością ojczyzny.

Wiadomości o stanie greckich niewiast w historycznych czasach są na nieszczęście bardzo szczupłe, z wyjątkiem podań o patriotyzmie Spartanek. Herodot opowiada, jak żona Leonidasa Gorgo wyświadczyła ważną usługę ojczyźnie, odgadłszy że potrzeba zdjąć воск z tabliczek, przysyłanych przez Demarata, na których ten wygnany król Sparty napisał doniesienie o napadzie Xerksa (10). Tak więc spartańskie kobiety nie były pozbawionemi udziału nawet w sprawach i tajemnicach państwa. Surowy doryzm poddając wszystko państwu, przepisując dla kobiet męskie wychowanie, rozszerzał sferę ich działalności. Plutarch przypisuje kobietom wielki wpływ na rządy w Sparcie, tak że rząd spartański nazywa nawet rządem niewieścim (11).

W Atenach w epoce ich kwitnięcia, kobiety przeciwnie pozostawały w sferze domowego i rodzinnego życia, pomimo to jednak używały poważania i aż do czasów na wszystko bez różnicy napadającej komedyi, nie słyszymy skarg na niemoralność i zepsucie kobiet. Nie mieszając się do spraw państwa, kobiety ateńskie odegrywały jednak ważną rolę w publicznych religijnych uroczystościach i obrzędach. Święto na cześć bogini Demetry *Thesmophoros* założycielki rodzinnego bytu, było świętem wyłącznie niewieścim; zgromadzone na obchód Tesmoforyi niewiasty składały ofiary i zносиły modły o pomyślność rzeczypospolitej (12).

Co do innych krajów Grecyi, mamy wiadomości iż wiele rozumnych kobiet, szczególnie Sapfo w Mitylenie i Korynna w Tebach, okazywały błogi moralny wpływ na niewieście towarzystwo, a nawet i na samych obywateli.

(10) Herodot. VII, 239.

(11) Plutarch Lycurg. 14, Agis. 7.

(12) Scholiast. ad Aristophan. *Thesmophor.* v. 295 sq.

Znanym jest powszechnie wpływ Aspazji na Peryklesa i jego otoczenie; lecz w tym wpływie pomimo rozumu i wykształcenia Aspazji, widzimy już symptom epoki upadku moralności kobiet, a więc i moralności publicznej, na straży której stoją zawsze kobiety. W czasach zgubnej dla Aten i dla całej Grecji wojny peloponezkiej, szerzy się wpływ niekiedy rozumnych i wykształconych, lecz zawsze niemoralnych *heter*, które niweczyły życie rodzinne i domowe cnoty. Spółczesny Peryklesowi wielki komedyopisarz Arystofanes z niewyczerpanym dowcipem, a częstokroć z niepohamowanym cynizmem mówi o zepsuciu kobiet swego czasu, o ich niemoralności, pijaństwie, rozrzutności, namiętności do strojów i t. d. Chociaż wszystkie podobne świadectwa Arystofanesa (z których kilka przytoczymy poniżej w związku z zadaniem niniejszego szkicu) są niewątpliwie przesadzone, jednakże nie są całkiem pozbawionemi podstawy. Przy ogólném rozprzężeniu wszystkich zasad starożytnego hellenizmu, wśród powszechnego upadku we wszystkich innych sferach publicznego i umysłowego życia, widzimy rzeczywiście upadek w sferze rodzinnego życia i pomiędzy kobietami. Za czasów Arystotelesa zepsucie jeszcze wzrosło: nawet spartańskie niewiasty, według świadectwa tego filozofa, sławne były z niemoralności. Zepsucie to ciągle wzrastało w okresie macedońskiego panowania: rodzinne życie upadło, a ilość i wpływ *heter*, doszły do olbrzymich rozmiarów. Wszystkie żeńskie typy, wystawione w nowej greckiej komedii (13) dają się podciągnąć pod dwie kategorie: młoda rozpustnica (*meretrix*) i baba frymarcząca młodem (lena) odegrywają główne role, jakby rzeczywiście nie było żadnego trzeciego działu dla kobiet owój epoki. Jedną z głównych przyczyn tego upadku, było bezwątpienia, zanadto wyłączone przywiązanie Greków historycznej epoki, a szczególnie Ateńczyków, do życia publicznego z zaniedbaniem życia rodzinnego, ostateczność, od której daleko wolniejszymi, jak się zdaje, byli Grecy bohaterskiego okresu, który przedstawił nam Homer.

(13) Utwory greckiej komedii nie tylko nowej i średniej, ale i starożytnej (oprócz Arystofanesa) zaginęły. Plantus i Terencjusz tylko pozostawili nam próbki, gdyż czerpali oni z utworów nowej greckiej komedii, mianowicie Menandra i Filomona (III—II przed Chr.).

Literatura grecka do końca V wieku przd Chr. mało zajmowała się płcią piękną. Chociaż w żywych podaniach helleńskiego narodu kobiety często odegrywały ważne role, lecz poeci, którzy z tego źródła czerpali, zwracali szczególną uwagę tylko na charakter i czyny narodowych bohaterów. Miłosna intryga i miłosne sceny, rzecz tak zwykła i która stała się prawie konieczną w nowożytniej poezyi; nie mają wcale miejsca w utworach największych poetów Grecyi. *Epopėja*, której główną cechą był jasny pogląd i niezamącony spokój, unikał przedstawienia miłosnych namiętności. Niektóre tu i owdzie rozrzucone u Homera miłosne sceny, jak np. stosunki Parysa z Heleną (14), Aresa z Afrodytą (15) i t. d. przedstawione są przez Homera z takim samym spokojem, z taką zupełną przedmiotowością opowiadacza, jak i wszystkie inne obrazy Iliady. Według podań, miłosna intryga sprowadziła wojnę trojańską, lecz Homer wspomina o niej tylko w niewielu wyrazach i mimochodem. Małżeńska miłość i wierność Penelopy mężowi, leżą bez wątpienia w osnowie treści Odyssei; lecz i tu nie ma obrazu i silnej walki namiętności, nie ma miłosnej intrygi.

Jak epopeja tak i właściwa *liryka* Greków unikała przedmiotów miłosnych. Grecka liryka miała kierunek moralno-religijny, którego najwznioślejszym wyobrazicielem był Pindar. W naszych czasach tak zwana poezya, a szczególnie liryeczna, nie może obejść się bez miłości i niewieścich aniołów, w poczuciu zaś greckiego narodu podobny przedmiot byłby niegodnym prawdziwej poezyi. Tylko ody Saffony namiętnej poetki-dziewicy, drobne tak zwane anakreonetyczne wierszyki i inne ulotne, które towarzyszyły wesołym ucztom i były dziećmi zabawy i wesołych żartów—takie tylko utwory mają treść wyłącznie miłosną. Większa część tych drobnych wierszyków (16) należy do późniejszego czasu (nie weześniej V w.) i nie liczyła się do właściwej greckiej, doryckiej liryki, która stanowiła przez się ważny stopień w rozwoju przedmiotowych moralno-religijnych poglądów greckiego narodu; gdy przeciwnie colska albo lesbijska liry-

(14) Ilud. III w końcu.

(15) Odys. VIII, 267—299.

(16) Nazywano je *σκόλια, παίχνια* niby „figliki.”

ka (dokąd należą i ody Safony) dawała więcj swobody podmiotowemu uczuciu i namiętnościom i nie była uważaną za godne wyrażenie greckiego geniuszu.

Podobnie i dla tychże powodów i grecka *tragedya* do czasów Eurypidesa unikała przedstawienia wszelkiego podmiotowego uczucia, a szczególniei miłości. Mając pierwsiastkowo charakter świętości, będąc połączoną z uroczystościami Dyonizosa, grecka tragedia zajmowała się wzniosłymi przedmiotami, wcielała w sobie ideały, składające jedną harmonijną całość: świat idealny żyjący w poglądach greckiego narodu przesiąkły duchem hellenizmu. Bohetérowie tragedyi Eschylesa i Sofoklesa są to typy idealne, wyrobione i ściśle określone przez mytologią, których wszystkie czyny odpowiadają dla tego ich idealnemu charakterowi, nieodstępemu dla chwilowych niesfornych wpływów namiętności, które nadwerczyłyby idealną harmonią tego bohaterkiego świata. Dla tego w tragediach Eschylosa i Sofoklesa, zupełnie narodowych i spoczywających na zasadach starożytnego hellenizmu, podobnie jak w epopei Homera i w liryce Pindara, namiętność nie stanowi nigdzie głównej sprężyny; nie ma tam obrazów namiętnego uniesienia, a tém mniej może być mowy o miłości i miłosnej intrydze. Eschylos i Sofokles przebywali w sferze przedmiotowych poglądów greckiego narodu. Eschylos orlim wzrokiem przenika stosunek wolnej woli ludzkiej do przedwiecznych boskich praw i staje na granicy boskiego i ludzkiego świata, lub wystawia walkę uczucia obowiązku i cnoty z ludzkim prawem. Sofokles, który doścignął niełatwej harmonii formy z treścią, jaskrawemi barwami maluje naturę wzniosłych charakterów i osobistości i z głęboką umiejętnością psychologa, przeprowadza analizę idealnych charakterów swych bohaterów. Jeśli niekiedy w utworach tych wieszczów bohaterowie, jak na pierwszy rzut oka się wydaje poddają się wpływowi namiętności i działają pod jej naciskiem jak np. Klytemnestra w Agamemnonie Eschylosa, zabijająca swego męża, lub Aias Sofoklesa, przyspieszający swą zgubę szalonymi postępками; to i tutaj w gruncie rzeczy, wszelka osobistość znika w świecie stosunków bóstw ku ludziom: fatalny los rodu Atreusza, niezmiennie wyroki fatum (*εἰμαρμένη*) i wola bogów: te są właściwe przyczyny owych strasznych katastrof, w których

człowiek niekiedy bezwiednie staje się narzędziem własnej zguby, jak np. Edyp u Sofoklesa.

Przy takim zupełnym usunięciu panowania podmiotowej namiętności, nie potrzeba i mówić że u Eschylosa i Sofoklesa nigdzie nie działa miłość, niema ani jednej sztuki, któraby była zbudowaną na miłosnej intrydze. Klytemnestra u Eschylosa, działając zresztą jak powiedzieliśmy, jako narzędzie losu, zabija Agamemnona *przez zemstę*, za poświęcenie niegdyś przez niego własnej córki na ofiarę, a nie z miłości ku Egistowi. Dejanira w *Trachinkach* Sofoklesa, działając pod wpływem zazdrości, występuje także jako mimowolne, słabe narzędzie woli bogów, którzy postanowili nowemi cierpieniami uzupełnić bohaterski żywot poświęcenia się Heraklesa i przyspieszyć jego apoteozę. Postępki Dejaniry, jej zapóźna skrucha i śmierć dobrowolna, wskazują jasno że namiętność nie stanowi głównej sprężyny w tej tragedyi, że nie ludzka wola prowadzi katastrofę.

Występujące w tragediach Eschylosa i Sofoklesa niewieście charaktery wystawione są z ich najmniej niewieściej strony, jak np. Elektra córka Agamemnona (u „*Choeforach*” Eschylosa i „*Elektrze*” Sofoklesa) i Antygona córka Edypa. W Antygonie Sofoklesa, miłość Hemona ku bohaterce sztuki nie stanowi głównej treści tragedyi, ani głównej sprężyny akcji, lecz wprowadzoną została przez poetę jakby tylko dla tego, ażeby nieco złagodzić ten ponury obraz walki obowiązku z prawem, i oświecić surową bohaterkę dziewczę, nieco ponętniejszem światłem.

Zupełną sprzeczność z Eschylosem i Sofoklesem w malowaniu charakterów w ogólności, a szczególnie niewieścich, przedstawia trzeci wielki tragik grecki, Eurypides. Idealne charaktery bohaterów tragedyi Eschylosa i Sofoklesa były już, jak okazaliśmy, z góry określone przez podania (myty) i wszystkie ich postęпки wypływają z tego określenia; u Eurypidesa zaś charaktery są bardziej ludzkie. Bohaterowie tragedyi Eurypidesa działają pod wpływem okoliczności, pod naciskiem namiętności: wpływ ten często nadwiera idealny charakter bohaterów, określony w mytach i sprawia oscylacye, zrozumiałe łatwo z ludzkiego punktu widzenia, jako skutki namiętności, jako zjawiska mające głęboką psychologiczną podstawę. Bohaterowie Eurypidesa nie są

wolni od namiętności i dla tego podobniejszymi są do rzeczywistych ludzi, niż idealne typy Eschylosa i Sofoklesa. Wbrew głównym zasadom starożytnego hellenizmu u Eurypidesa, stosownie do ducha jego czasu, gdy starożytny kierunek już upadał, przewagę bierze podmiotowe uczucie: podmiotowa namiętność kieruje wszystkiem. Z téj przyczyny, chociaż nie bez podstawy, w kierunku tragedyi Eurypidesa widzą zaparcie się głównych zasad starożytnego hellenizmu; jednakże te tragedye są bardziej dostępne dla wszystkich, mają więcej ogólnego ludzkiego charakteru, więcej rzeczywistego życia. Ztąd łatwo pojąć, dla czego Eurypides, naturalnie pod wielą względami niższy od dwóch swych wielkich poprzedników, znajdował jednak więcej stronników w czasach, które bezpośrednio po nim nastąpiły, gdy runęły podstawy starożytnego hellenizmu i gdy poczucie jego coraz się zmniejszało. Taki jest ogólny charakter tragedyi Eurypidesa.

Wprowadzenie miłosnej intrygi i obrazy niewieścich namiętności były głównemi nowościami, wprowadzonemi do tragedyi przez Eurypidesa, zgodnie z jego główną zasadą podmiotowości. Jak męzkie, tak i żeńskie bohaterzy jego tragedyi działają pod wpływem namiętności; najsilniejsze namiętności jako to: miłość, nienawiść, zazdrość i t. d., stanowią główne sprężyny w jego sztukach. Rozszerzając szranki dla podmiotowego nastroju, wprowadzając panowanie namiętności, Eurypides często, bez wątpienia, odstępował od mytów i określonych przez nie rysów charakterów bohaterów. Szczególniej jednak w wystawianiu niewieścich charakterów, od najdawniejszych czasów ciąży na Eurypidzie zarzut nienawiści ku płci pięknej. Utrzymywano że ożywiony tą nienawiścią, po części spowodowaną złym charakterem i niemoralnością dwóch jego żon, Eurypides kreślił tylko złe i ohydne niewieście charaktery, przypisując wszelkie zbrodnie kobietom. Dla przekonania się o słuszności tego zarzutu, zajmiemy się rozbiorem dwóch najsłynniejszych pod tym względem tragedyi Eurypidesa: Medei i Hippolita, następnie przytoczymy znakomite co do poglądów poety na płć piękną ułamki z jego zatraconych tragedyi, rzucimy szybki pogląd na żeńskie charaktery w innych tragediach Eurypidesa, obaczmy co może być uznanem za

winę poety, a co go może usprawiedliwić, a w końcu powie-
my słów kilka w ogóle o tym kierunku w literaturze, której
za wyobraziciela uważają Eurypidesa.

II.

M e d e a.

Z liczby tragedyi Eurypidesa, główną podstawę któ-
rych stanowi miłosna intryga, ocalały tylko dwie: *Medea*
i *Hippolit*. Na tych też dwóch tragediach opierają się głów-
nie zarzuty czynione Eurypidesowi co do jego nienawiści
ku płci pięknej; dla tego najprzód zajmiemy się treściwym
rozbiorem tych dwóch tragedyi, a głównie, charakterów ich
bohaterów.

Tragedya *Medea* jest jedynym w swoim rodzaju utwo-
rem starożytnéj literatury, jednym z najdoskonalszych Eury-
pidesa. Zasadnicza myśl téj sztuki jest taka: „*kobieta, do-
tknięta w swoim rodzinném szczęściu, ulegając miłości i za-
zdrości, zdolna jest do najokropniejszej zemsty, nie wstrzymuje
się przed żadną zbrodnią.*” Charakter bohaterki wystawiony
po mistrzowsku, z głęboką umiejętnością duszy.

Medea, córka króla Kolchidy *Eeta*, wyprowadzającego
swój ród od boga *Heliosa* (słońca), namiętne dziecię barba-
rzyńskiego Wschodu, dumna ze swego pochodzenia, potężna
rozumem, umiejętnością czarów i pięknością, pokochała
całą duszą *Jasona*, który z Argonautami przybył do Kolchy-
dy po złote runo. Człowiek ten, wystawiony jest w tragedyi
Eurypidesa wcale nie jako wolny od zarzutów bohater, ideał
doskonałości: przeciwnie, z rozumu i z charakteru daleko
niższym jest on od *Medei*: egoizm, upodobanie w rozkoszach
i chęć sławy stanowią istotę jego charakteru. Lecz miłość
jest ślepą: *Medea* pokochała go i oddała się téj namiętności
całą duszą, z całym niepoliowanym uniesieniem córki
ognistéj Kolchidy. W téj miłości zasklepiła ona całą swą
istność, dla téj miłości zrobiła ofiarę ze wszystkiego: z ojca,
ojczyzny i dobrej sławy. Dla dogadzenia *Jasonowi* i jego
próżności, *Medea* dopomogła mu wydrzeć własnemu jej ojcu
złote runo; ona też dopomogła mu uniknąć zasadzek *Eeta*,
zamordowawszy własnego swego brata, syna *Eeta* *Apsyta*.

Uciekwszy z Jazonem do Grecyi, Medea już w samém mieście Jolku odważyła się, dla dogodzenia kochankowi, na nową zbrodnię: ukudną namową skłoniła córki króla Pelijasa, nieprzyjaznego Jasonowi stryja, do zamordowania ojca, wmówiwszy w nie że tym sposobem, za pomocą czarodziejskich środków, można będzie, wskrzesiwszy go, wrócić mu młodość. Ostatni ten występki zmusił Medę z Jasonem i z dziećmi szukać schronienia w Koryncie, gdzie wówczas panował Kreon (17). Tu Jason poznaje córkę Kreona Krense i postanawia niepomny na Medę, zawrzeć z nią związku małżeńskie (18). Na tym punkcie podania rozpoczyna się tragedia Eurypidesa.

Cios, który dotknął Medę, wstrząsnął całą jej istotą, gdyż był to cios, zadany jej sercu, jej miłości, w której namiętna niewiasta zatopiła się cała; cios, zadany jej rodzinemu szczęściu, najwyższemu dobru i celowi dążeń kobiety. Dlatego więc, wzięwszy pod uwagę charakter Medei, trudno nie oczekiwać, że ten wypadek pociągnie za sobą straszliwe następstwa. Poeta okazuje nam właśnie w ciągu całej tragedyi, do czego jest zdolną podobna kobieta, zraniona w swych najświętszych uczuciach. Z początku Medea, dowiedziawszy się o swęj hańbie i o niewierności Jasona, rozplywa się w skargach, przeklina samą siebie, a ujrawszy dwoje dzieci, owoc stosunków z Jasonem, przeklina i te biedne niewiniątka razem z ich wiarołomnym ojcem. Znajdując się jeszcze pod świeżym wpływem całego ogromu swego nieszczęścia, Medea nie słyszy pocieszających słów swojej mamki, nie rozumie ich i nie zwraca na nie żadnej uwa-

(17) Takiego podania trzymał się Eurypides. Według innej wersji, Medea była wezwaną na tron Koryntu przez obywateli tego miasta po wygaśnięciu tam starszej gałęzi potomków boga Heliosa, od którego pochodziła też i Medea. Zabójstwo dzieci, końcowa katastrofa tragedyi Eurypidesa, nieznanem jest najdawniejszym podaniom, z których jedne przypisują śmierć dzieci Koryntyanom, drugie zaś mówią że Medea zakopła je żywcem do ziemi z porady bogini Hery, która miała świątynię w Akrokoryncie (*Ηρα Ακραια*) i zwiódła nieszczęśliwą matkę obietnicą zrobić jej dzieci nieśmiertelnemi. Widoczny to ślad kultu fenickiej Astarty.

(18) Przy wspomnianej swobodzie co do małżeństwa i małżeńskiego pożycia w bohaterskim okresie, szczególnież pomiędzy potężnymi, niema się czego dziwić podobnej digamii. Zresztą Medea, jako pierwsza żona, ma za sobą prawo.

gi (19). Tak więc pierwszy symptom: naturalne skargi i rozpaczliwe narzekania, dowiadującej się o swém nieszczęściu kobiety.

Lecz wkrótce następuje przemiana: gdy chór niewiast koryntyjskich występuje na scenę, Medea, która dopiero co oddawała się dzikięj rozpacz, staje się już zdolną wpatrywać się przedmiotowo w swoje położenie, zastanawiać się nad swém nieszczęściem. Ta przemiana zrozumiała jest w kobiecie, która z nadzwyczajną wrażliwością łączyła w sobie przenikliwy rozum i niezwykłą energią. Po ochłodnięciu z pierwszego wybuchu rozpacz, pierwszą myślą Medei może być tylko myśl o zemście. Tymczasem jest to tylko myśl jeszcze, niema jeszcze pewnego planu zemsty. Za tą myślą o zemście następuje zaraz przekonanie o konieczności czyjegoś spółdziałania, pomocy. Taką pomoc mogą okazać Medei niewiasty koryntyjskie i o to zwraca się ona ku tym matronom w wyrazach dowodzących jej niezwykłej przenikliwości i znajomości ludzi. Ażeby pozyskać spółdziałanie Koryntyanek, Medea mówi im o nieszczęśliwém i poniżającym położeniu kobiety w ogólności i o swém własném nieszczęściu. W całej tej mowie przeważa spokojny ton i przedmiotowe zapatrywanie się. Medea ma już pewny cel przed sobą, zemstę, i pod wyłączném panowaniem tej idei, która zastąpiła przeważającą dotychczas rozpacz, tłumi swą boleść, nie daje się porwać namiętności i mówi równym tonem, spokojnie. Mistrzowski obraz położenia kobiet zasługuje na przytoczenie.

„Ze wszystkich tworów żyjących i obdarzonych rozumem, najgodniejszymi pożałowania jesteśmy my, kobiety. Najpierw obfitemi bogaetwy (posagiem) kupujemy sobie męża, pana naszego ciała; czyż może być drugie smutniejsze zło? A i w tej rzeczy koniec niewiadomy: dobrego li męża znajdziesz lub złego? Rozwód hańbi niewiastę a i odmówić konkurentowi trudno. Znalazłszy się nagle wśród obcych sobie zwyczajów i obyczajów, niewiasta, nieobeznana z niemi w domu rodzicielskim, musi mieć chyba dar wieszczu ażeby przewidzieć, jakim mąż dla niej będzie. Jeżeli w tém wszystkiém uda się nam zostać szczęśliwemi, jeżeli mąż zgodnie

żyje z żoną i nie narzuca jęj przemocą małżeńskiego jarzma; wtedy życie godnem jest zazdrości: w przeciwnym zaś razie, lepiej jest umrzeć. Mężczyzna, gdy mu tęskno z domownikami, zapomina o serdecznem cierpieniu wychodząc z domu, udając się do przyjaciół, do rówieśników; my zaś, kobiety, pozostajemy zawsze same z naszą duszą (20). Powiadają niektórzy iż my prowadzimy bezpieczne, domowe życie, wówczas gdy mężczyźni walczą kopiami: nierozsądni! Ja wolałabym trzy razy uzbroić się tarczą niż rodzić jeden raz..." (21).

Następnie Medea wspomina o własnem nieszczęściu i prosi poparcia u Koryntyanek. Oświadczając chęć dokonania zemsty na Jasonie, jego narzeczonej i jęj ojcu, wyznaje ona że jeszcze nie ułożyła planu zemsty. Mowę swoją kończy Medea następującemi słowy, zawierającemi zasadniczą myśl całej tragedyi:

„Kobieta, pod każdym innym względem bojaźliwa, niezdolna użyć siły, nie znosi widoku żelaza; lecz gdy zelżono jęj małżeńskie łóże, wówczas niema nic nad nią zawziętszego” (22).

Następuje dalej rozmowa Medei z Kreonem, który przychodzi oznajmić jęj nowy cios, swoje postanowienie wygnać ją z dziećmi z Koryntu. Nikezemni wrogowie i prześladowcy Medei obawiają się intryg i zasadzek swęj ofiary; odgadując jęj zamiary, przeczuwając jęj zemstę; lecz nowy cios, zgotowany jęj przez nich, przyspiesza tylko ich własną zgubę.

Rozmowa Medei z Kreonem jest mistrzowskim obrazem niewieściej chytróści i obłudy (23). Medea ucieka się do poniżających błagań nie dla braku hartu duszy, lecz dlatego że prędkie wygnanie pozbawiłoby ją możności wywarcia zemsty na wrogów. Skarży się ona na rozgłos swęj mądrości, znajduje takowy bezzasadnym, dla siebie szkodliwym; udając pospolitą niewiastę, usiłuje uspić nieprzyjaciela zapewnieniami o swém poddaniu się losowi i posłuszeństwie

(20) To jest: *siedzimy samotnie w domu z naszymi troskami*.

(21) Med. 228—249.

(22) Med. v. 261—264.

(23) Medea 268—354.

królewskiej woli; mówi że życzy pomyślnego skutku zamiarom Jasona, zaprzecza przypisywanym sobie złym zamiarom i prosi tylko, żeby jej nie wypędzano. Ale wszystko to na próżno: Kreon pozostaje nieubłagany. Okrucieństwo prześladowców zmusza Medeę do przyspieszenia zemsty i oto, udając troskliwość jedynie o dzieci, prosi Kreona aby pozwolił przepędzić jej jeden tylko dzień jeszcze w Koryncie dla obmyślenia środków zapewnienia losu dzieci. Kreon sam jest ojcem i ta ostatnia prośba matki skłania go do ustępstwa: Medea zyskuje pozwolenie zabawić jeszcze dzień jeden w Koryncie.

Poniżenie, którego doznała Medea biagając o łaskę swego prześladowcy, powiększa gorycz jej cierpienie; lecz z drugiej strony, zwycięstwo, odniesione nad wrogiem bronią chytrłości i obłudy, powiększa jej ufność w siebie i uczucie swęj wyższości nad nizeczennymi przeciwnikami, żywiąc zarazem nadzieję w pomyślny skutek planu zemsty. Plan ten musi prędko dojrzeć wśród tak nagłych okoliczności: Medea śpieszy korzystać z drogiego czasu, z tego jednego dnia zwłoki wygnania, ubłaganego u Kreona.

Nakoniec Medea postanawia śmierć Kreona, Jasona i jego oblubienicy, lecz waha się jeszcze w wyborze środków; szczególnież zaś niepokoi ją brak pewnego schronienia, gdzieby się mogła ukryć po spełnieniu zemsty, gdyż chce ona przeżyć swych wrogów, dba o swoje życie nie z przywiązania ku niemu, lecz dlatego że chce tryumfować nad nieprzyjaciołmi, a tryumf ten byłby niezupełnym, gdyby idąc za popędem rozpacz i siebie samą pozbawiła życia. W znakomitym, już w starożytności sławionym monologu Medei (24) występują kolejno: gwałtowna namiętność, gorzka ironia i ufność w siebie. Dla zupełnego dojrzania planu zemsty poeta wprowadza widzenie się Medei z Jasonem. Bezwstyd wiarolomnego, nizeczennego małżonka, który osmiela się stanąć przed shańbioną przez siebie niewiastą, sofistyczna jego obrona i oskarżenia przeciwko Medei, nakoniec obłudne próby zgody, wszystko to naturalnie powiększa zawziętość i nienawiść Medei i doprowadza jej rozdrażnienie do tego stopnia, że widzowie przeczuwają bliskość strasznego kata-

strofy: wszelka słaba nawet nadzieja spokojnego rozwiązania znika; każdy czuje że teraz nie nie powstrzyma tej kobiety od nasycenia jej zemsty. Początkowy plan Medei ulega raptownej zmianie w skutek fatalnego przyznania się Jasona, iż najwięcej wagi przywiązuje on do tego aby mieć szlachetne potomstwo, że dlatego właśnie żeni się z Kreusą, że jednak i dzieci Medei kocha i nie przestanie troszczyć się o ich los. Medea, wysłuchawszy to wszystko, postanawia zadać Jasonowi cios najdotkliwszy....

Psychologicznie byłoby niemożliwem, żeby Medea, po tak gorącej scenie z Jasonem, mogła zdrowo i z wyrachowaniem obmyśleć swój plan zemsty; oprócz tego, najważniejsza przeszkoda zależy zawsze jeszcze na braku bezpiecznego schronienia. Eurypides, ażeby po mistrzowsku zaradzić jednemu i drugiemu, wprowadza na scenę nową osobę: król ateński Egeusz zjawia się w Koryncie, w przejeździe do swego teścia Pitteusza do Trezeny, który ma wytłumaczyć mu znaczenie wyroczni, otrzymanej w Delfach w odpowiedzi na modły bezdzietnego Egeusza o darowanie mu potomstwa (25). Rozmowa z Egeuszem o celu jego podróży na chwilę sprawia rozrywkę Medei. Następnie, opowiedziawszy mu swe nieszczęścia i swe blizkie wygnanie, Medea prosi go o schronienie w Atenach, które jej obiecuje Egeusz. Teraz przyszłość Medei jest zabezpieczoną, tryumf jej będzie zupełnym: przeżyje ona swych wrogów i bezkarnie zemści się nad nimi. Słowa Jasona odkryły jej niedawno że on troszczy się o potomstwo i kocha swe dzieci; Egeusz dopiero co ubolewał przed nią nad swą bezdzietnością.... Medea, ażeby zemścić się nad Jasonem, chce mu zadać cios najdotkliwszy, wtrącić go w przepaść najogromniejszego nieszczęścia i oto według tej fatalnej, nieubłaganej logiki, Medea ustala ostatecznie swój plan zemsty: postanawia zostawić przy życiu Jasona, lecz zgładzić jego oblubienicę i jej ojca a także i swe własne dzieci. Postanawiając oszczędzić Jasona, Medea pojmuje że są męczarnie gorsze od śmierci: zabijając jego nową małżonkę i dzieci, zada mu cios podwójny, gdyż pozbawi go już istniejącego potomstwa i nadziei

(25) Widzimy że niesłusznie niektórzy uważali wprowadzenie Egeusza na scenę jako niepotrzebny epizod,

przyszłego. Co do samego Jasona, potrzeba żeby on przeżył swe nieszczęścia, dlatego żeby uczuł całą ich gorycz. Jak o swe własne życie Medea troszczyła się tylko dlatego żeby powiększyć swój tryumf, tak i Jasonowi postanawia darować życie tylko dlatego żeby powiększyć i przedłużyć jego cierpienia, a samą cieszyć się ich widokiem. Znajdując się całkiem pod wpływem silnej namiętności, żyjąc i oddychając tylko nadzieją zemsty, Medea postanawia poświęcić swój zemście na ofiarę własne dzieci i nie słyszy głosu macierzyńskiego serca: miłość macierzyńska milczy. Nie zwlekając dłużej, Medea przystępuje do wykonania swego planu. Ze złowrogą obłudą oświadcza ona Jasonowi swoją skrucę, wyrzeka się uczucia nienawiści i objawia życzenie pogodzić się ze swym losem. Przywoławszy dzieci do Jasona, z piekielną radością patrzy ona na pieczyoty, okazywane przez nie ojcu. Chce ona dozwolić mu tej ostatniej rozkoszy, ażeby powiększyć przez to jego późniejsze cierpienia. Jednocześnie, z równie wyrafinowanym podstępem, wciąga ona samego Jasona do spółdziału w wykonaniu swych straszliwych zamiarów: przebudziwszy uśpione jego przywiązanie do dzieci i udział w ich losie, błaga ona niewiernego małżonka aby przemówił sam na ich korzyść u Kreona. Zgadza się z obłudną rezygnacją na swe własne wygnanie, Medea życzy ażeby dzieci pozostały przy ojcu i do przyobiecane go wstawienia się ze strony oszukanego jej pochlebstwy i obłudą Jasona, chce ona dołączyć prośby własne i dzieci i dlatego postanawia posłać przez dzieci ślubny podarunek oblubienicy Jasona: wspaniałe płaszcze, dar pochodzący od bożka Heliosa i bogaty wieniec. Oszukany Jason zgadza się na to poselstwo i niewinne dzieci, o niczem nie wiedząc, niosą Kreusie podarunki Medei. Podarunki te dają śmierć: są one napojone jadem, palącym ciało aż do kości...

Stanowczy krok zrobiony. Na tym punkcie tragedia dosięga szczytu okropności.

Na radosne wieści, które niewiedzący o niczem *pedagog* (26) przynosi Medei, donosząc że dary przyjęte zostały

(26) Był to jeden z niewolników, któremu poruczony był dozór nad dziećmi, który im wszędzie towarzyszył.

łaskawie przez Kreusę i że dzieci otrzymały pozwolenie pozostania, Medea odpowiada jękami boleści. Namiętna i niepowsięciagniona w nienawiści niewiasta, która wszystko przyniosła na ofiarę swemu pragnieniu zemsty, teraz, gdy katastrofa już następuje, gdy już cofnąć się niepodobna, teraz ta kobieta, zamiast tryumfującej radości, oddaje się gorzkiej rozpacz. Przyczyną tego jest obudzenie się macierzyńskiej miłości w sercu Medei. Eurypides czuł aż nadto dobrze, że nawet takiej kobiecie jak Medea niepodobna odmówić tego uczucia; wiedział on że jest to najnaturalniejsza i najpotężniejsza namiętność w sercu kobiety. Wszystkie przeszkody, stojące na zawadzie wykonaniu planów Medei, zostały usunięte, wszystko ona przezwyciężyła i teraz, gdy już bliską jest dopięcia celu, ta kobieta, którą nie nie zdołało zachwiać i powstrzymać, zaczyna się wahać w obec zbyt potężnego przeciwnika swych straszliwych zamiarów, miłości ku dzieciom.

Następuje straszna walka. Scena, w której poeta wystawił tę walkę, była i będzie zawsze przedmiotem podziwiania znawców i krytyków (27). Z początku Medea mówi o swych zniweczonych nadziejach i o konieczności wczesnej śmierci dzieci... Lecz obecność i spojrzenia dzieci wywołują w jej duszy straszną walkę: namiętnie pieści się z niemi nieszczęśliwa matka, waha się i w końcu wypowiada postanowienie zrzeczenia się swych okropnych zamiarów, zabrania dzieci ze sobą. Lecz wkrótce pojawia się przekonanie o niemożliwości tego, niemożliwości odwrócenia od dzieci prześladowania Koryntyjczyków, ponieważ w tej chwili oblubienica Jasona ginie wśród okropnych męczarni, ozdobiona fatalnym wieńcem i złowrogim płaszczem. Z początku, co bardzo naturalnie, macierzyńska miłość zagłusza wszystko: w całym swym długim monologu Medea nie wspomina wcale o swych własnych nieszczęściach i o swém smutném położeniu; lecz myśl o ginącej w tej chwili Kreusie ożywia uśpioną namiętność i daje jej przewagę. Uczucia matki odezwały się rzeczywiście zapóźno i nieszczęsna niewiasta, pod wpływem ożywionej namiętności, z upodobaniem wdaje się w sofistyczne dowodzenia niemożliwości uratowania dzie-

ci, chociaż w rzeczy samej jeszczeby się to mogło jej udać; lecz niezadowolnione pragnienie zemsty zwycięża i tłumi wszystko. Medea chwytą się ostatniego, możliwego w jej oczach usprawiedliwienia dzieciobójstwa, usiłując wmówić w siebie że zabijając dzieci stanie się ich dobroczyńcą, gdyż wybawi je od prześladowań wrogów.

Po tej ostatniej, najsilniejszej próbie; po tej walce namiętności z macierzyńską miłością—śmierć dzieci już ostatecznie postanowiona. Teraz szybko zbliża się ostateczna katastrofa: ze złowrogą radością wysłuchuje Medea opowiadania posłańca o męczeńskim zgonie Kreusy i jej ojca, który ją pragnął uratować i rzucił się w płomień, buchające z zatrutego stroju. Pod wpływem tej radości tryumfująca Medea śpieszy dokonać swe dzieło, zamordować dzieci. Lecz i teraz jeszcze, przy takich okropnych okolicznościach, poeta czyni ostatnie możliwe ustępstwo uczuciu macierzyńskiej miłości: przed samem wykonaniem straszliwego czynu znowu powstaje wahanie się i pewna walka; lecz teraz walka ta trwa nie długo i nie tyle już silna: uczucie tryumfu nad wrogami tłumi ten ostatni objaw macierzyńskich uczuć i dzieciobójstwo spełnia się. Zemsta została dokonana. Wzniósłszy się z trupami dzieci w powietrze na wozie, zaprzężonym smokami, Medea z gorzką ironią naigrawa się z pogrążonego w ostatniej rozpaczycy Jasona. Odmawia mu ona nawet ostatniej rozkoszy: nie pozwala mu dotknąć się ciałek dzieci ani je pogrześć.

Taka jest treść tej znakomitej tragedyi Eurypidesa. Wypada podziwiać jego głęboką znajomość ludzkiej duszy: całe postępowanie Medei jest jednem nieprzerwanem pasmem rozwoju gwałtownej, wszystko tłumiącej namiętności, wszystko wypływa stopniowo i naturalnie z charakteru dziwnej bohaterki według rozmaitych, psychologicznie zdumiewające prawdziwych faz i objawów namiętności. Trudno coś poprawić, dodać lub ująć z tego mistrzowskiego obrazu. Straszliwy charakter Medei jest arcydziełem w swoim rodzaju, jest to charakter szatański. Eurypides z pewnem upodobaniem, jak się zdaje, skreślił taką postać niewieścią; to też starożytni upatrują w niej jeden z najsilniejszych dowodów jego nienawiści ku płci pięknej.

Nie brak w Medei ustępów, tełnących wyraźną zawziętością przeciwko płci pięknej. Tak w jednym miejscu poeta kładzie w usta samej Medei następujące słowa: „kobiety niezdolne są znaleźć środka dla dobrego czynu, lecz najumiejtniej budują wszelkie zło (28).”

W drugim miejscu powiada Jason:

„Należałoby żeby ludzie innym jakim sposobem płodzili dzieci, a płć żeńska żeby nie istniała wcale; wtedy nie byłoby żadnego złego między ludźmi (29).”

W innym znowu miejscu powiada chór:

„O opłakane stosunki z kobietami, ile złego sprawiłyście śmiertelnikom (30).”

Spotykamy jednakże ustępy tełnące spólczuciem dla kobiet i ich losu. Oprócz przytoczonych powyżej słów Medei o położeniu kobiet, tu należy także odnieść jeden ustęp z pięknej pieśni chóru, w którym Koryntyanki skarżą się iż Febus dał lirę tylko mężczyznom, a że czyny kobiet nie są wysławiane pieśniami poetów (31).

Cała akcja tragedyi opartą jest na niezmiennej żądzy zemsty, wypływającej z niezmierniej miłości. Dla tego poeta kładzie w usta chórowi naganę nieuniarkowanej miłości (32) a w innym miejscu powiada Medea: „niestety, jak wielkiem nieszczęściem jest dla śmiertelników miłość (33).”

Ze wszystkiego cośmy powiedzieli, widać że charakter Medei wcale nie jest sympatyczny i bardziej niż inne charaktery w tragediach Eurypidesa pozbawiony jest wszelkiej moralnej podstawy i idealnego znaczenia. Nadto w całej rozebranej przez nas tragedyi nie masz ani jednego charakteru, któryby mógł obudzić sympatyę. Dlatego też publiczności ateńskiej, której gust kształcił się na utworach wielkich mistrzów i doszedł do wysokiego stopnia subtelności wyrefinowania, nie podobała się Medea i sztuka ta nie powiodła się na scenie: pomimo wykazanych przez nas licznych pierwszorzędnych zalet tragedyi, Eurypidesowi przy-

(28) Med. 406—407.

(29) Med. 562—564.

(30) Med. 1262—1263.

(31) W IIej pieśni chóru (I Stasimon) w. 408 i następ.

(32) II Stasimon (w 616 i nast.).

(33) Med. 330.

sądzono za nią tylko trzecią nagrodę, co w Atenach uważano prawie za hańbę.

III.

Fedra.— Ułamki zaginionych tragedyi.— Rzut oka na charaktery niewieście w pozostałych tragediach Eurypidesa.

Tragedya *Hippolit*, jeden z najlepszych utworów Eurypidesa równie jak *Medea*, opartą jest całkiem na namiętności miłosnej. Przedmiotem tej tragedyi jest szereg wypadków, wypływających z występnej miłości Fedry, żony Tezeusza ku swemu pasierbowi Hippolitowi. Fedra usiłuje z początku ukryć swą namiętność, lecz jej mamka wymusza na niej przyznanie się i w nadziei dopomożenia swęj pani, odkrywa tajemnicę samemu Hippolitowi. Lecz biedna niewiasta zawiodła się okropnie: niewinny młodzieniec, gorliwy czciciel dziewiczej bogini Artemidy i jej towarzysz łowów, nie chce i słyszeć o miłości, a tém bardziej oburza go występne uczucie macochy. Fedra dowiedziawszy się o czynie mamki, ze wstydu i rozpaczey pozbawia siebie życia, lecz umierając mści się nad okrutnym młodzieńcem: u jej trupa Tezeusz znajduje kartkę, zawierającą oskarżenie Hippolita o pokuszenie się na honor macochy. Związany wykonaną na żądanie mamki przysięgą nie wydawania tajemnicy, Hippolit nie może wywieść ojca z błędu i bez szemrania przyjmuje wyrok wygnania. Dręczony smutkiem i zazdrością Tezeusz zanosí modły do boga Posejdona ażeby zgotował zgubę Hippolitowi i bóg zgadza się spełnić to żądanie. Lecz w końcu bogini Artemida odkrywa ojcu całą prawdę i przed zgonem niewinnie pokaleczonego z dopuszczenia Posejdona młodzieńca następuje zgoda ojca z synem i głęboka skrucha Tezeusza.

Charakter Fedry również jest niesympatyczny, jak i charakter Medei, która zresztą miała za sobą przynajmniej prawo shańbionej małżonki. Fedra zraniona w najświętszym dla siebie, chociaż w oczach ludzi występniem uczuciu, pragnie zemsty podobnie jak Medea. Lecz nie mając za sobą nawet pozołu prawa, Fedra nie może pragnąć jak Medea, przeżyć swą ofiarę, ażeby tryumfować nad nią: zanadto ona pogrążyła się w swém namiętném uczuciu i postanowi-

wszy umrzeć, żeby nie przeżyć swój hańby i śmiertelnego ciosu, zadanego jej uczuciu, Fedra znajduje sposób za pomocą nikczemnej i przewrotnej potwarzy zgubić i niewinnego winowajcę swój śmierci. Ubóstwiany przez nią niedawno młodzieniec, po wzgardzeniu jej uczuciami staje się przedmiotem jej nienawiści, którego zguby pragnie. Ażeby go zgubić nawet z poza swego grobu, Fedra nie waha się w wyborze środków i ucieka się do przewrotnego oszukaństwa.

Takim jest ten charakter, którego wyobrażenie wyrzucano także Eurypidesowi, widząc w kreśleniu takich postaci zawziętą nienawiść jego ku płci pięknej. Lecz oprócz samego charakteru bohaterki, znajdujemy w tej tragedyi jeden ustęp, znakomity już w starożytności, jako stanowiący najzawziętszą tyradę przeciwko kobietom, tchnący nienawiścią i pogardą ku płci pięknej. Oto są słowa Hippolita (34):

„O Jowiszu co za ułudne zło osadziłeś na ziemi, wywiodłszy na światło słoneczne kobiety? Jeśliś chciał rozkrzewiać rodzaj ludzki, to nie kobiet należało użyć do tego: niechby śmiertelnicy w twoich świątyniach ofiarą złota, srebra lub ciężkiej miedzi, kupowali sobie krzewienie się w dzieciach, a w domach niechby mieszkali bez kobiet. Teraz zaś wprowadzając do domu największe zło, oddaliśmy zeń szczęście. Oto są jasne dowody tego, że żona jest wielkiem złem: ojciec, który wychował dziewczę, dołącza do niej jeszcze posag i wyprawia z domu, ażeby oddalić od siebie zło; ten zaś, który bierze do siebie to zgubne stworzenie, cieszy się i ozdabia ten najzłośliwszy posag wspaniałemi ozdobami, nieszczęsny, usiłuje nabyć dla niej stroje, rujnujące domową pomyślność. I przy tém koniecznie bywa jedno z dwojga: albo spokrewniwszy się przez małżeństwo z porządnymi ludźmi, zadowolniony z tych związków mąż znajduje gorzkiem samo małżeństwo, albo też, dostawszy dobrą żonę, lecz spokrewniwszy się z nic nieznaczącymi ludźmi, ściśnionym jest on pomiędzy szczęściem i cierpieniem. Lźej jeszcze temu, komu dostała się w dom żona nic nieznacząca, niezdolna do niczego z powodu swój prostoty. Mądrzej niewiasty nienawidzę i obym nigdy nie miał żony mędrszej nad to, ile kobiecie potrzeba, ponieważ bogini Cypryda daje zły cha-

rakter przedewszystkiẽm rozumnym, niezręczna zaś nie jest głupią właśnie dla tego że nie jest daleko sięgającą (35). Potrzeba takżę żeby żadna sługa nie przychodziła do kobiety i żeby żyła ona razem z jadowitemi, pozbawionemi daru mowy zwierzętami, ażeby nie miała z kim rozmawiać i żeby nikt do nięj nie przemawiał; ponieważ teraz zwykle kobiety knują intrygi w domu, a służące wynoszą je nazewnątrz.“

Końcowe wyrazy tego monologu Hippolita szczególnięj godnemi są uwagi:

„O bodajbyście wy zginęły! Nigdy ja nie nasycę się nienawiścią ku kobietom, chociaż i mówią że ja tę nienawiść zawsze wypowiadam, to dla tego że kobiety jakoś zawsze są złe. Niech ktokolwiek nauczy je rozumu albo niech pozwolą mi zawsze je gromić (36).“

Wszystko to nie bardzo przypada do roli niewinnego młodziana, który z dziewiczą wstydlivością unika płci pięknej, a ostatnie przywiedzione wyrazy wskazują wyraźnie że poeta mówi to od siebie i o sobie, przyznając się tym sposobem do zarzucanej zawziętości przeciwko płci pięknej, i przytęm, jak widzimy, nie obiecując wcale poprawy.

Zróbmy nadto uwagę, że w całej tej tragedyi nie ma, jak np. w Medei, nic przyjaznego dla kobiet, nic coby mogło zrównoważyć choć cokolwiek i wstrętny charakter bohaterki i ostre pociski miotane na płęć piękną, z których najgwałtowniejsze zawiera dopiero co przytoczony ustępn.

Trzeba jednakżę wyznać, że pomimo nikczemnego charakteru Fedry, tragedia Hippolit ma daleko więcj moralnej wartości niż Medea. Fedra zjawia się tylko jako twórczyni nikczemnych intryg i jako ofiara własnej namiętności; prawdziwym zaś bohaterem tragedyi jest Hippolit, którego idealny, moralny charakter, wzbudza współczucie. Pod koniec tragedyi prawda i niewinność tryumfują nad fałszem i zbrodnią i to nadaje tragedyi wysoką moralną wartość, której zupełny brak w Medei okazaliśmy powyżęj. Dlatego też

(35) Znaczenie tego niedość jasnego wiersza (Hipp. 644) jest, jak się zdaje, takie: *jeżeli kobieta nie posiada daleko sięgającego rozumu, i przez to jest niezręczną w intrygach, to jest owszem wielką jej zaletą i dlatego takiej nieprzeznorności niemożna nazwać głupotą.*

(36) Hipp. 664—668.

słusznie uważają Hippolita za jedną z najlepszych tragedyi Eurypidesa, i Ateńczycy nie wahali się przyznać za nią poecie pierwszą nagrodę.

Liczne tragedye Eurypidesa, oparte podobnie jak Medea i Hippolit na miłosnej intrydze, w których główne role odegrywały kobiety i które nosiły imiona swych bohaterów jako to: Antyopa, Danae, Melanippa, Stenoboja i t. d. zaginęły w długim przeciągu wieków i nie doszły do nas. Zachowane zostały tylko nieliczne ułamki (37). Te ułamki w ogólności obfitują w filozoficzne i praktyczne poglądy i maxymy, téj okoliczności zawdzięczają po większej części swe zachowanie. Dość znaczna liczba ułamków zawiera poglądy na niewiasty, miłość i małżeństwo. Z liczby takich ułamków, odnoszących się do treści naszej rozprawy, przytoczymy tu najgodniejsze uwagi.

I. Zdania nieprzyjazne płci pięknej.

1. Ten, kto zaprzestanie mówić źle o kobietach, otrzyma nazwę godnego pożałowania i nierozsądnego (38).

2. O! najgorsze stworzenie i przy tém kobieto! Co może być obelżywszego od tych dwóch nazw? (39).

3. Niema ani fortecy, ani skarbów ani czegobądź innego, czegoby tak trudno było ustrzedz, jak kobietę (40).

4. Niestety, o ile płęć niewieścia z natury jest nędzniejszą od męskiej: w dobrych sprawach kobiety, daleko pozostają w tyle od mężczyzn, w złych zaś przechodzą ich (41).

5. Mądry mąż nie powinien ani popuszczać wędzidła kobiecie, ani zwalniać jej od niego i dawać władzę nad sobą, gdyż w tych rzeczach niema nic pewnego. Jeżeli zaś komu

(37) Z ogólnej liczby 93 (a według innych 75) tragedyi, napisanych przez Eurypidesa, pozostało do naszych czasów tylko 18 całkowitych tragedyi i 1 satyryczny dramat. Znany tytuły i ułamki 58 zaginionych sztuk.

(38) Z tragedyi Eolos.

(39) Z tragedyi Bellerofontes.

(40) Z tragedyi Danae.

(41) Z tragedyi Ino. Któż nie widzi gorzkiej ironii w tém niby ubolewaniu nad losem kobiet?

przypadnie dobra żona, ten szczęśliwym się mniema, otrzymawszy zło! (42).

6. Z wyjątkiem matki, nienawidzę cały ród niewieści (43).

7. Nienawidzę kobiet, szczególnież zaś pokrywających pięknymi mowami swe złe czyny (44).

8. Kto ze śmiertelników ma zdrowy rozsądek, ten nie powinien w niczem ufać kobiecie (45).

9. Najdziksze złoć kobieta (46).

10. Straszną jest siła morskich fal, straszny jest prąd rzeki i gorący powiew ognia; straszném jest ubóstwo, straszne są niezliczone inne rzeczy; lecz niema równie strasznego zła jak kobieta i nie znajdziesz litery w abecadle, nie znajdziesz wyrazu dla określenia tego zła. Jeżeli to jest utwór jakiego boga, to niechaj wie on że jest największym sprawcą nieszczęść i wrogiem śmiertelników (47).

11. I tak cierpimy, strzegąc rodzaju żeńskiego, lecz, jeśli która sama nie jest dobrą, to po co strzedz jęj i męczyć się jeszcze więcej? (48).

II. Poglądy na małżeństwo.

1. Żony bojaźliwych mężów są najśmielsze w mowie (49).

2. Kobieta, po raz drugi wychodząca za mąż, nieprzyjazną jest całej swęj przeszłości (50).

(42) Z tragedyi: Kretyjskie Niewiasty. Godném uwagi jest złośliwe, rażące i niespodziewane połączenie niełatwo dających się pogodzić pojęć (*οὐκ ὁμογενῶν*).

(43) Z tragedyi Melanippe.

(44) Z tragedyi Meleagros.

(45) Z tragedyi Stenoboa.

(46) Z tragedyi Fenix.

(47) Z niewiadomej tragedyi. Niepohamowana zawziętość ku kobiecie tego ustępu upoważnia położyć go obok przytoczonego miejsca z Hippolita, jako równie *non plus ultra* nienawiści ku płci pięknej.

(48) Z niewiadomej tragedyi.

(49) Z tragedyi Egeusz.

(50) Z tragedyi Egeusz.

3. Nie dobrze łączyć małżeństwem młodzieńca z młodą niewiastą, gdyż mężczyźni dłużej zachowują męzną krzepkość, a żeńska młodość prędko opuszcza ciało (51).

4. Żona bywa dla męża i największym pożytkiem i największym cierpieniem (52).

5. Po co męczyć się i strzedz małżonki? Kobiety, będące przedmiotem większej troskliwości, szkodzą domowemu szczęściu więcej niż pozostawione bez uwagi (53).

6. Żeńcie się, żeńcie, a potem umierajcie lub od trucizny przez żony zadanej, lub od ich intryg (54).

7. Nie wszyscy są nieszczęśliwi, nie wszyscy szczęśliwi w małżeństwie: biada temu, kto dostanie złą żonę, lecz szczęśliwy ten, komu przypadnie dobra (55).

8. Szczęśliwy ten, kto wzięwszy dobrą żonę, cieszy się pomyślnością; lecz szczęśliwy i ten kto się nie ożenił (56).

9. Kto żeni się dla znakomitego rodu oblubienicy lub dla jej bogactw, ten nie umie żenić się, ponieważ to co daje żonie przewagę w domu, ujarzmia męża, który traci swą swobodę; wniesione zaś przez żonę bogactwo jest bezużytecznym, gdyż niełatwo z niego skorzystać (57).

10. Najlepiej dla śmiertelników wstępować w mierne małżeństwo, kierując się umiarkowaniem (58).

11. Żonie powinno wydawać się dobrą wszystko coby mąż nie mówił; żona powinna wyszukiwać, coby przyjemnego mogła powiedzieć mężowi. Przyjemnie dla żony smucić się z zasmuconym mężem i brać udział zarówno w jego cierpieniach jak i radościach. Żona powinna mówić do męża: będę znosiła twe smutki, cierpiąc razem z tobą; pomogę ci w nieszczęściu: nic nie wyda się mnie gorzkiem. Żadnej kobiecie piękność nie wyświadczyła usługi przed mężem, cnota zaś dla wielu przyniosła korzyść, gdyż każda dobra kobieta, zawarłszy związku małżeńskie, umie postępować

(51) Z tragedyi Eolos.

(52) Z tragedyi Alkmeon.

(53) Z tragedyi Alope.

(54) Z tragedyi Kretyjskie Niewiasty.

(55) Z niewiad. tragedyi.

(56) Z niewiad. tragedyi.

(57) Z niewiad. tragedyi.

(58) Z niewiad. tragedyi.

rozsądnie. Choćby mąż był i szpetnym, żonie powinien wydawać się pięknym, gdyż sądzą nie oczy, tylko rozum (59).

12. Złe są prawa względem kobiet. Potrzebaby było, ażeby każdy zamożny człowiek miał jak można więcej żon, byleby tylko mógł je wyżywić, a to dla tego, żeby mógł złą wypędzić, a dobrą zatrzymać. Teraz zaś, utkwivszy wzrok w jednej (60) ludzie narażają się na wielkie niebezpieczeństwo, gdyż wprowadzają do domu żonę, nie zbadawszy jej charakteru (61).

III. Zdania przychylnie dla kobiet.

1. Niema nic gorszego od złej kobiety, lecz niema nic zgoła, mówiąc z wszelką możliwą przesadą (62) coby było lepszym od dobrej kobiety: tak rozmaita jest ich przyroda (63).

2. Nienawidzony ród żeński jest najgodniejszym pożałowania: występne niewiasty rzucają cień hańby i na niewystępne: nagana dostaje się jednakowo dobrym i złym i zdaje się że wszystkie żony nie zamyslają nic dobrego względem mężów (64).

3. Napróżno złośliwa nagana mężczyzn, jak bezskutecznie wypuszczona strzała, dosięga kobiet: ja powiadam że one są lepsze od mężczyzn (65).

(59) Z niewiad. tragedyi. Piękny ten ustęp, obraz szczęśliwego małżeństwa, przytaczali nawet kościelni pisarze: zachował je Klemens Aleksandryjski. Ostatnia maksyma, wzięta od jednego z najstarożytniejszych greckich filozofów, była znakomitą w starożytności.

(60) To jest: poprzestając na jednej, od jednej tylko oczekując szczęścia lub nieszczęścia w pożyciu.

(61) Z tragedyi Ino. Widzimy że Eurypides staje się niekiedy stronnikiem wielożeństwa.

(62) To jest: zupełnie nie, bez żadnego wyjątku. Tłumaczenie, jak wszędzie ile możności dosłowne.

(63) Z tragedyi Melanippe.

(64) Z tragedyi Melanippe.

(65) Z tragedyi Melanippe.

4. Kto gani wszystkie kobiety ogólnie, jest to człowiek niezgrabny i nierozsądny, gdyż z pomiędzy wielu, jedną znajdziesz złą, a drugą szlachetną z charakteru (66).

5. Żona, jeżeli dobrze kieruje domem, sprawia mężowi najwięcej przyjemności w jego cierpieniach i chorobach: ona łagodzi gniew i tłumy w duszy nieukontentowanie. Niekiedy przyjemnem jest i złudzenie (67).

6. Żona szlachetnego charakteru jest zawadą dla rozrznego męża: ona ratuje dom (68).

Rozebrane powyżej dwie tragedye i przytoczone ułamki służą głównie za podstawę w określeniu słuszności zarzutu nieprzychylności ku płci pięknej, czynionego Eurypidesowi. Pozostałe tragedye tego poety, w liczbie 16, nie są w bezpośrednim związku z zadaniem niniejszej rozprawki: żadna z nich nie jest zbudowaną na miłosnej intrydze, nie znajdujemy w nich ani wydatnych żeńskich charakterów, ani potężnego rozwoju niewieściej namiętności, ani rażących wyskoków przeciwko płci pięknej. Dobro i zło, dodatnia i ujemna strony równoważą się, jak zwykle w życiu ludzkim, tak i w obrazach charakterów bohaterów tych tragedyi; dlatego, nie rozszerzając się zbyt nad niewieściami charakterami w tych tragediach Eurypidesa, dla zupełności jednak podajemy w krótkości główne ich cechy.

Tragedya *Resos*, o wiele różniąca się od innych tragedyi Eurypidesa co do swego kolorytu, nie zawiera wcale żeńskich postaci (69). W pozostałych 15 sztukach niewieście typy wystawione są mniej więcej działającemi, jak zawsze u Eurypidesa, pod wpływem pewnych namiętności; lecz miłość nie odegrywa roli w ich liczbie, a same charaktery, z wyjątkiem niewielu, pozbawione są moralnej wartości. co wypływa z natury mytów, z których Eurypides brał przedmioty dla swych tragedyi i skreślone nie dość wybitnie.

(66) Z tragedyi *Protesilaos*.

(67) Z tragedyi *Fryx*.

(68) Z niewiadomej tragedyi.

(69) Wszystkie cechy tej sztuki tyle zbliżone są do kolorytu tragedyi Sofoklesa, że niektórzy starożytni przypisywali ją temu poecie.

Do mniej więcej szlachetnych niewieścich charakterów mogą być policzone: *Alkestis* (w tragedyi tegoż nazwiska) ofiarująca własne życie dla przedłużenia życia swego męża Admeta, króla Molosów; *Klytemnestra* (w *Ifigenii w Aulidzie*), okazująca tkliwą macierzyńską miłość, *Ifigenia* (w *Ifigenii w Taurydzie*), ożywiona miłością rodziny i krewnych, *Euadne* (w *Blagających Niewiastach*), postanawiająca umrzeć na stosie który pochłonał ciało jej męża, nakoniec *Helena* (w tragedyi tegoż imienia), która okazuje niewzruszoną wierność mężowi i miłość ojczyzny i ożywiona temi uczuciami, naraża swe życie na niebezpieczeństwo i ucieka się do chytrych wybiegów, ażeby oszukać wiozącego ją króla Egiptu Teoklimonesa i uciec z Menelausem. Zrobimy mimochodem uwagę, że w tej tragedyi, jak w ogóle Eurypides znacznie odstąpił od podania i wystawił znakomitą swą bohaterkę w powabniejszym świetle, tak szczególnież różni się on od tradycyi w tém, iż przypuszcza że Helena nigdy nie znajdowała się w Troi: był tam tylko jej cień, który uwięził Parys za sprawą bogini Hery.

W *Hekabie* wystawia się zemsta matki, rozdrażnionej zamordowaniem swego syna. Wściekłość z którą Hekaba oślepiea za pomocą swych towarzyszek Polymestora, zabójcę swego syna, sprawia nieprzyjemne wrażenie i wzbudza odrazę.

W *Orestesie*, tém zbiorowisku szkaradnych charakterów, jak nazwali tę sztukę sami starożytni, *Elektra* odznacza się miłością braterską i nienawiścią ku Helenie, winowajczyni nieszczęść jej rodziny, której córkę Hermijonę wydaje na pastwę zemsty swych krewnych.

W *Fenicyankach* *Jokasta* okazuje szlachetne usiłowania pogodzić nienawidzących się wzajemnie swych synów, a *Antygona* żywi tkliwe przywiązanie do braci i ubolewa nad trupem pozbawionego pogrzebu Polynika.

W *Andromasze* ta nieszczęśliwa wdowa Hektora, staje się ofiarą intryg zazdrosnej Harmijony i jej ojca Menelausa; lecz na nieszczęście w tej bardzo mierniej tragedyi, żaden z tych charakterów nie jest odmalowany wyraziście, niema głębokiej analizy ani jaskrawego obrazu namiętności.

W *Blagających Niewiastach*, *Aetra* okazuje szlachetne współczucie dla nieszczęśliwych matek poległych pod Tebami

bohaterów. Tragedya ta ma za podstawę piękną myśl, że najprędzej kobieta, sama matka, zdolną jest do spółuczucia dla nieszczęść innych matek.

W *Trojankach*: *Hekaba*, *Andromacha* i *Kassandra* obudzają spółczucie z powodu doznanych przez siebie straszliwych nieszczęść, zresztą rozplywają się we łzach i skargach i składają płaczliwy, aż do przesytu i tkliwości, obraz.

W *Bachantkach*: *Agane* staje się narzędziem w ręku zelźonego przez jej syna *Penteusza* bożka *Dyonizosa* i pod wpływem religijnego fanatyzmu, zostaje mimowoli zabójczynią własnego syna.

W *Heraklidach*: *Makaria*, córka *Heraklesa*, zgadza się umrzeć dla dobra swój rodziny na rozkaz wyroczni; lecz charakter ten, równie jak i wszystkie inne w tej prawie nieodłącznej tragedyi, wystawiony błado. W tejże tragedyi, matka *Heraklesa* *Alkmena* okazuje niepowściągniętą żądzę zemsty i z wzbudzającą wstręt zawziętością pragnie śmierci *Eurysteusza*.

Charakter *Megary*, w *obląkanym Heraklesie*, jest bierny i określony słabo.

W *Elektrze* występuje zwykła w podaniach i utworach poetów strona charakteru tej córki *Agamemnona*, miłość dla brata i nienawiść ku zabójcom ojca.

Nakoniec w *Jonie Kreusa*, obrażona pogłoską o niewierności swego męża *Ksutosa* i niechętnie patrząca na wywyższenie młodego *Jona*, mniemanego nieprawego syna *Ksutosa*, postanawia zgubić tego młodzieńca; lecz zamiar jój spełza na niczém z woli boga *Apollona* i pokazuje się że *Jon* jest synem nie *Ksutosa*, lecz samój *Kreusy* i *Apollona* (70).

IV.

Świadcstwa *Arystofanesa* o nienawiści *Eurypidesa* ku płci pięknej i o stanie moralnym niewiast ateńskich owego czasu. Ocenienie mizoginyi *Eurypidesa*.

Największy i jedyny komedyopisarz grecki, którego utwory przetrwały do naszych czasów, *Arystofanes* podaje nam w swych utworach wiele zajmujących szczegółów o Eu-

(70) Tragedya ta z powodu sympatycznego charakteru niewinnego młodziana, wychowanego w świątyni, a także żywości akcji i moralnego

rypidesie, o jego stosunku do płci pięknej i o stanie niewiast ateńskich owego okresu, w którym żył sam i w którym kwitnął Eurypides. Występując zawsze jako obrońca zasad starożytnego hellenizmu, jako wróg nowych idei i dążeń, Arystofanes wyśmiewał sofistów i demagogów, Anaksagorasa i Kleona, Sokratesa i Eurypidesa. Na znaniej, jak widać, już u współczesnych nieprzyjaźni Eurypidesa dla kobiet, znakomity społeczny tego poety komedyopisarz zbudował jedną z najdowcipniejszych swych komedyi, *Niewiasty obchodzące święto Tesmoforyi* (*Θεσμοφορίαῖς*).

Sztuka ta w bliższej jest styczności z zadaniem niniejszego szkicu, dlatego przytoczymy niektóre najważniejsze pod tym względem i najciekawsze ustępy.

Ateńskie niewiasty, zgromadziwszy się dla obchodu święta Tesmoforyi na cześć bogini Demetry, postanawiają złożyć sąd na Eurypidesa za jego zawziętość przeciwko płci pięknej. Przyjaciel Eurypidesa Mnesilochos, przebrany za kobietę, wkłada się do tego zgromadzenia niewiast, ażeby bronić Eurypidesa i zapobiedz grożącemu mu niebezpieczeństwu. Jedna z niewiast występuje jako mówca, z oskarżeniami przeciwko Eurypidesowi. Oto jej słowa:

„Dawno, już ciężko mi widzieć jakieśmy zniesławione zostały przez Eurypidesa, syna przekupki warzyw (71) i słyszeć liczne i rozmaite niekorzystne o nas zdania. Jakich bo też występków on nam nie przypisuje? Wogółności, gdzie tylko ma widzów, aktorów i chóry, gdzie on nas nie spotwarzył (72). Nazywa on nas zręcznemi w cudzołóstwie, na-

rozwiązania należy do najlepszych utworów Eurypidesa. W ogóle, co do wartości, możemy przyjąć następną klasyfikację tragedyi Eurypidesa (Bernhardy Grundriss der Griechischen Literatur. II, 890):

Najlepsze: Bachantki, Ifigenia w Aulidzie, Ifigenia w Taurydzie, Jon, Hippolit, Medea.

Micne: Błagujące Niewiasty, Andromacha, Alkestis, Fenicyanki, Trojanjanki, Hekabe, Elektra.

Słabe: Helena, Resos, Orestes, Herakles Oblakany, Heraklidowie. Możliwy tylko w jednym punkcie zmienić ten podział Bernhardego na korzyść Eurypidesa: Helenę policzyć już raczej do miernych, niż do słabych.

(71) *Αχαροποις* — Arystofanes nigdy prawie nie zaniedbuje wytknąć niskiego po matce pochodzenia Eurypidesa.

(72) To jest: wszędzie, w każdym swym utworze, przeznaczonym dla sceny.

miętnie kochającemi mężczyzn, pijaczkami, zdrajczyniami, gadułami, nie mającemi w sobie nic zdrowego, wielkiem nieszczęściem dla mężów (73), tak że mężowie, powróciwszy z teatralnych ławek patrzą na nas z podełba i wnet spozierają, czy nie ukryty gdzie w domu kochanek. I do takiego stopnia Eurypides nauczył złego naszych mężów, że nam nie wolno robić nic, jak przedtem. Jeżeli żona wije wianek, to sądzą że ona zakochana; jeżeli, krzątając się w domu, żona obróci jakie naczynie, zaraz pyta się mąż od czego pęknał garnek, zapewne winien temu gość z Koryntu. Jeżeli jaka dziewczica jest chorą, zaraz mówi jej brat: nie podoba mi się coś cera tój dziewczyny. Oto, gdy bezdzietna kobieta zawiąże jakie stosunki, i to się nawet nie ukryje, zaraz w pobliżu są szpiegi mężczyzny. On (Eurypides) spotwarzył nas w oczach starców, mówiąc: Oblubienica jest panią oblubienica starca (74), tak że żaden ze starców nie chce się teraz żenić, gdy przedtem żenili się oni z pannami. Teraz nawet, za jego podszeptem, mężowie przykładają pieczęcie do drzwi niewieścich pokojów i z pomocą ryglów nas strzegą, prócz tego jeszcze trzymają psów Molosskich na postrach kochankom. Wy o tём wszystkiem wiecie. I tego nawet nie wolno nam teraz robić, co przedtem było naszą rzeczą: ani gospodarzyć, ani brać ile się podoba mąki, oliwy, wina, ponieważ teraz już sami mężowie noszą przy sobie klucze, sztuczne jakieś Lakońskie, trójzębowe. Pierwój można było przynajmniej, w razie potrzeby, otworzyć nieco drzwi nie nadwierżając pieczęci wyciśnionej sygnetem, kupionym za trzy obole; teraz zaś Eurypides nauczył mężów używać pieczęci z ledwo dającą się spostrzedz rzeźbą jakby wytoczoną przez robaczka (75)."

Już w tych wyrazach widać nadużycia o których jedna z niewiast jakby mimowoli napomyka. Lecz szczególniej ciekawym jest pod tym względem ustęp, w którym Mnesi-

(73) Wszystkie te niezbyt zaszczytne epitety znajdują się rzeczywiście u Eurypidesa; Arystofanes złośliwie przytacza własne słowa poety.

(74) Eurypides potępia tu, jak widzimy, małżeństwo starca z młodą niewiastą, powyżej (Ukam. II, 3) nagania młodość narzeczonego. Widać że był on tego zdania aby mąż był w dojrzałym wieku, znacznie starszym od żony.

(75) Aristophan. *Tesmophor.* 385—428.

lochos, odegrywając dalej rolę kobiety usprawiedliwia Eurypidesa, utrzymując że nie wytknął on najważniejszych nadużyć kobiet, a w tém co powiedział, ma zupełną słuszość. Mnesilochos mówi o takich figlach niewieściech, o których wzmianki znieść nie może samo niewieście zgromadzenie.

„Że wy niewiasty, (powiada Mnesilochos) okrutnie gniewacie się na Eurypidesa, słysząc od niego tyle złego, temu nie ma się czego dziwić, a i nie należy miarkować tego gniewu. I ja sama zaprawdę przysięgam, obym tak znalazła pociechę w dzieciach, nienawidzę tego człowieka, gdy jestem przy zdrowym rozsądku. Jednakże pomówmy o tém pomiędzy sobą: wszak jesteśmy same i nikt nas nie podsłucha. Po co my go obwiniamy i trapimy się, gdy on wiedząc o dwóch lub trzech naszych złych czynach, powiedział o nich, gdy my tymczasem popełniamy ich niezliczone mnóstwo? Oto i ja sama, żeby już nie mówić o innych, poczuwam się do wiele złego. Najgorszą rzeczą jest to, że będąc dopiero od trzech dni zamężną, miałam kochanka, z którym miałam pierwsze związki licząc 7 lat życia (76)....

Widzicie, o tém nigdy nie mówił Eurypides. Nie mówi on także nie o naszych stosunkach z niewolnikami i poganiaczami mułów, (gdy nie ma nikogo innego), ani też (co szczególnie jest ważną rzeczą) o tém jak po miłosnych schadzках, cały dzień od rana jemy cebulę, ażeby mąż czując jej zapach przy powrocie z miasta, nie podejrywał żadnego złego postępk.

O tém wszystkiém widzicie, nie nie mówi Eurypides. A jeżeli Fedrę obsypuje on naganami, nam co do tego? Nie mówi on także nie o tém jak żona pokazując niby mężowi swe nowe ubranie, jakim się ono wydaje wprost światła, tymczasem wyprawia z domu ukrytego z tyłu kochanka. Znam ja inną kobietę, która przez całe 10 dni udawała położnicę, dopóki nie kupiła sobie niemowlęcia. Mąż nie wiedział że prędkie rozwiązanie było kupione. Baba przynosi w garnku niemowlę, zatknąwszy mu usta woskiem, żeby nie kwiliło. Na znak dany przez babę położnica krzyczy: wyjdź

(76) Opuszczamy tu zanadto rażące szczegóły, których przytaczania nie wstydzila się starożytna komedia; lecz które obrażają tegoczesne pojęcia o przyzwoitości.

mężu, już rodzę. Dno garnka pęka, ucieszony mąż wychodzi, baba wyjmuję dziecko z garnka, wyjmuję воск i oto niemowlę zakwiliło. Niegodziwa baba bieży do męża i woła: lew, lew urodził się ci, zupełnie podobny do ciebie, we wszystkim.... Czyż my tego nie robimy? Klnę się Artemidą, wy to robicie i po tém wszystkiém gniewacie się jeszcze na Eurypidesa, zniósłszy od niego daleko mniej niż nabroiliście same (77)."

Na obwinienie jednej z kobiet, iż Eurypides umyślnie wybiera dla swych tragedyi takie podania, w których główne role odegrywają złe kobiety i że tworząc Melanippy i Fedry, nie zrobił Penelopy bohaterką żadnej ze swych sztuk, ponieważ była to cnotliwa niewiasta, Mnesilochos odpowiada: „wiem ja przyczynę tego: między terażniejszymi kobietami nie masz żadnej Penelopy a Fedry wszystkie (78). W powstałej z powodu téj obrony znienawidzonego przez całe zgromadzenie poety kłótni, Mnesilochos powiada:

„Chcecie, powiem jeszcze więcej:“ a na zarzut jednej z niewiast, iż odkrył już wszystko i nie znajdzie nic więcej do powiedzenia, odpowiada: „Przysięgam na Jowisza, żem nie powiedziała i jednej dziesięć tysięcznej części tego co broimy, my, kobiety. Nie mówiłam o tém, jak drapaczka mi (79) wypijamy wino... jak oddawszy pozostałe od ofiar składanych w święto Apaturyi mięso ludziom, pośredniczącym w miłosnych stosunkach, mówimy potem mężom, że mięso zjadła kotka.... jak jedna kobieta siekierą zabiła męża, druga pozbawiła rozumu trucizną... jak jedna acharnejska (80) kobieta pod korytem zakopała ojca.... jak jedna z was na miejsce nowonarodzonej córki, wzięła niemowlę chłopczyka, który jednocześnie urodził się niewolnicy (81)."

Spółczesne Eurypidesowi i Arystofanesowi niewiasty podlegały najbardziej zarzutowi pijaństwa. Tak i w téj komedyi gdy poznany jako mężczyzna, Mnesilochos w zakład swego bezpieczeństwa z rąk rozjuszonych niewiast wyrывa

(77) Aristophan. Thesmoph. 466—519.

(78) Tamże 549—550.

(79) *OTΞΞΧΙΣ*, po łacinie *strigil*, narzędzie używane w łaźniach.

(80) Acharnae, jeden z okręgów (*δijmot*) Ateńskiej Rzeczypospolitej.

(81) Aristoph. Thesmoph. 553—565.

u jednej z nich troskliwie owinięte i obwiązane dziecko, okazuje się że to mniemane niemowlę jest po prostu skórzanym workiem z winem (82).

Tak z niewyczerpanym choć nasze uszy niekiedy rążącym dowcipem i z uszczypliwém szyderstwem wystawia Arystofanes niepopularność Eurypidesa u kobiet i zarazem stawia nam przed oczy obraz całego zepsucia i upadku ateńskich kobiet owego czasu, obraz zanadto może ponury, lecz jeżeli nie we wszystkich szczegółach, to bezwątpienia w głównych rysach prawdziwy.

Chociaż w Tesmoryazusach, Arystofanes niby usprawiedliwia niechęć Eurypidesa ku kobietom, zepsuciem tych ostatnich, sam jednakże w ogólności będąc nieprzyjacielem głównych zasad tragedyi Eurypidesa, nieoszczędzającym go prawie w żadnej ze swych komedyi, bezwarunkowo potępia jego żeńskie typy pozbawione moralnej wartości i jego szczególne upodobanie w kreśleniu złych charakterów niewieścich. Tak w *Żabach*, Eschylos z wyrzutem mówi do Eurypidesa: „Ja klęę się Jowiszem, nie wystawiałem rozpustnych Feder ani Stenobój (83).“ Na odpowiedź Eurypidesa, że trudno coś poradzić, gdy w podaniach spotykają się podobne charaktery, Eschylos oświadcza że należy ukrywać ujemną stronę mytu, oczyszczać go od złych charakterów (84) dozwalając w ten sposób modyfikować myty na korzyść moralnych ideałów, jak rzeczywiście robili to on i Sofokles.

Z tego widzimy, iż Arystofanes czuł, że wystawianie złych charakterów i występków w całej ich nagości, jak wszelki sarkazm i satyra, nie poprawią zepsutych i pozostaną bez wszelkiego pożytecznego skutku i ta prawda sprawdziła się na nimże samym.

Teraz możemy dostatecznie określić *mizogynią* Eurypidesa nienawiść ku kobietom, którą zarzucali mu staroży-

(82) Tamże w. 732.

(83) Aristoph. *Ranae* 1043. O Fedrze mówiliśmy dość powyżej. Co do Stenoboi (z której ułamki również przytoczyliśmy) podanie nazywa ją żoną króla Argosu Pretosa. Zakochała się ona w Bellerofonce, lecz wzgardzo na przez tego bohatera, ucieka się do potwarzy, podobnie jak Fedra. II omer (*Iliad.* VI i nast.) nazywa tę kobietę Anteją.

(84) Arystophan. *Żaby* 1053 i nast.

tni. Widzieliśmy że już spółcześni wielkiego tragika dostrzegli ten kierunek w wielu jego tragediach: nadto w przytoczonym ustępie z Hippolita, sam poeta i przytém jak okazaliśmy, wyraźnie mówiąc sam od siebie, przyznaje się do zawziętości przeciwko płci pięknej, a nawet okazuje zatwardziałość w tym grzechu i wcale nie obiecuje poprawy. Rozbierając szczegółowiej te utwory, w których panuje ten kierunek i pobieżnie dotknąwszy wszystkich żeńskich postaci w tragediach Eurypidesa, widzimy że rzeczywiście nasz poeta często wlewał swą żółć na płéć niewieścią, z pewném upodobaniem kreślił straszliwe i niemoralne niewieście charaktery a nawet (jak np. w *Medei*) odstępował od litery podania na niekorzyść swych bohaterów. Dając więcéj miejsca podmiotowemu nastrojowi duszy i wpływowi namiętności, Eurypides wprowadził miłosną intrygę jako główną dźwignię do niektórych swych utworów i przytém przeważnie w jéj ujemnych objawach i fazach. Jako przyczynę téj zawziętości względem kobiet starożytni komentatorowie podawali brak rodzinnego szczęścia w domu Eurypidesa niemoralność i szpetny charakter dwóch jego żon (85). Sam poeta (w przytoczonym ustępie z *Hippolita* i w ułamkach, któreśmy przytoczyli) i Arystofanes, jakéśmy to widzieli, usprawiedliwiają tę zawziętość zepsuciem i moralnym upadkiem społecznych niewiast ateńskich. Lecz nie poprzestając na tych zewnętrznych okolicznościach tłumaczących mizogynją Eurypidesa, zwróćmy uwagę na to, iż podobny kierunek zjawiał się w literaturach wszystkich czasów i narodów. Dla tego na zakończenie, pozwólmymy sobie poczynić niektóre własne ogólne uwagi, szukając głębiej przyczyn tego kierunku, jaki Eurypides przedstawia w literaturze greckiej. To nam może nieco objaśnić i pewną sprzeczność w zdaniach i poglądach Eurypidesa na kobiet, sprzeczność, którą nie raz mógł dostrzedz czytelnik w podanych wyżej rozbiorach i cytacjach, gdzie nie brak i przyjaznych zdań o płci niewieściej

(85) Eurypides był dwa razy żonatym. Pierwszą swą żonę Cherynę przekonaną o występne stosunki z retorem Kefisofontem, ustąpił bez trudności szczególnemu kochankowi. Starożytni mówią, iż pod wpływem wiarołomstwa Cheryny, Eurypides napisał *Hippolita*, w którym całą żółć wylał na płéć piękną. Druga żona poety, Melito nie odznaczała się także szczególną wiernością mężowi.

obok najzawziętszych tyrad i w tychże samych utworach, które według zdania starożytnych były głównie wyrazem jego nienawiści ku kobietom. Ma się rozumieć że zdania i poglądy przychylne płci niewieściej, które Eurypides kładzie w usta samychże kobiet, choćby i najgorszych, nie powinny nas wcale zastanawiać, chociaż myśli i poglądy autora przebijają się nieraz dość wyraźnie w słowach działających osób jego utworu, choćby te słowa były stosowne do położenia i roli tych osób.

V.

Ogólne uwagi o kierunku nieprzyjazytnym płci pięknej w literaturze.

Stosunki jednej połowy rodzaju ludzkiego do drugiej, mężczyzny do kobiety, znajdujące odgłos w podaniach i literaturze wszystkich czasów i narodów stanowią, bez wątpienia zajmujący przedmiot dla badaczy. Każdy język wyczerpał wszelkie możliwe a nawet i niemożliwe wyrażenia dla wysławienia kobiety. Poeci wszystkich wieków i narodów podobni są jeden do drugiego pod względem wyszukanych pochwał płci pięknej i górnych epitetów, jój przydawanych; lecz z drugiej strony nie trudno dostrzedz jak w podaniach tak i w literaturze wszystkich czasów i narodów nieprzyjazne uczucia ku niewiastom. Najstarożytniejsze podania azjatyckiego wschodu, wystawiają kobietę jako winowajczynią pierwszego grzechu i mówią o jój bezpośrednich stosunkach z uosobioném złem, z djabłem. W średnich wiekach obok ubóstwiającej kobiety poczyi minnenzengerów, trubadurów i truverów, widzimy niezwykle bogatą literaturę nacechowaną nienawiścią ku kobietom: jedném słowem cześć dla kobiet spotykamy wszędzie obok nienawiści i pogardy ku nim. W greckiej literaturze, wyobraziciela tego kierunku, po części jakieśmy widzieli, nie całkiem niesłusznie uważano Eurypidesa. Postarajmy się wkrótkości wytłumaczyć wedle możliwości, sprzeczność tkwiącą w istnieniu dwóch tych przeciwnych względem płci pięknej, kierunków.

Bez wątpienia w życiu dobro i zło są nieodłączne jedno od drugiego: są zawsze i były kobiety godne miłości, równie jak i wzbudzające wstręt i odrazę z nieuchronną koniecznością; układały się w literaturze typy dobrych i złych

kobiet, w skutek szczególnych okoliczności występują w literaturze to czciciele, to nieprzyjaciele kobiet: wszystko to zdaje się na pozór rzeczą prostą i naturalną; lecz szczególnież godnem przy tém uwagi jest pewne powinowactwo ostateczności, to jest możliwość szybkiego kolejnego następstwa i przejścia z jednej ostateczności w drugą, stanowiące własność ludzkiego ducha. Miłość, może przejść w nienawiść i przytém nienawiść ku ukochanemu niegdyś przedmiotowi, występuje w daleko większym stopniu niż nienawiść ku obojętnemu przedtem przedmiotowi; tak i naodwrot: nienawiść może przejść w niezwykle silną miłość. Mówiąc w ogólności ze stanowiska psychologicznego, przyjemne uczucie przechodzi w przykre i naodwrot. To zajmujące, że tak powiemy *sąsiedztwo* ostateczności, stanowi podstawę np. ascetyzmu, szukającego przyjemności w wyrzeczeniu się przyjemności. Ascetyzm szczególnież na Wschodzie i w średniowiecznej Europie, był bez wątpienia źródłem nieprzychylnego na kobietę poglądu, który odbił się, jakśmy wspomnieli w najstarożytniejszych podaniach semityckiego szczerpu i w nieprzychylnych niewiastom utworach średniowiecznej literatury. Często do samego zamięłowania w przyjemności przymieszaném jest uczucie nieprzyjemne; człowiek kochający, choćby i był kochanym (a jedno i drugie sprawia mu przyjemność), czuje się jednak w pewnej zależności od kochanego przez się przedmiotu, to zaś uczucie zależności, jest w pewnym stopniu nieprzyjemnem. Ten kontrast, to powinowactwo sprzeczności, istniejące w duszy każdego pojedynczego człowieka, znajduje właśnie wyrażenie w poglądach całego rodzaju ludzkiego, w zbudowanej na tych poglądach literaturze, a więc i w kierunku jęj względem kobiety, przedmiotu czci i niechęci.

Naturalny stosunek obu płci, wypływający z fizyologicznych i psychologicznych warunków, odegrywa także ważną rolę, w tej kwestyi. Fizyologiczne własności kobiety, jak wiadomo, wskazują jęj mniejszą zdolność do pracy, większą wrażliwość na zmiany stanu ciała, a zarazem i pociąg do życia bardziej spokojnego, siedzącego. Psychologiczną różnicę kobiety od mężczyzny, stanowi głównie przewaga wrażeń, panowanie uczucia nad rozumowém wyrachowaniem. Jedne i drugie różnice wskazują na to, iż kobieta

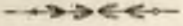
bez wątpienia stoi niżej od mężczyzny pod względem zdolności do fizycznej i umysłowej działalności. Niestety, ta niższość, nie podlega wątpliwości z punktu widzenia czysto naukowego fizjologii i psychologii a także i historii, potwierdzającej dane przez dwie pierwsze nauki wnioski. Dlatego nie możemy przystać na zdanie tych z nowszych publicystów i utopistów, którzy nie bacząc na to wszystko, co mają przeciwko sobie, pragnęliby porównać we wszystkim i zupełnie kobiety z mężczyznami. Pierwszeństwo mężczyzny pod tym względem, jakśmy wymienili, dowodzi historia wszystkich wieków i narodów, historia całego społecznego i umysłowego rozwoju ludzkości; lecz z drugiej strony, na mocy tychże głównych fizjologicznych i psychologicznych różnic, kobieta posiada swoją własną sferę, w której nie może jej zastąpić mężczyzna, sferę domowego, rodzinnego życia, gdzie niezbyt wielka zdolność do pracy fizycznej przestaje być wadą, a skłonność do życia siedzącego i wrażliwość stają się cnotami. Działalność kobiety w tej sferze, jest tyleż konieczną i pożyteczną, co działalność mężczyzny w jego sferze, pracy fizycznej, społecznej i umysłowej. Dlatego, chociaż pytanie o równych zdolnościach kobiet i mężczyzn w sferze tych ostatnich objawów działalności musi być rozstrzygnięciem przecząco na niekorzyść kobiet, zawsze jednak byłoby niedorzecznością utrzymywać że mężczyzna jest pożyteczniejszym od kobiety. Przyroda, mądrze wprowadziła tu zasadę podziału pracy: i mężczyzna i kobieta, każde na swém stanowisku, zupełnie odpowiadają obowiązkowi swjej sfery działalności i jedno drugiego dostatecznie zastąpić nie może.

Lecz w historycznym pochodzie ludzkości, na głównym planie jest działalność społeczna i umysłowa, i dla tego mężczyźni z lekceważeniem patrzyli na kobiety, mniej zdolne do obu tych rodzajów działalności. Mężczyźni uważali siebie za ludzi *par excellence*, jedynie zdolnych do działalności godnej człowieka. Wiadomo że Mahometanie odmawiają kobiecie duszy, a nawet średniowieczni teologowie poważnie roztrząsali kwestyą o tém, czy kobieta ma duszę, czy należy do rodzaju ludzkiego.

Mniej więc zupełne usunięcie kobiet od wszelkiej publicznej działalności, oparte na wskazanych powyżej natu-

ralnych podstawach, które znajdujemy u wszystkich narodów i we wszystkich czasach, doprowadzało często do ostateczności, do zamykania kobiet, do pogardzania niemi, do poglądu na kobiety jako na zabawkę tylko, na sprzęt domowy, na środek rozkoszy. Poczucie własnej wyższości w sferze historycznej działalności i poczucie swęj siły u mężczyzn, doprowadziły do nieprzychylnego poglądu na kobiety. Należy wyznać, że ujemna strona ludzkiej natury zależy między innemi na tém, iż silny nie tylko pozwala sobie często nadużyć względem słabszego, lecz z łatwością okazuje pewne lekceważenie a ztąd i pogardę ku słabszym.

Nie wdając się w obszerniejszy rozbiór, poprzestaniemy na wytknięciu tych zasadniczych faktów. Widzimy więc, że dziwne powinowactwo sprzeczności, leżące w naturze ludzkiego ducha i dotąd niewytłumaczone, tylko uznane jako fakt niewątpliwy; że następnie płynący ztąd ascetyzm, a także fizyologiczne i psychologiczne różnice obu płci i wpływający ztąd stosunek ich działalności: że to wszystko nie jest bez spółdziału w powstawaniu w literaturze nieprzyjawnego dla płci pięknej kierunku, kierunku, który powyżej staraliśmy się odkryć i przedstawić w utworach Eurypidesa.



O ZNACZENIU SĄDU PRZYSIĘGLYCH.

Rzecz publicznie w auli Szkoły Głównej Warszawskiej, d. 2 kwietnia 1867 r.

WYŁOŻONA

PRZEZ

Prof. Dra Walentego Miklaszewskiego.

Wprowadzenie sądu przysięgłych we Francyi w końcu zeszłego wieku, a następnie rozszerzenie się téj instytucyi na stałym lądzie, pobudziło do naukowego jéj oceniania. W nauce lubo nie zbywa na bardzo gruntownych rozbiórach dotyczących tego pytania, nie wyrobiło się jednak stanowcze zdanie, tak, że dziś jeszcze, bardzo poważni autorowie uważają przysięgłych, za instytucję barbarzyńską, za wznowienie sądów bożych w innéj formie; gdy znowu inni niemniej znakomici prawnicy, zapatrują się na tę instytucję, jako na jedną z form organizacyi sądowej mogących najwięcej zapewnić dokładny wymiar sprawiedliwości karnéj.

Przy tak skrajném ocenianiu znaczenia sądu przysięgłych, rozbiór zasad przemawiających za, i przeciwko téj instytucyi, przedstawia już bardzo wiele interesu. Dla nas, zastanawianie się nad tém pytaniem obecnie, ma nietylko interes naukowy. Instrukcyja dla Kommissyi Prawnéj w Królestwie Polskiem z d. $\frac{2}{14}$ lipca 1865 r. (1) art. 9 stanowi, że nowe prawodawstwo ruskie ma być wzięte za przewodnią wskazówkę przy nakreśleniu projektów organizacyi i postę-

(1) D. P. LXIII, 209 i nast.

powania sądowego: nowe zaś prawo ruskie z d. 20 listopada 1864 r. przyjęło instytucję przysięgłych, która już w praktyce z wielkiem powodzeniem zastosowaną została. Ocenienie więc znaczenia i użyteczności sądu przysięgłych jest dla nas kwestyą bardzo żywotną.

To skłoniło mnie do obrania téj materyi za treść publicznego wykładu i do ogłoszenia go drukiem w nadziei zwrócenia większej uwagi ogółu na ten przedmiot i wywołania gruntowniejszych rozpraw naukowych.

Przystępując do przedmiotu, przedewszystkiém wypada mi przedstawić krótką charakterystykę organizacyi i działalności sądu przysięgłych.

Sądem przysięgłych nazywamy *takie urządzenie sądowe, w którym, obywatele nie znający specjalnie prawa, do każdej pojedynczej sprawy oddzielnie wylosowani, a mogący być przez strony wyłączani, wyrzekają na mocy przedstawionych im dowodów o winie lub niewinności podsądnego, w ten sposób, iż ich wyrzeczenie służy za podstawę wyroku mającego się wydać przez sąd państwowy.*

Powołując do sprawowania tego urzędu obywateli nie znających prawa, ustawy określają przedewszystkiém w ogólności, kto ma prawo i obowiązek być przysięgłym.— Tylko mężczyźni, mający wiek prawem przepisany, którzy używają wszystkich praw cywilnych i politycznych, są zdrowi na ciele i na umyśle, mają niezależne stanowisko i umieją przynajmniej czytać i pisać, mogą sprawować urząd przysięgłego. Te jednak ogólne warunki mają tylko negatywne znaczenie, tak, iż brak jednego z nich pozbawia obywatela możności sprawowania tego urzędu. Z tych zaś, którzy odpowiadają tym ogólnym warunkom, prawodawstwa starają się powoływać na przysięgłych tylko przedstawiających pewne przymioty, na mocy których przypuszczać należy, iż odpowiedzą zadaniu; a mianowicie: że będą tak uczciwi, iż nie można wątpić o ich bezstronności; tak samoistni, że nie będzie można przypuszczać, aby komukolwiek dali się powodować w spełnianiu swego zadania; że będą posiadali wykształcenie umysłowe, usposabiające ich do dokładnego ocenienia całego postępowania; i że wreszcie będą mieli tyle

znajomości życia, tyle doświadczenia, iż będą mogli ocenić pobudki działania, oraz kierunek i stopień złej woli pod sądnego. Dla osiągnięcia tego celu, prawodawstwa przy udzielaniu prawa być przysięgłym przyjmują pewne wskazówki.

Jedne twierdzą, że posiadany majątek daje obywatelowi niezależność i środki kształcenia się; w opłacaniu też pewnej summy podatków upatrują pożądaną rękojmię. W tym duchu prawodawstwa stanowią, że tylko pewna ilość najwyższej opodatkowanych w prowincyi może spełniać urząd przysięgłego; albo, że wszyscy obywatele, którzy opłacają podatki w pewnej przez ustawę oznaczonej wysokości mają do tego prawo. Prawodawstwa przyjmujące ostatnią zasadę, tém się różnią od prawa angielskiego, iż ono nie przypuszcza, aby niżej opodatkowani mogli ponosić ciężary ze sprawowaniem tego urzędu połączone, pierwsze zaś mniemają, że płacący niższy podatek nie przedstawiają wymaganych przymiotów.

Inne prawodawstwa zważając, że uiszczający pewną ilość podatku nie koniecznie posiada wyż rzeczone przymioty, że przeciwnie nie płacący takiego podatku może być odpowiednim do sprawowania urzędu przysięgłego, starają się uzupełnić poprzedni systemat za pośrednictwem t. n. zdolności (*capacité*), t. j. takich osób za którymi przemawia ich naukowe lub urzędowe stanowisko.

Wszystkie te jednak systemy mają jedną wspólną wadę, bo określają możność bycia przysięgłym zbyt szczupłemi granicami, w skutek czego ocenianie winy podsądnych staje się przywilejem wyższych warstw społeczeństwa. Z tego powodu niektóre ustawy prawo sprawowania urzędu przysięgłego przyznają wszystkim obywatelom używającym prawa wyborczego, nakazując obsadzać ławę przysięgłych: albo za pomocą wyborów bezpośrednich; albo losem; albo też wpisywać w t. n. listy ogólne wszystkich wyborców, z których dopiero, albo urzędnicy gminni, albo jakie ciało polityczne, albo wyżsi urzędnicy administracyjni, lub wreszcie prezes sądu, wybiera oznaczoną liczbę obywateli posiadających wskazane wyżej przymioty. Z tych list ogólnych tworzą się listy służbowe na r. b., te zaś rozdzielają się na cztery

listy kwartalne odpowiednio do czterech w roku sessyi sądu przysięgłych. W liście kwartalnej mieści się 30, 36 lub 40 nazwisk i z téj dopiero liczby losują się przysięgli.

Jedną z najważniejszych rękojmi sprawiedliwego sądu i zabezpieczenia praw podsądnemu służących, jest zupełna bezstronność wyrokujących. Prawodawstwo angielskie tę zasadę uwzględniło najdokładniej, pozwalając podsądnemu wyłączać znaczną ilość przysięgłych bez przytoczenia powodów, tak, iż on prawie sam z listy kwartalnej wybiera na swych sędziów osoby, w bezstronności których ufność pokłada. Gdyby jednak wyłączywszy ilość prawem określoną miał jeszcze przeciw pozostałym uzasadnione zarzuty, to i tych jeszcze wolno mu wyłączyć. Ponieważ jednak cała lista mogła być stronnie ułożoną, przeto służy podsądnemu prawo wyłączyć całą listę, przytoczywszy powody wykazujące stronność układającego ją urzędnika, tak, iż wówczas tworzy się nowa lista. Prawodawstwa stałego ładu lubo przyznają także tę zasadę, jednak mniej starają się o jej urzeczywistnienie. Nakazują one nazwiska powołanych do sprawowania urzędu przysięgłych włożyć w urnę, z której prezydujący wyciąga kartki, a przeczytawszy nazwisko wylosowanego zapytuje stron, t. j. prokuratora i podsądnego, czy go wyłączają. Niewyłączony zasiada na ławie przysięgłych. W taki sposób każda ze stron ma prawo wyłączyć pewną przez ustawę oznaczoną liczbę, bez przytoczenia powodów; lecz innych wyłączeń w prawie angielskiem wskazanych nie znają prawodawstwa stałego ładu.

Wylosowani i nie wyłączeni obywatele zasiadają ławę przysięgłych i składają przysięgę na swój urząd.

Tak ustanawia się ławę przysięgłych.

Przysięgli nie działają jednak samoistnie, ale łącznie i pod przewodnictwem sądu państwowego, reprezentowanego w Anglii przez jednego sędziego, członka sądu ławy królewskiej (*Kings bench*), a na stałym ładzie, przez kolegium sędziów z sądu appellacyjnego lub trybunału dla każdej sessyi sądu przysięgłych w szczególności wyznaczonych, pod przewodnictwem prezydującego, podobnież mianowanego.

Sąd w ten sposób z wydziału państwowego i przysięgłych złożony wyrokuje w Anglii we wszystkich sprawach karnych, tak iż obręb władzy przysięgłych został określony

tylko instytucją sędziów pokoju (policyjnych), którzy wyrokują bez przysięgłych w niektórych przestępstwach mniejszej wagi (*misdemeanors*). Prawodawstwa zaś stałego ładu i w tym względzie przeciwną przyjęły zasadę, określiły bowiem władzę przysięgłych tylko do najważniejszych przestępstw (*crimes, Verbrechen, zbrodni, przestępstw zagrożonych pozbawieniem lub ograniczeniem praw stanu, podług nowego prawodawstwa ruskiego*):—i z tego jednak szczerpłego zakresu: jedne wyłączyły przestępstwa stanu i prasowe, drugie wprowadziły tę instytucję tylko i wyłącznie dla przestępstw tego rodzaju; inne określiły obręb władzy przysięgłych stopniem kary, np. nowe prawodawstwo ruskie 1864 roku; inne znowu wyliczyły gatunki przestępstw, w sądzeniu których biorą udział przysięgli;—tak, że w przedmiocie oznaczenia władzy przysięgłych prawodawstwa stałego ładu o tyle tylko są zgodne, że ich nie upoważniły do współdziałania w wyrokowaniu spraw cywilnych, oraz że nie nadały im prawa oceniania winy oskarżonych o występki i przekroczenia policyjne (*délits, contraventions, Vergehen, Uebertretungen*).

Obręb jednak władzy przysięgłych został na stałym ładzie ściśniony nie tylko co do gatunku przestępstw w których biorą udział w wyrokowaniu, ograniczono bowiem sferę ich działalności i w tych nawet sprawach, w których mają prawo oceniać winę podsądnego.

W Anglii każda sprawa karna należąca do kompetencji przysięgłych, czy przygotowana poprzednio przez sędziego instrukcyjnego (sędziego pokoju, policyjny, *coroner*), czyliż rozpoczęta wprost na żądanie oskarżyciela prywatnego, po ułożeniu projektu aktu oskarżenia przedstawia się przysięgłym oskarżenia (1) (*grand jury*), którzy większością 12-tu głosów oceniwszy skargę, albo stawiają obwinionego w stanie oskarżenia, albo uwalniając go, przerywają dalszy bieg procesu. We Francyi pierwotkowo prawo stawiania w stanie oskarżenia udzielono przysięgłym *jury d'accusation*, pó-

(1) Jedynym wyjątkiem od tego pravidła jest rozpoczynanie postępowania głównego na zasadzie *information*, t. j. pozwolenia najwyższego sądu Anglii *Kings bench*; takie jednak wyminięcie *grand jury* może mieć tylko miejsce w dochodzeniu przestępstw mniejszej wagi (*misdemeanors*) i tylko w szczególnych wypadkach. Por. *Glaser*. Anklage, Wahrspruch u. Rechtsmittel im englischen Schwurgerichtsverfahren. Erlangen, 1866, 2 i nast.

źniej jednak odjęto im to prawo, oddając tę ważną czynność izbom oskarżenia z sędziów państwowych złożonym (*chambre du conseil de la cour impériale, Anklage kammer*) i ta zasada stawiania w stanie oskarżenia, na wzór Francyi i w innych prawodawstwach przyjętą została, tak, że na stałym lądzie tylko o przysięgłych wyrokujących mówić można.

Nie tylko jednak co do obrebu władzy przysięgłych różnią się prawodawstwa stałego lądu od pierwowzoru angielskiego, lecz i w postępowaniu przed przysięgłymi spotykamy pomiędzy temi prawodawstwami stanowcze różnice.

Po odczytaniu aktu oskarżenia w Anglii zadaje się pod sądnemu pytanie, czy się przyznaje do zarzuconego mu przestępstwa, uważając przyznanie się za zupełnie przekonywający dowód, zastępujący wyrzeczenie przysięgłych i wyłączający całe z nimi postępowanie, tak, że po potwierdzającej odpowiedzi podsądnego przystępuje się wprost do wymiaru kary. We Francyi i niektórych prawodawstwach stałego lądu przyznanie się podsądnego uważa się za dowód równiej wagi jak dowód ze świadków i t. p., w skutek czego wartość jego oceniają przysięgli, tak, że przyznanie się podsądnego nie zmienia postępowania. Przywiązywanie tak stanowczego znaczenia do dowodu z przyznania się, w Anglii usprawiedliwia się historycznie, dla stałego zaś lądu, gdzie instytucya przysięgłych opiera się na apriorystycznych zasadach, postanowienie prawa francuzkiego jest lepsze jako więcej odpowiadające duchowi instytucyi (1).

Po przeczącej odpowiedzi podsądnego na wyż rzeczzone pytanie, przystępuje się w Anglii do ustanowienia dowodu winy, t. j. do udowodnienia aktu oskarżenia. Czynności tej dopełnia obrońca oskarżyciela, przedstawiając naprzód krótką treść sprawy i kierunek jaki przyjmie dla uzasadnie-

(1) Inne prawodawstwa stałego lądu, różne co do tego przedmiotu mierzczą postanowienia *NP. Vemach 1864* z. § 679 i nast. stanowi, aby przyzujący zapytał podsądnego czy się przyznaje do zarzuconego mu przestępstwa. Jeżeli podsądny się przyznaje, ma być zbadany co do okoliczności czynu, i gdy niema żadnej wątpliwości, że przyznanie się jest prawdziwe wtedy dozwala przystąpić wprost do ostatecznych rozpraw. Jeżeli zaś ktokolwiek z osób biorących udział w postępowaniu zażąda przeprowadzenia postępowania dowodowego, pomimo złożonego przyznania, to sąd musi sprawdzić i inne dowody.

nia aktu oskarżenia, a następnie przedstawiając dowody i słuchając świadków. Podczas odbycia wszystkich tych czynności strona przeciwna ma prawo za pośrednictwem zapytań (*cross examination*) wyjaśniać sprawę na swą korzyść lub osłabiać dowody przez oskarżyciela przedstawiane. Po ustanowieniu dowodu winy, obrońca podsądnego, albo w krótkiej przemowie wskazuje kierunek mającego się przedstawić odwołu i potem słucha swych świadków, pozostawiając stronie przeciwniej prawo zapytywania ich dla wyjaśnienia sprawy (*cross examination*) i przedstawia inne dowody; albo też, nie mogąc ustanowić odwołu, w mowie swęj rozbiera tylko przedstawiony przez oskarżyciela dowód i wykazuje jego bezzasadność lub niedostateczność, a w ostateczności przytacza okoliczności zmniejszające winę podsądnego. Jeżeli obrońca podsądnego słuchał swych świadków, lub przedstawiał inne dowody, wtedy obrońcy oskarżyciela służy prawo zabrania głosu i wykazania bezzasadności odwołu, na który może odpowiedzieć obrońca podsądnego, który w praktyce zwykle ma głos ostatni, pomimo przepisu upoważniającego obrońcę oskarżyciela w ważnych przestępstwach do zabierania ostatniego głosu. Po zakończonych w ten sposób rozprawach prezydujący może streścić przedstawione dowody, zwrócić uwagę przysięgłych na główne punkta procesu, które w czasie narad szczególniej rozważać winni; wykazać wątpliwości w procesie się nastręczające, i wreszcie objaśnić zasady oceniania dowodu przez naukę i praktykę w Anglii wyrobione (*law of evidence*), oraz pojęcia prawne niezbędne do ocenienia dochodzonego czynu. Tém przemówieniem (*charge*) kończy się ustanowienie i wyjaśnienie dowodów t. j. główne rozprawy w postępowaniu z przysięgłymi w Anglii.

We Francyi i w większej części prawodawstw stałego ładu, po odczytaniu aktu oskarżenia, prezydujący przede wszystkim bada podsądnego, dążąc do wydobywania z podsądnego przyznania się, a przynajmniej do wyjaśnienia sprawy jego odpowiedziami; następnie słucha biegłych i świadków i przedstawia inne dowody winę lub niewinność podsądnego wykazujące w porządku jaki uzna za właściwy. Po wysłuchaniu każdego świadka prokurator i członkowie sądu państwowego otrzymawszy na to pozwolenie od prezydującego, mogą mu wprost zadawać pytania do wyjaśnienia jego ze-

znania służyć mogące, podsądny zaś i jego obrońca używają tego prawa tylko za pośrednictwem prezydującego (*par l'organe du président*). Po ustanowieniu dowodów naprzód prokurator, a potem obrońca podsądnego w swych mowach wyjaśniają zebrany materiał, pierwszy dla podtrzymania aktu oskarżenia, drugi dla wykazania niewinności podsądnego, lub też łagodzących jego winę okoliczności, w ten sposób, że obrońca podsądnego zawsze przemawia ostatni. Charakter tych przemówień prokuratora i obrońcy we Francyi zupełnie jest inny jak mów obrońców angielskich. Różnica ta ma ścisły związek z zasadami oceniania winy podsądnego. Przysięgli angielscy wyrzekają o winie lub niewinności podsądnego, kierując się zasadami oceniania przedstawionych dowodów przez naukę i praktykę wyrobionemi (*law of evidence*), o których objaśnia ich w każdym procesie prezydujący w ostatecznym przemówieniu tak, że wtedy tylko mają wyrzekać, iż jest winien, gdy przestępstwo podług tych zasad udowodnionem zostało; francuzcy zaś i w ogóle przysięgli stałego ładu wyrzekają na mocy wewnętrznego przekonania (*intime conviction*), t. j. opierając się na wrodzonym każdemu człowiekowi uczuciu sprawiedliwości, które jak mniemają, dozwoli z wrażeń otrzymanych z całego postępowania, ocenić winę lub niewinność podsądnego. W skutek tej różnicy zasad oceniania winy, i mowy obrońców mają różną charakterystykę: w Anglii obrońca rozbiera tylko przedstawione dowody i prawnie stara się udowodnić, iż istnieje lub nie istnieje dowód. Na stałym lądzie a szczególnie we Francyi mówcy starają się oddziaływać tylko na uczucie, na wrażliwość przysięgłych, a przysięgli nie związani niczem, jak tylko wewnętrznym przekonaniem, nie zawsze opierają wyzroczenia swoje na przedstawionych dowodach. Po zakończeniu rozpraw między stronami, prezydujący jest obowiązany streścić przedstawione dowody zupełnie bezstronnie nie wyrażając jednak swego zdania co do winy podsądnego (*résumé, Schlussvortrag*) i wezwać przysięgłych do spełnienia głównego ich zadania, to jest ocenienia winy podsądnego.

Po wysłuchaniu całego tego postępowania, przysięgli udają się do izby narad, gdzie spełniają najważniejsze czynności, to jest obradują i wyrzekają o winie podsądnego.

W przepisach organizujących te czynności, główne różnice są następujące:

Prawo angielskie nakazuje przysięgłym oceniać winę odnośnie do aktu oskarżenia, tak że odpowiedź ich ogranicza się do wyrzeczenia „*guilty or not guilty*” „*winien lub nie winien*” gdy zaś nie uznają jakichś stanowczych okoliczności w akcie oskarżenia pomieszczonych, wolno im w odpowiedzi uczynić stosowny dodatek, np. winien, ale działał bez rozmysłu, winien ale bez włamania i t. p. Według prawodawstw stałego łądu sąd ma rozczłonkować akt oskarżenia na pytania, w ten sposób, aby każdy warunek wpływający na ocenienie przestępstwa, był umieszczony w osobnym pytaniu, na które mają w szczególności odpowiedzieć przysięgli.

W prawodawstwie angielskiem nie znajdujemy żadnych przepisów mogących uniemożliwić lub utrudnić rozprawy przysięgłych. Prawo zaś francuzkie z d. 8 września 1835 roku, wprowadziło tajemne głosowanie przysięgłych, w skutek czego naturalnie naradom przysięgłych stanowczy cios zadało.

W Anglii przysięgli wyrzekają o winie podsądnego jednomyślnie, na stałym ładzie jednomyślność w bardzo nie wielu prawodawstwach przyjętą została, prawodawstwa bowiem stałego łądu prawie ogólnie uznały za zasadę większość głosów (7, 8, 9, 10).

Po oddaleniu się do izby obrad przysięgli wybierają z pomiędzy siebie przewodniczącego, i głosują, albo co do pytania w akcie oskarżenia umieszczonego jak w Anglii, albo co do pojedynczych zapytań przez prezydującego przy wyjściu z sali sessjonalnej na osobnym arkuszu podanych jak na stałym ładzie, a przez to wyrzekają o winie podsądnego. Wyrzeczenie to stanowi podstawę wyroku sądu kryminalnego, tak, że następujące po jego ogłoszeniu rozprawy ostateczne już nie mogą poddawać rozbirowi pytań przez przysięgłych rozstrzygniętych. Przedmiotem tych ostatecznych rozpraw jest przygotowanie zastosowania odpowiednich artykułów ustawy karniej i wymiar kary. W tym duchu przemawiają obrońcy obu stron, sąd zaś państwowy po nradzie wymierza karę i ogłasza wyrok za pośrednictwem prezydującego (1).

(1) Życzących dokładniej poznać się z przebiegiem czynności w sądzie przysięgłych, odsyłam do mojej rozprawki: „O stanowisku prezydującego w sądzie przysięgłych.” Warszawa, 1867.

Taka jest ogólna charakterystyka działalności sądu przysięgłych.

Urządzenie to uległo wielu zarzutom odnoszącym się tak do zasadniczych myśli, na których opiera się ta instytucja, jak i do wszystkich prawie szczegółowych przepisów określających skład i działalność sądu przysięgłych. Chcąc więc ocenić znaczenie tej instytucji, potrzeba rozebrać główniejsze przynajmniej z tych zarzutów.

Już pierwsza zasadnicza myśl, powoływanie do oceniania winy podsądnego obywateli nie znających specjalnie prawa, dała pochop do twierdzenia, że instytucja sądu przysięgłych nie wytrzymuje krytyki. Przeciwnicy twierdzą, że tylko podział pracy może zapewnić dokładne jej wykonanie. Wyrokowanie w sprawach karnych, wymaga pewnych wiadomości, oraz fachowego prawnego wykształcenia. Jakimże sposobem nie obeznani z tą nauką obywatele mogą zadość uczynić temu zadaniu? Zarzut ten podzielają niektórzy z obrońców instytucji przysięgłych, a nawet Napoleon I, który, jak wiadomo, głównie przyczynił się do utrzymania sądu przysięgłych we Francji.

Zarzut ten jednak ma tylko pozorną a nie rzeczywistą wartość, zasada bowiem ekonomiczna podziału pracy niewłaściwie jest tu powołana. Przysięgli nie wyrokuja, lecz tylko oceniają pytanie co do winy.

Byt społeczny w dwóch formach może być zabezpieczony: albo przedstawiciel społeczeństwa, rząd, sprawuje politykę i wymierza karę; albo społeczeństwo dojrzawszy do samoistności, samo czynności te mniej lub więcej bezpośrednio wykonywa. Nikt nie powątpiewa, że ta druga forma zabezpieczenia bytu stanowi postęp w rozwoju społecznym. Powołanie zaś obywateli do oceniania winy podsądnego, jest właśnie urzeczywistnieniem tego postępu w wydziale wymiaru sprawiedliwości karniej. Jeżeli więc samorząd jest uzasadniony i możliwy, to i instytucja przysięgłych jako realizująca jego zasady w wydziale sprawiedliwości karniej nie może podlegać takiemu zarzutowi.

Największą ilość zarzutów przeciwko sądowi przysięgłych wywołało przytaczanie na usprawiedliwienie tej instytucji korzyści politycznych.

Rewolucya francuzka burząc instytucje przeszłości nie pominęła także zasad wymiaru sprawiedliwości karniej, a wzięwszy rozbrat z przeszłością, starała się zaczerpnąć u sąsiadów zasad i form dla nowego, tworzącego się życia społecznego. Dzieła *Montesquieu* i innych, co do wymiaru sprawiedliwości karniej, zwróciły uwagę na urządzenia angielskie, w których Francuzi upatrywali wielkie rękojmie polityczne i zapewnienie ludowi udziału w wymiarze sprawiedliwości. Sąd przysięgłych był przeniesiony na grunt francuzki, lecz jako dzieło rewolucyi, musiał stracić swe pierwotne znaczenie historyczne, i odzwierciedlić wszystkie pojęcia wyrobione i wygłoszone przez rewolucję. Dla tego też instytucya przysięgłych we Francyi najzupełniej się różni od angielskiej. W Anglii sąd przysięgłych był wprowadzony nie tylko dla spraw karnych, lecz początkowo dla spraw cywilnych; rozwijał się historycznie od XII w., i odgrywał początkowo rolę prawnego dowodu zastępującego sądy boże i pojedynki. Dopiero około XVI w. przysięgli otrzymali znaczenie sędziów, mianowicie od tej chwili, gdy przestali dawać zdanie o przedmiocie w sporze będącym z własnej wiadomości, a gdy im zaczęto przedstawiać dowody, na mocy których mieli wyrokować, oraz gdy przestali być odpowiedzialnymi za swe zdanie. W tym rozwoju historycznym znaczenia politycznego sądowi przysięgłych wcale nie przypisywano, czego najlepiej dowodzi wielka ilość przepisów zmuszających do sprawowania tego urzędu, oraz udzielane przywileje uwalniające od tego obowiązku. Z pisarzy angielskich dopiero *Blackston* na wzór *Montesquieu*'go począł upatrywać i korzyści polityczne w tej instytucji, dawniejsi zaś zapatrywali się na przysięgłych jako na środek policyjny (takie bowiem jest pierwotne znaczenie przysięgłych), albo też jako na środek dowodu (czém bardzo długo byli przysięgli); lub nareszcie jako na najlepszy środek wymiaru sprawiedliwości (czém ostatecznie zostali): — więc zawsze jako na instytucyą prawną.

We Francyi przysięgli już wedle *Montesquieu*'go z tego względu przedewszystkiem są ważną instytucyą, iż urzeczy-

wistniają teorię podziału władz, w społeczeństwie zaś rewolucyjnym, szczególnież dlatego znalazły uznanie, iż przedstawiały się jako forma mogąca urzeczywistnić teorię *Rousseau* o wszechwładstwie ludowém. Te dwie zasady w rewolucyi wyrobione zmodyfikowały znaczenie sądu przysięgłych tak, iż z instytucyi prawnej jaką był i jest w Anglii, stał się instytucją polityczną we Francyi. Tym tylko charakterem politycznym, t. j. wprowadzeniem wszechwładstwa ludowego jako podstawowego pojęcia téj instytucyi, możemy wytłumaczyć i karykaturalną działalność sądu przysięgłych w czasie wielkiej rewolucyi (1), i ten objaw, że każda zmiana rządowa we Francyi od początku bieżącego wieku odbiła się także i na instytucyi sądu przysięgłych.

Do państw niemieckich sądy przysięgłych zanesione zostały prądem rewolucyjnym 1848 r., a chociaż na usprawiedliwienie potrzeby przyjęcia tej instytucyi znakomici prawnicy (np. *Mittermaier*) przytaczali powody prawne, jednakże wprowadzenie jej, było ustępstwem ze strony rządów dla rewolucyi. Dla tego też z upadkiem rewolucyi, gdy reakcyja o władnęła ster rządu, w jednych państwach np. w Austrii, zniesiono tylko co wprowadzony sąd przysięgłych, w innych zaś ograniczono zakres jego władzy tylko do zwykłych zbrodni, odejmując mu prawo oceniania winy w przestępstwach prasowych i zbrodniach stanu. Lubo nauka i duch ludu niemieckiego w praktyce sądowej zatarły polityczną charakterystykę przysięgłych, jednakże fakt wprowadzenia téj instytucyi podczas rewolucyi dał oręż przeciwnikom do robienia jej zarzutów, które więcćj do przysięgłych francuzkich, niż do niemieckich zastosowane być mogą. Zarzuty te tém większej nabrały wagi, iż około 1848 r. zjawiała się znaczna ilość książek i broszur zalecających sąd przysięgłych na wzór Napoleona I-go i mówców francuzkich z początku b. w., tylko ze względów politycznych, tak, iż ci obrońcy sądu przysięgłych zupełnie odmawiali prawnego znaczenia tej instytucyi. Zapatrywanie takie pomnożyło jeszcze zarzuty, za wyraz których możemy uważać następujące.

Sądy przysięgłych, jako instytucya polityczna, z zasady wszechwładstwa ludowego stają po nad prawem stanowio-

(1) *Buechner*. Die französischen Revolutions-tribunale u. das Geschworenengericht. Erlangen. 1854.

ném, jako prawodawca, a przynajmniej przywłaszczają sobie prawo ulaskawiania.

Zarzut ten, jak uważaliśmy, jest prawdziwy względem francuzkich przysięgłych, ale nie względem angielskich, a tém mniej może być odniesiony do samej zasady instytucji. Nawet sądy przysięgłych w Rosyi wprowadzone nie podlegają zupełnie temu zarzutowi, gdyż wyrokują tylko na mocy przedstawionych im dowodów.

Ślad wszechwładstwa ludowego w wyrzeczeniach sądów przysięgłych zaledwie się da dopatrzeć w Niemczech a nawet we Francyi; praktyka bowiem wykazuje, że przysięgli działają legalnie. Objawy nielegalne możemy spotkać tylko w takich wypadkach, gdy ustawa karna obejmuje przepisy zupełnie nie odpowiadające duchowi narodu, czyto uznając za przestępstwo czyny nie mające tej cechy w pojęciu ludowém, czy też, stanowiąc pewne kary o niesprawiedliwości których naród jest przeświadczony, np. kara śmierci. W takich tylko przypadkach zdarza się, że przysięgli bez prawnych powodów przyjmując okoliczności zmniejszające winę, przywłaszczają sobie niejako prawo ulaskawiania. Zjawiska te jednak nie przekonywają bynajmniej, aby instytucja przysięgłych była polityczną, nie zaś prawną; dowodzą one tylko, że sąd przysięgłych, tak jak i każda inna prawna instytucja, wymaga pewnych warunków, aby mogła legalnie funkcjonować.

Uważając sąd przysięgłych za instytucję polityczną, przeciwnicy zarzucają, że ta forma organizacyi sądowej nie da się pogodzić z zasadą monarchiczną (1).

Wartość tego zarzutu zależy wprost od pojęcia jakie mamy o monarchii; jeżeli bowiem z wyrazem monarchia łączymy na wzór *Potockiego* pojęcie gwałtu, samowoli, — wtedy rozumie się nie tylko sąd przysięgłych, ale żadna instytucja prawna nie może się ostać; jeżeli zaś monarchię uważać będziemy za prawną formę rządu, — w takim razie każda instytucja powołująca do współudziału obywateli, istnieć i kwi-

(1) Ten zarzut nawet i w naszej literaturze był stawiany przez *Xawerego Potockiego*. „O początku historyi, korzyściach i niedogodnościach instytucji sądu przysięgłych; rzecz krótka.” Warszawa, 1819, fol. stron. 24.

tnąć może. Najlepszym tego dowodem jest rozwój instytucji przysięgłych w czasach monarchii angielskiej, istnienie tychże we Francyi i w Rossyi. Forma tylko powoływania przysięgłych będzie inna przy samorządzie narodowym, a inna w rządzie monarchicznym: tam przysięgły będzie reprezentował naród, tu zaś będzie działał z woli panującego i obywateli.

Pomiędzy przeciwnikami sądu przysięgłych znaleźli się i tacy, którzy twierdzili, że ta instytucja jest przeciwną religii chrześcijańskiej.

Nad takiego rodzaju zarzutami zastanawiać się nawet nie warto, bo one przy bliższem ich rozpatrzeniu mogą wykazywać albo czczość, albo złą wolę czyniącego zarzuty.

Jako przejście do zarzutów odnoszących się do szczegółowych przepisów urządzających instytucję przysięgłych, uważać możemy zdanie, że, gdyby nawet przysięgli byli uprawnioną instytucją, i mogli funkcyonować odpowiednio, to przecież nie sprawują swoich obowiązków lepiej jak to sędziowie państwowi uczynić mogą. Jeżeli zaś przysięgli nie lepiej zadanie spełniają, to nie ma interesu powoływać ich do oceniania winy, bo włożenie tego obowiązku na obywateli połączone jest z wielkimi stratami materyalnemi, jużto dla większych kosztów sądowych, już też przez oderwanie obywateli od ich zajęć, na czem traci produkeya krajowa.

Czy przysięgli lepiej spełniają włożone na nich obowiązki, aniżeli to sędziowie państwowi uczynić mogą, odpowiedzieć trudno, szczególnież dlatego, iż z jednej strony stawiamy rzeczywistość a z drugiej możliwość. Na polu przypuszczalnych porównań najłatwiej walczyć.—Dlatego też; jeżeli z jednej strony postawimy ideał sędziego państwowego, a z drugiej weźmiemy rzeczywistego przysięgłego, wtedy bezwątpienia wypowiemy, że sędzia państwowy lepiej zadaniu odpowiedzieć może. Jeżeli zaś przejdziemy na pole rzeczywistości i porównywać będziemy działalność sędziego państwowego i przysięgłego w jednym i tym samym kraju,

wtedy niezawodnie zauważymy:—że przysięgli w jednej tylko sprawie funkcjonujący dokładniej rozbiera wszystkie szczegóły sprawy; że przynosząc z sobą zapas doświadczenia życiowego lepiej jest w stanie ocenić pobudki działania przestępnego, kierunek i stopień złej woli podsądnego; że powołany do ocenienia jednej sprawy, indywidualizuje wypadek nie kierując się bynajmniej, jak to czynią sędziowie państwowi, prejudykatami t. j. wyrokami w podobnych wypadkach wydanymi; że przysięgli pojęcia prawne mające związek z życiem praktycznym, np. konieczna obrona, przymus, dowód ze zbiegu okoliczności i t. p., bezporównania dokładniej oceniają, jak sędziowie państwowi, bo mając zapas doświadczeń życiowych z przedstawionych okoliczności lepiej sobie fakt odtworzyć mogą; zauważymy wreszcie, że przysięgli są niezależniejsi, nie będąc bowiem stałymi urzędnikami, nie mogą liczyć, ani na fawory ministerjum, ani na utratę miejsca i t. p.—Chociaż te korzyści przemawiałyby za przyznaniem wyższości sądowi przysięgłych, jednakże samo porównywanie sędziów przysięgłych i państwowych dla ocenienia wartości instytucyj uważamy za niewłaściwe. Stosowniej pytać która organizacya przedstawia więcej rękojmi budzących zaufanie w narodzie do wydawanych wyroków, aniżeli, którzy sędziowie są lepsi? Stawianie ostatniego pytania uwłacza już sędziom państwowym, na odpowiedniem współdziałaniu których polega i dobre pojawianie się instytucyi sądu przysięgłych.—Względy zaś finansowe które z poprzedniego zarzutu wypływają, bezwątpienia są słuszne i ważne, jednak nie tak stanowcze jak to usiłują wykazać przeciwnicy; skrócenie postępowania, opuszczenie w niem takich czynności, które zamiast przyczynić się do wyjaśnienia prawdy, mogą tylko przysięgłych w błąd wprowadzić, o tyle umniejszą kosztów postępowania i stratę czasu przysięgłych, iż zarzut ten tylko drugorzędne znaczenie mieć może.—Samorząd gminny i w ogóle każdy samorząd pociąga za sobą te same straty, jednakże komuż przez myśl przejdzie, aby dla takich powodów zasadę samorządu odrzucać? Większa ilość urzędników administracyjnych, a nawet kollegialność w sądach zupełnie tenże sam zarzut nastęrcza. Dla czegoż przeciwnicy sądu przysięgłych walczący zasadami finansowymi i ekonomicznymi nie głosują za zniesieniem kollegial-

ności w sądach, za zcentralizowaniem administracyi w jak najmniejszej ilości rąk, aby w ten sposób pomnożyć produkcję krajową?

Jako szczegółowe zarzuty większej wagi uważać możemy:

Gdzie dwa Kollegia funkcyonują, z których jedno pyta, drugie odpowiada, tam muszą się zdarzać nieporozumienia. Te nieporozumienia w sądach przysięgłych, podług zdania przeciwników, dają się widzieć, w sprzecznych odpowiedziach na szczegółowe pytania i w niesprawiedliwych wyrokach.

Praktyka sądowa usprawiedliwia ten zarzut, zdarza się bowiem, że przysięgli nie oceniają dostatecznie związku zadanych im pytań, i dlatego sprzeczne udzielają odpowiedzi, albo też inaczej zrozumiawszy zadane pytania, udzielają odpowiedzi w innem znaczeniu. Czy te fakta jednak wykazują, że sądy przysięgłych nie mogą dobrze funkcyonować? Naszém zdaniem, wykazują one, iż albo w danym wypadku pytania źle były postavione, albo też że prezydujący związku ich dokładnie nie objaśnił w ostateczném przemówieniu, albo że w prawodawstwie postanowiono nieodpowiednie przepisy co do zadawania pytań przysięgłym, albo wreszcie, że systemat pytań szczegółowych jest nieodpowiedni; nie dowodzą jednak bynajmniej, aby przysięgli nie mogli dokładnie oceniać winy. Przytaczane z praktyki niesprawiedliwe wyrzeczenia przysięgłych, na mocy których skazano na karę niewinnych, lub też winnych uwolniono, nie wspierają również zdania przeciwników tak silnie, jak im się to zdaje. Skazanie na karę niewinnych przy zbiegu szczególnych okoliczności zdarzało się, i zdarza częściej, a przynajmniej nie rzadziej w sądach państwowych. W sądach zaś przysięgłych, jeżeli się zdarza, to zawsze wina spada nie tylko na przysięgłych, lecz i na sędziów państwowych, którym służy kontrola nad działalnością przysięgłych. Wydanie wyroku skazującego na zasadzie niesprawiedliwego wyrzeczenia przysięgłych przekonywa, iż sądy państwowe w tym wypadku nie inaczejby postąpiły, że więc takie błędy nie są przywiązane do instytucyi przysięgłych, ale są dowodem tylko, iż bezwzględna sprawiedliwość nie jest dziełem ludzkim.—Druga część zarzutu, uwalnianie winnych, najczęściej jest przytaczane w procesach prasowych i politycznych, a jednakże statystyka wy-

kazuje, iż repressya sądów przysięgłych jest znacznie większa nietylko w stosunku do dawnych prawodawstw inkwizycyjnych, ale nawet i do tych, które ulepszywszy postępowanie karne nie przyjęły sądu przysięgłych. Wreszcie największa ilość przykładów przez przeciwników przytaczanych była ocenianą tylko na mocy sprawozdań z postępowania, a nie z własnego ich udziału w wyrokowaniu, w skutek czego jest więcej wyrażeniem osobistego zdania na niedostatecznych źródłach opartego, aniżeli wyrazem opinii uzasadnionej.

Przeciwnicy twierdzą, że wyrokowanie w sprawie karnej jest czynnością rozumową, polegającą na logiczném rozważeniu i ocenieniu dowodów w sprawie wykrytych i przedstawionych. Sądy przysięgłych wyrokuja na wewnętrzném przekonaniu (*intime conviction*), t. j. na wrażeniach, które wynieśli z postępowania przed nimi odbytego. Wrażenia, uczucia, są nieokreślone, wypadkowe, a więc i wyrzeczenie przysięgłych, oparte na takich danych, musi być tylko przypadkowe, nie oparte na czynności rozumowej. Czemże były sądy boże dziś wyśmiane i za barbarzyńskie osądzone? czyliż one nie polegały na wypadkowém, od rozumu niezależném ocenianiu winy podsądnych. Sądy téż przysięgłych są wznowieniem sądów bożych, lecz w innéj formie: dawniej mniemano, że bóstwo dla wykrycia prawdy wstrzyma zwykłe działanie sił natury, że np. ogień nie sparzy, a dziś sądzą, iż wewnętrzne przeświadczenie może zapewnić sprawiedliwy wyrok.

Zarzut oceniania winy przez przysięgłych na podstawie wewnętrznego przekonania (*intime conviction*), odnosi się tylko do urzędów francuzkich. Angielskie jury wyrokuja na zasadzie *rules of evidence*, biorąc za podstawę wyrzeczenia przedstawione dowody, których prawną wartość oceniają podług prawideł wyrobionych przez naukę i praktykę sądową. Nawet nowe prawodawstwo ruskie nakazuje im wyrokować na zasadzie przedstawionych dowodów, a lubo nie objęło zasad oceniania dowodów do projektu przyłączonych, zostawiając wyrobienie ich nauce i praktyce sądowej, jednakże już temu zarzutowi podlegać nie może, bo nie przyjęło francuzkiego *intime conviction*. Prócz tego zarzut ten nie

odnosi się wprost do instytucji sądu przysięgłych, lecz w ogóle do wyrokowania na zasadzie wewnętrznego przekonania, a więc i do sądów państwowych we wszystkich prawodawstwach, w których prawna teoria dowodów zniszczona została. Lecz zarzut ten i o ile dotyczy przysięgłych jest niesłuszny. Przysięgli nawet na zasadzie wewnętrznego przeświadczenia wyrokujący odbywają narady przy ocenianiu winy podsądnego; czyż narada może być uczuciową? czyż ona może nie być rozumową i nie polegać na rozbiórce przedstawionych dowodów?—Tylko przepisy nakazujące tajemne głosowanie przysięgłych wydane we Francji, znosząc niejako naradę, podlegają zupełnie temu zarzutowi; lecz przepisy te nie mogą nigdy być uważane za zgodne z instytucją przysięgłych, a tém mniej za wypływające z jej istoty. Zarzut więc powyższy lubo bardzo szumny, odnosi się tylko do jednego przepisu stanowiącego tajemne głosowanie; lecz i tam nawet nie jest wielkiej doniosłości; ogół bowiem wyroków we Francji nosi na sobie charakterystykę sprawiedliwości, czego o sądach bożych w żaden sposób powiedzieć nie można.

Zarzucają sądowi przysięgłych, że opierając wyrok na wewnętrznym przeświadczeniu, nie zabezpiecza dostatecznie podsądnego, gdyż nie nadaje mu środków dalszej obrony.

Brak środków dalszej obrony, a mianowicie odwołania się do wyższej instancji, jest jeszcze słabszym zarzutem. Czy appellację w sprawach karnych w ogóle za środek obrony dla podsądnego uważać można, szczególnież wtedy gdy upatrujemy rękojmię dla podsądnego w liczniejszym komplecie sądów wyższych, oraz w tém, iż sądy apelacyjne są obsadzone zdolniejszymi i doświadczeńszymi prawnikami? Dla czego by tych rękojmi nie dać podsądnemu już 1ej instancji? Są to kwestye, których wybór przechodzi ramy naszego wykładu. Dla nas wystarcza uwaga, że w sądzie przysięgłych odpowiednio urządzonych podsądny znajduje tyle rękojmi, że sprawiedliwie będzie osądzony, iż w zasadzie środki dalszej obrony są zbyteczne; że dla wypadków w których rzeczywista jest potrzeba środków dalszej obrony, najczęściej zdarzających się z powodu nieodpowiednich przepisów ustawy karnéj, wszystkie prawodawstwa środki takie

wskazują; niedostateczność ich zaś wykazywana przez przeciwników instytucji przysięgłych, nie stanowi zarzutu przeciw sądowi przysięgłych, lecz tylko przeciwko odnośnym przepisom prawodawstw.

Trudności przy złożeniu sądu przysięgłych napotykane, różność i wady systematów prawodawczych przy określeniu zdolności do sprawowania urzędu przysięgłego, dały także przeciwnikom oręż do walczenia przeciwko instytucji przysięgłych. Każdy systemat poddawano krytyce i wykazywano, że prawodawstwa dopuszczające mniejszą ilość osób do sprawowania obowiązków przysięgłego, grzeszą udzielaniem przywileju jednej klasie społeczeństwa, przez co odejmują sądowi przysięgłych charakterystykę ludowego wymiaru sprawiedliwości; te zaś, które rozszerzają prawo, być przysięgłym do wszystkich obywateli samoistnych w państwie, nie stawiają rękojmi, iż tylko zdolni i niezależni zasiadają ławę przysięgłych. Zarzuty te były łączone z powoływaniem się na przykłady historyczne, szczególnież sądów przysięgłych wielkiej rewolucyi we Francyi, któremi starano się wykazać że sądy przysięgłych nie stanowią rękojmi bezstronności wyroków, iż przysięgli więcéj jeszcze jak sędziowie państwowi podlegli są wpływowi rządu z jednej, a opinii publicznej z drugiej strony; że przeto nie dadzą się pogodzić z zasadą sprawiedliwości, na której powinien się budować wymiar kary.

Trudności przy obsadzaniu ławy przysięgłych nie są jednak takiej doniosłości, jak twierdzą przeciwnicy; odpowiednio bowiem zastosowany system układania listy służbowej przysięgłych, w znacznej części je usuwa. Niezależność zaś przysięgłych nie może być oceniana podług przykładów rewolucyi 1789 r., bo przeciwko nim można postawić przykłady z praktyki angielskiej wspierające wprost przeciwne zdanie. Niezależność przysięgłych najwięcéj jest zabezpieczona od wpływu rządu prawem wyłączeń służącym stronom w każdej szczególnej sprawie. Zarzuty więcé o poddawaniu się przysięgłych pod takie wpływy dotyczą tylko przepisów prawo wyłączeń określających, które powinno być stronom nadane na najobszerniejszych zasadach na wzór Anglii. To

zaś co przeciwnicy nazywają wpływem opinii publicznej jest właściwie przypuszczeniem stronniczego usposobienia w przysięgłych za lub przeciwko podsądnemu; lecz i tu prawo wyłączeń przez prokuratora i podsądnego wykonywane stanowi rękojmię, że tylko bezstronni sądzić będą, a wreszcie przepis, iż wyrażenie przez przysięgłego jakiegokolwiek zdania dotyczącego się sprawy przed wyrzeczeniem co do winy podsądnego, wyłącza go z ławy przysięgłych, usunie zupełnie powyższą obawę.

Przepisy odnoszące się do odbywania narad przez przysięgłych były także przedmiotem krytyki przeciwników. Wykazywali oni, że odbywanie narad przez przysięgłych oddaje losy podsądnego w ręce jednego z nich, który jest najzdolniejszy, a przynajmniej najwymowniejszy, inni bowiem nie wprawni w ocenianie winy pójdą chętnie za zdaniem zbudowanym nawet tylko na pozornych ale wymownie przedstawionych powodach, choćby sami początkowo innego byli zdania. Przeciwnicy wykazywali również, że usunięcie narady przysięgłych spowoduje częste uwalnianie winnych, gdyż przysięgły, który nie zauważył jakiej ważnej okoliczności w postępowaniu głównym, albo nie może ocenić dokładnie wzajemnego stosunku przedstawionych dowodów, w niepewności, za najlepszy środek uwolnienia się od przykrego obowiązku oceniania winy, uważać będzie uwolnienie podsądnego. W ten sposób starali się oni wykazać, iż oba systemy nie prowadzą do celu i nie przedstawiają rękojmi, aby przysięgli mogli budować swe wyrzeczenie na dokładnym ocenieniu winy podsądnego.

Drugie zdanie z wyżej przytoczonych zdaje się być w zasadzie usprawiedliwionem, wiadomo bowiem, iż ocenienie przedmiotu z możliwą dokładnością tylko przez dyskusję osiągnięte być może. Lecz pierwsze zdanie nie ma podstawy, gdyż wpływ najzdolniejszego z pomiędzy przysięgłych nie spowoduje złego rezultatu, owszem przyczyni się do odpowiedniego ocenienia winy podsądnego; wpływ zaś wymownego nie może być uważany za tak stanowczy, aby miał być powodem fałszywego wyrzeczenia. Rozprawy przysięgłych noszą zawsze taki sam charakter jak i rozprawy każdego zbiorowego ciała, z tą tylko różnicą, że objaśnienia przez

prezylującego w ostatecznym przemówieniu udzielane, ułatwiają przysięglým rozwiązanie zadania. Praktyka też wykazuje, że już w samém postępowaniu zadawane przez przysięglých pytania, przeświadczaą o gruntowném rozumówóm ocenianiu przedstawionych dowodów, oraz że ich narady takież na sobie noszą charakter. Uwagi przeto przeciwników w pierwszym zdaniu objęte, za nieuzasadnione uważać należy.

Dotychczasowe uwagi przekonywają nas o zasadniczej prawdzie, że każda instytucya prawna zmienia swoje znaczenie, gdy zostanie przeniesiona w inne warunki: miejsca, czasu, stopnia rozwoju materyalnego i umysłowego, stopnia moralności społecznej i t. p. Sądy przysięglých potwierdzają najwybitniej to zdanie. Z Anglii przeniesione do Francyi zupełnie nową stały się instytucją, a nawet i francuzkie na gruncie historycznym nie oparte, przeniesione do innych krajów Europy, różną przedstawiają charakterystykę.

Ta uwaga usprawiedliwia dwa następujące zdania:

Dla dobrego przejawiania się każdej nowo wprowadzonej instytucyi prawnej niezbędne są pewne warunki społeczne i prawne, które stanowią rękojmią, iż instytucya ta będzie mogła dobrze funkcyonować, że przeto, wprowadzenie sądu przysięglých wymaga w konsekwencyi: istnienia, lub też wytworzenia takich warunków, któreby ułatwiły dobrą działalność przysięglých, a z drugiej strony usunięcia wszystkiego, coby tę działalność utrudnić lub uniemożliwić mogło.

Jako wpływ poprzedniej uwagi możemy również powiedzieć, że ocenienie znaczenia instytucyi przysięglých dla danego kraju może mieć miejsce tylko przy rozważeniu jego rozwoju historycznego, społecznego i ekonomicznego, przy ocenieniu stopnia oświaty i moralności narodu, przy zwróceniu uwagi na warunki przestrzeni, klimatu i t. p.; wszystkie bowiem te warunki składają się na odpowiedź, że sądy przysięglých mogą, lub też nie mogą być odpowiednią formą oceniania winy podsądnych.

Pomimo tego, że sąd przysięglých na stałym lądzie w bardzo nieprzyjaznych dla każdej prawnej instytucyi okolicznościach wprowadzony został, doświadczenie

i praktyka sądowa przekonały, że przysięgli ogólnie bardzo dobrze obowiązki swe sprawują, (jak to wykazuje znakomite dzieło *Mittermaier'a* (1) przedstawiające spostrzeżenia z praktyki sądów przysięgłych we wszystkich krajach Europy i Ameryki), pomimo że prawodawstwa w ogóle nie starały się wytworzyć warunków mogących zabezpieczyć dobre przejawianie się ich działalności. Doświadczenie to bezwątpienia bardzo stanowczo przemawia na korzyść sądu przysięgłych i powinno by pobudzić prawodawców do usunięcia przeszkód i ułatwienia możliwości osiągnięcia tak pożytecznych rezultatów.

Najgłówniejsze warunki, które taki skutek przynieść mogą, oraz które stanowczo wpływają na odpowiedź co do wprowadzenia sądu przysięgłych w danym kraju, są następujące:

1. Wykształcenie rozwinięte we wszystkich klassach społeczeństwa, bez niego bowiem prawo być przysięgłym stanie się udziałem jednej tylko warstwy społeczeństwa, w skutek czego sąd przysięgłych straci charakter ludowy.

Wprawdzie spotykamy ludzi, którzy i bez nauki szkolnej mają szczególne zdolności i nadzwyczajną łatwość oceniania stosunków życia praktycznego, a nawet i pobudek działań ludzkich (2), jednakże jest pewnem, że wykształcenie elementarne daje środki rozwinięcia tych zdolności, możliwość rozszerzenia wiadomości, i ustalenia sądu o rzeczach, o ludziach i ich czynach. Ponieważ zaś takich wymagamy warunków od każdego mającego być przysięgłym, o tyle więc instytucya przysięgłych może przybrać charakter ludowego wymiaru sprawiedliwości karniej, o ile ogół ludności posiada środki odpowiedniego uzdolnienia się, a więc o ile przynajmniej elementarne posiada wykształcenie.

2. Przyzwyczajenie obywateli do zajmowania się ogólnemi interesami, bo to zapewni legalną działalność przysięgłych.

(1) *Erfahrungen über die Wirksamkeit der Schwurgerichte in Europa u. Amerika, über ihre Vorzüge, Mängel und Abhülfe.* Erlangen 1864 — 1865.

(2) Niektóre sądy gminne w naszym kraju mogą służyć za najbliższy dowód.

Aby obywatele zrozumieli znaczenie i ważność nowo na nich wkładanych obowiązków, aby je chętnie spełniali i ponosili nierozłączne z niemi ciężary i straty, potrzeba, aby byli przyzwyczajeni do zajmowania się ogólnemi interesami, w przeciwnym bowiem razie instytucya przysięgłych już dla tego dobrze funkcyonować nie będzie mogła, że obywatele będą dla niej niechętni, będą te nowe obowiązki jako ciężar, a nie jak prawo im nadane uważać, a zatem używać wszelkich środków, aby się od tych obowiązków w jakikolwiek sposób uwolnić.

3. Niezbędnem jest, aby stan sędziów nie wyłączał się z narodu, lecz aby stał w narodzie, i był zupełnie niezależnym od postronnych wpływów.

Zauważyliśmy poprzednio, że przysięgli odbywają swe czynności wspólnie i pod kierunkiem sądu państwowego, który już to kierowaniem postępowania, już to postanowieniami co do pojedynczych międzyspornych pytań, w postępowaniu się wywiązujących, już to sformułowaniem pytań, a szczególnie objaśnieniami udzielanemi w ostatecznym przemówieniu prezydującego, stanowczo wpływa na obrady i wyzroczenia przysięgłych. Jeżeli przeto sędziowie państwowi stają po nad narodem, jeżeli ulegają jakim bądź wpływom; jeżeli wreszcie są tylko niechętni dla sądu przysięgłych: to już z tego powodu, w wielu wypadkach, przy najlepszych chęciach, najzdolniejsi nawet przysięgli, przejęci w zupełności pojęciem potrzeby utrzymania porządku społecznego i realizacyi prawa, mogą być w błąd wprowadzeni, i zamiast przyczyniać się do dobrego wymiaru sprawiedliwości karnej, wprost przeciwne skutki swęj działalności w pojedynczych wypadkach przedstawiać mogą. Gdzie kierunek zły, gdzie instrukcyja sprawy niewyczerpana, lub źle prowadzona, tam i przysięgli nieodpowiednio wyrzekać mogą. Niezbędni więc są dobrzy i niezależni sędziowie, i tych albo zastać, albo dla wprowadzających się sądów przysięgłych wytworzyć potrzeba.

4. Ważnym warunkiem dobrego pojawiania się instytucyi przysięgłych są szczęśliwe polityczne i religijne stosunki kraju.

Zauważyliśmy jak epoka wprowadzenia sądu przysięgłych we Francyi oddziaływała na tę instytucyę, jak ją wy-

rodziła; Irlandya zaś posłuży za przykład jaki wpływ wywierają na sądy przysięgłych nienormalne stosunki wyznań w państwie, i usprawiedliwi wyż rzeczony warunek. Myliłby się jednak, ktoby mniemał, iż tylko stosunki polityczne i religijne Anglii mogą zabezpieczyć dobre pojawianie się sądu przysięgłych. Doświadczenie uczy, że tylko kolosalne anormalności polityczne i religijne, jak np. wielka rewolucya francuzka, prześladowania katolików w Irlandyi jeszcze przed niedawnym czasem i t. p. stanowczy wpływ na sądy przysięgłych wywierają; mniej ważne przeszkody, np. partie polityczne, znaczna liczba obywateli wyznania Mojżeszowego i t. p. nie wpływają na wymiar sprawiedliwości, jeżeli pojęcia prawne są w narodzie rozwinięte.

To są warunki ogólne, stanowczy wpływ na przejawianie się instytucji przysięgłych wywierające, ale nie jedyne. Aby przysięgli mogli dobrze funkcyonować, potrzeba jeszcze pewnych warunków proceduralnych, trzeba aby postępowanie i kodex karny były zastosowane do wprowadzanej instytucji. Na te warunki najmniej zwracano uwagi przy wprowadzaniu sądu przysięgłych w wielu państwach stałego ładu; i właśnie pominięciem tych warunków spowodowano nieodpowiednią nieraz działalność przysięgłych. Praktyka sądowa wielu państw niemieckich przekonywa o tém najlepiej. Chcąc uniknąć podobnych błędów, potrzeba zwracać uwagę na następujące przynajmniej, które tu wyliczamy.

5. Przepisy odnoszące się do obsadzania ławy przysięgłych, na najobszerniejszych gruntując się podstawach, powinny zabezpieczyć wybór przysięgłych zupełnie niezależnie od wpływów rządu i stronnictw politycznych.

Sąd przysięgłych z jednej strony musi mieć charakterystykę ludowego wymiaru sprawiedliwości karnój, wymaga więc, aby jak największa ilość obywateli miała prawo brać udział w sądzeniu spraw karnych: z drugiej strony niezbędném jest, aby na ławie przysięgłych tacy tylko zasiadali obywatele, którzy odpowiadają wyż wymienionym warunkom (1), a przeto z uprawnionych należy wybierać do speł-

(1) Patrz. str. 204 i 205.

niania tego obowiązku tylko najzdolniejszych. Przepisy więc odnoszące się do obsadzania ławy przysięgłych, powinny największą ilość obywateli uprawomocniać do sprawowania obowiązków przysięgłego, i zabezpieczać z drugiej strony, aby tylko najzdolniejsi wyrzekali o winie podsądnych. Sprawiedliwość jednak mają wymierzać najzdolniejsi, słusznem więc jest, aby ocenienie tego, kto jest najzdolniejszym nie pozostawiano w takich rękach, które mają lub mogą mieć jakikolwiek interes w wymiarze sprawiedliwości karniej. Wszelkie wpływy rządu, partyj politycznych i t. p. przy ocenianiu, kto jest najzdolniejszym, powinny być bezwarunkowo wyłączone, bo one, wyrażając stronność, odejmują rękojmię sprawiedliwego wyrzekania, i dla tego niezbędnem jest, aby przy wyborze na przysięgłych wyłączony został wszelki wpływ rządu, partyi politycznych i t. p.

6. Prawo wyłączeń powinno być udzielone podsądnemu na najobszerniejszych zasadach, tak aby miał zupełną rękojmię bezstronności sędziów.

Warunek ten jest niezbędny dla ugruntowania w narodzie i podsądnym przeświadczenia o zupełnej bezstronności wyrokujących. Praktyka angielska wykazuje, że podsądni w ogóle bardzo rzadko tego prawa używają, że jednakże zdarzały się wypadki, w których zastosowanie prawa wyłączenia całej listy przysięgłych uwolniło od stronnego wyrokowania.

7. W postępowaniu karném śledztwo powinno być ustne i jawne, oraz mieć znaczenie tylko przygotowawcze, tak, aby wpływ jego na postępowanie główne nie wprowadzał w błąd przysięgłych.

Śledztwo w inném znaczeniu pojęte (inkwizycyjne) i w innych odbywane formach (piśmienne i tajemne), albo zmienia znaczenie postępowania głównego i zły wpływ na przysięgłych wywiera, jeśli rezultaty jego będą w postępowaniu głównem użyte; albo téż staje się zbyteczną częścią postępowania, nadaremnie sprawy przedłużającą. Śledztwo ma tylko wykazać: czy czyn zaskarżony miał miejsce; czy nosi na sobie charakterystykę przestępstwa; czy i jakie walcą przeciw obwinionemu dowody; wreszcie ma zabezpieczyć stawiennictwo oskarżonego w razie istnienia dowodów wykazujących prawdopodobieństwo winy. Osiąganie zaś dowodu

winy, albo nawet dążenie do uzyskania tego rezultatu wkra-
cza w sferę czynności postępowania głównego i nadaremnie
przewleka postępowanie. Jeżeli zaś osiągnięte w tej części
takie rezultaty, będą użyte podczas postępowania głównego,
to przysięgli: albo będą opierali wyrzeczenia na dowodach,
których ocenić nie będą mogli, jako przedstawianych z dru-
giej ręki; albo zupełnie na nie uwagi zwracać nie będą,
co wprawdzie uchroni ich od błędów, ale wykaże bezuży-
teczne użycie czasu poświęconego na przedstawianie rezul-
tatów śledztwa. Śledztwo przytém powinno się odbywać
ustnie, bo tylko przy ustnie przedstawionym obwiniającym
dowodzie można się przekonać o jego sile, a oskarżonemu
dać sposobność osłabienia go odwozem, lub objaśnieniami;
i jawnie, bo takie postępowanie wzbudzi ufność w oskar-
żonym i narodzi, że niewinny ukarany, ani nawet pocią-
gany do odpowiedzialności nie będzie, oraz przyczyni się
niejednokrotnie do wykrycia nowych środków dowodu sta-
nowczo sprawę wyjaśniających.

8. Postępowanie główne powinno się opierać na akcie
oskarżenia, tak, aby tylko to przestępstwo i przeciw temu
podsądnemu było przedmiotem wyroku, które było określone
w akcie oskarżenia.

Zachowanie tego warunku znakomicie ułatwi zadanie
przysięgłych, dozwoli im bowiem odrazu wyciągać z postę-
powania wszystko, na czém swe wyrzeczenie oprzć mają.
Nie zastosowanie się zaś do tego wymagania rozrywa uwagę
przysięgłych, którzy nie wiedząc stanowczo o co chodzi
w danej sprawie, z nagromadzonych okoliczności, łatwo mogą
pominąć te właśnie, które na ich wyrzeczenie stanowią
wpływ wywrzć mogą i powinny. Przyjęcie jednak tego
warunku nie wyłącza bynajmniej możności udzielenia przy-
sięgłym prawa przyjmowania w wyrzeczeniu przestępstwa
niższą zagrożonego karą, pomimo to, iż przestępstwo tego
samego gatunku wyższą oznaczone karą w akcie oskarżenia
oznaczone zostało; np. akt oskarżenia obwinia o morderstwo,
przysięgli znajdują podsądnego winnym zabójstwa; akt oskar-
żenia obwinia o kradzież z włamaniem, przysięgli uznają
podsądnego winnym kradzieży prostej i t. p., gdyż dla oce-
nienia każdego z dwóch lub więcej przestępstw jednego
gatunku, przysięgli na jedne i też same okoliczności uwagę

zwracać muszą; —lecz wyłącza przyjęcie zupełnie innego przestępstwa: np. ktoś oskarżony o morderstwo, przedstawiony zaś dowód wykazuje, iż on tylko okradł trupa, którego spotkał; tu już przysięgli powinni uwolnić podsądnego w zarzucie morderstwa, a o kradzież powinno być przeprowadzone osobne postępowanie, przysięgli bowiem w podobnym wypadku łatwo mogą stracić z uwagi okoliczności do oceny dowodu winy w przestępstwie kradzieży służyć mogące, a przez to niesprawiedliwie wyrzec.

9. Postępowanie powinno być jak najprostsze, o ile możliwości, wypada unikać łączenia obwinień kilku podsądnych (łączność przedmiotowa), jakoteż rozpoznawania kilku zarzutów przeciw jednemu podsądnemu (łączność podmiotowa), a przede wszystkim dochodzenia kilku zarzutów przeciw kilku podsądnym (łączność przedmiotowo-podmiotowa), w jednej sprawie, tak, aby przysięgli całą swą uwagę na jeden tylko przedmiot zwracać mogli. Zastosowanie się do tego warunku nie będzie z niekorzyścią dla szybkiego wymiaru sprawiedliwości, a uwolni od procesów, w których zaledwie odszukać można jakie zeznanie do którego podsądnego się odnosi, w których przysięgłym po 1000 i więcej zadawano pytań. Zbytecznym jest objaśniać, że łączenie spraw w ten sposób nie może się przyczyniać, ani do dobrego, ani szybkiego wyrokowania.

10. Badanie podsądnego o tyle tylko może mieć miejsce, o ile służy do uniewinnienia się, w żadnym zaś razie nie może być uważane za środek udowodnienia mu przestępstwa (1).

11. Z postępowania głównego należy usunąć wszystko, co tylko przysięgłych w błąd wprowadzić może, a więc:

a) francuzkie *exposé* prokuratora, które rozpoczyna postępowanie dowodowe, a w którym prokurator uprzedzając mające się przedstawić dowody, grupuje je, charakteryzuje, wykazuje często zły charakter podsądnego, i t. p. środków używa, aby przysięgłych niekorzystnie uprzedzić przeciw podsądnemu. Takie *exposé* i przedłuża postępowanie i źle

(1) Miklaszewski: O stanowisku prezydującego w sądzie przysięgłych. Warszawa, 1867, str. 22 i nast.

na przysięgłych oddziaływa, a bynajmniej nie przyczynia się do wyjaśnienia prawdy, i dlatego wypada je bezwarunkowo usunąć.

b) przedstawianie dowodów, które łatwo w błąd wprowadzić mogą, nie przyczyniając się do wyjaśnienia sprawy, jak np. świadectwa ze słyszenia, wyrażające przeświadczenie świadka, że podsądnego uważa za zdolnego do spełnienia zarzuconego mu przestępstwa, przedstawianie takich dowodów, których sama ustawa nie uważa za środki o winie lub niewinności przekonać mogące, np. świadkowie informacyjni, (*Code d'instr. crim. art. 268, 269*) i t. p. (1), bezwarunkowo wyłączyć należy, gdyż użycie takich środków dowodu, nie wyjaśniając sprawy, przedłuża postępowanie, i łatwo może spowodować błędne wyrzeczenie (2).

c) wreszcie należy usunąć z postępowania przed przysięgłymi dochodzenie wynagrodzenia strat i szkód przez przestępstwo spowodowanych, gdyż mowy poszkodowanego (*partie civile*) często namiętne, łatwo przysięgłych w błąd wprowadzić mogą.

12. Niezbędnem jest zupełne urównanie praw stronom służących, tak aby podsądny miał rozlegle zabezpieczoną obronę, a prokurator (oskarżyciel) nie używał żadnych prerogatyw.

Każda przewaga praw prokuratorowi służących, utrudnia obronę, nie zabezpieczenie zaś podsądnemu najlepszych środków obrony; daje sprawę poznać z jednej tylko strony: jednostronne poznanie czynu nie dozwoli wymierzyć sprawiedliwości, która musi być bezstronna; i dlatego to zupełne urównanie praw stronom służących, jako zabezpieczające sprawiedliwość wyrzeczeń, jest konieczne.

13. Odpowiednie przedstawienie i najdokładniejsze wyjaśnienie użytych w postępowaniu dowodów, może jedynie zabezpieczyć dokładne ocenienie sprawy, a więc być podstawą sprawiedliwego wyrzeczenia. Odpowiednio przedstawiać i dokładnie wyjaśniać może tylko ten, kto ma najlepsze wiadomości o dochodzonem zdarzeniu. Któż zaś może

(1) *Miklaszewski*: O stanowisku prezydującego w Sąd. Prz. Warsz. 1867, str. 58 i nast.

(2) *Miklaszewski*: tamże str. 51.

lepiej z czynem być obznajomiony jak ten, który go sam spełnił (podsądny); oraz ten komu na tém najwięcej zależy, aby zarzucone przestępstwo udowodnił (oskarżyciel)? — Strony więc mogą tylko stosownie do wymagań przedstawiać i objaśniać dowody, — na nie więc tę czynność włożyć wypada. Ponieważ jednak strony zbyt są interesowane, a przeto i od nadużyć nie zabezpieczone, przeto wypada tę działalność stron oddać pod nadzór sądu państwowego, prezydującego. Za bardzo też ważne wady prawodawstw stałego ładu, uważać należy, włożenie na prezydującego obowiązku przedstawiania, a nawet tworzenia nowych dowodów do wyjaśnienia sprawy służyć mogących, które to czynności z jego sędziowskim charakterem zupełnie pogodzić się nie dadzą. Dowody przedstawiać i wyjaśniać powinny strony pod nadzorem prezydującego (1).

14. Wyrzekanie o winie lub niewinności jest czynnością rozumową opierającą się na ocenieniu wartości każdego z przedstawionych dowodów w szczególności, oraz wytworzeniu przekonania z ogółu przedstawionych i tak ocenionych dowodów. Przysięgli przychodzą do przekonania przy pomocy wyjaśnień udzielanych przez strony i prezydującego, wszystkie też mowy do wyjaśnienia zebranego materiału posługujące, powinny być rozumowem ocenieniem przedstawionych dowodów, i dlatego też mowy prokuratora (oskarżyciela) i obrońcy podsądnego nie na efekt, nie na to winny być obrachowane, aby oddziaływać na uczucia i wrażenia przysięgłych, jak to ma miejsce we Francji; lecz mają być rozumowem ocenieniem przedstawionych dowodów; — ostateczne zaś przemówienie prezydującego powinno mieścić w sobie wskazówki i zasady przez naukę i praktykę wyrobione do oceniania wartości dowodów posługujące, i wskazywać wątpliwości jakie sprawa, będąca przedmiotem postępowania, przedstawia (2).

15. Przysięgli, oceniając winę podsądnego, winni wyrzekać jednomyślnie, odpowiadając wprost na akt oskarżenia, lub przynajmniej o ile możności, na najmniejszą

(1) Przedmiot ten wyjaśniłem w wyż powoływanej rozprawie: „*O stanowisku prezydującego w Sądzie Przysięgłych.*” Warszawa. 1867.

(2) *Miklaszewski*: Tamże str. 73 i nast.

ilość zapytań, których znaczenie i wzajemny stosunek powinien być dokładnie wyjaśniony.

Gdzie tylko jest większość, tam musi być mniejszość; gdzie zaś jest mniejszość, tam jest wątpliwość; chcąc zaś aby wyroki były sprawiedliwe i wzbudzały ufność w narodzie i podśadnym, potrzeba, aby przekonanie na których się budują nie wykazywało żadnej wątpliwości. Jednomyślne tylko przyjęcie winy przeświadczyć może, że dowody zupełnie są przekonujące, że nie przedstawiają żadnej rozumnej wątpliwości, że przeto wyrzeczenie jest sprawiedliwe, i dlatego żądamy jednomyślności, która w Anglii a nawet w niektórych prawodawstwach stałego ładu przyjęta została za zasadę wyrzeczeń przysięgłych. — Francuzka teoria, że przysięgli są sędziami faktu, która poprowadziła do rozkładania pojęcia przestępstwa na liczne zapytania, z których każde mieściło jedną faktyczną oznakę czynu przestępnego jako błędna, ani w teorii usprawiedliwić się nie daje, ani w praktyce przeprowadzoną być nie może, a to dla niemożności rozdzielenia w bardzo wielu wypadkach pytania faktu od pytania prawa, np. konieczna obrona, czy pytanie faktyczne czyli też prawne? Przysięgli powinni oceniać całe pytanie winy, a więc nie tylko wyrzekać, że fakt miał lub nie miał miejsca; lecz jeżeli istniał mają oceniać jego prawną kwalifikacyą t. j. wyrzec czy i jakiemu pojęciu przestępstwa fakt ten odpowiada; np. podśadny oskarżony o wzięcie jakichś przedmiotów poszkodowanemu; przysięgli mają odpowiedzieć czy fakt wzięcia został przez podśadnego spełniony, oraz prawnie zcharakteryzować ten czyn, t. j. wyrzec czy to jest rabunek, kradzież, i jaka, samowolne przywłaszczenie i t. p. Tak określwszy obręb władzy przysięgłych unikamy i drobiazgowych pytań, które poprzednio we Francyi przysięgłym zadawano, i albo nakażemy im odpowiadać wprost na akt oskarżenia jak w Anglii, albo też tylko na pytania mieszczące w sobie główne składowe części pojęcia o przestępstwie.

16. Bardzo ważnym warunkiem, na który jednak najmniej zwracali uwagi prawodawcy stałego ładu, jest zastosowanie ustawy karniej do nowo wprowadzanej instytucji przysięgłych.

Dzisiejsze ustawy karne oparte na nauce prawa karnego mieszczą wiele pojęć oderwanych, czerpanych wprost z nauki, wiele określeń naukowych, oraz zbyt teoretyczny rozdział kategorii przestępstw, tak, iż zrozumienie tych przepisów, a tém więcej ich stosowanie jest dostępne tylko dla fachowo wykształconych prawników. Przysięgli nie są obowiązani znać nauki prawa, przepisy więc takie, dla nich niezrozumiałe, a jednak w pytaniach pomieszczane, łatwo ich w błąd wprowadzić, a przez to niesprawiedliwe wyrzeczenie spowodować mogą. Ustawa powinna odpowiadać wyobrażeniom społeczeństwa, dlań bowiem jest pisana, i dlatego też żądamy, aby była napisana zrozumiale. Ustawa karna jednak oprócz określenia przestępstw mieści także sankcję prawa, t. j. oznacza za każde przestępstwo odpowiednią karę. Lubo przysięgli nie biorą żadnego udziału przy wymiarze kary, jednak doświadczenie uczy, że w wypadkach gdy ustawa zbyt srogie oznacza kary, tak że wymiar podobnej kary oburza społeczeństwo, przysięgli albo uwalniają podsądnego, opierając się na najsłabszych wątpliwościach, albo też bezzasadnie przyjmują okoliczności winę zmniejszające (*circonstances atténuantes*), aby tylko uniknąć wymiaru zbyt srogięj kary. Ustawa karna jest i być powinna wyrazem pojęć społeczeństwa w daną chwilę, czerpie je bowiem ze społeczeństwa, i dlatego też wymagamy, aby ustawy nie używały takich rodzajów kary, które są uznane przez społeczeństwo jako niesprawiedliwe, np. kara śmierci, piętnowanie i t. p., oraz, aby w oznaczeniu innych kar był pozostawiony sądowi dostateczny przedział pomiędzy minimum i maximum kary, tak aby wymiar jej do każdego pojedynczego wypadku mógł być odpowiednio stosowany.

Prawo karne zabezpiecza porządek społeczny wymiarem sprawiedliwości, aby zaś temu celowi zadość czyniło, musi o tyle tylko znajdować zastosowanie, o ile w każdym pojedynczym wypadku zostało naruszone bezpieczeństwo społeczne, i o ile obywatel dopuścił się przestępstwa. Czyny naruszające bezpieczeństwo społeczne mogą być i są różne odnośnie do miejsca i czasu. To, co się uważa w jednem społeczeństwie za naruszenie bezpieczeństwa i porzą-

dku, w drugim jest czynem przez prawo dozwołonym, a nawet zalecanym, np. wielożęństwo. Nawet i w tém samém społeczeństwie pojęcia o bezprawiu zmieniają się; np. dawniej w Europie czary uważano za przestępstwo, któżby się dziś o taki czyn oskarżył, a cóż dopiero ukarać ośmielił? Ustawy więc karne jeśli mają odpowiednio, stosownie do potrzeb danego społeczeństwa oceniać, o ile czyn narusza porządek społeczny, muszą bezwarunkowo czerpać pojęcia z danego społeczeństwa. Któż zaś może dokładniej oceniać i stosować przepisy będące odbiciem pojęć społecznych, jak sami obywatele? Prócz tego stosowanie ustawy karnej jest uwarunkowane ocenieniem, czy podstępny dopuścił się przestępstwa. Dla rozważenia tego pytania nie dość jest sprawdzić, czy czyn zaskarżony miał miejsce; lecz trzeba zbadać, czy był spełniony pod wpływem złej woli działającego. Stopień złej woli, pobudki bezprawne, które charakteryzują czyn przestępny, przez kogoż mogą być lepiej oceniane jak przez współobywateli?

Lecz z drugiej strony rozwój historyczny pojęć o czynach bezprawnych nie jest zbyt pośpieszny, wieki wyrabiają pojęcia, niepodobna więc z wyż rzeczonych powodów oddać wymiaru sprawiedliwości w ręce samych tylko obywateli, gdyż nie zabezpieczylibyśmy świętości ustawy, i ocenienie każdego pojedynczego faktu oddalibyśmy władzy prawodawczej, służącej społeczeństwu, które albo nie zachowywałoby zasady, że tylko czyn zakazany ustawą może być karany, (*nullum crimen, nulla poena sine lege poenali*), albo też odjęlibyśmy możność karania przestępców. Dla zachowania więc ustawy karnej, która dopóki nie zostanie zmodyfikowaną lub zmienioną na drodze prawodawczej, jest wyrazem porządku społecznego w danej chwili, niezbędny jest przy wymiarze sprawiedliwości karnej element stały, reprezentujący i naukowo oceniający ustawę karną: element ten znajdujemy w sądach państwowych.

We współdziałaniu więc tych dwóch czynników możemy znaleźć zabezpieczenie należytego stosowania zasad prawa karnego, a ponieważ sądy przysięgłych są właśnie jedną z form odpowiadających tym warunkom, możemy więc twierdzić, że sądy przysięgłych są jedną z form zabezpieczających najlepszy wymiar sprawiedliwości karnej.

Przy takiem znaczeniu sądu przysięgłych, instytucja ta przynosi jeszcze następujące korzyści:

1. Sąd przysięgłych jest w stanie dać podsądnemu rękojmię, że tylko przez zupełnie bezstronnych sędziów obwinienie jego oceniane będzie, a mianowicie z dwóch powodów: najprzód dlatego, że tylko przy współudziale przysięgłych można oprzeć wyrok na znacznej ilości głosów; powtórę dlatego, że tylko przy jej formie sądenia można udzielić podsądnemu obszerne prawo wyłączania sędziów bez przytoczenia powodów. Sądy państwowe nie mogą przedstawić nigdy tych korzyści, gdyż obsadzenie większą ilością członków sądu wyrokującego, pociągałoby za sobą wielkie wydatki, a gdyby i ta trudność pominięta została, to przecież prawa wyłączania sędziów państwowych bez przytoczenia powodów nie można pozostawić podsądnemu, bo to byłoby sprzeczne ze znaczeniem sędziów państwowych.

2. Wyrokowanie z przysięgłymi wzbudza bez porównania większe zaufanie w sprawiedliwość wyroków w podsądnym i społeczeństwie, aniżeli sądenie spraw karnych wyłącznie przez sędziów państwowych. Nie można wprawdzie twierdzić, aby wyrokowanie z przysięgłymi koniecznie musiało wzbudzać większe zaufanie, gdyż przy złém urzędzeniu tej instytucji wyrzeczenia przysięgłych mogą być w narodzie znienawidzone; lecz praktyka europejska wykazuje, że dziś nawet przy wszystkich wadach organizacji przysięgłych, wyroki na ich wyrzeczeniach oparte większe znajdują poszanowanie w narodzie, niż wyroki sędziów państwowych.

3. Ustność dopiero w sądzie przysięgłych należycie może być przeprowadzoną. Sędziowie państwowi obeznani z aktami każdej sprawy, zawsze ulegają ich wpływowi, i opierają swe wyroki nie tylko na samych bezpośrednio przedstawionych w czasie głównego postępowania dowodach, gdy przysięgli nie mając wiadomości z akt śledczych, swe wyrzeczenia tylko na takich dowodach opierać muszą. Znaczenie ustności dla postępowania w sprawach karnych tak ogólnie jest już uznane, że zbytecznem byłoby bliżej jej zalety wykazywać.

4. Połączenie sędziów państwowych z przysięgłymi zapewnia wymiar najwyższej możliwej dla człowieka sprawic-

dliwości. Pojęcia bowiem o przestępstwie oderwane, oparte na literze prawa stanowionego, reprezentowane przez sędziów państwowych, są modyfikowane zmieniającem się odpowiednio do rozwoju towarzyskiego, żywem pojęciem społeczeństwa, reprezentowanem przez przysięgłych. To okazuje się szczególnie przy ocenianiu stopnia winy, dowodu ze zbiegu okoliczności i t. p.

5. Tylko wprowadzeniem przysięgłych możemy się uwolnić od wyrokowania na zasadzie prejudykatów. Sędziowie bowiem państwowi, nawet pomimowolnie wyrabiają przez praktykę systemat oceniania pojedynczych wypadków, naciągając je pod prawidła z rozbioru podobnych faktów wytworzone. Każdy czyn człowieczy nosi na sobie indywidualną charakterystykę, i może być oceniony sprawiedliwie tylko po zupełnem odosobnieniu go od wszystkich jemu podobnych. To indywidualizowanie wypadków osiągamy za pośrednictwem sądu przysięgłych, prejudykаты bowiem wyrobić się nie mogą, dlatego, że przysięgli tylko do wyrzekania w pojedynczych sprawach są powoływani.

Oprócz tych głównych prawnych korzyści, sądy przysięgłych przynoszą i korzyści polityczne, które jednakże są tylko drugorzędne, bo same przez się nie mogłyby przeświadczyć o wartości i usprawiedliwić tej instytucji. Wiążą się one z sądem przysięgłych tak, jak i z każdą instytucją prawną, każda bowiem przynosi pewne korzyści polityczne.

1. Współudział przysięgłych w postępowaniu karném rozprzestrzenia zdrowe pojęcia prawne w społeczeństwie, umacnia więc trwałą podstawę życia społecznego. Wprawdzie korzyść tę osiąga się w wysokim stopniu przez jawność postępowania; lecz i współudział przysięgłych przyczynia się do tego, z tego szczególnie względu, że przysięgli czynnie w procesie występują.

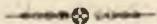
2. Przysięgli rozszerzając zdrowe pojęcia prawne wpływają i na zmniejszenie ilości przestępstw w ogóle, jak to statystyka wykazuje, co także nie jest bez znaczenia.

3. Sędziowie państwowi choć zupełnie niezależni, zawsze mogą ulegać rozmaitym wpływom,... Wprowadzenie instytucji przysięgłych neutralizuje te wpływy, bo przysięgli

nie mogą im podlegać, i dlatego też mniemamy, że instytucja przysięgłych stanowczo wpływa na urzeczywistnienie zasady niezależności sądów.

Przedstawiwszy ogólną charakterystykę składu i działalności przysięgłych, poddawszy choć pobieżnemu rozbirowi główne zarzuty zrobione tej instytucji w literaturze, wykazawszy warunki w jakich sądy przysięgłych dobrze funkcjonować mogą, wyliczywszy wreszcie korzyści jakie przynieść mogą, mniemamy, żeśmy sądy przysięgłych uzasadnili jako instytucję prawną. Usprawiedliwienie to teoretyczne nie przekonywa jednak bynajmniej, aby sąd przysięgłych wszędzie mógł dobrze objawiać swą działalność. Ocenienie o ile w naszym kraju instytucja ta przyniosłaby korzyści, może wykazać tylko gruntowny rozbiór warunków naszego społeczeństwa. Wywołanie takiego rozbioru miał na celu i niniejszy wykład i teraźniejsze ogłoszenie go drukiem.

Warszawa,
d. 25 sierpnia 1867 r.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Poezi Prowancyi. — Mistral'a poematy: „Mireio” i „Calendau.” — Pascal i Newton. — Fotografie medali Davida, wydanie nowe przepyszne. — David i Thorvaldsen. (Thorvaldsen, sa vie et son oeuvre par Eugene Plou) — Brauna fotografie rysunku sławnych mistrzów. (Photographies de m. Adolphe Braun, d'Après les dessins originaux des anciens maitres). — „Albertine de Merris” komedya w trzech aktach Amadeusza Achard. — Wiadomości literackie.

W ciągu ubiegłych lat piętnastu pojawiły się usiłowania wskrzeszenia języka prowanckiego. Francuzkie to narzecze którym już tylko mówili wieśniacy, stało się językiem literackim, językiem poetów. Nowi trubadury zabłąkani wśród prozy XIX wieku, nęcał niezdolnym ich zrozumieć Francuzom, harmonijne śpiewy, które w wiekach średnich zachwycały udzielnych panów i panie. Poetów takich Francya liczy obecnie sześciu: Roumanille, Aubanel, Tavan, Anselme, Mathieu i Mistral. Ten ostatni jest ich mistrzem, prawdziwym poetą, którego sława wyszła po za granice Prowancyi a nawet Francyi. Niedawno w akademii p. Villemain oddawał mu zasłużone pochwały. Jedna z bohatererek Mistral'a Mireio, ukazała się na scenie lirycznój. Nakoniec, cesarz Napoleon oceniając wielki talent poetycki Mistral'a, dał mu krzyż legii honorowój.

Mistral wydał dwa wielkie poematy: *Mireio* i *Calendau*. Pierwszy już się doczekał kilku wydań, drugi wyszedł w tych czasach. W pierwszym poeta opisuje dzisiejszych Prowansalów, ich obyczaje i wiarę; w drugim występują Prowansale średniowieczni, odważni rycerze, chciwi awantur i boju. Bohaterką pierwszego jest Mireio, bogata chłopka, która hoduje jedwabniki i przędzie wełnę.

Mircio kocha Wincentego, koszykarza, i chce zostać jego żoną; ale ubóstwo młodzieńca staje na przeszkodzie związkowi. Bogatsi pretendenci się zgłaszają; dwóch znosi cierpliwie odprawę Mirei, ale trzeci mści się na jej ulubionym: po długim boju, zostawia go na placu spotkania prawie bez duszy. Mirejo trzeźwi i leczy narzeczonego. Ale jej ojciec na małżeństwo zezwolić nie chce. Dziewczę w rozpacz, idzie błagać pomocy św. Maryi i Magdaleny, patronek Prowancyi, sławnych z cudów. W drodze, uderzona w głowę promieniem słońca, napół żywa dochodzi do kościoła. Tu, padłszy na kolana u stopni ołtarza, zapatrzona w oblicze opiekunki która jej drzwi raju otwiera, w obec płaczących rodziców i ukochanego, Bogu ducha oddaje.

Ostatni poemat Mistral'a, mniej jest prosty i wdzięczny. *Calendau* jest rybakiem, ale uczonym i filozofującym. Ojciec wieczorami nauczył go dziejów Prowancyi, a czarowna Estrella, ostatnia córka historycznej rodziny, natchnęła go miłością czystą, idealną, uzdalniającą do największych czynów. Ażeby zniszczyć przedział stanów i na jej miłość zasłużyć, Calendau wślawia się męstwem i wielkoduszością: zwycięża na igrzyskach, godzi wolnych mularzy w bratobójczej walce; zabija potwor na górze Ventoux; oswobadza okolicę od zbója Marcomana. Po tych wszystkich zwycięztwach, sławny w całej Prowancyi, przyjęty przez ukochaną która była duszą tych czynów „zwycięża w miłości.”

Taka jest osnowa dwóch poematów Mistral'a. Treść romansowa służy pocięciu za zamówkę do sławienia Prowancyi, malowania jej krajobrazów, przypominania jej chwały, tradycyi religijnych i upiększenia tego wszystkiego blaskiem poczyi.

Mistral kocha Prowancją i opisuje ją jak kochanek. „Podobna— mówi — do pomarańczowego gaju, kwitnie i wonie... Przy jednym jej boku modre morze miękko rozpostarte u stóp wzgórz i równin, zdala powiewa rojem białych żagli i wiosel sterujących do ponurego Château d'If; na przeciwniej stronie poorany piorunami, Ventoux, zamek szanowny na wzgórzach, wznosi sędziwą głowę aż do gwiazd, podobny do starego pasterza, co wśród buków i sosien stoi wsparty na kiju i przypatruje się trzodzie. Środkiem przepływa Rodan i poi śmiejących miast wiele...

„...W Alpinach rosną lasy Melezowe, drzewa co zawsze prosto i spokojnie stoją; pomimo czterech wichrów wiejących wspan, lata na nich mniej ciążą, niż wędrowne ptaki. Lasy te, to uroczyste organy! potężnie grają na chwałę Stwórcy, skoro w nie pełną piersią dmuchną burze. U stóp tych gór leży ziemia obiecana pokryta oliwnymi drzewami; kobiety tam rwą jaśminy, tuberozy i róże; tam kwitnie aloes; cedron zaprawia wonią powietrze, a daktyl na szerokiej przestrzeni rzuca w powietrze bukiet palmowy.

„...Po nad tym szczęsnym krajem, sklepienie niebios, zawsze błękitne. To niebo, o! bogata ziemio Arlesu! daje piękność twym córkom, słodycz winogronom i zapach różom. Słońce, święte słońce na to wszystko złotą ulewą spada, dla napojenia roślin spragnionych jego promieni.”

Piękność niebios i bogactwo ziemi sprawiły, że Prowancya stała się schadzką rozmaitych ludów, teatrem rozmaitych wypadków. Całe prawie dzieje tego kraju Mistral wierszem opisał. Grecy, Rzymianie, Ligury, Cavary, barbarzyńcy, przechodzą z kolei przez jego strofy. Poeta najwięcej miłuje te czasy, kiedy Prowancya była najświetniejszą częścią Europy Zachodniej. Nie należała wtedy do Francji; miała swoją odrębną narodowość, język i obyczaj. Bogate miasta, dumne ze swobód swoich, kwitły wówczas pod opieką hrabiów Berenger'ów i hrabiów Raymond'ów.

Szczęśliwe położenie Prowancyi pomiędzy Italią, Hiszpanią, Francją i cesarstwem; jej rozgałęzione stosunki handlowe; ciekawy i subtelny umysł Prowansalów: wszystko to uczyniło Prowancyą targowiskiem i szkołą Europy feudalnej. Narzecza utworzone w V wieku z rozczynu języka łacińskiego, gałęzie oderwane od pnia wspólnego, zaledwie kiełkowały, kiedy język prowancki rozkwitał w płodach literackich, balladach, rapsodach, satyrach, a mianowicie w poezjach miłosnych.

Rycerze południowi rychło się wyrzekli pysznego ograniczenia, które rycerstwo północy chowało umyślnie; dowiedli, jak tamci, pobożnej odwagi przyczyniając się do wielkich wypraw krzyżowych; ale w końcu nad wojenne wzruszenia, przełożyli łagodniejsze wrażenia literatury i sztuki. Obok rycerskiej szpady, zawiesili mandolinę; żelazo pozostawało w pochwie i nie raziło już Maurów ani Saracenów;

mandolina za to brzmiała ustawicznie i podbijała serca niewieście. Więcej zajęci galanterią niż grobem świętym, prowancy rycerze na innych zdali interesa boże; sami, wyłącznie kochaniem ziemskiém zajęci, sprawy miłosne poddawali sądowi polubownemu dam najbieglejszych w tak zwaném *Gai Savoir*.

Przyszło do tego że nowa Kapua ściągnęła na się pioruny Innocentego IIIgo. Wtedy, wśród gromów kościelnych, wiatr północy powstał i zwał wszystkie kwiaty z téj czarownej krainy. „O narodzie kwitnący! woła Mistral, barbarzyńskie żelazo skosiło twój plon... Słońce południa zbyt paliło i wywołało burze... Zdetronizowany język prowancki, dumny jak zawsze, schronił się do pasterzy i marynarzy.”

Mistral jest głęboko religijnym katolikiem, jak kraj jego. Prowancya pełna jest legend świętych; niektóre są bardzo poetyczne, mianowicie skoro je Mistral opowie. W duszy tak poważnej, jak jego, miłość nie mogła pozostać jak dla dawnych trubadurów uczuciem lekkim i niemoralnym, które czasami natchnęło ładne wiersze, ale częściej rozwiązałe piosneczki. Miłość, którą opiewa ten najmłodszy poeta Prowancyi, jest uczuciem prawdziwém, zakorzenioném w sercu. W dziełach najślawniejszych poetów niema piękniejszej sceny sielankowej jak ta, którą znajdujemy w drugiej księdze poematu *Mireio*. Cóż śliczniejszego jak ten przykład z miłości kwiatów przytoczony na odmalowanie stanu bijącego serca. „Słuchaj—mówi kochanek do Mireii,—na dnie Rodanu rośnie ziele rodzące dwa pączki na dwóch osobnych krzaczkach. Kiedy na nie przychodzi pora kochania, jeden z nich sam wybiega na wierzch wody i rozkwita na słońcu. Ujrzawszy go tak pięknym, drugi kwiat zdjęty miłosnym dreszczem, płynie co siły pragnąc całować... Miotany żądzą połączenia, wydłuża krępującą go łądygę, aż w końcu ją łamie... i wolny, ale młoty, zbladłemi usty swoją białą kochankę dotyka...—Jeden pocałunek Mireio, a potem umrę.”

Mireio odmawia; ale przeklina swoje bogactwo co ją z ukochanym dzieli, i umiera ofiarą wielkiej miłości dla kochanka a posłuszeństwa dla ojca.

Poeta tak odmalował tę postać dziewczę, iż przypuszczać trzeba że znał taką; pieścił czarne warkocze, co tworzyły diadem nad jej czołem, że słyszał jej głos słodki na oazie Cumerji, pośród wrzosów i głogów, gdzie pary kochanków przychodzą szukać cienia i samotności. Melancholiczne wspomnienie które przedwczesnemu skonowi pięknej Prowansalki poświęca, jest pewno resztą boleści sroższej i żywszej: nie przypuszczasz, żeby Mireio miała być tylko tęczową bańką poetycznej wyobraźni.

Calendau nie czyni tego wrażenia. Miłość jego dla Esterelli nie jest naturalna, gdyż rozumuje a nawet filozofuje. *Calendau*, ów rybak uczony, swą idealną miłość opiewa językiem często do platońskiego podobnym. „Wszystko złoto tego świata, cały brzęk częściej chwały—woła w zachwycie—niewarte jednej godziny miłości, w cieniu wyniosłych sosien. O! cuda! o! zachwyty duszy! wy jesteście rajem prawdziwym! Śmierć może jako dwa marmurowe słupy ciała nasze ostudzić, a dwie myśli nierozdzielne, lecą zawsze ku nieskończoności, ku Bogu. W słodkim zbliżeniu, wielbiący z uwielbioną, wymieniają społem wszystek swój czar.”

Rzekłbyś że to Sokrates przypomina poetyczne wykłady Diotimy.

Jedyny zarzut jaki można zrobić panu Mistral, jest, że pisze w języku prowanckim. Język to zarazem żywy i umarły: przyjmuje słowa francuzkie i nadaje im swoje zakończenie; nie bogaty od czasu jak przestał być językiem literackim, ustawicznie pożycza od starego narzecza trubadurów już wyszłego z użycia. Przypuszczając gallikanizmy, przestaje być oryginalny; a wskrzeszając wyrazy stare, przestaje być jasny. Nawet biegli czytelnicy prowansalskiej mowy dzisiejszej, czytając poemat Mistrala, muszą się uciekać do francuzkiego tłumaczenia położonego obok tekstu.

Mistral ma wydać grammatykę i słownik prowanckiego języka. Jakże potężna miłość rodzimój ziemi! ona uczyniła Mistrala poetą; dusza jego ojczyzny w niego się wcieliła. Ona to śpiewa w szumie Rodanu zagniewanego na swoje tamy, ona brzmi w olbrzymich akordach które wichry z dębów wydobywa na górze Ventu, ona jaśnieje w słońcu skoro ukoronowane płomieniem, siada na tronie; ona błyszczy

w kwiatach wszechbarwnych które tworzą płaszczyść tej szczęśliwej ziemi; ona to nakoniec, intonuje dziękczynny hymn na cześć opiekunek świętych, które z wysokości niebios czuwają nad pomyślnością swoich dzieci.

Opuszczona od sześciu wieków wdowa po trubadurach którzy ją sławili, Prowancya samotne łązy lejąc, szukała nad brzegami Duransy i Rodanu, barda z potężnym techniciem, żeby jej żałobę, skargi i nadzieje wyśpiewał. Znalazła go nakoniec—i oto przez usta Mistrala dopomina się praw swojej narodowości i języka.

Piękne to, poetyczne roszczenia. Ale czy restauracya prowansalskiej ojezyny i jej języka (*langue d'oc'ku*) jest możebną? jest nawet rozsądną? Po co dawać Francyi nowe narzecze, kiedy połowa Francuzów nie zna jeszcze języka francuzkiego i nie umie czytać. Co większa, dwie trzecie Prowansalów nie umie czytać poezyi Mistrala. Pragnienia takie nie mają żadnej podstawy—w zbyt ciasnym zakresie bywają nawet śmieszne. Polityczne pojęcia Mistrala tyleż godne nagany, ile jego geniusz poetyczny wart szczerego uwielbienia.

Wytoczyła się przed akademią ważna sprawa: Francuzi chcą dowieść, że Pascal nie Newton, odkrył prawa atrakcyi uniwersalnej.

Członek akademii, pan Chasles, opatrzoney dokumentami i listami, adwokatuje sprawę Pascala. Już cztery posiedzenia były temu przedmiotowi poświęcone. Powódź rewelacyi wzbiera ciągle. Pan Chasles popiera swoje twierdzenie listami Pascala do Newtona i rozmaitych ówczesnych uczonych, *sto dziewięć* dokumentów dowodzi, że Pascal znał prawa atrakcyi, że w ostatnich latach życia listował z Newtonem wtedy rozpoczynającym zawód naukowy; że udzielił Anglikowi rezultatu swoich badań i rozmyślań o ciężeniu powszechnym, z czego Newton wiele skorzystał, chociaż nazwiska Pascala w dziełach swoich wcale nie wymienił.

Powyższe odkrycia zamąciły świat naukowy, i nie dziwnego: chodzi o najważniejszy punkt historyi matematyki, nie tylko historyą nauki obchodzący.

Chasles przypomniął najpierw, że myśl atrakcyi wzajemnej pomiędzy ciałami, była już w głowach od pojawienia

się książki Kopernika, gdzie ten systemat jasno wyłożony. List drukowany w dziełach Fermat'a, dowodzi, że od 1636 roku powyższa zasada była celem rozmyślań Pascala, mającego wówczas lat trzynaście. List jego do Roberta Boyle pisany w 1654 roku, dowodzi nadto, że Pascal znał prawa atrakcyi. Pascal miał wówczas lat trzydzieści a Newton dwanaście. Uczony francuzki żąda od p. Boyle szczegółów o młodym studencie angielskim, nazwiskiem Izaak Newton, który, jak mówią, ma dopiero trzynasty rok, a pisze mądre memorały. Przysłał ich Pascalowi trzy: „*Calcul de l'infini*“ „*Système des tourbillons*“ i „*l'équilibre des liqueurs et la pesanteur*.“— „W tych trzech pracach, pisze Pascal, zauważałem błyski które mnie bardzo zdziwiły, mianowicie w młodzieńcu zaledwie wyszłym z dzieciństwa. Zdziwiłem się tak dalece, iż chwilę myślałem że to prace uczonego bardzo biegłego w tym przedmiocie, a który dla mistyfikowania mnie pożytyczył nazwę od tego chłopca.... Bardzobym rad żebyś mi dał jakie szczegóły o tym trzynastoletnim mędrцу. Zanim odpowiem, muszę wiedzieć z kim mam do czynienia.”

Wiadomości musiały być zadawalniające, gdyż późniejsze listy pokazują Pascala w korespondencyi z Newtonem. Pan Chasles złożył pięć listów Pascala i cztery Newtona. Listowanie odbywało się pomiędzy 1654 i 1661 rokiem. Listy Pascala adresowane: *Au jeune Newton, étudiant à Grantham*; zowie go „*Mon jeune Amy*.” W pierwszym uczony Francuz donosi Anglikowi, o przesłaniu jemu papierów ś. p. Descartesa. „Dołączyłem rozmaite problemata dotyczące praw atrakcyi, nad którymi pracowałem dawniej, a na których możesz ćwiczyć swój geniusz. Powiedz mi co o nich myślisz?”

W drugim liście Pascal, posyła Newtonowi swoje pisma ulotne o prawach atrakcyi i równowagi: „*Je vous engage à les lire avec attention, et j'ose espérer que vous y trouverez quelque chose qui vous sera agréable, et qui vous portera à réfléchir sur le système du monde.*“

W jednym z czterech listów Newton pisze do Pascala: „Nie zapomniałem że przed parą laty kazałeś mi oddać kilka rękopisów, i not co najmniej dwieście. Czytałem z wielką uwagą wszystkie te dokumenta. Wtajemniczyły

mnie one do pewnych wiadomości *których nie znałem, a które twym pracom zawdzięczam.*"

W liście do siostry Pascala, po jego śmierci pisanym, Newton dziękuje téj pani za przysłanie jemu papieru znalezione w kieszeni Pascala, który to rękopis jest nadzwyczaj ważny dla jego badań naukowych. W końcu prosi o wskazanie gdzie jest reszta papierów Pascala? sam gotów przyjechać po nie do Paryża.

Słowem, są niewątpliwe dowody że Newton czerpał z rękopisów Pascala, i z jego wiedzy korzystał, a w żadnym dziele Anglik o nim nie wspomina. Uczony Francuz Bohault wyrzucał to Newtonowi. W liście czytany akademii, fizyk ten pisze do Newtona: „Wiem że masz papiery Descartesa i Pascala. Dziwi mnie że nigdy ani o jedném ani o drugim nie wspominasz. Czyż nie wiesz że nauka nie ma ojczyzny?” Później, spółcześni uczeni francuzcy dowiedziawszy się że Newton ma rękopisy Pascala, dopominali się u niego o oddanie takowych. Newton odpowiada jednemu że ma tylko nie znaczące notatki; drugiemu, że nie wie co się z papierami Pascala stało... Gdzieś mu się zarzuciły i znaleźć nie może.

Panu Rohault który go pyta czemu o autorze *Myśli* nie wspomina? Anglik odpowiada rzecz szczególniejszą: „Kiedy znałem Pascala, pisze, już nie miał zdrowych zmysłów. Bardzo mi to było przykro... On, co takie ładne rzeczy napisał... Jestto jedna z przyczyn, które mi nie dozwoliły mówić o nim w moich dziełach.”

Z powyższych dokumentów wywiązała się bardzo żywa anglo-francuzka polemika. Anglicy zażarcie bronią oryginalności pomysłów Newtona. Francuzi dowodzą że okradł Pascala, że na złodzieju czapka gore, dla tego do niego się nie przyznaje. Uczony historyk Newtona, sir David Brewster, dowodzi że wymienione dokumenta są zmyślone. Wedle daty listu, Newton mający wtedy pół dwunasta roku nie mógł zrozumieć treści tych memoriałów, a zajmował się sposobem daleko ze swym wiekiem zgodniejszym i puszczał latawce, obracał wiatraczki i stawiał kompasz aż do roku 1658, w którym dokonał pierwsze swoje naukowe doświadczenie zasadzające się na zmierzeniu szybkości wiatru za

pomocą różnicy dwóch skoków które czynił z wiatrem i przeciw wiatrowi. Dopiero w roku 1661, powiada uczony angielski, Newton okazał swoje usposobienia i przystąpił do tych nauk które go później wślawiły.

Chasles odpowiada na to, że *młodość* Newtona nie jest argumentem przeciw jego twierdzeniu, gdyż nadzwyczajnie wcześniej rozwinął się; tak wcześniej, że był przyjęty na uniwersytet Cambridge w roku 1655, to jest, nie mając spełna lat trzynastu.

Dotąd, konkluzya tych rozpraw żadna: Francuzi twierdzą że Newton był satelitą ich słońca, Anglicy, że świecił własnem nie pożyczanem światłem. Prawda jak zwykle jest podobno pomiędzy dwiema ostatecznościami. Wszystko na tym świecie solidarne: nie ma oderwanych cnót ani oderwanych zbrodni, oderwanej wiedzy ani oderwanych zasług. Wszystko się wiąże: złe i dobre. Łańcuch wiedzy ludzkiej jest nie przerwany. Wytyczne ludzkości, geniusze, podają sobie pochodnie. Tak światło technieniem śmiertelnych podsyćane, staje się wiecznem, coraz mocniejszém, jak blask elektrycznego faru dla zbliżających się do portu żeglarzy. Sędziwy Pascal pochodnię taką oddał młodemu Newtonowi, jak Goethe Mickiewiczowi pióro, którem *Fausta* napisał. Kto mocniejszém technieniem rozżarzył pochodnię? o to sprzeczać się mogą dwa zawistne kraje, ale wdzięczna ludzkość obu tych mężów w panteonie swoim postawi.

W poszycie lipcowym Biblioteki Warszawskiej, donosiliśmy, że Robert David, syn rzeźbiarza, wydał w jednym tomie fotografie wszystkich medali Davida d'Angers; obecnie wyszło drugie przepyszniejsze wydanie téj zajmującej księgi. Przekazana przez syna pamięci ojca, jest również pomnikiem wzniesionym tegoczesnym znakomitościom. Nie można dosyć zachwalić téj publikacyi czytelnikom naszym. Pięćset portretów z których album złożone, przedstawiają sławnych ludzi pierwszej połowy XIX wieku. Poeci, uczeni, historycy, krytycy, filozofowie, artyści, publicyści, mężowie stanu, następują po sobie bez różnicy pochodzenia: jestto panteon zmonetyzowany.

David religijnie czczył chwałę: myśl unieśmiertelniania rysów dostojnych osób ustawicznie go zajmowała. Edmund About w przedmowie umieszczonej na początku tomu, odkrywa rozrzewniającą tajemnicę: sławny rzeźbiarz, tak płodny i pracowity, który pozostawił siedmdziesiąt posągów, pięćdziesiąt płaskorzeźb, sto popiersi i niezliczoną moc marmurów mniejszego rozmiaru—Dawid, twórca *Filopomena*, umarł ubogi jak prosty wyrobnik. Benvenuto Cellini rzucił pono, złote i srebrne wazony w rostopiony wrzątek, z którego brakiem materiału, miał się posąg nie udać; David włożył całą swą zapracowaną fortunę w kosztą pięciuset medali rozdanych za darmo. Zrujnował się na bicie téj monety nieśmiertelności. Jako Jowisz z bajki, wszystkich bogów i bohaterów których wyźłobił, rozsypał w kruszczowym deszczu; ale ten deszcz arcydzieł spadł na łono uczonej ojczyzny.

Życie tryska z tych wizerunków streszczających intelligencyą pół wieku. Łączą ideał typu z podobieństwem osoby, wyraz charakteru z szerokością stylu. Jedne narysowane lekko, jak greckie pieniądze w kilku rysach wyrażają osobistość wzoru; inne głęboko żłobione i żywe jak medale odrodzenia, oddają szczegółowo całe życie pełne walki. Wartość ich historyczna dorównywa ich wartości artystycznej; przebiegając pięćdziesiąt trzy karty o potrójnym szeregu, z których książka złożona, czynisz przegląd luminarzy XIX wieku. To muzeum społecznych ma już swoje antyki. Goethe, Chateaubriand, Humboldt, Bajron, Lafayette, Lamennais, Canning, Geoffroy-Saint-Hilaire, Balzac, Talma, Meybeer, Mickiewicz, Kosciuszko—jawia się w tych odciskach jako wygrzebani z grodów *via sacra*. * Spotykasz naczelników i mistrzy z 1830 roku w kwiecie wieku, i genialnym blasku. Hugo, George Sand, Michelet, Eugeniusz Delacroix, Musset, prawie jeszcze dzieci. Głowy potężne, natchnione czoła, wszyscy promieniem niebios oświeceni.

Forma medali idealizuje jeszcze te szlachetne twarze. Zamknięta w ciasnych ramach twarz ludzka od ciała odosobniona, obrana z odzienia, przedstawia się w stanie intelligencji oderwanój, w stanie czystego ducha. Profil jest esencją, ideałem portretu: z profilu to, odbicie wielkiego męża patrzy najbystrzej na potomność.

Część tych medali posłana przez Dawida do Weimaru, rozradowała Goethego. Wydał on im wspaniałe świadectwo, które znajdujemy w rozmowie z Eckermanem. (Patrz: *Conversation de Goethe recueillis par Eckerman* — przekład pana Delerot, tom II, karta 189).

„Mieliśmy jechać na zwykłą przedobiednią przejażdżkę — pisze Eckerman — ale tak nam było dobrze w domu, iż Goethe kazał wyprządz. Fryderyk (syn Goethego) otworzył skrzynię przysłaną z Paryża. Była to przesyłka rzeźbiarza Dawida: gipsowe portrety w płaskorzeźbie, pięćdziesięciu siedmiu osób sławnych. Fryderyk poukładał medaliony w kilku szufladach, a my oglądaliśmy je z największym zajęciem. Pragnąłem mianowicie widzieć pana Merimée. Głowa wydała nam się równie energiczna i śmiała jak jego talent: Goethe upatrzył w niej humorystyczność. Hugo, de Vigny, Deshamps, wydali nam się pełni expressyi, siły i pogody. Panna Gay, pani Tasta i inne młode kobiety, zachwyciły nas pięknoscia. Energiczna głowa Fabvier'a przypominała ludzi minionych wieków: wróciliśmy do niego parę razy. Goethe mówił, że winien Dawidowi skarb, za który dosyć podziękować nie może, że zbiór ten będzie pokazywał przejeżdżającym przez Wejmar podróżnym i od nich dowie się szczegółów o osobach których portrety ma, a których jeszcze nie zna“.

W tydzień po odebraniu, Goethe znowu wrócił do przesyłki Dawida z podwójnym zajęciem.

„Goethe pokazywał mi wszystkie skarby skrzyni Dawida uporządkowane. Sam poukładał starannie jednych obok drugich, wszystkich młodych poetów Francyi. Jeszcze mówił o nadzwyczajnym talencie Dawida, równie wielkim kompozytorze jak wykonawcy. Wiele także gadał o książkach nadesłanych sobie z Paryża przez autorów. „Dawid — mówił Goethe — tą przesyłką uprzyjemnił mi nie mało dni. Młodzi poeci zajmowali mnie już cały ten tydzień, a świeże wrażenia jakie z ich dzieł odbieram, dają mi jakby nowe życie. Zrobię osobny katalog tych drogich wizerunków i tych drogiech książek, dam im osobne miejsce w moim zbiorze artystycznym i bibliotece“.

Widać z tego, że Goethe przyjmował hołdy młodych pisarzy francuzkich z wielką radością. Rozczulającym jest

prawie, to ojcowskie przyjęcie przez wielkiego Goethego wizerunków i książek młodzieży. Dostojny starzec uśmiechał się do nich jak owi patryarchowie Biblii, którzy się cieszą ujrzawszy we śnie widma swoich następców.

Goethe zwał skarbem jeszcze nie liczny zbiór Dawida, cóżby był powiedział ujrzawszy cały, i ozdobiony swoim medalem, który jest arcydziełem galeryi. Oblicze Jowisza z szerokiem czołem, nosem prostym i mocnym, oko zagłębione pod arkadą, ma nieruchomość spojrzeń boskich. „Doprawdy, pisze Heine, kiedy odwiedziłem Goethego w Wejmarze i skorom przed nim stanąłem, spojrzałem ukradkiem w bok, chcąc się przekonać czy orzeł z piorunem w dziobie nie jest blisko niego. Chciałem do niego zagadnąć po grecku, ale zauważywszy, że rozumie po niemiecku, powiedziałem mu w tym języku, że śliwki na drzewach pomiędzy Jeną i Wejmarem, bardzo smaczne. Nie mało nocy zimowych przemyślałem nad tém, co powiem szczególnego Goethemu w dniu kiedy go zobaczę? a kiedy go ujrzałem nie miałem mu nic innego do powiedzenia, prócz tego, że dobre śliwki w Saksonii. Goethe się uśmiechnął; uśmiechnął się temi ustami, któremi niegdyś całował piękną Ledeę, Emoję, Danaę, Semełę—a teraz inne monarchinie, albo proste nimfy“.

Antypodą Dawida w dziedzinie sztuki jest mądry i flegmatyczny rzeźbiarz duński Torwaldsen, którego życie ze zbyt wielkim zapalem, świeżo opowiedział Eugeniusz Plou, syn sławnego wydawcy.

Mało artystów miało przeznaczenie pomyślniejsze jak Torwaldsen. Zaledwie rozpoczynającemu zawód, drzwi chwwały otwarły się na rozcież. Syn snycerza na drzewie, który złobił piersi okrętowe, Torwaldsen był posłany do Rzymu 1795 roku przez akademię Kopenhagi: tam zasłynął w krótko i Europę dziełami swojemi zarzucił. Pracownia jego była jedną z rzymskich osobiowości. Monarchowie obsypywali go zaszczytami i obstalunkami. Pod koniec życia do kraju swojego odbył wjazd królewski, jak bohater witany i aklamowany przez swój lud. W ojczyźnie postarzał spokojnie, otoczony uwielbieniem. Pogrzeb jego był apoteozą: rodzinne miasto pochowało go w gmachu zbudowanym umyślnie na skład dzieł jego: tam spoczywa jak Bóg w pośród swojego stworzenia.



Czas jednak powiedzieć prawdę: Torwaldsen niższym jest od swojej sławy: wola i praca, za geniusz mu obstały. Daremnie przesadza w swych dziełach spokój liryczny starożytnego kształtu, wrodzona ciężkość go zdradza: rzekłbyś Scyt, uczeń Fidiasza.

Schiller, w jednym ze swoich epigramatów, wyraził z przenikającą melanholią, niemoc jakiej czasami doznaje duch północny, chcąc sobie przyswoić piękność klasyczną. *Dzieło sztuki starożytnej* mówi do *Wędrowca Północy*:

„Przebyłeś rzeki, żeglowałeś po morzach, ścieszka zarzucona nad przepaścią przeprowadziła cię za Alpy, ażeby mnie zbliżać oglądać i hołd złożyć mojej piękności. Teraz stoisz przedemną, możesz dotknąć świętego przedmiotu; ale czyż przez to bliżej mnie jesteś? Czy ja się do ciebie zbliżyłem? Zostawiłeś za sobą zamglony biegun i swoje niebo żelazne; noc północna uciekła przed dniem Ausonii. Ale czyś przerwał te inne Alpy, te odwieczne mury które sterczą ciemne i smutne pomiędzy mną i tobą? Czyś z serca zegnał chmurę mgły, tak jak ja z olśnionych oazu twoich spędził dzień śmiejący? Napróżno we mnie słońce jońskie świeci i opromienia cię. Przekleństwo przywiązane do północy gniecie twego zaciemniałego ducha.“!

Ten lód rodzimy który staje pomiędzy północnym artystą a greckim geniuszem, Torwaldsen całe życie usiłował złamać potężnym dłutem; ale zupełnie tego nie dokazał: czyste światło Grecyi napół tylko przenikło jego dzieło. Posągi i pomniki jego któreśmy we Włoszech widzieli, zostały nam wrażenie talentu wysokiego, ale zimnego i sztywnego. Starożytna pogoda w jego postaciach krzepnie. Henryk Heine przytoczony wyżej, opowiadając *wędrę Bogów na wygnaniu*, pokazuje Jowisza na lodowatej wyspie, gdzie go duńscy rybacy znajdują w rozwalonej budzie siedzącego przy ogniu z gałęzi, pomiędzy oskubanym orłem i łysą kozą.

Bogi i bogowie rzeźbieni przez Torwaldsena, zdają się także wygnani w strefy podbiegunowe, wyprowadzając je na słońce rzymskie, artysta nie zdołał ich zupełnie odmrozić. Kształty ich mają piękność uczoną i poprawną, harmonią nieposzlakowaną w gestach; ale ciepło wewnętrzne, boska treść ożywiająca marmury starożytne, nieobecna w tych cu-

dzodziemskich bożyszczech. Grecy z pozoru, w gruncie są Skandynawami: Odyn przyjąłby ich w Walhalli.

To powiedziawszy, przyznać trzeba, że Torwaldsen jest szlachetnym i surowym artystą, który do wielkości dążył uparcie i czasami jęj dosięgał. Jego *Merkury mający zabić Argusa*, jest prawie arcydziełem; nawet po *Nocy Michała Anioła*, można wielbić wyniosłość i lekkość posągu *Nocy niosącej na ręku śmierć i sen*.

Torwaldsen wart był książki, którą mu Plon poświęcił. Zbyt go uwielbia, ale to w biografii nie zakała: trzeba wierzyć w Boga, żeby Mu zbudować świątynią, a prawdziwą świątynię pisarz francuzki wystawił snycerzowi duńskiemu. Jeździł po Italii i Danii dla zbierania materyałów; nabierał mnóstwo faktów na miejscu gdzie tworzył i żył sławny rzeźbiarz. Staranne drzeworyty przedstawiają główne dzieła mistrza! Dzięki Plonowi, historia sztuki, jak Kopenhaga, ma teraz swoje muzeum Torwaldsena.

Nadreńczyk Adolf Braun wynalazł dokładny sposób fotografowania rysunków starych; założył w Paryżu pracownią i rozpoczął publikacyą żywo obchodzącą miłośników sztuki: stereoskopy jemu zawdzięczają swoje najlepsze widoki; reprodukcya nowym procederem chemicznym rysunków sławnych mistrzów, czyni z jego zakładu centrum propagandy artystycznej.

Sposób fotografowania Brauna zwany *węglowy*, oddaje rysunki taką materyą jaką były robione: tuszem, sepią, bistrem, srebrnym rylcem, czerwoną farbą i wszelakimi odcieniami ołówków. Odbicia są tak doskonałe, że ich od wzoru odróżnić nie można. Wszystkie barwy starego papieru, w zwykłej fotografii jednostajnie szare, tu zachowują odcienia pożółkłych liści. W ten sposób przedziwny, Braun odfotografował dziewięćset dwadzieścia trzy rysunki w Luwrze, tysiąc przeszło w wiedeńskim Albertynie, sto pięćdziesiąt dwa w Wejmarze, sto pięćdziesiąt w Bale. Rafaelc, Leonardy, Tycyany, Rubensy, Rembrandty na setki liczy. Dziś zbiór jego składa się z przeszło czterech tysięcy rysunków, które są do nabycia za przystępną cenę w Paryżu przy ulicy Cadet 14.

Mamy przed oczyma kilka sztuk ze zbioru Brauna. Oto najpierw Rafaela *Madona karmiąca dziecko*, kopiowana w Luwrze. Zachwycający ten rysunek wykonany piórem a lawowany bistrem, datuje się z epoki florenckiej Rafaela. Jest to jeden z kwiatów jego wiosny—przedmiot boskiego obrazu. Niepodobna wysłowić uśmiechu Madony ani powagi dziecka igrającego na jej łonie. Madony młodego Rafaela siedzące pośród krzewów i kwiatów ombryjskiej kampanii, są niewątpliwie najdoskonalsze z jego utworów.

Do pierworzędnych rysunków należą: *Dwaj ludzie nadszy: jeden widziany z boku, drugi z tyłu*. Szkic ten przedziwny Rafael posłał był Albertowi Dürer, jak to wskazuje nota skreślona po niemiecku jego ręką, na rysunku: „Roku Pańskiego 1515, Rafael z Urbinu, wysoko ceniony przez papieża, rysował te nagie postacie, i przysłał je Albertowi Dürer do Nuremberga, dla pokazania mu własnoręcznej roboty.”

Podarunek był godzien obu mistrzów: rysunek jest rafaelowski, w całym znaczeniu tego słowa.

Michała Anioła są dwa szkice, naznaczone lwim szponem, którego ślad poznasz pomiędzy tysiącami dzieł artystycznych. Najpierw *Noc*, śpiąca snem tragicznym w nadludzkiej postawie; potem, tajemniczy urywek kompozycji, gdzie widać człowieka miotanego wściekłością pośród grupy bolejących postaci u nóg jego leżących.

Głowa kobiety i głowa dziecka Leonarda Da Vinci, rysowane srebrnym rylcem na zielonym papierze, czynią zupełne złudzenie malowidła. Znać tu subtelność dokładność, zadziwiającą krągłość nikłych obrysów, którymi Leonardo wśród wszystkich celuje. Rysunki tego mistrza są mieszaniną wdzięku i siły, każdy obrys ma wykończenie rzeźby i lubość pieszczoty.

Lorenzo di Credi, uczeń Verrochio, jak Leonard, często go naśladował prawie genialnie. Tego bardzo rzadkiego mistrza pan Braun odtworzył prześliczne *popiersie starca*, ołówkiem wyżłobione jak ostrzem rylca.

Józef sprzedany przez braci, Andrzeja del Sarte, przedstawia postacie nikłe... zaledwie dotknięte czarną kredą, ale jakże przedziwne! jak pełne wyrazu!

Rysunki Tycyana są rzadkie. W zbiorze Brauna znajdujemy jego *głowę starca* z długą brodą siwą, wystającą jak malowana; ołówków blask taki, że na pierwszy rzut oka bierzesz ten rysunek za malowidło olejne.

Nawet po obejrzeniu utworów tych wielkich mistrzów, można z przyjemnością patrzeć na dzieła artystów włoskiego upadku, których kilka znachodzimy pomiędzy fotografiami Brauna. Rysunki ich lepsze niż ich freski i obrazy. Niepoprawności i błahości rażące w ich malaturach znikają w szkicach rzuconych pośpiesznie. *Jowisz całujący Ninfę*, którego kształty Rosso przesadził pędzlem, tu majestatycznie, potężne się wydają. Ów *sufit*, malowany przez Primaticę, pełen figur tak szczupłych, tak wiotkich, że się wydają fałszywe, w rysunku inaczej wygląda: postacie wskazane pobieżnie, zachwycają jakąś urojoną wytwornością.

Z *Wniebowstąpienia* Guid'a, obrazu miernego z powodu złego smaku, rysunek daje tylko werwę i genialny błysk.

Szkołę niemiecką w seryi którą przeglądaliśmy, reprezentuje *Święta Rodzina* Durer'a, i jego portret rysowany przez niego, kiedy miał lat czternaście. Twarz młodzieniaszka zadziwia przedwczesną powagą i zamyśleniem: oczy jego zdają się już zapatrzone w wizye, które później malował.

Kolana się zginają przed *Umarłym Chrystusem* Holbeina... uwielbiać trzeba *Siedzącą kobietę* Rembrandta, tajemniczą jak jego portrety aquafortowe; oczu oderwać trudno od *Gitarzysty* Murilla, stworzonego z kilku kropel sangwiny.

Pomiędzy rysunkami szkoły francuskiej, jaśniej *Diana z Ninfami*, Poussina, spłoszona wzrokiem Acteona; *Młoda kobieta* Watteau, naszkicowana błyszczącą kredą czarną; i wspaniała kompozycja *Sprawiedliwość Boża*, natchniona Prudhon'owi przez *Polwarz* Apellesa, którą opisuje starożytny krytyk. Anioł mściciel upłatawszy ręce we włosach mordercy, ciągnie go do nóg sprawiedliwości milczącej i uzbrojonej mieczem. Przed trybunałem na schody rzucony trup kobiety z dzieckiem, przeraża zbójcę... cofa się i zakrywa twarz rękami. Rysunek przepyszny, drga życiem.

Nie można nazbyt chwalić tej propagandy wielkich mistrzów, która ich rozpowszechnia nie profanując. Braun fotografią podniesie do godności sztuki czyniąc *Camere obscure*

wierną sługą genialnych artystów. Nauka z tych rysunków większa niż z obrazów: w rysunku jedynie, zastajesz geniusza w stanie naturalnym. Rysunek wielkiego mistrza, to dziewiczność obrazu, to drganie urabiającej się formy, wykluwanie myśli, natchnienie pałające żądzą wcielenia. Rysunek mistrza, to duch, tworzący jednym rzutem, jak Bóg jednem słowem w sferach czystego ideału.

W teatrze Gymnase przedstawiono oddawna oczekiwaną komedią Amedeusza Achard, pod tytułem: „*Albertine de Merris*.” Dumas Syn stworzył szkołę: Albertyna przykrojona wedle wzoru zatytułowanego: „*Idées de Madame Aubray*.” Przedmiot, rodzaj moralności, prowadzenie akcyi, nawet tok dyalogu, wiernie naśladowują mistrza; ale kopia daleka od wzoru!

Pamiętacie tezę jaką popiera Dumas (syn) w *pani Aubray*? Występuje on zuchwale przeciw najmocniej zakorzenionemu przesądowi, przeciwko temu co Francuzi zowią *le sens commun*. Teza pana Achard nie jest wcale zuchwałą. Oto w kilku słowach osnowa sztuki:

Kobieta zamężna ma kochanka. W pół roku spostrzeżga że ten człowiek kochał ją zaledwie dzień jeden, więc z nim zrywa. We dwie godziny potem przypadkiem spotyka przyjaciela który ją szczerze kochał kiedy była panną, a za którego nie wyszła dla tego że nie miał majątku. Z rozpaczy, udał się do Ameryki gdzie zrobił fortunę, a teraz wrócił z postanowieniem poślubienia Albertyny, jeżeli jeszcze wolna. Zastaje ją mężatką.

Gdy się to dzieje, mąż umiera. Widzicie położenie wdowy; stoi ona pomiędzy dwiema przyszłościami. Wyjdzie-li za amanta który gotów ją poślubić dla naprawienia jej nadpsutój sławy? czy téż zostanie żoną dawnego wielbiciela który o niczem nie wie—który ją ubóstwia, a którego ona téż kocha?

Na to pytanie pan Achard odpowiada niespodzianie, że wdowa nie powinna wyjść ani za jednego ani za drugiego: skoro kobieta zbłądziła, jest zgubioną na zawsze. Nie pozostaje jej nic jak pogrzebać się w skrusze, utonąć we łzach;

nie wolno jęj łączyć się z współnikiem któryby nią pogardzał. Drugiemu powinna wyznać że ma kochanka — a jeżeli tém wyznaniem siebie jemu nie obrzydzi i przy małżeństwie będzie obstawał — *niegodna* powinna wytrwać w odmownej odpowiedzi. Jest na zawsze zgubioną.

Straszne to i nadzwyczaj surowe konkluzyc. Ani moralista ani filozof prawdy w nich nie dopatrzy. Fałszywsze jeszcze wydadzą się, jeżeli ze stanowiska sztuki spojrzymy na rozwiązanie.

Albertyna sama, wbrew radom przyjaciół rozumniejszych postanawia odrzucić dawnego kochanka, któryby ją zrehabilitował w oczach świata, i nie przyjąć ręki przyjaciela któryby ją uszczęśliwił. Musi być bardzo mocna żeby się oprzeć tak potężnemu parciu. Owóż téj mocy w przeszłości jęj wcale nie widać. Pierwszy raz zblądziła z nudów, nie mając nawet na swoje usprawiedliwienie namiętności: pierwszy jęj kochanek jest najpospolitszym z ludzi.

Skoro dawny wielbiciel powraca z Ameryki, pani natychmiast ku téj nowęj miłości się skłania... Wszystko to nie dowodzi mocy charakteru, ani silnego poczucia obowiązku. Albertyna niczem nie różni się od zwykłych kobiet, które tak łatwo zapominają dawnych a tak snadnie zawierają nowe związki. Dla czegoż w końcu dawać jęj uczucia wychodzące po za zwykły porządek rzeczy? Przeszłość powinna jeżeli nie zwiastować, to przynajmniej czynić możebną terażniejszość. Tęgo koniecznego wiązania brak — i dlatego nieprawda bije w oczy.

Idées de madame Aubray są dla wielu absurdem; ale każdy przyzna że dobrze przeprowadzonym. Od założenia logika nie ubłagana ciągnie słuchacza wprost do celu wytkniętego z góry. Pani Aubray żeni syna z uwiedzioną dziewczyną. To głupstwo, powie kto. Niech i tak będzie; ale do tego głupstwa cały dramat prowadzi. Albertyna odmawia dwom konkurentom... i każdy słuchacz zdziwiony, pyta dla czego?

Dla czego? My wiemy dla czego. Dla tego że teraz moralność w modzie. Dramaturgowie silą się na wynalezienie subtelnych położeń sumienia... z postanowień wybierają te które doradza najsurowsza cnota... Pytają siebie, jak dawni kazuiści, czy jajko można jeść w piątek? jedni oświadczą-

ją że można jeść białko, bo z białka pierze—a nie tykać żółtka—bo z żółtka mięso; drudzy jeszcze subtelniejsi, dowodzą, że nie należy takiej potrawy wybierać, ale skoro się znajdzie na talerzu, poszczący powinien ją zjeść, dla *mortyfikacyi*.

Nie mając w duszy żadnej moralności, a fabrykując ją dla teatralnej propinacyi z głowy, panowie ci wydają szalone przepisy życia. Żaden nie chodzi prostą drogą moralności powszechniej i wrodzonych namiętności; ale jakąś ścieżkę stromą wskazuje, którą sam za nic w świecieby nie poszedł. Prostaczek w teatrze całkiem odurzony i zdekoncertowany się czuje temi subtelnościami.

Barantin w *Idées de madame Aubray*, przedstawia zdrowy rozsądek światowy. Achard także poczuł potrzebę Barantin'a; jest nim w jego komedyi pani Charouil. Ona jedynie wie co mówi; ale nie mówi ani tak dowcipnie ani tak rozsądnie jak Barantin Dumasa. Cała sztuka waha się... Wskazany przedmiot rozwija się powoli; połączenia scen dopatrzeć trudno. Pierwszy akt najlepszy, obfituje w dowcipne słówka przypominając nieustannie autora *Pół-swiata*; drugi mniej dobry—wlecze się, i omdlewa co chwila; trzeci akt bardzo poważny. Ale niepodobna na tak dziwne rozwiązanie przystać odrazu: zdziwienie nie pozwala się rozczulić.

Ostatecznie, komedya Achard'a należy do rzędu tych, które tu zowią *les Pièces distinguées*. Napisana gładko, wybornie grana, miewa mnóstwo słuchaczy: jestto obecnie jedyna nowość sceniczną w Paryżu.

W Odeonie wznowiono „*Les Beaux Messieurs de Bois-Doré*,” dramat ułożony z powieści pani Sand, przez nią i Paul Meuric'a. Sztuka ta piękna, poetyczna, pełna uczuć rycerskich, była przedstawioną pierwszy raz w Ambigu 1862 roku: właściwe jej miejsce w Teatrze Moliéra.

— Jeden z feletonistów paryzkich, Second wydał tomik powiastek, czyli szkiców obyczajowych, z których pierwszy najciekawszy „*la jeunesse dorée par le procédé Ruolz*” dał tytuł książce. Z tego tytułu treść odgadnąć łatwo: autor opisał życie elegantów co udają milionerów pomiędzy ludźmi, a rzeczywiście nie mają ani łóżka ani dachu. Jestto vaudeville gotowy, który z książki pewno niebawem wyjdzie na scenę.

— Wiktor Hugo wyda tej zimy nową powieść osnutą na wypadkach z rewolucyi francuzkićj.

— Michelet za kilka miesięcy wyda ostatni tom swojej „Historyi francuzkićj.”

— Wyszły dwa tomy pism Henryka Heinego, zebrane z rozproszonych rękopismów tego dowcipnego autora.

— Oktaw Feuillet układa dramat ze swojej powieści „Pan de Concord:” Leon Laya i Emil Augier przedstawiają wkrótce dwie nowe sztuki. Pierwszy napisał komedya w pięciu aktach, drugi komedya we czterech. Obie przyjęte do *Théâtre Français*. Role już rozdane; ale tytuł trzymają w tajemnicy.



ROK MAŁŻEŃSTWA.

(Z angielskiego E. Carlen).

PRZEKŁAD

Pawła z Czerniatyna.

(Ciąg dalszy).

VII.

Na dwóch ostatnich schodach ganku stały dwie osoby, których widok zwrócił uwagę Lawinii. Jedną z nich był mężczyzna wieku lat 40—45, którego włosy jasne blond okrażały szyję jakby wałkiem wygładzonym i sztywnym; lewą rękę trzymał na sercu, a za pomocą prawej, kapeluszem skreślił półkole, uchylając go równie jak całą swą figurę do głębokiego pokłonu. Wytworna uprzejmość tego ukłonu, którą powiększała jeszcze rozczulona postać tego który go oddawał, zaledwie wyrównywała nadskakującej grzeczności kobiety stojącej przy nim, a której pokłon był jeszcze głębszym, bo wysokie denko jej czepka wzniosło się prostopadle ku chmurom w czasie tego wytwornego ukłonu, który trwał prawie przez minutę: Lawinia nie mogła wstrzymać uśmiechu.

— Dzieci czy zdrowe są? — było to pierwsze słowo jakie wyrzekł pułkownik, a otrzymawszy odpowiedź: dzięki Bogu, zupełnie zdrowe, obrócił się do swój żony, i przedstawiając jej te dwie osoby, rzekł do niej:—Mój intendent, sierżant Stacke, i moja klucznica pani Brunsberg.

— Pułkownik jak widzę obrał złą drogę—rzekł sierżant z miną nieukontentowaną, przypatrując się zmoczonemu odzieniu mego pana.

— I przybywa do nas w dziwnym ubiorze—dodała klucznica z tonem oznaczającym że surowość pułkownika była jej obojętną; podczas tego, Herman sam prowadził żonę swą przez schody do obszernego salonu, którego szerokie podwoje otwierała Brunsberg; ale w chwili wejścia, opuścił rękę Lawinii i zatrzymując się na progu rzekł do niej:

— Pozwól pani że cię zostawię samą, ale może zechcesz poznać córki moje przez tę chwilkę kiedy zmienię ubranie moje.

Pani Brunsberg zamknęła drzwi za nim i wystąpiła prawie młodą pani, tonem pełnym powagi tysiąc grzeczności, które chciała ją sobie zjednać, a które obok niezliczonych życzeń szczęścia, wyrażały najżywsze zapewnienia poważania i zupełnego oddania się usługom Lawinii; poczem odetchnąwszy, zapytała czy ma przyprowadzić dzieci.

— Nie—odpowiedziała Lawinia—ja to winnam pójść do nich, proszę tylko towarzyszyć mi do ich pokoju.

Mieszkanie przez jakie przechodziła było wytwornego smaku, w wesołym położeniu i ożywione światłem jakie dochodziło szerokimi oknami; wszystko było w dobrym guście, wygodne i nanowo przystrojone dla przyjęcia młodej pani; ale serce Lawinii było ponure i smutne: wobec tych przygotowań mających rozweselać to życie, które zdawało się trudnem do zniesienia, chciałyby wykrzyknąć tak jak Herman: jakież naigrawania! Rozmowa jaką mieli na cmentarzu zdawała się powiększać jeszcze przedział jaki ich rozłączał. Jakżeby mogło kiedykolwiek łączyć nas zaufanie lub zażyłość, pomyślała, kiedy każde słowo winno być wazone zanim zostanie wyrzeczone, ażeby nie obudzić podejrzenia lub gniewu? Później dodała z zniechęceniem: zobaczymy, mało mnie to obchodzi.

Przeszła całą salę jadalną, dwa czy trzy salony przystrojone tak wytwornie, że smakiem swym wznosiły się do najwyższej wykształconej sztuki, i doszła wreszcie do pokoju sypialnego; był on przepysznych rozmiarów i w tém wielkiem łożu ozdobioném sfinxami i pysznemi szkarłatnemi firankami, Lawinia zdawała się widzieć jakby ponure widmo, postać białą kobiety, która ją poprzedzała we wszystkich obowiązkach jakie ona obecnie na siebie przyjęła.

— Ten pokój — rzekła, gdy tymczasem wzrok jej spokojnie przechodził od posępnego łóżka do toalety, wielkich foteli i t. p. — ten pokój zajmowała pewnie pierwsza żona mego męża.

— Niech Bóg broni! — wykrzyknęła klucznica, szczęśliwa że znalazła sposobność do rozmowy — nieboszka pani nigdy nie spała w tym pokoju, ani nawet nie widziała żadnego z tych mebli; zajmowała ona z panem pokój sypialny z drugiej strony wielkiego salonu: nie tam nie tknięto i wszystko zostało jak było w dniu jej śmierci. Tak, mogę śmiało powiedzieć, że pan pułkownik nie pozwolił nic wynieść, nawet karafki ani szklanki z pokoju zmarłej: chce on żeby wszystko zostało dla małych panienek jak było za życia ich matki. Tutaj wszystko jest nowem od łóżka aż do dzwonka.

Lawinia odetchnęła z radości, w głębi swego serca dziękowała mężowi za te względy, a ponieważ w tej samej chwili promień wychodzący z pod chmury błysnął na złoczone sfinksy i wyjaśnił ponure fałdy firanek, wszystko w jej oczach przybrało inną postać; musiała przyznać że pokój ten był doskonałym wzorem zbytku i dobrobytu: gdyby tylko zawitał ten dobrobyt!

— Gabinecik ten oddziela pokój pani od pokoju panienek — mówiła pani Brunsberg otwierając drzwi do saloniku w połowie biblioteką zwać się mogącego, bo napełnionego książkami, malowidłami i kwiatami, które wydawały się Lawinii uzupełnieniem piękności.

— Dzieci te są tak spokojne, że ich nie słyszać nawet — rzekła Lawinia, która już sobie wyobrażała dwa piękne aniołki, z puklami jasnych włosów, świeżemi licami i alabastrowemi szyjkami.

— O tak, one są bardzo spokojne: mała Ewelinka czasem żywością swą zaniepokoi; ale Karolinka jest najłagodniejszym dzieckiem jakie widzieć można. Racz pani wejść.

Te piękne aniołki były to dzieci postaci wątłej, cery bladłej i zwiędłej; siedziały obok siebie na dywanie założonym zabawkami, których nie dotykały nawet.

— O! biędne dzieci! — pomyślała Lawinia, gdybym mogła być dla was tém, czém tak usilnie pragnę — wzięła w swe objęcia dwie siostry bliźnięta i czuła się szczęśliwą że małe dziewczynki nie unikały jej pieszczot i uściśnień. W takiej

chwili zapomniła ona o wszystkiém, ażeby mieć tylko na pamięci wielki obowiązek jaki jej należało spełnić i zagłębiona w tych myślach trzymała dzieci na kolanach. Mała Karolinka oparła bladą swą twarzyczkę na białém ramieniu młodej kobiety, wtenczas kiedy Ewelinka uśmiechając się igrała z pysznemi splotkami czarnych włosów, jakie zdobiły twarz Lawinii. Drzwi otworzyły się nagle, i wszedł pułkownik. Uśmiech najtkliwszy i najwdzięczniejszy jaki Lawinia kiedykolwiek widziała, zawisnął na ustach jego, i młoda macocha uczuła wzruszenie pełne uroku, kiedy zamiast usunąć od niej córki swe dla uściskania ich, Herman wziął w swe ramiona i dzieci i ich przybraną matkę obejmując je w swym pierwszym uścisku.

— Zobowiązałam się słowem—wyszepnęła wzruszona Lawinia—i bądź pewny Hermanie, że je dotrzymam.

— Ani na chwilę nie wątpiłem—odpowiedział pułkownik—i to odosobnienie tych biednych istot podało mi pierwszą myśl odszukania dla nich tkliwej opiekunki.

Zawiadomiono że obiad podany, i w sali jadalnej znaleźli intencuenta, który już ich oczekiwał wyprostowany jak karyatyda, i z ręką na sercu, co było jego niezmiennym giestem.

W okolicznościach w jakich znajdowali się młodzi małżonkowie, niepodobnóm było ażeby ta pierwsza wspólna uczta była wesołą lub nawet wolną od wszelkich wrażeń. Mimo usiłowań, wszystko przybierało ton ceremonialny i uroczysty, który mroził ich słowa. Pułkownik pomieszany obrócił się do intendenta zapytując go czy nie zaszło nic nowego.

Na to zapytanie, sierżant położył widelec i zaczął wpatrywać się w swój talerz z miną zakłopotaną i wzruszoną człowieka, którego zawiodły wszystkie nadzieje. Od lat czterech żyjąc z pułkownikiem sądził znać dostatecznie charakter jego, a uważając obecne usposobienie Hermana, przeczuwał że odpowiedź jego spowodzi burzę, wśród tak posępnego humoru.

— Owszem, mój dowódzco, zaszała pewna okoliczność.

— Cóż takiego?

— Johnsohn Vortop przekroczył rozkazy pańskie.

— Jakto? spodziewam się że ten ładaco nie polował w mym majątku.

— Pułkowniku! ubił tylko dwa zające.

— Tylko? przez Boga, panie intendencie, czegoż żądasz więcej! Ale będzie ukaranym, dając ci na to moje oficerskie słowo; dwa zające! spodziewam się, że już ty sam ukarałeś go.

— Mój Boże! pułkowniku, nie chciałem brać na siebie... mianowicie myśląc że może na ten raz będziesz mniejszym surowym i że za twym powrotem...—I biedny intendent obrócił ku Lawinii wzrok błagający jakby wzywając dla winowajcy wpływu młodej pani; ale pułkownik wykrzyknął:

— Rozumiem, myśleliście że wrócę z pełnemi łaskami, podarunkami i jałmużnami, dlatego że ożeniłem się; ale przysięgam na mą duszę że nic z tego, i Johnsohn będzie ukarany podług moich rozkazów; a tobie, panie intendencie, polecam lepiej czuwać nad ich wykonaniem!

Intendent poruszał się na swém krześle, a wzrok jego raz jeszcze wzywał Lawinią o pomoc.

— Panie pułkowniku, on ma czworo dzieci!

— Gdyby miał ich trzydzieści! Cóż to mnie obchodzi?

Herman napełnił swój kieliszek i wychylił go z zimną krwią, która zdziwiła i podburzyła Lawinią.

— Hermanie—zapytała nawpół z uśmiechem—czyż to tak wielka w oczach twych zbrodnia zabić dwa zające?

Na to śmiałe pytanie, już nie wejżenia małżonków spotkały się, ale intendenta i klucznicy. Pani Brunsberg stała w kącie sali zajęta krajaniem pieczeni, i ten zamieniony wzrok powiedział tyle, ile spojrzenie może być wymownem: zobaczymy co nastąpi. Jeżeli tym razem da się przebłagać, będziemy mieli nowy rząd w domu; ale odpowiedź pułkownika nie zdawała się zgadzać z przepowiednią.

— Żądanie twoje, Lawinio, usprawiedliwia niewiedomość przepisów jakie ustanowiłem w mych posiadłościach—rzekł z zimną grzecznością—ale dla utrzymania porządku, muszę je widzieć uszanowane. Zapowiedziałem, że pod karą wydalenia, żaden z moich dzierżawców nie będzie polował ukradkiem na moim gruncie; są o tém uprzedzeni: tém gorzej dla nich jeżeli naruszają porządek.

— Bez wątpienia—odrzekła Lawinia—ale może zachodzą w tym jakie okoliczności niewiadome tobie, a które uniewinniają a przynajmniej tłumaczą.

— Jeżeli mi wolno wskazać je—szeptał dobroduszny intendent—to powiem że jego matka była chora, dzieci również, że im brakło na wszystkiém: niedostatek często na błędną naprowadza drogę.

— Dlaczegoż nie przybył tu prosić o pomoc, zamiast samemu ją wynajdywać?—rzekł pułkownik rzucając na sierżanta wzrok niezadowolenia.

— Nie chciał wzywać pomocy, otrzymawszy ją już tyłkrotnie.

— Dosyć już! ani słowa więcej w tym przedmiocie: nie chcę o nim słyszeć.

Wstali od stołu i młodzi państwo przeszli do salonu, gdzie przyniesiono kawę. Po raz pierwszy Lawinia miała występować w domu męża swego w roli gospodyni domu, którą wypełniała z wdziękiem i swobodą; podała Hermanowi z uśmiechem filiżankę, ale on nie odpowiedział jej należną uprzejmością; odebrał z rąk jej kawę nie wyrzekłszy słowa. Lawinia zakłopotana tym ponurym milczeniem zaczęła przypatrywać się starym obrazom zawieszonym na ścianach i kilku ciekawym przedmiotom, zarówno godnym uwagi przez swą starożytność jak i piękność, i odważyła się wreszcie chwalić rozkład salonu, koloryt obrazów, piękność posągów; pułkownik nie odpowiedział ani jedném słowem: postawa jego wyrażała że wszystko to zna dobrze, więc jaka jest wartość chwalonych przedmiotów i wzrok jego dodawał pogardliwie:

Jak można uwielbiać powierzchowne ozdoby, kiedy brak im życia, któreby stanowiły wdzięk prawdziwy?

Lawinia wróciła i usiadła przy stole.

— Hermanie—odezwała się nagle—gdybym prosiła ciebie usilnie i serdecznie o przebaczenie dla człowieka którego chcesz ukarać, czy odmówiłbyś tej prośbie, pierwszego dnia naszego połączenia?

Wymawiając te słowa, piękna Lawinia podniosła na swego męża wzrok, którego potęgę nie raz poznała, i zapewne musiała ona być wielką, bo pułkownik zdawał się być także ujęty powabem tego spojrzenia.

Zauważyła Lawinia grę jego fizyognomii, i zaczęła cieszyć się nadzieją: byłoby to dla niej tak wielkiem szczęściem upamiętnić dobrodziejstwem wejście swoje do tego domu. Lecz niestety! pierwszy wyraz jaki na twarz Hermana spowodził wzrok Lawinii, zatarł się szybko, wysunął on swe ramię, na którym dla wiekszego zwrócenia uwagi, młoda kobieta oparła swą rękę i rzekł:

— Gdybyś nie była pierwój odezwy tej przedstawiła przy obiedzie, w obec intendenta i klucznicy, może byłbym jęj zadosyć uczynił; ale twoje pośrednictwo natenczas wydało mi się próbą twęj władzy, a ja pragnę zachować moją całkowicie: w obec ludzi którzy mi służą, nie chcę uchodzić za uległego i pragnę pozostać panem u siebie. Jednakże, Lawinio, powtarzam ci, gdybyś mówiła do mnie jak to czynisz obecnie, bez świadków, idąc za szlachetnym popędem twego serca nie odmówiłbym tobie. Ale nie mówmy już o tém: porządek i prawo winno być zachowane w każdym domu. Domawiając słów tych pułkownik wstał aby uściskać swe córki, zanim miały się udać na spoczynek; Lawinia opuściła także salę, chcąc dać polecenie rozpakowania rzeczy.

Wchodząc do pokoju dzieci, młodzi małżonkowie spotkali panią Brunsberg przenoszącą do gabinetu Lawinii niektóre przedmioty należące do pułkownika; młoda kobieta zarumieniona przybliżyła się do okna, wtenczas kiedy Herman wyrzekł śpiesznie:

— Pani Brunsberg, proszę cię przenieść to wszystko do mego pokoju; jadę jutro bardzo rano na polowanie i nie chcę przeszkodzić mojej żonie.

Klucznica zdziwiona zebrała wszystkie rzeczy jakie przyniosła, i pułkownik wyszedł z pokoju.

Nazajutrz, jak to powiedział, wyjechał na polowanie od samego rana i Lawinia nie widziała go aż po południowej godzinie; po obiedzie, Herman spoczął na sofie w salonie gdzie pozostał aż do pory wieczornęj. Po herbacie miał o ile zdawało się zamiar dotrzymać towarzystwa żonie; ale przybył posłaniec, i najlepsza część wieczoru przeszła na czytaniu pism peryodycznych i listów: reszta czasu upłynęła na zabawie z dziećmi, które przez godzinę wozik w małym powoziku.

Następny dzień zapełniony był polowaniem, nowym posłańcem, zabawą z dziećmi; wszystko to bez odmiany i urozmaïcenia, i tak przeszedł tydzień cały. Ostatniego dnia w tygodniu przybyli dwaj panowie z sąsiedztwa, ale rozrywka z ich obecności była zbyt mało znaczącą dla Lawinii, bo natychmiast po herbacie zasiedli do gry w karty: młoda kobieta znużona nieprzewyciężoną nudotą, usunęła się do przyległego pokoju; wkrótce smutne i wzburzone myśli spowodowały na jęj oblicze wyraz nicopisanego żalu, i łzy gorące spłynęły po jęj licach.

— Żyję tutaj, pomyślała, tak obcém życiem, jakbym znajdowała się w hotelu, który należy za parę godzin opuścić. Drzę z obawy myśląc, jak on może osądzić moją bezczynność, a jeszcze więcej lękam się coby powiedział widząc mnie zajętą i czynną w jego domu; w każdym razie posądzi mnie o obojętność lub zazdrość tęg władzy, którą pragnie zachować, a jednakże aby nie umrzeć z nudów, chciałabym pracować. Ale my się nigdy nie zrozumiemy. O! to życie, te obawy, ta bezczynność: nie zniosę tego wszystkiego. Oparła palającą głowę o wilgotne szyby i westchnęła głęboko ścierając z lic swoich ślady łez, ale myśli które pragnęła oddalić z biednej głowy wracały zawsze te same; mówiła nawet do siebie półgłosem: Ten człowiek, jakiż on dziwny! czy on jest lepszym od drugich, czy wyższym nad to nawet co sobie wyobrażałam, lub może tylko jest pospolicym despotą? Dla czego zawsze zadaję sobie te pytania? Cóż mnie na tęg zależy? połowa roku jaki mam z nim przebyć, zaledwie wystarczyłaby na zbadanie tego dziwaczного i skrytego charakteru, druga połowa nie byłaby dostateczną na złagodzenie jego gwałtownej i cierpkiej natury; nie, wszystko to, spróbuje kobieta która mnie zastąpi. Ale i ja chciałabym coś uczynić.

— Czy pani każe dodać jedną potrawę więcej na kolacyą ponieważ są goście?—zapytała klucznica wchodząc do pokoju.

— Dobrze—odpowiedziała Lawinia prostując się,—coś lekkiego: omlet z konfiturami.

— Pułkownik nie jada tego.

— To śmietanę i poziomki.

— Jak pani każe; ale....

— Czy i tego mąż nie lubi?

— Tak, pani—odpowiedziała pani Brunsberg potrząsając głową.

— A więc daremne jest pytać mnie—odpowiedziała młoda pani nawpół śmiejąc się, nawpół okazując niezadowolenie. Nie znam upodobań mego męża, ale życzę sobie aby w niczem nie sprzeciwiać się im, i dlatego proszę cię pani Brunsberg zajmować się tém nadal samą bez odnoszenia się do mnie.

— Dziękuję ci Lawinio — rzekł pułkownik ukazując się w progu—przybyłem po ciebie i usłyszałem coś mówią; ale wierzaj mi, moje gusta zastosują się zawsze do twoich.

— Czy skończyliście waszą partya?—zawołała młoda kobieta uśmiechając się?

— Nie, ale widząc ciebie wychodzącą, pomyślałem że musieliśmy straszliwie być dla ciebie nudni, i że samotność gdzie usunęłaś się nie będzie mniej przykłą.

— O nie, ja nigdy nie nudzę się sama—rzekła naiwnie Lawinia.

— Miło mi to usłyszeć,—odpowiedział Herman tonem widocznie oziębłym. Odpowiedź Lawinii obraziła go, ona sama rozumiała że należało tego uniknąć; pozostali czas jakiś oboje milczący i niepewni co dalej począć; nakoniec Herman widząc że młoda kobieta milczała, powrócił kończyć grę w karty.

Przez czas tego pierwszego tygodnia i następnych, pułkownik mógł się przekonać w tym tysiącu wydarzeń i okoliczności, gdzie mężczyzna potrzebuje udawać się do rad swój żony, że Lawinia została najzupełniej obcą, wewnętrznemu składowi jego domu. Oczekiwał długo ażeby zajęła się tém czému powinna była oddać się od samego początku; ale widząc że żadna zachęta, żadna uboczną drogą podana rada, nie wpłynęła na nią o tyle, ażeby dom męża swego przyjęła za swój własny, postanowił ostatecznie udawać się do pani Brunsberg o wszystko w czém mu pomoc kobiety była potrzebną. Z początku, przewidująca klucznicą odpowiadała jak jej się zdawało najwłaściwiej: pani zna się na tém lepiej odemnie, ale widząc zmarszczenie oraz i zarumienienie pułkownika po każdej takiej odpowiedzi, od-

zwycaiała się od tego prędko, a widząc że jej pani nie miała żadnej władzy, na nowo odzyskała swoją, a nawet o wiele rozściągłęjszą. Lawinia, która zauważyła wszystkie zręczne obroty przebiegłej klucznicy, powiedziała sobie że należałoby przeszkodzić temu; ale zawsze ile razy zdawała się być gotową do wydania rozkazu i odebrania zarządu, jedna myśl wstrzymywała ją. Co na to powie Herman? czy nie pomyśli że chce osiedlić się w jego domu i zapomnieć, lub jemu dać zapomnieć 25 września r. b.

I w naturalnem następstwie wszystkich tych przemilczeń i skrupulatności, mąż i żona znajdowali coraz więcej ponurém wewnątrz domu swego i zimna jesień zdawała zarówno okrywać ich serca jak i mieszkanie. On unikał często przymusu jaki zadawała mu obecność żony i zamykał się w swoim pokoju, po załatwieniu codziennych zajęć domowych, w małym swém mieszkanku gdzie przebywał przed ożenieniem, i przepędzał czas na czytaniu, pisaniu, paleniu cygar i żalosnemu wspomnieniu tych marzeń szczęśliwszej przeszłości, które go tyle przedtém zajmowały; ona także biegła do swego gabinetu, całemi godzinami przypatrywała się obszernym pokładom skał które wznosiły się przed oknami tego pokoju i z pewnem osłupieniem zapytywała siebie, jak wiosna mogła kiedykolwiek zazieleniać krainę tak smutną, lub rozjaśniać horyzont tak ponury? Brak sąsiadów, a mianowicie przyjemnych sąsiadów, nie przedstawiał żadnego innego środka uniknięcia nudoty, jak tylko czynność i działalność; ale jakąż przyczynę, jaki cel mogła Lawinia znaleźć do obszerniejszych zajęć w tym pięknym Rosenborgu, gdzie niczego nie brakowało, gdzie wszystko było tak wytworném i zupełném? A jednakże pomimo tej mgły wewnętrznej i zewnętrznej, pomimo nudów, bezczynności, młodzi małżonkowie nie czuli żadnego pragnienia uniknięcia tych przykrych chwil przez odwiedzanie szczupłego towarzystwa jakie im przedstawiało nieliczne sąsiedztwo. Ile razy pułkownik projektował przedsięwziąć wizyty jakie należało oddać sąsiadom, Lawinia narzekała na ból głowy, i lubo w dniu całym ani jednego nie przemówił do niej słowa, Herman uśmiechał się na jej odmowę z pewnym rodzajem wdzięku. Wszelkie wizyty zawsze uważał za klęskę, i czuł się szczęśliwym że był od nich uwolnionym

przeszkodami jakie Lawinia stawiała. I tak, wszystkie wieczory jakich powinni byli użyć na wieczory towarzyskie, spędzali z sobą; pułkownik siedząc obok żony, patrzył z zachwyceniem na jej małe paluszki które kierowały igiełką z czarodziejską szybkością i lubował się w tém jej zatrudnieniu, chociaż żadném słowem, a nawet spojrzeniem nie okazywał swego zadowolenia. Podczas tych długich wieczorów rozmowa ich brała za przedmiot dalsze wychowanie dzieci. Czasem pułkownik opowiadał o swych podróżach, opisywał miejsca które zwiedzał, zwaliska jakie go zajęły swą historią, i ażeby dać jaśniejsze o tém co mówił wyobrażenie, rysował czasem miejsce o którém zachował trwalsze wspomnienie. Kiedy tak wieczorne godziny siedzieli obok siebie nachyleni oboje nad stołem, Lawinia słuchała uważnie opowiadań swego męża, i rozmowa ciągle ożywiała się, a przymus jaki zwykle ciążył na nich, zniknął, i doznawali prawdziwej przyjemności; ale dnia następnego wracała ceremonialna obojętność i wieczór dnia ubiegłego ukazywał się ich pamięci, jak sen z którego nagle zostali przebudzeni.

Tak upływał czas, czasem szybko lubo na poważnych rozmowach, lecz bardzo zajmujących; częściej jednak wydawał się długi i uciążliwy dla obojga: sześć tygodni przeszło tym trybem.

To dziwne, myślał pułkownik zauważywszy datę: żeby można ziewać przez sześć tygodni, i mieć odwagę czynić to samo nadal i to przez dość długi przeciąg czasu; a Lawinia mówiła do siebie: niechaj będzie chwała Bogu! ósma część zakreślonego czasu już upłynęła.

VIII.

— Wejdźże, panie intendencie: dostatecznie już obtarłeś twe obuwie. Przybliż się do ognia; prawdziwe to błogosławieństwo nieba, że powróciłeś dzisiaj; możemy przynajmniej porozmawiać z sobą swobodnie przez czas nieobecności państwa.

Tak mówiła pani Brunsberg rozciągając obrus na stole i przygotowując nakrycie na dwie osoby. Było to jednéj niedzieli: klucznica była sama jedna w domu, a sierżant nieobecny przez dni piętnaście dla załatwienia interesów

swego pana, zaledwie wysiadł z bryczki, kiedy już został tak serdecznie powitany przez swą starą i szczerze sobie życzliwą przyjaciółkę. Od kilkunastu lat istniała ścisła przyjaźń między intendentem i panią Brunsberg, i jeżeli nie doszło do wyznania które byłoby ustaliło ich przyszłość, nie była to wina klucznicy; bo, tyle ile pozwalała na to jej godność osobista i skromność, czyniła zaczepne kroki i jasno dała zrozumieć, że dla intendenta zatarta by w swém sercu pamięć o podoficerze zmarłym przed wielą laty. Ale Stacke, człowiek w każdej okoliczności spokojny i milczący, w przedmiocie miłości był jeszcze spokojniejszy i więcej milczący; nie rozumiał żadnej uprzedzającej grzeczności, nie wyobrażał sobie że drobiazgowce starania pani Brunsberg, owe łyżki srebrne wyjmowane z komody i kładzione mu przed oczy, codzienny obrachunek dochodów zebranych przez oszczędność, były to baterie celowane przeciw jego bezżeństwu. Przepraszał on ją za trudy jakie dla niego ponosiła, chwalił cały skład jej małego mieszkanka, z jednym z swych kolegów często nawet rozmawiał o znamienitych cnotach pani Brunsberg, ale nigdy nie myślał ofiarować siebie osobie tak niepospolitej; kiedy więc oboje zasiedli przy kominku, i on słuchał pocziwą kobietę mówiącą z żalem o odosobnieniu starego kawalera w ostatnich dniach jego życia, kiedy już nikt nie myśli usłużyć mu i pielęgnować, waleczny żołnierz był o mil tysiąc od myśli że to były serdeczne zabiegi ażeby stać się ozdobą dui jego, które ubiegając przy niej wróciłyby mu lata pierwszej młodości.

Podczas poufnej rozmowy między intendentem a klucznicą, Lawinia i pułkownik wchodzili powoli na stopnie kościoła. Widząc tę prześliczną parę sąsiedzi szeptali pomiędzy sobą: patrzaj jak oni są piękni! mówią jednak, że nie zgadzają się z sobą: jaka różnica między nimi a baronem i baronową? baron pierwszego dnia, kiedy prowadził żonę swą do kościoła, nie mógł oderwać oczu swych od niej, a ona przecież, o wiele mniej jest piękną od téj pani.

Niektóre z tych spostrzeżeń doszły przypadkiem słuchu pułkownika i jego obejście się z żoną stało się jeszcze zimniejszem; ale mimowolna ciekawość skierowała wzrok jego, ku téj, której piękność wzbudzała ogólne uwielbienie, i jakaż niespodzianka! ona także zwrócone miała oczy swe ku niemu:

oboje mocno zdziwieni t $\acute{e}$ m zejściem myśli tak daleki $\acute{e}$ m od ceremonialnych i bacznych nawykni $\acute{e}$ i i zwyczaj $\acute{o}$ w, odwrócili gł $\acute{o$ wy zarumienieni; ale w t $\acute{e}$ m zamienion $\acute{e}$ m spojrzeniu był pewien rodzaj niespokojności, pomieszania, mo $\acute{z$ e być z przyczyny, że ju $\acute{z}$ tyle wiadano i mówiono o nich, bo Lawinia tak $\acute{z$ e zrozumiała znaczenie tych szept $\acute{o}$ n wynurzających nagane i oznaczających zdziwienie.

Jedna ławka w kościele nale $\acute{z$ ała do rodziny Rosenberg $\acute{o}$ w, była to ławka na uboczu postawiona na ch $\acute{o$ rze, z kt $\acute{o$ rego widziano cały kościół; Herman zaprowadził tam swą $\acute{z$ onę: po zmówieniu cich $\acute{e}$ j modlitwy, powstając, zauwa $\acute{z$ yla ona lekką postać młodej pi $\acute{e$ knej kobiety, kt $\acute{o$ ra przyklękała po drugiej stronie ch $\acute{o$ ru, przy ławce podobnej do t $\acute{e}$ j jaka dla ni $\acute{e}$ j była przeznaczona. Rzecz dziwna! widziała że wszystkie spojrzenia zebranych obr $\acute{o$ cone były ku t $\acute{e}$ j młodej kobiecie: była ona blada, zadziwiającej blad $\acute{o$ ści, kt $\acute{o$ ra znikła na chwilę, kiedy odpowiadała skinieniem gł $\acute{o$ wy na gł $\acute{e}$ boki ukł $\acute{o$ n jakim ją pułkownik powitał.—Lawinia obr $\acute{o$ ciła się ku swemu m $\acute{e}$ żowi: on stał jeszcze i patrzył na t $\acute{e}$ obc $\acute{a}$, a kiedy usiadł, westchnął kilka razy. Ławki zapełniały się coraz wi $\acute{e$ c $\acute{e}$ j, i młoda kobieta stawała się ci $\acute{a$ głym przedmiotem uwagi prawie zuchwał $\acute{e}$ j; j $\acute{e}$ y blade lica powlekały się coraz wi $\acute{e$ kszą blad $\acute{o$ ścią, a dla uniknienia tych szyderczych lub li- tościwych spojrze $\acute{n}$, wzrok swój przymglony utkwiała boleśnie w ksią $\acute{z$ kę psalmową.

— Lawinio—rzekł pułkownik nachylając się ku ni $\acute{e}$ j—kiedy ta młoda kobieta wstanie z ławki, powitaj ją, pro- szę cię.

— Kto ona jest?

— Bi $\acute{e}$ dna, młoda dziewczyna. Czy $\acute{z}$ potrzebuje inn $\acute{e}$ j rekomendacyi, nad t $\acute{e}$, że jest nieszcz $\acute{e$ śliwą?

— Twoja, panie, wystarcza—rzekła Lawinia, obra $\acute{z$ ona t $\acute{a}$ odpowiedzi $\acute{a}$.

— A wi $\acute{e$ c niech $\acute{z$ e mo $\acute{e}$ j zawdzi $\acute{e$ cza oznakę twego szacunku o kt $\acute{o$ rą proszę—mówił Herman, a gł $\acute{o$ s jego zdradzał mimowolne nieukontentowanie.

W umyśle Lawinii niewyraźne domniemania zaczęły się plątać. Dlaczego Herman zajmował się t $\acute{a}$ kobiet $\acute{a}$, on, kt $\acute{o$ ry na nikogo nie zwracał uwagi? Dlaczego tak wyraźnie okazywał j $\acute{e}$ y wysokie powa $\acute{z$ anie, i wymagał a $\acute{z$ eby obdarzyć oznak $\acute{a}$ szacunku kobietę, na kt $\acute{o$ rą wszyscy zebrani patrzyli

z oburzającym zdziwieniem. Lawinia pytała siebie jaką wagę mogła przywiązywać do czynu tak nieznaczącego, a jednak myśl jęj powracała zawsze do tego samego przedmiotu.

Widoczném jest, mówiła do siebie, że jego powód jest szlachetnym, a jednak musi mieć do tego przyczynę; skoro tylko powitam, wszystkie spojrzenia zwrócone na nią skierują się ku mnie. Gdyby Herman nie siedział obok mnie, ukłoniłabym się temu biednemu dziecku, ale jeżeli zadosyć uczynię jego żądaniu będzie sądził, że usłuchałam rozkazu. Czyż wiem jak mam postąpić, kto ona jest... a gdyby!... nie, to niepodobna. — I myśl jaka nadbiegła sprowadziła na lice Lawinii gwałtowny rumieniec. — Czy zmysły mnie odchodzą, mówiła do siebie; cóż mi na tém zależy!... ale słuchać ślepo rozkazu!

W téj chwili, młoda blada kobieta wstała, jęj oczy zwróciły się ku ławce pułkownika i zanim Lawinia miała czas zebrać myśli, tamta znikła za kolumnami, i więcej jęj nieujrzano; posunięta nieprzezwyczężonym instynktem: Lawinia rzuciła wzrok na pułkownika on w nią wpatrywał się, ale spojrzenie to było zimném i pochmurzoném. Lica młodej kobiety zapłonęły i serce jęj zaczęło bić gwałtownie. Żałowała szczerze, że nie powitała jęj, a jednak teraz, po tém spojrzeniu, gdyby nawet miała do tego sposobność, byłaby ją pominęła. Po skończoném nabożeństwie, kościół opróżniał się powoli. Herman szedł obok swęj żony, ale nie podał jęj ręki, i sposób w jaki wyprowadzał ją do powozu i siadał obok nięj, wszystko to zdradzało wewnętrzną burzę i milczeli oboje długo, i tak może pozostałoby aż do przybycia do plebanii, gdyby wzrok ich nie zatrzymał się był jednocześnie na tym samym przedmiocie.

Blisko powozu i wzdłuż cmentarza, przesunął się lekki cień młodej bladej kobiety; lica jęj miały delikatną i matową powłokę rozwiniętej lilii, a połysk błości odbijał silniej jeszcze przy czarnym kapeluszu w jaki była przystrojona; odzież jęj cechowała zamięłowanie ścisłego ochędóstwa, ale postawa i ruchy przedstawiały ją o wiele starszą.

Uczucie niewysłowionęj litości ogarnęło serce Lawinii, uczucie zbyt szlachetne i czyste, ażeby mogło być osłabioném przez cień powątpiewania. Słowa wyrzeczone przez jęj męża: czy potrzebuje ona innęj rekomendacyi, nad tę, że jest nieszczęśliwą? brzmiały w jęj uchu pełniejszym odgłosem

jak w chwili kiedy były wypowiedziane. Powóz miał przejeżdżać obok nieznajomój; szybka myśl przebiegła głowę Lawinii: położyła rękę na ramieniu swego męża i rzekła z ujmującą słodyczą:

— Czy nie moglibyśmy ofiarować jej miejsca i odwiedzić ją do domu?

— Życzysz sobie tego? - zapytał pułkownik z żywością i zdziwieniem — téj co przed chwilą nie chciałaś ją powitać?

— Przed chwilą nie miałam czasu myśleć, czyli lepiej mówiąc, tyle miałam myśli na raz jeden, że nie zdążyłam uporządkować je.

— A więc chcę uprzedzić ciebie, że to biędne dziecko jest córką byłego ministra, i że należy do liczby kobiet, które zboczyły z drogi prawej. Dla tego w kościele patrzano na nią z oburzającą wyniosłością, jakby dom Boży nie należał do całego świata; tyle pychy i egoizmu u ludzi skłonnych do błędu: jakaż to nędza!

— Hermanie, każ zatrzymać!

On jej podziękował spojrzeniem, i kiedy powóz zatrzymał się, pułkownik wychylił się ku drzwiczkom i wyrzekł tak głośno, ażeby wszystkie osoby wychodzące z kościoła słyszeć mogły:

— Panno Rehnmann, żona moja prosi cię abyś usiadła obok niej: droga jest bardzo przykra.

Młoda dziewczyna obróciła się, a spojrzenie jakie rzuciła na Lawinię, głębokie na tejsze zrobiło wrażenie! w tym wzroku, który cierpienie przyngliło, taka serdeczna mieściła się wdzięczność a w smutnej i szlachetnej twarzy tyle było słodyczy!

— Oh! dziękuję pani — rzekła drżącym głosem — nie jestem zmęczona, mogę iść pieszo. I nie czekając powtórnego zaproszenia, oddaliła się.

— Jedź prędzej, Johnson — zawołał pułkownik.

I powóz znikł jak strzała.

— Biędne dziecko, ucieka jak przestraszony ptaszek, szczęśliwy że może schować główkę swą pod skrzydełko; ale niemniej dziękuję ci Lawinio, za to co uczyniłaś, i spodziewam się że okazane przez ciebie współczucie przyniosło pociechę Maryi, przekonując ją że nie wszyscy obarczają ją pogardą.

— Ja miałabym nią pogardzać! ja nic nie wiem o niej, nic o jej nieszczęściu.

— I nikt nie wie! a pogardzają nią tém więcej, że nie mogą wiedzieć o niczem ani odgadnąć. Marya zbłądziła, to prawda, ale przez miłość dla syna! cierpiała nędzę i wzgardę zniosła z chrześcijańską pokorą szydercze słowa, pogardliwe spojrzenia, zuchwałą litość. Oh! śmierć byłaby tysiąc razy miłszą nad to znieważone życie, nad ten upadek, z którego podnieść się nie można; ale biedne dziecię przyjmuje wszystko jako pokutę za występki, który jednak okupiła już ciężką boleścią.

— Biedna, biedna kobieta!—rzekła Lawinia.

Przybyli do pastora, gdzie oczekiwało ich liczne grono zaproszonych; rozmawiano, szeptano o biednej Maryi Rehnmann, dziwiono się że wiele osób, mianowicie te które winny były ukrywać stosunki jakie ich z nią łączyły, objawiały taką zażyłość. Ale, są to, mówiono, osoby tak potwornie dumne, że nigdy nie przyjdzie im na myśl ażeby drudzy ośmielili się osądzać ich postępowanie.

Wszystkie te tajemnicze epigrammata nie dochodziły do Lawinii, ale wkrótce strudzona jednostajnością rozmowy, młoda kobieta weszła do pokoju przyległego do salonu, gdzie ją wabił widok pięknego krzaku róży. Pokój ten zdawał się jej próżnym, lecz nagle, nachylając się do krzewu i podnosząc delikatnie białą swą dłońią wątlą gałązkę róży, ażeby odetchnąć wonią jej kwiatu, usłyszała te słowa:

— Zdaje się, że ożenienie nie powstrzymało go i że widuje ją zawsze; niechaj mu niebo przebaczy! Kiedy inni myślą że wyjeżdża na polowanie...

Lawinia wyprostowała się, obracając głowę ku miejscu zkad dochodził ją głos obcy; było to z drugiego pokoju, ale nie słyszała żadnego imienia: nie mogła to być mowa o nim! Ona się pomyliła, te słowa nie jej męża tyczyły się, nie jego wymienić.

Po dalszych szeptaniach, głos odezwał się wyraźniej:

— I powitać ją tak bezwstydnie w obec swój żony. Marya zarumieniła się, widziałam ją zapłoniłą kiedy oni weszli; siedziałam w takim miejscu że wszystko mogłam zauważyć. A potem, jakie zgorszenie! zapraszać ją do powozu i namawiać do tego żonę!

— Jakże żałuję biedną panią Rosenberg, — mówił inny głos omdlewający, — ona ma wyraz pełen ufności i nie domyśla się zapewne że poślubiła człowieka złych obyczajów. Wreszcie, nie widzi on potrzeby zmienienia trybu życia, bo pani Brunsberg jest tak dobrze wprawiona, że jak powiada, co widzą oczy, usta milczeć winny, a co słyszą uszy, powinno być tajemnicą dla języka. Ale rzeczywiście rażąca jest ta pewność i beczelna śmiałość pułkownika. Wreszcie ten człowiek tak wysoko ceni siebie, że zapewne sądzi iż szczerłość jego postępowania stawia go wyżej nad wszelkie podejrzenia.

— Oh! nie, — odezwał się głos pierwszy, — wie on dobrze że nie może już łudzić nas swą pozorną cnotą, ale spodziewa się że nikt nie będzie śmiał mówić o tém co cały świat wie dobrze.

Po tych słowach poruszenie jakieś dało się słyszeć w pokoju przyległym; Lawinia była tak pomieszana i oburzoną, że niepodobnóm jój było pojąć, jakim sposobem, w kilka minut później znajdowała się w salonie z całym towarzystwem.

Zaledwie usiadła obok żony pastora, kiedy przybliżył się pułkownik zapytując ją czy może kazać zaprzęgać: Lawinia przyjęła to z gotowością, tłumacząc się przed gospodynią domu gwałtownym bólem głowy, który jój nie pozwalał pozostawać dłużej.

Kwadrans później, powóz oddalał się unosząc małżonków tak różnie wzruszonych. Oboje siedzieli pochyleni i milczący, i tylko głuszący turkot kół słyszeć się dawał. Mianowicie Lawinia czuła w swém sercu straszną burzę; doznawała ona odrazy połączonej z pogardą dla tego człowieka, który ośmielił się igrać z nią tak beczelnie; krew jój uderzała do głowy na wspomnienie odezwy z jaką wystąpił ażeby powitała pannę Rohnmann i serce jój buntowało się przeciw niej saméj, przypominając niedorzeczną ufność, z jaką zapraszała tę młodą kobietę do swego powozu. W téj saméj chwili poruszenie pułkownika przybliżyło go do niej; Lawinia wzdrygnęła się, obwinęła się swym płaszczykiem i w głąb wsunęła: ale Herman nierozumiejąc znaczenia tego giestu, sądził że stuknięcie powozu

było tego przyczyną, i rzekł głosem którego dźwięk wyrażał słodycz niemal pieszczotliwą:

— Niedobrze ci siedzieć, Lawinio? oprzyj się o mnie.

I nie czekając odpowiedzi, ujął ją wpół, przysunął do siebie.

Młoda kobieta napróżno usiłowała cofnąć się: usposobienie nawet w jakim się znajdowała względem Hermana zalecało jej większą przezorność; to też po kilku słowach zapewniających go że dobrze jej jest, przyjęła z rezygnacją oparcie ofiarowane, ale tak przybliżoną, jeszcze więcej oparowały niespokojne i bolesne myśli.

Wszystko to jest kłamstwem! te kobiety myślą się! ale dla czego zajmować się dziewczyną tak wzgardzoną? Nie chciał maie przecież poniżyć do tego stopnia. Wreszcie czyż mam prawo wymagać od niego wierności? Tak jest, odzywało się to dumne i zbuntowane serce; tak, dopóki będę nosić jego nazwisko, mogę i muszę wymagać.—Za dziesięć miesięcy niechaj osławi tę kobietę, jeżeli zechce swą miłością; ale aż do tej epoki nie wolno mu, nie! nie zniosę tej zniewagi. I rumieniła się patrząc na niego, a serce jej odzywało się słowami: widziałam sama jak szukał wzroku tej dziewczyny.

Tymczasem powóz szedł dalej, i lubo umysł Lawinii był dręczony, postać jej zachowała spokój, a twarz wyrażała obojętność. Pułkownik powiedział że chciał zasnąć, i on także zdawał się być zupełnie spokojnym; ale stuknięcie powozu poruszyło rękę Lawinii: obawiając się obudzić męża nie śmiała wycofać ją, i ręka jej spoczywała na jego sercu. Spałże on rzeczywiście? nie! on nie spał, bo ręka jego także była oparta na sercu młodej kobiety, i również spostrzegął nadzwyczajne jego wzruszenie.

On nie śpi, mówiła do siebie; ale po co ten sen udany? dlaczego serce jego bije taką siłą, o jaką nigdy je nie posądzałam. To dziwne, to niewytłumaczone!

A on mówił sobie:

Ona nie śpi! na pozór spokojna i obojętna, a jednak wzruszona i smutna. Jak jej serce bije! Ona cierpi; oh! jeżeli jeszcze to samo wspomnienie niepokoi ją i wzrusza, pomimo że mnie tyle zapewniała! nie, to niepodobna!

Lawinia zerwała się spiesźnie.

— Nie mogę zasnąć — rzekła — ale bo też i nie chcę spać! Noc jest prześliczna a okolica ta jest przepyszna.

Opuściła szybko szyby powozu; pułkownik patrzył na nią z zadziwieniem.

— Tutaj mieszka biedna Marya Rehnmann — wymówił półgłosem i jakby do samego siebie.

Lawinia odskoczyła, ale umiejac panować nad sobą, siłą woli uspokoiła się i przemówiła głosem, w którym zaledwie lekka przebijała ironia.

— Pan się nadzwyczajnie zajmujesz tą kobietą.

— Bardzo — odpowiedział pułkownik spokojnie — ale nie nadzwyczajnie, bo ona zasługuje na zajęcie jakie we mnie wzbudza, a tém samém usprawiedliwia je. Długi czas widziałem ją wzorem wszystkich młodych dziewic jakie ją otaczały: cierpliwa, łagodna, wierna swym obowiązkom, zyskała mój szacunek, który zbliżał się do uwielbienia, a nawet w kilka miesięcy po śmierci mej żony, miałem zamiar obrać ją za matkę dla moich dzieci.

— I dlaczego nie uczyniłeś tego? — zapytała Lawinia z cierpkością.

— Bo w chwili kiedy chciałem powierzyć jej to szlachetne zadanie, ona stała się go niegodną.

Jaka nikczemność! myślała Lawinia; ażeby doświadczać biedne istoty pragnące miłości, trzeba je prowadzić ku złemu, a następnie porzucić! Wszyscy mężczyźni są sobie podobni, i on którego sądziłam wyższym przynajmniej prawością, surowością obyczajów, jest równie jak inni bezsilnym, i nikczemnie lęka się wynagrodzić wyrządzone krzywdy. Ponieważ Lawinia nie odpowiedziała na ostatnie słowa pułkownika, ten zamilkł i rozmowa ustała, a te same myśli opanowały ich na nowo, i powrócili do domu nie mówiąc do siebie ani słowa; ale ponieważ w podobném usposobieniu Lawinia najwięcej pragnęła samotności, zaledwie wysiadła z powozu, wyrzekła obracając się do Hermana:

— Wybacz że oddalam się tak wcześniej, ale migrena którą cierpię od rana, tak mi dokucza, że prosić cię będę abyś mię zwolnił od wieczerzy. I pożegnawszy męża lekkim ukłonem odbiegła, nie pozostawiając mu czasu na odpowiedź. Wszedł on do salonu i upadł na sofę nie zdejmując na-

wet płaszcza. Rzucał się jak człowiek którym miotają gwałtowne uczucia i myśli. I tak naprzemian, najgłębsze zniechęcenie zdawało się ogarniać go; potem znów błysk ulotnej radości przebiegł po jego obliczu, ale najczęściej uczuwał gniew i zwątpienie.

— Kolacya gotowa, panie pułkowniku,—rzekła pani Brunsberg z najwdzięczniejszym uśmiechem.

— Dziękuję, nie jestem głodny; proszę mi tylko przysłać filiżankę herbaty.

Pani Brunsberg zawróciła się i do zwykłego powiernika swych myśli:—patrz, jakie dziwactwo—rzekła; on nie chce jeść dla tego że ona mu towarzyszyć nie będzie. Ach! za czasów zmarłej pani, Rosenberg nie tracił apetytu dla tak błachej rzeczy. Jestem pewna że wszystko to źle się skończy; ale co oczy widzą, język milczeć musi, a co słyszą uszy powinno pozostać tajemnicą dla języka.—Czy nie kazał pana przywołać, panie intendencie?

— Nie.

— I nie pytał się o dzieci, to co dawniej było jego pierwszą myślą! Boże zachowaj nas od nieszczęścia! mam ja pewne myśli, pewne przeczucia; ale dosyć o tém.

IX.

W kilka godzin później, Lawinia siedziała w swym gabinecie przyległym do jej sypialnego pokoju, przy kominku gdzie zgasłe polana dogorywała w popiele jeszcze ciepłym. Zrzuciła z siebie świetny ubiór jaki miała w kościele i przywdziała niebieski szlafroczek, którego fałdy uwydatniały z wdziękiem doskonałe zarysy jej wysmukłej postaci. Włosy w połowie rozrzucone okrywały ją jakby welonem; jej drobna stopa spoczywała na kominku, a ręka alabastrowej białości opierała się niedbale o stolik, na którym stała lampa, a światło jakby zbiegła z nieba pieszczota, padało na zamyśloną głowę młodej kobiety. Na tym samym stoliku, prawie pod jej ręką, otwartą była szkatułka hebanowa, od której stalowy kluczyk świecił w jej drobnych paluszkach.

Nigdy na rysach zwykle spokojnych, wzruszenie jej duszy nie zdradzało się w sposób tak widoczny; znużona

ciąglą walką, chwilowo przyjmowała porażkę. Dwie gorące łzy zawieszone na jedwabnych rzęsach spłynęły wreszcie po jej licach i w tej chwili rozpaczliwej, głowę swą skryła w skurezone dłonie. Nigdy boleść osierocenia i zaniedbania nie opanowała ją tak silnie, nigdy więc jej nie pragnęła serca któreby całkowicie do niej należało i mogło obierać jej bolesne zwierzenia. A jednak, gdyby miała obok siebie tę przyjaciółkę tak pożądaną, Lawinia byłaby zamilezała przed nią, bo posiadała jedną z tych dusz, co więcej cierpią odśtonianiem ciężkich ran swoich, jak znoszeniem bólu. W dodatku jeszcze, i to mówiła do siebie, dołączając do wspomnień przebytych doświadczeń, świeżo zaszła boleść. On nie przestaje widywać ją... O! ja nie przeżyję tu rok cały... Kiedy noszę tytuł jego żony, trzeba żeby go szanował; potrzebne to jest dla mojej opinii, bo co do mnie, cóż mnie to obchodzi? I głowa jej pochylała się coraz więcej; mówiła do siebie—nie nie pojmuję: siebie nie rozumiem.

Nie mogła bowiem zrozumieć, dlaczego domniemana niewinność jej męża nie była jej obojętną. Wybrała go sobie, bo nie utrudzał ją ani zbyt uczciwymi grzecznościami, ani przysięgami. Od chwili jak go lepiej poznała, nie nie uczynił dla jej szczęścia; dlaczegoż zrobił ją nieszczęśliwą? dlaczego w tym charakterze którego wpływ pragnęła usunąć, widziała siłę jaka ją przyciągała i zniewalała do szacunku; dlaczego kiedy szło o Hermana, oczywistość nie była dla niej przekonywającą? wzywała podejrzenia tam gdzie rozsądek przedstawiał jej pewność? Dlaczego mówiła sobie: w początku naszego pożycia, lubo nie miałam dla niego żadnego uczucia, nie nienawidziłam go jednak, ale teraz nienawidzę i pogardzam. Wszakże on sam żądał rozwodu? A dlaczego serce jego biło tak mocno? nie chcę wiedzieć przyczyny, jednak zdaje mi się że źle czynię nie ufając mu; taka jak jego natura gardzi kłamstwem, i w samym złem nawet ukazuje potęgę swego ducha: nie byłby nigdy wymagał od swjej żony tego, za co winna się rumienić.

I w téjże saméj chwili, jakby sprowadzona porywem myśli swych do punktu z którego one wyszły, obróciła się do szkatułki otwartéj przed sobą. Dusza jej niepokojona zbyt boleści, potrzebowała przejść przez wszystkie wspomnienia lat ubiegłych, i poraz pierwszy od swego zameżenia wyjęła

list, ten grobowy upominek swego narzeczonego. Uchwyciwszy go, zadrżała: chciała nawet odrzucić bez czytania, ale za chwilę jakieś uczucie szydzące z własnych jej nieszczęść, przewyciężyło jej odrazę; odczytała list ten z tą samą na przemian boleścią i gniewem jak w chwili, kiedy jej ręka złamała po raz pierwszy fatalną pieczęć.

W czasie tego wyłącznego zajęcia myślami pełnemi walki tyle dręczącej jej zboliałą duszę, drzwi korytarza prowadzące do pokoju dzieciennego otworzyły się zwolna i pułkownik wszedł aby uściskać, jak to czynił każdego wieczora swe blade małe dziewczątka. Drzwi od gabinetu Lawinii były uchylone, i światło z niego ukazujące się zdziwiło go; sądził bowiem, że żona jego dawno już udała się na spoczynek. W połowie niespokojny, w połowie zaciekawiony, przybliżył się do progu i ujrzał Lawinią nachyloną nad stolikiem z głową zwieszoną nad listem który trzymała; zatrzymał oddech: była tak piękna, ale tak wzruszona! co ją tak mogło niepokoić? List! pułkownik wiedział, że nigdy nie pisał do swjej żony i miał przekonanie, że w każdym razie nie byłaby czytała listu jego z takim pomieszaniem. Ten list jedna tylko osoba pisać mogła. I o Boże! imię to Lawinia wymówiła: Ludwik! Herman cofnął się, a jego twarz byłaby przeraziła każdego ktoby ją natenczas ujrzał.

Tak więc, mówił do siebie, ona myśli o nim, zażartowała ze mnie zaprzeczając temu, a ja unosiłem się nad jej siłą i rezygnacją w ten czas, kiedy wszystko to było powierzchowne i kłamliwe!

Gdyby był zatrzymał się kilka chwil jeszcze, byłby widział Lawinią wrzucającą w szkatułkę list zmięty i usłyszał słowa wyrzeczone z wyrazem zimnej pogardy: niechaj Bóg będzie błogosławiony, że nie zostałam żoną tego człowieka.

Następnego poranku, schodząc do sali jadalnej, pułkownik zastał już tam Lawinią, która rozlewała kawę w filiżanki: było to prawie, jedyne jej gospodarskie zajęcie.

Lubo Lawinia posiadała szczęśliwy dar ukrycia doznawanych wzruszeń, zaledwie mogła powstrzymać swoje zadziwienie spojrzawszy na męża; nie widziała nigdy na tej twarzy zawsze surowej, wyrazu niezadowolenia tak cierpkiego i we wszystkich zmianach jakim podlegał jego humor przez

przeciąg dwóch miesięcy, nigdy dotąd nie doszedł był do tak ponurój przemiany.

Ton z jakim odpowiedział na powitanie młodej kobiety, nie nosił już cechy zwykłej obojętności, ale raczej niepowściągniętego gniewu, którego nie mogła sobie wytłumaczyć.

Cóż tak złego mogło mu się wydarzyć? pytała siebie Lawinia; męża zaś zapytała:—czy jesteś cierpiącym? Hermanie! a głos jej i spojrzenie było jeszcze tkliwsze jak zwykle, bo nowe myśli zatarły w jej pamięci obraz Maryi Rehnmann.

— Dziękuję — odpowiedział opryskliwie — zdrów jestem zupełnie, posiadam szczęśliwy przywilej niechorowania nigdy. Głos jego był dziwnie cierpki a wzrok zimny; bo współczucie żony wydawało mu się zmyśloném.

Lawinia umilkła, przeczuwając, że każde inne pytanie pogorszy jego humor: pili śniadanie nie mówiąc do siebie ani słowa, aż do chwili kiedy służący przyszedł zdjąć nakrycie.

— Proś pani Brunsberg, niechaj tu przyjdzie — rzekł pułkownik.

A kiedy klucznica weszła:

— Moja kochana pani Brunsberg, — rzekł z serdecznością, — nie wiem czy podziękowałem ci za starania jakimi otaczałaś dom mój w czasie mego wdowieństwa; ale jeżeli pominąłem, bądź pewną, że była to wina pamięci a nie brak wdzięczności. Spodziewam się, że i nadal nie zaniedbasz tych starań, a mianowicie podczas mojej nieobecności: wyjeżdżam dziś w południe, i proszę się zająć zapakowaniem mojej bielizny.

— Bielizny pułkownika!

— Tak jest! — Ale nagły rumieniec oblekł twarz jego — Miałabyś zaniechać dozór nad mojami rzeczami?

Klucznica rzuciła wzrok niespokojny na młodą panią, która lubo zmieszana, odezwała się wesołym tonem, jaki jedynie mógł wrócić tyle wszystkim potrzebną przytomność umysłu:

— Pani Bruusberg zbyt dobrze używa swoich przywilejów, ażebym ją kiedykolwiek pozbawić ich chciała.

— Tak myślałem— rzekł pułkownik— zładże więc twoje wahanie się pani Brunsberg? Rzecz jasna i łatwa.

— Przebacz panie pułkowniku, nie waham się, bo dzięki Bogu wszystko jest w porządku i do dyspozycji moich państwa, ale nie słyszałam o żadnej podróży, i jestem nią zdziwiona.

Ponieważ pułkownik nic nie odpowiadał, klucznica oddaliła się.

— Ty wyjeżdżasz Hermanie?— zapytała łagodnie Lavinia— jakież powód zmusza cię do tego?

— Jaki powód? ach! przez Boga! wyjeżdżam, bo dom mój stał mi się nieznośnym.

— Hermanie — wykrzyknęła młoda kobieta przerażona; później dodała z bolesnym wysileniem:— Wiem jakie miałeś przywiązanie do tego domu, kiedy mnie do niego wprowadziłeś, domyślałam się więc, że moja obecność czyni ci go nieznośnym, i nie dziwię się, że przymus jaki sobie dotąd zadawałeś, stał ci się w końcu zbyt uciążliwym; ale ty nie opuścisz tego mieszkania. Rudolf prosił nas, przepędzić z nim święta Bożego Narodzenia. Obecnie mogę przyjąć to zaproszenie, które natenczas inne powody zmusiły mnie odrzucić: pojadę sama, Hermanie, a ty będziesz mógł pozostać w Rozenbergu.

— Użyjesz pani swego czasu jak ci się zdawać będzie najlepiej, co do mojej podróży, ta już jest postanowioną i niezmienną; ale może przewidujesz zbyt ważne następstwa, gdybyśmy oboje podróżowali każde w swoją stronę?

— Bynajmniej: wyjazd jednego z nas spowoduje samepodejrzenia i te same przygany; dlatego też pragnęłam tylko wrócić ci swobodę, jakiej cię pozbawiłam. Ale zkad ci przychodzi to nagłe, dziwne, postanowienie wyjazdu? Wczoraj nie myślałeś o nim, jestem tego pewną: miej o tyle przynajmniej zaufania, ażeby objawić mi przyczynę, bo zaręczam że nie jest ta, jaką mi wskazałeś.

— Posłuchaj mnie pani— rzekł pułkownik, którego gniew z początku powstrzymany wybuchnął z gwałtownością co chwila wzrastającą; — daleki od uznania ciebie godną nowego dowodu zaufania, chciałyby wymazać z mej przeszłości wszystkie chwile kiedyś ci je okazywał, pragnąłbym

ażeby te rzadkie chwile wylania uczuć i ściślejszych związków nigdy nie istniały, chciałbym wreszcie zapomnieć o wszystkim o czém mi mówiłaś.

Na ten gwałtowny wybuch, wiele kobiet zalałoby się łzami, inne oburzone wyszłyby z pokoju; większa część ich odpłacałaby wymówką za wymówkę, zniewagą za zniewagę; ale Lawinia nie uczyniła nic podobnego: najwpierw zamilczała ażeby zebrać wszystkie siły, wszystkie myśli, a może i uciszyć wzruszenie serca które powstawało przeciw rozsądkowi; ale wszystko to krótko trwało, przez uczucie wspańiałości, pragnęła zachowując swoją godność, uszanować ją i w swym mężu.

— Hermanie—wyrzekła głosem zupełnie naturalnym—czuję, że moje pytanie było nierozważnóm i że spodziewać się odpowiedzi, była to zarozumiałość z méj strony; wybacz mi to pytanie, a ponieważ pragniesz ukryć powody, szanuję twoją tajemnicę.

Te spokojne i pełne godności wyrazy powstrzymały gniew pułkownika, czyli raczej rozbroiły go. Nagromadził on obelgi, zniewagi, a ona zamiast być obrażoną jego gniewem, przepraszała, że wywołała to uniesienie. Uwielbienie pułkownika zwalczyło gniew jego, a nawet upokorzyło dziką dumę; przybliżył się do młodej kobiety i biorąc ją za rękę, rzucił na nią spojrzenie równie dla niej nie zrozumiałe jak był nim gniew przed chwilą okazany.

— Przebacz mi Lawinio—rzekł głośno.

— Z całego serca, Hermanie.

— Ale to nie dosyć przebaczyć—mówił dalej z wysiłeniem:—przyrzeknij mi jeszcze.

— Cóż takiego?

— Puść w niepamięć moje przed chwilą wyrażenia.

— Już nie pamiętam.

— Pozwól jednak powiedzieć sobie Lawinio, że kobieta podobna tobie, winna była przewidzieć jakie następstwa wynikną dla mnie po odkryciu prawdy.

— Przysięgam ci Hermanie, że nie rozumiem ani jednego twego wyrażenia.

— Powinnaś rozumieć mnie Lawinio! lubo duma twoja nie pozwala ci może przyznać, że zwiodłaś mnie, tak jak zwiodłaś świat cały.

— Hermanie!

— Tak, zwiodłaś i czuję jeszcze, jak krew wre we mnie na myśl z jaką zręcznością przeprowadzałaś plan twój. Czyż nie upewniłaś mnie, z tém stałem i tkliwem spojrzeniem, które musiało zwalczyć wszelkie moje powątpiewania, że już nie kochasz twego narzeczonego, że pamięć jego zamarta w twém sercu, a jednak myślałaś inaczej: wszak prawda Lawinio, nie mogłabyś zaprzeczyć temu bez zarumienienia?

— Nie, nie mogłabym zaprzeczyć bez zarumienienia, bo na samą myśl, że powątpiewasz o prawdziwości słów moich, krew mi uderza do głowy i rumienię się na to nowe oskarżenie; ale przysięgę którą wyrzekłam w dzień naszych zaręczyn powtarzam ją dzisiaj, i możesz jej ufać, jakkolwiek widzisz palącym czoło moje.

Słowa te jakby sztyletem przeszły serce Hermana. Czyż nie widział ją przeszłego wieczora z listem Ludwika w ręku? nie widziałże jej pomieszanej i niemal rozpaczającej? czyż nie słyszał imienia dawniej ukochanego, wymykającego się z ust jej nawpół otwartych od łkania? a teraz zaprzeczała temu, kobieta, którą chwilami sądził godną całego uwielbienia. Mogłaż ona z tém spokojnem czołem i pogodnem spojrzeniem tak okropnie zwodzić? była więc dobrze obznajmiona z sztuką ukrywania i w sercu Hermana przed chwilą uspokojonego, na nowo gniew powstał i pamięć urazy wróciła.

— Hermanie, ty mi nie wierzysz! ty mi nie ufasz!

Odpowiedział obojętnie:

— Muszę to przyznać, ale przestańmy już o tém; przedmiot to zbyt bolesny i nie należało nam zbliżać się do niego.

— Winniśmy go poznać jednak, poruszyliśmy go odrzekła żywo Lawinia—gdyby nam to nawet najwyższą miało sprawić boleść. Uważam sobie za obowiązek nie pozostawić żadnego cienia na okoliczność tak ważną. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie; jak mogłeś powziąć przekonanie przeciwne mojej przysiędze? to pytanie nie możesz uważać nie stosownem.

— Niestosownem, nie, ale niepotrzebnem, zbyt cennem, bo cokolwiek utrzymywać będziesz nie zmienię mojej opinii. Niechaj cię wszakże nie niepokoi odkrycie twój tajemnicy.

Korzystniej nawet było nie ukrywać się z nią przed nikim, bo twoja boleść byłaby cię nierównie wyżej podniosła w oczach świata, jak zimna obojętność; świat bowiem nigdy nie zrozumie dlaczego chciałaś zwalczyć boleść tak słuszną i sprawiedliwą.

— A pan, czy rozumiesz? — zapytała Lawinia z zwróceniem, którego zwalczyć już nie mogła.

— Może i odgadłem przyczynę.

— A więc jeżeli tak jest, musisz wiedzieć, że moja obojętność i oziębłość nie były udane, że były one dokładnym wyrażeniem moich uczuć; i gdyby nieszczerłość była dla mnie możliwą, byłabym się nią posłużyła dla udania boleści której nie czułam, ponieważ okazując ją, byłabym mniej surowo przez świat sądzoną.

— Zdziwiony jestem — rzekł Herman z goryczą, że tyle zadajesz sobie trudu dla odsunięcia odemnie prawdy. Umysł silniejszy od mojego zgubiłby się w labiryncie twych objaśnień, ale powtarzam skończmy. Jedno słowo mogłoby cię przekonać, że wiem o wszystkim, a i na cóż o tem mówić?

I rzeczywiście chciał już zamilczeć, pragnąc uniknąć potrzeby wyznania w jaki sposób dojrzał Lawinią w wigilią dnia tego.

Po tych ostatnich słowach, Herman wyszedł z pokoju, i Lawinia oddaliła się do swojego, aby dopatrzeć przyczyny tego nieporozumienia i starać się je wyjaśnić, bo cierpiała nad myślą, że mąż jej wyjedzie z boleścią w sercu, widząc że błędna myśl i podejrzenie go zasmucały.

Ale mówiła do siebie zamyślona Lawinia, dlaczego Herman całą tę sprawę rozbiera z taką gwałtownością? Co mu na tem zależy, czy ja opłakuję Ludwika? Czyż on sam nie zachowuje dla mnie najwyższej obojętności? a jeżeli prawdą jest to co słyszałam, czyż nie odmawia mi nawet szacunku? Nie, nie chcę temu wierzyć, musi w tem być jakieś nieporozumienie.

Lekki okrzyk jaki dał się słyszeć z dziecinnego pokoju, wyrwał ją z zamyślenia i pobięła tam spiesźnie.

— O! to nic, pani — rzekła piastunka, widząc ją wchodzącą — dziewczynki odbierały sobie obiedwie pióro z kaszkietu pułkownika.

— Ach! — wykrzyknęła zdziwiona Lawinia — nie wiedziałam że pułkownik był tu dzisiaj.

— Dzisiaj, nie; ale zdaje mi się że wczoraj wieczorem, kiedy przyszedł pocałować dzieci, miał w ręku kaszkiet.

Te słowa nagle oświeciły umysł Lawinii, przypomniała sobie że drzwi jej gabinetu były uchylone kiedy czytała list Ludwika; teraz była już pewną, że pułkownik widział ją i wszystko zrozumiała: a domyśliła się, że jej pomieszanie, jej łzy, Herman przypisał żalowi i rozpaczę którą sądził pozostałą w jej sercu.

A więc było to rzeczywiście nieporozumienie, ale delikatność jej i uczucie do którego sama przyznać się nie chciała, kazały jej milczeć przed Hermanem; nie chciała udzielać mu objaśnień; nie mogła, a wreszcie do czegożby to doprowadzić miało? Herman nie byłby nigdy uwierzył, a tém mniéj w uniesieniu jakiemu podlegał i na poparcie słów swych nie miała innego dowodu, prócz szczerości o której powątpiewał; wszystko więc pozostałoby ciemném i niepewném.

We dwie godziny później, zeszła do salonu dla pożegnania męża. Był on bardzo wzruszony widokiem dzieci, i długo przyciskał je do serca; Lawinii dłoń ścisnął i obojętnym tonem wynurzył życzenie ujrzenia ją za swym powrotem, przynajmniej zdrową, jeżeli nie zupełnie swobodną. Lawinia nie usiłowała okazać więcej serdeczności przy tém pożegnaniu, będąc przekonaną że wszystkie oznaki byłyby uważane jako kłamliwe.

Pułkownik odjechał.

X.

W dniu kiedy Herman opuścił Rosenborg, Marya Rehmann i jej matka pracowały obiedwie w skromnym, cichym domku.

Pani Rehman obracała z pośpiechem kołowrotek a nie gładka i jasna owijała się około cewki, wtenczas kiedy Marya siedząc przy stoliku wycinała z szybkością małe kawałki kitajki które spadały na białą serwetę rozpostartą na stole: były to płatki kwiatów z których splotała girlandę. Wszystko, w tém skromném mieszkanku, zacząwszy od tych

co go zajmowały, aż do firanek z różowego perkalu zawieszonych nad łóżkiem, i kwiatów jakie zdobiły okna, nosiło cechę porządku i godności. Promienie światła przebijające się przez okna zdawały się zgromadzać na czcigodną głowę sędziwej matki. W młodości była ona najpiękniejszą w całej okolicy, i ze swęj świetnej przeszłości zachowała szlachetną postawę, swobodę w ruchach i powagę pełną słodyczy w obejściu. Burze życia nie przechodziły zapewne po tém czole, które dzisiaj włos biały otaczał srebrzystą przepaską, podobną była bowiem do dziewicy która zamknięta w cichym klasztorze, żyje tylko modlitwą, rozmyślaniami i miłością, bo też rzeczywiście całe jęj życie było tylko modlitwą i miłością.

— Maryo, dziecic moje—mówiła obracając wzrok swój ku bladęj młodej kobiecie, której delikatne palce nadawały wdzięczny kształt pomarańczowym kwiatom girlandy—dlaczego kryjesz przedemną twoje oczy, nie widziałam jeszcze ich dzisiaj?

— Moje oczy, matko ukochana!—Marya usiłowała podnieść je, ale tylko w połowie.

— Co tobie jest dziecko moje?—zapytała niespokojna matka—co ukrywasz przedemną? Usiądź bliżęj i powiedz co cię zasmuca; wzrok twój tak prędko odbiegł odemnie, a ja nie widziałam ciebie od twego powrotu z kościoła, zkad jednak winna bylaś przynieść rezygnacyą i wiare.

— O! matko moja!—Westchnienie prędko przytłumione podniosło jęj pierś uciśnioną.

— Czy nie chcesz przybliżyć się, Maryo?

— O moja grobowa korona, matko droga? I biędna kobieta pomyślała: gdyby te kwiaty które splatam były dla mnie! potęm ta myśl bolesna przesunęła się do jęj serca: nigdy te dziewicze kwiaty nie będą złożone na mym grobie! Wtenczas wstała, zbliżyła się do matki, przyklęła przed nią opierając blade czoło o kolana sędziwęj kobiety, i lży długo powstrzymywane spłyneły z głębi tego zranionego serca.

— Córko moja, moje biędne dziecic, powiedz mi co zamieszało twój spokój.

— Zamieszało matko? powiedz zniszczyło, na zawsze zniszczyło! nie mogłam modlić się.

— A więc spotkało ciebie to, czego obawiałaś się; ale dlaczego ukrywasz boleść twą przedemną? czyż nie mam prawa dzielić wszystko z dzieckiem mojem, a mianowicie cierpienie?

— O! matko, zwierzenie nie było łatwem.

Usiadła na małym stołeczku przy nogach swęj matki, i o jęj kolana oparła gorączkowe policzki.

— Maryo, moje biedne dziecię, nie należało mi puścić ciebie samą.

— O! niechaj będzie błogosławioném niebo że nie byłaś ze mną! Jakżebyś mogła znieść wszystkie te spojrzenia! O matko, jak one były zimne i wyniosłe! wskazywali mnie wszyscy jako istotę zgubioną, upadłą, poniżoną. Niestety! wiem dobrze że nią jestem.

Natenczasto matka ukrywać także musiała wzrok swój, bo i ona płakała, płakała nad swą nieszczęśliwą córką.

— O! matko, czyż trzeba żebyś tyle przezemnie cierpiała, w tém jest najwyższa boleść, w tém najsurowsza kara!

— Tak jest, kiedy widzę ciebie wzruszoną i niepocieszoną, cierpię bardzo córko moja; ale kiedy jesteś cierpliwą i pobożną jak zwykle, natenczas widzę w tobie poprawę a zapominam o twym błędzie i poddaję się smutnemu doświadczeniu; bo wiem że każda boleść przychodzi od Boga, i czuje że nie odmawia On łaski i siły tym co Go o nią proszą.

— Ale ja, matko moja, cierpię zawsze: wieczną walkę czuję w mém sercu. I jakże mogłoby być inaczej? Wychowałaś mnie z świętością i prawością uczuć, a jednak....a przecież.... O! nie twoja w tém вина. Matko to sen straszliwy; ale nie znika on jak inne... O! któż mnie pocieszy!

— Dziecię ukochane, cierpiąc długie lata z poddaniem się woli Najwyższego, boleść twoja będzie lżejszą, czas uciśzy walkę serca twego i natenczas żyć będziemy jak dawniej spokojnie i szczęśliwie, a teraz, dźwigaj z rezygnacją ciężar smutku twego, znoś z pokorą pogardliwe spojrzenia i obraźliwe słowa. Myślmy o zmazaniu winy, a nie o cierpieniu jakie nam pokuta sprawia. Gdyby wszystkie te kobiety wiedziały jaką ci zadają boleść, wstrzymałyby kamień którym gotowe są uderzyć w ciebie.

— Chciałabym w to uwierzyć, bo może to złamane serce mogłoby odżyć nadzieją.

— Powinno, córko moja; pomyśl o Bogu, o twój matce, o twych jasnych, czystych dniach w dzieciństwie, a potem staw mężne serce przeciw obelgom świata.

— Ale dlaczego, ludzie wydają się być zadowoleni ze zguby lub cierpień jednego z nich? kiedy przypadkiem zdepczę jaki nieczysty owad, nigdy nie cieszę się jego męką i konaniem.

— O! Maryo, nie obwiniaj tak twych braci: oni się nie cieszą, oni tylko nie pojmują że tyle cierpień zadają. Jestto tylko lekkomyślność z ich strony, przez nieświadomość stają się nielitościwymi. Bodajby sąd surowy jaki wydają na drugich nigdy nie dotknął ich samych!

— Niechaj ich niebo strzeże!—zawołała Marya z żarliwością.

— Dzięki ci córko, dzięki za to życzenie: przebaczenie uszlachetnia serce; ale powiedz mi, czy nikt nie ulitował się nad tobą, nikt nie okazał ci współczucia?

— Tylko ten co mnie zawsze poznaje, powitał mnie, pomimo że żona jego była przy nim.

— Byłam tego pewną!—rzekła matka z pewną dumą.

— Ale czy żona jego nie zdawała się być zdziwioną powitaniem téj, którą cały świat odpychał?

— Zapewne jeszcze przedtém rozmawiali o mnie, bo kiedy powóz ich przejeżdżał koło cmentarza, pułkownik prosił mnie w imieniu swój żony, ażebym pojechała z niemi.

— Niechaj ją za to Bóg błogosławi! Ale jak ci się wydała ta młoda kobieta?

— O! matko, ona taka piękna: nigdy nie widziałam kobiety tak szlachetnej i tak uprzejmej. Kiedy wychyliła się z powozu aby mi ofiarować miejsce, twarz jój okazywała tyle słodyczy i przychylności.

— Bodajby mogła ona uszczęśliwić pułkownika, i bodaj te pogłoski jakie krążą o nich były kłamstwem i fałszywą obmową! Czy wydaje się ona szczęśliwą, córko moja?

— O! matko, zanadto byłam pomieszana, ażeby cokolwiekbaź badać; ale w kościele zdaje mi się że twarz jój okazywała smutek.

Turkot powozu który zatrzymał się przed sienią przerwał rozmowę: Marya podniosła się zobaczyć przez okno jaki gość przybywał.

— Ach! — rzekła z widoczną obawą — to ta złośliwa pani Elista! Jakież nowe nieszczęście sprowadza ją tutaj? Zapewne ma zamiar opowiadać o dniu wczorajszym!

— Otrzyj oczy, Maryo — mówiła staruszka z powagą — i zasiądź spokojnie do twój pracy. Niechaj nie widzi twego pomieszania. Nasz żal i łzy nasze należą tylko do Boga; niechaj nie będą ich świadkami ci, którzy się tém cieszą lub pogardzają.

Po tych słowach wstała na przyjęcie pani Elisty, którą spotkała na progu, zadyszana, głośną i wystrojoną.

— Dzień dobry, pani Rhenmann! wieki przeszły jakieśmy się nie widziały: zdaje mi się że wtenczas kukułka jeszcze nie śpiewała. Bóg wie jak się to dzieje, że dniie upływają tak śpiesznie iż nie pozostaje dosyć czasu na odwiedzenie tych, dla których mamy szczerą życzliwość: panno Maryo, pozdrawiam ciebie. Zawsze tak świeża, zawsze pracą zajęta. Ale kochana panno Maryo, ponieważ jesteśmy w zażyłości, pozwól mi wyrazić współczucie i politowanie, jakie serce moje uczuło dla ciebie dnia wczorajszego. Boże mój, jakże za ciebie cierpiałam w kościele. Mówiłam o tém pani Lehnmann, która przez cały czas nabożeństwa mrugała na mnie żeby się tobie nie kłaniać. Mówiłam do niej: widoczném jest, ile ta biedna dziewczyna jest pomieszana i wzruszoną.

— Tak, odpowiedziała mi, okrutném jest podobne obejście, ale trzeba postępować tak jak wszyscy.

— O! tak! — wykrzyknęła Marya, której lica były palące, świat jest bez litości.

— O! moje kochanie, tak zawsze dzieje się; i coraz więcej zapominają ludzie o tój cnocie. Ale ale, czy nie wiesz o wielkiej nowinie?

— O niczem nie wiemy, i nowiny miasta nie obchodzą nas wcale — odczuwała się pani Rehman spokojnie.

— O! te nowiny, kochane panie, nie mogą wam być obojętne, bo cały świat wie że jesteście ściśle z pułkownikiem związane.

— Tak, to prawda; on był zawsze dobrym i litościwym dla nas, biędnych opuszczonych.

— Dobrze, dobrze, pani Rehnmann; wiadomém jest że on tylko spełnia swój obowiązek.

— Ale jak mało znalazłoby się takich, coby spełniali go z taką stałością i dobrocią—odrzekła żywo pani Rehnmann. Ileż ludzi zapomniałoby o rodzinie ich dawnego profesora; prawda jest, że przy śmiertelném łożu męża mego przyrzekł nieopuszczać nas nigdy, ale dotrzymał téż zobowiązania, a nawet wyżej nad obietnice.

— Tak, tak, okoliczności zmieniły się od tego czasu, ale na co mamy rozmawiać o dawnych dziejach, znajdziemy dosyć nowych przedmiotów do rozmowy.— Cóż powiecie na to, że pułkownik wyjechał dziś rano sam i na kilka miesięcy?

— Nie wiedziałyśmy o tém.

— Ale przyczyna téj podróży jest straszna! Mój Boże, bardzo jestem zmartwiona, że pierwsza wam donoszę o tém nieszczęściu; przybywam z Rosenberga, gdzie jeździłam dowiedzieć się o zdrowie żony pułkownika; wczoraj była bardzo cierpiąca, i zdaje się że dotąd jeszcze nie wyzdrowiała, nie chciała mnie bowiem przyjąć, co się wreszcie da wytłumaczyć, bo wiedziała że we wszystko jestem wtajemniczona.

Tutaj gadatliwa pani Elista zatrzymała się, aby odetchnąć i osądzić jakie wrażenie wywarło jéj opowiadanie; spostrzegłszy jednak że obiedwie Rehnmann były spokojne i zdawały się niczego nie domyslać, mówiła dalej:

— Wiecie zapewne, że panna służąca pani Rosenberg służyła przedtém u mnie przez trzy miesiące; kiedy więc jéj pani nie mogła mnie dzisiaj przyjąć, a pani Brunsberg była zajęta gospodarstwem, ona mi o wszystkiém opowiedziała; ale obawiam się zasmucić pannę Maryą mówiąc o tém obszerniej.

Młoda kobieta podniosła głowę ze zdziwieniem.

— Nie mam zaszczytu znać panią Rosenberg, nie może więc być pomiędzy nami nic wspólnego.

— Mylisz się i bardzo się mylisz. Pani Rosenberg była zupełnie zdrową, wchodząc wczoraj do kościoła; ale tam, ktoś, nie wiem kto taki, tak ją zaniepokoił że była blizką omdlenia, i trzymała ciągle flakon w ręku; ale kocha-

na panno Maryo, nie bierz tego bardzo do serca, zaklinam ciebie: wolałabym wyrwać sobie język jak obrazić nim ciebie.

— Szczególniejszą otaczasz mnie pani opieką,—wyrzekła Marya przejęta nieokreśloną trwogą, i cierpki uśmiech roz-
tworzył jęj błędne usta.

— Ach! ileż taktu w postępowaniu! ile siły! Oczarowana jestem tobą, panno Maryo.... ale co ja to chciałam mówić? Ach! tak, jak wyszli z kościoła, tam blisko cmentarza.... nie mieszaj się tak panno Maryo. Bezwątpienia było to za śmiałe ze strony pułkownika, ale wszyscy wiedzą że on nie żenuje się niczego; skutki wszakże były do przewidzenia: po powrocie do domu, każde z nich zamknęło się w swoim pokoju. Pani Rosenberg przysięgła że nie wejdzie nigdy do salonu, on zaś uniósł się gniewem i wyszedł bez obiadu! Nazajutrz rano uprzedził swego intendenta ażeby przygotował wszystko do jego podróży, bo miał wyjechać do Sztokholmu.

Kiedy małżonkowie spotkali się przy śniadaniu nastąpiła gwałtowna scena; o tém wszystkiém wiem od Karoliny, a chociaż nigdy nie ufam żadnym opowiadaniom sług, musiałam jednak uwierzyć téj dziewczynie, która podsłuchiwała całej rozmowy. Zdaje się że pułkownik mówił do swéj żony, jak żałuje czasu z nią spędzonego, lubo trwał on dosyć krótko; że opuszcza dom, bo nie może znieść jęj widoku, i że jest zmuszony szukać dla siebie innego pomieszkania; nakoniec rozłączyli się więcéj jak nieprzyjaciele nie jak małżonkowie: mówią że pani Rosenberg była śmiertelnie bladą i przełęczoną jak gazella w obce lwa.

Tutaj pani Elista zatrzymała się, bo rzeczywiście tchu jęj zabrakło.

— Maryo, dziecię moje, zapomnieliśmy podać pani jaki chłodzący napój, zdaje się że musi jęj być bardzo gorąco: pójdź przygotować.

Marya drżąca wstała; od kilku chwil opowiadanie Eli-
sty tak ją wzruszyło, że z wielkim przymusem powstrzymywała łzy swoje: korzystała więc z polecenia swéj matki ażeby uciec, a pani Elista odrzucając ofiarę pani Rhenmann odjechała śpiesznie, czując się zupełnie zadowoloną z odnie-

sionego tryumfu, i pomieszaną jakiem rzuciła w te biedne serca.

Kiedy znikł odgłos oddalającego się powozu, Marya wróciła do matki i boleść jej wybuchła z całą gwałtownością.

— O! mój Boże—mówiła łkając—zdaje mi się że częstka téj historyi jest prawdziwą. Może to zaproszenie do powozu było tylko z jego strony? Ty wiesz matko jak on jest dumny, i nie pozwala drugim sprzeciwiać się jego woli.

— Moja córko, ja niczemu nie wierzę cokolwiek mówiła ta kobieta; ale gdyby i tak było, jak temu poradzimy? prosić tylko trzeba Boga ażeby wrócił w dom ich pokój i zgodę.

— Ale jeżeli dla téj przyczyny odjechał, kochana matko! on jest taki obraźliwy i dumny! jeżeli ja to ich rozłączyłam, o! biada mi! biada natenczas!

— O czém myślisz moja córko? jeżeli ona wie o wszystkiem, natenczas nie masz się czego obawiać, a jeżeli nie wie o niczém, to nie myśli żądać wyjaśnienia. Ty wiesz, Maryo, że niepowinnaś przełamać danęj obietnicy. Jeżeli dowie się o tém co zaszło, odnieś się do pułkownika; ale zaledwie myśleć mogę ażeby znalazł się kto tyle okrutnym powiedzieć jej..... pułkownik jej to wytłumaczy i ona puści w niepamięć.

— Tak, ale jeżeli będzie mieć podejrzenia a niepowierzy ich?

— Jakże napróżno niepokoisz się! jak łatwo pozwalasz łaďa komu zniszczyć twe postanowienia i spokój twój duszy! Bez uzyskania pozwolenia lub rady pułkownika, niepodobnem jest ażebyś jakikolwiek krok uczyniła, zraniłabyś go tém śmiertelnie.

— O! będę milczeć, moja matko.

— Córko moja, prosimy Boga aby czuwał nad ich szczęściem.

XI.

Odjazd pułkownika powrócił Lawinii całą swobodę jakiej brak czuła w jego obecności; zajęła wreszcie właściwe sobie miejsce w pysznym zamku, objęła w nim zarząd i czas jej podzielony pomiędzy staraniem około domu i wychowa-

niem pasierbic, upływał jeżeli nie zupełnie przyjemnie, to przynajmniej znośniej jak w pierwszych miesiącach jej zamęczenia; a jednak powoli uczuła jakby rodzaj próżni około siebie: głuche znudzenie opanowało ją i jednocześnie nieokreślona żądza, nie powrotu Hermana, bo jak powtarzała sobie bezustannie, on był bardzo szczęśliwym zdala od niej, ale pragnęła jakiego wypadku, któryby przerwał jednostajność jej życia i zmienił bieg jego.

Herman pisał trzy razy, zawsze w krótkości i nie czyniąc wzmianki o chwili swojego powrotu; Lawinia więc nie mogła przewidzieć kiedy wróci, ale myśl ujrzenia go zawsze była połączoną z pewną obawą.

Jednego dnia w popołudniowej godzinie, kiedy haftowała w gabinecie przyległym do jej sypialni, usłyszała nagle odgłos kroków, które szybko przebiegały korytarze, i zbliżały się do jej pokoju. Któżby mógł wchodzić wprost do niej i bez zameldowania, jeżeli nie Herman? Mimowolne wspomnienie przedstawiło oczom młodej kobiety chwilę jego wyjazdu, chwilę wspólnego pomieszania i niezadowolenia; dla czegoż przypominała ją sobie? myśl dotkliwa i niebezpieczna! Wstała jednak posłuszna instynktowi jaki ją posuwał ku przybywającemu; ale jakież było jej zdziwienie, kiedy drzwi otwarte z łoskotem ukazały jej młodego człowieka, który rzucił się ku niej i z tkliwością ujął w swe objęcia: był to Rudolf a nie Herman.

— Lawinio, widzę cię наконец piękną i spokojną. Taki byłem o ciebie strwożony! w takiej obawie, że nie mogłem się oprzeć méj tęsknocie i przybyłem przepędzić z tobą chwil kilka.

— Kilka chwil tylko? nie mówisz tego na seryo, zrobiwszy mi tak miłą niespodziankę, nie zechcesz spiesznym odjazdem zrobić mi żalu. Jakże Herman żałować będzie, że nie jest obecnym!

— O, nie dla niego przybyłem, tylko dla ciebie Lawinio; dla ciebie saméj moja ukochana siostro.

Głos Rudolfa dziwnie zmienił się, słowa jego odznaczały się szczególną powagą, która przeraziła Lawinią.

— Rudolfie! co to jest? — wykrzyknęła porywając go za rękę.

— Czy sami jesteśmy? Ten Rosenberg jest przepyszny, ale nie wiem dlaczego zdaje mi się, że szczęście nie może tu zamieszkiwać.

— O!—wyrzekła Lawinia blednąc, —czyż obmowa i potwarz tak szybko przebiegają, że już doszły twoich uszu? Ale widzisz mój dobry Rudolffie, moja powierzchowność dowodzi już kłamstwa

— O! nie mów mi o wyrazie twarzy twojej, oddawna przywykłaś ukrywać niepokój serca twego. I obawiam się, że przedemną nawet chcesz udawać. Lawinia uśmiechnęła się i biorąc brata swego pod rękę, w sposób przymilający się pociągnęła go do swj sypialni.

— Mówmy mniej o mnie a więcej o tobie —przemówiła wdzięcznie — opowiedz mi o Julii, o waszej szczęśliwej miłości.

Twarz Rudolfa skurczyła się boleśnie.

— Nie wiem, obawiam się wszystkiego — odpowiedział z wahaniem — lękam się, że tylko parę godzin będę mógł pozostać z tobą. Lawinio, żebyś wiedziała jaką ceną okupiłem mój wyjazd do ciebie.

— Mój Boże, ty mnie przerażasz! Czy była słabą kiedy wyjeżdżałeś?

— Nie! ale Lawinio teraz....

Rzucił się na sofę, jak gdyby był bardzo znużony i przycisnął obie dłonie do palącego czoła.

— Nie, wszystko szło dobrze kiedy wyjeżdżałem, poraz pierwszy Julia ukazała mi się w innym charakterze, ale było to tylko nieporozumienie. Mówmy o tobie, jedynie o tobie moja Lawinio; mało mi pozostaje czasu a mam pewne prawo — uśmiechnął się smutnie; — dzielić twoje zmartwienie; prawo to nabyłem za cenę zbyt wysoką ażebyś mi zaprzeczyła.

— Przyznałabym się w zupełności mój Rudolffie, gdybym miała jaki smutek; ale wierzaj mi nie mam żadnego: a jeżeli doszły do ciebie jakie pogłoski, były one fałszywe. Tutaj, pomimo, że szanują Hermana, nie lubią go, bo widząc w nim brak zażyłości jaka jednym pochlebiam, drugich rozwesela, sądzą go zbyt surowym aby mógł uszczęśliwić żonę. Jednakże nasze charaktery zgadzają się najzupełniej. Ale jakże zapominałam się, jakaż ze mnie gospodyni: ty

przybywasz z dalekiej podróży, a ja nie poczęstowałam ciebie dotąd niczem.

— O! proszę cię, nie przerywaj twój rozmywy dla podobnych zajęć; odjeżdżam za chwilę i dziękuję ci za wszystko, tylko mów otwarcie, chcę wiedzieć z jakiego źródła pochodzą te pogłoski, nie wszystkie może fałszywe.

— Ale cóż ci mam mówić? powiedziałam całą prawdę.

Mówiła to ze spokojem jakiego nie doznawała, ale uskarżenie się zdawało się jej niegodnym; złożyć całą winę na Hermana byłby to brak szlachetności, tłumaczyć siebie niepodobnym. Szczęście, że własne wzruszenie Rudolfa przeszkodziło mu dojrzyć gdzie była prawda lub udanie w opowiadaniach jego siostry, i kiedy usiadła obok niego, objął w swe dłonie jej wysmukłą kibić i rzekł z gwałtownością, lubo półgłosem:

— Lawinio, mówią, że jesteś nieszczęśliwą, że Herman jest dla ciebie surowym i zimnym, że dom jego stał mu się obrzydłym i że opuścił go ażeby uciec od ciebie.

Lawinia musiała użyć całej siły potężnego charakteru, ażeby ukryć przed bratem wszystkie wrażenia i prawdę, ale tak należało. Ostatnie słowa Hermana brzmiały jeszcze w jej uszach; „odjeżdżam, bo moje mieszkanie stało się nieznośnym.” Te wyrazy zapewne były wymówione w skutku niezadowolenia chwilowego, ale zawsze zostały wymówione.

— Ty milczysz, moja siostro.

— Milczę z zadziwienia i boleści, Rudolfie; z boleści, że tak fałszywie osądziłeś Hermana, i oskarżyłeś go na pierwszą wieść potwarcy. Jest to człowiek poważny i dumny, ale dobry i z uszanowaniem dla swój żony, tak jak ona na nie zasługuje. A jednak ludzie, którzy tylko z pozorów sądzą nie wahali się obmówić nasze usunięcie się od świata i przypisać mu obrażając nas powody. Uważali jako pogardę to co było pragnieniem odosobnienia, i czując się obrażonym w ich miłości własnej, nie cofnęli się przed niedorzecznym oskarżeniem. Kiedy sama czuję się zadowoloną, dziwnym mi się wydaje, że inni ubolewają nademną. Rudolfie, Herman jest dla mnie tém, czém być winien, i jeżeli są pewne wydarzenia gdzie zamieniamy słowa mniej serdeczne, moja w tém jest wina, bo dusza czuje się jeszcze uciśniętą ciężarem prze-

szłości i może nie zawsze dla Hermana byłam taką jak należało.

— Tak — odrzekł Rudolf z pewnem wahaniem — twoje zamęcie zawarte było w warunkach tak wyjątkowych, że pragnienie odosobnienia usprawiedliwioném być może, ale nie w sposób jaki żyjecie z sobą.

— Mój bracie, ty wiesz lepiej od innych, że każdemu związkowi towarzyszą okoliczności których nikt bliżej znać nie może; niechże ci wystarcza przekonanie, że podług moich wyobrażeń jestem szczęśliwa. Co do podróży męża mego spowodowały ją ważne interesa i nie wątpię, że przyspieszy swój powrót o ile będzie w jego mocy. Wszystkie te pogłoski jakie ciebie doszły, rozśmieszyłyby mnie gdybym nie widziała, że jesteś niemi zasmucony; ale zadługo już o jednem mówimy; opowiadaj teraz o sobie, mój bracie, czy zawsze jesteś szczęśliwym?

— Ja o! Lawinio, nie umiem udawać; ty na mój twarzy wyczytałaś niepokój mój duszy: nie nie mogę ukryć i przyjaciele moi muszą wiedzieć o wszystkim. Ja nie mogę żyć bez miłości, raduję się jak mi okazują współczucie, cenię wszystkie gorące uczucia jakimi mnie obdarza życzliwe serce, i boleść moja byłaby jeszcze wyższą, gdybym tak jak ty ukrywał moje rany.

— A więc ukaż mi je mój bracie — rzekła Lawinia — ścisłając tkliwie dłoń jego; tyś nieszczęśliwy Rudolfie! ach! nie zniosę tej myśli.

— Nieszczęśliwy! sędzę, że niedługo nim zostanę, ale dotąd jednak nieszczęście nie dotknęło mnie. Kiedy wyjeżdżałem z domu, zbierały się już małe chmury, które mi zapowiadały bliską burzę,

— Ach! zgaduję cię: Julia była niezadowoloną z twego wyjazdu, niezadowolona z tego, że do mnie jechałeś. Ona ciebie tak kocha, że zasmuca ją myśl rozłączenia z tobą choćby kilkodziennego, nieprawdaż mój Rudolfie? ona ciebie prosiła, błagała, zaklinała, żebyś pozostał a ty nie dałeś się uprosić.

— Nie, nie dałem się uprosić — szeptał Rudolf tonem dziecka żałującego za swe winy — i czy powiesz jeszcze, że nie kocham ciebie?

— Oh! nigdy — rzekła Lawinia wzdychając — byłeś prawdziwie odważnym, ale smucę się tém, że z mojej przyczyny zagniewałeś ją i że fałszywa o mnie obawa wywołała twój wyjazd; nie miałeś nawet czasu przygotować do niego Julią.

— Przeciwnie Lawinio, usiłowałem przysposobić ją przez dowodzenie i możeby mi się to udało, gdyby nie próbowała łzami swemi odwieść mnie od mego zamiaru, i gdybym obrażony jej oporem i słowami, nie był nagle postanowił przekonać ją, że jej kaprysy nie powinny być prawem dla nas obojga.

— Ale już dawno żałujesz tego, widziałam to od pierwszej chwili, mój Rudolfie; chciałbyś już naprawić błąd twój i otrzymać jej przebaczenie; opóźnienie niepokoi cię, mój biedny bracie, nie mogłabym lepiej ocenić twój dla mnie ofiary, jak poświęcając ci nawzajem jedną z tych dwóch godzin jakie obiecałeś spędzić ze mną.

— Masz słuszość — wykrzyknął Rudolf rumieniąc się — i dziękuję ci za to z głębi serca mego. Ale proszę cię, nie tłumacz sobie nieprzyjaźnie ten mój spieszny wyjazd. Gdybyś wiedziała o wszystkiém..... Nie obwiniaj mego serca!

— Nigdy, mój dobry bracie; mam dowody silne przekonujące mnie o twém dla mnie przywiązaniu; ale co chcesz powiedzieć przez wyrażenie o „wszystkiém?” wytłumacz się.

— Chcę mówić o tym małym bilecikku który znalazłem w pudełku od tytoniu, gdym już o mil kilka oddalił się od domu. Julia zapewne włożyła go tam sądząc że go prędzej znajdzie; ale będąc w tak dziwném usposobieniu przy wyjeździe moim nie miałem żadnej chęci bawienia się fajką; przeczytaj, nie mam bowiem siły opowiadać o nim.

Rudolf podał siostrze swój mały bilecik który wyjął z pugilaresu, a Lawinia przewidując jaką nową niedorzeczność ze strony Julii, otworzyła go i czytała:

„Złośliwy, kochany, okrutny, uwielbiany Rudolfie.“

„Przestałeś kochać twą Julię, bo nie chciałeś ustąpić jej życzeniu tak niewinnemu, tak malutkiemu, że koniec jej napaństwa przykryłyby je tysiąc razy: przestałeś kochać ją, bo pogardziłeś jej łzami, odepchnąłeś jej prośby, lubo tak płakała i tak prosiła że rozczuliłaby skały i drzewa.“

„Trzebaż więc aby twoja siostra była ci zawsze droższą nad twą żonę? Czy sądzisz że potrafię to i nadal znosić? Czy myślisz że miłość moja nie znuży się?

„Ale jedź, jedź mój panie, podróżuj; pozo taw mnie na pastwę rozpaczy: zobaczysz ile na tem stracisz i na 'co się narażasz zasmucając mnie.

„W chwili kiedy to piszę doznając na przemian gniewu i rozpaczy, czuję się tak słabą że zaledwie pióro utrzymać mogę; ale nie chciałam ci o tém mówić, zobaczysz to za twym powrotem; może się nie spotkamy już na téj ziemi, może miłość moja dla ciebie zamrze już w mém sercu biedny Rudolfie: natenczas spodziewam się że będziesz żałował swego postępku, który przekonywa że przekładasz Lawinię nad twą biedną małą“

„Julia.“

„P. S. Rudolfie, po przeczytaniu słów tych powrócisz zaraz, wszak prawda? jeżeli nie ujrzę ciebie natychmiast, nie zobaczymy się więcej. Żegnam Cię.“

— Czy widziałeś Julię po napisaniu przez nią tego bileciku?—zapytała Lawinia.

— Widziałem w chwili mego odjazdu, ale nie dostrzegłem w niej nic nadzwyczajnego; zapewne oślepiłem wtenczas, ale powiedz mi jak o tém sądzisz? czy należało nie wracać po odczytaniu tego listu? Jeżeli jest to tylko igraszka ze strony Julii, czyż nie lepiej uczyniłem nie zmieniając mego zamiaru! Ale jeżeli.... Wielki Boże! zaledwie śmiem pomyśleć, oszaleję! Ach! ten bilecik, jakkolwiek popędliwy, skreśla jednak dobrze jęj naiwną i dziecinną wolę.

— Zapewne — odrzekła Lawinia — jest on zbyt wiernym dowodem jęj usposobienia, ale ponieważ została ukarana, myślny teraz jedynie o pojednaniu; jedź złaczyć się z tą, którą pewną jestem że znajdziesz żałującą za grzechy jak małą Magdalenę. Rozwiązałeś dwie kwestye. Najpierw przekonałeś się, że nie zawsze miłość twoja zaslepiac cię będzie i potem powrót twój okaże jęj, że twoje uczucie jest dosyć wzniosłem ażeby przebaczyć. A w końcu podoba się jęj i uspokoi ją myśl, że tylko godzinę spędziłeś ze mną.

— Oh! tak, tak; spodziewam się tego i na przyszłe lato przyjedziemy korzystać z twęj gościnności, cieszyć się twém przywiązaniem, bo ty nie masz żalu do Julii: nie prawdaż?

—Ja, nigdy, bądź spokojny; ale konie czekają: jedź mój kochany Rudolffie.

Wstał więc i przycisnął siostrę swą do serca.

— Mogę więc jechać spokojny—zapytał półgłosem—ty nie jesteś nieszczęśliwą?

— Bodajby każdy drogi twemu sercu był równie jak ja szczęśliwy—odpowiedziała z przekonaniem.

XII.

Kiedy brat odjechał, Lawinia niecierpliwie oczekiwała listu od niego, który miał zaspokoić pytanie, jakie sobie co chwila zadawała: czy będzie miał siłę korzystać z okoliczności jaką mu przypadek nasunął, czy też powróci do zwyczajnej swój niemocy.

Przybył nakoniec list oczekiwany, Rudolf pisał:

„Jakże nienawidzę wszelki egoizm! Jak brzydzę się temi zasadami fałszywemi, nیکczemnymi i nielitościwemi, którym jak słaby, niewidomy i szalony, ulegałem przez chwilę. Chcę mówić o tych nędznych zasadach, jakie człowiek podniósł do rzędu praw, przez które przywłaszcza sobie nad swą żoną władzę panującego. Jak tylko przez słabość albo niewinną nieświadomość uchybi najbliższemu swemu obowiązкови, pan samowładny sądzi się być upoważnionym do despotycznego postępowania, i ileż razy naraża przez to szczęście całego swego życia! Jak gdyby człowiek szlachetny i serdeczny, dla zwalczenia swój woli potrzebował doznawać obawy i trwogi, jeżeli możliwém jest zwalczyć wolę! Niebo i serce moje niechaj będą błogostawione. Moje ożenienie, moje szczęście domowe nigdy nie będzie zaniepokojoném, jestem tego pewny: nienależny byłem chcąc liczyć na me własne siły.

„Pobłażanie i współczucie nie jest słabością Lawinio, powinienem był myśleć o położeniu Julii, powinienem był wiedzieć, że dla zadowolenia miłości własnej narażałem moje szczęście. Samemu Bogu wiadomo z jaką teraz głęboką wdzięcznością używam tego szczęścia które dzisiaj więcéj jak kiedykolwiek oceniać umiem.

„Nie będę ci opisywał uczucia z jakiém strawiwszy w podróży noc całą przybyłem do domu! Wyobraźnia moja przedstawiała mi Julią podobną do złamanéj lilii, nie umiem

określić ci moją radość, zachwycenia, uniesienia; wszystkie wyrażenia są za słabe, kiedy ją ujrzałem świeżą jak rozkwitającą różę, żywą i wesołą jak budzący się ptaszek, nie miałem czasu ani zastanawiać się ani rozumować; oddałem się cały pieszczotom, które z jej strony były tkliwsze i więcej czarujące jak kiedykolwiek. Lawinio, ona nie zachowała żalu, zapomniała o wszystkiém; ani jednej chmurki nie było na jej czole, ani jednej wymówki na jej ustach, nie mogłem jak tylko dziękować i uwielbiać.

„Widzę ciebie, moja siostró, w chwili odczytywania tego listu i słyszę cię mówiącą potrząsając twą głową Minierwy: Biedny Rudolf, wzięty na lep i już zgubiony! Bogini mądrości, ty nigdy nie znałaś miłości, albo ją zapomniałaś!

„Szczęśliwy z mej drogiej żony, nie chcę żadnej w niej zmiany, bo znajduję ją czarującą. Przekłeta chwila, w której znajdowałem ją mniej zachwycającą. To urocze, tkliwe i kapryśne dziecko, trzeba znać równie jak ją dobrze, ażeby wiedzieć jakim skarbem jest jej serce.

„A teraz, żegnam cię moja dobra siostró, szczęście moje trwać będzie, jestem pewny, tak długo, jak moje życie; ale o twojem wątpię i lękam się że ono tylko w twych ustach istnieje.”

— Może ma słuszość, mówiła do siebie Lawinia składając list; ale przynajmniej, moje serce nie będzie złamane, gdybym nawet przestała się łudzić: dla ciebie zaś, mój biedny Rudolfie wszystko już skończone.

XIII.

W wigilią Bożego Narodzenia, wesoły zgiełk panował od rana w zamku Rosenberga; od obszernych korytarzy dolnego piętra aż do wierzchołka domu, wszystko było w ruchu przygotowując z przepychem obchód święta tak uroczystego w krajach protestanckich. Lawinia sama przewodniczyła wszystkiemu, kazała ustawiać piękne drzewka, na których domownicy znaleźć mieli zawieszane dla nich podarunki.

Pani Brunsberg z intendentem rozmawiali poufnie o spodziewanym powrocie pułkownika i o rozporządzeniach dziedziki zamku.

— Ja sędzę—mówiła klucznica—że naszą panią mało obchodzi powrót pułkownika; wyjazdem swym powiedziéby można że uwolnił ją od przykrego ciężaru. Czy wyjeżdża lub wraca, obojętném to jest dla niéj! Ona jest z rodzaju tych, co wszystko spokojnie przyjmują.

— Godném to jest pochwali! — rzekł lakoniczny intendent—bo zawsze jednak spokojność charakteru jest piękną cnotą.

— Tak, mianowicie w młodości — oświadczyła pani Brunsberg tonem stanowczym—w naszym wieku, to bardzo naturalne: my wzdychamy do spokoju.

Podczas kiedy ta rozmowa odbywała się w niższych piętrach zamku, młoda dziedziczka Rosenberga siedziała w salonie przed otwartym fortepianem. Przestała wpatrywać się w nuty przed nią stojące, i palce jéj biegały z energiczną szybkością po dźwięcznych klawiszach fortepianu, wymownych tłumaczy wyłącznych myśli jéj duszy: raz pieściły je jak lekki powiew wieczornego wiatru, gdy trąci o arfę eolską; to znowu uderzały o nie z rozdzierającą gwałtownością; w końcu, przez ciągłe a jednak harmonijne przejście naprowadziła grę swoją na jedną z tych starodawnych pieśni narodowych smętnych w których lubowała się Lawinia, i dźwięcznym głosem urocze wydobywała tony.

Kiedy skończyła, wstała szybko, bo za nią słodki i poważny głos odezwał się tonem wzruszonym:

— Dzięki ci!—Mąż jéj stał przed nią.

— Witaj, Hermanie — wyrzekła podając mu z zapalem rękę—pożądany jesteś w twym domu.

Ujął rękę jéj z wahaniem i przemówił z pewném zakłopotaniem:

— Czy jesteś szczerą, Lawinio? nie pytam się, czy doprawdy pożądany jestem i oczekiwany, ale czy przynajmniej obecność moja nie zawadza nikomu, nie sprawia przykréj niespodzianki?

— Nie zadziwił mnie twój powrót, bo oczekiwałam ciebie; jakieś przeczucie przepowiadało mi przyjazd twój w dniu dzisiejszym: czyż nie mówiłeś, że życzysz sobie przepędzić z dziećmi święta Bożego Narodzenia?

— Tak jest, tém więcej że i tak zbyt długo byłem z niemi rozłączony. Czuję już tęsknotę; gdyby tak trwało

kilka tygodni dłużej, wpadłbym w chorobę: ale już widziałem moje małe. Dzięki Bogu! świeże i wesołe.

— O! przebudziłeś je pewnie! Dopiero przed półgodziną uśpiłam je, niedobry ojciec! Ale przeczuwam że potrzebujesz jakiej przekąski. Czego żadasz: herbaty, czy kolacyi?

Pułkownik, który przez cały czas swęj podróży uciśniony był myślą znalezienia się obcym w domu swoim, przyjemnie został zdziwiony ujmującą żywością swęj żony. Pierwszy raz czuł się w obec nięj swobodny i spokojny; widzieć ją obok siebie spełniającą z uroczym powabem obowiązki gospodyni domu, było dla niego zupełnie nowém szczęściem. W chwili kiedy wróciła oznajmiając mu, że wieczerza już gotowa, wyrzekł do nięj z przymuszonym uśmiechem:

— Za wiele zadaję ci kłopotu, Lawinio!

Ona odpowiedziała przyjaznym tonem:

— Zajmować się nie jest kłopotem, a ja tak się czuję szczęśliwą zajmując się tobą.

I dopomagała służącemu przyrządzać do stołu.

— Proszę cię zostaw to; zaledwie słyszałem głos twój wchodząc tu, usiądź do fortepianu i zaśpiewaj jeszcze: czy dobrze?

— Z całego serca.

Przysunęła się do fortepianu, i śpiewała aż do chwili kiedy służący po raz drugi oznajmił godzinę wieczerzy; natenczas usiadłszy przy stole naprzeciw pułkownika, opowiadała mu z pewnem wahaniem o odwiedzinach Rudolfa, bo jakkolwiek dobierała słów dla zamaskowania istotnej przyczyny jego wizyty, ta niespodziewana podróż odbyta dla spędzenia jednéj godziny z Lawinią, musiała wydawać się dziwną. Pułkownik, który dotąd okazywał najmiłszy humor, stał się odrazu zamyślonym, i stawiając na ziemię jedną z małych dziewczynek którą trzymał na kolanach:

— Nie mam potrzeby pytać się — przemówił — czy brat twój ważny miał powód do odwiedzenia ciebie, bo samo przez się rozumie się, że nikt nie podróżuje 50 mil dla jednogodzinnej wizyty, bez istotnej do tego przyczyny.

— Nie była to wizyta jednogodzinna, ale godzina rozmowy i tkliwych zwierzeń.

— Zaledwie tyle uczyniłby oblubieniec dla swój lubej. Pięćdziesiąt mil dla zwierzenia uczuć swych! Kiedy zaś czyni się to dla siostry, przyczyna takiej podróży musi być bardzo nagła i ważna.

— A gdyby była nią rzeczywiście, Hermanie! — zapytała młoda kobieta podnosząc na swego męża wzrok jasny i pewny i przysuwając do siebie obiedwie małe dziewczynki.

— W takim razie pozwolisz uczynić sobie zapytanie — wyrzekł pułkownik; — może przybywał dla zapewnienia siebie czy nie jesteś nieszczęśliwą?

— I odjechał z przekonaniem że jestem zupełnie szczęśliwą.

— A jednak, Lawinio, kiedy rozłączaliśmy się?

— Nie zupełnie byliśmy dobrze z sobą, czy o tém chcesz mówić? To prawda Hermanie; ale pewną będąc że byłeś w błędzie, i mając nadzieję że uznasz go wkrótce, nie byłam zatrwożona twojém niezadowoleniem i Rudolf przyznał także że moja powierzchowność zaprzeczała pogłoskom które go do mnie sprowadziły.

— Twoje słowa poruszają tyle razem przedmiotów, tak różny kierunek nadają myślom, że nie wiem co mam na nie odpowiedzieć... Ale czy nie czas, żeby dzieci udały się na spoczynek?

— Ewa nie chce położyć się; ona chce zostać z mamą, — wołała mała Ewelinka, obejmując swemi małemi rączkami piękną szyję Lawinii.

— I ja także, i ja także — odezwała się Karolinka.

Pułkownik nie miał odwagi opierać się ich prośbom, ale młoda kobieta, odejmując małe rączki jakie się do niej przyczepiły, przemówiła głosem tkliwym, ale poważnym:

— Nie, moje drogie; kiedy ojciec żąda czego, Ewunia i Karolinka winny mu być posłuszne: powiedźcie „dobranoc” i połóżcie się jak grzeczne, małe dziewczątka.

Lubo z żalem, dzieci usłuchały, a Lawinia wzięwszy je za rękę odprowadziła do drzwi, gdzie oczekiwała ich bona. Lawinia obracając się ujrzała męża swego o mur opartego, który słuchał jej uwag udzielanych dzieciom.

— Jak te dzieci kochają ciebie! — wyrzekł z szczególniejszym tonem.

— Ach! jabym pragnęła tak wiele dla nich uczynić!— zawołała Lawinia z zapalem.

— Biedne, zbyt wczesnie poznają jak okropnie utracić przywiązanie.

— Nikt nie jest w możności wrócić im pierwsze, jakie utraciły! co do drugiego....

Lawinia zarumieniła się.

— Będzie można zastąpić je, chciałaś powiedzieć; nie, o nie, Lawinio, teraz wiem już że niektórym ludziom zabronione jest szczęście. Ale nie mówmy o tém. Wyrzekłaś w tej chwili słowa które mnie zadziwiły.

— Cóż takiego?

— Że byłaś przekonaną iż uznam błąd jaki popełniłem w dzień mego wyjazdu. Jakiż cel masz Lawinio w ciągłej próbie ukrywania przedemną prawdy?

— Żaden; nie będę też jej nigdy używać. Ale przyznaj Hermanie, że nie samo jedynie wspomnienie opłakiwanej miłości może wydobywać łzy gorące. Obrażona miłość własna, zdradzone zaufanie, mogą nas wzruszyć zarówno, mianowicie kiedy łącząc obecny smutek z wspomnieniem przeszłości, widzimy za sobą i przed sobą tylko powód do żalu i do łez przyczynę.

— Nie rozumiem ciebie.

— A jednak, Hermanie, może zbyt szczerą jestem w tej chwili; ale spodziewając się że obecnie uznasz moje powody, powiem ci że jeszcze przed twoim wyjazdem odkryłam przyczynę jaka cię skłoniła do podróży i obudziła w tobie tę szczególną myśl, że mimo moich przysięg kocham jeszcze Ludwika.

— A więc?—zapytał pułkownik niespokojnie.

— W wigilią twego wyjazdu dojrzałeś w ręku moim list Ludwika i łzy spływające po tém piśmie, jakie poraz ostatni kreśliła do mnie ręka niegdyś ukochana. Że widziałeś mnie, dowiedziałam się znalazłszy w dziecinnyim pokoju pióro od twego kasku, które wypadło w chwili gdyś dzieci całował. Przysięgam ci że od mego zameżcia poraz pierwszy odczytywałam list ten, i gdybyś był mnie lepiej badał, odkryłbyś wyraz przeciwny temu o jaki mnie posądziłeś.

— Lawinio, Bóg świadkiem, że mimowolnie widziałem cię tego wieczora, i przez dziwny zbieg okoliczności których przewidzieć nie mogłem; ale widziałem cię nachyloną i płaczącą nad tym listem. Co do powodu jaki cię skłaniał do odczytania go, mało mi na tém zależało; czytałaś go sama, wieczorem, i płakałaś, a do tego w chwili, kiedy na mą duszę, dałbym połowę życia mego żeby inny przedmiot zajmował myśl twoją. Dziwném jest przyznaję, a może nawet śmieszném, że ci o tém mówię; mąż który w obec swój żony takie jak ja zajmuje stanowisko, nie powinien rościć prawa do jej serca: a jednakże, sądziłem, że przez czas naszego krótkiego pożycia, nabyłem pewnego prawa do twój wierności, i myślałem, że lubo miłość twoja nie należy do mnie, nikt inny jej nie posiada.

— Hermanie, czy chcesz mi wierzyć? — zapytała Lawinia.

— Chciałbym — odpowiedział z wahaniem — ale jakiś głos w mój duszy zaprzecza wszystkim twym zapewnieniom; jeden tylko środek wyprowadziłby mnie z powątpiewania, ale lękam się czy go przyjmiesz.

— Zobaczmy — rzekła żywo Lawinia — jeżeli nic się temu sprzeciwiać nie będzie, zapewne nie odrzucę.

Wymówiła to tonem tak ponętnym i serdecznym, że pułkownik doznał dziwnego wrażenia; opuścił krzesło jakie zajmował z daleka od niej i usiadł obok niej na kozetce: Lawinia odsunęła się. Byłóżto dla zrobienia mu miejsca, czy téż w myśli pozostawienia jakiegoś przedziału między nim a sobą?

— Jeżeli moja opinia — wyrzekł, — nie jest ci obojętną, jeżeli pragniesz mego zaufania, nie odrzucaj tego środka; udziel mi ten dowód szacunku, który mnie tyle zobowiąże, za który wiecznie będę ci wdzięczny, wtenczas nawet kiedy już niczem nie będę dla ciebie: pokaż mi ostatni list twego narzeczonego.

— Niepodobna! nigdy! — wykrzyknęła Lawinia. I wstała śpiesznie jakby uderzona niespodziewanym ciosem.

— Niepodobna! — powtórzył on z niepokojem.

— Posłuchaj mnie i bądź wyrozumiałym; list ten jest dla mnie upokorzeniem: nie, nie, to niepodobna żebyś go kiedykolwiek czytał.

Nigdy Lawinia nie doszła do takiego wybuchu, nigdy do tego stopnia nie przestała panować nad sobą, i nie okazała się tak głęboko wzruszoną; pułkownik był niemniej poruszony, ale rzecz dziwna, wzruszenie to nie miało w sobie żadnej goryczy: przeciwnie, z głębi jego zaniepokojonego serca wyrwała się jakaś dzika radość, jakby przecucie szczęścia. Nie umiał zdać sobie sprawy z uczuć swoich, czuł się jakby sennym, i jedna mu tylko myśl wyraźną pozostała, żeby z uroczego tego snu nie być przebudzonym.

Ale nieśmiałe kroki dały się słyszeć w zdłuż korytarza i niepewna ręka obróciła klucz we drzwiach. Któż to mógł być, jeżeli nie biędny sierżant, którego przeznaczeniem było przybywać zawsze w złej chwili.

— Pułkowniku, hrabia.

— Przez Boga! zapomniałem że przyjechał ze mną — zawołał zmarszczywszy czoło Herman. — Zaprowadź go do niebieskiego pokoju, dopóki inny nie będzie dla niego przygotowany: idę natychmiast.

— Któż to jest ten hrabia? — zapytała Lawinia, zadowolona z przerwania ich rozmowy.

— Mój najdawniejszy i najlepszy przyjaciel, hr. Adryan B..., który zwykle przepędza lato w Rozenbergu i który, jeżeli pozwolisz zabawi u nas parę tygodni. Jest to człowiek szczerzy, uczony i sympatyczny, który zasłużył ażeby los udzielił mu coś więcej nad tytuł hrabiego.

— Czy ubogi?

— Nie zupełnie pozbawiony bytu, lubo takim się przed drugimi wydaje, ale nie potrzebuję mówić o nim wiele; zobaczysz go: jest to człowiek, którego postawa i obejście same za nim przemawiają.

— Dla mnie, przyjaźń twoja poleca go dostatecznie i powitam go całym sercem, przez wdzięczność że umię uprzyjemnić ci pobyt w domu twoim.

— Lawinio! nie mów tego; od chwili jak wróciłem, dom mój zmienił dla mnie swą postać: tyś go przekształciła.

— Może twoja w tém zasługa, może nas obojga?

— Obecnie jesteś tak dobrą, więcej jak dobrą Lawinio! ale te odwiedziny Rudolfa niepokoją mnie.

— Zbyteczném to jest Hermanie, Rudolf odjechał z przekonaniem że jestem szczęśliwą; a teraz idź do twego przyjaciela: będę was obydwóch oczekiwać.

XIV.

Na pierwsze wejrzenie, w szczególności nie tak nie zalecało hrabiego Adryana B., ażeby zwrócić mogło większą uwagę; wzrostu był wysokiego, ale rysy jego twarzy nie były regularne: brakowało im harmonii. Za pierwszym rzutem oka, możnaby go nazwać brzydkim i był nim rzeczywiście; ale wkrótce dojrząc w nim można było cechę zajmującej oryginalności, która nadawała szczególny wdzięk téj brzydocie.

Lubo oczy jego zanadto były zagłębione, wklęsłe, rzucały wzrok tak przenikliwy i rozumny, że wzbudzał ogólne zachwycenie, a jeżeli miara czoła jego nie zachowała form piękności, myśl szlachetna pozostawiła na niém widoczne ślady. Ruchy jego, lubo swobodne, nie zdradzały wojskowego, i wszystko przedstawiało w nim więcej człowieka światowego i myśliciela jak żołnierza; miał przeszło lat trzydzieści, ale praca naukowa zdawała się dodawać mu lat kilka.

— Otóż, Lawinio, przyjaciel, o którym ci mówiłem; osądzisz sama czy obecność jego ożywia lub zasmuca Rosenberg. Człowiek to pełen zasług.

— Sumienie moje—rzekł hrabia kłaniając się—zmusza mnie uprzedzić panią, że zasługi moje, gdyby nawet były jakie, pozostają w zupełném ukryciu.

Wieczór zbliżał się a Lawinia zajęta rozporządzeniami na przyjęcie gościa, żadnego dotąd nie uczyniła odkrycia, oprócz tego, że obok Hermana hrabia tracił na porównaniu bardzo wiele.

Pierwszyto raz miała sposobność porównywać męża swego z drugimi i wszedłszy na tę drogę, tak sobie w niej upodobała, że czasem nawet zaniedbywała obowiązki gospodyni. Niewiadomo czy Herman spostrzegł jakie wzbudził zajęcie w swéj żonie, ale to pewne, że nigdy nie był tak ożywiony i swobodny, w żadnej rozmowie okazał tyle zapału, tyle słodyczy; i wieczór przeszedł, zanim zachwycona Lawinia spostrzegła zbliżającą się chwilę rozłączenia.

— A więc—zapytał pułkownik odprowadzając hrabiego do jego pokoju—co myślisz o mojej żonie?

— Czy żądasz pochlebnej, czy szczeréj odpowiedzi?

— Tylko szczerój, bo wiesz jak cenię twoje zdanie.

— Nigdy nie widziałem tyle wykształconej, tak ślicznej kobiety; nigdy nie widziałem piękności któraby lepiej przedstawiła mojej wyobraźni, jaką musiała być Wenus grecka, a pomimo tego wcale mi się ona nie podoba.

— Czy podobna? — zawołał zdumiony pułkownik zapominając o skromności, jaką mu nakazywał tytuł męża.

— Ty wiesz dobrze Hermanie, że nadewszystko przekładam swobodę, naturalność; w twój żonie zaś widzę wszystko nastrojone, przygotowane, ułożone; wszystko jest z przymusu i pod wewnętrznym wpływem: ale przypomnij sobie, że tylko na twoją prośbę wyrażam się tak otwarcie.

— I szczerłość twoja bynajmniej mnie nie obraża; ale powiedz, na czém opierasz sąd twój: wiem że nigdy lekko nie sądzisz.

— Jest jednak cokolwiek lekkości w tworzeniu opinii po kilkogodzinnej znajomości, ale powód mojego sądu jest obojętne żony twój względem ciebie. Ty, przed którym ona powinna być swobodną i naturalną, zdajesz się wzbudzać w niej pewien przymus i sądzićby można, że chce ukryć przyjemność jaką jej sprawia twoja dla niej uprzejmość i urok jaki rzucają na nią twoje słowa. Jeżeli jej spojrzenie spotka się z twojem, rumieni się jak pensyonarka; nakoniec, ten rodzaj zalotności zaledwie wytłumaczony u młodej dziewczyny, w kobiecie zameężnej wydaje mi się niezrozumiałym i zgubnym.

Podczas kiedy hrabia mówił, widoczne pomieszanie zdradzało uczucie pułkownika, a kiedy Adryan skończył Herman zapytał go ze wzruszeniem!

— Czy pewnym jesteś, że nie mylisz się w twych uwagach?

— Tak pewnym, jak prawda odkrycia jakie w tobie uczyniłem.

— Cóż takiego?

— Jesteś zakochanym, szalenie zakochanym, mój biedny przyjacielu.

— Ach! ten żart jest przewybornym; czy nie wiesz mój kochany Adryanie, że jestem z liczby niepokonanych?

— Dawniej tak myślałem; ale dzisiaj nabyłem przeciwnego przekonania: widzę cię oczarowanym. Nie masz po-

trzeby przeczyć temu, znam się na symptomach téj choroby; jesteś w ostatnim paroksyzmie: ale czyż to jest występki kochać piękną kobietę? i w której ja, lubo tak surowy, widzę jedną wadę i to zapewne wynikającą z chęci podobania się tobie.

— I w tém mylisz się! to co upatrujesz w jéj spojrzeniu, jest tylko jałmużną jéj serca, ale nie dowodem głębokiego uczucia.

— Niepodobna!—zawołał zdziwiony hrabia.

— Niedługo sam odkryjesz tę prawdę; związek między mną a Lawinią jest szczególny, czyli lepiej mówiąc jest tylko urzędowy i przechodni: jesteśmy małżonkami jedynie w obec prawa.

— Czy zmysły utraciłeś?

— Tylko smutną prawdę objawiłem. Teraz rozumiesz obojście Lawinii ze mną w położeniu tak dla niej fałszywém?

— Przyznać muszę, że wywiązuje się z rzadkim taktem i godnością; ale czy pozwolisz uczynić ci jedno pytanie?

— Nie; powiedziałem wszystko i na nic więcej nie odpowiem: powód tego naszego położenia winien dla wszystkich zostać tajemnicą, i nie wznawiajmy nigdy téj rozmowy.

— Tylko jedno słowo: które z was jest winowajcą?

— Żadne, i oboje nie możemy zaradzić temu złemu, bo nie czujemy dla siebie miłości.

— Pozwolisz mi powątpiewać; ale moje przekonanie zachowam dla siebie: do was należy doświadczać siebie wspólnie.

Oh! pomyślał pułkownik, żegnając swego przyjaciela, niestety czasu nam do tego zabraknie.

Ale wszedłszy do swego pokoju, bieg myśli jego naprowadził go znowu na chwilę, kiedy Lawinia pomieszany i błagającym głosem mówiła mu: „Hermanie, bądź wyrozumiałym; ten list jest mojem upokorzeniem, rozumiesz mnie? ja nie chcę żebyś go czytał.“ Wyraz jéj twarzy, mówił do siebie, nakazywał zaufanie, ale czyż przed ludźmi których się kocha, lub tymi którzy nam są obojętnymi, należy wahać się z zwierzeniem okoliczności jaka nas upokarza?

Pytanie to zostało nierozwiązaniem dla pułkownika, bo przechodząc myślami całe swoje życie, nie znalazł coby

go upokarzało, lub czego lękałby się powierzyć. Czystość serca Lawinii, wzniosłość jej charakteru, wyłączały ją także od wszelkiego podejrzenia.

Czy jestem przy zdrowych zmysłach, czy szalony? pytał siebie rzucając się w łóżko. Ten Adryan pomieszał mi myśli, swemi szczególnemi uwagami? on jest poetą i wszędzie upatruje tkliwe uczucia. „Hermanie, bądź wyrozumiałym, ten list jest dla mnie upokarzającym.“

Jakto! Jeszcze wracam do tych nieszczęśliwych wyrazów; czuję że mam gorączkę, a tu ani kropli wody: karafka zupełnie próżna.

XV.

Zegar wybił dziesiątą, kiedy pułkownik który późno się przebudził, wszedł do sali jadalnej, gdzie przybył z postanowieniem nie wznawiania ostatniej rozmowy.

Lawinia stała przy stoliku, w strojnym negliżu podając filiżankę kawy hrabiemu Adryanowi.

— Jak widzę na przyjaznej jesteście stopie—mówił pułkownik na wpół z uśmiechem. Te słowa zdawał się mówić z niejakim przymusem, bo myślał o bliskiej chwili, kiedy Lawinia odzyskawszy wolność żyć będzie zdala od niego, otoczona kołem wielbicieli.

Lawinia nie zrozumiała go, sądziła że jest obrażony iż nie oczekiwała ze śniadaniem, i wyrzekła tonem żartobliwym ale i usprawiedliwiającym:—Gdybyś Hermanie widział hrabiego Adryana, uznałbyś że bez ubliżenia prawom gościnności nie mogłam pozostawiać go dłużej bez śniadania i że należało skrócić czas, który mu był tak długim. Hrabia ziewał już trzy razy.

— To oskarżenie nie jest ani szlachetne ani sprawiedliwe—rzekł hrabia z uśmiechem.

Pułkownik rozpogodzony przybliżył się do okna; śnieg padał przez noc całą i pole przyodziane w to błyszczące prześcieradło, przepyszny przedstawiało widok.

— Czy życzysz sobie—zapytał Herman—żebyśmy korzystali ze śniegu jaki nam Opatrzność zesłała, próbując dzisiaj sanek które sprowadziłem ze Sztokholmu?

— Bardzo dziękuję—odpowiedział Adryan.—Jakiż duch opętał cię pułkowniku; przez trzy dni ciągnąłeś mnie za sobą, i zaledwie przybyłem, kiedy na odpoczynek ofiarujesz mi spacer po waszych niegodziwych drogach? Chciój pani uzyskać dla mnie ułaskawienie. Miłuję śnieg zapamiętałe a mianowicie kiedy widzę go z okna, siedząc przy dobrym ogniu, i w towarzystwie Szekspira lub Szyllera: na dzisiejszy dzień cały zamawiam sobie gościnność tej sofy, i towarzystwo wybornego kominkowego ognia.

— Uzyskasz hrabia ułaskawienie—odpowiedziała młoda kobieta z uśmiechem—jeżeli Herman w miejsce pana zechce mnie przyjąć za swego towarzysza podróży.

— Czy doprawdy? Lawinio—wykrzyknął pułkownik zachwycony.

— Pod warunkiem, że użyjemy starych sanek w miejsce nowych, ażebyśmy mogli zabrać z sobą dzieci: posłuży im to na zdrowie i wielką sprawi przyjemność.

— Droga Lawinio, wszystko się stanie według twoich życzeń.

— Jesteśmy na dobrej drodze—rzekła pani Brunsberg do sierżanta udzielając mu wydany rozkaz zaprzężenia sani—miodowy miesiąc zaczyna się....

— Spodziewam się że ci nie zimno Lawinio—mówił pułkownik do swej żony otulając ciągle szalem jęj prześliczne ramiona; ale szal zsuwał się bezustannie, a Herman zawsze go poprawiał.

— Doskonale mi jest; ale spojrzij Hermanie, jaki okazały widok sprawia odbicie tych ciemnych skał na przecudnej białości śniegu! Chciałabym prędko ujrzyć lato, wtenczas ta okolica musi być prawdziwym rajem.

— Nie wiem czy jest mniej piękną w zimie: nigdy nie wydała mi się tak świetną jak dzisiaj. Ale któż może powiedzieć, czy uczucie jakie nas przejmuje w obec natury wypływa z nas samych, czy téż obudzają je w nas przedmioty jakie rozważamy? Widok jaki nigdy nie zwrócił naszej uwagi, nagle nas zachwyca, bo przyodziewa się w tę piękność, jaką mu udziela nasze wrażenie; dlategoż do szczególnych zaliczyć można wydarzeń, ażeby dwie osoby, których serca rzadko kiedy są pod wpływem podobnych sobie wrażeń, uważały i uwielbiały piękno jednym i tym samym spo-

sobem. Ale przyznaj, że nie często można używać przyjemności podobnie pięknego widoku.

— Będę wyjeżdżać tak często, jak będzie można; czy jednak nie bardzo oddalamy się od domu?

— Nie ma jeszcze godziny od chwili naszego wyjazdu.

— Ale powrót zajmie także godzinę czasu. Dwie godziny dostateczne są na rozrywkę, mianowicie w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy gospodyni ma tyle w domu zajęcia.

— Masz słuszość, przepędziłem wiele już podobnych świąt w Rosenborgu: jak obchodzić je będę w przyszłym roku?— Westchnął głęboko.

Lawinia odwróciła się zakłopotana.

— Wybacz mi—szepnął Herman—ale tak się zawsze dzieje: w chwili kiedy się rok kończy, badamy co nam przyniósł, a potem zapytujemy się następnego co nam przyniesie.

— Prawda: przeszłość i przyszłość zawsze więcej zajmują nasze myśli jak teraźniejszość.

— Mylisz się Lawinio: są chwile, kiedy pragniemy ażeby całe nasze życie zebrało się w jedną, obecną.

— Ale—wyrzekła młoda kobieta—teraźniejszości nie ma wcale, bo chwila która upływa należy do przeszłości, a następna do przyszłości.

Gdyby wszystkie mogły być podobne do tych które obecnie ubiegły, pomyślał pułkownik.

O wieczornej godzinie, tysiące świateł jaśniało na gałązkach drzewka ustawionego w salonie, a uradowane dziewczynki biegały od ojca do matki, a od tój do hrabiego Adryana, pokazując zabawki które chciwie chwytaly, i które ich niecierpliwe ręczki starały się co prędzej zrywać z wierzchołka świeżej jodły.

— Dzięki Wszechmocnemu! widzę przecież dziewczątka moje równie wesołe i żwawe jak inne dzieci; i tobie to Lawinio zawdzięczam.

Ona uśmiechnęła się i pozwoliła ująć swą rękę, którą trzymała na drzewku dla zdjęcia winogrona dla Karolinki. Scisnął dłoń jej w swojej, następnie objął obiedwiema rękami patrząc tkliwie w oczy Lawinii.

— Moje córki tak są dzisiaj piękne; powiedz mi jaką wezwałaś wieszczkę aby je tak przekształciła?

— Oh! tysiące małych djabełków wzięłam na pomoc, których wy mężczyźni nie znacie, bo oni tylko nam kobietom służą i przez nas są używani. Wy nie znacie ile jest ukrytych środków ażeby zabłysnąć pięknością: my je wyszukujemy. Te biedne dzieci nigdy nie były ubrane z gustem, teraz znajdujesz je ładnymi, będę się starać ażeby takimi pozostały i przepowiadam ci Hermanie że będą z nich pаниenki bardzo zajmujące.

Tak przeszła wigilia Bożego Narodzenia, spokojnie i wesoło; ale od dnia następnego chmury zgromadziły się nad domem pułkownika, i nieszczęście, które wprowadzie nigdy nie zdawało się być od niego bardzo oddaloném, uderzyło nagle.

Mała Karolinka narzekała na ból głowy i wkrótce przyłączyła się gwałtowna gorączka. Od téj chwili wszystkie myśli pułkownika skierowane zostały ku téj dziecinie. Przez noc którą Herman i Lawinia spędzili oboje przy jéj łóżku, złe pogorszyło się tak dalece, że doktor przywołany z początkiem dnia następnego, zawyrokował że była to najgwałtowniejsza szkarlatyna.

Odtąd wszystkie starania, oraz wszystkie godziny dnia i nocy, Lawinia dzieliła między małą chorą i jej siostrą, ale jéj troskliwość była daremną, choroba udzieliła się małej Ewelinie i obiedwie umieszczono w jednym pokoju aby je zarówno doglądać i pielęgnować. Pułkownik nie odstępował swych córek, ponury i smutny, z rękami złożonemi na piersi przechodził od jednego łóżeczka do drugiego, i co chwila silniejszy znajdował powód do udręczenia i niespokojności. Lawinia pojmowała tę milczącą boleść i dobrze wiedziała że jedynie uczucie ojcowskie zajmowało natenczas jego serce, że wszystkie myśli skierowane były do ukochanych dzieci, a wszystko inne było mu uciążliwém albo obojętném. Młoda kobieta zbyt była szlachetną ażeby mieć żal do tego ojcowskiego egoizmu; to też nie obrażała się poleceniami które niemal rozkazującym udzielał jéj tonem, ani oznakami zniecierpliwienia, kiedy w téjże saméj chwili nie zastał ją spełniającą przepisy doktora; jednakże pragnęłaby żeby zauważył jéj zajęcie, ażeby widział że nie opuszczała go ani w dzień ani w nocy; chciałaby żeby dostrzegł to jéj poświęcenie, a tém samém zmienił na chwilę bolesną myśl nieprze-

stannie go zajmującą. Kiedy Lawinia błagała go ażeby chciał spocząć w swym pokoju, odpowiadał stanowczo i z niecierpliwością że nie opuści swych dzieci. Był on względem nich niezmordowanym, nieustającej cierpliwości, niewyczerpanej słodyczy. Przejęty boleścią nie uważał że lica Lawinii bladły codziennie i że przez zbytek utrudzenia przesłiczna jęj kibić się pochyliła.

Nakoniec, pani Brunsberg, której uwagi nic nie uszło, zrozumiała że młoda kobieta wyczerpywała swoje siły; namawiała więc ją do wypoczynku, a że Lawinia sprzeciwiała się temu, postanowiła natenczas innego użyć sposobu i jednego dnia, wymówiła głosem silniejszym, tak, ażeby pułkownik ją dosłyszał:

— Zdaje się że pani chcesz się zabić zbyt niemię utrudzeniem, bo już dzisiaj na nogach utrzymać się nie możesz.

Herman który stał przy oknie, odwrócił się nagle, i spojrzał na swą żonę. Ona trzymała na kolanach małą Karolinę; pierwszy to raz, zauważył jęj bladłość i wycieńczenie: przeszedł przez pokój, oparł się o krzesło Lawinii i przemówił półgłosem:

— Lawinio, oddany całą myślą, dzieciom moim, zaniedbałem ciebie; przebac, o! przebac mi ten ogoizn; ja teraz trzymać będę dziecko, a ty idź spocząć: zaklinam cię.

Lawinia wstała, zrozumiała że Herman żąda aby go usłuchała; głos jego był wzruszony, ale nie łagodny; uznawał jęj poświęcenie, ale nie nadeszła jeszcze chwila rozczulenia i wdzięczności. Bo też w istocie, mówiła do siebie z zniechęceniem, czém ja jestem dla niego? mniej jak obcą; i jeżeli śmierć zabierze mu dzieci, nie będzie mnie już nawet potrzebować.

Poszła do małego gabinetu przyległego jęj sypialni, i położyła się na sofie usiłując zasnąć; ale wzruszenie sen oddalało: wstała więc, i przeszła do salonu, chcąc tam porozmawiać chwil kilka z hrabią Adryanem. Od czasu choroby dzieci, rzadko kiedy spotykała go, ale ile razy przemawiał do nięj, czuła się spokojniejszą; w jego obejściu widziała serdeczną powagę która rozrzewniała młodą kobietę; rodzaj niewyczerpanej pogody duszy jaka ją zawsze uspokajała; w rzadkich chwilach kiedy mogąc opuścić pokój chorych, pragnęła użyć powietrza, hrabia towarzyszył, czy to

pieszo, czy w powozie, a w rozmowie jaką natenczas prowadzili, Lawinia mogła ocenić wykształcenie jego umysłu, i ciepło jego serca.

Wchodząc do salonu, zastała hrabiego piszącego przy stoliku. Zapewne bardzo był zajęty pracą, bo ujrzał ją dopiero w chwili kiedy blisko niego stanęła, i wtenczas, zrywając się z krzesła, rzucił w tekę rękopism nad którym pracował.

— Zesłałam pana hrabiego przy bardzo zajmującej pracy—odezwała się Lawinia z uśmiechem—i może należałoby cofnąć się, ale przyznaję że potrzebuję jakiegś rozrywki i że przyszłam prosić pana o wynalezienie mi jój, bo jestem strudzona ciałem i duchem, a nie mogąc zasnąć, co byłoby najskuteczniejszém dla mnie lekarstwem, wzywam pana jako zręcznego doktora o moralną poradę.

— Chciej pani najprzód zająć miejsce na tój sofie—rzekł hrabia przysuwając szeszląg przed kominek—i na poradę pozwól ofiarować sobie ulubionego autora: Stagueliusa mam pod ręką.

— Oh! jestem z liczby kapryśnych chorych, co sami obierają dla siebie lekarstwa. Lubię Stagueliusa, ale nie jestem w usposobieniu słuchania go; na to trzeba posiadać swobodę umysłu którój nie mam.

— Czy masz pani na myśli inny rodzaj lekarstwa?

— Nie, nie znam żadnego, ale gdyby mi było wolno objawić życzenie, nie wahałabym cię prosić o odczytanie jakiego ustępu z rękopismu, nad którym pracowałeś pan w chwili mego wejścia.

— Wątpię—odpowiedział hrabia rumieniając się—ażeby to, co on zawiera, mogło panią uleczyć, a nawet choćby na chwilkę rozerwać.

— Kto wie? może posiada tę własność. Czy to jakie tłumaczenie?

— Gorzej jak to—rzekł hrabia śmiejąc się—może pani nie wiesz, że jestem zapamiętałym wierszokletą i pisałem wiersze.

— Wiersze, których czytać niemożna?

— Przeciwnie, pani; one pragną ukazać się aby mówić do ciebie językiem przenośnym, ale obawiam się czy to czytanie będzie skuteczném lekarstwem.

— Przekonajmy się.

— Autorowie zwykle przedmową poprzedzają dzieła swoje; pozwolisz mi więc pani zaimprovizować moją, mówił hrabia Adryan, idąc po swoje papiery; ale nim je znalazł, drzwi otworzyły się i wszedł pułkownik.

— Czy tu lepiej ci odpoczywać jak w twoim pokoju Lawinio?—zapytał z widoczném niezadowoleniem.

Niezmieniając postawy, Lawinia odpowiedziała spokojnie:

— Ciało moje mniej jest zmęczone jak duch mój, i hrabia przez swą uprzejmość chce mnie rozerwać czytaniem.

— Jeżeli tak jest, nie chcę przeszkadzać i usuwam się.

I wyszedł. Lawinia niepewna czy ma wyjść za nim, czy zostać, rzuciła wzrok na hrabiego, który z przytłumioném westchnieniem składał już swój rękopism.

— Biedny Herman—rzekł tonem politowania—on tak wzruszony, tak nieszczęśliwy! Gdyby mi było wolno udzielić radę?

— Cóż powiedziałbyś, panie Adryanie?—zapytała żywo Lawinia.

— Radziłbym pani uspokoić go. Byłby ci za to wdzięcznym a co więcej możebyś go pani tém uszczęśliwiła.

— Dziękuję ci panie hrabio—odrzekła Lawinia podając mu rękę—rada twoja dobra jest i usłucham jęj chętnie. Opuściła salon i dobiegła pułkownika który był już w pokoju dzieci; twarz jego była niezwyčajnej bladości, a wzrok okazywał niewymowną boleść.

— Jestem już Hermanie, już odpoczęłam; czego żądasz odemnie?

Słowa te wymówiła tonem tak tkliwym i serdecznym, że rozbrojony pułkownik ujął jęj rękę.

— Przebacz mi Lawinio, przebacz memu wzruszeniu: ale ja cierpię, i to mnie czyni niesprawiedliwym.

— Nie jesteś niesprawiedliwym, tylko trochę rozdrażnionym.

— I jedno i drugie, droga Lawinio! Gdybyś wiedziała o czém w téj chwili myślałem! Mówilem do siebie: gdyby ona była ich matką, nie odstąpiłaby ich dla rozmowy z nieznajomym i dla... Widzisz więc że byłem niesprawiedliwym.

— Tak jest, troszkę—odpowiedziała uśmiechając się Lawinia—najpierw wątpiąc o mojem przywiązaniu, następ-

nie uważając obcym twego najdawniejszego i najlepszego przyjaciela hrabiego Adryana, który nam obojgu okazał tyle życzliwości. Ale szukałeś mnie, czy jestem ci potrzebną?

— O! nie, chciałem tylko przekonać się czy możesz zasnąć; byłbym tak szczęśliwy widzieć ciebie spoczywającą, ale, nieznalazłszy cię w twym pokoju wszedłem do salonu dokąd chciiej powrócić, inaczej myśleć będę że czujesz się obrażoną.

— A ja proszę ciebie, na dowód pojednania, pozwól mi tutaj pozostać.

Zwyciężony uprzejmym tonem swój żony, odpowiedział:

— A więc zostań, ale tej nocy czuwać nie będziesz; proszę mnie w tém usłuchać!

W kilka godzin później, kiedy śnieg padał szerokimi płatami, a wiatr przeraźliwie szumiał wśród obnażonych gałęzi, modlitwa pułkownika boleśnie wyrywała się z jego zmęczonego serca. Czuwał i modlił się długo, aż do chwili kiedy z przeczystej nadpowietrznej krainy zszedł niebiański posłaniec, który na swych lazurowych skrzydłach, uniósł niewinne dusze dwóch jego małych sierotek.

(Dokończenie nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

Historya Literatury Greckiej przez Dra Fil. Zygmunta Węclewskiego. Warszawa. Nakładem autora. W drukarni Karola Kowalewskiego. 1867 r.

Nie pomylimy się, zapewne, jeżeli cywilizacyą świata naszego indoeuropejskiego porównamy z ogromnym drzewem, którego pniem wykształconym będzie świat helleno-latyński, podtrzymujący wspaniałe konary z licznemi gałęziami plemion i przeróżnych narodowości. Im który z tych konarów i gałęzi pożywniejsze czerpie soki ze wspólnej natury, im prawidłowiej przez pień ten soki doń dochodzą, tem piękniejsze i wzrost ich pewniejszy. Wszystkie wyskoki, o własnych niby siłach z korzenia się puszczające, to tak zwane po ogrodniczem wilki, które, choćby i wybujaly, prędzej czy później, po wiekowym nawet wzroście, usychają i marnieją. Drzewo to nasze cywilizacyjne, z pniem helleno-latyńskim, po nad wszystkiemi innemi, na innych pniach wyrosłemi, dominuje i od majestatycznego ogromu swojego rzuconym cieniem wzrost ich zagłusza.

Z tego zapatrując się punktu na cywilizacyą naszą, nie trudno nam zrozumieć: dla czego skape zabytki starożytnego świata, lepiej poznane, ciemnotę i barbarzyństwo średnich wieków rozpraszając, świat nam odrodziły; dla czego każda społeczność dzisiejsza im bliżej ze światem starożytnym spoufalona, tem wyżej obecnie pod każdym względem nad inne stoi i trwalsze podstawy przyszłości swęj gotuje; dla czego, na całym obszarze ucywilizowanego świata, rzeczywistą podstawą dobrze zrozumianego wychowania u jednych z tradycyi i przekonania, u innych z naśladownictwa, lub nawet instynktowo, są właśnie języki starożytne. Prawdziwie

wielkie imiona, każdą literaturę ozdabiające, tam nie gdzieindziej się wyrobiły i wyrabiają. Nie dziw więc, że każde lepsze tłumaczenie, każdą poważniejszą pracę na tém polu z pewnego rodzaju współczuciem, szlachetną dumą jakąś, witamy. Z tém uczuciem wzięliśmy do ręki w roku bieżącym wyszlą książkę p. Węclewskiego, który, oprócz poważnego traktowania przedmiotu z katedry dla młodych słuchaczy naszych, dał się nam już poznać z kilku studyów swoich i przekładów, w Piśmie naszym chlubnie zaznaczonych. Książkę tę jego do ściśle szkolnych policzyć należy, za taką też i sam ją mieć chciał, uważając ją za *streszczenie odczytów swoich, w celu uczynienia zadosyć potrzebie słuchaczy*. Bogate wszędzie przytaczanie źródeł, z których i sam czerpał i z kąd pragnący poświęcić się szczegółowym studjom korzystać może, wynagradza szczupłość ram założonych, przytém książkę tę uczyni prawdziwie pożyteczną i dla średnich naszych zakładów szkolnych, kiedy te, zgodnie z przeznaczeniem swoim, do należnego stanowiska swego się podniosą. Po książce głośnego w swoich czasach Groddecka, przed sześćdziesięciu blisko laty do użytku szkół naszych wydanej, książka p. Węclewskiego najbliżiej odpowiada przeznaczeniu swojemu i zastąpi nam poniekąd potrzebę uciekania się do dzieł Bernhardego, Müllera, Munka i tylu innych, któremi przeważnie bogata literatura niemiecka.

Na podział danej nam historyi literatury w zupełności zgodzić się musimy, bo, jeżeli gdzie, to w Grecyi, jak sztuka tak i literatura były u siebie w domu; były nie zbytkiem klasy wybranej, ale duchową potrzebą nie jednostek, ale masy narodu. Literatura stała na równi ze stanem społecznym i politycznym. Wojna Trojańska, wojny Perskie, Alexander, upadek Ptolemeuszów, Konstantyn W., zdobycie Konstantynopola, wyraźne słupy graniczne pomiędzy okresami. Obecnie wydane dzieło p. Węclewskiego obejmuje literaturę z czasów politycznego życia i wielkości Grecyi do czasów Alexandra; ze wzmianek porobionych każe nam się spodziewać drugiego tomu, który obejmie okres Alexandryński, Rzymski, i Bizantyński, ważne nadzwyczaj dla nas, bo w tych właśnie czasach cywilizacya świata starego, jakąkolwiek wtedy była, szerokiemi korytami na wiążące się społeczne zaczątki środkowej i północnej Europy za pośrednictwem imperyum rzymskiego płynęła. Młodzieńcza dumą poczuwającej się na siłach własnych młodej Europy naszej chrześcijańskiej nie raz o wpływie tym chce zapominać, ale głębsze badania do upamiętniania ją prowadzają. Dosyć będzie wskazać jej na Prawo

Rzymskie, wyrób helleno-latynski, na którym się społecznie wychowała i dotąd wychowuje, na przeważnie długo naśladownictwo klasyków rzymskich, przeróbkę tego wszystkiego, co Grecya najcelniejszego posiadała. Prosimy o dział drugi, bo ten wielu rzeczy nas nauczy i przytém, co ważniejsza, da popęd do zastających oddawna badań na wielu polach.

Professor nasz, biegły znawca literatury greckiej, prócz samodzielnych badań szczególnie nad dramatem, czemu, widać, z pewnem, i bardzo słusznie, zamiłowaniem się oddaje, znakomicie tak z całkowitych dzieł, jak i monografij korzystać umiał, wybierając z nich charakterystyczne cechy przedstawianych nam postaci. Plastyczność literatury w bardzo wielu miejscach plastycznymi rysami nam oddaje. Na utwory najcelniejsze każe nam się zapatrywać, jakby na posąg jaki, ze wspomnieniem imienia Grecyi na myśli stający, w którym każda część wykończona, z którego życie tryska; utwory prozaików z dramatem, najcelniejszym i przeważnym utworem literatury greckiej, porównywa. Posłuchajmy np. jak nam, idąc za innymi, Tuczdydesowe (str. 203) dzieło przedstawia:

„Środkiem w dziele Tuczdydesowem, punktem kulminacyjnym, z którego czytelnik tak za nim leżące już i dokonane wypadki przejrzeć, jako też ciemną, brzezienną w wypadki przyszłość przeniknąć zdoła, jest nieszczęśliwa wyprawa Ateńczyków na wyspę Sycylią. Tuczdydes zręcznie wzrok i uwagę czytelnika na ten punkt zwraca; a że ważność i znaczenie tej wyprawy ze wszech miar przeznął i uznał, przeto opisem jej zapełnił dwie całe księgi. Mając ten punkt najwydatniejszy w Peloponezkiej wojnie (*περίπτεται* tragiczna) na uwadze i oku, zobaczymy, jak dramatycznie całość się rozwija i na trzy główne akty w 5 odsłonach się rozpada. Pierwsza księga jest prologiem w starożytnym znaczeniu. Zapoznaje czytelnika z przeszłością i jej wypadkami; opisane w niej przestrzeń i czas, stosunki i ilości, w których dramat się odbywa. Wraz z drugą księgą zaczyna się 1 akt wielkiego dramatu w trzech odsłonach. Zaraza w Atenach, Peryklesa wspaniała osobistość, świetna wymowa i śmierć, zdobycie Mytyleny i zburzenie Platajów zapełniają część I szą aktu I szego. W drugiej części poczyną się opis rozruchów, rzezi i politycznego i moralnego upadku Kercyry i innych państw Grecyi. Szala wojenna waży się: klęskę Ateńczyków wynagradza zamknięcie Spartan w Sfakteryi. Układy rozbijają się o dumę Ateńczyków. W 3ciej części aktu I szego widać Spartę zniechęconą, bez

odwagi, ale i Ateny osłabione. Walka niedbale się toczy. Staje pokój na lat 50. Lecz pokój ten równa się ciszy przed burzą; wybuch nawałnicy bliski, i jeszcze w końcu Igo aktu występuje Alkibiades, ów wódz niefortunny w ostatnich wypadkach wielkiej wojny, i pokazuje odrazu całą potęgę i wielkość ducha swego. Akt kończy się, ale nie dramat, o czém wszyscy wiedzą, i trwożliwie patrzy oko w przyszłość. To też wraz z początkiem drugiego aktu opis staje na punkcie kulminacyjnym. Wielka wyprawa Ateńczyków do Sycylii rozwija się przed oczyma Grecyi. Peloponez niespokojny, wzburzony, śledzi troskliwie i trwożliwie kroki Aten. Węzeł dramatyczny już zawiązany i katastrofa ma się rozwinąć. Długo szczęście sprzyja walczącym na Sycylii; fortuna nie wie, na którą stronę się przechylić. Nakoniec jednak Ateńczycy pobici na morzu i lądzie, flota i wojsko zniszczone. Ogólna trwoga, jęk i narzekanie nappełniają Ateny. Każdy czuje, choćby tego nie mówił Tucydides, że kostki padły, że los walki stanowczo rozstrzygnięty. Ale jeszcze trzeci akt, ostatni i najważniejszy całej tragedyi ma wysnuć się z dotychczasowego postępowania Ateńczyków. Alkibiades występuje wciąż w blasku; trzyma poniekąd szczęście na uwierzy i przywraca potęgę i równowagę Atenom. Ależ oto w zaślepieniu nieszczęsném bez winy Alkibiades na wygnanie skazany. Bez pomocy i bez przerwy i bez zastanowienia miasto najpiękniejsze Grecyi chyli się ku upadkowi, i wielki dramat kończyć się ma zniszczeniem potęgi ateńskiej."

Takie ustępy mocno zainteresować muszą i skłonią nie jednego do poznania samego oryginału i zrozumienie go ułatwią. Literatura u Greków ściśle zespolona z życiem i ma to w sobie charakterystycznego, czém właśnie od nowszej się wyróżnia, że autorowie, nie wyłączając nawet niektórych poetów, czynny przyjmowali udział w bieżących, często najważniejszych, sprawach kraju swojego i silnie na sprawy te pismami swojemi oddziaływali; autorstwo było jakby bezpośrednią służbą sprawom publicznym. Słabo pojmie poetę, historyka, mówcę, filozofa nawet, kto na wskrós nie przeniknie społecznego i politycznego życia Greków, bo utwory ich to kwiaty na gruncie życia tamtego wyrosłe. Nie dziw więc, że oddzielne studia nad każdym znakomitszym pisarzem greckim, obok bogato nagromadzonych dziś pomocy, na całe lata wystarczą i rozkosz nowości dla pracującego nad tém i dla czytelników jego sprawiają. Stara Grecya to jakby świat cały oddzielny, po którym bogata puścizna Rzym naprzód i pośrednio przez niego Europę naszą wzbogacała i wzbogaca duchowo; w tym

zamarłym świecie każdy ducha swego ożywi i pokrzepi, kto czytać się w nim nauczył. Tak pojmujemy dziś znaczenie historii literatury greckiej, tak je w zasadzie pojmuje i autor danej nam książki i dlatego pierwszorzędne postacie jego dramatyków, historyków, mówców i filozofów mocnemi kolorami oddane i zespolone z życiem, o ile na to ciasne ramy książki szkolnej pozwalały.

Uczący dopina celu swojego, skoro w słuchaczach swoich zdoła obudzić gorący zapal i zamiłowanie do traktowanego przedmiotu, skoro roztworzy duchowe oko i nada popęd do pracy na polu całego życia; najpiękniejszymi dziełami jego są wyżej wykształceni, duchowo podniesieni pracownicy w różnych zawodach; a jeżeli pisze, to już książka jego nie znikomą wartość posiadać winna. Trzeźwe, jędrne, treściwe, a pomimo to jasne przedstawienie rzeczy cechują pracę p. Węclewskiego; daruje przecież zwróceniu uwagi naszej na to, że tu i owdzie zboczenie od czystej konstrukcji polskiej, tu i owdzie wyrazy nie nasze, affektacyjne, za przykładem Niemców, formy imion własnych w szacie starej greckiej, i nareszcie wiele błędów ortograficznych, prócz tych co w erracie wymienione, z wielką, nieudaną przykrością razić nas muszą. To szpeci sumienną i na długo wystarczyć mającą pracę i upoważnia młode pokolenie nasze, już i tak pochopne do lekceważenia pięknych form naszych językowych. Oby, po prędkiem wyczerpaniu egzemplarzy, mogliśmy się prędzej doczekać drugiego, poprawnego z błędów tych, wydania.

I.

Rys dziejów piśmiennictwa świata niechrześcijańskiego, skreślił i mnogimi cytatami objaśnił p. Józef Szujski. Kraków, 1867 r.

Jakaś, dziwna zaprawdę, obojętność nasza na poznanie arcy-tworów obcych literatur, jakaś dzika ospałość czy ociepłość umysłowa to sprawiała, żeśmy byli obcemi w ogóle umysłowemu rozwojowi zagranicy. Kiedy w dobrowolnie w ten sposób wystawionym murze chińskim po raz pierwszy zrobiono wylom, to na to tylko, byśmy odrazu pełną piersią nachwytali najbardziej trujących cząstek obcego powietrza, byśmy oko w oko stanawszy z kalem obczyzny, lubowali się nim.

Smutny zaiste, ale prawdziwy obraz.

Każdy, kto pamięta ową gorączkową fabrykację przekładów francuzkich romansideł zaraz po r. 1840, przyzna mi, że nie mówię tego z abstrakcyi.

Od tego czasu. wiele nie przeczę, zmieniło się na lepsze, ale i dziś to pono jeszcze możemy o sobie powiedzieć z Trentowskim: „Od wieków leniwi byliśmy i dziś jeszcze jesteśmy do samodzielnego badania” (1).

Tejto obojętności, zaprawdę, winniśmy przypisać tak małą liczbę dzieł, bądź tłumaczonych, bądź oryginalnych o przedmiotach, które, jeżeli nie chcemy dłużej pozostać w tyle ogólnego postępu, znać i przyswajać sobie winniśmy.

Nie wiele pobobno miejsca nam zajmie, gdy zechcemy wyliczyć dzieła polskie, traktujące o dziejach literatury starożytnej i powszechnej w ogóle. I tak: po dziele Krasickiego, jeżeli je, choćby dla samej pobieżności, tu zaliczyć można, po dziele więc „O rymotwórstwie i rymotwórcach,” wyszły: „Obraz literatury starożytnej i nowożytnej przez Fryderyka Szlegla, przełożony z niemieckiego.” (Warszawa. 1831. tom I str. 268).

Mecherzyńskiego rzecz nadzwyczaj króciuchno traktowana, pod napisem: „Przegląd literatury ludów wschodnich.” Kraków. 1851.

Daliej niedokończony z wielką dla naszej literatury stratą: „Przegląd dzieł literatury powszechnej,” przez p. Lucjana Siemińskiego. Kraków 1855. (To co wyszło, czyli tom I obejmuje literaturę starożytną, z której hebrajska najlepiej obrobiona). W 1863 roku p. Głiszczyński wytłumaczył z niemieckiego: „Historię powszechną literatury” Scherra, jednego z najsłynniejszych ateuszów; ztąd pracę tłumacza uważamy za chybioną najzupełniej, gdyż pogląd ateuszowski na dzieje i literaturę ludzkości, na szczególne rodzaje ludzkiego, nie zjedna sobie nigdy obywatelstwa u ludzi prawdziwie światłych i prawdziwie uczonych.

W końcu, w r. b. p. Lewestam wydał swoją czterotomową „Historię literatury powszechnej” a zatem najobszerniejsze w naszej literaturze dzieło, traktujące o dziejach obcych piśmiennictw. Ostatnio zaś, przed kilką miesiącami wyszło w Warszawie dzieło p. Węclewskiego p. n. „Historia literatury greckiej” w jednym tomie.

Przy takim stanie rzeczy z radością witamy książkę p. Szujskiego, dającą nam ogólny obraz dziejów literatury: chińskiej i ras niekaukazkich, indyjskiej, perskiej, babilońskiej, assyryjskiej, egipskiej, fenickiej, hebrajskiej, greckiej, rzymskiej, celtyckiej, giermańskiej, słowiańskiej, arabskiej i tureckiej.

Wiadomo, że dziś, pisać dzieje literatury starożytnej, jest rzeczą nie tak trudną: prace Niemców i Anglików zapoznaliśmy, w większej części z etnografią, geografią, z dziejami i oświatą, z obyczajami i zwyczajami, z mitologią literaturą, sztuką, słowem z całością kultury ludów starożytnych.

Nie chcę przez to twierdzić, jakoby już nie na niwie literatury starożytnej nie pozostawało do zrobienia; owszem, każdy

(1) Teozofia.

specjalista na tém polu nam powie, że jeszcze liczne a wielkie luki są do zapełnienia. Tak np. o szkołach filozofii indyjskiej nie wiele więcej wiemy, od tego co nam Colebrooke powiedział. Mimo tylu prac, rzecz można że nie znamy prawie wcale literatury chińskiej. W Zend-Awestie wiele jeszcze pozostaje rzecz niewyjaśnionych, mianowicie pieśni Gattas w drugiej księdze Zend-Awesty posiadamy w przekładach najzupełniej niezgodnych z sobą. W dziejach literatury greckiej cały okres alexandryjski (t. j. od śmierci Alexandra W. aż do 30 roku przed Chr.), bardzo mało jest dotąd opracowanym. Wiemy również, że cała nasza znajomość Babilonii i Assyrii ogranicza się prawie na nie bardzo zgodnie odczytanych napisach klinowych; a krytyczne ocenienie i chronologiczne uporządkowanie ksiąg Starego Testamentu jest jeszcze jak w ogóle wszystkich twórców, zawierających w sobie pojęcia religijne, można śmiało powiedzieć, w kolebce i t. d.

Ale wiemy i to, że opracowania i wyjaśnienia podobnych rzeczy od książki p. Szujskiego z pewnością żądać nie możemy, jako od podręcznika (527 str.) dedykowanego „uczniom szkół gimnazjalnych.”

Dwa są, według nas warunki konieczne dobrej książki, któryby czyniła zadość wszelkim wymaganiom pedagogicznym. A najprzód, żądamy organicznego przedstawienia całości, a przez nie rozumiemy, (stosując słowa nasze do kompendyów obznajmających nas z dziejami literatury) ściśle powiązanie się wykładu literatury danego narodu z dziejami i oświatą w ogóle, a w odniesieniu do innych narodów łączenie tego wykładu w taki sposób, by czytelnikowi widoczną się dała i niejako uzmysłowiona ta nieprzerwana nić postępującej ludzkości na drodze do coraz większej doskonałości.

Za drugą konieczną zaletę dobrego kompendyum uważamy to, by stało na stanowisku nauki; to znaczy, aby wszystkie zdobyte nowoczesnej wiedzy w swoim zakresie przyswoiło sobie w taki sposób, żeby z tysiącznych szczegółów wybrać tylko to, co do zrozumienia charakterystyki narodu i wystawienia w prawdziwym świetle jego oświaty, jest niezbędnem. W tém właśnie leży szkopuł, o który się największa liczba autorów książek takich rozbiła.

Ztąd też, takich kompendyów, któreby łączyły w sobie dwa te warunki, wyznać to musimy, w całej naszej literaturze szkolnej, bardzo mało posiadamy.

Ozy książka p. Szujskiego posiada te zalety? oto pytanie, które każdy nasz czytelnik może zniecierpliwiony tylu wstępami uwagami, z pewnością sobie zadaje. Wyznać musimy, że rzeczywiście w większej części p. Szujski odpowiedział godnie swojemu zadaniu.

Za najgłówniejszy niedostatek, owszem organiczną wadę „*Rysu*” uważamy to, że nie podał na początku tego, co pospolicie zwą wstępem, (*prolegomena*). Przez ten zaś wstęp rozumiemy

ogólne literackie i estetyczne uwagi na początku dzieła. Takie przygotowawcze uwagi służyć czytelnikowi niby za miarę, wskazówkę, za sprawdzian dokładny nie tylko całego dzieła w ogóle, ale także i pojedynczych sądów estetycznych, wyrażanych przez autora przy rozbiorze utworów filozoficznych, literackich i poetycznych różnych pisarzy. Nie może usprawiedliwiać p. Szujskiego ta okoliczność, że dzieło swoje przeznaczył dla uczniów gimnazjalnych, że zatem pisał dla takich, którym te ogólne pojęcia po części byłyby nieprzystępne z powodu mało rozwiniętego umysłu; owszem, sądzący że dla nich właśnie potrzeba takiej wskazówki aby ich smakiem kierować i ukształcić go. Wprawdzie, w człowieku każdym, a tem bardziej w młodzieńcu zbierającym często najwonniesze kwiaty życia, jest wrodzone poczucie tego co *piękne*; lecz poczucie to, z biegiem czasu, z powodu różnych okoliczności, wychowania wreszcie, nie zawsze zasadam pedagogicznym pod tym względem odpowiadającego, zacierają się powoli, nikną często, a częściej, co gorsza, podlegają spaceniu i wykrzywieniu. Otóż, sądźmy, że dzieje literatury oprócz ma się rozumieć, estetyki, są właśnie najstosowniejszym polem, na którym można skutecznie na umysł młodzieży działać we względzie smaku estetycznego. Tu właśnie spoczywa ta siła, która ma wstrzymywać umysły będące w niebezpieczeństwie zabłąkania się na bezdrożach estetycznych. Tyle, co do potrzeby wstępu w dzieło p. Szujskiego.

Dalej: Zauważyliśmy w książce p. S. niewielkie staranie się o pełność obrazu; nieraz brakuje krytycznych wskazówek co do autorów lub chronologii pewnych objawów literackich. Tak np. w odczycie szóstym, w którym między innemi, autor o Fenicyanach rzecz prowadzi, niema ani nawet wzmianki o Sanchunijatonie. Kiedy mowa o Hebrajczykach (odeczyt 7, 8 i 9), wszystko rozplywa się raczej w poetycznem deklamowaniu, aniżeli w krytycznem, ile to być może, przedstawieniu plodów literackich tego ludu. Tutaj też, w traktowaniu niektórych pism, jak np. księgi Ester, Judyt, Tobiasz i innych, widzimy zbyt wielką pośpieszność.

Co do wiadomości o przekładach polskich rozbieganych utworów, to mamy do zarzucenia szanownemu autorowi, że je podaje zbyt skąpo i niedokładnie. Jakkolwiek mało mamy wzorowych tłumaczeń, to przecież nie godzi się i takich, jakie posiadamy, pomijać milczeniem, bo np. uczeń (zawsze mamy tu na myśli czytelników, dla których p. Szujski głównie pracę swą poświęcił), chcący poznać obcych narodów dzieła, mógłby i z nich pewną poczerpnąć znajomość. Tak np. nie wspominał autor o częściowym przekładzie Szah-Nameli'u Firdussego (Biszen i Meinisz. Warszawa, 1855) dokonanym przez p. Lucyana Siemienińskiego z właściwą temu poecie werwą. Pudobnież nie p. Szujski nie mówi o ślicznym przekładzie p. Ujejskiego Kornela księgi Ekklezyastes, dalej o przekładzie Odysei p. Bronikowskiego i te-

goz dwóch ksiąg Tucydyesa, o tłumaczeniach pp. Węclewskiego i Wolframa (1) i o wielu jeszcze innych.

W odczycie XVI autor, mówiąc o Arystotelesie i jego pismach tak się odzywa na str. 390: „Dziwne koleje losu sprawiły, że pisma jego, nadzwyczaj liczne, dopiero w dwa wieki po jego śmierci z niepamięci wydobyte i rozszerzone zostały.” Atoli myli się tu autor: dzisiejsza bowiem krytyka wykazała niesłuszność tego twierdzenia, wywodząc, że co najwięcej podanie to o losie pism Arystotelesa tyczyć się może zaledwie niektórych traktatów z metafizyki, jak o tem przeczytać się można u Ueberwega i Schweglera (2).

Kiedy autor na str. 401 mówi o dziejopisach Rzymu, to zupełnie mylnie nazywa Herodyana z Alexandryi „dziejopisem Marka Aureliusza,” bo ten pisał swe dzieje właśnie od śmierci Marka Aureliusza, aż do Gordyana, to jest od roku 180 do 238 po Chrystusie.

Nie zdaje mi się, by to było dobrze że p. Szujski przytaczając kilka nawet dłuższych ustępów cudzego przekładu, nie powiedział nic, ani że to przekład obcy, ani czyj mianowicie. Tak się rzecz ma z ustępem Enejdy na str. 457, pióra Trembeckiego, i z trzema ustępami na następnych dwóch stronach, które są z przekładu Enejdy Dmochowskiego wyjęte. Z pomiędzy tych w ustępie pierwszym (str. 458) zaczynającym się od słów:

„Noe była” i t. d.

jest tylko kilka wyrazów zmienionych, a reszta przekład Dmochowskiego. Wy tłumaczyć sobie to możemy chyba tylko już zbyt-nim pośpiechem autora.

Rzecz dziwna i uwagi godna, że kiedy autor (str. 523) wylicza koryfeuszów żydowsko-hiszcpańskię literatury, daty ich urodzin i śmierci nie zgadzają się czasem o wiek cały z chronologią, podaną przez p. Lewestama (3). Wejdźmy w położenie ucznia, który, dajmy na to, czytał tylko dzieło p. Szujskiego i pracę p. Lewestama; jakże ma się oryentować i na kim polegać?

Przejdźmy do poetycznych przytoczeń p. Szujskiego.

Ktokolwiek przeczytał choć kilka wierszy tego poety, już wie czego się i tu może spodziewać.

W istocie, obok wierności, wysokie poetyczne pocucie piękna, uroczą prawdziwie *fantazya*, rym z bardzo małemi wyjąt-kami, doskonały, i ten wdzięk nieporównany, widoczny szcze-

(1) Tego ostatniego mamy *Jeńców*, komedya Plauta. Warsz. 1866.

(2) Ueberweg: *Grundriss der Geschichte der Philosophie*. Berlin. 1865, 2 Aus. 1er Theil, str. 131—132. Schweigler: *Historja filozofii w zarysie tłumaczył F. K.* Warszawa, 1863, str. 101.

(3) W jego „*Historji literatury powszechnęj*” I, 78.

gólniej w przekładach greckich liryków, oto ogólne cechy przekładów p. Szujskiego w tej książce zawartych.

Ale wyznać to musimy, znaczna liczba wyrazów w których tworzeniu znać zbytnią śmiałość, lub też prowincjonalizm razi mocno, jak w poetycznych przekładach, tak i w całym „*Rysie dziejów literatury ludów niechrześcijańskich*.”

Aby nas o ogólniki nie posądzono, podajemy kilka dowodów, np. wyrażenie: *najpomalój* (str. 13); *konstatujemy* (str. 16).

Na str. 48 czytamy wiersz:

.....„Zwycięzki wóz środkiem przez trupy *piechurów grzmota*.”

str. 194:

„Wojna i mór społecznie, toć bieda za duża;

Alcé wieszca się jeszcze spytajiny lub *wróża*” i t. d.

Tu wyraz *wróża* jako dopełniacz od nieistniejącego u nas wyrazu *wróż*, mającego być równoznacznym z wyrazem *wróżbita* użyty zapewne tylko dla rymu z poprzednią końcówką *duża*; str. 207;

„Dozwól niech stan mój *troskie* opłaczą kobiety.”

Troskie wyraz również nieistniejący, użyty zapewne zamiast *troskliwe*.

Str. 212. *wydojrzaławszy*, w miejsce *doszedłszy do dojrzałości*. Tamże *hurma ludu* (zamiast *thun liczny* użyte znów dla rymu).

Wyraz *fal* (str. 219) w liczbie pojedynczej nie używa się i jest niezrozumiałym.

Jakże znowu w *Odysei* brzmi ten dwuwiersz:

„Na gnoju leżał Argos.

Obaczywszy *Odyssa*, *chwostem* biedak kiwa (str. 220).”

Dalej takie wyrazy jak: *zator* (str. 241), *wypłynęli w krzyk usłuchne* (str. 271), *najehorszy* (str. 293) zachowywać *po formie* zamiast *dla formy* (str. 318), *sprawozdaje* zamiast dwóch wyrazów *zdaje sprawę* (str. 335), *spojedynczenie* (str. 381), i wiele innych, szpecą dzieło p. Szujskiego. Do błędów już chyba drukarskich mamy zaliczyć takie np. usterki: że Liwiusz Andronikus, najdawniejszy poeta dramatyczny żył w *trzecim roku* (zamiast *wieku*) przed Chr. (str. 410), lub kiedy autor mówi że w komedyi Plauta p. n. „*Bliznięta*” w *siódmym* dopiero akcie (zamiast w *piątym*) rzecz się wyjaśnia (str. 419). Wiadomo bowiem z kądinąd, że żaden poeta starożytny nie pisał tragedyi ani komedyi w 7-miu aktach.

Oprócz tego nie dobrze jest, że autor pisze z niemiecka: *Hinduzów*, w miejsce *Hindusów*, *Perzów* w miejsce *Persów* i t. p.

Największą i niepożyłą zasługą autora „*Rysu dziejów literatury świata niechrześcijańskiego*” jest szczególna, jemu tylko wła-

ściwa przystępność formy. Opowiadanie płynie z ust jakby go nie ni pracy, ni trudności nie kosztowało. Styl świetny wszędzie, oprócz usterków wyrazowych, które z łatwością dadzą się przy drugim wydaniu, (a mamy nadzieję, że książka p. Szujskiego doczeka się ich kilku), język wszędzie jasny, poetyczny, zaprawiony gdzieś błyskami dowcipu, i t. p. niepodważanego pochodzenia, oto prawdziwe zalety książki p. Szujskiego. Nie przesadzimy, jeżeli powiemy, że nie zdarzyło się nam czytać dzieł literatury w tak pomyślniej formie. Komu wstrętne są suche kompendya niemieckie, a chce się obznajomić z literaturą starożytną, temu śmiało, i z największą przyjemnością polecamy książkę p. Szujskiego.

W przedmowie słusznie bardzo autor zachęca do wszechstronnego obeznania się z literaturą powszechną, gdyż tym tylko sposobem można mieć jakąś skalę, obok ogólnych pojęć estetycznych, sądzenia wszelkich zjawisk literackich. Dalej ubolewa nad małą u nas uprawą tej części wiedzy:

„W publicznem i prywatnem zarówno nauczaniu, są słowa p. Szujskiego, pauzuje formalizm mało z postępem wiedzy ludzkiej się rachujący. Jak gdyby przestraszona ogromem nowych nabytków nie umie ich edukacya przyswoić choćby w ostatnich rezultatach uczącemu się pokoleniu; studyum filologiczne nie przyswaja ani wiedzy języka, ani wiedzy literatury; studyum historyi poprzestaje najczęściej na suchem zestawieniu faktów politycznych. Gorzej się ma rzecz z edukacją kobiecą, która hołduje dotąd samym wymaganiom modnego świata i potrzebom salonu. W ten sposób dzieje się, że z zakładów edukacyjnych wychodzi młodzież obojga płci bez dostatecznego funduszu wiedzy, samodzielnego zdania i smaku, i pomnaża zastęp albo tych, którzy z ukończeniem szkół kończą zarazem swoje stosunki z światem umysłowym i literackim, aby przepędzić życie o chłopskim rozumie, w chlebo-dajnych pracach, albo tych, którzy bez krytyki, koniecznego warunku prawdziwego użycia umysłowego, poddają się panującemu bałwochwalstwu jednodniowych nowości”

Ileżto prawdy w tych słowach!

W obrazie dziejów literatury narodu hebrajskiego bardzo słusznie szanowny autor zachęca do głębszego, krytycznego obeznania się z Pismem Św., tylko bowiem na tej drodze możemy jeszcze zrozumieć i należycie ocenić wszystkie dzisiejsze objawy na polu religijnem.

Cały dramat grecki jest tu wybornie obrobiony, i, jak można na objętość podręcznika—najszerzej. Liczne wyjątki zdolne są dać uczniowi mniej więcej dokładne jego pojęcie i charakterystykę.

Prawdziwie nie możemy przenieść tego na siebie, by na zakończenie naszych uwag nie podzielić się z czytelnikiem wracaniem, doznaniem po przeczytaniu choćby dwóch przekładów p. Szujskiego, które są rzec można wzorem w swoim rodzaju.

Oto np. ustęp z trylogii Aischylosa opisujący bitwę pod Salaminą.

.... Gdy dzień oświecił sine morza głębie,
Słyszym z okrętów pieśń Greków wesołą.
Krzyki wojenne odbija tysiąc kroć
Skalistej wyspy wicoznie ozujne echo.
Wtedy strach blady naszedł nasze męże,
Bo pean Greków nie wieścił ucieczki.
W bój! w bój śpiewali, wtórzyły im trąby,
A w takt bijące wiosła sterników
Wprost ku nam pruły, jasną morza wodę.
Nagle przed nami stanęli w szeregu
I krzyk się wznosił: W bój! dzieci Hellady!....
Walczym o wszystko! Na to odpowiedział
Krzyk naszych Persów, wielka była chwila....
Z trzaskiem o siebie uderzyły nawy.
Okręt helleński ostrym przebił dziobem
Fenicką nawę przybraną bogato....
Staliśmy twardo, lecz morską cieśniną
Nie mogła mnóstwa żagli naszych zmieścić,
Same w natłoku gniotły się, pękały,
A z frontu greckie pchały nas w cieśninę (str. 255)...

Albo jeżeli chcemy coś mniej poważnego, to posłuchajmy wesołego urywku z sielanki Teokryta, znaney pod nazwą *Kiklop*.

Nie ma lęku na miłość, proszku ani maści,
Jedną rzecz: *pieśni* ja tylko śmiem doradzić waści;
Nią ratował się Kiklop, Polifem nazwany,
Gdy na zabój w swą nimfic pięknej zakochany,
Nie myślał o różyczkach, jabłuszkach, kędziorach,
Ale cały, cały w płomiennych rozgorzał amorach.
Wracały owce do dom, on w wodnym szuwarze
Siedzi i płonie w dzikim Kiprydy pożarze,
Aż znalazł środek: głębie szeroko rozdziawił,
I kukając w dal morską, pieśnią się zabawił:
— Galateo, zaśpiewał, tyś jako ser krowi
Biała, a w łagodności równa barankowi,
Weselsza niż cielątko, co wierzga nóżkami.
Przychodzisz, kiedy chrapie całemi piersiami,
A kiedy się obudzę, stronisz jak od wilka,
Ujrzałem cię przecudna, gdyś dni temu kilka
Rwać poszła hiaocynty, pokazałem drogę
I odtąd już mój głowie rady dać nie mogę.
Wiem, dlaczego uciekasz: mam brew zbyt krzaczystą,
A z pod brwi jedno oko błyszczy płomienisto,
Nos mam płaski—a przecież z tym nosem i okiem
Tysiąc welniastych owiec pasę nad potokiem;

Mléka, séra nie braknie, dostatku nie mało,
 I dmucham na fujarze jak nikt między całą
 Kiklopów rzeszą! Chodź-że, a lepiej ci będzie
 W méj jaskini, niż w fali, co uderza w pędzie
 O wyspę; taka zima!... Chodź! Jeśli nie służy
 Ziemia, toć i ja tutaj nie wytrzymam dłużej.
 Niechże mi wielkie bogi rybich dadzą skrzel,
 Abym z tobą po morskiej pustował topieli... (str. 396).

Nie skończylibyśmy z przytoczeniami, gdybyśmy chcieli co najcelniejsze nawet wybierać: powiemy więc krótko, że wszystkie prawie tu zawarte przekłady p. Szujskiego są wyborne, do najlepszych zaliczamy przekłady wszystkich pieśni Anakreonta.

Nakoniec powtórzymy jeszcze jedną uwagę, bo na nią szczególniejszy kładziemy nacisk.

Przeczytaliśmy tę książkę, jeżeli nie jak romans, to jak zajmującą, a zarazem nauczającą podróż: wady zaś, które wyliczyliśmy, nie dotyczą się ogólnej myśli dzieła i jego tendencji: nie stanowią, że tak powiem, jego jądra, ale odnoszą się tylko do pojedynczych szczegółów, po większej części, oprócz zarzutu pierwszego, tylko zewnętrznych. Nie należy jednak lekceważyć tej zewnętrznej strony dzieła, bo jak każde prawdziwe dzieło sztuki na harmonijnem zjednoczeniu treści z formą polega, tak i każdy utwór literacki do tego dążyć powinien.

Wł. Milkowski.

— Zwracamy uwagę na wydane w r. b. ważniejsze dzieła:

L'instruction populaire en Allemagne, en Suisse, et dans les pays Scandinaves par P. Mounier, auditeur au conseil d'état. Paris. 1867. 1 tom.

Autor zebrał wielką liczbę faktów i dokumentów, odnoszących się do ważnej kwestyi elementarnego nauczania, która po wszystkie czasy zajmowała poważnie umysły. P. Mounier nie sądzi systemów wykładu, lecz je studjuje, rozbiera ze ścisłością matematyczną prawie i w tym stanie oddaje je pod rozbiór. Ktokolwiek chce gruntownie poznać statystykę wychowania ludowego w Niemczech, i porównawczo rozstrząsać prawodawstwo różnych krajów w stosunku do rozwoju, do różnicy nauczania, które powinno nieznacznie usamowalniać przyszłe pokolenia; znajdzie w tém dziele przedmiot może trochę suchy, ale natomiast bardzo nauczający, skarby faktów i poglądów.

— *Les troubadours et leur influence sur la littérature du midi de l'Europe* par Baret. Paris 1867. 1 tom, w 8ce.

Autor zamierzył skreślić jeden ustęp z dziejów Południa aż do XIII wieku. Uczynił to ze znajomością rzeczy i talentem.

Widać tu sąd sprawiedliwy, mający na swe rozkazy gruntowną naukę. Wzajemne stosunki wszystkich literatur Południa, i względem literatury francuzkiej, są tu bardzo dobrze wykazane.

Stanowisko trubadurów i ich wyższość literacka w średnich wiekach, o której zanadto zapominała uczona ostatnich lat kilku krytyka, jest tu zręcznie nader wyświeconą. P. Baret w jednym tylko punkcie, ale punkt ten bardzo ważny, stara się zniweczyć powagę, jakiej używają biografie poetów prowansalskich przez Jana de Nostredame pisane. W tém, co dotyczy literatury hiszpańskiej wieków średnich, mniemanie autora jest słuszném i bardzo uzasadnioném.

— *Le génie des peuples dans les arts par le duc de Valmy. Paris. 1867. I tom, w 8ce.*

P. de Valmy dzieli dzieje sztuk na dwie wielkie epoki: na erę pogańską i erę chrześcijańską. Studjuje erę pogańską na Wschodzie, w Grecyi, Rzymie, a nawet w Meksyku, gdzie ciągnęła się ta era aż do przybycia Hiszpanów; śledzi również rozwój sztuki chrześcijańskiej na Wschodzie i na Zachodzie, a wszystko to czyni umiejętnie, z gustem i z bardzo wykształconém poczuciem piękna. Autor mówi także o chwili obecnej; dla niego chwila obecna jest erą zwątpienia, czém tłumaczy dlaczego nie mamy już ani Rafała, ani Fidyasza.

W. M...



WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Październik 1867 r.—Zapowiedziane nowe pismo dwutygodniowe *Kronika Rodzinna*, w dniu 1 b. m. wyszło. Zaleca je dobór artykułów, a na czele sędziwego poety A. E. Odyńca wiersz p. n. *Rodzina*, który w całości, za zezwoleniem autora, podajemy.

Jak niebo szerokie deszcz leje potokiem,
Świat cały pod niebem wre morzem głębokiem,
Strasliwa potopu godzina.
I jedna już tylko w otchłaniach nicości,
Pamiętka przeszłości, nadzieja przyszłości,
Buja w arce Noego rodzina.
I wszystkie skazanęj ludzkości boleści,
Żal, rozpacz, zwątpienie i przestach niewieści,
Miotają jej syny i córy;
I obok litości, gniew na tych, co sami,
Niewiary, swawoli i pychy grzechami,
Każą tę światu ścignęli nań z góry.
Sam Noe, z pokojem cierpienia na czołe,
Przeniknął ich myśli, zrozumiał ich bole
I stanął w pośrodku, i rzecze:
„Pan stworzył, pan zniszczył, cześć Panu nad pany!
Lzy wasze nie grzechem; lecz sąd wam niedany
Na braci, na plemię człowiecze.
Zgrzeszyli, zginęli, lecz dla was z ich kaźni,
Nie gniewu, nie wzgardy, lecz Pańskiej bojaźni,
Pobudka niech będzie jedynie;
Bo wyście wybrani odrodzić świat nowy,
A jako w swém ziarnie płon wszelki światowy,
Tak ludzkość zawarta w rodzinie.
Z praojców spuścizną w plemieniu Adama,
Grzech skaził świat stary: i oto ta plama
Potopem się zmywa ze świata.
Spuściznę niech po was odziera synowie,
Co światu nowemu zwrot łaski zapowie,
Wiare w Panu i miłość dla brata.
Chłonące świat wody, wgląb' ziemi wnet wsięgną,
I ziemia jak była odrodzi się piękną;
Lecz duch Boży niech w was się odrodzi.
I patrzcie! Pan słowu swojemu poręcza.”
Rzekł Noe, i wskazał ku niebu, a tęcza
Jak wstęga spłynęła ku łodzi.

— W pierwszej połowie listopada r. b. redakcyja Encyklopedyi Powszechnej, rozwiązując się, ukończywszy po dziesięciu latach mozolne prace około tak ogromnego dzieła poniesione. Dwadzieścia ośm tomów stanowczo obejmie całość Encyklopedyi, a tom ostatni właśnie zaczął się drukować, i w ciągu dwóch najdalej miesięcy, wyjdzie z pod prasy. Wytrwałości wydawcy, głównie zawdzięczać będzie literatura nasza, że pierwsza w tak olbrzymich rozmiarach Encyklopedya, pomimo wielu przeciwności, ukończoną została.

— Podług otrzymanych wiadomości ze Lwowa, stan zdrowia Karola Szajnochy coraz się pogorsza. Przy kalectwie ślepoty, rozstrojenie całego organizmu, nie postawia żadnej nadziei wyzdrowienia. W jednym z listów pisanych przez zbliżonego dawniej do znakomitego historyka czytamy: „Szedłem plantami lwowskimi, gdym ujrzał wiezionego w wózku kalekę. Przybliżam się i poznaję Szajnochę.—Przy nim przywiązana małżonka, jak anioł-stróż nieodstępna towarzysza, postępowała z obliczem na którym boleść z poddaniem religijnem wypiętnowały się dobitnie. Życie Szajnochy dogasa jak lampa niepodsykana żywiołem płomienia. Praca ciężka nad badaniem źródłowych kronikarzy gdy ich studyował na poddaszu w jednym z domów Lwowa, była powodem ślepoty.”

— P. Beneveni w Resursie Obywatelskiej miewa odczyty „O wystawie paryzkiej” na korzyść Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Odczytów wszystkich ma być dziesięć. Wykładem jasnym i zajmującym ściągą coraz liczniejszych słuchaczy.

— W pierwszych dniach bieżącego miesiąca, po sześciu miesiącach przerwy wyszedł Numer Izraelity pod redakcyą pana Peltyna.

— Ruch handlu księgarskiego w dawniej pozostaje stagnacyi. Jedna z najczynniejszych księgarń ia Gustawa Gebethnera i Roberta Wolffa przygotowała na zbliżającą się gwiazdkę, następne dla młodzieży książki; 1) *Przygody Robinsona Kruzo*, ozdobione licznymi drzeworytami; 2) *Opisy i przygody z podróży* z rysunkami Pillatego (kolorowanemi); 3) *Powieści żółte* po polsku i po francuzku z rysunkami Pillatego (kolorowanemi); 4) *Wieczory domowe* przez Paulinę Kraków z rysunkami W. Gersona (kolorowanemi) nowe wydanie; 5) *Wspomnienia wygnanki* P. Kraków z rysunkami Tegazzy (kolorowanemi); 6) *Pamiętniki młodej sieroty* P. Kraków (nowe wydanie z rysunkami W. Gersona); 7) *Powieści prawdopodobne* (przekład z francuzkiego Leclerc'a) przez Jana Chęcińskiego z rysunkami Pillatego (kolorowanemi). Wydawcy szczęśliwą myślą wiedzeni, w ozdobnych wydaniach odnawiają w pamięci szlachetne i urocze pióro zacnej pisarki, jaką jest p. Paulina Kraków; prace jej bowiem zasługują na to uznanie tak treścią i dążnością swoją, jako też i oddaniem artystycznym.

— Dnia 17 października r. b. odbył się w Instytucie Głuchoniemych i ociemniałych obrzęd jubileuszowy pięćdziesięcioletniego istnienia tego instytutu.

— *Ekonomisty* za lipiec i sierpień wyszły dwa razem zeszyty i obejmują: 1) O sporach administracyjnych przez profesora Szkoły Głównej Warszawskiej A. Okolskiego; 2) Prawa o procentach przez Józefa Kirsztot'a; 3) Podatek gruntowy dworski w Królestwie Polskiem.

— W Krakowie, nakładem „Wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych” wyszedł: „*Rys dziejów literatury świata niechrześcijańskiego*” Józefa Szujskiego. Tom z górą 500 stron mający, obejmuje 23 odczytów. Obszerniejszą wiadomość o tem ważnem dziele we właściwym dziale naszego pisma podajemy.

— Ze Lwowa donoszą, że z Paryża nadszedł powtórny nakład medalu wybitego na cześć hr. Alexandra Fredry. Dochód z niego przeznaczony na nagrodę konkursową za napisanie sztuki dramatycznej dla sceny lwowskiej. Dotychczas nadesłano pięć sztuk ubiegających się o nagrodę.

— Odnowienie wielkiego ołtarza Panny Maryi w Krakowie, w którym arcydzieło rzeźby Wita Stwosza przechowane, postępuje coraz więcej: dozór kościelny, zajmujący się restauracją wielkiego ołtarza N. Maryi Panny, dzieła Wita Stwosza w Krakowie, ogłosił szczegółowe sprawozdanie z robót dotychczas wykonanych. Z niego dowiadujemy się, iż teraźniejsza odnowa z wielkiem staraniem i pieczołowitością jest uskutecznianą, dawniejsze bowiem, szczególnie ostatnia w końcu XVII wieku, po drabinach, niedbale bez żadnej znajomości sztuki i smaku, wielce ołtarzowi zaszkodziły. Teraz dopiero musiano liczne błędy prostować, niewłaściwe dodatki kasować i do pierwotnego stanu, zgodnego z myślą mistrza doprowadzać. Do robót powołano majstrów biegłych w swoim zawodzie, po większej części miejscowych. Roboty te wymagały wiele pracy i czasu, sama robota stolarska (której dokonał p. Sokolski trwała przez rok cały), a obecnie już tak postąpiły, że za dwa miesiące środek ołtarza będzie zupełnie ukończony i pod sąd znawców oddany. Przed rozebraniem ołtarza zdjęto przedewszystkiem dokładny rysunek rozmiarowych części składowych; bypotem nie mieć trudności przy składaniu. Roboty tej dokonali pp. Baudisch, Erent i Pilecki Tytus pod kierunkiem prof. Łuszczkiewicza; rozebraniem zaś ołtarza, wyjęciem wszelkich rzeźb ornamentyki kawałek za kawałkiem zajął się p. Wojciech Eliasz malarz, którego zasługa w tem nie mała, gdyż jego troskliwości, znajomości rzeczy i osobistemu doglądaniu przypisać należy, że robota ta bez żadnej szkody szczęśliwie dokonana została. Trudność też w wyszukaniu snycerza była nie mała, udawano się nawet po radę do zagranicznych znawców archeologii i sztuki. Po długich zabiegach przypadł zaszczyt restauracyi dzieła Wita Stwosza p. Kazimierzowi Wakulskiemu od lat 10 poświęcającemu się snycerstwu, rodem z Warszawy. Uczył się w Warszawie, dalej

w Paryżu i Monachium, pracując u najpierwszych snycerzów, a jak się obecnie pokazuje wybór pań szczęśliwie. Układ ze snycerzem był dość wysoki, summa urosła do 6,000 zfr. Szczegółowe roboty odbywają się pod kierunkiem komitetu, pod przewodnictwem konserwatora pana Pawła Popiela, a złożonego ze znawców i artystów, mianowicie pp. Józefa Łepkowskiego, prof. Łuszczkiewicza, budowniczych: Żebrowskiego i Książarskiego; malarza Eliasza i innych.

— W Krakowie, nakładem D. E. Friedleina księgarza wkrótce wyjdą: *Dramata Józefa Szujskiego*. Serya pierwsza już jest pod pressą, i obejmować będzie następne dramata: *Halszkę z Ostroga*. *Jadwigę*, *Adama Szumińskiego*, *Twardowski* poemat fantastyczny, i dramat z dziejów Szkocyi: *Wallas*. Michał Bański, wydał nakładem F. Grzybowskiego, dzieło p. n. *Kobiety*; dramatów Słowackiego wdzięczny lekki i poetyczny sposób przedstawienia rzeczy żywo przypomina galeryę kobiet Szekspira. Książdz Jan Chelmecki wydał: *Rzecz o zasadzie w umiejętności wychowania*. Zajmujący przedmiot, gruntownie jest zbadany.

— W Krakowie, szacownego dzieła profesora sztuk Szkoły Sztuk Pięknych i sekretarza oddziału architektury i Sztuk Pięknych w Towarzystwie Naukowym Krakowskiem, Władysława Łuszczkiewicza, wyszedł zeszyt IV i obejmuje:

Ruiny zamku Tenczyna (tablic 2); Zamek na Wiśniczu (tab. 2); Kościół w Dębnie przy Wojniczcu (tab. 1); Ruiny klasztoru Dominikanów w Oświęcimie (tab. 1). Ważna ta dla archeologów i architektów publikacya, na której nakład łoży p. Paweł Popiel, konserwator bud. pom., wsparta jest nadto obok rysunków tekstem. Ruiny zamku Tęczyzna o mil 3 i $\frac{1}{2}$ od Krakowa są położone. Najprawdopodobniej zamek ten stanął w XII wieku. Ruiny obecnie są w posiadaniu hr. Potockich. Zamek Kmitów, następnie Lubomirskich w Wiśniczu jest położony o milę od Bochni, na drodze do Sącza. Kto zamek stawiał, niewiadomo. Nauka odnieść każe ginach pierwotny do XV wieku. Kościół w Dębnie przy Wojniczcu bardzo jest ważnym zabytkiem budownictwa, dochował on swą postać, jaką mu koniec XV wieku nadał. Według szczegółów architektonicznych zdaje się, że ten architekt co budował zamek w Dębnie budował także i kościół pomieniony, wezwany Śtej Małgorzaty noszący. Fundatorem zaś, jak herb Odrowąż wskazuje, był Jakób Dębiński, zmarły w roku 1490. Ruiny klasztoru Dominikanów w Oświęcimie, datują się z XIII stulecia i po czątku XIV. Przez lat 150 mieli go w posiadaniu Aryanie. Ostatecznie klasztor zniesionym został w r. 1816; kościół obrócony na magazyn, spłonął i pozostały dziś tylko ściany jego główne i klasztoru ślady małe. Rysunki zdejmował w tém dziele p. Wł. Łuszczkiewicz, litografował M. Salba, autografował Er Baudisch.

† Dnia 2 października r. b., po długiej chorobie zmarł w samym kwiecie wieku Tadeusz Czajkowski, utalentowany rzeźbiarz, uczeń b. szkoły sztuk pięknych. Wyższe wykształcenie odebrał w Monachium. Ze znacniejszych prac jego dłuta wymieniamy: na Cmentarzu Powązkowskim grobowiec pułkownika Zakrzewskiego, przedstawiający anioła opartego o skałę; figura Matki Boskiej naturalnej wielkości przed kościołem św. Ducha przy rogu ulic Freta i Długiej, tudzież Matki Boskiej przed kościołem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny na Lesznie. Śmierć matki spowodowała w uczuciowym artyście pomieszanie zmysłów: choroba ta zgon mu przyspieszyła.

† Dnia 9 października r. b. umarł w Warszawie Ignacy Felix Dobrzyński kompozytor i b. dyrektor opery polskiej. Pogrzeb znakomitego artysty pokazał jak wysoko ceniono talent i zasługi zmarłego. Artyści muzyczni przed ustawieniem trumny na karawan, uwieńczyli ją wieniec świeżym laurowym. Była to nagroda słuszną, za wieniec cierniowy, który nosił przez całe życie. Obszerny i dokładny życiorys zgasłego, mieści Encyklopedia Powszechna. Ogłoszonym został w końcu b. m. i r. koncert w celu zebrania funduszu na wystawienie pomnika dla ś. p. Dobrzyńskiego na Cmentarzu Powązkowskim. Wdzięczna potomność za utwory pełne uroczych piękności, i pomna na zasługi wielkiego kompozytora, chętnie grobowiec jego posypie kwiatem wdzięczności.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA wychodzić będzie regularnie i w roku następnym 1868. Cena prenumeraty pozostaje też sama, t. j.: w Królestwie rub. sr. **9** rocznie, lub rub. sr. **4** kop **50** półrocznie; w Cesarstwie zaś tylko rocznie, z przesyłką pocztową w kopertach rub. sr. **10**.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wolno drukować. — Warszawa, dnia 16 (28) października 1867 r.

Cenzor, J. Błeszczyński.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Wrzesień. 1867.

Wrzesień, 1867.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25"

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		753.33	753.07	751.06	750.73	752.048	+13°7	+21°8	+27°8	+20°7	+21°00
2		750.43	750.47	748.84	749.76	749.875	16.9	25.4	26.3	19.0	21.80
3		753.24	753.66	756.80	758.88	756.145	12.0	13.5	16.4	10.6	13.12
4	Równ.	760.16	761.04	759.28	757.28	759.440	6.4	10.8	13.5	8.0	9.65
5		755.48	755.06	752.24	752.97	754.188	6.3	11.8	15.4	11.3	11.20
6	☾.	752.76	752.99	753.42	753.59	753.188	7.6	11.7	14.6	11.0	11.98
7	Apog.	752.78	754.03	752.47	752.08	752.840	7.5	16.3	19.2	14.8	14.45
8		753.00	753.11	751.92	751.85	752.470	11.8	17.7	19.8	14.2	15.28
9		751.81	752.76	752.07	752.05	752.133	11.2	17.3	18.8	11.8	14.72
10		751.84	751.83	751.56	750.67	751.475	8.3	17.1	21.8	13.5	15.18
11		750.76	751.21	751.81	753.28	751.763	12.8	18.4	19.3	11.7	15.55
12		753.76	754.21	753.80	754.66	754.108	9.5	16.2	20.4	14.9	15.22
13		756.29	757.18	757.00	757.04	756.878	11.7	15.7	18.1	11.6	14.25
14	☉.	755.96	754.50	752.39	752.34	753.798	9.6	16.4	22.2	15.0	15.30
15	Równ.	752.72	759.09	751.15	748.63	751.403	13.7	15.6	19.7	16.7	16.42
16		749.42	750.62	750.83	750.81	750.370	12.9	15.3	17.3	11.7	14.30
17		749.53	750.27	752.64	754.44	751.720	11.2	13.8	14.1	9.6	12.18
18		757.74	759.17	759.48	761.44	759.438	9.1	13.5	14.6	9.2	11.60
19		761.87	762.04	760.43	769.98	761.080	5.7	11.1	13.7	6.8	9.30
20		758.32	757.83	754.98	754.10	756.308	5.0	11.4	15.6	10.6	10.63
21	☾.	753.67	754.20	753.49	753.56	753.730	9.7	15.5	19.0	13.8	14.30
22		753.05	752.74	749.57	748.50	750.965	9.7	17.3	18.9	14.2	15.40
23	Perig.	746.87	747.46	748.60	748.89	747.955	12.5	13.4	14.9	11.0	12.32
24		745.18	744.31	744.21	745.44	744.793	11.8	14.8	13.8	11.8	13.08
25		747.10	747.83	748.69	750.84	748.615	8.9	11.0	11.4	7.4	9.68
26		754.84	756.61	758.28	759.50	757.308	2.4	4.4	4.6	2.9	3.58
27		759.38	759.30	758.17	758.29	758.785	2.5	5.0	7.5	2.4	4.35
28	☉.	757.83	757.74	758.20	755.43	756.800	- 0.2	8.9	10.7	4.2	5.90
29		750.93	749.72	747.55	745.31	748.378	+ 5.3	10.5	11.0	10.2	9.25
30	Równ.	743.95	743.79	744.86	745.27	744.468	11.5	12.9	12.8	11.8	12.25
Śr.		753.133	753.461	752.827	752.914	753.084	+9°23	+14°25	+16°44	+11°41	+12°83

w Obserwatorium Astronomicznem Warszawskiem.

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",
na wschód względem południka paryzkiego.

Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wo- dy co do wysokości w milim.	Wysok. wody na Wiśle	
	6	10	4	10	6	10	4	10			
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.			
72.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdW1.	Pd1.			3 8
69.5	pogodny	pogodny	napół pog.	pochm.	Z1.	Z1.	Z2.	Z2.			3 7
67.0	napół pog.	napół pog.	pochm.	pogodny	PnZ2.	Pn1.	Pn2.	Pn1.	0.1		3 6
65.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn1.	W1.	W1.	W1.			3 6
67.7	pochm.	pogodny	pogodny	pogodny	PnW1.	Pn1.	Pn1.	Pn1.			3 10
83.1	pochm. mgła	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	PnZ1.	Z1.	Z1.			3 11
82.0	pogodny	pochm.	pochm.	napół pog.	PdZ1.	Pd1.	PdZ1.	PdZ1.			3 9
74.6	pogodny	pogodny	napół pog.	pochm.	Z1.	Z1.	Z2.	Z1.			3 8
75.2	pochm.	pochm.	pogodny	pogodny	Z1.	Z2.	Z2.	Z1.			3 7
72.3	pogodny	pogodny	napół pog.	napół pog.	Z1.	1 d1.	PdW1.	PdW1.			3 8
81.5	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	Pd1.	Z1.	Z2.	Z1.	0.2		3 2
71.6	pogodny	pogodny	pog. z chm.	pochm.	Z1.	Z2.	PnZ2.	Pn1.			3 0
83.6	pochm. mgła	pochm.	napół pog.	pogodny	Pn1.	PnW1.	Pd1.	PdW1.			2 10
76.4	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW2.	PdW2.	Pd1.			2 4
83.7	pochm. desz.	pochm.	pochm.	pochm. desz.	PnZ1.	Pn1.	Pd1.	PdW2.	13.2		2 1
83.4	napół pog.	pochm.	pochm.	napół pog.	Z1.	Z2.	Z1.	PdZ1.	2.7		2
81.2	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PdZ1.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ1.	2.1		2
78.6	pochm.	pochm.	pogodny	pogodny	Z1.	Pn1.	Pn2.	Pn1.			2 4
80.9	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW1.	PnW1.	PnW1.	Pn1.			2 4
75.6	pogodny	pogodny	pogodny	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.			2 2
77.6	pogodny	pogodny	pochm.	pogodny	PdZ1.	PdZ1.	Z1.	PdZ1.			2 1
83.3	pogodny	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	PdZ1.	Z1.	0.3		2
82.5	pochm. desz.	pochm.	pochm.	pochm.	Z2.	Z3.	Z2.	PdZ2.	1.7		1 11
84.5	pochm.	pochm.	pochm. desz.	pochm.	PdZ2.	Z2.	Z2.	Z1.	0.6		1 11
87.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm. desz.	Z2.	PnZ2.	PnZ1.	Z1.	4.2		1 11
86.6	napół pog.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn2.	Pn2.	Pn2.	Pn2.	1.5		2 1
82.0	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	Pn1.	Pn1.	Pn1.	PnZ1.			1 11
76.7	napół pog.	pochm.	pochm.	napół pog.	Z1.	Z1.	PdZ1.	PdZ1.			1 10
85.7	pochm.	pochm.	pochm.	pochm. desz.	PdZ1.	PdZ2.	Z2.	Z3.	3.3		1 9
80.8	pochm. desz.	pochm. desz.	pochm.	pochm.	Z2.	Z2.	Z2.	Z3.	9.3		1 10
77.9									9.2		2 7.9

SPRAWOZDANIE

Z POSIEDZEŃ KONGRESU ARCHEOLOGICZNEGO MIĘDZYNARODOWEGO W ANTWERPII.

UŁOŻONE PRZEZ

Członka kongresu i delegata redakcyi Biblioteki Warszawskiej

Alexandra Przeddzieckiego ().*

W tym roku z licznych a nie nader fortunnych kongresów, *kongres archeologiczny międzynarodowy w Antwerpii* udał się jak najzupełniej.

Akademia archeologiczna belgijska (w Antwerpii) powzięła myśl tego kongresu, i z godną pochwałą wytrwałością przewyciężyła wszelkie trudności, przeczekala przeszły rok wojenny, i nad spodziewanie własne, stanęła u pożądanego kresu. Około stu pięćdziesięciu członków przybyło na

(*) Na początku roku 1866 *Komitet organizacyjny* kongresu archeologicznego międzynarodowego w Antwerpii, rozsyłał zaproszenia do wszystkich Towarzystw uczonych i redakcyi pism poważnych, aby wybrać chcieli delegatów na kongres. Redakcyja Biblioteki Warszawskiej odebrawszy takowe zaproszenie, wybrała z grona swojego pp. Alexandra Przeddzieckiego i Edwarda Rastawieckiego, którzy zostali członkami kongresu archeologicznego. Gdy skutkiem przeszlorocznych okoliczności wojennych, kongres odłożony został na rok 1867, jeden tylko hr. Przeddziecki mógł przybyć do Antwerpii, na czasznaczony; nie pozwolił tego baronowi Rastawieckiemu nadwątlony stan zdrowia.

(Przyp. red.).

wezwanie akademii belgijskiej, ze wszystkich krańców świata, z Ameryki Północnej, z Brazylii, z Turcyi, z Hiszpanii, z Włoch, z Danii, z Rossyi, z Polski, z Niemiec, z Hollandyi, z Anglii i Francyi, a ma się rozumieć najliczniej z prowincyi belgijskich. Ci stanowili prawie połowę zgromadzenia, po nich najwięcej było Francuzów, następnie Anglików i Holendrów. Anglia, Rosya, Dania, Hollandya, Włochy, Prussy i Saxonja miały delegowanych rządowych; z Austrii nie było nikogo, ani ze Szwecyi, ani z Szwajcaryi i Portugalii. Pomiedzy przybyłemi członkami było kilka znakomitości:

Pan de *Caumont*, założyciel nauki archeologicznej we Francyi, p. *Worsaae* dyrektor zbiorów archeologicznych w Danii, *von Quast* dyrektor takichże zbiorów w Prusiech, Dr. *Förster*, członek akademii sztuk pięknych w Monachium, autor wielkiego dziełka *Historii sztuk pięknych*, *Leemans* archeolog z Lejdy, *Parker*, Anglik który pracuje nad starożytnościami rzymskimi, i nowo odkryte pomniki w licznym zbiorze fotografii kongresowi przedstawił; Dr. *Zestermann* z Lipska, kilku członków parlamentu angielskiego. Delegowanymi rządu rossyjskiego byli członkowie akademii nauk Rz. R. St. *Srezniewski* i kamerjunker *Weliaminow-Zernow*. Do nich przyłączył się uczony professor nauk przyrodzonych Dr. *Eichwald*; z Polaków jeden tylko hr. *Przedziecki* który przyjął delegacyą od redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Dla ułatwienia kosztów podróży członkom kongresu, akademja belgijska, a raczej *komitet organizacyjny* otrzymał od zarządów dróg żelaznych belgijskich, i niektórych niemieckich i hollenderskich zmniejszenie taryfy od 40—50% na czas od 10 sierpnia do 5 września.

Kongres rozpoczął się w niedzielę 25 sierpnia w Antwerpii, o *południu* zebraniem się członków w jednej z bogatych sal ratuszowych, dla zapisania nazwiska swego w przygotowanej na to księdze; tu przyjmowani byli podróżni przez tegorocznego prezesa akademii archeologicznej p. *Hagemans*, a następnie wprowadzeni *in corpore* do innej sali, w której przyjmował ich burmistrz miasta Antwerpii p. *Von Pat*, na czele grona ławników (*collige des Echevins*,

(*Scabini*), mową w imieniu miasta, i *winem gościnném* (*vin d'honneur*). Następnie udali się członkowie kongresu pod przewodnictwem prezesa akademii do pięknego lokalu *Towarzystwa Królewskiego w Harmonii*, uprzejmie ustąpionego dla posiedzeń kongresowych; tam przyjął ich prezes towarzystwa w mniejszej sali, a w wielkiej sali ozdobionej flagami wszystkich państw powiewającemi nad marmurowemi popiersiami Leopolda II, króla belgijskiego, gubernator prowincyi antwerpskiej kawaler *Pycke* (wymawia się *Pejk*) *d'Idegham* otworzył kongres archeologiczny w zastępstwie nieobecnego ministra spraw wewnętrznych, mową pełną sympatii dla uczonego grona, które z dalekich stron przybyło w celu przyniesienia każdy swojej cegiełki do naukowej budowy. Delegaci rządowi podziękowali w imieniu wszystkich członków za tak uprzejme przyjęcie rządu belgijskiego i miasta Antwerpii.

Przed rozejściem się, członkowie z obcych krajów połączyli się w kółko dla wybrania po jednym z każdego państwa do *bióra centralnego* mającego kierować sprawami kongresu.

Bióro to zostało złożone z następujących 19-tu członków: z Antwerpczyków i Belgijczyków 9-ciu; prezes *baron de Witte*, wiceprezes kawaler *de Burbura*; *Le Grand* kawaler sekretarz; *G. Hagemans*, *L. Devillers*, *F. Genard*, *Otto Günther*, konsul pruski, *Flemmich* konsul generalny miast hanzeatyckich, i *de Ségur-Dufeyror* konsul generalny francuzki w Antwerpii. Z obcych 10-ciu: *xiądz Le Petit* (z Francyi); *Pollen* (z Anglii); *Srezniewski* (z Rossyi); *Worsaae* (z Danii); *de Salinas* (z Włoch); *Leemans* (z Hollandyi); *Saavedro* (z Hiszpanii); *Glavany* (z Francyi); *von Quast* (z Pruss); *Lisboa* (z Brazylii).

Postanowiono odbywać dwa posiedzenia na dzień: *archeologii* od 10—12-éj zrana, *historyi* od 2—4-éj.

Biórowi centralnemu pozostawiono wybór *bióra przewodniczących* na każdym posiedzeniu, mających składać się z prezesa, dwóch wiceprezesów, czterech członków i dwóch sekretarzy; regulamin nie pozwalał zabierać głosu bez dozwolenia prezesa, niedopuszczano czytania mów, ani mowy dłuższej nad kwadrans; krótkie stenograficzne sprawozdania

podawane być miały do gazet miejscowych, dłuższe zredagowane przez naczelnego sekretarza wydrukowane będą osobno, staraniem bióra centralnego i rozestane wszystkim członkom, wzamian składki 10 frankowej którą na wstępie złożyli.

Z pomocą wydrukowanych po gazetach sprawozdań można było skreślić ogólny rys trzynastu posiedzeń tego pierwszego kongresu archeologicznego międzynarodowego.

I Posiedzenie ranne, 26 sierpnia.

ARCHEOLOGIA.

P. de Coumont, prezes, PP. Weliaminow-Zernow i de la Fuente, wice-prezesowie.

P. Worsaae (Duńczyk) zdaje sprawę z ciekawych odkryć jakie w ostatnich latach porobiono w Danii, odnoszących się do epoki którą niedawnemi czasy nazwano *kamienną, spiżową i żelazną*. Ponieważ te epoki a przynajmniej dwie pierwsze trwały tysiące lat (powiada mówca), utworzyliśmy w nich *poddziały* i pomniki z epoki kamienną w Danii, odnosimy do dwóch oddzielnych okresów, gdyż narzędzia, naczynia i ozdoby mają całkiem oddzielne cechy.

Pomniki pierwszego okresu epoki kamienną w Danii (przynajmniej i w krajach północnych) znajdują się najczęściej w wielkich warstwach muszlowych; kształt ich jest grubo i nieokrzesany; zabytki zaś z drugiej epoki składające się z toporków i młotów pięknie wypolerowanych, z nożów rzeźbionych, z garnków bardzo wytwornego kształtu i ozdób bursztynowych, świadczą już o wyższym stopniu cywilizacji. Czaszki ludzkie znalezione pomiędzy zabytkami należą do różnych plemion, co pozwala wnosić iż obca cywilizacja wywarła wpływ swój na tuziemców.

Znajdują się ślady przejścia z *epoki kamienną* do *epoki spiżowej*, w grobach kamiennych z kośćmi niepalonemi, nad którymi stały naczynia z popiołami i resztkami spalonych

kości, z epoki spiżowej. Przedmioty z *pierwszego* okresu tej epoki spiżowej piękniejsze są niż w następnej, w której widoczny jest upadek sztuki. W wielkich pokładach torfu znajdują się w wielkiej ilości sprzęty i broń dowodzące, że lubo cywilizacya rzymska znakomity wpływ na nas wywarła, mieliśmy jednak i własną narodową cywilizacyą, zbliżoną do cywilizacyi Szwajcaryi i Belgii, ale odznaczającą się przytęm właściwemi cechami. W zabytkach VIII i IX wieku, różnica pomiędzy północą a resztą Europy staje się widoczniejszą; ponieważ Europa przyjęła chrześcijaństwo, a Północ rozwijała się w duchu pogaństwa; ciekawe odkrycia porobiono w torfiarniach Szlezwiku: znaleziono w nich broń połamaną nie tak jak na polach bitwy, ale połamaną z umysłu, pokręconą i noszącą na sobie widoczne ślady ognia; pomieszane były z nią i końskie szczątki. Znaleziono później okręt napełniony bronią w takimże stanie, i czerpy koni z wędzidłami w szczękach. We Fionii taką ilość starożytnych zabytków odkryto, że jedna z sal muzeum starożytności północnych niemi tylko jest zapełnioną; znaleziono także kłocę strzaskane toporami. Wiadomo z opowiadań Cezara i Suetoniusza, iż Cymbrowie i Teutonowie mieli zwyczaj bogom ofiarować łupy wojenne, niszcząc je, a złoto i srebro do głębi rzek rzucając. Zwyczaj ten wyraźnie objaśnia wyżej wspomniane wykopaliska. Podobne odkryto później w hrabstwie Jork w Anglii.

P. *de Caumont* (Francuz), wzmiankuje że we Francyi, także nad brzegami *de la Manche*, znaleziono pokręcone miecze spiżowe.

Odpowiadając na pytanie jednego z członków, czyli można oznaczyć początek rozmaitych epok?

P. *Worsaae* odpowiada, że na Północy nie ma tak wczesnych śladów epoki kamiennój, jak we Francyi np. w Abbeville, gdzie znaleziono narzędzia kamienne na pokładach kości mostodontów i innych zwierząt przedpotopowych. U nas najdawniejsze odkryto w pokładach muszlowych. Nie możemy z pewnością oznaczyć początku *epoki kamiennój*, ale tyle zabytków z niej znajdujemy że musiała trwać bardzo długo. Fryderyk VII król duński sam zebrał był do 6,000 przedmiotów; gdy te zginęły w pożarze, w przeciągu lat

dwóch nowy zbiór powstał. Mamy też bardzo bogate prywatne zbiory: przed kilką miesiącami młody archeolog udał się na jedną z wysepek Kattegatu, i tam w przeciągu trzech tygodni niespełna, zebrał tysiące przedmiotów jednostajnych; w jednym miejscu same *dluta*, w inném same *toporki*: oczywiście było skład fabryczny.

Nie możemy oznaczyć początku ani końca *epoki spiżowej*; brak nam faktów do poparcia jakiegokolwiek pewniejszej teorii. Co do *epoki żelaznej*, początek jej można naznaczyć w kilka wieków po Chr.

P. *Srezniewski* zapytuje z jakiego kamienia wyrobione są zabytki duńskie?

P. *Worsaae*. Z brył wędrownych (*blocs erratiques*) przybyłych z gór szwedzkich i norweskich.

P. *Leemans* (Hollender). W Archipelagu indyjskim używają dotychczas narzędzi żelaznych i kamiennych, a nie można oznaczyć ich początku; cóż dopiero kiedy idzie o epoki przed tysiącami lat ubiegłe? Kształt narzędzi kamiennych jest zawsze ten sam, nawet w wykopaliskach Gujany hollenderskiej. Na wyspie Jawie tylko kształt narzędzi kamiennych różny jest od wszystkich innych, do japońskich chyba trochę zbliżony.

P. *Worsaae*. Nigdy nie znajdowano u nas broni kamienniej w grobach *epoki żelaznej*; ale z *epoki spiżowej*, posiadamy mnóstwo kamiennych młotów. *Epoka kamienna* i *spiżowa* dłużej trwały na Północy, niż gdzieindziej; skutkiem walki dwóch cywilizacji odmiennych, tłumaczyć się da mieszanina kamienia i spiżu.

P. *de Linas* (Francuz). Niektóre sprzęty kamienne dziwnie pięknie są wyrobione; czy wyrobienie takie mogło obejść się bez narzędzi kruszczowych?

P. *Worsaae*. Znaleźliśmy młoty wyraźnie przedziurawione za pomocą narzędzi kruszczowych.

P. *de Baocker* (Francuz). P. *Worsaae* opowiedział że nigdy nie znaleziono sprzętów kamiennych w grobach z *epoki żelaznej*; jednakże jeśli wierzyć mamy jednemu z pism peryodycznych wychodzących w Fryzyi, odkryto sprzęty kamienne w grobie pierwszej królowej chrześcijańskiej w Danii?

P. *Worsaae*. Tak nie jest. Ja sam otwierałem grób królowej *Thury* i nie podobnego nie znalazłem. Pomędzy sprzętami spiżowymi znajdują się czasem i miedziane. W epoce spiżowej nie kopano jeszcze miedzi w Szwecyi; miedź ta musi pochodzić z Uralu. W grobach z *epoki spiżowej* odkryto sprzęty ze złota pomieszanego z platyną, wielce podobnego do uralskiego złota, a w górach Uralskich znaleziono dawne kopalnie, w których leżały narzędzia kamienne i spiżowe.

Następnie rozprawiano o grobach ołowianych.

P. *de Caumont*. Klasyfikacya grobowców ołowianych jest dość łatwa. Pogańskie mają ozdoby podobne do tych jakie znajdujemy na urnach. Od czasów Konstantego Wielkiego ozdobione są godłami chrześcijańskimi. Jest ich do 40 po muzeach francuzkich; nie znajdują się nigdy oddzielnie, ale zawsze wprawione w sarkofag kamienny albo drewniany: w Arles znajduje się prześliczny pomnik taki z napisem z IIIgo wieku.

P. *Loemans*. W muzeum starożytności niderlandzkich znajduje się kilka grobowców ołowianych w kształcie małego gmachu; napełnione są popiołami, a odkryto je obok podobnych z palonej gliny, w państwach tureckich na wybrzeżach Afryki (*Etats Barbaresques*).

P. *Srezniewski*. Wszak zwyczaj grzebania ciał rozpoczął się z chrześcijaństwem?

P. *de Caumont*. Przynajmniej upowszechnił się wtedy; w Hiszpanii jednak znajdowano ciała całkowite z czasów przedchrześcijańskich.

P. *Srezniewski* powiada że Słowianie palili ciała, przed wprowadzeniem chrześcijaństwa.

Po przejściu do rozpraw nad napisami runicznymi:

P. *Worsaae* oświadcza że wyczytanie napisów runicznych z najdawniejszej epoki jest nader trudne. Spostrzeżono jednak że język w którym są pisane jest *gotycki*,

zbliżony do wspólnego źródła narzeczy skandynawskich i germańskich. W napisach tych, tak jak i w samych pomnikach napotykają się różnice, stosownie do krajów w których je odkryto. Należałoby je wszędzie zbierać i przez porównywanie, dochodzić ich znaczenia. Napisy runiczne z drugiej epoki (w Danii) z łatwością odczytywać się dają.

Hr. Przedziecki przedstawia napisy runiczne na kamieniach znalezionych we wsi Mikoszynie w Wielkiem Księstwie Poznańskiem; niektóre głoski mają podobieństwo z głoskami napisów na pomnikach Prylwickich (przechowanych w muzeum w Szwerynie). Niektórzy archeologowie polscy usiłowali wyczytać je w języku słowiańskim; wyczytanie to jednak oczywiście jest niedostateczne.

P. Worsaae bierze te napisy, dla porównania ze skandynawskimi; oświadcza jednak że pomniki *Prylwickie* uważa za podrobione w przeszłym wieku; na co zgadzają się także pp. *von Quast* i *Srezniewski*.

II. Posiedzenie popołudniowe, 26 sierpnia.

HISTORYA.

P. Wykeham-Martin (Anglik) prezes. PP. ksiądz *Le Petit* i *R. Chalon* (Belgijczyk) wice-prezesowie.

Z rozpraw o miejscu urodzenia sławnego malarza Rubensa, w których główny udział bierze p. *Génard*, archiwista miasta Antwerpii, wypada że żaden akt autentyczny nie rozstrzyga, czy Rubens rodził się w *Siegen*, w *Kolonii*, czy w *Antwerpii*.

Nie stanowczego także nie powiedziano o sporze Hollandyi i Niemiec co do pierwszeństwa w odkryciu sztuki drukarskiej. *P. de Baecker* przypominał że *Wawrzyniec Coster* w *Haarlem*, drukował literami rzeźbionymi na drzewie, a że dzieła: *Ars moriendi*, *Speculum humanae salvationis* i *Dono* drukowane w Hollandyi literami ruchomemi, zdają się być dawniejsze od wydań *Guttenberga*. Zdanie to je-

dnak nie poparte dowodami autentycznymi, zostawiło zadanie nierozwiązane.

Pytanie czyli ląd stały Ameryki odkryty był przez Skandynawów przed odkryciem Kolumba, znalazło wykładcę w p. *Worsaae*, który rozwiązał je na korzyść swoich ziomków, ponieważ przez cztery wieki przed odkryciem kompasu, żeglarze północni udawali się do *Groenlandu* należącego do stałego lądu dzisiejszej Ameryki; nie dziw że niejednen okręt mógł być pędzony burzą i do innych brzegów tego lądu; śladów jednak ich bytności, na pomnikach budownictwa lub rzeźbiarstwa nieznaleziono dotychczas; lubo nieraz wzięto za nie wyroby miejscowych Indyanów. P. *Worsaae* powiada że na kilka wieków przed Kolumbem, nazywali dzisiejszą Amerykę: *Winland*, wedle *sagów* (podań) cytowanych w kronice Adama Bremeńskiego: „iż Skandynawowie odkryli *Winland kraj Rasów*” (1).

Rozprawy nad początkiem cywilizacji rzymskiej, czyli od Etrusków czy od Greków pożyczonęj, rozpoczęły się od wykładu p. *Zesterman* (Sasa), w języku niemieckim. Nie przykładając wielkiej wagi do wpływu greckiego na Rzym pierwotny, zwracał jednak uwagę na pochodzenie nazwy *Roma* od *rome* (sita po grecku), i na jednakowe położenie placów publicznych *forum* w Rzymie, i *agora* w Atenach. Niedostatecznym znajdowali te zbliżenia, p. *Nelis*, *Wagner* i hr. *O'Kelly* (Belgijczycowie). P. *Von Quast* zrobił uwagę że sztuka przeszła do Etrusków od Greków przez Korynt: a więc wpływ Etrusków na Rzym pierwotny, jest także wpływem greckim. Tego zdania są *Olfiniad Müller* i *Mommsen*.

P. *de Baecker* sądzi że głównym źródłem cywilizacji rzymskiej była Umbrya.

P. *Lancio di Brolo* (Włoch) podziela to zdanie, i utrzymuje że kolebką dawnęj cywilizacji włoskiej była Umbrya

(1) Co się jednak raczej stosuje do krajów nadbałtyckich *Wendów* i *Rugian*, z kąd naczelnicy skandynawscy (Waregowie) zanieśli imię *Rusi* do narodów słowiańskich.
(Przyp. Sprawoz.).

zamieszкана przez szczep pelazgijski. Później zaś, nie Mała zamorska Grecya, ale *Wielka Grecya* (we Włoszech) największy wpływ wywarła na cywilizację rzymską.

O miejscu urodzenia *Godfryda z Bulionu*, czy w Belgii, czy w mieście Bulogne szukać go należy, pp. *de Baecker i von Quast* nie stanowczego powiedzieć nie mogli, powtarzając tylko dawniejsze w tym przedmiocie rozprawy, które w dzisiejszych czasach ogólnego zajęcia wzbudzić już nie mogą.

Rozprawa o bożkach czczonych u Celtów, Batawów i Gallów wykazała że wiadomości o tém są nieliczne i potrzebują ściślejszego badania. P. *Adoielle* (Francuz) wspomina o bożku Gallów zwanym *Rut*. W Belgii bożek ten zupełnie nieznany, natomiast p. *Dognée* (Belgijczyk) wspomina o bożku którego Rzymianie od miejscowych przyjęli, a którego nazwisko na kamieniu wyryte znaleziono w okolicach miasta *Liège* — *Deo Bormano*.

P. *de la Faent* (Hiszpan) opierając się na zdaniu *Strabona*, utrzymuje że *Celtyberyjczycy* (w Hiszpanii) jednego tylko Boga wyznawali, nie dając mu żadnej nazwy szczególnej.

III. Posiedzenie ranne, 27 sierpnia

ARCHEOLOGIA.

P. *Worsaae* prezes. pp. *de la Fuente* i *Raymond Bordeaux* (Francuz) wice-prezesowie.

P. *Zesterman*, w dalszym ciągu o runach, powiada że w bibliotece Opactwa *S. Galle* (w Szwajcaryi) widział rękopis z dwoma odmiennymi alfabetami runicznymi skróconymi nad odpowiedniami literami łacińskimi. Na dwóch *spinkach* (fibula) znaleziono także wyryty cały alfabet runiczny; wszystkie te alfabety mają być w języku *Anglo-sasów*; żaden nie

zawiera wszystkich znanych znaków. We Francyi odkryto kamienie grobowe z napisami runicznymi. W *Dannebergu* znaleziono denary złote, trudne do wyczytania, gdyż często czytać trzeba na nich napisy od lewej ręki ku prawej, a wyrazy nie są poprzedzielane. Całych rękopisów runicznych nie odkryto ale są dawne rękopisy, w których niektóre początkowe głoski (inicyaty) są runiczne. Najprawdopodobniej każdy naród pisał runami we własnym języku. W Niemczech używali ich nie tylko kapłani pogańscy ale i świeccy. Od czasu wprowadzenia chrześcijaństwa, zarzucono głoski runiczne, zastąpiły je łacińskie. Gockie głoski nie pochodzą od Ronów, ale raczej od greckich. W Skandynawii runy zachowały się aż do średnich wieków. W *Bruckenberg* na Szlaku Pruskiem stoi dotychczas kościół drewniany pięknie rzeźbiony przeniesiony z Norwegii, który nad drzwiami północnymi ma wyryte nazwisko rzeźbiarza głoskami runicznymi. Czasby już zająć się zebraniem wszystkich napisów runicznych w Niemczech, gdzie są bardzo liczne, i bez porównania z takimiż napisami z innych krajów, dojść do zupełniejszej wiadomości o runach.

P. *Przedziecki*. Ponieważ w Skandynawii największe było użycie runów, dlatego panu Worsaac zakomunikowałem fotografowane napisy kamieni Mikoszyńskich, znalezione w W. Ks. Poznańskim.

P. *Ejchwald* (Rossyanin) wracając do niewyczerpanego na wczorajszym posiedzeniu, przedmiotu *wykopalisk*, przedstawia zajmujący obraz wykopalisk w Rosyi a zwłaszcza w Syberyi.

Wedle najdawniejszych tradycji indyjskich ludzie zamieszkiwali z początku wierzchołki gór najwyższych, gdy dolne warstwy były jeszcze za gorące.

Gdy klimat górski oziębł się nazbyt, ludzie zeszli do dolin i długo w nich mieszkali.

Nareszcie dalsze oziębienie ziemi sprowadziło ludzi do równin: ta zmiana klimatu jest faktem geologicznym, dziś już w zupełności uznaném.

W Syberyi znajduje się wiele oznak tych zmiennych kolei, a zwłaszcza na kamieniach wędrownych (*evaniques*) spoczywających na warstwach złotodajnego piasku. Odkrywają w nich często toporki, młoty, niekiedy zaokrąglone, na podobieństwo znajdujących w Meklemburgii, niekiedy podługowate, a przytém inne narzędzia, ale zawsze kamienne, np. kliny (*coins*) z nader twardego schiste argileva.

W zarzuconych dziś kopalniach złota na Uralu, przy takich sprzętach kamiennych znaleziono szkielety, a także worek ze skóry renów, który musiał służyć do przenoszenia złota; podobneż wykopaliska miały miejsce przy brzegach rzek złotodajnych, w Syberyi, a także w północnej Rosyi, mianowicie przy jeziorze Onegském. Mieszkańcy wysp Aleutskich używają dotychczas takich narzędzi. W wykopaliskach narzędzia kamienne nie znajdują się nigdy razem ze spiżowemi; pochodzą one zapewnie od *Celtów* najdawniejszego plemienia na kuli ziemskiej. Plutarch pisze, że Celto wie zamieszkiwali wschodnie pasmo gór Uralskich, i ztamtąd powędrowali jedni na północ drudzy na południe i ku zachodowi do Francyi, Belgii i Anglii. Grecy nazywali ich *Keltoi* i *Galatoi*, Rzymianie *Galli*. *Kimrami* zaś nazywali Grecy, a *Cymbrami* Rzymianie lud współczesny Celtom, który wedle opisów Herodota, zamieszkiwał południową Rosyą nad morzem Czarném, z kąd rozlał się po obu grzbietach Kaukazu, a część jego następnie powędrowała na północ do Jutlandyi Duńskiej. Po emigracyi tych ludów dopiero się zaczyna epoka spiżowa; poprzednią kamienią, możnaby nazwać *Celtycką* (1).

Spiż znajduje się początkowy pomieszany z kamieniem (jak o tém na poprzedzającym posiedzeniu mówiono); w Rosyi odkrywają pomieszane kamienne i spiżowe sprzęty w grobach zwanych *Czudzkimi*, t. j. *Scytyjskimi* (2). Narzędzia te są zupełnie podobne do tych, które nazywają *Celk*, a znajdują w Meklemburgii, w Danii a także we Francyi; przytém są i ostrza strzał, nie zawsze z krzemienia lub z granitu. Są też z dioritu i nefrelitu. Nader ciekawe sprzęty

(1) Słuszniój *Celtycko-Cymneryjską*.

(Przyp. Spraw.).

(2) A więc dzisiejsze plemiona *Czudzkie* czyli *Fińskie* w Rosyi byłyby potomkami *Scytów*.

(Przyp. Spraw.).

spiżowe np. jaskułkę dziwnie pięknie wyrobioną, i niedźwiedzie, oboje z twarzą ludzką wyrzezaną na piersiach (godło wędrówki dusz) i miseczkę z wyobrażeniem renów na spodzie przedstawia zgromadzenie. P. *Eichwald* sądzi, że należałoby przeważać *epokę kamienną, celtycką*; *epokę spiżową scytyjską*, a *epokę żelazną, wendyjską*, jako społeczną emigracyi rodu *Wendów* do Niemiec północnych, gdzie wynajdują narzędzia i sprzęty ludowi temu właściwe.

Opowiadanie p. *Eichwalda* słuchane było z wielkiem zajęciem.

P. *de Linas* powiada, że znajdowano czasem młotki z twardego i polerowanego kamienia, ozdobione rowkami tak regularnie wyrzynanemi, że musiały być doskonałym narzędziem obrabiane.

P. *Przedziecki* przedstawia chromolitografie z dwóch podobnych młotków, z których jeden serpentynowy znaleziony był w gruzach kościoła Dominikańskiego w Krakowie po pożarze w r. 1850; a drugi z *nefrytu* na wyspie Rugii. Oba były na wystawie archeologicznej w Krakowie.

Jeden z członków wspomina o podobnych odkryciach po mieszkaniach *jeziorowych* (*habitation lacustras*) w Szwajcaryi i w północnej Italii.

P. *von Quast* opowiada o odkryciu tegoż rodzaju przy jednym jeziorze na Pomorzu.

P. *Przedziecki* robi wzmiankę o takimże odkryciu zrobioném przy jeziorze Czeszewskim w Wielkiem Księztwie Poznańskim, przez Dr. Józefa Łepkowskiego profesora archeologii w Uniwersytecie Krakowskim, który nieomieszka opis tego wykopaliska dać poznać uczonemu światu.

Dyskusya przenosi się do starożytności rzymskich odkrywanych w Niemczech.

P. *von Quast* donosi, że w Prusiech zajmują się zdejmowaniem planów wszystkich dróg rzymskich, które przerynały kraj niemiecki. Dotychczas nieudało się odkryć pola bitwy, na którym Warus potracił swoje legiony; musiało to być w okolicy miasta *Poderborn*. Muzea miast niemieckich

nadreńskich a nawet dolnych od Renu, Moguncya, Wiesbaden, Born, Kolonia, Kanton i t. d. zapewnione są zabytkami rzymskimi.

Resztę posiedzenia zajmuje p. *Colfs* (Belgijczyk) słowném objaśnieniem drukowanej rozprawy swojej, w której wbrew zdaniu p. *Violet Leden*, on dowodzi że budowa świątyń greckich wykształciła się na wzorach pierwotnych budowli drewnianych.

IV. Posiedzenie popołudniowe, 27 sierpnia.

HISTORYA.

P. *de Légur* prezes, pp. *Ejchwald* i *Pollen* (Anglik) wiceprezesowie.

P. *Adoielle* (Francuz) rozprawia o drogach komunikacyjnych, które w X wieku przerzynały Francją na północy, jedna z nich znana dotychczas pod nazwą *Brunchildy*. W XII wieku prowadziła bardzo uczęszczana droga przez Alwenią do sławnego miejsca pielgrzymki do Ś. Jakuba w Kompostelli, w Galicyi hiszpańskiej. Na téj drodze jeden z panów Flamandzkich *Alard* czy *Adalard* założył wielki szpital dla pielgrzymów.

P. *Nelis* (Belgijczyk) zajmując się pytaniem czy wiele dygnitarzów rzymskich wyznawało wiarę Chrystusową w I i II wieku chrześcijaństwa, dowodzi że Seneka lubo sam nie był chrześcijaninem, wyznawał jednak niektoóro prawdy chrześcijańskie i zostawał w stosunkach z Ś. Pawłem.

Większą część posiedzenia zajmuje ważna rozprawa nad najlepszym uporządkowaniem archiwów publicznych.

P. *Wykeham Martin* wychwala porządek angielski. Archiwum Królestwa umieszczone jest w budynku z kamienia i żelaza, a więc niedostępnym ognioowi. Dokumenta (zape-

wnie dyplomata) zwijane są i umieszczone w walcowatych pochwach. Dokładne inwentarze obejmujące treść dokumentów oraz spis miejsc i osób, niezmiernie ułatwiają poszukiwania; a bogactwo dokumentów ogromne, bo sięga nieprzerwanym ciągiem, czasów Edwarda I; znajdują się jednakże niektóre dawniejsze, nawet z czasów Wilhelma Zdobywcy.

P. *Adoielle* powiada, że Francya jeszcze wyżej stoi pod tym względem; bo nietylko że w każdym departamencie archiwa są uporządkowane i podzielone na dwa działy (*historyczny* i *spółczesny* (od wielkiej rewolucyi), ale inwentarze drukowane są kosztem rządu, a liczba ich wynosi już 5,000 tomów.

P. *de Léguir* mówi, że archiwum ministerstwa spraw zagranicznych, wzorowo jest uporządkowane, a kilku urzędników ciągle jest zajętych utrzymaniem tego porządku.

P. *de Mersy* chwali nowo utworzone przy archiwum Państwa Muzeum paleograficzne wraz ze zbiorem 25,000 pieczęci, których odciski udzielane bywają na każde żądanie.

P. *Genard* jako archiwista miasta Antwerpii, obstaje za potrojnemi inwentarzami: *encyklopedycznym*, *chronologicznym* i *alfabetycznym*, obiecuje że za lat kilka archiwum miejskie będzie opatrzone w takie inwentarze.

Hr. *O'Kelly* opisuje porządek zaprowadzony w archiwum Państwa w Bruxelli, przez znakomitego archiwistę p. *Gachard*. Są w niém trzy wielkie działy: *historyczny*, *kościelny* i *sądowy*, a w każdym stosowne poddziały. Uporządkowanie doszło już aż do r. 1830.

Hr. *Przedziecki*. Od lat dwudziestu miałem sposobność poznać praktycznie niemal wszystkie znaczniejsze archiwa europejskie, poczynszyszy od Watykańskich, aż do Brukselskiego, o którym poprzedni mówca wspomniał, podnosząc bardzo słusznie znakomitą zasługę archiwisty pana *Gachard*. Niech mi wolno będzie zwrócić uwagę Zgromadzenia na źródło dokumentów historycznych nader bogate, lub mało znane; chcę mówić o archiwach które aż do naszych czasów dochowały się.

Archiwum dyplomatyczne dawniej Polski przeniesione zostało do Moskwy, od lat kilkudziesięciu; o tém nie mam

wiadomości dokładnych. Powiem tylko że na schyłku XVIII wieku uczony pijar *Dogiel* wydał pewną część tych dokumentów w dziele pod tytułem: *Codex Diplomaticus Regni Poloniae et M. D. Lithuaniae*, którego trzy tomy tylko wyszły z druku (dziś bibliograficzna rzadkość) a reszta pozostała w rękopisach znajdujących się dziś w Petersburgu, w bibliotece głównego sztabu.

Ale w archiwum głównem Królestwa Polskiego w Warszawie znajduje się *Metryka koronna*, i część metryki litewskiej (to w kopii tylko, gdy oryginały są w Petersburgu). *Akta kanclerskie* i *Sygyllaty* oprawione tomy, i opatrzone *indexami*, stanowią ważny materiał historyczny, już w znacznej części za pomocą *summaryuszów* dostępny. Nadto po wielu miastach znajdują się *Akta grodzkie* i *ziemskie* w księgach, w których *oblatowano* także najważniejsze akta publiczne i prywatne. Niekiedy wszywano do tych ksiąg oryginalne pargaminowe przywileje; najczęściej zaś przywileje oryginalne przechowywały się wiązane w *fascykulach*, lub składane w szufladach. Niektóre sięgają XII wieku, a z XIII znajdują się już w wielkiej obfitości po archiwach publicznych, duchownych a nawet i prywatnych.

Przeszłej jesieni miałem sposobność przejrzeć we Lwowie, archiwum bernardyńskie, w którym za staraniem rządu austriackiego złożone zostały *Akta ziemskie* i *grodzkie* Królestwa Galicyi. Skutkiem z górną półwiekowej pracy, księgi te opatrzone zostały równą prawie liczbą woluminów inwentarzy ułożonych chronologicznie i alfabetycznie, tak iż w przeciągu kilku godzin zdołałem zebrać wszystkie dokumenta dotyczące pewnego okresu z XVI wieku, rozproszone w kilkudziesięciu księgach. Wracając do zadania, co do najważniejszego uporządkowania archiwów publicznych, nie jestem za gromadzeniem archiwów prowincjonalnych do jednego ogólnego zbioru, któremu grozi zawsze niebezpieczeństwo od ognia. Zostawując archiwa miejscowe na miejscu, należy opatrzyć je tylko dokładnemi *summaryuszami*, a zbiór kopii tych wszystkich *summaryuszów* przy archiwum głównem państwa, uzupełni ten skarb naukowy, nie ogalając prowincyi z ich miejscowych źródeł.

P. *Lanria di Brolo* powiada, że we Florencyi zajmują się czynnie porządkowaniem archiwów, które w całej Italii przechowywały się szczęśliwie do dzisiejszego czasu.

P. *Raymond Bordeaux* (Francuz) wspomina o pewnym braku w archiwach francuzkich co do akt społecznych; nie zachowują w nich bowiem studyów architektonicznych, planów inżynierskich, a nawet kadastralnych. Te zalegają najczęściej u budowniczych, inżynierów i poborców; a następnie przenoszą się do zbiorów prywatnych, albo na wagę sprzedawane bywają.

V. Posiedzenie ranne, 28 sierpnia.

ARCHEOLOGIA.

P. *von Quast* prezes. PP. Dr. *Förster* i Dr. *Herpin* (Francuz) wice-prezesowie.

Posiedzenie to poświęcone wyłącznie architekturze romańskiej i ostrołukowej.

P. *von Quast* opisuje najwspanialszy pomnik budownictwa Karolingów w Niemczech, a tym jest kościół w Akwizgranie, stawiany z cegły (od r. 769 do 804), na wzór kościoła św. Witalisa w Rawennie, a ozdobiony dwupiętrowym rzędem kolumn marmurowych, sprowadzonych z Włoch. Trochę późniejszy jest kościół św. Michała w Fuldzie.

Hr. *Przedziecki* wspomina o niektórych kapitelach głównego kościoła w Zurich, które miejscowe podanie odnosi do czasu Karola Wielkiego.

P. *von Quast* nie sądzi aby były dawniejsze nad wiek XII.

P. *Leemans* (Hollender) wspomina o kościele w Nimwedze, którego *absida* i *baptisterium* zupełnie podobne są do akwizgrańskich.

P. *von Quast* zgadzając się na to podobieństwo nie sądzi jednak, aby kościół nimwegski dawniejszy był nad

wiek Xty. Przechodząc potem do początków architektury w Niemczech, *mówca* przypomina że pierwotne kościoły, jak niegdyś świątynie pogańskie u narodów germańskich, były drewniane a w nich kapitele kubiczne; kształty te naśladowano potem z kamienia w Normandyi. Wpływ mieszanego stylu germańskiego z romańskim daje się widzieć w kościele w *Gernrode* fundacyi dzielnego markgraфа wschodniego *Gorono* († 965 r). Pierwotna budowa pozostała do dzisiaj, z kolumnami wyraźnie naśladowanemi ze słupów drewnianych; z kapitelami w stylu korynckim, nieokrzesanej roboty, ale ozdobionemi postaciami z dawnych podań ludowych. Trudno jest oznaczyć dokładnie we Francyi przejście ze stylu romańskiego do ostrołukowego; w innych krajach to łatwiej.

P. *Le Maistre d'Austaing* (Belgijczyk) powiada, że kościół w *Tournai*, pomnik XI wieku zawiera w sobie całkowite przejście od stylu romańskiego do ostrołukowego. Środkowa nawa jest romańska, poprzeczna już odmienną ma ornamentacyą, lubo ostrołuków w niej jeszcze nie ma, ale już znajdują się w chórze. Ten kościół jest zatem najlepszym wzorem przejścia od jednego stylu do drugiego.

P. *Pasker* (Anglik) powiada, że w *Andegowii* (Anjou) i w Anglii należy szukać pierwszych pomników ostrołukowych, ale dopiero przy końcu XII wieku; wiek ten stanowi przejście. Najdawniejszy kościół ostrołukowy w Anglii, stawiany był w *Lincoln*, od r. 1192—1200.

VI Posiedzenie popołudniowe, 28 sierpnia.

HISTORIA.

PP. *Weliaminow-Zernow* prezes, *Lisboa* i *de Salinas* wiceprezesowie.

P. *Lisboa* wracając do zadania roztrząsanego już na pierwszym posiedzeniu historyi, co do odkrycia Ameryki, zgadza się na wnioski przypisujące odkrycie Ameryki Pół-

nocnej Skandynawczykom, dowodzi jednak że nie doszli do równika ani do wysp Antylskich.

Resztę posiedzenia zajęła prawie wyłącznie rozprawa o oknach ze szkła malowanego w ogniu.

P. *Peeters-Wilbau* (Belgijczyk) przypisuje doskonałość dawnych szkieł wybornemu gatunkowi *krzemienia* (silikates). Promienie światła łamią się w nich pryzmatycznie; artyści sami topili sobie szkło grubości takiej, jaka im potrzebna była. Dzisiejsze szkła są zanadto przezroczyste, promienie nie łamią się w nich, ale przechodzą na wylot.

P. *von Quast* wspominając o starożytnych oknach malowanych po kościołach augsburgskich, kolońskich i westfalskich, sądzi jednak że najdoskonalsi mistrze w malowaniu na szkłe przybyli do Niemiec z Francyi, za czasów S. Ludwika; dlatego po wielu oknach kościołów niemieckich widać francuzkie lilie i herby Kastylii.

P. *Dognée* (Belgijczyk) nie sądzi, aby zatracono dawne sposoby malowania na szkłe. Dawne okna malowane, które sprawiedliwie nazywano *bibliami ubogich*, składane były z drobnych kawałków szkła nakształt mozaiki; można było miejscami podwyższać efekt kolorytu, grubością szkła. Dzisiaj okna składają się z wielkich malowanych tafli. Koloryt równie silny bywa, a odcienia delikatniejsze. Wspaniałe okna katedry kolońskiej świeżo darowane przez króla bawarskiego mogą o tém świadczyć.

P. *Raymond Bordeaux* (Francuz) utrzymuje że sztuka malowania na szkłe bardzo upadła we Francyi, gdyż stała się rzemiosłem ubiegającym się za taniością.

Xiądz Sauvage (Francuz) broni sztuki nowożytniej, która pomimo marności spekulacyjnej, wznosi się jednak do doskonałości w pracowni p. *Maréchal* w Metz, i wielu innych poza granicami Francyi.

P. *de Légor* sądzi, że w naszych dzisiejszych kościołach okna malowane mniej stosowne, gdy ludzie modlą się na książkach, potrzebują więcej światła.

VII Posiedzenie ranne, 29 sierpnia.

ARCHEOLOGIA.

PP. *Srezniewski* prezes, *Pasker* i *Saavedra* wice-prezesowie.

P. *Zesterman* (Sas) rozprawia nad karą ukrzyżowania u starożytnych; o różnych rodzajach krzyżów, i o sposobach przywiązywania i przybijania gwoździami *ukrzyżowanego* (*cruciarus*).

P. *Polleu* (Anglik) członek wydziału sztuk pięknych w *muzeum brytańskiem* objaśnia zlecenia jakie dostał od swojego rządu, ułożenia ogólnego *katalogu* wszystkich dzieł odnoszących się do sztuk pięknych, drukowanych we wszystkich krajach po dziś dzień. Aby praca ta mogła być jak najzupełniejszą, potrzebny jest spółdział uczonych znawców ze wszystkich krajów. *Mówca* rozdaje wzory rozpoczętej pracy i otrzymuje obietnicę skutecznego poparcia od wielu kolegów.

Następnie rozprawy zwracają się jeszcze do budownictwa w XI i XII wieku.

P. *von Quast* powiada, że w Niemczech poznać można różnicę w budownictwie na północy i na południu, linia przedzielająca rozpoczyna się w Holandyi i przez Westfalię i Hanower idzie do Polski; przyczyna téj różnicy zależy od materiału, ceglanego na północy, kamiennego na południu. Ozdoby ceglane bogatsze są i bardziej wyrobione.

Hr. Przerdziecki powiada o kościołach zwanych *Duninowskich* w prowincyach dawniej Polski. Kroniki wspominają o *Piotrze Włoszczowiczu wielkim hrabi* na Szlązku (zowią go także *Duninem* t. j. Duńczykiem) który spełniając ślub zaprzysiężony, wybudował 77 kościołów. Z tych wynaleziono już więcej jak 40, a ze 20 zachowało pierwotny kształt budowy. Stawiane są najczęściej z kamieni kubicznych (*lapides quadrato*), presbiterium umieszczone jest w *absydzie* ozdobionej na zewnątrz skromnym ryzalitem w zęby na podobieństwo kościoła św. Gereona w Kolonii. Kościoły te znajdują się w W. X. Poznańskiem, na Szlązku, i w Królestwie Pol skiem. Ciekawe są kościoły w *Strzelnie* i w *Kruświcy*.

P. von Quast powiada że zna te kościoły, i wynurza żal swój nad niezręczną restauracją kościoła w Kruświcy, wykonaną pierwój nim jeszcze powierzony został nadzór nad pomnikami historycznymi w Państwie Pruskiém.

P. Leemans wzmiankuje, że w Hollandyi nie ma pozostałych w pierwotnym kształcie kościołów dawniejszych nad wiek XIII; ale z tego wieku i z XII są niektóre ciesielskie roboty dachowe, a nawet całe budowy kościelne drewniane z XV wieku, najczęściej dębowe.

Hr. Przedziecki powiada, że w Galicyi i w Królestwie Polskiém znajdują się także niektóre kościoły drewniane z tego wieku, a nawet z XIV, ale *modrzewiowe*.

VIII Posiedzenie popołudniowe, 29 sierpnia.

HISTORIA.

P. de Linas (Francuz) prezes, PP. Pollen i hr. Przedziecki wice-prezesowie.

Posiedzenie zaczęło się od rozpraw nad *prawem żeglugi* (*la loi de navigation*) w Anglii.

P. de Ségur-Dupeyron objaśnia, że prawo które zabraniało przywozu towarów do Anglii na okrętach nie angielskich, Kromwel postanowił dla sprzeciwienia się wzrostowi marynarki niderlandzkiej. Prawo to które Karol II później zatwierdził, było pod pewnym względem bardzo korzystne dla Anglii; ale skutki tego prawa dla ogółu były nader żałosne. Obce kraje zabezpieczając się od Anglii, wydały także same prawa dla siebie; ztąd początek systematu protekcyjnego, i źródło następnych wojen pomiędzy mocarstwami europejskimi.

P. Wykeham powiada, że jako członek parlamentu angielskiego z największém ukontentowaniem głosował za zniesieniem *prawa żeglugi* w Anglii.

Oświadczenie to przyjęto z oklaskami. Następnie p. Génard (archiwista miasta Antwerpii) rozprawia o malarzach społecznych *Van Eykowi*, a mianowicie o *Rogierze Van der*

Weyden, który nazywał się rzeczywiście *Roger de la Pauce* i był Wallonem, rodem z *Tournai*, gdzie wyzwolił się na mistrza w malarstwie w r. 1439. Szkoła malarska w *Tournai* miała znakomity wpływ na Flandryą, a następnie i na Burgundya.

P. *Bigarne* (Francuz), który należał do téj rozprawy, wdaje się następnie w czcze etymologiczne wywody miejscowości we Francyi, poświęconych czci *N. Panny, św. Piotra i św. Anny*, od pogańskich bóstw *Izdy, Belo, i Nechalenii*; a *lilii* dawnego godła królów francuzkich od *berła Izdy*.

P. *Dognée* zbija zwycięzko czcze domysły poprzedniego mówcy, i radzi nie wdawać się w *etymologię*, którą możnaby nazwać *akustyczną*.

IX Posiedzenie poranne, 30 sierpnia.

ARCHEOLOGIA.

P. *Leemans* prezes, PP. *de Salinas* (Włoch), i baron *d'Izam* (Francuz) wice-prezesowie.

P. *Génard* odczytuje raport *Kommissyi statystyczněj* z wnioskami do zatwierdzenia przez kongres.

1) Aby kongres wstawił się do rządów celem urzządzenia ogólnej statystyki archeologiczněj.

2) Każdy powiat lub okrąg powinienby mieć osobną statystykę.

3) Do statystyki dołączona być powinna karta topograficzna.

4) Pomniki starożytne i przedmioty sztuki powinny być przedstawione przez ryciny lub fotografie.

5) Każdy tom opatrzony być powinien dokładnym spisem przedmiotów.

6) Format tomów powinien być in 8vo.

Wnioski te przyjęte są a wykonanie poruczone komitetowi centralnemu.

Następnie p. *Olmstaed* (Amerykanin) przedstawia w rysunkach *paciorki szklanne* rozmaitej wielkości, ale podobne co do barwy i kształtu ozdób; znalezione w Anglii, Ameryce i Nubii; zdają się one należeć do ludów wędrujących

po obszarze ziemskim. P. *Dognée* wskazuje podobieństwo tych paciorek ze znalezionymi po grobowcach *celtyckich*.

P. *Worsaae* opisuje *dolmeny*, których bardzo wiele znajduje się w Danii. Są to skrzynie z kamieni sztorcem położonych, a przykryte innymi kamieniami płaskimi, i zazwyczaj napełnione kośćmi ludzkimi.

P. *de Caumont* wspomina o *dolmenach* i *menhirach* w Bretanii, w *Karnak* i na półwyspie *Penmarh*; P. *Leemans* o takichże pomnikach w północnej Hollandyi; p. *de la Fuente* o odkryciu wielkiego *dolmena* w Andaluzyi; p. *Schuermans* i *Dognée* utrzymują że w Belgii także znaleziono dwa *dolmeny*, w *Jambes* i w *Presles*; ale w owych czasach nie starano się o utrzymanie takich zabytków, tak iż rysunki tylko po nich pozostały.

Xiądz Daury (Belgijczyk) robi uwagę, że w Belgii znaleziono wiele jaskiń po skałach; te napełnione były szkielecikami, i oczywiście służyły za groby; to tłumaczy dlaczego rzadsze były w tym kraju *dolmeny*.

X Posiedzenie popołudniowe, 30 sierpnia.

HISTORYA.

P. *baron de Witte* prezes. PP. *Pollen* i *Saavedra* (Hiszpan) wice-prezesowie.

Dr. *Förster* w języku niemieckim przedstawia obraz sztuki malarskiej nad Renem od wieku XIII, i zastanawia się najdłużej nad szkołą kolońską i nad szkołą flamandzką, poczynając od mistrza *Stefana* z Kolonii i od *Van Eyka*. Wyświecając pierwiastek idealny religijny tych szkół, Dr. *Förster* objaśnia teorię, rysunkami i fotografiami zdjętymi z obrazów znakomitszych mistrzów. PP. *von Quast*, *de Bäcker*, *Marsy* i *Pinchart* biorą udział w ocenieniu dzieł sztuki szkół kolońskiej i flamandzkiej, a Dr. *Förster* obiecuje uzupełnić swój wykład, nazajutrz w osobnej prelekcji.

Następnie p. *Génard* rozprawia o początku budynków giełdowych, zwanych: *Bursa* (*La Bourse, die Börse*). Dziejopis włoski *Guiniardini* opisując podróż swoją do Nider-

landów, powiada że w mieście *Bruges* widział miejsce przeznaczone dla interesów handlowych zwane *Börse* (*Bursa*), dlatego że granczyło z posiadłościami rodziny *van der Beurze*. Fakta te są niezaprzeczane, ale wniosek nie prawdziwy; raczej rodzina *Van der Beurze*, której początek sięga wprawdzie wieku XIV, mogła wziąć nazwisko swoje od *Bursy*, gdy dokumenta archiwalne wzmiankują o *Bursie* w roku 1285, a o *Bursie* w mieście *Bruges* w roku 1292; nieco później jest już wzmianka o *stariej bursie*. W Antwerpii była już *bursa* w roku 1353 (o czém świadczą dokumenta archiwalne) na ulicy *aux Laines*, zwanéj dziś *Vieille Bourse*. W roku 1515 była już *bursa* w inném miejscu, a ta posłużyła za wzór gmachowi z roku 1530, którego zniszczenie przez ogień przed kilkunastą laty, opłakiwał cały świat artystyczny. Pozostaje tylko nadzieja, że miasto Antwerpia odbuduje swoją *bursę* w tymże samym kształcie. Rzecz dziwna, że ile razy stawiano nową *bursę* w Antwerpii, było to zawsze na gruncie należącym do rodziny *Van der Beurze*. P. de Burbare (Belgijczyk) powiada, że *bursy* bywały dawniej rodzajem *bazaru*, w którym wystawiano próbki towarów.

P. *Genau* dodaje że zapewne z powodu mocnego zapachu próbek niektórych towarów, jakoto *skór*, *łój*, *wetny* i t. p. budynki służące za *bursę*, bywały zazwyczaj otwarte.

P. *von Quast* przypomina, że w średnich wiekach tak kupcy, jak studenci mieszkali spólnie w gmachach zwanych *Burso*, od spólnej sakiewki (*Boarse*).

Hr. *Przedziecki* czyni wzmiankę o *Bursie* Jerozolimskiej przy akademii Krakowskiej, fundacyi kardynała Zbigniewa z Oleśnicy w XV wieku.

P. *Beaumont* (Anglik) wracając do poprzedniego zadania o sztukach pięknych opowiada jak wielki wpływ wystawy powszechne wywierają na zmysł estetyczny ludowy. Gdy pierwsza wystawa sztuk pięknych w Anglii, w roku 1851 dała dowód niskiego stopnia sztuki angielskiej, książę Albert zajął się urządzeniem szkół rysunkowych dla ludu; szkoły te rozpowszechniły się nadzwyczaj w Anglii dla wszystkich klass społeczeństwa, i podniosły nadzwyczaj zmysł estetyczny w tym kraju, na zasadzie religijnej, bo obeznanie się z pierwiastkiem *pięknego* i *dobrego* zbliża człowieka do Boga.

P. *Geelhand* (Belgijczyk) na zakończenie tego posiedzenia, chce wypowiedzieć kilka słów o *środkach utrzymania pokoju* pomiędzy narodami, które ród ludzki od najdawniejszych czasów chciał zamknąć w stosownych *instytucjach publicznych*. U Greków był *Sąd Amfiktionów*, w średnich wiekach były *Lozejmy Boże*, *Sobory Kościelne* i *Sejmy cesarskie*, które usiłowały dokonywać dzieła pokojowego. Godzi się objawić życzenia, aby i dzisiejsze narody połączone w jedną wspaniałą konfederacyą, ustanowiły z pomiędzy siebie najwyższy trybunał, dla osądzenia wedle przyrodzonego prawa i sprawiedliwości wszelkich poróżnień mogących przezwyciężać pokój świata.

XI Posiedzenie ranne, 31 sierpnia.

ARCHEOLOGIA.

P. *de Caumont* prezes, pp. *de Schontheele* i *Meyers* (Belgijczycy) wice-prezesowie.

Posiedzenie rozpoczyna się od krótkiej rozprawy nad *orientacyą* kościołów. P. *Raymond Bordeaux* żałując, że zaniehbano średniowiecznego zwyczaju obracania kościołów *na wschód*; gdyż oprócz symbolicznego znaczenia, zyskiwano tym sposobem więcej światła dla kościołów, zwłaszcza *ostrołukowych*.

Hr. *Przedziecki* wzmiankuje, że kościół Wschodni zachował *orientacyą* jako obowiązkową w swojej liturgii.

P. *Dognée* przedstawia w imieniu pana Vander Maelen kilka tablic jego wielkiej *mappy archeologicznej* Belgii, na której oznaczone są wykopaliska i pozostałe pomniki ubiegłych wieków; objawia przytęm życzenie, aby podobne mappy we wszystkich krajach wykonywano.

P. *de Camont* radzi, aby rozmaite epoki odmiennymi farbami oznaczone były na mappach; wnoszą przytęm, aby kongres oświadczył podziękowanie panu *von der Maelen* za tak piękną i pożyteczną pracę. Wniosek ten jednomyślnie przyjęty.

Potęm rozpoczynają się rozprawy nad materiałami do stawiania budowli pomnikowych. Ani gips, ani cynk, ani żelazo nie powinny być do tego używane. P. *von Quast* i p.

Parker oświadczają się stahowczo za kamieniem. *P. Worsae* podziela także to zdanie, ale i z cegły stawiane bywały piękne kościoły w Danii już w XII wieku, a to podobno z cegły sprowadzanęj z Holandyi.

P. Leemans. W Holandyi mieliśmy już pomniki stawiane z cegły w IX wieku. Pięknym pomnikiem ceglany jest kaplica ośmiokątna przy zamku Karola Wielkiego w Nimwedze. Cegły te bywały daleko większe od dzisiejszych, znajdując się też niektóre trójkątne (1).

W XV wieku przestali używać takich cegieł; a natomiast pokazują się na początku XVI wieku małe ale mięszsze cegły doskonałej piękności i nader trwałe; używano ich tylko do wewnętrznych części budowli. W XVI wieku wyrabiano cegłę w różnych gatunkach, wedle miejscowości. W XVIII nastał podlejszy gatunek cegieł, zwanych niemieckimi, a z których wiele kościołów zbudowano w Holandyi.

P. Boaumont. Kamień powinien zawsze mieć pierwszeństwo nad cegłą; trwalszy jest; ciosany, łatwiej przyjmuje ozdoby; każdej budowie nadaje cechę wielkości. Użycie cegły ujmuje wielkości sztuce, zcieśnia ją niejako, lubo w zastępstwie kamienia oddaje jej także niepospolite usługi, o czém świadczą pozostałe ceglane pomniki starożytne. Trzeba też uwzględnić różnice klimatu: w Grecyi i w Rzymie budowle nie potrzebowały dachów, w naszych klimatach wilgotnych powstał styl ostrołukowy.

Następnie wszczyna się nader zajmująca rozprawa o restaurowaniu dawnych pomników budownictwa.

P. Colfs (Belgijczyk) budowniczy wyłuszcza obszernie systemat swój, wedle którego restaurując pomnik budownictwa sięgający kilku epok, np. romańskiej i ostrołukowej, należałoby restauracyą zastosować do epoki nadającej cechę temu pomnikowi, a znieść zabytki pozostałe z drugiej epoki, tak aby budowla wyrestaurowaną była w stylu czysto romańskim, albo też ostrołukowym.

P. Raymond Bordeaux gwałtownie powstaje przeciw takiemu sposobowi widzenia. W budowli która jest dziełem

(1) Cegły w *Bramie Złotej* kijowskiej są także bardzo wielkie a płaskie, z wysmienitej gliny żółtej niepalonej. (Przyp. spraw.).

kilku wieków, znieść cechy jednego z epok jej istnienia byłoby wandalizmem, byłoby to obnażyć szkielet, dla przykrycia go później pomysłami niewolniczego a nieśmiałego naśladownictwa. Pomniki wieków ubiegłych noszą na sobie cechy następujących po sobie pokoleń; zacierać te cechy, byłoby zacierać historią przeszłości, historią sztuki. Nie należy iść w pomoc zniszczeniu, ale położyć mu tamę; a to tylko odtwarzać wedle skazówek nauki i pozostałych zabytków, co nieodbitcie potrzebne, strzegąc się nadewszystko własnych domysłów i nowożytnych dodatków, jak to stało się niestety w restaurowaniu lewego skrzydła ratusza w Bruxelli.

Całe zgromadzenie potakuje mowie p. Bordeaux ciągłemi oklaskami.

P. von Quast powiada, że według tego systematu każe restaurować pomniki w Państwie Pruskiem. Utrwalić należy a nie niszczyć; kilka części w jednym pomniku mogą stanowić jakby pomniki oddzielne. To tylko co widocznie późniejszym niezręcznym przydatkiem było, może być cofniętym; ale zawsze jako zabytek przeszłości zachowaniem na innem miejscu.

P. Colfs zgadza się na ten systemat co do niektórych budowli mających służyć niejako za wzory historii sztuki budownictwowej; ale dla wykształcenia dobrego smaku w architekturze, potrzeba budowli trzymanych w jednym stylu.

Na wniosek p. Genard zgromadzenie oświadcza życzenie, aby przy restauracji pomników budownictwa, miano wzgląd na każdą część osobną. Na wniosek p. Moyers, zgromadzenie oświadcza życzenie aby Bursa antwerpska odbudowaną została w pierwotnym kształcie.

XII Posiedzenie popołudniowe, 31 sierpnia.

HISTORYA.

P. Pollen prezes, PP. Schuermans i Pinchart wice-prezesowie.

Wszczynają się na nowo rozprawy nad opieką, jakiej żądać należy od rządów dla zabezpieczenia pomników historycznych i archeologicznych.

P. *Schuermans* (Belgijczyk) poleca ten przedmiot uważać zgromadzenia, rozróżniając pomniki historyczne na należące: 1) do państwa, 2) do gmin, 3) do administracji publicznych, 4) do osób prywatnych. Do takich należą np. niektóre *facyaty domów* po miastach, które powinnyby być zachowane *nietykalne*, pomimo tego że te domy są własnością prywatną.

Konserwacya pomników powinna być zapisana do artykułów prawa międzynarodowego, tak jak świeżo zapisane zostały szpitale dla rannych w czasie wojny.

P. *de la Fuente* składa na biurze ustawy obowiązujące w Hiszpanii co do konserwacyi pomników historycznych.

P. *von Quast* opowiada o opiece jaką rząd pruski rozciąga nad pomnikami historycznymi publicznymi, dodając, że ta nie rozciąga się jednak do własności prywatnych.

P. *Bordeaux* skarży się na sposób w jaki odbywa się częstokroć restauracya pomników we Francyi. Władze rządowe, zwłaszcza budowniczowie lubią otaczać się tajemnicą i postępować samowolnie, nie radząc się opinii publicznej, która w przedmiotach sztuki, powinna mieć głos stanowczy. Wedle mówcy, każdą restauracyą pomnika historycznego, powinno się poprzedzić śledztwo *de commodo et incommodo*.

P. *Advielle* (Francuz) utrzymuje, że rząd francuzki nie trzyma w tajemnicy projektów restauracyjnych; inaczej dzieje się może po granicach i po dozorach kościelnych.

P. *Pasker* (Anglik) winszuje Państwu Pruskiemu, że konserwator jego pomników historycznych jest archeolog (p. *von Quast*) a żałuje że we Francyi jest nim *budowniczy* (p. *Violet-Leduc*).

W Anglii gdzie każdy robi co mu się podoba, rozebrano nie jeden wspaniały kościół pod pozorem zrestaurowania go. Kiedy budowniczy powiada że pomnik jaki wali się, trzeba innego budowniczego przywołać i obiecać mu dyrekcyą restauracyi, jeżeli dowiedzie że pomnik nie grozi upadkiem, a niezawodnie zgodzi się na zachowanie pomnika. Wiem (powiada dalej mówca) o jednym kościele, którego wieża groziła upadkiem. Kościół zamknięto na lat kilka; później wezwano innego budowniczego: ten zrzucił kościół i postawił nowy, ale wieżę zachował.

P. *de Caumont* powiada, że w niektórych departamentach Francyi, panuje taka samowolność pod względem budownictwa, że pomnikom historycznym grozi zupełna zagłada.

P. *Van der Stratten* (Belgijczyk) znajduje systemat pruski lepszym od francuzkiego, w którym pierwiastek materialny budowniczego częstokroć bierze górę nad pierwiastkiem artystycznym i naukowym (archeologicznym). Mówca sądzi że rozprawy i postanowienia kongresów i towarzystw archeologicznych, znakomicie wpłynąć mogą na konserwacyę pomników po wszystkich krajach.

P. *Peralta* sądzi, że najlepszy sposób usunięcia nadużyć o których wyżej wspomniano, byłoby rozszerzyć jak najwięcej zamiłowanie i naukę archeologii.

Hr. *Przezdziecki* z powodu wandalizmu któremu ulegają niekiedy restaurowane przez nieumiejętnych konserwatorów pomniki, powiada, że pomimo tego nierównie gorzej dzieje się tam, gdzie nie ma ani kommissyj archeologicznych, ani konserwatorów, i gdzie pomniki oddane są na pastwę czasu, a co gorsza niewiomości i chciwości. Reprezentanci kilku narodów (powiada dalej mówca) objaśnili nam zasady na jakich opiera się opieka rządowa nad pomnikami krajowemi. Gdy nie ma nikogo z Austrii, godzi się brak ten zastąpić i powiedzieć, że w każdym kraju koronnym tego państwa mianowani są konserwatorowie miejscowi, bez wpływu których żaden pomnik nie może być restaurowanym. Kommissya centralna archeologiczna w Wiedniu czynnie i umiejętnie zawiaduje całością. Podobnyż porządek istnieje w cesarstwie ruskim.

Przy końcu posiedzenia p. *Adoielle* rozbiierał zadanie, czyliby można za pomocą stowarzyszeń naukowych dokończyć dzieło p. *Monteil*, pod tytułem: „*Histoire des Français des divers états aux cinq derniers siècles*,” które przy wyjściu swoim pozyskało taką sławę we Francyi, pochlebne zdanie p. *Guizot*, i jedną z wielkich nagród rozdawanych przez akademią francuzką. Dzieło to tém się różni od innych historyi narodowych, że nie ogranicza się na opisach bitew i samych uroczystych wypadkach, ale przedstawia obraz życia

narodu, do którego barw dostarczały dokumenta archiwalne. Poszukiwania po archiwach dalej ciągnąć można i trzeba, ale malować obrazy żywymi farbami jak *Monteil*, nie potrafi kto inny.

P. de Caumont w imieniu Towarzystwa Archeologicznego Francuzkiego, zaprosił członków kongresu na posiedzenia rozpocząć się mające 23 września w Paryżu.

Prezes (p. *Pollen*) składa podziękowanie za to panu *de Caumont* w imieniu całego zgromadzenia.

XIII i ostatnie posiedzenie, 1 września.

Zamknięcie kongresu archeologicznego odbywa się uroczystie pod prezydencją kawalera *Pycke d'Ideghem*, gubernatora prowincyi Antwerpskiej.

W pięknej mowie kawaler *Pycke* winszuje uczonemu zgromadzeniu dokonanej pracy i osiągniętego celu utworzenia federacyi naukowej międzynarodowej. Dziękując członkom kongresu za przybycie do Antwerpii z tyłu stron dalekich, prezes składa dzięki rządóm, które przysłały tu swoich delegatów, i akademii belgijskiej która powzięła myśl tego kongresu, i doprowadziła ją do skutku.

P. von Rutt, burmistrz antwerpski w imieniu miasta dziękuje członkom kongresu, za ich przybycie do Antwerpii. Składa hołd należny nauce, która zagłębiając się w tajemniczych źródłach pochodzenia społeczności, śledzi je następnie od pokolenia do pokolenia, i badaniem przeszłości usiłuje oświecić drogę przyszłości. Jakkolwiek twarde i jałowe zdają się być pierwiastki nauki archeologicznej, znajdują w nich badacze nadgrode poniesionych trudów, chociażby tylko w obcowaniu z pokoleniami, które nas poprzedziły na ziemi. Mówca jako gospodarz miasta, zaprasza odjeżdżających gości, aby wrócili kiedyś do tej stolicy sztuk pięknych, która usiłować będzie jak najbardziej uprzyjemnić im pobyt.

P. Worsae w imieniu wszystkich członków kongresu, składa dzięki za serdeczną gościnność jakiej doznali w Antwerpii. Archeologia wszystkie narodowości ogarnia z je-

dnakowém spółczuciem, w imieniu nauki i prawdy. Dowiódł tego pierwszy kongres archeologiczny międzynarodowy, zgromadzony w Belgii, staraniem akademii belgijskiej. Opuszczając to gościnne miasto, każdy członek kongresu zachowa w sercu pamiątki narodu belgijskiego tak pracowitego, tak uczzonego, tak wiernego czci piękna, tak przywiązanego do swojego monarchy, do swoich instytucyi i do swęj niepodległości.

Następnie zgromadzenie przyjmuje jednomyślnie następujące *cztery* wnioski:

1) Kongres archeologiczny międzynarodowy zbierze się po raz drugi w roku następnym. *Biuro centralne* dzisiejsze złożone z członków miejscowych, i z członków korespondentów zagranicznych, zajmie się czynnościami poprzedzić mającemi zebranie się kongresu. Miejscem zebrania będzie miasto *Bonn* nad Renem, lub w razie niepodobieństwa, inne, od wyboru *biura centralnego*.

2) W mieście Antwerpii ustanawia się *Komitet centralny do wydawania roczników archeologicznych powszechnych*; komitet ten złożony z trzech członków pp. barona *Witte*, prezesa, *Dognée* sekretarza, i *trzeciego*, wyznaczonego przez akademię belgijską zajmie się redakcją materyałów przesyłanych do niego ze wszystkich krajów w kształcie raportów o nowych odkryciach, o wzbogaceniu się miejscowych muzeów i o postępach nauki archeologicznej. Materyały te obrobione i ułożone według ogólnego planu, utworzą *roczniki archeologiczne powszechne*, zbiór naukowy międzynarodowy, który będzie zaszczytnym i pożytecznym owocem dzisiejszego pierwszego kongresu archeologicznego międzynarodowego.

3) *Biuro centralne* w imieniu kongresu, odniesie się do wszystkich rządów, celem utworzenia statystyk archeologicznych każdego kraju.

4) Zasady mające być przyjęte co do uporządkowania archiwów publicznych, pozostawić do ocenienia i stosownego orzeczenia następnemu kongresowi.

Gubernator prowincyi antwerpskiej zamknął ostatnie posiedzenie kongresu archeologicznego międzynarodowego, serdeczném słowem żegnając odjeżdżających, w nadziei powitania ich raz jeszcze w Antwerpii.

Na pamiątkę tego pierwszego kongresu archeologicznego międzynarodowego, który miał się zebrać w roku zeszłym, akademія archeologiczna belgijska kazała wybić medal bronzowy.

Z jednćj strony kobieta wpół naga siedząca śród sprzętów w stylu egipskim i etruskim i zdejmująca zasłonę z głowy, przedstawia *naukę archeologii*. Napis wokoło: *Académie d'archéologie de Belgique*.

Z drugićj strony pośrodku wieńca złożonego z gałązki laurowej i z gałązki dębowej, napis: *Congrès international d'Archéologie. Anvers. Août 1866* (*).

(*) Rok ten był pierwiasstkowo przeznaczony na zebranie się kongresu. Medale te rozdawano członkom kongresu, za opłatą jednak dziesięciu franków.



U s t ę p

Z DZIEJOW FILOZOFII SCHOLASTYCZNÉJ.

(ABELARD I HELOIZA PRZEZ STEFANA PAWLICKIEGO).

SKREŚLIŁ

Kazimierz Kaszewski.

Imiona, które spotykamy na tytule książki p. Pawlickiego są bardzo głośne, i mało kto z żyjących i ocierających się o kulturę umysłową nie zasłyszał o nich; przeszły one już nawet w pewien rodzaj miłosnego mytu. Zkądże ten rozgłos, upowszechnienie, długowieczność i zainteresowanie takie, że dziś nawet w kraju obcym, w stanie stosunków tak różnych od wieku istnienia tych dwojga ludzi, nie wahał się professor Szkoły Głównej wznowić historią ich losów w prelekcyi publicznej i ogłosić ją drukiem (*), a tém samém rachował, że pomimo tych rozmaitych zjawisk, jakie od owego czasu przeszły po prądzie ciekawości publicznej, jeszcze ta rzecz nie będzie dla nas bez interesu i pożytku? Co może mieć za związek jakiś mnich średniowieczny francuzki z kwestyami, które dziś zajmować powinny czytelnika polskiego, albo jakiego dlań może być znaczenia dola rozkochanej mniszki z zapadłego zakąta Francyi?

Takie pytania zadaje sobie czytelnik, a książka nader je szczęśliwie i korzystnie dla jég autora rozwiązuje.

Dzieje jakiegobądź społeczeństwa, bez względu na wiek i narodowość, byle ze strony właściwej podjęte i umiejętnie przedstawione, zawierają zawsze jakąś lekcję dla późniejszych ludzi każdej epoki i narodowości, przez to już samo, że wszyscy ludźmi jesteśmy i według znanéj reguły,

(*) Abelard i Heloiza, przez Stefana Pawlickiego, Docenta Szkoły Głównej. Warszawa 1867 r.

nie nam nie powinno być obcém, cokolwiek dotyczy ludzi. Szczeble i przeobrażenia jakie przebywał umysł ludzki nim stanął na dzisiejszym stopniu drabiny cywilizacyjnej, to widok pełen zajęcia dla każdego myślącego człowieka; w téj zaś machinie działań poruszających postęp ukształcenia Abelard był jedném z pierwszych i czynniejszych kółek a ruch jego działań pośrednio udzielił się i ludzkości całej za sprawą jawniejszych i skrytszych, większych lub delikatniejszych sprężyn.

P. Pawlicki w rozprawie swéj ułożonej z widoczną intencją popularności, głównie zajął się stroną biograficzną bohaterów, dziejami wewnętrznymi ich umysłów i serc, życiem; mniej stosunkowo dał miejsca naukowej i czysto dogmatycznej a zatém rezultatowej stronie życia Abelarda, jako filozofa. My nie mając zamiaru naszym sprawozdaniem wyręczać saméjże książki, do niéj odsyłamy czytelników po szerokie szczegóły, a tu chcemy niejako uzupełnić i rozwinąć o ile sam przedmiot się nadaje, to co w saméj książce postawione jest w treści, szczegółów biograficznych tyle używając, ile potrzeba do związania całości.

Piotr Abelard urodził się w okolicach Nantes w r. 1079. W młodym bardzo wieku rzucił się z niesłychanym zapałem do nauk a zwłaszcza do dyalektyki. Z początku słuchał on wykładów Roscelina z Compiègne; następnie szukając po rozmaitych miastach sposobności do zahartowania się w dysputach, przybył nareszcie do Paryża i zajął miejsce w gronie mnogich słuchaczy Wilhelma z Champeaux archidyakona Notre-Dame, pierwszego dyalektyka swego czasu, który rozwijał zasady realizmu w szkole katedralnej.

Ażeby zrozumieć i ocenić dążności naukowe Abelarda, trzeba rzucić okiem na ówczesny stan nauki we Francyi (a zatém mniéj więcej w całym chrześcijańskim świecie), poruszyć pierwszorzędne zadania ówczesnych umysłów, i określić co to znaczył ówczesny *realizm* w stosunku do odpowiedniego mu *nominaleizmu*; co téż częścią przy pomocy pana Pawlickiego, częścią przy świetle ksiąg historycznych, postaramy się uczynić.

Jest rzeczą naturalną i niezaprzeczoną, że misyonarze opowiadając ewangelię w Gallii, równie jak i we wszystkich innych częściach świata, nie mieli czasu ugruntować wiary

nowych chrześcian przez ścisłe udowodnienie zasad nauki Chrystusa. Jak artysta rysuje nasamprzód na płótnie szkic swego obrazu, który następnie dopiero przez dodanie szczegółów, wykończenie i obłożenie kolorami, ma stać się arcydziełem sztuki malarskiej i świadczyć o genialności pomysłu, tak samo i misyonarze, w pierwszej chwili szkicowali tylko podstawy, prawdy pierwotne objawienia. To, bardzo naturalnie, obudzało w sercach chęć sięgnięcia głębiej w ducha nauki, jak to prześlicznie maluje nam Kalderon w bohaterze dramatu *Kochankowie nieba*. Spójrzanie w tę przepaść zrazu przeraża, ale i nęci... Ażebymy wyszli zwycięsko z takiego postanowienia, trzeba być istotnie natchnionym z góry, przejmując się głęboko wielkością i niezaprzeczalnością pierwszej podstawy na której się stoi, uwierzyć i uznać powszechnie, że ona jest niezachwiana. To też nikt nie zaprzeczy, i na zaszczyt tylko zachodnich państw powtórzyć to można, że ten ciężki przywilej i obowiązek opiekuńczego czuwania nad narodami do czasu ich stanowczego ukształcenia się, przypadł władzy kościelnej. Tak jest, jak dziecię pojedyncze i dziś jeszcze wzrasta i rozrasta się w siły umysłowe i fizyczne pod wpływem pacierza i katechizmu, tak i dzieci-narody chrześcijańskie w cieniu świątyń i relikwiarzy pobierały pierwszy pokarm nauki i ten to pokarm wyhodował je do takich sił, że wkrótce stanąć mogły o samodzielnej mocy i na własną odpowiedzialność dalej rzecz ukształcenia prowadzić. Gdzieś jednak trzeba było zatrzymać się i oznaczyć granicę opieki kościoła nad rudymentami ukształcenia narodowego, inaczej społeczeństwo samo przez się skazywałoby siebie na małoletność a zatem gnuśną bezczynność. Szczęśliwi, którzy potrafili zatrzymać się i emancypować w porę, i nie zrywając z kościołem, jako z najwyższą instancją w rzeczach opieki religijnej, ale czerpiąc w nim owszem jak i dawniej siły żywotne w pewnym kierunku, poszli o własnych siłach po kierunkach innych. Inni zerwali z tradycją kościoła i, niewdzięczni, obrzucili go obelgami; inni znowu wpadli w ostateczność przeciwną, zaparli siły własne, i zamiast przymierza z kościołem przyjęli na długie jeszcze czasy jego bezwarunkowe poddaństwo, co wstrzymało rozwój intelektualny z wszystkimi następstwami tak smutnego faktu.

Wiek, w którym życie rozpoczął Abelard, był właśnie wiekiem najczulszój i najczynniejszój opieki kościelnej. Nikt sobie zapewne nie wyobraża, ażeby w tym wieku, umiejętności i szkoły urządzone były jak dzisiaj: jeszczeż to był chaos, w którym jak powiada Owidyusz mięszały się *congesta eodem non bene junctarum discordia semina rerum* (zbite w jedno niezgodne pierwiastki rzeczy źle spojonych). Cały charakter oświaty był czysto a przynajmniej przeważnie religijnym, bo tu chodziło przedewszystkiem o pewność co do rzeczy mających związek ze zbawieniem duszy. To też przewracano dogmata na wszystkie strony, rozbiegano je, przerzucano, i znowu wracano do nich z podwojoną gorliwością. Spory teologiczne liczą znakomitych adherentów, i nie jednokrotnie spotykamy na tém polu, w szrankach, mnichów i biskupów walczących dzielnie z otwartą przyłbicą. Przyczyny polityczne nadając duchowieństwu ważność polityczną niezaprzeczoną, doznawały odeń wzajemnych posług objawiających się w blasku nauki i literatury religijnej. W czasach tych ta jedynie literatura była rozumianą i lubianą dla swych poważnych form, i czerzoną dla swój wysokićj treści, tak w żywém słowie jako i w księgach. Nie potrzebujemy wspominać jakie były jój stosunki do ludu prostego. Ponieważ wiara i pobożność były bardzo upowszechnionemi, więc téż i stosunki te rozciągały się do wszystkich, wszędzie i zawsze. Lud znikąd nie brał pokarmu duchowego tylko z kościoła w przerwach nabożeństwa, tak, że nauka i modlitwa były czémś nierozłączném, wspólném, jednolitem. Tak się rzecz ma z żywém słowem;—ale twórcy dzieł pierwszych żyją tylko w klasztorach, pobożni i nieznani. Kiedy barbarzya tłumami instynkta cywilizacyjne, kiedy miasta i wioski jęczą pod narzucaném sobie jarzmem; kiedy zdobywcy oddają się wyłącznie rozkoszom i łupieztwu: wszyscy ludzie uczeni chronią się w mury klasztorne, z kąd wychodzą mnichami, mowcami i biskupami, a nie jeden z nich zasiada na stolicy apostolskiej, unosząc tam pierwiastek swobody tłumiony na świecie przez prawo feodalne.

Jeśli nie wcześniej, to już w III-cim po Chr. wieku, rozumowanie religijne pismem objawia się w Gallii. S. Ireneusz chlubnie sprawuje godność biskupią: jest to pierwszy wyraźny typ uczonego chrześcianina na ziemi dzisiaj fran-

cuzkiéj. Jego pięć ksiąg przeciw *herezyom* wykazują męża pełnego zapału religijnego i zarazem myśliciela potężnej logiki; znajomość starożytności pozwala mu walczyć z powodzeniem przeciw sofistom i doktrynom pogańskim. Odtąd powstaje imię za imieniem, coraz częstsze odkrycia zatraconych rękopismów starożytnych przydają światła do burzącego się ogniska myślenia chrześcijańskiego. ale z tém wszystkiém długie wieki upływają nim wymówiono wyraz: filozofia.

Wiek dopiero IX sprowadził myślenie do więcej filozoficznych reguł, a to z ukazaniem się Jana Scota-Erygenesa. Mąż ten stanowi istną epokę i dlatego na nim dłużej zatrzymamy się nieco. Urodził się on w początkach IX wieku na jednej z wysp brytańskich; na której, niewiadomo, i spór o to dotąd się toczy. Niewiadomo téż, jaką koleją przybył do Francyi; dość że w pełni życia spotykamy go na dworze Ludwika IXyiego. Postawiony przez tego monarchę na czele szkoły pałacowej i wysoko ceniony dla swojej nauki, zapuścił się on w najważniejsze swego czasu spory, w dyskusy o Łasce i Eucharystyi, a w sporach tych idąc naprzód z całą światłością myśli, sprowadził na głowę swą liczne potępienia, przez co naraził i całą powagę swoich metafizycznych zaciekań. Teolog w nim bardzo wiele zaszkodził filozofowi.

Erygenes napisał bardzo wiele ksiąg: z tych niektóre zaginęły, mianowicie traktat o Eucharystyi, który głównie na niego ściągnął pioruny Rzymu; niektóre później ogłoszono drukiem, a z liczby tych najważniejszém dziełem jego jest księga „O podziale natury“ która obejmuje całą jego filozofią, i z tej téż księgi możemy go całkowicie sądzić. Wyszła ona pierwotnie w Oxfordzie r. 1681, a niedawnemi czasy powtórnie wydał ją prof. Schlütter w Monasterze, znana więc jest doskonale uczonemu światu. Traktat ten składa się z pięciu rozdziałów (ksiąg) w formie dyalogu. Jest to ciągła rozmowa między nauczycielem i uczniem o świecie, o powszechności istot, o téj wielkiej całości która obejmuje Boga i człowieka, o Stwórcy i stworzeniu. Myśl tam, idąc za swém dyalektycznym rozwinięciem, często odwraca się i ginie co chwila w tłumie kwestyi podrzędnych, potem wraca znowu i powtarza się z niewyczerpaną ufnością w siebie,

Nie jest to już suchy amalgamat teologii, ale raczej zbyt obfita płodność, bogaty i różnolity chaos. Pomimo subtelności i zamieszania, słowo Erygenes jest częstokroć wielkie, wspaniałe, namaszczone poezją, którą podtrzymuje wzniosłość myśli i jakiś entuzjazm filozoficzny.

Powiedzieliśmy już, że największą ważność Erygenesowi nadaje miejsce jakie on zajął w historii umiejętności, a raczej kierunek jaki nadał filozofii swojego wieku. Po upływie czasów barbarzyństwa idących w ślad za najazdami, w chwili kiedy umiejętność z trudnością wydobywała się z poza pracowitych ale niekształtnych kompilacji Alkuina i Bedy Czcigodnego, Scot-Erygenes wznosi się odrazu na sam szczyt *metafizyki*, a podejmując olbrzymi trud mający ująć całość chrześcijańskich wierzeń w jeden systemat,—otwiera on prawdziwie drogę filozofii wieków średnich. Przebija się w nim zaprawdę wiele myśli filozofów alexandryjskich, Plotyna i Proklusa; studjuje on chciwie, umysłem subtelnym i entuzjastycznym Ojców kościoła greckiego, tłumaczy Arcopagite i Dyonizego; ale z tém wszystkiém nie można go mienić ani kontynuaterem filozofii alexandryjskiej, ani ostatnim z nowo-platonistów, ale uznać go trzeba przedewszystkiem za pierwszego scholastyka.

Dziwnego człowiek doznaje wrażenia, kiedy bierze do rąk starą, odwieczną, zbutwiałą księgę myśli człowieka, którego prochy dawno weszły w skład ziemi; zwłaszcza téż księgę nad którą wisi interdikt. Zdaje mu się, że tam znajduje jakieś harce diabelskie, jakieś przymilenia do ducha złego; przewraca kartki z bojaźnią; a tymczasem znajduje ciche i pokorne usiłowania wydobyć się z zamętu niepełności; widzi człowieka przejętego dobrem ludzkości, pełnego zaparcia, i przekonywa się że te wyklęte księgi jeszcze mogłyby być wzorem ortodoxyi obok dzisiejszych niektórych co śmiało i swobodnie, bez obrazy niczyjéj kursują po świecie. Tak i z księgami Erygenes.

W dziele swém: *de Divisione naturae*, rozpoczyna on od podziału świata całego, istot, natur, na cztery kategorie: 1, natura niestworzona i tworząca; 2, natura stworzona i tworząca; 3, natura stworzona i nietworząca; 4, natura niestworzona i nietworząca. Naturą pierwszą jest Bóg, Bóg niestworzony i tworzący, ten który posiada i rozlewa

życie. Drugą stanowią pierwsze przyczyny, przez które On dzieło swe sprawuje. Trzecią jest stworzenie. Czwartą jest znowu Bóg, będący końcem wszystkich rzeczy jako był ich początkiem, Bóg, do którego wraca życie pierwotne z rąk Jego wyprowadzone, ale z Nim się nie miesza. Widzimy ztąd, że Erygenes bada Boga długo i głęboko, bada równie przyczyny pierwsze, świat i człowieka który jest jego uwieńczeniem, ukazuje nareszcie ten świat stworzony i wracający do Boga. Każdy przyznać musi, że pomysł to wielki i wspaniały. Trzeba czytać Erygenes w jego dziele (lubo wątpię czy dziś znajdzie się na to wielu zwolenników), aby przekonać się z jaką on entuzyastyczną troskliwością krząta się około umieszczenia świata i człowieka w łonie Boga, jak on usiłuje owionąć ich boskością a nie zlać ich wszelako z nią w panteistyczną jedność.

Jego zapatrywanie się na Boga nadzwyczajnie przypomina pojęcia alexandryjskie. Oświadczą on z góry że Bóg nieprzystępnym jest umysłowi ludzkiemu, że myśl ludzka niezdolna Go poznać, języki ludzkie niezdolne Go nazwać, że On nie podchodzi pod żadną kategorię, że wyższym jest nad określenie wszelkie. Jakoż wszystko co da się określić ma swój przeciwny biegun: dobro przeciwległe jest złemu, byt znajduje swoje zaprzeczenie w nicości, i przeciwieństwa te są względem siebie równoległe. Owóż gdyby Bóg był dobrocią, prawdą, bytem, pociągnęłoby to za sobą odpowiednie tym kategoriom przeciwieństwa, a te byłyby tem samem współwiekuiste z Bogiem. Antagonizm podobny jest niepodobieństwem; trzeba się zatem wzniesć wyżej po nad świat walk i różnic, aż do Boga nieokreślonego, bezimiennego, o którym mówi Areopagita. Powtarzając że tego Boga niedostępnego poznać nie jesteśmy w stanie, Erygenes ukazuje nam Go wszędzie, około nas, w Jego dziełach a nadewszystko w troistości duszy naszej stworzonej na obraz i podobieństwo Trójcy św.

Drugą naturą w podziale powszechności istot jest natura stworzona i stwarzająca. Gdzież ona jest jeśli nie w pierwszych przyczynach wszechrzeczy? Temi to przyczynami są idee, wzory, formy w których Bóg złożył niewzruszone pierwiastki rzeczy. Zobaczmy jak Erygenes wyklada i rozwija stworzenie tych pierwszych przyczyn. Idzie on w tém

za opowiadaniem Genezy, którą, według ówczesnego obyczaju i według skłonności własnego umysłu, tłumaczy z szczególną subtelnością; pod literą doszukując się znaczenia duchowego, i częstokroć nader śmiałe teorye stawia pod osłoną biblijnego wiersza. Pierwsze przyczyny, stworzone są przez Ojca i złożone w słowie: „*In principio fecit Deus coelum et terram*” (na początku stworzył Bóg niebo i ziemię), powiada Pismo, a on utrzymuje że tu *in principio* znaczy: w łonie Słowa. Przyczyny te są współwiekuiste z Bogiem, a zaś świat jest zarazem i wiecznym i stworzonym. Jest wiecznym, bo Bóg nie znosi przypadkowości, a stworzenie byłoby przypadkiem w życiu bożem, gdyby Bóg istniał przed światem. Jest stworzonym, bo tak głosi Pismo. Jakżeż tedy pogodzić te dwa pojęcia: odwieczności i stworzoneości, w jakim punkcie one jednoczą się z sobą? Otóż zjednoczenie to następuje w Bogu, bo i Bóg jest zarazem wiecznym i stworzonym; On jest zarazem pojedynczym i wielorakim, jednością i wielością. Trwa On w swojej jedności niewzruszonej, która utrzymuje różnaitości zjawisk; ale jednocześnie przepływa On pośród tej różnaitości nieskończonej, i stwarzając ją, stwarza w niej zarazem samego siebie; w każdej bowiem rzeczy, w każdej istocie On jest substancją prawdziwą. Odejmijmy tę substancję, odejmijmy pojęcie tej mądrości boskiej, a wszystko się rozchwieje. Takim tedy sposobem Bóg stwarza siebie we wszystkiem co stwarza: taż sama zatem rzecz może być jednocześnie wiekuiącą i stworzoną, nieskończoną i skończoną, wiekuiącą i nieskończoną w Bogu, to jest w przyczynie w której istnieje, a stworzoną i skończoną w swym rzeczywistym objawie. Idąc wciąż za Genezą, Erygenes, w dalszym ciągu rozwijania stworzeń, od Boga zstępuje do ostatnich krańców świata, aż do tego co nie istnieje: do materji. Przepaść rozgraniczałaby dwa te światy: duchowy i materyalny, gdyby nie było pomiędzy nimi natury, która należąc do jednego i drugiego, zbliża je do siebie, łączy, zgadza i różnice ich zacierą. Poniżej ciała niema już nic, i niema nic powyżej ducha; dwie te dopiero ostateczności spotykają się i łączą w jednej istocie, którą jest człowiek. Na nim kończy się ten wielki podział istot zaczynający się w Bogu, on jest ostatnim wyrazem, celem, szczytem stworzenia.

Jako wszystkie pierwsze przyczyny poczynają się w słowie, tak wszystkie stworzenia poczynają się w człowieku: on jest treścią świata stworzonego i powinien powrócić go Stwórcy. Człowiek jest pośrednikiem, odkupicielem stworzenia, zbawicielem istot, bo on zawiera je w sobie i ma je powołać przed oblicze Boga. Taką to jest, według planu mądrości bożej, godność natury ludzkiej. Dlatego człowiek utworzonym został na obraz Boga; dlatego on, gwoli sprawowania boskich funkcji, otrzymał duszę która jest obrazem Trójcy. Ale przerwało się wykonanie tych planów: człowiek wyrzekł się tego wysokiego posłannictwa; przez grzech upadł on z tego wysokiego stanowiska, na którym go Bóg postawił. Tu przerywamy streszczenie, aby przytoczyć słowa samego Eurygenes, znakomity jego ustęp o złem i o grzechu:

„Stan człowieka w raju nie był stanem zupełnej doskonałości. Ten pierwotny stan jest tylko usposobieniem do dobra, do świętości; do prawdy, która jest człowiekowi wrodzoną i którą on obowiązany jest rozwijać. Chwila ta, którą my unieszczamy przed upadkiem i którą nazywamy niewinnością, ten raj, powiadam, nie istniał nigdy. Gdyby człowiek był, choćby jak najkrócej pozostawał w raju, to byłby i przez tę najkrótszą chwilę koniecznie musiał dojść do doskonałości. Ten więc stan poprzedzający upadek był tylko prostym usposobieniem, które człowieka mogłoby być doprowadzić do doskonałości bożej, gdyby on był wytrwał w dobrem. Człowiek nie uczynił tego: zamiast zwrócić się ku Bogu, który był jego prawem i celem, zwrócił się on do samego siebie. Nie *złe* skusiło go, bo *złe* nie istnieje; nie pożądanie skusiło i zepsuło jego wolę: ale woła sama spadła z tych wysokości w których była stworzoną, odpadła od Boga na siebie samą. Nie jednak nie przetrwa w niebezpieczeństwie. Bóg sam wypełni posłannictwo, które człowiek odepchnął. Człowiek boży, Jezus Chrystus, zajmuje miejsce opróżnione przez Adama; On przyoblecze naturę ludzką, On poprowadzi przed oblicze Boga całą ludzkość wraz z całym światem jaki w niej się zawiera.“

Jakżeż w tém wszystkiém Erygenes różnym jest, jak wyższym od wszystkiego co go w kierunku nowego myślenia

poprzedziło, a jednak i to co było przed nim, nie było bez wartości dla umysłu ludzkiego. Zastanówmy się tylko, że to były pierwsze kroki na drodze zawikłanych zadań dręczących umysły, zadań stojących podówczas między pierwszymi potrzebami ludzi myślących, bo nie był to czas, jak dzisiaj, indyferentyzmu, ale owszem wielkiego zapału religijnego, tak, że najmniejsze zwątpienie, najmniejsza obawa o zbawienie duszy, przejmowała całą grozą desperacyi. Ludzie w umartwieniach, postach, w zaparciu się wysokich stanowisk, w poddaniu się pod najsurowsze reguły, w pielgrzymkach niebezpiecznych, o głodzie i skwarze, często na kolanach odbywanych, odpokutowywali najmniejsze posądzenie się o grzech śmiertelny, najmniejsze podobieństwo wiekuistej kary. W takim usposobieniu umysłów, w wierze tak dziecinnie silnej i bezwzględnej, możemy łatwo się domysłuwać, jakiego znaczenia były traktaty i dyskusye religijne. To też Wolter, zdaje mi się, nie żartował, cynicznie się odzywając, że zakładanie zakonów duchownych było „istotną pociechą.“ Tak; było ono pociechą, bo tam wyrabiały się myśli uspokajające w udręczeniach duszy i kojące rany zadane przez świeckość.

Przejdziemy teraz do czwartej natury, nie stworzonej i nie tworzącej, a więc do Boga uważanego nie tylko jako początek ale jako i koniec wszech rzeczy. Z poetycznym zapałem opisuje Erygenes ten powrót stworzenia na łono Stwórcy i przyszły stan tego świata wskrzeszonego w Bogu. Zaprzecza on wiekuistości kar; nie przypuszcza aby istniało piekło materialne: w dogmatach tych upatruje on resztki tradycyi pogańskich, wiarę w kary wiekuiste poczytuje za opinię manichejską. Wiara w istnienie wiekuiste złych a więc i kar ktoreby ich ścigały, znaczy tyle co umieszczenie naprzeciw nieskończonego dobra, naprzeciw Boga, potęgi równie jak On nieskończonej i wiecznej, to jest potęgi złego. Złe nie istnieje: jest ono tylko przypadkiem, który winien zniknąć wraz ze zrodzonymi przez się córami: nędzą i śmiercią. Kary nie będą materialnemi, męki zawisną tylko w sumieniu. Czyż może być inna radość nad widok Chrystusa, możeż być inna kara jak pozbawienie tego widoku? Będą nareszcie dwa stany dla wybranych: pierwszy jest prostym powrotem do natury człowieka przed upadkiem; w drugim

człowiek wzniesie się ponad ludzkość przez łaskę, będzie ubóstwionym; ale najwyższy stopień ubóstwienia, zjednoczenie zupełne z Bogiem, ma być tylko przywilejem Słowa.

Taką jest w treści metafizyka i teodycea Erygenes, wielce z pozoru zatracająca neoplatonizmem, a w gruncie wielce od niego różna, bo kiedy filozofowie alexandryjscy, nadużywając firmy Platona, wszystko co jest, starają się sprowadzić do jakiejś częściej jedności wiodącej wprost do panteizmu; tymczasem Erygenes w ostatnich rezultatach swych badań nie odejmuje jednostkom osobnego znaczenia, mówi o pochodzeniu istot od Boga i zewnątrz Boga, nigdzie nie wspominając aby stworzenie było emanacją. Kiedy nareszcie ukazuje Boga, ten prąd bytu i życia obejmujący i ożywający wszystko, przypomina wciąż, że nigdy i nigdzie nie zachodzi zlanie się pomiędzy Stwórcą i stworzeniem; a jeżeli panteizm wybłyska niekiedy z jego słów, nie leży on nigdy w jego intencjach.

Ale ponad całą nauką Scota-Erygenes stoi jedna zasada główna zawierająca się w tych wyrazach napisanych w pierwszym rozdziale traktatu „*O Przeznaczeniu*,” którego powyższy traktat „*O Podziale*,” jest tak świetnym komentarzem. Powiada on tam: „Niema dwóch nauk, z których jedna byłaby filozofią a druga religią, ale tylko jedna, którą zarówno religią jako i filozofią nazywać można; prawdziwa bowiem religia jest prawdziwą filozofią, a prawdziwa filozofia prawdziwą religią.“ Zdanie to uderzyło społeczeństwach, podjęli je i rozwinęli wszyscy następcy Erygenes; stało się ono niejako osią, dewizą, całej późniejszej nauki. Dalej jeszcze Erygenes uzupełnia tę zasadę dodając, że wiara powinna poprzedzać naukę. Dwie te idee: jedność zupełna, tożsamość filozofii i religii, oraz wiary uprzedniej dla osiągnięcia wiedzy, tworzą całą podstawę, cały charakter filozofii wieków średnich, czyli tak zwaną scholastyczną. S. Anzelm w swoim *Proslogium* postawił je z całą powagą za punkt wyjścia; odtąd zasady te, uświęcone przez umysł tak niepospolity, stały się prawem powszechnym w całej scholastyce, przez wszystkich uznanym i wiernie dochowywanym. Stosunki tedy istniejące pomiędzy rozumem i wiarą, w sposób jak to uzasadnił Scot-Erygenes, uznaniami zostały przez całe wieki średnie, i to właśnie stanowi osobną, wybitną barwę,

tło ówczesnych rozumowań, wszystko około tych zasad grupuje się: jest to jednem słowem, wiara starająca się uzupełnić przez naukę; wiara, wierzenia wznoszące się do wiedzy — *fides querens intellectum*, jak powiada Ś. Anzelm. I tak to trwało aż do czasów Ś. Tomasza, który jako zachód scholastycznego słońca odpowiada wschodowi odsłoniętemu przez Erygenes, blaskiem równym a nawet jeszcze świetniejszym. Jego *Summa* jest istotnie summą całej średniowiecznej nauki, po której wynalazek druku, prędszy obieg myśli, krytyka wszechstronniejsza, sprowadziły naukę znowu na inne drogi, chociaż niemniej rozstajne jak pierwsze. Dobrze powiada Julian Klaczko w rozprawie swęj o komedyi boskiej, że Dante, katedra Kolońska i *Summa* Ś. Tomasza, to trzy najogólniejsze i najpotężniejsze wyrazy wieków średnich, i rzeczywiście w każdym z tych wyrazów całe wieki średnie wyczytać się dadzą.

Inną jeszcze ideą uderzającą we wszystkich myślicielach scholastycznych jest zaufanie w siłach myśli ludzkiej. Rozum, powiada Erygenes, jest także objawieniem, i jeżeli powaga Pisma zdaje się przeczyć zapewnieniom rozumu, wierzyć należy rozumowi, bo on wyższym jest od powagi. Rozum nie od téj powagi bierze swą władzę, i taż sama powaga na czémże się opiera, jeśli nie na rozumie? Nie u wszystkich wprawdzie scholastyków napotykamy podobną emancypację, ale wszyscy mieli takąż samą wiarę w siły umysłu ludzkiego

Otóż to są pojęcia i kwestye jakie agitowały się w tych czasach, kiedy z chaosu ludności i ludów wychylały się dopiero państwa, kiedy przy braku prawa, rządu, instytucyj społecznych, jedyna tylko religia była czémś, co miano w rzeczywistém poszanowaniu, obok siły brutalnej której słuchano przez bojaźń. Czyż to, cośmy dotąd powiedzieli, wyczerpuje cały obraz średniowiecznych zasobów i zapasów myśli? Bynajmniej. Ależ tu nie było mowy o napisaniu systematycznej historyi scholastyki, która ma mnóstwo przedstawicieli, mnóstwo odcieni i szezeblów; byłoby to zadaniem innego rządu, nie dającem się rozwinać na killkunastu sprawozdawczych kartkach. Zadaniem tu naszym było dać o niej wyobrażenie, i to zadanie możnaby uważać za spełnione, jeśli poznaliśmy twórcę całego kierunku, od którego późniejsi ma-

ło albo nie nie odstępili, choć się mało do tego jawnie przyznają. I rzecz to dziwna. Erygenes tak mało bywa wspominany przez scholastyków, którzy czerpią zeń może i mimo wiedzy pełnemi rękami; snadź częste anatematy, jakie go ścigały, stoją na przeszkodzie że późniejsi ortodoksy nie chcą się jawnie przyznać do pobratymstwa z nim, choć go bynajmniej nie ukrywają. Dzisiejsi dopiero Niemcy wykazują ten związek i może nawet za wiele przyznają wartości dziełom tego pierwszego mistrza.

Cóż dziś zostało z tych średniowiecznych mistrzów, kiedy uleżały się niektóre opinie, kiedy plewę rozwiął wiatr wieków? Jakie wrażenie dziś czynią na nas ich dzieła? Odpowiemy na to malowniczymi słowy p. Pawlickiego, na które piszemy się w zupełności.—„Dzisiaj, gdy tyle wieków dzieli nas od średniowiecznych myślicieli—powiada on—dziwimy się ich sławie i często pojąć nie możemy, na czém ona właściwie polega: w ich dziełach pełno rzeczy niezwykłych, niezrozumiałych; pełno tam myśli dziwaczniejszych niż ciosane twarze na ówczesnych katedrach; pełno tam dowodów więcej zawieszonych w powietrzu, niż gotyckich wież ostrołuki, o których także niesposób czasem wykazać na czém one zawisły. Gdy zajrzemy do księgi jakiejś sławnej z owych czasów i śledzimy w niej długie, mozolne dedukcye, widzimy na pierwszy rzut oka mglistą pomrokę, w której nic zgoła nie można rozpoznać; tak samo rzeźby okrywające wieżę gotycką wydają się szarą, jednolitą masą, w której dla gołego oka nikną kształty szczegółowe. Kto je pragnie zobaczyć, powinien wznieść się wysoko, a wtedy całą nieraz nagrodę nużącego wdzierania się w górę stanowi twarz jaka uśmiechnięta rubasznie, lub kwiat jaki z kamienia o niezgrabnych liściach i dziwacznych kielichu; a wtedy pytamy się z niechęcią: na co te mokoły, kiedy tak licha ich zapłata? gdzież sława wychwalanych mistrzów, kiedy po za nieznośnym stylem ukrywają się zbyt często myśli zupełnie spaczony? przecz innych sławnych ludzi dzieła łatwo rozumiemy, choć nieraz o tysiąc lat dalej od nas odległe! Tak na pierwsze wejrzenie... ale uważniej wpatrując się w ten świat dziwny gotyckich wieków, czujemy jak uprzedzenia nasze zwolna znikają, jak serce nasze coraz więcej lgnie do niego, choć zewnętrżność jego tak zimna.....

I łatwo byłoby nam wykazać, jak rodziimy plon ten, dziwny kwiat ten, wykarmiony sokami grecko-rzymskiej przeszłości liczne wydał ziarna, z których większość zamieniła się w zieleni i dodała świeżości naszym czasom; że mądrość średnich wieków nie jest ani zatrzymaniem się, ani cofnięciem w tył ducha ludzkiego; lecz postępem, i że postępowi temu zawdzięczamy więcej niż w dumie naszej przyznać chcemy."

Do takiego określenia owoczesnej nauki dodamy jeszcze uwagę jedną. Filozofia wieków średnich, w znaczeniu systematu, nie jest bynajmniej dalszym ciągiem filozofii starożytniej i różni się od niej wielce. Tamta począwszy od pierwszych zaczątków kosmogonii, aż do Arystotelesa, rozwijała się na polu zupełnie bezinteresownem; była to praca dla nauki samej, dla wiedzy; spekulacya, mająca na celu doszukanie się przyczyny i końca wszystkiego. Jeżeli przez te pracowite badania zmodyfikowały się wyobrażenia religijne starożytniej Grecyi, było to wynikiem pracy, nie zaś jej celem. Cel ten widocznym jest zaledwie w szkole nowoplatonistów i w jej walkach przeciw chrystyanizmowi prowadzonych dla podtrzymania ruiny pogańskiej. Szkoły średniowieczne, przeciwnie, nie są żadnym systematem i głównie mają na widoku cel religijny; a lubo nie powiemy z Heumannem: *philosophiam scholasticam esse in servitute theologiae papeae redactam*, gdyż w gronie jej pracowników spotykamy mnóstwo wolnych myślicieli; jednakże przyznać musimy, że wszyscy oni, czy ortodokrowie, czy liberalni, głównie w zajęciach swych pobudzani byli interesem nowej wiary; chodziło im bowiem o to, aby w duchu i prawdzie, jak najwierniej i najrozumniej, służyć tej słonecznej córce nieba, co zstąpiła na świat z Krzyża Chrystusowego, aby uszczęśliwić narody. Ci zatem myśliciele, środków systematycznego rozwoju i odkryć przez świat starożytny na polu wiedzy zdobytych, używali tylko za narzędzie i pomoc do osiągnięcia specjalnych prawd, których poszukiwali. Ich więc filozofia była interesowną, oni ją ściśle połączyli z religią. Tém się ona też różni od filozofii wcześniejszej i późniejszej, to jej oryginalnością jest, przez którą wychodzi z systematycznego z niemi związku, tak, że nowożytna dopiero filozofia rozpoczyna systematyczną pracę tam gdzie

urywa się wątek filozofii greckiej. Umysł jednak ludzki na krzątaniu się scholastyki zyskał wiele, bo z krzotań tych wynikała nieprzerwywalność studyów i przechowanie a objaśnienie wielu starożytnych źródeł, które stały się nieocenionymi przy badaniach nowych. Na charakter też pojedynczych pisarzy i mówców zapatrywać się musimy inaczej, jak na wcześniejszych i dzisiejszych. Dawnemi czasy filozof był człowiekiem spokojnym, czczonym powszechnie bez względu na swe opinie, i nawet nieźle uposażanym: nauka jego nie drażniła namiętności. Jeżeli tu i owdzie zdarzają się jakieś niefortuny, to bardzo rzadko i sporadycznie; a jeżeli Sokrates dręczonym był przez społeczných, i głowę nawet za głoszenie swych zasad położył, było to raczej wynikiem zawiści fakecyjnych, niż prawa. Dziś podobnaż swoboda: myśl używa jej i nawet nadużywa wśród społeczeństw uprawiających naukę. Ale inaczej było w wiekach średnich. Najmniejsze odstrychnienie się od ubitej drogi, daleka nawet zaczepka dogmatu, stawiała uczonego przed sąd jako winowajcę; następowały niełaski, przekleństwa, więzienie i nawet co gorszego. Akt pracy za którą odpowiadało się złamaniem całego życia, jest zarazem aktem miłości i poświęcenia: to też wieki późniejsze uszanowały ofiarę w tych pracach i okiem sympatyi pełnem spoglądają na spłowiełe karty i zeschnięte pargaminy, zlane nieraz łzami goryczy piszącego; i dziś choćbyśmy odmówili bieżącej wartości pracom mistrzów średniowiecznych, nie możemy im odmówić przykłađności, powagi i kulturowego wpływu. Dość spojrzeć i porównać społeczności, wśród których prace takie odbywały się lub nie, aby się przekonać jakiego one były w następstwach swoich znaczenia. Kto tak te rzeczy uważać będzie, temu epoka scholastyczna nie wyda się ani śmieszna, ani bezowocna, tak jak to często słyszeć się dawało.

Otóż takięto epoki mrocznej, zimnej na pozór a w gruncie gorejącej uczuciem wielkiem, synem jest Abelard. Stanowi on jedno ogniwo w łańcuchu tych wolnych myślicieli, który ciągnie się od Scota-Erygenes w IX wieku i idzie nieprzerwanie aż do czasów nowożytnych. Pomiedzy innemi pojęciami uznawał on, że rozum nasz ma pewne granice, których bez zarużumienia przekroczyć nie może

(Teol. christ.); ale niemniej głosił i to, że w rzeczach do dziedziny rozumu należących, niema potrzeby odwoływać się do powagi. Utrzymywał co większa, że nawet w kwestyach czysto religijnych, wiara powinna się poddać pod kierunek światła przyrodzonego; a tylko lekkomyślnych ludzi rzeczą jest przyzwalać na wszystko bez rozbioru. Prawda, według niego, nie dlatego zasługuje na wiarę, że jest słowem bożem, ale dlatego że ją rozum sobie udowodnił.

W rozumowaniach o Bogu (Teol. chr.) wychodzi on z punktu bardzo optymistycznego, twierdząc, że Bóg nie może czynić nic innego i nie lepszego nad to co czyni. Dwa w jego rozumieniu powody, takowe twierdzenie usprawiedliwiają: raz, że wszelkiego rodzaju dobro jest zarówno mocy bożej dostępnem, bo dosyć jest Bogu wyrzec słowo, skinąć, aby stało się według Jego woli; przeto stałby się On winnym niesprawiedliwości albo zazdrości, gdyby nie czynił wszelkiego dobra jakie czynić może; powtóre, że Bóg nie czyni ani nie zaniedbuje niczego bez dobrej i dostatecznej racyi. Wszystko zatem co czyni, czyni dlatego iż wypada aby uczynił i odwrotnie. Z tego twierdzenia i dowodzenia Abelard wyprowadzał taki wniosek, że Bóg nie mógł utworzyć świata w innym czasie, albowiem nie mogąc iść wbrew swój nieskończonej mądrości, winien był każde wydarzenie umieścić w chwili najodpowiedniejszej dla doskonałości świata; następnie, że Bóg nie mógł drogi zagrażać złemu, bo złe jest źródłem korzyści wielkich, które inaczej osiągnąćby się nie dały. Ta wzniosła teoria, którą Abelard w pojęciach o Bogu wyprzedził o pięć z górą wieków wielkiego myśliciela, Leibnitza, wpływa, w kilku jego traktatach teologicznych (napisanych nim został mnichem i później), na tłumaczenie dogmatów zgodniejsze nierównie z jego systematem filozoficznym, niżeli z regułami ścisłej ortodoxyi. Widać to jasno, że Abelard we trzech osobach Trójcy Świętej upatrywał nietyle istnienia rzeczywiste, zjednoczone wspólnością natury, jak raczej różne punkta zapatrywania, przymioty jednej i tejże samej istoty, co jest zapewne dostępniejszém dla umysłu przyrodzonego, ale z gruntu przeciwném zasadom religii. Ojciec, według niego, wyrażał wszechmoc i wszechdoskonałość; Syn, mądrość odłączoną od wszechmocy, a Duch Święty dobroć.

Porównywał on stosunek łączący Ojca z Synem a Ducha Św. z oboma, do dyalektycznego stosunku materji i formy, rodzaju i gatunku (*genus et species*), albo też do dwóch wyrazów syllogizmu (1). Utrzymywał, że dogmat Trójcy prześwieca już w niektórych filozofach starożytności, mianowicie w Platonie, i że dusza świata o której Plato mówi w *Timeaszu*, oznacza Ducha Św. (*Intr. ad Teol.* p. 1015. *Teol. chr.* p. 1186). Przeciwno wszystkim tym zdaniom nie zwykłym i niezwykle śmiałym podniósł potężny głos św. Bernard, znamienity rycerz kościoła; Abelard upadł powalony gromem jego pocisków; sobory w Soissons i w Sens rzuciły potępienie na głowę zuchwałego nowatora. Sceny te z życia Abelarda wymownie skreślił w swęj książce p. Pawlicki, do niej też ciekawego bliższych szczegółów odsyłamy.

Taż sama swoboda i subtelna śmiałość myśli, przejawia się rozmaitemi rzutami i w jego zasadach etycznych. Według jego mniemania, w postępowaniu człowieka zamiar jest wszystkiém a czyn jest niczém; mało tedy na tém zależy, czy kto działa, czy nie działa, skoro w sercu swojém zezwolił. Nadto, znaczenie moralne zamiaru oceniać się winno według zgodności jego z sumieniem. Wszystko cokolwiek się czyni wbrew wskazówkom sumienia, występniem jest; wszystko co się dzieje zgodnie z temi wskazówkami, wolniem jest od grzechu. Posuwa się nawet żelazny dyalektyk aż do tego twierdzenia, że ci, co w dobrej działając wierze, skazali na śmierć Chrystusa i Jego uczniów, byłiby się stali występniejszemi, gdyby Go byli ułaskawili idąc za popędem nie przekonani ale czułości serca. Prawda, że tu Abelard (*Scito te ipsum*, p. 859) kładzie za warunek

(1) Tym oo tego przedmiotu nie znają dajemy tu odręcznie i nawiasowo dla ułatwienia pojęcia, w najprostszej postaci, szkieletową formę syllogizmu.

Pierwszy wyraz (prop. major) Grzech sprowadza karę,

Drugi wyraz (prop. minor) Lenistwo jest grzechem,

Wynik: więc Lenistwo sprowadza karę.

Trzy te zdania stanowią nierozłączną całość, a każde z nich jest całością osobną, myśl jednak zupełną wyrażają dopiero w połączeniu. Widzimy, że od należytego stosunku pomiędzy pierwszym a drugim wyrazem zależy trafność wyniku. Syllogizm, jest to wzor rozumowania, czyli drogi, jaką myśl przebiega nim z pewnej prawdy udowodni sobie inną.

konieczny: *dobrą wiarę*, ale zawszeż to straszna i niebezpieczna logika. Nie określił on tego co nazywa sumieniem; a sumienie to wyraz nie scyentyficzny. Jestże to rozum, jestże to przeświadczenie, siła obyczaju, *consensus gentium*, uczucie, czy co podobnego? Inne jest sumienie człowieka wyrozumiałego, ucywilizowanego, inne fanatyka. Człowiek, i dziś powiadamy, nie odpowiada za swe przekonanie, za czyn w dobrej wierze wykonany; ale mamyż zostawić bez odpowiedzialności i to, czy on starał się lub nie, o przekonanie dobre, o dobrą wiarę uzasadnioną na podstawach rozumu bezwzględnego? Zapewne, jeśli człowiek uczynił wszystko co mógł, aby rozum swój, a więc sumienie swoje, oświecić, i przytém wszystkiém zbłądził; to jużciż nieubłagana logika Abelarda ma za sobą słuszość. Idąc on dalej za bezwzględną powagą rozumu, twierdzi również, że grzech pierworodny nie jest żadnym rzeczywistym błędem, ale tylko karą jakiej ludzie rodząc się ulegają: boć przecież kto nie może jeszcze zażyć ani rozumu swego ani woli, nie może tём samém dopuścić się żadnego wykroczenia ani zaniedbania. Łaska Chrystusa jest jedynie w tём, że On naucza nas słowy swemi, i wzorem poświęcenia skłania nas ku dobremu: człowiek może stać się godnym tój łaski uczestnikiem za sprawą samego rozumu, bez żadnej pomocy obcej.

W rozmaitych, powiem nawet awanturniczych kolejach życia swego, lwiami krokami rzucając się w zapasy naukowe, po rozmaitych uczelniach, wmieszał się też Abelard w rozgłośną pod owe czasy zwadę pomiędzy nominalistami i realistami, stanął pomiędzy Roscelinem i Wilhelmem z Champeaux. Z dzisiejszego stanowiska nauki zapatrując się nań, był to spór *de lana caprina*, ale wówczas stanowił kwestyą pierwszorzędną, prowadził się namiętnie, zajmował najpotężniejsze umysły, a rozszerzył się tak dalece, że po nim można było dojść wprost do anatematu, jak się to pokazało na Roscelinie. Ażeby z pewnym zainteresowaniem przyglądać się zaciętej walce tych dwóch obozów, trzeba bliżej przyczyny jój rozpoznać, dowiedzieć się co to były za dwa wrogie zjawiska; a żeśmy się już nieco zaawanturowali w szczególności, to pójdźmyż w nich i dalej.

Przeciwieństwo nominalizmu i realizmu ma źródło swe bardzo daleko, bo aż w dwóch przeciwnych poglądach: Ary-

stotelesa i Platona; i ci ani myśleli że staną się powodem takiego rozdwojenia u swych chrześcijańskich spadkobierców.

W postępie obserwacyi człowiek postrzega najprzód same pojedynczości: ptaka, drzewo, kamień i t. p., i w podobnymże porządku postrzega zjawiska moralne. Za pomocą własności umysłu, która zwie się *abstrakcją*, oddziela on różnice od przedmiotów podobnych sobie, uogólnia cechy im wspólne, tym sposobem ustawia te pojedynczości w pewne systematyczne grupy i nadaje im pewne nazwy. I tak, jeżeli np. wśród wielu przedmiotów otaczających go w naturze i zmysłem jego dostępnych zwróci uwagę na istoty świata roślinnego, wzięte pojedynczo, spostrzeże, iż jedne obdarzone są korą grubszą, inne cieńszą; jedne mają liść okrągły, inne podługowaty, i tak dalej. Pomimo to dostrzeże, iż one podlegają wszystkie jednakowym prawom, co do tworzenia się rozrastania, co do form i pewnych właściwości. Opierając się na tych podobieństwach i uważając je za rzecz główną, podciąga on te zjawiska, pod jedną kategorią i nazywa ją *drzewem*. Tym samym sposobem przyjdzie do ugrupowania *krzewów*, *kwiaków*, *traw*, i pomimo różnic, widząc w nich zasadnicze podobieństwa praw, nazwie całą sumę tych zjawisk *Rośliną*. Cóż człowiek w tym procesie myśli abstrahującej i ogólniającej uczynił? Oto od obserwacyi pojedynczości przyszedł do utworzenia w myśli swojej pojęcia *gatunku* i *rodzaju*, a uogólniając coraz bardziej, coraz nowy rodzaj zamieniając na gatunek względem kategorii obszerniejszego zakresu, dojdzie do jednej tylko kategorii najobszerniejszej, którą nazwie *Byt*. Jest to już najwyższa abstrakcja. Według tego stopniowania widzimy, że im która kategoria ma zakres obszerniejszy, tém treść jej jest szczuplejszą, tak w świecie materialnym, z którego braliśmy tu dla przedszego objaśnienia przykłady, jako i w świecie moralnym; a że te światy w pojęciach filozoficznych nie rozdzielają się, więc tym bytem najobszerniejszym nie co innego będzie tylko Bóg, treścią zaś jego wszystko cokolwiek podpada pod myśl ludzką przeprowadzone w nieskończoność. Ale kwestyę metafizyczną, która nam tu niechący wypadła, usuwamy z planu. Doszliśmy więc do tego, że człowiek przez ruch i siłę własnego myślenia dochodzi do pojęć tak zwanych ogólnych: ależ pojęcia te są to tylko formy jego

umysłu; na zewnątrz nie mają one odpowiedniego sobie przedmiotu, któryby posiadał istnienie rzeczywiste. Zróbmy ruch odwrotny i uważajmy, że w naturze fizycznej nie ma drzewa w ogólności, nie ma zwierzęcia w ogólności: są tylko drzewa i zwierzęta pojedyncze, indywidualne. Tak samo w świecie ducha nie ma talentów w ogólności; w sercu nie ma uczuć w ogólności; ale jest ta lub owa zdolność, ta lub owa cnota, uczucie, namiętność. Tak samo też w naturze i w duchu ludzkim razem nie ma przyczyny w ogólności, piękna w ogólności; ale są przyczyny indywidualne, przedmioty piękne, myśli i czyny piękne pojedynczo wzięte, każdy za siebie. Otóż teraz każdy zrozumie aż nadto dobrze, jakie ma dla myśli znaczenie wyraz np. *drzewo*, jeśli tém drzewem jest to pod którem stoję, którego się dotykam, którego podziwiam konary, a tymże samym wyrazem, którym bez względu na pojedynczy fenomen określam wszystkie fenomena: przeszłe, obecne i przyszłe. W pierwszym razie jest to rzeczywistość, w drugim idea; idea to zakres czyli obszar, rzeczywistość, to treść.

Owóż teorya Platona przypuszczała, że te pojęcia ogólne, pojęcia gatunków i rodzajów, istnieją w łonie Boga w sposób rzeczywisty (jako *res*), i że ztamtał one tworzą samą substancję przedmiotów rzeczywistych, indywidualnych, pojedynczych. Arystoteles zaprzecza temu systematowi swego mistrza jako przeciwnemu doświadczeniu, stawia naprzeciwko niego obserwację, zgodniejszą z logicznymi warunkami myśli, i tylko przedmioty pojedyncze poczytuje za rzeczywiście substancyalne, dowodząc że jedynie od postrzegania tychże przedmiotów dochodzimy do wyobrażeń ogólnych, które są tylko pewnych grup określeniami (nomina). Otóż źródło z którego wypłynął średniowieczny nominalizm i realizm. Jedni (nominaliści) poszli za zdaniem Arystotelesa, drudzy (realiści) za teorią Platona.

Tymczasem między temi dwoma poglądami naprawdę opozycyi nie ma: teorya Platona, czyli realizm, może być prawdziwą w swęj zasadniczej idei, bez krzywdy dla logicznej praktyki Arystotelesa i dla systemu nominalistów. Dwa te punkta zapatrywania się, które wyrodziły tę walkę mogą współistnieć a nawet współistnieją, bo tu rzeczywiście chodzi o co innego niż to co widzieli średniowieczni przeci-

wnicy. Można przecież przypuszczać z Platonem, że świat na który spoglądamy, w którym żyjemy, którego stanowimy część, istniał w stanie idei, planu, niegdyś w myśli bożej, niż przeszedł w stan rzeczywistości, że istnieje w niej dotąd i że jak wszystko co jest Bogu właściwem, istnieć będzie wiecznie. W chwili przechodzenia w rzeczywistość może on się rozkładać na idee mniej więcej ogólne, na idee rodzajów i gatunków, na idee nawet przedmiotów pojedynczych, i idee te uczestniczyć będą w warunkach myśli bożej i czerpać z niej będą rzeczywistość tak wiekuiącą jak rzeczywistość samego Boga. O istotnej naturze idei bożych mamy wprawdzie wiadomości bardzo niedokładne, kto jednak nie zaprzecza, że Bóg jest sprawcą wszystkiego, nie może zaprzeczyć i temu, że w Nim spoczywają ogólne zarodnicze substancje tego wszystkiego co się szczegółowo, pojedynczo i indywidualnie realizuje w stworzeniu, że zatem te ogólne pojęcia rodzajów i gatunków (niby typy ogólne wyrażające pojedynczości) istnieją substancjalnie. I tak to będzie, jeśli w tej rzeczy iść będziemy od Boga do świata.

Z innego punktu patrzy na idee ogólne Arystoteles, idąc od myśli ludzkiej dyalektycznej. Jego w tej materii nie obchodzi wcale kwestya metafizyczna; on mówi tylko wprost, z pobudek i z systematu logiki swojej, że myśl odrywając różnicę, summując podobieństwa i uogólniając fakta pojedyncze, od indywidualności przechodzi do pojęć coraz ogólniejszych; i temu przecież nikt rozważający sam proces myśli, pod zagrożeniem braku loiki zaprzeczyć nie może. Tamten więc w tej materii stoi na stanowisku metafizycznym, złem czy dobrem, mniejsza o to, bo tu nie chodzi o krytykę lecz o naturę teorii; ten na stanowisku czysto logicznem od poprzedniego niezależnem, i tém samém jeden drugiemu wcale w drogę nie wchodzi. Ponieważ zaś logika nie trudni się substancjami, i ponieważ w świecie doświadczalnym, idee ogólne nie przedstawiają się w stanie substancjalności, przeto one są dla nauki Arystotelesa tylko abstrakcją bez życia rzeczywistego, formą, orzeczeniem; czémś nakształt tego co czynią astronomowie, kreśląc dla praktyki swęj linije na powierzchni ziemi, których w naturze niema. Z tego to nieporozumienia co do różnicy stanowisk wynikł spór realistów

i nominalistów, a przyczyną jego był, zdaje się lichi ówczesny stan obserwacyi psychologicznej.

Roscelin poszedł za zdaniem Arystotelesa, zmodyfikowaniem nieco przez szkołę stoicką i wyrażającym się w scholastyce słowy: *universalia post rem*; w rodzajach i gatunkach widział on tylko znaki oderwane, utworzone po zmysłowym ujęciu przedmiotów, czyste nazwy. Doktryna ta byłaby sobie może i niewinnie przeszła po ziemi, gdyby Roscelin w nauczaniu swoim nie był jej zastosował do Trójcy Ś. Ale z mocy przekonania, że pojęcia ogólne są tylko nazwami wyrażającemi abstrakcyę, czuł się on upoważnionym do wywnioskowania, że Ojciec i Duch Ś., jako dwa różne stany jednej i téj saméj substancyi, wcielili się w Syna, że cierpieli jak i On, i t. d. To spowodowało nań grzmiącą odpowiedź S. Anzelma (*De fide Trinitatis, contra blasphemias Roscellini*), a jednocześnie potępienie publiczne w Soissons, co takie zrobiło wrażenie, że i później każdego nominalistę, choćby on nie tykał dogmatów i trzymał się na czysto spekulacyjnej drodze, już przez to samo że był nominalistą uważano jako heretyka.

„Abelard,—jak powiada p. Pawlicki,—był dzieckiem duchowném obu tych szkół: poznał on Roscelina i naukę jego, i znalazł ją (sic) niedorzeczną (1) a Wilhelma zmusił do znacznych ustępstw, do zupełnej modyfikacyi systemu. Sam zaś dał początek nowéj szkole, która wystrzegając się zarówno i realistów i nominalistów jednostronności, szukała podstawy pewniejszej dla teologicznych spekulacyj. Nadano jej nazwę: *Konceptualistów*, a nazwa ta wskazuje jaka jej przewodniczyła myśl główna.“

Niezupełnie w tém zgadzamy się na zdanie p. Pawlickiego. Czemuż to nominalizm Roscelina miał być tak niedorzecznym? Podobnaż przypuścić, aby on pojęcia ogólne i przymioty abstrakcyjne ciał zredukował do prostych wyrazów, czyli do prostych a czczych brzmień odartych ze wszelkiego myślowego znaczenia; możnaż mniemać, że jego nominalizm zawierał tylko martwe *nomina* (imiona)? Pomimo że Roscelin nie zostawił nic na piśmie, bo biedny anatematyzo-

(1) Gallicyzm; po polsku należałoby powiedzieć: znalazł w niej niedorzeczność, lub, uznał ją za niedorzeczną.

wany księżyna zamarł gdzieś w cichym zakątku bez rozgłosu; pomimo oskarżeń wystosowanych przeciw niemu przez niektórych społecznym, przypuszczenie takie jest niemożliwem. Jakimżeby sposobem człowiek pewnej nauki, nauczyciel wpływowy, filozof zaszczycony silnem prześladowaniem, mógł dać przykład podobnego nonsensu. Jeżeli więc można było niedorzeczność upatrzeć w jego nauce, to chyba dla tego tylko, że on albo ją niedosyć jasno sam przedstawiał, albo że jego wykłady były źle zrozumiane; ale i w tym nawet razie teoria konceptualizmu Abelarda będzie raczej poparciem, udokładnieniem, uwłaściwieniem systemu Roscelina, nie zaś jego zaprzeczeniem, a w każdym razie nie godzi ani jednocy go z systematem realistycznym.

Bo i cóż to jest konceptualizm Abelarda? Nic innego, tylko sprowadzenie nominalizmu do tych granic, w jakich chciał go mieć Arystoteles: uzasadnienie, że pojęcia ogólne jak: wielkość, kolor, rodzaj, gatunek i t. p., nie są samymi wyrazami, które nicby nie zawierały prócz dźwięku, ale że pod temi wyrazami określającemi pojęcia ogólne, jest sens myślowy, ruch myśli ogarniającej jednostki w całość abstrakcyjną, że zatem te uniwersalia mają byt logiczny lub psychologiczny, byt w umyśle ludzkim, jako pojęcia abstrakcyjne, tylko że w żadnym razie, poza granicami umysłu, nie przedstawiają nic realnego, nic rzeczowo istniejącego, jak to realności mieć chcą. Taki system czémżeż jest, jeśli nie tym samym nominalizmem, gdy do wyrazu: *nomen* przywiążemy znaczenie myśli?

Jeśli o takie przedstawienie i pojmowanie rzeczy wówczas należało spierać się i chwytać za oręż dyalektyczny, to rzeczywiście trzeba przyznać Abelardowi, że wyszedł zwycięzko, ale nowego nic nie postawił; chyba za zasługę poczytamy mu to, że nieznając wówczas Arystotelesa, tylko w ułamku, bo autentyczne przekłady całości zjawiały się daleko później, doszedł jakby przez intuicję do jego rezultatów. I sam p. Pawlicki przyznaje, że się ten jego system niebardzo różni od nominalizmu; bo jakkolwiek nominalizm wołał (ale to pytanie: czy wołał?) że rodzaj niczém ino słowem, przecież słowo samo nic nie znaczy, jeżeli nie ukrywa w sobie pojęcia; dlatego współcześni nic bez słuszności

uważali Abelarda za nominalistę a szkołę jego za wyrośl nominalizmu.“

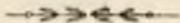
Układ jednostek w grupy nie dowolne, samowolne i bezładne ale w systematyczne zbiory, jest rzeczą wielkiej wagi: bez tego żadne namyslanie się scyentyficzne nie mogłoby mieć miejsca, a tём samém żadna nie powstałaby nauka, bo i jakież w czémkolwiek możnaby zaprowadzić system, jakie wykryć prawa, gdyby człowiek spoglądał tylko na jednostki luźne, jako na drzewa rozrzucone po lesie, na gwiazdy po niebie, i związku pomiędzy niemi nie miał możności dopatrzeć. Możliwość ta jest jego psychicznym przymiotem, a ów wielki, nieogarniony i pierwszy systematyk w świecie—Arystoteles, możliwość tę widział i użył jej za logiczne narzędzie do tworzenia prawnych związków, i on też pierwszy postawił przed obliczami wieków gotowe systematy nauk, wydobywszy je z poetycznego chaosu Platona i jego poprzedników. Rodzaj i gatunek, rzeczy dzisiaj tak proste, a one to jednak są umiejętną rubryką logicznego prawa w nauce, i chwała temu kto pierwszy rubryki te w księdze myśli zaprowadził. Wznowienie sporu o te umiejętnie ogólniki, wyprowadzanie z nich wniosków przez mężów średniowiecznych, było istnym dla nauki pożytkiem, a tedy niemała w tём i Abelarda zasługa, którą mu i nasz autor następującemi słowy przyznaje: „Jakkolwiek zarzucić można myślicielowi, że chwalebne umiarkowanie które zatrzymało go w połowie drogi nie jest uzasadnioném w obec surowej logiki, która ostatnich domaga się wniosków, jednakże zasługa jego wielką jest. Więcej krytycznym niż twórczym obdarzony umysłem, zmusił on istniejące szkoły przez szczęśliwą polemikę do znacznych modyfikacyi, a przez to nowe wlał w nie życie, sam zaś z nominalizmu który srogo naonczas prześladowano, ocalił wszystko, na co ówczesny stan oświaty pozwalał. Bez niego byłby zwyczajki realizm Wilhelma nie mając przeciwników popadł z czasem w letarg zabójczy: Abelarda zasługą że nie dał zasnąć filozoficznej spekulacyi w wieku XII i że z ginącego nominalizmu wyniósł wszystko co było dobrem i rozsądném i przekazał następnym wiekom.“

Gdybyśmy ten krótki wykład nauki Abelarda porównać chcieli do opisu jego życia, które tak wszechstronnie i bez zaprzeczenia artystycznie w książce swój przedstawił p. Pa-

wlicki, moglibyśmy utworzyć sobie wyobrażenie o naturze jego umysłu i o stanowisku jakie zajął na świecie. Bystrość, energia, śmiałość nieco awanturnicza, były przemagającymi duszy jego przymiotami: łączyły się one, jak zwykle, z nieograniczonem zaufaniem w siły własne i z lekceważeniem przeciwników. W mniejszym nierównie stopniu posiadał Abelard wzniosłość, głębokość a nawet rozległość geniuszu, lubo myśl jego ogarniała przedmiotów mnóstwo. Chociaż mędrzec na swoje czasy niepospolity, był on człowiekiem gorących uczuć i snadź nieobojętnym na wdzięki kobiece: ta czułość serca sprowadziła jego blizkie stosunki z Heloizą. Siostrzenica kanonika Fulberta, dziewica umysłu wyższego, rozpłomieniona sławą naukowych powodzeń młodego filozofa, pokochała go całym zapalem duszy egzaltowanój; ztąd wypadek skandaliczny, który stał się powodem *krwawej pomsty* Fulberta, jak ją p. Pawlicki nazywa, a następnie oboje do klasztoru zaprowadził. Heloiza była kobietą charakteru rzadkiej wzniosłości na owe i na wszystkie czasy. Miłość jój dla Abelarda nie była zwyczajnym romansem z rycerskich powieści ani szalem namiętnym, ale uczuciem bezinteresowności i poświęcenia pełnem. Kiedy rzeczy stanęły tak, że ona albo musiała zostać żoną Abelarda albo żyć pod ciężarem hanby dziewiczej, i kiedy Abelard skłaniał się do małżeństwa, ona nie chciała przyjąć téj jego ofiary, zapewniając go, że ona jój najmniejszej nie sprawia radości, gdyż niweczy sławę Abelarda i zagradza mu drogę do kościelnych dostojenstw; nareszcie dowodzi mu, popierając się powagą mędrców starożytnych i kościelnych, że małżeństwo jest przeszkodą w nabywaniu mądrości, że ona za żaden zaszczyt nie poczytuje sobie tytułu żony, a stałość kochanka woli zawdzięczać sobie i swemu uczuciu, niż więzom sakramentu; słowem odciąga Abelarda od małżeństwa, aby go nie krępować w jego ulubionój pracy i karyerze. Cóżkolwiekby, jestto przykład rzadkiego zaparcia, rzadkiego ukochania przedmiotu miłości; ale i Abelard niemniejszą odpłacał jój wzajemnością: po sławnój katastrofie żyli oni zdala od siebie, ale wiecznie połączeni duszą i duchem. Uczucia takie muszą wywołać sympatyę powszechną; to téż niedziw, że takich kochanków miłość podniesiona nieszczę-

ściami, uszlachetniona wysokością zasad i intelligencji, skrytalizowała się w tradycji wieków.

Nad tą też stroną życia Abelarda głównie rozszerzył się p. Pawlicki i zrobił z niej misterny obrazek, stronie jego naukowej poświęciwszy głównie połowę pierwszej części, w której treściwie wprowadzie ale sprawiedliwie i jasno określił stanowisko Abelarda w filozofii scholastycznej. Stanowisko to jego głównie, zdaniem naszym, zawiera się w tém, że Abelard z młodu zajmując się dręczącą umysły kwestyą pojęć ogólnych, w dojrzałym wieku podejmując wykład tajemnic, tém podwójnem działaniem, już to pismem, już żywém słowem, przyłożył się do utworzenia w filozofii szkoły nowój, a w teologii dał przykład tego niebezpiecznego zastosowywania dyalektyki do dogmatu chrześcijańskiego, które stanowi całą niemal scholastykę z jój wielkością i usterkami.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Żywot świętego Hieronima” przez Amedeusza Thierry. — Ostatni tom „Historii francuzkiej” Micheleta: dawny i teraźniejszy sposób pisania dziejów: opowiedziana przez Micheleta sprawa Calasa. — „La Chine et l'Europe” przez deputowanego Ferrari. — Pośmiertne dzieła Bucher'a: Ocena jego doktryny. — Sielanka w teatrze. — „Les Petits Crevés” cztero-aktowy wodewil p. Préal. — Wiadomości literackie.

Amedeusz Thierry wydał w dwóch tomach żywot, a raczej pamiętnik świętego Hieronima. Postać świętego, dziejopisarzysta odmalował na tle ówczesnej społeczności chrześcijańskiej, takim jedynie sposobem mniemając wytłumaczyć ten charakter pełen światło-cienia, najszczytniejszych porywów i upadków niskich. Pozbawione komentarza wpływów zewnętrznych, sprzeczności rażące w czynach i teoriach wielkiego ascety, pozostałyby zagadką nie rozwikłaną dla czytelnika.

Tło obrazu na którym widzimy postać świętego, jest czarne—bezcnie czarne..., porysowane zygzakami błyskawic piekielnych... Nic smutniejszego, nic opłakańszego jak widok społeczności chrześcijańskiej w Rzymie, w IVtym wieku naszej ery; widok, który w dziele pana Thierry poprzedza życiorys świętego Hieronima. Krew męczenników jeszcze nie wyschła na przesiąkniętą ziemi, a serca ludzi wyschły jak szkielety i zatraciły nawet wspomnienie wielkiej myśli i wielkiej ofiary Zbawiciela...

Poświęcenie bez granic dla idei nowych, natchnionych, było po wszystkie czasy zadaniem dusz wielkich. Ale gdyby w samą ofiarę, w samym męczeństwie Bóg nie był złożył

najwyższego powabu i najwyższej nagrody, pewnieby ludzi od poświęcenia odstręczyła nauka historyi. Historya uczy, że po bohaterskich pokoleniach dających życie za świętą sprawę, prawie zawsze następują najchłodniejsi i najsamolubniejsi spadkobiercy. Ojcowie co palili ofiary w świętym ogniu natchnienia, szczęśliwymi nazwać się mogą, jeżeli synowie ich pamięci nie skalają obelgą...

Wiara chrześcijańska była kordyakiem omdlałych dusz. Jedność zupełna istniała w odwadze jej pierwszych adeptów; nie zgodni w doktrynach, wszyscy równym krokiem szli na męczeństwo: wszyscy umierali odważnie — z zachwytem.... Krew ich nie była stracona dla kościoła: przez nich zwyciężył. Pod koniec IVtego wieku widzimy go ukrzepionym w swęj chwale. Raz dokonane przeobrażenie powinno było oczyścić świat. Owóz, praktycznie otrzymany rezultat był całkiem inny. Gdyby nie fakta przytaczane przez poważnego historyka, niepodobnaby wierzyć w tak wielkie zamącenie życiodajnej krynicy tak blisko swojego źródła.

Nowa religia państwa rzymskiego zrodziła się na Wschodzie pomiędzy ubogimi; ale idąc na Wschód, przyniosła także z sobą azyatycki obyczaj bogatych, który od dawna ku Italii dążył. Charakter zachodni przestał się opierać zepsuciu: przemógł zbytek. Nie ten zbytek publiczny, który upiększa ojczyste pomniki; ale to wyrafinowanie prywatnego dobrobytu, nieodłączny towarzysz dowolności i złego smaku, wyrób upadku moralnego.

Roku Pańskiego 346, w którym się urodził święty Hieronim, w Rzymie lud spędzał dnie na wyścigach koni albo przedstawieniach mimicznych, noc na ławach amfiteatru lub w portykach pałacowych. Więcej niż kiedy wyciągał rękę po jałmużnę publiczną; ale chleb już mu nie wystarczał jak za czasów Juwenalisa: potrzebował prócz tego słoniny i wina, które cesarowie kazali dawać, częścią z tchórzostwa, częścią przez pochlébstwo. Jednem ze źródeł dochodów ludu, było także płatne spiskowanie na korzyść lub szkodę aktorów. Byłato, jednem słowem, najpodlejsza tłuszcza hałaśna, leniwa, cheiwa, nie zdolna do uczciwego rzemiosła; przegrywająca w kości wszystko co się przegrać dało. Gmin ten zwał siebie jeszcze ludem rzymskim; ale ztracił nawet swój język dawny: nowy, utworzony ze wszystkich

znanych narzeczy, pełen był szorstkości i wyrażen sprośnych.

Staro-rzymski charakter nie mniej się zatarł w senacie. Senatorowie pozrzucali zbyt ciężkie togi, a natomiast wdziali suknie jedwabne, luźne..., przypasali kobiece kwefy ze lnu przezroczystego; wzięli kobiece wachlarze i parasoliki. Taki senator, jeżeli w cyrku nie protegował jakiego woźnicy lub występującego konia, drzemał na łożu w mozajkę i marmurem wyłożonej sali, od dziennego światła zabezpieczony ciężkimi firankami. Jeżeli chciał widzieć polowanie które za niego robili niewolnicy, albo jeżeli musiał wydalić się z domu za koniecznym interesem na jezioro Avernu lub do Gaety płynąc w wywatowanej gondoli, sam dziwił się sprężystości swojej i nie mógł się wypowiedzieć jak wielkie ponosi fatygi...

Jeżeli się senator wybrał z wizytami, albo do senackiego pałacu, do amfiteatrów, do sklepów, lub na forum, ładowano go na wóz wysoki, rodzaj ruchomego łoża paradnego, które ciągnęły konie w złocistej uprzęży. Przodem, i obok wozu szły legiony sług i wyzwolenców. Przez takie *decorum* pan senator mniemał utrzymywać imię szlachetnych przodków a najczęściej ich nie miał: syn wyzwolenca, podawał się za potomka najślawniejszych rodzin.

Z tego powodu, pan Thierry czyni uwagę, że wielkie imiona historyczne nigdy nie umierają, chociaż wygasną rasy które je posiadały. Senatorowie rzymscy w IVtym wieku po Chrystusie, kazali sobie fabrykować genealogie sięgające czasów pogańskich; na protoplastę wybierali zwykle jakiego bohatera starych legend italskich lub greckich. Biesiady sławne z czasów upadku pogańskiego Rzymu, odżyły z podwojonym przepychem. Po Agapie, wprowadzano do sali tancerki i skoczki modnych; taniec, pantominy wykonywane przy odgłosie liry i fletu, zajmowały uszy i oczy: było to widowisko niezbędne dla patrycyuszów. W ciągu jednego głodnego roku, władza chcąc zmniejszyć spożycie, postanowiła wypędzić z Rzymu wszystkich przybyszów; szlachta wyprosiła pozwolenie pobytu dla tancerzy: professorów wszystkich sztuk wyzwolonych wgnano.

Niemniej szczegółowe i dokładne istnieją opisy życia niewieściego z owych czasów. Pan Thierry wyczerpnął je

po większej części z pism św. Hieronima. Życie niewiast schodziło na intrygowaniu, wizytach, plotkach i pracy przy gotowalniach; strojenie się, albowiem, było ciężkim znojem. Społeczność tak zwana chrześcijańska, w lat trzysta powróciła do pogańskiego rozpasania—nawet je spotęgowała.

W uroczystych godzinach strojenia pani, sypialnią patrycyanki zapełniali eunuchy i służebne. Pani siedziała przed gotowalnią, a jedna z wybranych niewolnic budowała na jej głowie kilkopiętrowy gmach z włosów, przeplatając je złotymi niemi, albo mieszając razem jasne i czarne równianki, jeżeli moda nie wymagała pokrycia całej głowy żółtą peruką, zdartą gdzieś z germańskiej czaszki. Puszki z barwami stały ustawione do cienia; w słoiku było czernidło anti-mońskie podnoszące blask oczu. Nasadzano damę klejnotami, perłami; wkładano jej złotą przepaskę i trzewiki pozłacane które skrzypiały pod nogami; obłożono ją w tkaniny złote albo lniane „tak cienkie—mówi św. Hieronim—żeby nie przyjemnego nie ukryło się oczom.“ Poganki, nie liczne już wówczas w arystokracji, zachowały materye przedstawiające *Amory*, *Jowisza z Europą*, lub *Adonisa z Wenerą*. Chrześcianki rozwieszały na piersiach jako wyznanie wiary, jakąś haftowaną scenę ze Starego lub Nowego Testamentu. Zastłona tym sposobem była pobożniejsza; ale nie mniej przezroczysta.

Duchowieństwo nie odmawiało sobie niczego. Gorszącą rozwiozłość rozgłaszała wspólna zawiść. Jedni drugich publicznie oskarżali o nieczne postęпки. Sam św. Hieronim oskarżony o cudzołóstwo, nie mógł inaczej nakazać milczenia, jak wsadzając jednego z oszczerców na tortury, gdzie pozostał aż do zupełnego odwołania potwarzy. Papiież Damazy posądzony o toż samo co Hieronim, daremnie żądał od dwóch koncyliów ogłoszenia swojej niewinności; aż wsparty przez trzecie, ramieniem cesarskiem bronił się od spotwarzających go księży.

„Tak więc—powiada Thierry—chrześcjanizm w Italii obalił dawną religią, ale nie więcęj. W Państwie znalazła się tylko jedna więcęj przyczyna nieładu: zwady chrześcian. Reforma już była potrzebna, bo przekupstwo wkradło się nawet w zarząd święty: wszystko kupowano i sprzedawano.

Papiestwo nabywano przez licytacją, jeżeli go nie brano orężem.“

Niższe stopnie były przedmiotem niecných handlów. Ponieważ był zwyczaj że biskup darowywał własne dobra korporacyi której się stawał głową, ubiegano się za pastarzami bogatemi, wabiono, nawet zastawiano sidła, byle schwytać majątnego i odziać go dostojnością rujującą jego najbliższą rodzinę.

Prócz duchowieństwa osiedlonego, było drugie, koczujące, rodzaj mnichów wędrownych, którzy żyli własnym przemysłem. Tych św. Hieronim palcem wytyka, nakazując społecznym strzedz się jak czarta „bo tacy ludzie szydzą sobie z uczciwości jak z prawdy.“ Św. Hieronim biczuje nieczne sługi Boże, z natury maluje portrety szpetniejsze daleko od Molierowskiego *Świętoszka*. Typ jednak tak podobny, iż trzeba przypuścić że Molier musiał ze szkiców obyczajowych nakreślonych przez św. Hieronima, korzystać.

Na zgniłym gruncie świeckiego i duchownego skażenia, jakby na fresku *Orgii* odmalowanej na murze odgradzającym ówczesną ludzkość od boskiego mistrza, jawi się święty Hieronim.

Urodził on się w Alpach Illiryskich. Silny i wyniosły góral przybywszy do Rzymu dokończyć nauk, wnet zasłynął w sporach szkolnych i sądowych, jako człowiek wymowny, którego obrazić było bardzo niebezpiecznie. Po kilku latach pobytu, opuścił Rzym, wynosząc jak mówi „wspomnienie nie jednego upadku i niejednego rozbicia.“ Na żądanie ojca który go pragnął uchronić od rozwiozłego życia, udał się do Trevizy rezydencyi cesarza Walentyniana. Miał tam urzędować w administracyi; ale umysł jego zajmowała całkiem literatura i teologia. Hieronim nie mogąc pełnić obowiązków zbyt przeciwnych swojemu upodobaniu, wrócił do Italii; ale niedługo znówu Rzym opuścił nagle. Nie powściągliwością języka narobił sobie zaciętych nieprzyjaciół, a obruszył na siebie wszystkich wmieszaniem się do sprawy nader głośniejszej w swoim czasie.

Młoda kobieta pochodzenia hiszpańskiego, bardzo bogata szlachcianka, straciła naraz męża i dwoja dzieci. Zamiast boleć nad stratą, przystąpiła publicznie do krzyża i zawołała z uśmiechem: „Dzięki Ci Panie, żeś zerwał wę-

zły które mnie zdala od Ciebie trzymały... Teraz mogę Tobie służyć!“

Przez *służenie Bogu* Melania rozumiała, iż będzie mogła udać się na Wschód i założyć klasztor w Palestynie. Pewnego dnia znikła, zostawiając w Rzymie najmłodsze dziecko, syna jedynaka, bez żadnego funduszu. Bóg go strzedz będzie lepiej niż ja“ rzekła — i porzuciła niemowlę które zabrano do domu ubogich.

Wyrodną tę matkę hiszpański pisarz duchowny Ribadaneira, nazwał „świętą Melanią.“

Pierwszy raz się zdarzyło, żeby kobieta tak jawnie przez dewocją wyrzekła się obowiązków macierzyńskich. Społeczność rzymska oburzyła się na Melanią: potępiono jej czyn, i odpowiedzialnym zań uczyniono św. Hieronima: zarzucano mu iż on ją namówił do porzucenia dziecka i ucieczki.

Wtedy św. Hieronim opuścił Rzym i udał się do Antyochii, a ztamtąd na pustynię Kalcydy. Jałowe, palące piaszki ciągnące się na wschód Kalcydy w dal nieprzebytą, od wieków wabiły anachoretów. Hieronim tam postanowił żyć w samotności. Oblegany przez dzikie bestye, skorpiony i nieczyste wizyc rzymskie, byłby pewno stracił odwagę, gdyby go nie wspierała myśl która mu się wydała opatrzna rodzicielką wielkich rzeczy. Żyjąc w świecie, poznał zepsucie obyczajów doprowadzające do bezecnych skandali; widział ciemnotę rozpoczynającą dysputy dla wiary zabójcze... Hieronim postanowił zgłębić pisma hebrajów i dać niewzruszone podstawy rozprawom teologicznym; postanowił także, wymowném pismem natchnąć zgorszonemu Zachodowi zamiłowanie życia pustelniczego. Rozpowszechnianie idei pustelnictwa, było zdaniem jego, najlepszym środkiem ocalenia wiary zagrożonej śmiercią, w nieporządkach życia społecznego. Na owe czasy był to może środek zbawienny. Co dziś może się wydać rozprzężeniem rodziny i społeczności, wtedy być mogło ratunkiem: toż bardzo niebezpieczne choroby leczą truciznami.

Thierry jednak i w owych czasach takiego lekarstwa nie pochwała. Hieronim, powiada, był najpierw satyrycznym mówcą, potem marzycielem. „Rzadko ten potrafi przejść od krytyki społecznej do sprawiedliwej reformy,

często tak łatwój do wymyślenia, że nie raczymy dostrzedz przedmiotu i środków obok siebie. Świat na niebezpieczne tory wypychają dwa rodzaje ludzi: ubodzy duchem, i ci którzy go mają zbyt wiele."

Listy św. Hieronima sprawiły w Rzymie wielkie wrażenie. Tymczasem, on sam, zwolennik pustyni, musiał ją porzucić. Sąsiednie mnichy oskarżając go o herezyą, poganiństwo, dali mu do wyboru, albo milczeć, albo iść precz. Skoro znowu znalazł się pomiędzy przyjaciółmi, rozsądek doradzał porzucić praktyki, które ani nie uspakajają zmysłów, ani nie dają sposobności służenia Bogu dobrymi uczynkami. Zawahany w sobie, nie przestał jednak popierać systemu *odsobnienia*. Słuchany jak wyrocznia, mianowicie przez kobiety na górze Awentyńskiej, zalecał rozmaite martwienie ciała. Z postów i biczowania się, dziewica imieniem Blesilla, umarła. Paula matka, i Eustochium siostra zmarłej, nie tylko po tym wypadku nie zmieniły sposobu udrczenia, ale utwierdziły się w nim: porzuciwszy obowiązki rodzinne, poszły za Hieronimem do Bethleem, gdzie założył klasztor dla kobiet.

Gorliwy chrześcjanin i mistyk św. Hieronim, podejrzany był o wielokrotne pobłądzenie w wierze; o wysuszanie w duszach czułych których był kierownikiem, źródeł duchowej ekstazy. Wytrwały i uczony tłumacz Pisma świętego, miał ze świętym Augustynem kontrowers, który o ledwie nie był dla obu fatalny: w dziełach św. Hieronima istnieje jedno z najdawniejszych zeznań niezgodności ewangelii. Płodny w odpowiedzi, jak Plaut; hojny w obelgi, jak Juvenalis, nieraz był też samą bronią pobity. Apostoł chrześcijańskiej czystości, przypuszczający małżeństwo tylko „jako jedyny uczciwy środek dawania dzievic Panu” ustawicznie był posądzany o złe obyczaje przez dewotów. Nakoniec, chociaż kochał ojczyznę, niebaczniemi przepowiedniami przyspieszył upadek Rzymu, którego nieszczęścia tak gorzko opłakiwał nie pomnuąc na część odpowiedzialności, jaka za tę klęskę nań spadała.

Tak sądzi św. Hieronima Thierry, popierając faktami każde słowo swojego wyroku.

Powyższe studyum stwierdza raz jeden więcej, że myśl ludzka, nawet w najmocniejszych i najwyższych głowach,

pełna jest sprzeczności, niepewności, zawrotów, tak jak życie ludzkie pełne wypadków niespodzianych, zasadzek i bezdroży; że nieraz, najgorliwsi apostołowie mogą zaszkodzić swojej sprawie.

Czyż dlatego że nieraz błędzą, przekładać nad takie omylne dusze gorące, nicomylnych zimnych samolubów, żyjących w niezmienniej zakamieniałości, lub tych co się nigdy nie myślą czyniąc łatwą robotę czarta na ziemi? Nie odrodny brat autora *Podboju Normandów*, nie mógł mieć takiego założenia na celu.

Wyszedł ostatni tom *Historji francuzkiej* Micheleta. Poświęcony panowaniu Ludwika XV i XVI, jest łącznikiem dawniej historii francuzkiej z dziejami rewolucyi. Dzieło co się zowie! Michelet powiązawszy brzegi tych dwóch epok, przeszłości i teraźniejszości, może zawołać: *Evegi monumentum!*

Faktów nie znanych w tym przeglądzie dokładnie znanego okresu dziejów Francyi, niema, jest tylko pogląd zgodny z duchem czasu. Dziejopis-republikanin przez zakopcone szkiełko patrzy na zjawisko zaćmienia monarchii. Tak obserwując, blask oczu nie razi: można widzieć dokładnie kształt rzeczywisty słońca, jego prawdziwy rozmiar, jego plamy... można także widzieć stopniowe zbliżanie się ciemnego ciała, które nakoniec całą błyszczącą tarczę zakryło, nie zostawiwszy nawet obrączki, bo małżeństwo króla z narodem zostało zupełnie zerwane... zaćmienie było co się zowie, *całkowite*.

Ludwik XIV także jeszcze widny, ale nie w apoteozie. Monarcha ten od lat kilkunastu jest przedmiotem dyssekcji francuzkich krytyków; modą teraz odzierać go z blasku; odjęto mu szczudła i perukę, rozebrano z gronostai i draperyi. Sprowadzony do rzeczywistych rozmiarów Jowisz wersalski został człowiekiem powszednim... Michelet nie miał już prawie nic do odjęcia; więc nawet sposób zapatrywania się nie bardzo świeży.

Pierwszy Michelet we Francyi wydał wzór nowego pisania historii, ale oddawna znalazł licznych naśladowców. Ci, w myśl jego trafiając, może aż do przesady obrali dzieje

ludzkości z uroku, ale na korzyść prawdy, pozbawiając dodatków tendencyjnych, charakterów stworzonych wedle nawiąski lub sympatyj kronikarzy i legiend znalezionych na bruku. Naśladowcy Micheleta odjęli historyi najśmieszniejszą mistyfikacyą: głośnie brzmiące słowa które powkładano w usta figur historycznych. W tym przedmiocie najwięcej oddał przysługi prawdzie a nie przysługi ludziom, hrabia Beugnot w niedawno wydanych pamiętnikach. Tam widzimy jak się fabrykują słowa historyczne: rzecz komiczna śledzić ich pochod od ciemnych urodzin, do zwycięzkiego wstępu w złotą księgę nieśmiertelności.

Dziejopisowie nowocześni od historyków greckich i rzymskich, od Liwiusza mianowicie, przejęli metodę przedstawiania historyi wystrojonej, wyróżzowanej, wyfestonowanej, jak tragedia mająca wystąpić na scenę. Odczytajmy odezwy które Liviusz kładzie w usta swoich bohaterów tłumaczących wojsku stojącemu w szyku bojowym, początki wojny, politykę senatu, następstwa zwycięstwa. Wszystkie te przemowy musiały być stracone dla tylnej straży, co najwięcej, jeżeli je sztab wodza naczelnego słyszał.

W późniejszych dziejach ludzkości ileż fałszywych położeń nadanych osobom, które w ciężkich zapasach pewno nie myślały o żłobieniu frazesów. Cambronne w imieniu grubiej prawdy, zaprotestował: toż samo Franciszek I. Wracając z pod Marignan nie powiedział on bynajmniej: *Ouvrés c'est la fortune de la France!* Ale po prostu: *Je suis éreinte! tirez-moi mes bottes!*

Szczytne słowo przypisane księdzu Edgeworth na rusztowaniu Ludwika XVI, nie było powiedziane. Edgeworth zmarły w pierwszych latach Restauracyi przeżył dwadzieścia pięć lat ową pamiętną scenę. Spółcześni, dotąd żywi, nieraz go badali w jakim momencie, jakim głosem wyrzekł: *Fils de Saint Louis, montez au ciel!* Ksiądz kiwał głową i wyznawał pokornie, iż zbyt był pomieszczany żeby mógł słowo jakiegobądź wymówić.

Legendy najwięcej fałszu wmieszały do historyi. Tłum lubi denaturować postacie, lubi tworzyć figury zupełnie fantastyczne, zapewne dlatego, iż rzeczywistość potrzebom jego ducha nie odpowiada.

Nie dawno, na przykład, widzieliśmy w Odeonie Maryą Stuart, która, jak wiadomo, była przez chwilę królową francuską. Tradycya gminna zrobiła Ifigenią z tój wdziękini, która mężów i kochanków pozbywała się tymże sposobem co Małgorzata burgundzka w wieży Nesle... Nie mówię więcej, gdyż czuję że oburzam przeciwko sobie wszystkie niewiniątka, znające Maryą z portretu i czepeczka... Są także litografie przedstawiające ją z gitarą, kiedy żegna Francją *cavatina* łzawą... W tójże pozie widzimy Maryą na francuskich zegarach... Historycy napróżno wrzeszczą: nie tak był! historia nigdy nie zwycięży bronzowych zegarów i kominkowój rzeźby.

Michelet podjął się sprostowania wielu rzeczy. Pewne ustępy dziejów pokazuje on zupełnie w inném świetle niż jego dostojni poprzednicy, a wybiera właśnie takie, z których może trysnąć promień prawdy i oświecić bezdroża umysłowe, gdzie nie mało dusz się błąka.

Do takich lekcyj moralnych wyłamanych z dziejów, w dziele Micheleta należy policzyć przedstawienie sławnój w swoim czasie sprawy protestanckiej rodziny Calas'ów, która położyła ostateczny koniec walce katolików z hugonotami. Jestto straszliwa historia; warto ją przypomnieć tym co o niej zapomnieli, a opowiedzieć tym co jój nie znają.

Około 1760 roku, niedobitki protestanckie we Francyi żyły życiem dwoistém, zastosowaném do prawa pozornie i tajemniczém, które w uroczystych chwilach chrztu, śmierci lub małżeństwa, wystawiało ich na największe niebezpieczeństwa i prześladowanie. Straszliwa poezya którą srogość przeciwników osłoniła ich religijne obrzędy, nie mało się przyczyniła do zachowania w tych posępnych duszach wiary ojców. Seminaryści z Lozanny przybywali ciągle do Langwedoku i umierali za swoją prawdę. Katolików drażniło to nieustające męczeństwo; chwyтали, wieszali — i nie nie pomagało: protestantyzm ciągle krwiał o sobie świadczył.

Każnie protestantów odbywały się zwykle z największą ostentacją, w wielkie święta: w Wielkanoc, albo w Boże Narodzenie stawiano rusztowania — „widowisko takie było zawsze pożądane massom mającym potrzeby dramatyczne” mówi Michelet.

Ale największą gratką dla pospólstwa byli protestanci samobójcy: wyrzucano ich na ulicę dla zabawy gminu, włózione po błocie, nagie, poszarpane, nieszczęsne te trupy były przedmiotem wszelkiej beczności... wołały o pomstę do Boga.

Hańba! sromota! wszystko to jednak działo się w dzień biały i przemijało we Francyi bez echa. Kwestya protestancka trwała zbyt długo, znudziła wszystkich. Przyszło do tego, że skoro jeden wymówił to słowo „protestant“ drugi prosił żeby rozmawiać o czém inném. Cierpieli tyle i tak długo, że znużyli litość. Ogół nie przeczył że z nimi postępowano niegodnie; ale wołał o tén nie wiedzieć. Tak powoli mur powstał pomiędzy nimi a Francją, mur żelazny; protestanci żyli we Francyi jak w wieży. W Tuluzie, w Montpellier egzekucye bywały często na rynku w obec stu tysięcy ludzi: patrzano na nie, i nie widziano...

„Smutna strona duszy ludzkiej, mówi Michelet, iż pewna siły większość, staje się zawsze dziwnie pyszna i zła.“

W takim stanie rzeczy, 13 października 1762 roku w Tuluzie, gruchnęła wieść „że ojciec protestant zadusił swojego syna.“

Rzecz była taka. Zamieszkiwał w Tuluzie od lat 40tu kupiec bławatny Calas, protestant, który się był ożenił z francuzką szlachcianką. Mieli dwóch synów i wychowali ich bardzo starannie. Młodszy przyjął wiarę katolicką, starszy Marek-Antoni, był zagorzałym protestantem. Światły, ambitny młodzieniec, skończywszy prawo, chciał zostać adwokatem; ale na to potrzeba było certyfikatu jako jest katolikiem. Nie chciał o niego prosić, więc był zatrzymany nagle w swoim zawodzie. Widział kolegów błyszczących w trybunale; to go pogrążyło w smutku... chciał jechać do Genuy, zostać pastorem, wrócić i dać się zabić we Francyi... ale na co było po to chodzić tak daleko? Czytał ciekawie co napisano o samobójstwie, czytał co Plutarch mówi o Katonie; czytał niektóre rozdziały Montaigna i monolog Hamleta... Powodzenie innych coraz go więcej gryzło. Pewnego wieczora po odwiedzinach kolegi który doszedł do wszystkiego nie mając innój zalety prócz téj, że nie był protestantem, Marek posępniejczy niż zwykle siadł do wieczerzy, wypił kilka

szklanek wina, potem zanim rodzice wstali od stołu, odszedł do swojego pokoju, zdjął suknie, poskładał i... powiesił się...

Wyobrażcie sobie rozpacz rodziców! Jednak więcej niż strata ukochanego syna przerażała ich myśl, iż go czeka sromotna dola samobójców... iż będzie pastwą pospólstwa... Stary Calas oświadczył że się jego syn nie zabił sam. „Więc kto go zabił?” Cóż na to odpowiedzieć? Sąsiedzi krzyknęli Calas zabił syna! Przyszła straż i bez śledztwa, trupa i żywych wywlokła na ulicę. Było to w niedzielę wieczór. Każdy stał w oknie... pytając co to?—Nic! To protestanci powiesili swojego syna.

Komentarz do zbrodni zrodził się niebawem. Rozgłoszono że Marek chciał zostać katolikiem i za to go rodzice zabili. Na tém oparli się sędziowie. Pochowano Marka jak męczennika, suknie jego pobrano na relikwije, a ojca skazano na śmierć przez łamanie kołem.

Było to w uroczej chwili ocknienia południowej wiosny. Tłumy szebieńczących kobiet płynęły w stronę zapowiedzianej egzekucji Calasa, wylewając nadmiar mętów chorego umysłu. Jakby chcąc ukłuć ludowego byka przykładając mu żarzący węgiel do ogona, puszczało wieść że winowajca uciekł... „Zawrzały tłumy, pisze Michelet; cóż, jeśli pastwa uszła?... Ale nie! Bądźcie szczęśliwi! Otóż i on na wózku pomiędzy dwoma dominikanami.” Ale... o dziwy! zbójca zachowuje spokój bohatera: powtarza iż jest niewinny... Krzyknął raz tylko, za pierwszym uderzeniem koła... a potem milczał... Zgruchotany, jeszcze dwie godziny potem zanim go spalono, zachowywał też samą stałość duszy. Myślano że w ostatniej chwili odwoła. Poskoczył ku zgruchotanemu zwierchnik i pokazując mu stos zawołał: „Za chwilę będziesz popiołem! Wyznaj prawdę, nieszczęśny!” Calas odwrócił głowę ku wieczności...

Wrażenie było gwałtowne, straszne! Cała Tuluza w jednej chwili jad wyzionęła. Massa trucizny, gniewu, znikła. Twarze poblaskłe świadczyły o ogromnym poronieniu, które się stało nagle. Szaleństwo sądu naraz uderzyło wszystkie oczy. Sędziowie mieli nadzieję że Calas na mękach chcąc wyłagać chwilę przestanku, oskarży swoich; mniemali, że mu się wymknie słowo... A wtedy matka, drugi syn, przyjaciel, wszyscyby byli kołem łamani. Stałość ojca ocaliła rodzinę.

Marsylczyk obecny kaźni Calasa, opowiedział ją Voltairowi. Voltaire podskoczył z oburzenia i napisał do wdowy pytając, czy podpisze w Imię Boga, że Calas był niewinny? Wdowa się nie zawahała—i Voltaire także. „Voltaire nie był bohaterem, pisze Michelet, a jednak przedsięwziął zuchwałe dzieło rehabilitacyi Calasa, czyli zbeczeszczenia sądownictwa Tuluzy.”

Richelieu, któremu z tym zamiarem się zwierzył, myślał że Voltaire zwaryował. Jaką bronią mógł walczyć? Wszystkie dokumenta urzędowe były pod kluczem tuluzzańskich sędziów. Ale Voltaire miał broń. Odwołał się do zdrowego rozsądku Francyi. Iskra wypadła z Ferney, w okamgnieniu rozżarzyła pożar nie chwilowy. Salony stały się trybunałami sprawiedliwości: tam zdrowy rozsądek, bystrość, przenikliwość, wyklarowały rzeczy. Wymowne kobiety przemawiały lepiej niż wszyscy adwokaci. Voltaire zaczął za Calasami pisać i drukować w Genewie. Przyszło do tego, że cała palestra paryzka za hańbę byłaby sobie poczytała obronę tuluzzańskich sędziów. Voltaire widząc coraz pomysłniejszy obrót rzeczy, sprowadził wdowę do Paryża: w Paryżu przyjęto ją z otwartemi rękoma. Wszystkie znakomitości ją otoczyły: Jakto? wołała szlachta, ta dama tak zajmująca, tak szlachetna, tak znacząca w żałoźnej szacie, jest-że kupcową? protestantką? Czyż to być może?

Przesady opadały gradem.

Jednak trzeba było drugiey jeszcze sądowej zbrodni, do przepełnienia miary niesprawiedliwości. Za podobny wypadek, samowolne utopienie obłąkaney córki, skazano znowu na śmierć protestancką rodzinę Sirwenów. Nowa zbrodnia; nowe krzyki, nowe oburzenie. Wielka rada wydarła nakoniec dokumenta trybunałom Tuluzy. Wkrótce potem nastąpiło zwalenie wyroku śmierci Calasa.

Nazajutrz pani Calas przybyła do Wersalu. Dworacy przyjęli ją jak najlepiej, a w niedzielę wprowadzili z dwiema córkami do galeryi, którą król szedł na mszę. „Widowsko ogromne! woła Michelet. Te trzy kobiety w grubey żałobie, to był przewrót w sądownictwie. Cóżkolwiek o tém sądził wielki król na suficie trzymający w ręku pioruny nad głową *Herezyi*—trzy ofiary w swój niemey prostocie nie mniej były zwycięstwem odwiecznej sprawiedliwości.”

Potrzeba było jednak jeszcze trzy lata do zupełnego zwycięstwa. Roku 1765 w sam dzień kaźni, Calas został uznany niewinnym.

Voltaire nie radził dalej rzeczy posuwać. Wygrana była ogromna! Od owego dnia datuje wyzwolenie protestantów. Czego liga europejska nie mogła przez 30 lat wojny wydrżać Ludwikowi XIV, to Voltaire za Ludwika XV, dokonał kilku librami papieru. Ludzkość, tolerancya, raptem weszły w modę. Choiseuil kazał przedstawić sztukę Fabr'a „*l'Honnête criminel*.” Richelieu i Beauvau zaczęli także bronić protestantów. Szlachetny Beauvau gubernator Lauguedoc'ku, wprowadził nareszcie do tego kraju, czekając praw lepszych, zarząd ludzki.

Takie owoce wydała sławna sprawa Calasa. Rozdział w którym cały jój przebieg szczegółowo opowiada Michelet, ma tytuł: „*Voltaire a affranchi les protestans—(1761—1764).*”

Jeden z najznakomitszych deputowanych włoskich, Józef Ferrari, wydał książkę pod napisem: „*La Chine et l'Europe.*”

Wynik porównania Chin z Europą, całkiem niespodziewany. Dotąd Europejczycy mieli zwyczaj albo szydzić z Chińczyków, albo ich chwalić nad miarę, celem wyszydzenia ludów zachodnich; którymi znowu skrajny Wschód gardzi jako wyznawcami nauki Chrystusa, zdaniem Chińczyków, daleko niższej od doktryny Konfucjusza.

Ferrari postępuje inaczej. Dowodzi on, że od 4,000 lat Europejczycy stoją *na równi* z ludami cesarstwa środkowego; że z epoki w epokę przechodzimy też same rewolucye, reformujemy tym samym sposobem naszą społeczność, prawa i religie. Paralella którą Ferrari przeprowadza, zasługuje na uwagę filozofa i historyka.

Pomijając czasy zamierzhłe, kiedy wielki cesarz Mu-Vang przyjmował odwiedziny matki króla Zachodu, a Salomon przyjmował królowę Saby; skoro filozofowie jawią się u Greków z Thales'em i Pytagorem, ukazują się także w Chinach, gdzie Lao-Tsé, około roku 600 przed naszą erą jest pierwszym filozofem znanym. W epoce podbojów Alexandra i Rzymian, kiedy Konfucyusz stosował filozofią do spraw

życia; kiedy Sokrates sprowadził (jak mówiono) filozofią z nieba na ziemię; filozofia czynna demokratyzowała i scentralizowała Chińczyków pod berłem dynastyi Tsin'ów i Han'ów. Równocześnie kiedy Chińczycy swój wielki mur wznieśli, Rzymianie swoje olbrzymie stawiali budowy. W chwili kiedy buddeizm zwiastował Chińczykom odrodzenie, chrześcjanizm około 65 roku, dawał się poznawać w Rzymie. Później buddeizm podzielił Chiny na dwa cesarstwa, południowe i północne; a w tymże czasie propaganda chrześcijańska osłabiła Rzym aż do oderwania cesarstwa wschodniego od cesarstwa zachodniego; a kiedy w 318 roku, stolicę niebieskiego państwa przeniesiono z Lo-Yang do Nan-King'u, w 330 stolica Zachodu przeniosła się z Rzymu do Byzancyum.

Paralella zupełna.

Przypuśćmy że stary Chińczyk ubolewa nad upadkiem Lo-Yang'u, że oczekuje końca świata, oskarżając buddeizm że otworzył drzwi Tatarom którzy terytoryum cesarskie zalali; byłby mówił zupełnie toż samo, co pod tąż datą mówili starzy Rzymianie widząc się zalanych przez Gotów, Wandali i Germanów wszelkiego odcienia.

Idźmy dalej.

Chiny odżywione przez Tatarów, rozpoczynają nowe życie w 585, pod berłem Sug'ów i Tang'ów. Taki fakt dokonany w Europie przez inwazyą Lombardów, Franków i Gotów. W téj epoce jawią się papieże z konsystorzem i ortodoxyą zachodnią. Chińczycy jednocześnie, zakładają akademią Han-Lin, wielką organizacyą konkursów, która oddaje urzęda w ręce ludzi najzdolniejszych i ustanawia rodzaj państwa cesarskiego, które rządowi ziemi powierza rząd dusz, wszelką pieczę jaką kościół daje przyszłemu życiu.

Papięż, Karlowingi, królowie Zachodu, przechodzą bolesne ciągi około 900 roku, w skutek najazdów Węgrów i Normandów: Chiny są wtedy także do gruntu wzburzone przez najazdy Tatarów. W Europie porządek przywrócono około 960; Italia, Niemcy, zreorganizowane przez Ottona I; Francya, Węgry, Rossya, przez Hugona Capeta, Stefana i Włodzimierza; cała Północ ucisza się po ogłoszeniu chrześcjanizmu i obaleniu bałwanów. Roku 962 Chiny reorganizują się pod wielką dynastyą Song'ów.

Grzegorz VII, roku 1077 panuje nad królami Europy, Uang-an-Chi góruje nad dynastją Song'ów. Kiedy my ulegamy rządowi teokracji, Chińczycy mają swoją skolastykę, komentatorów Chu King'a, którzy im streszczają Aristotelesa i Ewangelie, łącząc Konfucjusza z Buddą. Nasza polityka doprowadza do starcia dwóch władz, do wojny cesarzów z papieżami, do walki Filipa Pięknego z Bonifacym VIII. Temuż czasowi który my znamy wielkiem bezkrólewem, odpowiada w Chinach wielkie bezkrólewie dominacyi mongolskiej, napół buddejskie, napół konfucyuszowskie.

Patrzmy dalej.

Nasze wielkie bezkrólewie jest erą pierwszych poetów: Dant przybywa z *boską komedją*. Podczas bezkrólewia mongolskiego jawią się najlepsze chińskie sztuki teatralne. Po Dancie następuje w Europie Beccace, Petrarcka, pisarze odrodzenia; Chiny w owéjże chwili pod berłem Ming'ów, mają zupełnie podobne naszemu odrodzenie: mają literatów, erudytów, poetów, romancerów, których wiernie za dni naszych tłumaczy pan Julien, mają uczonych którzy z zapamiętaniem wielbią stare arcydzieła z epoki Han'a, spółczesnego Greków i Rzymian, Liwiusza, Virgiliusza, autorów sławionych, tłumaczonych i komentowanych przez neo-pogan naszego XVI wieku.

Tak więc Chiny na długiej liście swoich dynastyi, mogą roztoczyć wszystkie rewolucye europejskie. Mają swoich filozofów z czasu Pytagora, swoich zdobywców z czasu Alexandra i Rzymian; swoich odrodzicieli z czasów Chrystusa, swoich barbarzyńców kiedy Wandalie i Goty napadają Zachód; swoich cesarzy papieżów, kiedy Grzegorz Wielki funduje papieństwo; swoich doktorów w czasach Abeilarda; swój najlepszy teatr, kiedy Europa czyta *boską komedję*; swoich bardów w okresie Petrarki i Baccia, naszych łacinników i hellenistów; mają swoje ostatnie rewolucye polityczne i religijne noszące daty traktatu westfalskiego i rewolucyi francuzkiej.

Odpowiedniość faktów i myśli trwa dotąd, chociaż słabsza. Podczas kiedy kongres genewski zgromadził przyjaciół powszechnego pokoju, Taeping i rewolucyoniści chińscy, ogłosili siebie zwolennikami pokoju i powszechnego braterstwa.

Ale co nadto wszystko ciekawsze, to proceder historyczny pana Ferrari. Paralellizm, doprowadził go do stosowania rodzaju mechaniki która cyrklem mierzy ruchy polityczne obrachowując ich spóźnienia i przyśpieszenia. Powyższa metoda poddaje wszystkie historye jedności miary okresu *stu-dwudziesto-pięcio letniego*, podzielonego na *cztery* czasy, około *trzydziesto-jedno letnie*, czyli jedno-pokoleniowe. Wedle pana Ferrari, idea mająca wpłynąć na pochod społeczeńści, ma naznaczony peryod działania 125 lat, podzielony na cztery fazy, które są: *przysposobienie*, *wybuch*, *reakcja* i *rozwiązanie*. Jeżeli ta metoda jest dokładna, zastosowanie jej, może nas wszystkich uczynić prorokami.

Wykonawcy testamentu Buchez'a wydali drugi tom jego dzieł pośmiertnych. Teraz mamy całość. Dzieła tego myśliciela nie pozostaną na zawsze w piśmiennictwie francuzkiem, ale Buchez pozostanie pomiędzy ludźmi, którzy tu przed trzydziestą laty szukali prawdy, tworzyli systematy, fundowali szkoły. W tym ruchu tłumnym, powikłanym, w którym się dziwnie krzyżują pomysły; w tym ruchu więcej energicznym niż płodnym, w którym gdzieniegdzie błyszczy talent niepospolity, Buchez głęboko wrył swoją brzdę. Przeszedł on rozmaite przeobrażenia wynosząc z każdej szkoły jeden z żywiołów, z których system swój złożył.

W pierwszych latach restauracyi zajmowała Bucheza polityka: zabrnął w karbonaryzm po uszy, co mu nie przeszkodziło do uznania ciasnoty doktryn liberalnych będących wtedy w obiegu. Kiedy Saint-Simon ogłosił swój *nowy chrześcianizm*, Buchez, doktor medycyny, stał się jego wyznawcą. Czekąło go ostatnie przeobrażenie: około 1830 r. stał się katolikiem, nie zupełnie prawowiernym, ale też nie zupełnie dowolnym. Wtedy zerwał z Saint-Simonem i założył szkołę na swoją rękę.

Oryginalność wykładu Bucheza nie stanowi ani idea postępu, ani organizacyi społecznej; wziął je od Saint-Simona, nadał im jednak większą wartość stosując do nich swoje pojęcia teologiczne. W formacyi globu i historyi człowieka, widzi on nieprzerwany ciąg czynów boskich. Bóg był wielkim mistrzem w dziele postępu: tworzył coraz doskonalej.

Po wiekach geologicznych, wieki historyczne; po kamieniu, roślina; po roślinie, zwierzę; po zwierzęciu, człowiek. Ludzkość z kolei, miała swoje obroty oznaczone przez nadprzyrodzone interwencje bóstwa. Buchez mniema, że człowiek nigdy sam przez się nie byłby doszedł do mowy i moralności. Trzeba więc było objawienia pierwotnego. Potem nastąpił grzech pierworodny, który wszystko popsuł. Zepsucie się rozszerzyło i zagroziło pochod oświaty; byłoby unieruchomiło ludy, gdyby Bóg nie był interweniował powtórnie. Chrześcijaństwo jest tem drugiem objawieniem. Będzie ono także ostatniem, bo ideał Chrystusów otwiera nieskończone pole zastosowaniom społecznym.

Nieszczęściem, katolicyzm pobłądził. Protestantyzm okazał się jeszcze występniejszy, kiedy zamiast połączyć, rozdzielił ludzkość. Rewolucya francuzka sama jedna mogła zwrócić społeczność na drogę postępu ewangelicznego.

Buchez o mało nie zrobił z rewolucyi nową ewangeliją i objawienia *dopełniającego*. Trzeba, zdaniem jego, najmniej lat trzysta, żeby ta siewba owocowała i własność gruntową wydała w ręce pracowników. Wtedy nie będzie już przywilejów urodzenia ani nędzy dziedzicznej, nie będzie ciemnoty ani próżniactwa. Wszystkie narody ziemskiego globu utworzą jedną federacyą, której węzłem będzie prawo moralne i religijne Chrześcijaństwa.

Taki jest ogólny zarys systematu Bucheza. Polityka ważną w nim gra rolę. Buchez twierdzi że polityka jest nauką w ścisłym znaczeniu tego słowa; prawa jej dokładnie określić można, i byłoby to już dawno zrobione, gdyby ludzie nie mieli interesu ich zapoznawania. Rozdział w którym Buchez powyższe założenie rozwija, dowodzi nieścisłości jego umysłu.

Polityka zdaniem jego, jest nauką, gdyż powinna być najpierw zwrócić uwagę scyentystyczną; może nią być; gdyż spoczywa na danych doświadczenia; jest najdawniejszą z wszystkich, gdyż Egipcyanie i Rzymianie zaszli w nią daleko. Nakoniec, żeby lepiej wykazać dawność nauki politycznej, Buchez przypomina, że społeczność nie może się zrozumieć bez języka i moralności, że więc sięga, jak one, początków społeczności.

Te właśnie przykłady powinny były wskazać autorowi zagmatwanie jego myśli. Nauka nie koniecznie jest tegoż samego wieku co fakta któremi się zajmuje; przeciwnie, fakta muszą ją o wiele poprzedzać. System świata istniał przed astronomami, a ich przypuszczenia przez długie wieki błędziły, zanim je rachunki Kopernika, Keplera i Newtona przeobraziły w pewność. Człowiek mówił po wszystkie czasy: a jednak filologia nauką jest dopiero od lat pięćdziesięciu. Moralność, to jest poczucie dobra i sprawiedliwości, w sumieniu człowieka istnieje od czasu jak ma poczucie siebie, a dotychczas moralność jeszcze nie ukonstytuowana naukowo. Toż samo można powiedzieć o polityce; ma swoje zasady, swoje przepisy, których państwo nie może zapoznawać bezkarnie; ale mimo to, nie posiadamy teorii dokładnej zasad społeczeństwa.

Polityka dzisiejsza jest czysto empiryczna i długo nią jeszcze pozostanie: może na zawsze. Jakkolwiek wielkie są postępy nauki, nie jest wcale pewna że skończy na zdaniu sobie sprawy ze wszystkiego. Są przedmioty wymykające się nauce, nie dla tego że nie podlegają pewnym prawom, ale dla tego, że fakta które chce ogarnąć są zbyt liczne, lub zawiłe. Nie można wyłożyć powodów dzisiejszej pogody, albo przepowiedzieć jaki będzie stan powietrza za tydzień, dla tego że zmiany atmosfery zależą od przyczyn zbyt odległych i zbyt rozmaitych, żebyśmy je mogli zgromadzić w danej chwili. Toż samo z rządem społeczeństw. Rzecz niewątpliwa, że w tym zbiorze woli, potrzeb i namiętności które naród stanowią, nie ma jednego uderzenia serca, któreby nie miało swojej oznaczonej przyczyny, a tém samym swojego tajemnego prawa. Ale to także pewna, że nie można znać dokładnie, ani obrachować dokładnie wszystkich żywiołów zbiorowego życia; że więc w polityce, ludzie schodzą do reguł zbyt ogólnych, ażeby mogły być bardzo użyteczne, a w danym razie, do konkluzji zbyt niepewnych, żeby mogły utworzyć naukę.

Nie możemy na tém miejscu rozebrać jak należy takiego dzieła jak Buchez'a, które obejmuje całą czynność człowieka w stanie społecznym i dotyka wszechrzeczy. Autor w téj pracy, dowiódł więcej siły niż rozległości umysłu. Nie obejmuje on kwestyi wszechstronnie; omija fakta nie

zgodne ze swoimi zasadami. I tak np., nie chce słyszeć o szczepach ludzkich: ludzkość dlań jest jedna i tworzy jedną społeczność, której wszystkie części są solidarne. Zgoda, ale ta jedność idealna, nie wyklucza koniecznie różnicy ras, a w każdym razie zaprzeczyć nie można widocznym różnicom, chociażbyśmy je wytłumaczyli jedynie wpływami klimatu, albo stopniem oświaty.

Liczni za dni naszych miłośnicy stylu Ludwika XVI, biegają do Odeonu oglądać wznowienie *Czulego Arlekina* Floryana. Ten utwór słodziuchnego poety, którego Diderot zwał *Florinetkiem*, sentymentalny aż do ekliwości, nosi wybitne piętno czasu, w którym stara, konająca społeczność wpadła w rodzaj cuotliwego zdziecinnienia.

Niebo się zachmurzyło. Retoryka Jana Jakóba brzmiała w chmurach jak namiętny grzmot, exaltowała nerwy... Była w powietrzu jakaś wilgoć łzawa, która rozwadniała wszystko. Wyrazy oderwane: *natura, czułość, ludzkość, dobroczynność*, działały na ludzi jak słowa zaklęcia na widma... Dusze otwierały się jakiegś nieokreślonej nadziei, snom pasterskim, dziecinnyim rojeniom.

Dekoracya sielska zakrywała straszny widnokrąg rewolucyi, ku któremu wiek dążył wielkim krokiem.

Natura odkryta przez Jana Jakóba, zaniepokoiła serca i umysły, niby nadziemską wizya. Zrobiono z niej rodzaj sztucznego raju ubranego w chatki i grobowce, słomiane strzechy i dobroczynne pałace. Trianon Maryi Antoniny stał się wzorem dla świata. Jednocześnie z drzewami i kwieciami wykryto wieśniaczki i wieśniaków: pozłoceni światłem złotego wieku, wystąpili w sielankach Floryana i Gessner'a. Każdy wieśniak przebrany za patryarchę, spędzał dnie na błogosławieniu dzieci; do wieńczenia dziewic zabrakło róż w ogrodach; każdy klasztor posiadał swojego Fenelona kieszonkowój edycyi: nawet arlekiny prawili kazania.

Złudzenie literackie które upoetyzowało wieś, upiękşızyło całą społeczność. Idealem króla był wtedy Henryk IV z *Partie de Chasse*, jedzący kurę u leśniczego Michaud. Łaskawy książę Penthievre stał się wzorem magnatów; mie-

szczanin poprawiony przez Sedain'a, przedzierzgnął się w starożytnego *Pater familias*.

Optymizm rozciągnięto do wszystkich ludów i czasów. Wieki średnie upiękzone przez p. Tressan, wróciły w kształcie czułych rycerzy, stałych kochanek i dobrych pustelników. Bohaterowie starłej Hiszpanii spacerowali nad Tagiem przygrywając na gitarach. Nawet Wschód przeobrażony w książkach, na scenie nagięto do kultu przyrody i uczciwości: dziwno się ile łez mogł pomieścić oczy Turka... Przedstawiano samych kalifów, filantropów, dobroduszných Inkanów, czułych sułtanów, derwiszów tolerantów i t. p. niepodobieństwa.

Cnotliwy Arlekin Floryana, który obecnie Paryż rozrzewnia, wynikł całkowicie z ducha owego czasu. Niktby nie poznał w tym naiwnym pastuszku, afrykańskiego satyra greckiej sceny, skażonego i wyrafinowanego włoską wyobraźnią. Arlekin Floryana czuły i wierny, prawi morały a pierwowzór jego ma tyleż pocucia moralności co małpa. Jakaż niedorzeczność przekręcać tak odwieczne typy! Jestto toż samo co uświęcać Poliszynela, Scapena, Pierrota, Pandolfa i wszystkich łotrów, uosabiających od wieków w teatrze sprośność i skażenie.

Trudno brać na seryo całą tę *Morale en action*, w którą się teraz Paryż bawi. Publiczność sama nie wie czego chce... Wié tylko że nie chce tego co jest.

— Pod tytułem: „*Les Petits Crevés*” teatr Menus-Plaisirs przedstawił szereg królów jakich we Francyi moda wybierała sobie w ciągu jednego wieku. *Dandy* począł *Lwa*, który zrodził *Gandin'a*, a ten wydał płod poroniony obecnie panującego Paryżowi „*Petit Crévé*.”

Petit Maître wyrób starłej Francyi, wykwinny i dowcipny, wielka rewolucya zlamala jak wszystkie zabawki dawne, i zastąpiła z czasem elegantami swojej roboty: tak zwani *Muscadins* i *Incroyables*, śmieszni wodzowie reakcyi termidorskiej, są potwornym wyrobem mody, ale tę mieli zaletę że byli żywi.

Po upadku cesarstwa przybył z Londynu i podbił włoski Bulwar, *Dandy* od stóp do głowy pokostowany bezczelnością chłodną; zarówno obojętny dla swego wierzchowca jak dla kochanki i znajomych. *Dandy* w teatrze świata wy-

gląda jak widz wzdurliwy, w którego nawet aktorowie mają utkwione oczy. Sądzi jednem słowem; gani jednem wejściem... potępia gestem. Jakaś tajemnicza konwencya przyznaje mu nieomyślność w każdej błahéj rzeczy.

Dandy był długo królem-próźniakiem rozkiełznanego świata.

Wymienione typy, miłe czy niemiłe, ładne czy brzydkie, miały przynajmniej swoją oryginalną cechę. Nawet dawny paryżki *Gandin* zwykle śmieszny, bywał wesoły i dowcipny. Ale cóż powiedzieć o jego synu wyrodnym: *Petit Crève*? Znaćcie igraszkę rysunku, co to przez jedno przedłużenie linii prostopadłej, zmienia głowę Apolina w głowę ropuchy. Zastosowawszy tę metodę do typów modnych, z *dandego* zrobisz dzisiejszego eleganta paryżkiego, ochrzczonego trafnie *Petit Crève* przez tutejszego feiletonistę Nestora Roqueplan, który także następczynią *gryzetskę* nazwał *loretką*.

Dwie te nazwy stonowią epokę w historii obyczajów Paryża. Przydomek *zdechłego malca* najzupełniej rzecz określa: przekłwa robaką jak śpilka, i pokazuje w całej brzydocie... Wybitną cechą paryżkiego młodzieńca wykwintego, alias „zdechłego malca“ jest fizyczne i moralne wyczerpanie, osłabienie, nie kłamane jak dawniej, ale prawdziwe. Z urodzenia mizerny, został zniszczony przedwczesną rozpustą; rozpalające trunki które połyka nie z ochoty ale z mody, dopełniają dzieła zniszczenia; spirytus w którym się zarodki konserwują, rozkłada ten płód poroniony młodej Francyi. Włosy ma rzadkie, oczy zgase, cerę trupią... Obcisły ubiór uwydatnia rozpaczliwie tę nędzną budowę. Skrzywienie równie głupie jak uśmiech tancerza, wiecznie pozostaje na jego ustach. Nudzi go wszystko co wyższe: bawi jedynie co niskie. Wysłuchawszy *symfonii* Beethovena, albo dramatu Hugona, woła: „c'est crévant!“ Za to wychodzi zadowolony z „*Oślej skóry*.“ Mówi, a raczej papple bezwstydném narzeczem zdobiąc je błazeństwem małych teatrzyków i przeplatając słowa strofkami Offenbacha. Kilka zdań gorszących, zasłyszanych gdzieś w filozoficznej szynkowni, służą mu do olśniewania niewiniątek.

Szczególniejszém szyderstwem natury, twór ten zużyty nigdy nie żył; zawsze tylko udawał życie. Namiętność jest mu całkiem nieznana: z przygód jego, nie skleisz trzech gro-

szowej powiastki. Kółeczko w którym krąży, najpowszejdniejsze w świecie. *Petit Crève* jest skąpy: sknerstwo jego z próżnością wiedzie wciąż konieczną walkę. Przywary jego śmieszne: wynalazł sztukę oszukiwania przyjemności. Zazwyczaj żyje cudzym kosztem: wydaje tyle ile może pożyczyć. Wygląda jakby powrócił zewsząd, a nie był nigdzie więcej jak w Mabilu lub buduarach równie uczęszczanych jak *passage des panoramas*.

Jeżeli bogaty, broni swojej sakiewki jak lichwiarz; jeżeli ubogi, gra rolę familianta bez urzędu i bez pensyi. Na obiad poprzestaje na rosole, żeby mógł wieczorem w angielskiej kawiarni publicznie ogryźć udko kuropatwy. Karty wspierają ten nędzny zbytek. Gra nie jest dlań namietnością, ale przemysłem: chodzi do zielonego stołu jak urzędnik do biura. Jeżeli fortuna sprzyja, żyje z diabełka; jeżeli nie, klubowy skandal wyciąga mu atuty z rękawa i spędza z bulwarów... Jeżeli się nie odegra za granicą, przepada.

Le Petit Crève już jest w Paryżu typem: część młodzieży społecznej może się przejrzeć i poznać w tym człowieku. Dzięki Bogu nie jest on jeszcze rodzajem; w przeciwnym razie byłby to niezawodny znak upadku Francyi: żadna społeczność nie ostałaby się z takim pokoleniem. Ale wpływ tego poronienca mody, o wiele jego wartość społeczną przewyższa. Zajmuje on miejsce i czyni wiele hałasu. Jest w każdym zgromadzeniu i obecnością swoją zaraża sąsiadów. Jemu Paryż winien swoje głupie zacierzwienia, nedorzeczne pociągi i zamiłowanie szynkowni; jemu winny swe powodzenia trywialne piosneczki, Offenbach i brudne parodie. Jego bezduszne szyderstwo z wielkich rzeczy, jest zaraźliwe jak śmiech szyderczy z którego można umrzeć. Dość jednej parszywej owcy, ażeby zarazić całą ogromną trzodę owiec.

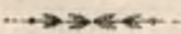
Typ podobny już przedstawił Szekspir: taki marny dworak mody występuje pod nazwą Osik'a w „Hamlecie.“ Obejrzawszy go duński królewicz, mówi ze spokojną wzgardą: „Jak inni którzy uszczęśliwiają świat powierzchowny, ogranicza on się na przybraniu tonu dnia dzisiejszego. Jestto piana którą wyrzuca na wierzch fermentacya gorącej i wzburzonej opinii; dość dmuchnąć na te bańki, żeby ich sprobować: wszystkie pękają.“

Dmuchajcież więc co siły, o Paryżanie! żebyście co przedźję te szumowiny zmietli. Jeżeli się do tego przyczyni komedya *Menus-Plaisir*, przedstawiająca „le Petit Crévė“ w całym nicestwie, odda wielkie usługi dzisiejszej społeczności paryżkiej.

— Wyszło pośmiertne dzieło p. Dargaud, p. t. „*Historya Oliwiera Cromwell*.“ Pan Dargaut mianowicie studyował Anglią. Jego „*Historya Elżbiety*“, „*Historya Maryi Stuart*“ najlepiej poznałomiły Francuzów z temi okresami dziejów Wielkiej Brytanii.

— W hrabstwie Northampton w Anglii znaleziono tom ulotnych wierszy Szekspira, p. t. „*Pielgrzym namiętny*.“ Zbiór ten wydano 1599 roku bez pozwolenia autora, coby dowodziło że Szekspir nie przywiązywał wagi do tych wierszy, które jednak wywołały okrzyki uwielbienia w Londynie.

— Pan Meurin ułożył pięcio-aktowy dramat z rozdziału „*Historyi francuzkiej*“, w którym Michelet opowiada sprawę rodziny Calas, a którą zamieściliśmy na początku tej kroniki. Sztuka w chwili zatargów religijnych wywołanych sprawą rzymską, została bardzo dobrze przyjęta. Tytuł dramatu „*Rodzina Calas*.“



ROK MAŁŻEŃSTWA.

(Z angielskiego E. Carlen).

PRZEKŁAD

Pawła z Czerniatyna.

(Dokończenie).

XVI.

Dwa miesiące upłynęło od chwili, kiedy dzieci pułkownika spoczęły obok swjej matki, a jego serce czuło zawsze tę samą próżnią i tęsknotę; powrócił do swych codziennych zajęć, ale dusza dotknięta srogą boleścią nie mogła odzyskać spokoju. Ta nowa żałoba nie była podobną do téj, jaką okryła go śmierć żony; nie kochał bowiem Karoliny. Ubolewał wprawdzie nad jēj stratą, ale jedynie z żalu że nie mógł uczynić ją szczęśliwą. Ożenił się przez posłuszeństwo dla ojca, a że Herman nie kochał dotąd żadnej kobiety, przyjął postanowienie jego z obojętnością. W pożyciu małżeńskim nie zaznał miłości; pierwszy pocałunek jaki złożył na czole swych córek, odkrył mu skarby miłości ojcowskiej; i gdyby Karolina żyła dłużej, jego względem niēj stosunki zmieniłyby się niewątpliwie, przez miłość dla dzieci. Kochał je uczuciem niemal macierzyńskim; śmierć tych dzieci odebrała mu nietylko całe jego szczęście, ale i najmiłsze nadzieje, najczystsze pragnienia. Zawiedziony w nadziei domowego szczęścia, marzył o spokojnym życiu obok swych córek, marzył jak pochylony wiekiem starzec; widzi nad sobą te dwie zwieszane główki które opromieniać

miały czoło jego zorane latami i przebytym bolem, a radość tych dwojga istot wynagrodziłaby doznane zawody. Teraz pozostał samotny, jego opieka nie była już nikomu potrzebną, równie jak żadna dłoń przyjazna nie otworzy podwoi jego grobu. Kiedy te ponure myśli niepokoiły jego umysł, czasem Lawinia przedstawiała się jak duch opiekuńczy, który mu wracał młodość i siłę, radość i swobodę; ale obraz ten uważał jako zwodnicze złudzenie. To co było między nimi ułożone i postanowione, musiało być spełnionem, chociażby nawet jego cierpiące serce miało pęknąć z bólu. I w tém zaniepokojeniu duszy mówił sobie: że przez te dni kilka jakie poprzedzały śmierć jego córek, dni, które zdawały mu ukazywać nowe szczęście, były tylko snem ułudnym. Lawinia, ta kobieta z marmuru i lodu, czy mogła kiedy zapragnąć czego innego prócz rozłączenia! Nie, nie, wątpić o tém byłoby to napróżno łudzić się, i kłamliwą cieszyć nadzieją.

Lawinia z swojej strony zauważyła, że wzrok jój męża który czasem dziwnie ją mieszał i dziwił, od dwóch miesięcy nie spoczął na niej ani na chwilę, a jednak spojrzenie to było jój tysiąc razy miłsze nad obojętną grzeczność. Herman nie wyjawiał przed nią swego smutku i nie wspominał zmarłych córek: boleść w sercu ukrywał! Polował wiele, a resztę czasu przepędzał samotnie w swym pokoju. Lawinia cierpiała nad temi oznakami oziębłości, ale własnego obojętności nie badała, nie uważała, że ona także doszła do obojętności pierwszych czasów, do zimnego, i niemal dumnego względem męża postępowania. Nakoniec ostatnie związki jakie ich jeszcze łączyły zostałyby zupełnie zerwane gdyby hrabia Adryan, uważny dostrzegacz i szczery przyjaciel, nie zaczął nsiłować zbliżyć ich do siebie; czuł bowiem że pomimo wszelkich nieprzyjaznych pozorów i zimnej powierzchnowości, w głębi, te dwa serca szukały siebie i powinny być złączone.

Ale hrabia miał wyjechać, przyobiegał rodzinie swój przepędzić z nią czas jakiś; ztamtąd miał się udać do obozu i dopiero w końcu lata wrócić do Rosenberga.

— Proszę cię—mówił pułkownik, któremu hrabia oznajmił swoje zamiary—jeżeli jesteś moim przyjacielem, nie odjeżdżaj: zostań jeszcze czas jakiś.

— Niepodobna! przyrzekłem być za dwa dni w Klewes.

— Wymówka! sam wiesz dobrze co znaczą podobne zobowiązania; ale rozumiem, nudzisz się tutaj i ten jest powód twego wyjazdu.

— Hermanie, a gdyby przeciwnie—rzekł hrabia z pewnem wahaniem.

— Przeciwnie!—powtórzył pułkownik, błędąc,—nie rozumiem.

— Ja tylko mówię gdyby, ale jeżeliby tak było, czy pragnąłbyś jeszcze zatrzymać mnie w twym domu?

— Miałbyś—głos pułkownika drżał tak silnie, że musiał zatrzymać się na chwilę ażeby zawładnąć wzruszeniem,—miałbyś tak dobrze użyć twego czasu?—zapytał z ironią, i....

— Hermanie! wstrzymaj się i pomyśl o czém chcesz mówić—odrzekł hrabia blady. Czy uważasz mnie za człowieka honoru? Czy umiesz tyle zapanować nad twą porywczością ażeby przypomnieć sobie, że przyjaźń nasza zerwaną zostanie od chwili kiedy mi okażesz nieufność?

— Ale ona, ona, czy odgadła ciebie? na zbawienie duszy mej, jeżeli ona wie o tém, jeżeli tutaj, w moim domu, i nosząc jeszcze moje imię mogła zapomnieć...

— Czy oszalałeś! ona odgadnąć! ale co?—zapytał hrabia nagle ton zmieniając,—radzę ci nie dać jej poznać, że podobna myśl mogła choć na chwilę zawitać do twój głowy, bo natenczas przepowiadam że nigdy nie zyskasz jej serca.

— A czyż ja domagam się o nie, czy je proszę?—wyrzekł zimno pułkownik. Żądam tylko ażeby szanowała imię, które jeszcze sześć miesięcy nosić będzie.

— Jakto sześć miesięcy?

— O! sam nie wiem co mówię. Ale, mój drogi przyjacielu, ty chciałeś mnie doświadczyć... a więc! wcale nie jestem zazdrosnym.

— I okazałbyś wielką niedorzeczność gdybyś nim był,—rzekł hrabia z serdecznością;—chciałem tylko przekonać cię jak łatwo jest wyrwać ciebie z twój pozorniej obojętności. Lekkie podejrzenie, mała obawa, byłaby dostateczną ażeby twoja miłość która oddawna silnie płonie, lubo tego nie chcesz przyznać, wybuchła z zgubną gwałtownością. Nie zaprzeczaj temu nadaremnie, i przyznaj że kochasz Lawinią, całą siłą pierwszej miłości.

Pułkownik spuścił wzrok w ziemię i przez chwilę zdawał sobie badać, poczem rzucając się na sofę, przesunął ręką po czole i wyrzekł z wzruszeniem, którego pomimo wszelkich usiłowań, ukryć nie umiał:

— Mógłbym ci powiedzieć, panie hrabio, że jesteś malarzem, poetą; ale marząc głośno, jesteś moim złym duchem.

— Nazwij mnie raczej dobrym, bo bez mojego pośrednictwa, bez tego światła jakie rzuciłem w twoją duszę, byłeś gotów odrzucić, nie wiem z jakiej przyczyny, jedyne szczęście twego życia, a może tém samém zniszczyć i szczęście Lawinii, téj szlachetnej i pięknej istoty.

— Mamże potrzebę powtarzać panu bezustannie: że szczęście téj szlachetnej i pięknej istoty, jak pan ją nazywasz, i moja pomyślność, są to rzeczy zupełnie przeciwne sobie? Przekonam ciebie o téj prawdzie, opowiadając okoliczności towarzyszące naszemu związkowi... ale jeżeli zobowiązesz się przysięgą, że wszystko co mi przed chwilą powiedziałeś było tylko kłamstwem.

— Czyż potrzebuje przysięgać? — zapytał obrażony Adryan; — czyż słowo moje nie wystarcza? Doszliśmy więc do tego niedowierzania że przysięga jest konieczną?

— A więc już jestem spokojny, bo gdybyś ją kochał, gdybyś ubliżając przyjaźni, zaufaniu, pokochał ją podczas....i podczas..... Jednym słowem bylibyśmy natenczas zmuszeni do walki śmiertelnej.

— I wszystko to biedny szaleńcze, dla kobiety której nie kochasz! — wykrzyknął hrabia z głośnym śmiechem.

— Jeżeli ją kocham, ty jesteś temu winien i twoje to szalone urojenia doprowadziły mnie do stanu w jakim się znajduję. Prawda, że chwilami czułem się przejęty niepojętym wzruszeniem, miotany szczególną gorączką; ale wszystko to zostałoby usnione, gdybyś ty piekielny doktorze nie był poruszył tych popiołów! Widzisz dobrze, że od śmierci moich dzieci, Lawinia przybrała swą dawniejszą postać marmurową, i liczy tylko dni, które ma jeszcze przeżyć w Rosenbergu.

— Lepiej o tém sądzić potrafię, jak mi opowiesz okoliczności, o których przed chwilą nadmieniałeś.

I Herman opowiedział wszystko: swoje ciche zaręczyny, smutny obrządek wesela, i ten pierwszy wieczór po ślubie, kiedy ułożyli i postanowili swój rozwód; mówił jak zawiózł Lawinią do Rosenberga i jak obojętność jej wydała go z domu: przyznał także jakiego doznał zachwycenia, kiedy za powrotem znalazł ją swobodną i z sercem przyjaznem.

— Jaka dziwaczna historia! — wyrzekł hrabia. W każdym razie rok ten podał wam sposobność poznania siebie. Przybyliście tu zupełnie obcy i obojętni sobie, a tém samém, mogliście poznać się nawzajem. Żyliście w ciągłym od siebie oddaleniu, a wynikiem tego jest przekonanie, że po sześćcio-miesięcznem pożyciu jesteście sobie potrzebniejsi, jak wiele małżonków po sześcioletnim najściślejszym związku.

— Zaprawdę, cudowny wynajdujesz sposób urzeczywistnienia swój myśli; ale to już zapóźno.

— Mój drogi przyjacielu, nigdy nie jest zapóźno uchwycić szczęście, kiedy tak nas blisko stoi, i jestem najmocniej przekonany że miłość po ślubie jest trwalszą i pewniejszą, jak ta, która prowadzi do ołtarza.

— Może tak jest, ale wszystko to do niczego nie prowadzi; nigdy nie chybiałem słowu mojemu, i Lawinia umie dotrzymać swojego, a potem, rozbudziłem w niej wstręt od samego początku, i z tego wrażenia nie otrząśnie się już nigdy.

— Nie wierzę w to, i przeciwne mam zdanie.

— I na czémże opierasz twoje domysły? powiedz szczerze. Czy na tych oznakach które odkryłeś owego wieczora? Podług mnie, były one tylko wynikiem szczególniejszego wypadku, czy humoru; czas najlepiej przekonał iż nie miały żadnego znaczenia.

— Przeciwnie, czas dowiódł, że były wielkiego znaczenia.

— Jakim sposobem?

— Najpierw przyznać należy, że nie ma archanioła, a tém samém nie ma kobiety, któraby zniosła wymagania, i tak drażliwe usposobienie jakim było twoje podczas choroby twych dzieci, gdyby nie podtrzymywało ją uczucie żywsze nad obowiązek przybranej matki.

— Adryanie, czy rzeczywiście w zbytku mój boleści, wymagałem od niej jakiego poświęcenia dla mych dzieci?

— Nie objawiałeś tego słowami, ale bardzo wyraźnie okazywałeś twém obejściem. Wprawdzie miłość twoja dla niej nie była naówczas słabszą, ale uczucia ojcowskie przeważyły, a Lawinia sądząc że ci jest zupełnie obojętną oddawała się żalowi, i często znajdowałem ją zalaną łzami.

— Wielki Boże! nie spostrzegłem że byłem tak niesprawiedliwym, że boleść zaślepiła mnie. Ale Lawinia nie zapomni moich uchybień.

— Już byłaby je puściła w niepamięć, gdyby twój smutek zamiast zbliżyć ciebie do niej, nie był jeszcze więcej oddalił.

— Masz słuszość Adryanie; w pierwszej chwili tak było rzeczywiście, czułem w sobie wyrzuty, widząc że wrastająca miłość dla kobiety która tylko rok jeden miała zemną przeżyć, ujmowała moim biednym dzieciom część tkliwych starań i serdecznych myśli, jakie z prawa im jedynie przynależały.

— Rozumiem tę zbyteczną surowość w pierwszym obłędzie twój boleści, ale nie pojmuję, dlaczego w miarę jak wracała rozważa i zastanowienie, nie umiałeś rozróżnić te dwa uczucia, które będąc zarówno szlachetne nie mogły szkodzić sobie.

Pułkownik położył rękę swą na dłoni przyjaciela i ścisłając ją z czułością:

— Wszystko co mi mówisz Adryanie, przynosi mi wielką pociechę; i czasem, sam tak myślałem; ale odpowiedz mi szczerze, czy nie widzisz że oboje z Lawinią zmieniliśmy nasze względem siebie postępowanie?

— Przyznaję, że w jój obejściu znajduję dotkliwą zmianę, i widzę ją dla ciebie nietylko obojętną, ale lodowatą; jój serce jednak jest gorące. Często kiedy słyszałem chód twój w pokoju obok tego gdzie Lawinia przy mnie siedząc haftowała, a spojrzałem na nią, gdybym nawet był głuchy od urodzenia, po lekkim drżeniu jój ręki, nagłem zapłonieniu czoła, domyśliłbym się że zbliżasz się do nas.

— O! gdyby to była prawda—rzekł zadumany pułkownik. Ale w imię nieba, kiedyż mogłeś czynić te postrzeżenia? Kiedy miałeś sposobność na zebranie tych uwag?

— Mój Boże, wszak ty wiesz, że nie mogę żyć długo w towarzystwie osoby nie badając jój serca. Co zaś do

uwag nad wrażeniem jakie jęj sprawia twoje przybycie, to wiesz że często czytywałem jęj moje poczye i nieraz widziałem jęj roztargnienie.

— A ja, mój drogi Adryanie, byłem zazdrosny o tę uprzejmość którą Lawinia pokazywała tobie.

— Pomimo twęj pozornęj zimnęj krwi, dwa razy dojrzałem u ciebie oznaki wzruszenia silniejszego od twęj woli.

— Wytłumacz mi przyczynę.

Hrabia wyprostował się i patrząc bystro na pułkownika:

— Hermanie—mówił—mógłbym odmówić ci tego tłumaczenia i uważać to za obrazę. Ale rzecz to zwykła, że człowiek po raz pierwszy zakochany jest zazdrosny, i lubię wpatrywać się w te dziwaczne symptomata miłości zwolna owładniające silną naturę, tak jak lekarz śledzi pierwsze objawy chorego dla jęj zbadania.

— Dalej! dalej!

— Najpierwsza oznaka wzruszenia którą dostrzegłeś we mnie, objawiła się skutkiem obawy ażebyś nie wymówił słów takich, których żaden człowiek honoru słyszeć nie może bez stanowczego zerwania stosunków z tym, co je wyrzekł: była to trwoga przyjaźni!

— Niech i tak będzie, wierzę tobie Adryanie, a teraz powiem ci co mi Lawinia mówiła o tobie.

— O tak, powiedz—wyrzekł śpiesznie hrabia—przedmiot to bardzo dla mnie ważny.

— Zażywo mówisz o nim.

— A ty niepokoisz się na nowo; przyznaję że jestem jak w gorączce. A to dlatego Hermanie, że żona twoja posiada wydoskonalony gust, i że jęj sąd ma dla mnie wartość publicznego sądu; chciałbym również wiedzieć czy pochwały udzielone mi przez nią wywołane są grzecznością, czy szczerym objawem jęj zdania. Hermanie! i ja kocham, ale nie kobietę z ciała i kości. Kocham nieśmiertelną miłością młodą mużę, która nie odbiegła jeszcze od mego serca, i chciałbym wiedzieć, czy w istocie ona jest tak piękną jak jest w męj wyobraźni.

— Lawinia znajduje ją uroczą.

— Jesteśże tego pewnym? ona ci to powiedziała? jęj to są słowa?

— Kiedy uskarżałem się że większe masz do niej jak do mnie zaufanie, ona odrzekła: „Ja go pojmuję, on miłuje utwory swoje żarliwością kochanka, i nie ukazuje jej, nie przedstawia, z obawy ażeby nie narazić jej na szyderstwo; ale ta jego skromność jest zbyt uczynną, bo jest jednym z liczby tych, których krytyka nie dotyka; zwykle zanisko wymierza ona swe ciosy, ażeby mogły osiągnąć szczytów na których spoczywają podobne dzieła.

Hrabia nic nie odpowiedział, ale czuł się szczęśliwym tęp znikomem ale głębokim szczęściem, jakie daje artyście przekonanie, że został zrozumianym.

— Czy wiesz Adryanie?—wyrzekł pułkownik—nie chciałbym za wszystkie skarby świata być autorem: to nie-spokojne życie pełne wzruszeń, ta burza która jest waszym żywiołem, z którego czerpicie wasze najśmielsze natchnienia, zabiłaby mnie. I ty także lubo umiesz panować nad sobą, jakże cierpieć będziesz, jeżeli publiczność nie uzna dzieł twoich i nie da im poklasku.

— Publiczność!—mówił zamyślony hrabia—dotąd nie myślałem jeszcze o niej.

— Na cóż więc zajmujesz się przez całe twoje życie pisaniem tego, czego nikt znać nie będzie.

— Dlatego, ażeby mieć cel w życiu, ażeby gdzieś rozlać ciepło mego serca i tchnienia mojej duszy, i życie moje lubo zdaje się być odarte i ogołocone, bogatym było w uniesienia zachwyty, płodne w wewnętrzne ucieczki; wszystko to opisałem: wątpliwość i niewiara jakim podlegał mój umysł, smutek mego serca, wyzionąłem je przez usta ukochanych istot, i ukołem tęp boleść moją; litery zastąpiły mi to dobro, do którego każdy człowiek wzdycha, a jakich żaden mnie podobny osiągnąć nie może: domowe ognisko przy którym może spocząć, i serce do którego należy!

— A więc dzieła twoje nie przyniosą ci nigdy ani sławy, ani pieniędzy?

— Mój drogi Hermanie, ani dla sławy ani dla pieniędzy nie oddajemy tego co jest naszym życiem: miłości nie pospolitujemy, lecz osłaniamy ją w świątyni serca naszego. Ale otóż zadaleko jesteśmy od naszego przedmiotu; wybiła właśnie godzina, o jakiej zwykle pracuję i Lawinia zapewne czeka na ciebie.

XVII.

Kiedy pułkownik i Adryan weszli do sali jadalnej, wzrok ich spotkał się, a w nim wyraźne było zdziwienie, że nie znaleźli tego, czego obydwoj szukali. Ta, która zawsze ich tam poprzedzała i przyjmowała z uroczą uprzejmością, dzisiaj była nieobecna. Pani Brunsberg przysłała oznajmić, że gwałtowny ból głowy pani domu nie dozwolił jej przyjść na śniadanie.

— Spodziewam się że to tylko lekkie cierpienie, i które prędko przejdzie—rzekł pułkownik, nie wiedząc czy ma pozostać czy udać się do pokoju żony. Ale kiedy p. Brunsberg dodała: pani chce pozostać sama ażeby spocząć chwilę, Herman zasiadł przy stole. Wprawdzie przez cały czas śniadania widocznie był roztargniony, myślał bowiem o Lawinii. Cały dzień pozostał w swym pokoju. Przy obiedzie pani domu nie było także.

— Zejdę do niej, sądzę że ją tém nie obrażę, mówił do siebie.

Zachęcony rozmową jaką zrana prowadził z hrabią, szedł do pokoju żony; ale drzwi jej sypialni były zamknięte; zastukał więc.

— Wybacz mi—rzekła Lawinia nie otwierając—jestem cierpiąca i chcę spocząć.

W tonie jej mowy przebijało się pomieszanie i smutek, który zwrócił uwagę pułkownika. Dlaczego nie chce otworzyć? ale czyż nie miał on prawa wejść do jej pokoju?

Chciał wejść, a więc wszedł.

Lawinia spoczywała na kozetce, niezwyczajna błądź pokrywała rysy jej twarzy, ale kiedy ujrzała wchodzącego mimo jej woli Hermana, czoło jej i lica gwałtownym okryły się rumieńcem, wzrok jej płomienny okazywał gniew i zdziwienie: Herman odgadł to uczucie, ale nie zmieszał się tém wcale.

— Niespokojność o stan twego zdrowia, Lawinio, zmusiła mnie do sprzeciwienia się twój woli—rzekł głosem, któremu starał się nadać większą siłę, aby nie zdradzić wzruszenia serca.

— Moje cierpienie jest chwilowe, nie powinno wzbudzać najlżejszej obawy, i proszę nie zajmować się niem dłużej.

Tym razem ani jój słowa, ani ton mowy nie ukrywał jój niezadowolenia; uczuł to Herman, ale nieprzezwyyczajony pociąg posuwał go do dalszej rozmowy.

— Gdybym nawet chciał być posłusznym tobie, nie mógłbym do tego zmusić serca mego, bo kiedy widzę ciebie chorą lub smutną, a dzisiaj nie wiem rzeczywiście czy jedno lub drugie dolega tobie Lawinio, pragnąc ulżyć ci lub pocieszyć, nie mogłem powstrzymać się od zapytania, czy mi nie powierzysz swego cierpienia?

W słowach tych mieściła się taka szczerłość, że Lawinia była do głębi wzruszoną i wzrok jój rozjaśnił się, ale tylko na chwilę; poczem konwulsyjnie ścisnęła w swych palcach bilecik schowany pod poduszką kanapy, na której spoczywała.

Herman mówił dalej powstrzymując rozrzewnienie:

— Droga Lawinio, dlaczego chcesz zawsze być skrytą; czy nie możesz zwierzyć się tym którzy pragną ulżyć ci smutku? Co ci jest, powiedz szczerze?

— Nic, Hermanie.

— Zwodzisz mnie, Lawinio; to wzruszenie ma swą przyczynę: a gdybym ją odgadł, gdybym ci powiedział!

— Nie chcę o niej słyszeć!—wyrzekła młoda kobieta z żywością, która w niej była niezwykłą. Co mnie obchodzą twoje podejrzenia?

— A więc! poznasz je pani—wykrzyknął obrażony pułkownik—otrzymałaś list od twego brata, on ci ofiaruje swą opiekę, i namawia cię abyś wróciła do niego.

Lawinia wyprostowała się, usta jój pobladły, rysy twarzy boleśnie ściągnęły się; ale kiedy przemówiła, było to z tak zimną ironią, że i boleści dojrzyć nie można było.

— Nie wiem czy mam panu powinszować jego domyslności; ale ponieważ podobało ci się w ten sposób wy tłumaczyć moje dzisiejsze cierpienie, nie będę wahać się z prośbą o przyspieszenie mego odjazdu.

Pułkownik cofnął się, sądziłby można że grom uderzył w pierś jego. Wzrok przed chwilą tkliwy, niemal gwałto-

wny, stał się ponurym i dzikim. Milczał długo, ale kiedy przemówił, był już spokojny: zwalczył straszne bicie swego serca.

— Jeżeli jutro, w godzinie śniadania, nie zmienisz pani swego postanowienia, o dziesiątej powóz i konie będą gotowe.

Wyrzekłszy te słowa wyszedł.

Lawinia pochyliła się, kryjąc swą głowę w poduszki kanapy. Odjazd ten był podług niej znakiem wiecznego rozdziału.

— A więc dobrze, rzekła do siebie podnosząc głowę i nagle obierając postanowienie, co było wydatną stroną jej charakteru; pojadę: wyjazd ten zawsze nastąpić musi; nic mi więc na tém nie zależy, czy o sześć miesięcy przyspieszonym zostanie.

Dla wyjaśnienia poprzedniej sceny i położenia w jakim znaleźliśmy Lawinią, trzeba nam cofnąć się o kilka godzin. Niemal w tej samej chwili kiedy Adryan i Herman rozmawiali z sobą, pani Brunsberg wprowadziła do gabinetu Lawinii nieznaną jej dotąd panią Elistę, którą widzieliśmy już u Maryi Rhnemann.

— Wybacz mi pani, że nieznaną przychodzę do ciebie i to w tak rannej godzinie; ale dobroć twoja wytłumaczy śmiałość tych odwiedzin. Idzie tu o ważną przysługę, którą tylko od pani mogę otrzymać.

— Zbytecznem jest pani tłumaczenie—odpowiedziała Lawinia z tą zimną grzecznością, której znaczenie nie jest dla nikogo wątpliwem: w czém mogę być jej użyteczną?

— Ponieważ pani pozwala, będę miała zaszczyt wytłumaczyć jej powód swych odwiedzin; poczem sądzę że mi je zechcesz wybaczyć. Moja córka Zofia, która dzięki Bogu otrzymała przewyborne wychowanie, zawsze bowiem edukacyą uważałam jako przedmiot najważniejszy, moja córka Zofia, mówię, jest złączona przyjaźnią z panną Karoliną Niderswill i otrzymała od niej przywilej wyhaftowania dla niej chustki na wyprawę. Nie dlatego że pannie Karolinie brakło rąk gotowych na oddanie jej tej posługi, mogłaby ich znaleźć dwadzieścia, ale jak to już powiedziałam, przez przyjaźń dla mojej Zofii, przekłada jej robotę nad pracę najzręczniejszych haftarek. Zofia też chciałaby uczynić

niespodziankę swój przyjaciółce, przesyłając jej haft zadziwiającej piękności, do czego szukamy wzorów.

— Wybór więc padł na mnie, rzekła Lawinia przerywając, chciała bowiem położyć tamę temu wzrastającemu napływowi wyrazów. Z przyjemnością użyczę pani wszystkich moich haftów.

— O, nieskończone dzięki ci, pani! Mówiłam też mojej Zosi: jeżeli idzie o wyszukanie bogatych i gustownych haftów, tylko do pani Rosenberg należy się udać: ona jedna takie posiada. Ale zaraz przyszła nam smutna myśl, że nie mamy zaszczytu znać pani; jednakże córka moja powiedziała mi: „Nie sądzę, mamó, żebyśmy rozgniewały na siebie panią Rosenberg prosząc jej o kilka wzorów. A tymczasem pójdźmy do Maryi Rhenmann....“ Mój Boże, rumienię się wymawiając to imię przed panią, ale ja tylko powtarzam słowa mojej Zosi; inaczej może byłoby niedelikatnie wymieniać to nazwisko w obecności pani.

Lawinia, lubo głęboko zraniona temi gminnymi alluzjami pani Elisty, zachowała jednak cały spokój i pozorną swobodę.

— Czyż należy wątpić o mojej litości—wyrzekła z pewnością wyniosłością—nieszczęście tej młodej dziewczyny obchodzi mnie i wzrusza.

— Nigdy nie wątpiłam o szlachetności i dobroci serca pani, zanadto przekonana jestem o jej wspańiałomyślności ażeby nie być pewną jej miłosierdzia w tak delikatnej okoliczności, i ja równie dobrze znam obowiązki chrześciance, ażeby rzucić kamieniem na upadłą kobietę.

— Zdaleko zbaczamy od przedmiotu jaki panią skłonił do dzisiejszych odwiedzin—rzekła Lawinia raz jeszcze przerywając mowę Elisty.

— Nie, nie, łaskawa pani, do niego właśnie wracałam, bo Marya Rhenmann haftując często dla magazynów ma wiele wzorów, poszłam więc do niej dziś rano. Ale ponieważ stare tylko ma u siebie wzory, wzięłam jeden dla mej Zosi, który użyje w razie jeżeli innego nie znajdzie.

To mówiąc pani Elista wyjęła z swojego woreczka wzór haftu, który rozłożyła na stole i nagle wykrzyknęła:

— Oh! mój Boże; Marya widzę zostawiła w nim jakiś bilecik, będę musiała odesłać go jej przez umyślnego. Ale

patrz pani, jaka pyszna cyfra i jaki piękny herb! Lawinia nachyliła się, nie dla obejrzenia haftu, ale dla widzenia listu; dojrzała bowiem na pieczęci, herb swojego męża, a przybliżywszy wzrok swój, poznała pismo Hermana.

— Przyniosę pani moje hafty—rzekła Lawinia wstając dla odszukania ich, a może chcąc ukryć rumieniec jaki pokrył jej czoło.

— Ile podziękowań winnam złożyć pani. Jeżeli kiedy mogę jej być użyteczną...

Zatrzymała się, bo Lawinia wyszła z pokoju, a kiedy wróciła przynosząc hafty, pani Elista była zmuszoną pożegnać ją, widząc jej dla siebie obojętność; ale odchodząc upuściła pakiecik należący do Maryi Rhenmann i odjechała nie zwróciwszy uwagi że bilecik wysunął się na posadzkę.

Lawinia została sama. Niepokojona nieprzewyciężonem wzruszeniem, naopróżno przechadzała się po pokoju, oczy jej lubo zakryte dłonią, czytały ciągle adres: „Pannie Maryi Rhenmann.“ Oddawna już przestała myśleć o Maryi; związek jaki mógł istnieć między nią a jej mężem, należał mówiła sobie, do przeszłości, nie do terażniejszości.

— Jakąż rolę odgrywa tutaj Marya? mówiła do siebie Lawinia z ciągle wzrastającym wzruszeniem. Bilecik ten jest dawny —pisany w czasie jego wdowieństwa; a gdyby nawet data jego była świeżą?

Wstała, noga jej potrafiła list Hermana; schyliła się, wzrok jej poznał fatalne pismo: uchwyciła je, potem rzuciła na stół; czytać nie będzie, bo i pocóż? byłoby to poniżającym! A jednak gdyby przeczytała, wróciłby jej spokój; byłby to najpewniejszy środek przekonania się o szlachetności jej męża. Wreszcie jako żona, ma swe niewygasłe prawa. Dlaczegoż nie miałyby ich użyć? Wzięła więc na nowo list ten, i czytała. Był on pisany dwa dni przedtem.

„Przestań droga Maryo, niepokoić się; żona moja tak jest daleką od wszelkich podejrzeń i zazdrości, że zwierzenie się w obecnej chwili byłoby równie zbytecznem jak śmiesznem, a potem, jeżeli należy jej to wyjawić, dlaczego przyspieszać tę chwilę?

„Pojmuję jednak Maryo i oceniam całą delikatność twego życzenia, i gdyby wyznanie było potrzebnem, pierwszy

skłaniałbym cię do niego; ale w teraźniejszym stanie rzeczy, jest ono niestosowne.

„Maryo, nie powinnaś wahać się w przyjmowaniu mnie u siebie: czy nie wiesz że przy tobie biedna kobieto, czuję się spokojniejszym. Zranieni oboje, możemy przynajmniej pocieszać się wspólnie.“

„Herman Rosenberg.“

Te wyrazy jak grom straszny uderzyły w serce Lawinii; od téj chwili wszystkie jej marzenia znikły, wszelkie domniemanie jakie w jęj przekonaniu usprawiedliwiała stosunki męża jęj z Maryą Rehmann były zniszczone; prawda przedstawiła się jęj oczom. Ale jaka prawda! Czyż obecnie będzie mogła znieść spojrzenia pułkownika i hrabiego, odpowiadać na ich pytania, słuchać ich rozmowy? Niepodobny przymus był nad jęj siły, postanowiła przeto uwiadomić Hermana, że jest cierpiącą, ażeby mieć dosyć czasu na uporządkowanie swych myśli. A więc takim był Herman! ten Herman którego sądziła godnym całego jęj szacunku. I znowu pytała siebie: co zrobi z tym bilecikiem? czy wręczy go Hermanowi nie żądając od niego objaśnienia? Czuła ona dobrze, że pomimo głębokiej urazy nie będzie miała odwagi upokorzyć tego człowieka, bo przekonana była, że Herman nie kochałby kobiety, przed którą musiałby się rumienić.

Wstała; chciała odrzucić myśl co ją tak zajmowała, zatrzeć pamięć tego wejrzenia, które czasem zwrócone ku nięj tak wielką ukazywało siłę.

— Jakże jestem niedorzeczną, mówiła, mamże pokryć milczeniem ten skandal wiadomy całemu światu?

Czy jestem bohaterką romansu, czy téż kobietą znającą swe prawa? Mamże dozwolić ażeby je deptano? O! mój Boże! jaką obrać drogę?

Po ciężkiej walce jaką przebyła sama z sobą, postanowiła zamilzcć. Ale jeszcze jedna zostawała trudność: jak odesłać Maryi jęj pismo, ażeby nie domyśliła się w czyjém pozostawało rękę?

Hrabia był to człowiek delikatny i ostrożny, ale płatać go w intrygę, poniżyć się przed nim, przed przyjacielem Hermana! nie, tego nie chciała pani Brunsberg! ona także była delikatną, ale zbyt przezorną; odgadywała wszystko.

Lawinia wstała i zadzwoniła. Intendent, był to właśnie człowiek, jaki jej był potrzebnym: milczący, wierny i zupełnie niezdolny przeniknąć i odgadnąć powód danego mu polecenia.

W owójtó chwili wszedł pułkownik, co było tak niespodzianém dla Lawinii, że nie miała czasu pomyśleć jak ma się względem niego zachować; zszedł ją w chwili najwyższego rozdrażnienia, którem wola jej nie zdołała jeszcze zawładnąć; wszystkie téż jej wyrażenia jakich użyła w rozmowie, były niemal mimowolne. Nie zdała sobie sprawy z ich znaczenia, naprzemian wyniosła, cierpka i zboląta; dopiero po odejściu Hermana uczuła niepokój i wzruszenie serca, a te słowa rozlegały się jak straszne i prorocze echo: „Jutro, jeżeli w godzinie śniadania nie zmienisz postanowienia, o dziesiątej powóz i konie będą gotowe...” a więc pojedzie i wszystko się już dla niej skończy: czuła to po straszném ściśnieniu serca.

W téj chwili weszła pani Brunsberg.

— Bądź tak dobrą—rzekła Lawinia—kazać ustawić powóz na sanie i zaprządz je. Potrzebuję powietrza, ale ponieważ to jest godzina o jakiej mąż mój grywa z hrabią w szachy, zapytaj się intendenta czy nie może mi towarzyszyć.

— Powietrze bardzo zimne, i nie wiem czy.... intendent ośmieli się użyć koni bez upoważnienia pułkownika.

— Powiedz mu że ja wydaję ten rozkaz—rzekła Lawinia tonem, który nie pozwalał na żadne uwagi —za kwandrans będę gotową.

Pani Brunsberg zeszła, myśląc sobie że nieboszka pani nie poważyłaby się nigdy rozkazywać bez woli swego męża; ale uznawała że Lawinia posiadała rozum i powagę, która nakazuje posłuszeństwo.

W kwandrans później sunęły sanki, unosząc Lawinią i intendenta. Młoda pani była pomieszana i milcząca. Kwandrans czasu upłynął, a żadne słowo nie zostało wyrzeczoném. Poczciwy sierżant. nieśmiało ust otworzyć, kiedy Lawinia opierając rękę na jego ramieniu odezwała się nagle:

— Czy mogę prosić cię o jedną przysługę?

— O! mój Boże! jak pani może pytać mnie o to? Dałbym się porąbać.

— Dobrze, dobrze! Pani Elista zgubiła w moim pokoju list jaki przywiozła z miasta, trzeba go tak oddać, żeby nie domyślano się iż on znajdował się w moim ręku; wręczysz go mówiąc: że znalazłeś na schodach.

— Na schodach, ja! Wreszcie mogłoby się to wydażyć, ale co mam z nim zrobić? pani nie powiedziała mi.

— O! nic łatwiejszego: pojedziesz do miasta, i ten list oddasz pannie Maryi Rehnmann.

Wyjęła list z kieszeni i wręczyła go intendentowi, który rzekł z całą prostotą:

— Sam go oddam.

— I ani słowa przed nikim o tém co teraz ci powiedziałam: rozumiesz mnie?

— Tak, pani.

— Dziękuję ci, a teraz wracajmy: zimno na dworze, i czuję się niezdrową.

W chwili kiedy sanki zatrzymały się przed balkonem, światło lamp oświecało galeryą; jakiś człowiek stał oparty o kolumny, a śnieg który padał szerokimi płatami ubielił jego suknie, on jednak stał nieporuszony. Zanim sierżant wysiadł, stopień już był spuszczone, drzwiczki otwarte i człowiek którego Lawinia zauważyła, uniósł ją w swych ramionach, a przechodząc śpiesznie galeryą zestawił ją dopiero w przysionku.

Był to pułkownik: bladość jego była śmiertelną, wzrok jaki w nią utkwiał był tak głębokoki, tak niewymownie poślepny, że Lawinia czuła jak ją siły odstępowały. Nie wyrzekł ani słowa i wszedł do salonu a ona pobiegła do swego pokoju.

— Co to znaczy?—zapytał hrabia widząc wchodzącego Hermana—dlaczego opuściłeś mnie tak nagle?

— O! nic w tém nie było ważnego: słysząc tentent koni, chciałem widzieć kto wyjeżdża i ujrzałem Lawinią w sankach; czekałem więc na jej powrót.

— W tém jest jeszcze coś innego? tyś cierpiący, albo smutny: wyznaj mi prawdę.

— Ani jedno, ani drugie: czuję się strudzonym, i potrzebuję spoczynku, otóż wszystko; wybacz więc że odejdę, nieczekając na herbatę.

Opuścił salon i udał się do swego pokoju: półgodziny niewysłowionój męczarni złamało go więcej, jak kampania trzymiesięczna.

XVIII.

Teraz pułkownik znał całą siłę uczucia jakie go łączyło z Lawinią; przez tę godzinę którą przebył oczekując jej, niepewny, czy ona powróci przeszedł przez tyle wrażeń, uczuł tyle rozmaitych wzruszeń, że obecnie pewnym był iż rozłączony z nią pędziłby nędzne życie, obok niej zaś byłoby szczęśliwe i błogosławione; przeczuwał to po tej szalonój i silnój radości, kiedy usłyszał wracające sanie i ujrzał biały welon Lawinii.

Herman spał snem gorączkowym: wstał wczesnie, ażeby nie stracić kilku godzin poranku jakie poprzedzały śniadanie. Usłyszę od niej choć jedno słowo—mówił do siebie, otrzymam bilecik który zwłoczy jej wyjazd; ale już dziesiąta! pisać już nie będzie; nie, za dumna ażeby odwołać wyrzeczony wyjazd i gdyby nawet jej serce miało pęknąć z żalu, milczeć będzie, a ja! nie do mnie należy mówić, o! godzina... godzina!

Oznajmiono mu że śniadanie gotowe.

— Wszystko więc skończone—rzekł do siebie, nie myślmy już o tém; o nie! Lawinio, ty nigdy wiedzieć nie będziesz ile dziś przecierpiałem: nie zezwolę na ten twój tryumf.

Tego samego dnia, o tej samej godzinie, Lawinia siedziała przed swym biurkiem i z piórem w ręku zdawała się przygotowywać do pisania; ale lubo dwie godzin upłynęło, żadnej kreski nie było znać na białym arkuszu.

Patrzała na zegar, wstawała i siadała; maczała pióro, ale nie pisała. Nie chciała żądać przebaczenia ani tłumaczyć się przed Hermanem, zanim on swém obejściem nie ośmieli ją do tego. Bo jakże wyzna mu powód, który ją tak żywo wzruszył? Nie sama tylko obawa upokorzenia Hermana wstrzymywała ją, ale i chęć ukrycia zazdrości, jaka w opowiadaniu tém byłaby widoczną. Ona zazdrosna? nigdy. O tych którzy są nam obojętni, nie jesteśmy zazdrosnymi; mogłaż być nią względem człowieka, do którego sześć miesięcy przedtém, czuła tylko odrazę...

— Pani, śniadanie gotowe.

— Już! czy tak późno? a panowie czy już przy stole?

— Pan hrabia nie zszedł jeszcze, ale pułkownik oczekuje.

Gdyby pobiegła ku niemu, gdyby kilku serdecznemi słowy zatarła w jego umyśle bolesne wrażenie dnia poprzedniego, a tém samém gdyby wszystko poszło w niepamięć? Ale nie, byłoby to nad jej siły, łatwiej będzie napisać dwa słowa.

— A więc spróbuję—rzekła do siebie.

Uchwyciła pióro.

— Niepodobna! pióro wypadło na papier. Trzeba odjechać! poniżyć siebie i Hermana? Tego nie uczynię...

Ileż cierpię!

Zarzuciła szal na ramiona i niemal uciekła z pokoju nie zatrzymując się aż w sali jadalnej.

— Prześlicznie pani dziś wyglądasz—rzekł hrabia przysuwając dla niej krzesło—spodziewam się że migrena przeszła.

— Dziękuję, czuję się zupełnie zdrową: Hermanie, chciej mi podać twą filiżankę.

Wypadek przybliżył ich dłonie; oboje podnieśli głowę; spojrzeli na siebie: wzrok Lawinii był pojednawczy. Herman ponury i zimny: samo spojrzenie nie mogło zmienić stanu rzeczy. Widziała więc Lawinia że nie zdoła oprzeć się swemu przeznaczeniu; wzrok jej męża mówił o tém, a jednak kilka godzin przedtém, przyszłość ich spoczywała w jej rękach; mogła ją uczynić szczęśliwą: teraz będzie opłakaną.

Kończyli śniadanie; wszyscy byli zamyśleni i milczący; wtém ujrzano przybywającego posłańca.

Przyniesiono listy; jeden był do Lawinii: Herman podał go jej, otworzyła z niecierpliwością, poznała bowiem pismo Rudolfa; przez chwilę, głęboka w pokoju panowała cisza. Każdy zajęty był czytaniem listów, kiedy Lawinia zawołała:

— Kochany Hermanie, musisz mi pozwolić jechać za kilka godzin: Julia jest w niebezpieczeństwie życia, i może teraz mój biedny Rudolf jest wdowcem.

Podawała mu list; Herman go odczytał: zawierał te tylko słowa zaledwie czytelne:

„Lawinio, zaklinam ciebie, jak tylko odbierzesz list ten, przybywaj do mnie. Niebo obdarzyło mnie synem, ale Bogu samemu wiadomo ile jeszcze godzin cieszyć się będę moją drogą Julią. Doktor nie czyni żadnej nadziei. Poczta odchodzi, list mój otrzymasz jutro; pojutrze możesz być przy mnie: nie opuszczaj mnie”

„Twój zrozpaczony *Rudolf*.”

— A więc, Hermanie, pozwalasz mi jechać? W obecności hrabiego i intendenta, Lawinia odzyskała całą śmiałość. Piętnaście dni wystarczą mi: w pierwszych dniach kwietnia będę z powrotem.

— Nie oznaczaj terminu, Lawinio, może będziesz mogła wrócić wcześniej—rzekł pułkownik głosem tak pojednawczym jak jego wyrażenia.

— To lepiej, pisać będę do ciebie Hermanie, jak tylko przyjadę na miejsce, i powiem ci wtenczas czy stan zdrowia wymagać będzie dłuższej méj obecności.

Wstali od stołu, a pułkownik biorąc rękę swéj żony, zaprowadził ją do framugi okna najwięcej oddalonego.

— Czy takie jest rzeczywiście twoje postanowienie? czy masz stały zamiar wrócić, skoro tylko obowiązki twe obok Rudolfa zostaną spełnione?

— Hermanie, czy możesz mnie o to pytać?

— Jeszcze jedno uczynię ci zapytanie. Kiedy powróciłabyś Lawinio, gdybyś nie była otrzymała tego listu od Rudolfa?

— W takim, razie Hermanie—i głos jej stał się słodkim i pieszczotliwym,—w takim razie, nie byłoby mowy o wyjeździe; spodziewam że zrozumiałabyś moje milczenie i postąpiłabyś jak szlachetny zwycięzca.

Na te słowa których rzetelność potwierdził rumieniec czoła i tkliwy wyraz oczu, pułkownik chciał przycisnąć ją do swojego serca, które było pełne miłości dla niej; ale uzbroid się w ponurą surowość: sam przed sobą upokorzył się, usta jego jednak nie roztworzyły się; myślał, czuł i kochał, ale milczał. Lawinia nie odgadła ile w tém sercu mieściło się dla niej miłości, ale widziała je spokojném.

— Teraz przebaczyłeś mi Hermanie, widzę to—rzekła Lawinia, która czuła że zwycięstwo przechodziło na jej stronę—powiedz intendentowi że będzie mi towarzyszył.

— Dlaczegoż nie mnie obierasz za opiekuna?

Lawinia rozśmiała się z pewnem zakłopotaniem.

— Mój drogi Hermanie, dla wielu przyczyn lepiej mi będzie podróżować samą.

— A więc niechaj się stanie podług twych życzeń. Lubo nie pojedę do twego brata, towarzyszyć ci jednak będę w drodze tak daleko jak będzie można: z powrotem pojedę po ciebie także.

— Dziękuję ci Hermanie, całym sercem dziękuję; ale jeżeli Rudolf zostanie osieroconym, będę zmuszona przedłużyć mój pobyt?

— O! nie mówmy o tém—rzekł pułkownik. Staraj się powrócić Lawinio; będziesz tu pożądaną wiesz o tém; im prędzej, tém lepiej dla mnie.

Lawinia raz jeszcze podziękowała tonem serdecznym; wdzięcznym. Dwie godziny później małżonkowie byli w drodze, a następnego dnia hrabia wyjechał z Rosenberga.

XIX.

Lawinia opuściła Rosenberg w połowie marca.

Już maj pozielenił wszystkie drzewa które otaczały zamek, łąki ubarwiły się na nowo, a pułkownik nie otrzymał jeszcze listu zwiastującego mu powrót jego młodej małżonki.

Julia która rzeczywiście zagrożoną była utratą życia, została ocaloną, ale powrót do zdrowia bardzo wolno postępował, do czego przyczyniła się nieostrożność w zachowaniu przestróg lekarzy, dla tego też Lawinia odkładając od tygodnia wyjazd swój z domu brata, dotąd jeszcze w nim pozostawała.

— „Wszystko może na nowo wtrącić naszą chorą w stan niebezpieczny, powtarzał doktor. Największa przeczorność i bezustanne starania są potrzebne.”

Jedna tylko Lawinia mogła czuwać starannie, bo Rudolf był zawsze albo zbyt pognębiony ażeby działać energicznie, lub też zaśłaby aby oprzeć się wymaganiom młodej matki; wymaga-

nia te były coraz częstsze i zadowolnić nie mogły ani czuwania jęj męża, ani jego ciągła obecność, ani tkliwa pieczołowitość. Kiedy przybliżał się do nięj, mówiła że zabiera jęj powietrze i że ona nie może oddychać; kiedy oddalał się wyrzekała że chce ukryć przed nią ziewanie i utrudzenie. Jeżeli prosiła żeby Rudolf czytał jęj głośno, a on mając to sobie przez doktora zakazane opierał się temu życzeniu, rozpływała się we łzach, mówiąc że żadna kobieta nie jest równie jak ona nieszczęśliwą; potem znowu zmieniając nagle to smutne usposobienie, prosiła o przebaczenie za tyle przykrości jakie zadawała swemu biędnemu i ukochanemu Rudolfowi, przeklinała wszystkie swe kaprysy, a jeżeli ukochany Rudolf, korzystając z tęj szczęśliwęj chwili błagał ją ażeby się uspokoiła przypuszczając że płacz był dla nięj niebezpiecznym, krzyczała podwajając łkania, że cały świat ma przynajmniej prawo płakać, a jęj nawet łez wzbraniają; że nie tylko cierpieć mnsi, ale jeszcze nie wolno się jęj uskarżać.

Rudolf zrozpaczony nie wiedział co czynić; ale wobec Lawinii wszystkie te spory ustawały, dzięki jęj szczególnęj przewadze i wyższości.

Julia która dotąd wcale nie kochała Lawinii, przywiązała się do nięj uczuciem, jakie dotąd było jęj obcém, i błagała ją ażeby dłużej z nimi bawiła. Lawinia ustępowala, jakkolwiek bolesném dla niej było oddalenie od Rosenberga.

Nakoniec doktor uznał Julią ocaloną: wstawala już od piętnastu dni i za lekarstwo przepisali jęj tylko pobyt na wsi.

Lawinia ponowiła w swojém i męża swego imieniu zaproszenie do Rosenberga. Od tęj chwili wszystkie próśby Rudolfa na przedłużenie pobytu Lawinii, były daremne. Otrzymała list od Hermana, który w sposób zimny i jakby z przymusem, uskarżał się na potrzebę zrzeczenia się przyjemności widzenia jęj przed wyjazdem swym do obozu. Goniec który list ten przywiózł odjechał z odpowiedzią Lawinii.

Ona oczekiwała tylko przybycia intendenta aby z nim wracać do Rosenberga.

Z uczuciami niepodobnemi do opisania, Lawinia w tym samym pokoju zkład wyjeżdżała do ślubu, oczekiwała na powóz, który sześć miesięcy przedtém wiózł ją do Rosen-

berga. Lubo obecnie w miejsce pułkownika tylko skromny sierżant miał po nią przyjechać, serce jęj radowało się a niecierpliwość była niemal gorączkowa. Jakże czas zmienił jęj myśli i uczucie! Czyż teraz także z przerażeniem i boleścią myślała o Rosenbergu i jego dziedzicu? O nie! wzruszenie jakiemu podlegała, było to uczucie błogie, gorące pragnienie ujżenia Hermana. Rozłączenie wydawało się jęj tak długiem! ale nagle myśl przykra zaćmiła wszystkie inne. Powóz ten który miał przybyć po nią, czyż nie miał za dwa, trzy, lub cztery miesiące wieźć ją tutaj lub gdzie indziej? nie wiedziała gdzie;—ale cóż jęj na tém zależało, kiedy już nigdy nie miała wracać, nigdy widzieć Rosenberga!

— A jednakże, kto wie! mówiła do siebie; nie byłoby w tém nic tak szczególnego, niezrozumiałego; przemianie daleko mniej wytłumaczonej uległo moje serce; ale pułkownik pozostanie wierny swemu słowu; więc rozłączymy się, a wtenczas on, wolny, pójdzie szukać...

Imię które napróżno chciała pominąć, przedstawiało się zawsze jęj pamięci, ścigało ją, bo mimowolnie łączyło się z imieniem Hermana; Marya! prawda że bilecik ten był zbyt spokojny ażeby go uważać za pismo od ukochanego, ale jednak zbyt serdeczném od obojętnego. Musi więc istnieć między niemi tajemny związek, i zaczęła nienawidzić tę młodą dziewczynę, nienawidzić całą siłą powstającą miłości.

— Ale, mówiła do siebie, ażeby przynieść sobie pociechę, i Hermana usprawiedliwić w swych oczach, jestem pewną że przez czas mojej nieobecności jęj nie widział.

Nakoniec, oznajmiono że powóz przyjechał. Sierżant przywiózł pozdrowienie swego pana, tłumacząc go że nie mógł przybyć.

Był to zawód dla Lawinii, może okrutny, lubo z uśmiechem mówiła że nie spodziewała się przybycia męża. Zadługo dała mu czekać na siebie, teraz na nią przyszła kolej. Żądała wszakże ażeby konie były przepręcane dla szybszej i niezwłocznej jazdy. Żadna prośba nie zmieniła jęj postanowienia: każdą chwilę opóźnienia uważała za straconą. Nakoniec wszystko było przygotowane do wyjazdu:

Lawinia niemal z obojętnością uściskała Julię i Rudolfa, i wyjechała.

Kiedy widziała drogę uchodzącą przed jej oczyma, słyszała trąbkę pocztylionów, uspokoiła się: myślała o chwili w której miała ujrzeć pułkownika, pragnęła nie śmiejąc jednak tego uczynić, rozmawiać o nim z p. Stacke; wreszcie po długim milczeniu rzekła:

— Spodziewam się że mąż mój podczas mojej nieobecności przyjmował u siebie swych przyjaciół i sam także odwiedzał ich?

— O! nie, pani, nikt nie był, i pułkownik wyjeżdżał tylko co wieczór do Kullen.

— Do Kullen! a więc do Maryi Rehnmann!

Lawinia cofnęła się w głąb powozu.

Tak to, Herman korzystał z jej nieobecności, aby odnowić występne stosunki, widywał ją każdego wieczora; teraz dopiero zrozumiała obojętność jego ostatnich listów; dla innej zapomniał o swęj żonie a ta wracała bez przyjaciół, bez opiekuna, do człowieka który ją zdradzał, i serce jej ciężkim zostało pogięzione smutkiem. Głowę ukryła w dłonie łkając pocichu.

— Pani, pani — zawołał sierżant z żywością, którą u istoty tak zimnej jaką był Stacke, można było nazwać gwałtownością — pan pułkownik jedzie naprzeciw pani.

Lawinia spostrzegła Hermana, zbliżającego się do powozu konno: zatrzymał się zdziwiony. Umówił się był z sierżantem że zrobi tę niespodziankę Lawinii, sądząc, że ją to wzruszy; ale wszystkie gorące nadzieje jakie podczas podróży napędliały jego serce, zniknęły w jednej chwili.

Kiedy wzrok jego spotkał się ze spojrzeniem Lawinii, uczuł że nic nie było zapomnianém, przebaczoném. Spojrzenie to było podobném do tego, jakie te płomienne źrenice rzuciły mu w chwili, kiedy przeciw jej woli, Herman przeszedł próg jej sypialni; i rzeczywiście takie same myśli zajmowały obecnie i niepokoily jej umysł. W uprzejmości męża swego widziała tylko bezczelną obłudę; zapewne rozstał się z Maryą, ażeby złożyć żonie swęj pospolity hołd urzędowej grzeczności. Rumieniec, czyli lepiej określając

płomienie okryły lica Lawinii, i osuszyły łzy, które kilka chwil przedtém, zawisły na jój rzęsach.

— Zawiele zadałeś sobie trudów—wyjąkała Lawinia— w samą rzecz zawiele.

— Widzę to bardzo jasno.

Pułkownik wyrzekł te słowa bez gniewu, ale z niewymuszonym smutkiem.

Lawinia umilkła.

— Rozłączenie z bratem sprawiło ci wiele przykrości; łzy twoje przekonywają o tém.

— W obecnej chwili one są naturalne.

— Bardzo naturalne; może w obec twych wspomnień i wzruszeń, towarzystwo moje będzie ci na przeszkodzie, może pragniesz aż do końca podróży pozostać samą?

Lawinia zrozumiała potrzebę zachowania przynajmniej pozoru, i usiłując zwalczyć wstręt swój:

— Czy tak sądzisz Hermanie?—wyrzekła z przymuszonym uśmiechem—przybyłeś więc z tak daleka ażeby samemu wracać? Usiądź koło mnie: proszę cię.

Ścisnąwszy dłoń Lawinii doznał wrażenia, jakby lodowata ręka ujęła serce jego i zatrzymała jego bicie. Nigdy nie doznawał tak dolegliwej boleści, nic nie mogło iść w porównanie uczucia jakie natenczas ogarnęło jego duszę. Od pięciu miesięcy wdychał do téj chwili jaką miłość jego ukazywała mu najmielszą w życiu, bo od wyjazdu Lawinii przyniesiony ciężarem nudów, doznając nieporównanej tęsknoty, zrozumiał czém dla niego była jój obecność, jakim był urok, którym opromieniała jego życie; przez pięć tygodni, przechodził pamięcią słowa tak szybko zamienione między niemi w chwili wyjazdu, cieszył się myślą jój powrotu, który miał mu nagrodzić dnie tęsknoty. Najwięcej bolało go obecne przekonanie, że Lawinia nie posiadała tego czystego i prawego charakteru, jaki przez tak długi czas przyznawał jój; ileż w niej zmian od dwóch miesięcy! ile przelotnej serdeczności i częstych oznak oziębłości, ile kolejnych i dotkliwych przemian! Była więc kapryśną i zmienną, ona, którą sądził być tak spokojną i cichą. Dlaczego, po tych przyjaznych słowach jakie w czasie pobytu swego u Rudolfa skreśliła, dzisiaj to mroźne powitanie?

W pierwszych chwilach, kiedy powóz ruszył, na nowo oboje milczeli. Lawinia czuła że poraz drugi ważny i słuszny dała powód do gniewu, że obraziła Hermana i zraniła jego serce; obecnie widziała jego smutek bez gniewu, ale smutek tak głęboki, że zdawał się jój niepodobnym do zatarcia.

— Może, Lawinio — rzekł pułkownik — wolałabyś czas pobytu mego w obozie przepędzić u jakich wód więcój zwiedzanych, aniżeli przebyć go w Rosenbergu?

Pułkownik czuł potrzebę rozmowy, ale nie wiedział jak ją rozpocząć.

Lawinia zmieszana tym niespodzianym projektem odpowiedziała z wysileniem:

— Dziękuję ci Hermanie, za myśl o rozrywce dla mnie, przyjęłabym ją z przyjemnością, gdybym nie musiała pozostać w Rosenbergu dla przyjęcia tamże naszych gości.

— Ach! chciał mi wybaczyć, zapomniałem o twych gościach. W jakim czasie spodziewasz się ich przyjazdu?

— W końcu czerwca, chyba że jaki powód zmusi ciebie do cofnięcia twoich zaprosin.

— Mnie! twoje życzenia są dla mnie prawem, a nawet, jeżeli takie życie może się podobać twemu bratu i Julii, rozesłę zaproszenie do wszystkich naszych znajomości, otworzę podwoje Rozenberga dla całego świata, i zgromadzę doń wszystkie rozrywki i uciechy. Niechaj zamek nasz stanie się zaczarowanym domem. Konne przejażdżki, walki na łodziach, bale i teatr niech urozmaicają czas ich pobytu. Żyjmy tém gwarném i szaloném życiem, jakby każdy dzień był dla nas ostatnim.

Te słowa wyrzeczone były z zapałem niemal dzikim. Lawinia zrozumiała ironią i gorycz jakie one zawierały; ale wyzwana nad wszelką miarę, nad wszelkie granice, odpowiedziała tym samym tonem:

— O! byłoby to cudowném! nie wiedziałam że posiadasz tak obfitą wyobraźnię. I czemuż należy przypisać wszystkie te myśli?

— Podróż jaką odbyłem téj nocy; bo całą noc jechałem dla złączenia się z tobą. Jadąc byłem usposobienia ponurego, nieradosnego, zajęty najdziwniejszymi myślami; pragnąc samotności, ustronia dla dwojga, życia cichego, spokoj-

nego; nakoniec gdybym ci wyliczał wszystkie śmieszności jakie mnie zajmowały czas jakiś, śmiałybyś się, śmiałybyś się szalenie, Lawinio; ale wszystko to znikło na widok twego powozu. Myśl moja rozjaśniła się pod ciepłem twego spojrzenia; zachwycający głos twój szczególniejszym dźwiękiem zabrzmiał w moich uszach, i w dziesięć minut później, marzyłem o przyjemnościach i rozrywkach daleko więcej, jak przez cały bieg mojego życia.

Każde z tych wyrażień raziło jakby sztyltem serce Lawinii; czuła ona ile boleści mieściło się w tej wesołej satyrze; ale jakież były jego uczucia kiedy opuszczał dom swój? i w czym widok Lawinii je zmienił?

— Naprawdę, żałuję, że tak długo ukrywałaś przedemną upodobanie twe do świata, starałbym się jemu dogadzać. Czyż nie lepiej uważać życie jako kulę, którą jeden drugiemu odrzuca, aniżeli siedzieć smutnie, ponuro, i tylko we dwoje, wlokąc życie nudne i uciążliwe? Ale oddalam się od naszego przedmiotu: rozmawialiśmy o rozrywkach jakie Rosenberg może nam przynieść.

— Mówiłeś o walce na łodziach. Czy masz statki?

— Wczoraj otrzymałem jeden ze Sztokholmu, prześlizczna łódź; użyjemy jej jak tylko gość jaki zjawi się u nas.

— A czemuż nie natychmiast? nie byłaby to prawdziwa sielanka, gdyby ty i ja....

— Ty i ja! nie myślisz o tem moja droga. Mężczyzna żonaty, i jego żona, byłoby to za bardzo parafiańskie, albo za bardzo romantyczne; ja nigdy nie schodzę ani do tego co jest zbyt pospolite, ani nie wznoszę się do tak wysokićj poezyi.

— Ale dla zabicia czasu, przyjmijmy rolę zakochanych pasterzy.

— Nie pomyślałaś o tem, że zanim nauczylibyśmy się rol naszych, umarlibyśmy oboje z nudów podczas odbywanych prób.

— Jeżeli tak osądziłeś, piękny rycerzu, uprzejmość wymaga przynajmniej abyś mi o tem nie mówił: proszę cię powrócić do twego właściwego humoru.

Wprowadzeni na tę fałszywą i niebezpieczną drogę ironii i szyderstwa małżonkowie zbliżali się do Rosenberga, który już w niedalekiej ukazywał się odległości.

Opasany w około skałami, pagórkami i potokami, malowniczo górował nad doliną zachwycającemi zamieszkaniem. W tój porze wiosennej krajobraz przedstawiał piękność tak okazałą i tak przejmującą, że Lawinia uczuła się pod wszechwładnym urokiem bogatęj przyrody, niemal wstydziła się tych lekkich i kłamliwych wyrażen jakiego z ust jęj wyszły, a zachwycona i żałująca, pochyliła się przez okno powozu, aby poić wzrok swój tym cudownym obrazem. Słońce na zachodzie rzucało jasne światło na szczyty zamku, które odbijając się w przezroczu płynących strumieni, błyszczały jak okna zaczarowanego pałacu; zorza wieczorna rozciągała nad drzewami różową zasłonę, która zdawała się ogarniać je czarodziejskiem światłem; ze szczytów gór rozlegał się odgłos rogu jakim pasterze zgromadzają swe trzody, aby je sprowadzić na dolinę.

Lawinia cheiwie patrzała na tę okolicę, na to miejsce które mogło być jęj szczęśliwą dziedziną, rozkoszném mieszkaniem, a naprzemian zachwycona i smutna, milczała pod ciężarem wzruszeń; pułkownik milczał także: on również doznawał dobroczynnego wpływu natury, która koila cierpienia jego zbolełego serca.

Usłyszawszy nagle odgłos rogu, jakby harmonijny głos tęj ciszy pełnęj życia, Lawinia nie mogła wstrzymać się i mówiła sama do siebie:

— Jakie niebo! jaka ziemia! jaki świat cudowny!

Pułkownik patrzył na nią uważnie.

Smutni i znękanii przybyli do Rosenberga, a Lawinia nie miała siły odpowiedzieć choćby tylko uśmiechem, serdecznemu powitaniu pani Brunsberg, która stojąc na progu zawołała:

— Niechaj Bóg będzie pochwalony za twój powrót, ukochana moja pani, bo mówię szczerze, lubo wiem że co oczy widzą, usta nie powinny o tęp mówić, pan pułkownik nie mógł ukoić tęsknoty, która go wprowadzała w stan gorączkowy.

Kończąc te słowa, klucznica otworzyła drzwi do salonu gdzie weszła Lawinia, nie zważając nawet że pokój ten był przystrojony jak na wielką uroczystość, napełniony kwiatami i zielonością, a myśląc jedynie o ostatnich sło-

wach pani Brunsberg, wyrzekła, zdejmując spiesznie kapelus z głowy:

— Nie mam tyle miłości własnej, aby wierzyć że byłam pożądaną.

— A jednak tak było; aż serce bolało patrzeć jak pułkownik całemi godzinami siedział w pani gabinecie, dotykając z poszanowaniem każdego przedmiotu, który pani upodobałaś sobie.

— Czy nie szukał rozrywek po za domem?

Wymawiając te słowa, Lawinia odwróciła się, bo czuła rumieniec występujący na czoło.

— Rozrywek po za domem! Mój Boże! Wszakże zajmował się ciągle oranżeryą i parkiem, ażeby pani znalazła wszystko podług swego upodobania; mała wysepka w końcu jeziora, tak jest upiększona, że wygląda jak klejnocik: sprowadził przytém prześliczną łódkę, malowaną i rzeźbioną... Ale nie chcę już mówić o tém, pani sama zobaczy.

Lawinia, zanim mąż jej wrócił z dziedzica, na którym pozostał ażeby wydać rozkazy masztalerzowi, miała dosyć czasu na zdjęcie ubioru podróżnego, i obejrzenie wszystkiego co ją otaczało. Stała przy oknie słuchając szmeru wiatru co igrał z gałązkami drzew i śledząc bicie swego serca, kiedy wszedł Herman.

— Tak jestem spiący, że z trudnością otwieram oczy.

Takie były pierwsze słowa, jakie wyrzekł wchodząc do salonu, poczem rzucił się na kanapę.

— Pani Brunsberg wpadnie w niełaskę, jeżeli każe nam czekać na obiad.

— Sama czuwać będę ażeby go prędzej podano—wyrzekła Lawinia, która widząc po pierwszych wyrażeniach Hermana że tego dnia nie otrzyma od niego przebaczenia, pragnęła co prędzej się usunąć.

Podano obiad, przy którym oboje więcej ziewali. Wstali od stołu. Ale w chwili kiedy Herman miał wyjść z pokoju i ujął już drzwi za klamkę, odwrócił się nagle, a przysuwając się do Lawinii wyciągnął do niej rękę; ona mu podała swoją; uściśnął ją, potem nachylając się, pocałował, mówiąc łagodnie:

— Dobranoc ci Lawinio, spoczywaj spokojnie! niechaj Bóg ma ciebie w swój opiece; i wyszedł.

Lawinia była pomieszana i niespokojna: ten głos, to poruszenie, te słowa, napełniły jęj duszę nieokreślonym przeczuciem, które ją przerażało.

Dlaczego przemawiał do mnie w sposób tak uroczysty? dlaczego uściśnął moją rękę? Dlaczego ją pocałował? Mój Boże! Mój Boże! wszystko sprzysięgło się na mnie. Wszystko mnie boli i zasmuca. Nie! on nie zawinił; on nie kocha innęj! Jeżeli tak jest, pragnęłabym...

Ale nie: to być nie może!

Lawinia usnęła snem lekkim, ale przerywanym.

Kiedy obudziła się, już słońce oświecało firanki jęj pokoju i rzucało na jęj posłanie różowe promienie. Pierwsza myśl jęj była: „Jakże rozkoszne takie przebudzenie;“ następnie: „Ale zapewne już późno jest, może Herman czeka na mnie.“

Zadzwoń! panna służąca weszła.

— Która godzina — zapytała z uśmiechem, a cała jęj postać wyrażała zadowolenie serca.

— Pół do dziesiątej.

— Ach Mój Boże! pewno pułkownik już pił śniadanie?

— Zdaje mi się że kazał je podać, zanim wyjechał.

— Wyjechał!

— Tak pani: pułkownik wyjechał dzisiaj o piątej rano.

— Proś do mnie panią Brunsberg.

Przez kilka chwil Lawinia w osłupieniu, czuła się blizką omdlenia; ale wsparta siłą woli, twarz jęj przybrała taki spokój, że nie ukrywała żadnego żywszego wzruszenia.

Pani Brunsberg wróciła.

— Spodziewam się, że pani dobrze spała tęg nocy po całodzienném utrudzeniu: noc spoczynku była potrzebną.

— O tak, bardzo byłam strudzoną. — Dziękuję ci pani Brunsberg, żeś mi przysłała na górę śniadanie; nie zejść, kiedy męża mego niema w domu. Czy powiedział że wróci na obiad?

— Niestety! nie; pojechał do Sztokholmu, a ztamtąd ma się udać wprost do obozu.

Lawinia zbladła jak białe draperye, co okrywały jej łożo.

— To dziwne, nie przypominam sobie, ażeby mówił wczoraj o tym odjeździe.

— I nie spodziewał się go wcale; zapewne nie miał odwagi pokazać pani listu, który go zmusił do tej podróży. Jadąc onegdaj naprzeciw pani, sądził że pozostanie w Rozenbergu aż do połowy maja; ale ten mały bilecik który polecił mi oddać pani, objaśni o wszystkim.

— Ach! proszę o niego.

Lawinia uchwyciła go, ale nie czuła dość odwagi otwarczenia przed świadkiem, przeczuwając jakiego dozna wzruszenia. Pani Brunsberg mówiła dalej:

— Ja także równie jak pani nie wiedziałam nic o tej podróży; już była blisko północ, kiedy pułkownik zastukał do mego pokoju.

— Czy jeszcze nie śpisz, pani Brunsberg? zapytał mnie, a ponieważ rozmawiałam natenczas z sierżantem prosząc go o pewne sprawunki w mieście, otworzyłam drzwi natychmiast, mówiąc: Jestem na pańskie usługi, panie pułkowniku. A on: pani Brunsberg, proszę cię ułożyć mi natychmiast mój mantelzak; list jaki tu zastałem zmusza mnie do bezzwłocznego wyjazdu. Ach! wyrzekłam, jaki smutek dla pani. Nie chciałem zaniepokoić moją żonę, udzielając jej dzisiaj tę wiadomość, odpowiedział mi; bądź tak dobrą wręczyć jej jutro te kilka słów, które wytłumaczają powód mój podróży. Opuścił mnie wtedy, a ja ułożyłam tłomoczek — Ale ja tak długo opowiadam, a kawa ostygła zupełnie. Zaraz pójdę po inną.

Kiedy Lawinia została sama, uchwyciła list; zawierał on te słowa:

„Rozumiejąc po przyjęciu jakie mnie wczoraj spotkało, że wszystko już skończone między nami, że nic nie może być uciążliwszego dla ciebie jak moja obecność, postanowiłem oddalić się. Jadę więc piętnaście dni prędzej jak zamierzałem, po zwinięciu obozu powrócę do Rozenbergu, bo natenczas nie będziemy już zmuszeni znosić przykrości przebywania tylko we dwoje. Z drogi będę pisać do Rudolfa, powtarzając moje zaproszenie.”

„*Herman Rozenberg.*”

— Ani jednego przyjaznego słowa, ani wzmianki żalu! Ach! tak, ma słuszość: wszystko skończone.

Opuściła głowę swą na poduszki mówiąc z rozpaczą:

— Jeszcze sześć tygodni bez niego!

XX.

Lubo Lawinia przywykła wystarczać sobie, a jęj żywa wyobraźnia czerpała rozkosz z widoku natury budzącej się pod tchnieniem wiosny, nie mogła oprzeć się nieprzeciętnemu smutkowi, nudocie, której nie zwalczyć nie mogło, a podczas tych chwil cierpkich i tęsknych zwykle pamięć jęj zwracała się do Hermana. Nakoniec, stałe postanowiła objaśnić się o stosunkach jakie go łączyły z panną Rhenmann.

Lawinia posiadała charakter śmiały, zawsze skory spełnić to co pomyślała, a sumienie uznało. Wieczorem nagle wyjechała. Słońce blizkie zachodu, oświecało domy w Kulm. Lawinia poznała mieszkanię Maryi, a serce jęj biło na myśl, że tam jest słowo ukryte w zagadce, którą od tak dawna pragnęła rozwiązać. Zastanowiła się na chwilę, ale zamiar jęj był niewzruszony, bo gdyby nie wprowadzała światła wśród te ciemności, nie rozjaśniłyby się one nigdy. Dom, do którego dążyła stał na zieloném wzgórzu, ocieniony dwoma drzewami kwitnącej jabłoni; przed nim na trawniku siedziała pani Rhenmann gorliwie przędząc, a córka jęj zajęta była haftem.

Kiedy obiedwie spostrzegły Lawinię, wstały za jedném poruszeniem i pani Rhenmann, która mimo swęj prostoty posiadała ten wytworny takt w postępowaniu, jaki zachowuje każda tkliwa i delikatna dusza, wyszła naprzeciw Lawinii którą odgadła, bo dotąd nigdy jęj nie widziała; poznała ją po tęg odznaczającej piękności o której już tyle pochwał słyszała.

— Zdaje mi się—wyrzekła wdowa, z serdecznością pełną uszanowania, i ustępując miejsca Lawinii na ławce z której powstała — że znam panią, lubo dotąd nie spotkałyśmy się nigdzie, ale wszędzie poznałabym żonę naszego kochanego pułkownika.

— Proszę pani pozostać na miejscu—rzekła Lawinia dźwięcznym tonem.

Godność sędziwej kobiety zjednała natychmiast jej serce; zwróciła potem oczy ku tej, którą mimowolne podejrzenie wskazywało za rywalkę.

Marya stała przed nią dziwnie blada.

— Maryo, dziecko moje—przynies dla pani napój chłodzący—wyrzekła matka.

Marya wstała i weszła do domu gdzie ją śledził wzrok Lawinii.

— Moja ukochana pani—mówiła pani Rhenmann, w chwili kiedy jej córka weszła do mieszkania—trzeba mieć pewne względy dla cierpień mojej córki. I nie sądzę pani że to mała dla niej kara ów wzrok, w którym choćby był najprzyjaźniejszy, zdaje się ona dostrzegać wstręt i pogardę. Wiele jeszcze dni ubiegnie, zanim moja biedna Marya będzie mogła bez pomieszania patrzeć na każdą twarz obcą.

— Czyż może myśleć żebym ja.....

— O! nie obwinia ona panią o nic, jest tylko mocno wzruszoną. Jakże mogłaby wątpić o dobroci pani, kiedy w chwili pogardy jaką dostrzegła we wszystkich, pani jedna okazałaś jej współczucie, a nawet ofiarowałaś jej miejsce obok siebie? I może ją to jeszcze więcej wzrusza.

— We wszystkich?—powtórzyła Lawinia, jakby uwaga jej zatrzymała się w połowie frazesu pani Rhenmann, —o nie! niesprawiedliwie byłoby tak sądzić.

— Prawda pani, pułkownik ją powitał. Oh! on zawsze był dla niej pobłażliwym i miłosiernym.

— Mąż mój wiele pochwał oddaje pannie Rhenmann.

— Tak jest, jest on jednym z tej małej liczby przyjaciół, którzy w przygodzie nie opuszczają. Mój biedny mąż miał szczęście zajmować się początkową edukacją pułkownika, i od tego czasu serdeczne uczucia utrzymały się między niemi na zawsze, a lubo pan Rosenberg opuścił kraj na lat kilka, i podróżował po całej Europie, nie zapomniał o nas; kiedy wrócił do siebie, na sześć miesięcy przed swem ożenieniem, poprzysiągł mojemu mężowi, że w razie jego śmierci nie opuści nigdy ani mnie, ani Maryi, i dotrzymał słowa: onto dopomógł nam do kupna tej małej posiadłości, gdzie żyłyśmy spokojnie, aż do chwili naszego tak wielkiego nieszczęścia, a nawet i wtenczas opiekował się nami,

— I nigdy nie zapomni o was—wyrzekła Lawinia z przekonaniem—a gdyby cały świat usunął się od panny Rhenmann, nie zabraknie jój nigdy miłości matki i życzliwości jój przyjaciela.

— O! tak, dzięki Bogu! uznaje to Marya, umie oceniać; dlatego też nie ubolewa ona nad utratą swych dawnych przyjaciół, kiedy jój najlepszy pozostał. Jak też uszczęśliwia on nas, poświęcając nam godzinę czasu. Jakie serce! jaki charakter!

Ach! pani za krótko żyjesz z nim, ażeby ocenić całą jego wartość; ale ja co go znam od lat dziecińczych, mówię z przekonaniem, że kobieta która nosi jego imię, jest jedną z najszcześliwszych, i nigdy dosyć dziękować Bogu za swe szczęście nie potrafi.

— Tak jest—odpowiedziała Lawinia, chwytając w przełocie sposobność jaką jój nastąpiła ta rozmowa—jednakże i on, nie mógł ustrzedz się obmowy.

— Anioł przez Boga zesłany na ziemię nie uniknąłby jój, a cóż dopiero grzeszny człowiek; a przytém pułkownik ma wady które zraziły wielu: nie chcą mu przebaczyć jego oziębłości i dумы.

Jak widzę rozumie mnie, ale nie chce tłumaczyć się jaśniej—pomyślała Lawinia: o! gdybym mogła zyskać jój zaufanie. I młoda mężatka myślała o sposobie osiągnięcia celu, bo jakkolwiek ta sędziwa kobieta wydawała się być szczerą, niepodobna było skłonić ją do wypowiedzenia tego o czém chciała zamilczeć. Nakoniec weszła Marya niosąc na małej tacy żądane chłodniki, ale jak tylko wzrok jój spotkał się z wzrokiem żony Hermana, chmura jaka przed chwilą znikła, pokryła na nowo czoło Maryi, a ręka jój drżała tak silnie, że była zmuszona postawić tacę na ziemi.

Przez kilka chwil ogólne panowało milczenie. Lawinia sądząc że grzeczność wymagała ażeby je przerwać, zadała kilka pytań Maryi, ale tylko krótkie i cierpkie otrzymała odpowiedzi. Widziała więc że nienależało przedłużać tych odwiedzin i postanowiła odejść. Pani Rhenmann ofiarowała się towarzyszyć jój. Lawinia uszczęśliwiona z tój okoliczności, wyszła z nią razem. Najpierw rozmowa ich toczyła się o przedmiotach jakie im przedstawiał widok wspaniałej natury. W rozmowie z panią Rhenmann, Lawinia zauwa-

żyła prawość i delikatność która ją ujęła; zbliżywszy się do małej rzeczki jaka przerzynała Rosenberg, pani Rhenmann zatrzymała się wołając:

— O! zdaje mi się widzieć pułkownika, kiedy wróciwszy z obozu przewozić będzie po tej rzeczce swą ukochaną żonę, w łódce którą kazał dla niej zbudować. Jakże on będzie szczęśliwy! Podczas pani niebytności, mówił nam co wieczór o pani powrocie i zawsze z przyjemnością myślę o radości jaką okazywał widząc ten statek ukończony. Znając jego zwykle spokojne usposobienie, dziwiłyśmy się obiedwie z Maryą, widząc go w wigilią pani przybycia, tak wesołym i żywym; tém więcej też zmartwiła nas wiadomość o jego odjeździe.

Jak wielką radość te słowa wywołały w sercu Lawinii! Błogosławiła ona tę kobietę, która w sposób tak delikatny rozproszyła jej zazdrośne podejrzenia.

Lawinia rozstała się z panią Rhenmann ściskając przyjaźnie jej dłonie, a ostatnie jej słowa były:— Jestem pewną że się jeszcze zobaczymy.

Nie chciała jednakże powtórzyć swych odwiedzin, nie wiedząc jak to osądzi Herman. Czas mijał i zbliżał się koniec czerwca. Nadszedł wreszcie dzień oznaczony na przybycie Rudolfa, a Lawinia czuła się w tym dniu osłabioną i smutną. Zdawało się jej że nie miała prawa przyjmować swych przyjaciół w Rosenbergu, który należało jej uważać jako cudzą własność. A jednak pułkownik sam przesłał Rudolfowi zaproszenie; przyjmując więc go, spełniała życzenie męża. Pomimo tej myśli, pomimo radości z widzenia brata, była zmuszoną wstrzymać łzy swoje w chwili kiedy usłyszała turkot powozu; otarła oczy i zeszła po schodach wolnym krokiem dla przyjęcia swych gości.

XXI.

— Lawinio, moja droga Lawinio, jestem w zachwyceniu, w uniesieniu! Jakiż to czarodziejski zamek; ale przynajmniej że byłam blizką omdlenia przejeżdżając te przerażające góry jakie go otaczają. Ach! Rudolfie, Rudolfie, nie skacz tak szalenie! potraciłeś mego aniołka. Boże mój, oberwał plisę u mojej sukni. Skończ już twoje powitania i uściski,

a pomóż mi wysiąść. Rudolfe, czyś ty głuchoniemy? O mój Boże, on zmysły postradał!

Głos Julii, jej rozkazujący ton, jej kwitnące lica, dostatecznie przekonywały że choroba nie pozostawiła innego śladu oprócz kaprysów.

— Przebac mi mój aniele.

I raz jeszcze przycisnąwszy Lawinią do swego serca, pobiegł wysadzić swą żonę z powozu: Lawinia zbliżyła się także.

— Oddaj mi twoją dziecinę—rzekła uprzejmie—łatwiej ci będzie wysiąść.

— O! moja dobra Lawinio, nie rozłączam się z moim aniołkiem ani na chwilę, tobie jednak powierzę go. Na miłość boską nie przyciskaj go tak mocno: prawda jaki on duży i piękny? ale taki ciężki, że niosząc go upadam z umęczenia.

— Czy piastunka nie mogłaby go trzymać przez chwilkę?—zapytała Lawinia.

— Moja droga siostró—zawołała młoda kobieta porwijąc swego synka z rąk Lawinii—widać że nie jesteś matką: piastunka bardzo mało zajmuje się moim aniołkiem, bo czyż tak mile obowiązki mogą matce wydawać się uciążliwemi? Ale Zofio, gdzie jesteś, ciągle biegasz, weźże malutkiego i przejdź się z nim po przedpokoju, żeby ochłódł troszkę. O mój Boże! jaki on gorący; ale nie schylaj go tak; podnieś mu główkę: czy nie wiesz że krew może mu na mózg uderzyć? Mój Boże jak też ludzie nic nie rozumieją!

Lekki uśmiech przebiegł po ustach Lawinii, a lubo był słodki i wdzięczny, mieściła się w nim ironia.

Julia nie spostrzegła tego, bo chociaż mówiła że ani na chwilę nie powierzała obcym rąkom starań około swego dziecka, biegła po wszystkich stronach dla zaspokojenia swjej ciekawości; Rudolf jednak w wyrazie tego uśmiechu uchwycił myśl swjej siostry, i zbliżając się do niej, przemówił spiesznie:

— Nie bądź tak niesprawiedliwą, moja droga; upewniam cię że Julia jest taką jaką się okazuje, i jaką być powinna, i tkliwą żoną i niezmordowaną w swjej troskliwości matką.

— Dzięki Bogu!—wyrzekła Lawinia i pośpieszyła do Julii.

— Nie dziwię się teraz że tak lubisz dom twój—zawołała żona Rudolfa—jestem nim zachwycona! jaka świetność! jaki gust! jaki zbytek! Ale umieram z ciekawości, czy oswoiłeś twego niedźwiedzia i jak dopełniłeś jego edukacji.

— A nie chcesz wiedzieć jak pokierował moją?

— Twoją! Dzięki Bogu, była ona wykończoną zanim weszłaś w związki małżeńskie, i nie wierzyłabym własnym oczom, gdybym widziała ciebie wracającą do szkoły.

— Czy sądzisz moja dobra Julio, że nasza edukacja kończy się z dniem ślubu? Nie wiesz, że ona od tego niemal dnia rozpoczyna się: rozpoczyna poważna i święta.

— Ciszéj! ciszéj! jakie to szczęście że Rudolf nieobecny jest twój mowie, twoje straszne zasady przewróciłyby mu w głowie: utrzymywać że wychowanie żon należy do ich mężów.

— Nie wyłącznie mężowie, ale małżeństwo rozwija nasze pojęcia, uczucia; jest ono tak ofite w nauki, że przy dobrej woli i uwadze, w krótkim czasie nabywamy potrzebnego doświadczenia.

— A ja—wyrzekła Julia z głośnym śmiechem—nie sobie nie robię z doświadczenia, które mi nie sprawia przyjemności. Użytku z niego także nie widzę, i przekonam ciebie, że można się bez niego obejść!

— Ja zaś sądziłam żeś już dotąd nabyła je, bo Rudolf mówił mi iż jesteś najlepszą żoną i najtkliwszą matką.

— Jestem nią dlatego, że znajduję w tém przyjemność; kocham Rudolfa, kocham naszego małego aniołka, poświęcam się z zadowoleniem moim obowiązkom; ale to pochodzi z mego dobrego serca, ale nie z wyrozumowania: spełniając moją powinność czynię zadosyć jedynie mojemu życzeniu.

— Może byłoby tak lepiéj, ale tylko przy zupełném przekonaniu, że te prawe życzenia i dobre chęci, nigdy cię nie odstąpią. Gdybyś jednak kiedykolwiek mniej kochała Rudolfa, czy przestałabyś wypełniać twe obowiązki?

— O jakże straszne posądzenie, jakąż szkaradną wyobrażasz we mnie istotę! Chcesz więc żebym mogła na chwilę pomyśleć o słabszém do Rudolfa przywiązaniu? Czy nie czytałaś we wszystkich dziełach, że czysta i prawa miłość jest

wieczną? Nie mogę więc przestać kochać Rudolfa, tak jak on nie może żądać ażebym była jego niewolnicą, tak jak może inni mężowie od żon swych wymagają.

— Moja kochana Julio! niewolnica wyraz przestarzały, dzisiaj już nie używany. Niewolnicy był to rodzaj bydła jucznego, które pod batem swego pana szło tam, gdzie on im iść kazał; dla nas pozostała inna szkoła, trudniejsza i chwalebniejsza: trzeba nam nauczyć się odczytywać w spojrzeniu naszych mężów ich życzenia, ażeby więzy w których nas trzymają stały się lekkie, i niewidzialne jak nie jedwabna co nas wodzi nie krępując.

Podczas tych słów, Julia stała na środku pokoju, ale na ostatnie słowa swój bratowej, potrząsała śliczną główką z niecierpliwością pełną wdzięku, i zatykając uszy, oświadczyła że nie chce już słyszeć podobnie obrzydłej nauki.

— Ale nie słyszałaś wszystkiego co ci chciałam powiedzieć; gdybyś tylko poczekała dwie minuty, zakończenie mój przemowy wydałoby ci się przyjemniejsze.

— A więc! poświęcę jeszcze te dwie minuty: zobaczmy!

— Chciałam powiedzieć że ucząc siebie, nauczamy drugich, tak dalece, że owa nie jedwabna, te lekkie i niewidzialne więzy, są naprzemian w ich rękach i w naszych własnych; tym sposobem nie doznając oporu, prowadzimy ich czasem bardzo daleko od miejsca z którego wyszli.

— Ach! tak, to dobrze; ale co do mnie, nie poprzestałabym na téj ukrytej równości: chcę żeby Bóg i ludzie mogli widzieć że ja spełniam moją tylko wolę, i że nawet czasem narzucam ją drugim. Czy widział kto szczęśliwszych ludzi nademnie i Rudolfa?

— Może być że.... Ale nie, bo wyobrażać sobie że jesteśmy szczęśliwi, to jest to samo co być niemi.

— To jest najważniejsze i nie widzę przyczyny, dla czegooby inni nie uważali nas szczęśliwymi, kiedy my uznajemy się takimi; ale czy wiesz dlaczego Rudolf jest szczęśliwym?

— Przyznaje, że nie odgaduję innej przyczyny nad tę, że Rudolf widzi w tobie zbiór wszystkich doskonałości.

— Bynajmniej; nie zgadłaś: inna jest tego przyczyna.

— Jakaż więc?

— Powierzę ci tajemnicę, która ma wyższą wartość jak cały twój kurs o doświadczeniu i edukacyi małżeńskiej.

— Doprawdy?

— Rudolf jest najszcześliwszy z ludzi, bo nauczyłam go znosić wszystkie moje fantazy i kaprysy; i upewniam cię że czułby jakiś brak, gdyby mi się zdarzyło być spokojną, rozsądną, posłuszną, taką wreszcie jakimi się wiele kobiet nieświadomych prawdziwego szczęścia przedstawia. Kiedy tylko przestaje być kapryśną, Rudolf obawia się czy choroba lub smutek nie jest tego powodem; niepokoi się i ażeby mnie widzieć taką jaką mnie natura stworzyła, poruszyłby niebo i ziemię. Tym sposobem prowadzę go tam, gdzie chcę żeby przybył, i na co nigdy nie narzeka; jego szczęście spoczywa w mojem: oto mój cały system i radzę ci obrać taki.

— O! nie, nawet pilnie strzedz się tego będę.

— Czy mogę się zapytać dlaczego?

— Bo kiedy władza despotyczna trwa przez dłuższy przeciąg czasu, to rewolucya musi wybuchnąć. Najpierw prowadzi ona do rzeczypospolitój, ale wkrótce strona długo uciemiężona, przedsięwzięcie krok gwałtowny, niszczy formę rządu liberalnego i przywraca despotyzm, z tą jedynie różnicą, że natenczas on już całkowicie obejmuje ster rządów. I wtenczas dopiero poznajemy naszą niedorzeczność, że tak długo używaliśmy przymusu i dopuszczali się ucisku i okrucieństwa.

— Despotyzm, rzeczpospolita, krok gwałtowny, doprawdy moja droga bratowo, nie sądziłam że jesteś tak obznajmiona z nauką polityki: w każdym razie jesteś nieocenioną. Czy słyszysz Rudolfie—dodała zarzucając obie ręce na szyję męża swego, który natenczas wchodził—twoja siostra jest nieoceniona, i gdyby w mojej niedołącznej głowie mogła objawić się najmniejsza myśl rządów, zostałabym dziś nawróconą przez tę nową Krystynę.

Przez pierwsze ośm dni pobytu Julii w domu Lavinii wszystko ją zachwycało; piętnaście godzin w dniu nie wystarczały jej na ułożenie wszystkiego co znalazła w dwóch przeznaczonych dla siebie pokojach, gdzie po dwadzieścia razy zmieniała urządzenie; mianowicie kolebka była przedmiotem tych zachodów: raz za wiele słońca, to znowu przeciąg od

okna, lub drzwi, przeszkadzał ustawić ją na miejscu. Ale mimo tego zamieszania które ją czasem bawiło, oraz nudnych chwil na jakie zawsze uskarżała się, pozostało jój jeszcze dosyć czasu na bieganie po lasku, po łąkach i ścinanie kwiatów w oranżeryi, z których plotła wieńce.

Nakoniec zażądała mieć kozę dla swego dziecka, które jak mówiła, potrzebuje zapobieżenia piersiowej słabości i sama chciała zajmować się tą kozą, utrzymując że i to należy do obowiązków matki, a dla Rudolfa będzie malowniczy obraz widzieć ją klęczącą przed piękną kozą, z czarką w ręku.

Sielanka ta zwykle kończyła się na tém, że Julia wywracała czarkę, a koza uciekała; ale natenczas wszyscy uznawali ten epizod prześlicznym, zupełnie sielankowym, uroczym; potem biegła do pani Brunsberg wyszukując potrzebę zmiany potraw; skacząc wracała do Lawinii, od której znowu spiesźnie odchodziła aby usiąść obok sierżanta, wskazując mu jakie należałoby porobić zmiany w Rosenbergu.

Ciągle i naprzemian odbywała przechadzki pieszo, konno, w łódce, w powozie, czém wszystkich utrudzała, nawet powolnego Stacke, który zwykle strudzony po całodzienném zajęciu siadał obok swej przyjaciółki pani Brunsberg, narzekając, że ta mała kobieta miała postać djabełka, i że w jednej godzinie więcej dała rozkazów, jak Lawinia w ciągu całego miesiąca.

Ale po upływie pierwszego tygodnia i wyczerpawszy do dna wszystkie przyjemności, rozrywki, jednego poranku, Julia rzuciła się na kozetkę gdzie jój bratowa siedziała z książką w ręku, oświadczając jój że nie może pojąć jak przeżyje trzy czy cztery tygodnie, które ma jeszcze pozostać w tej okolicy dzikich, a wrywając książkę Lawinii, nalegała na nią ażeby jój dostarczyła jakich rozrywek.

— Spodziewajmy się, że ci panowie po swym powrocie, wymyślą nam jakie zabawy — rzekła Lawinia z uśmiechem.

— Ci panowie! — wymówiła Julia wstając z miejsca — czy oprócz twego nudnego małżonka, jeszcze kto inny przybędzie?

— Strzeż się tak niewłaściwego i kłamliwego wyrażenia, bo możesz być za nie zgromioną.

— O! jakże żałuję, że mam tak dobrą pamięć jakim on jest w istocie, bo inaczej, możebym dzieliła twoją opinią; ale kto jest ten towarzysz męża twego?

— Hrabia Adryan B., najlepszy przyjaciel Hermana; mówiłam ci o nim często.

— Przypominam sobie; ale nie mówiłaś mi nigdy, że miał tu przyjechać!

— Miała to być niespodzianka, którą zamierzyłam ofiarować ci przy pierwszym objawie twego znudzenia.

— Ty zawsze jesteś rozsądna, przewidująca, doskonała; ale powiedz mi jaki rodzaj człowieka ten hrabia Adryan? czy młody, piękny i rozumny, a mianowicie czy uprzejmy młodzieniec?

— W istocie, zdaje mi się że dotąd zajmował się tylko poezją; ale jest to człowiek wykształcony, pełen serca i dobrego smaku.

— Jak możesz utrzymywać że jest dobrego smaku, kiedy nie zajmuje się kobietami? Ale ponieważ nudzę się tu, postanowiłam zająć się jego nawróceniem; ustawię go w moje szeregi i każę mu broń przedemną prezentować.

— Jakiś powóz jedzie — krzyknęła Lawinia, a głos serca zawołał: — Byłżeby to on?

Nagły rumieniec okrył jęj lica i uczuła silne drżenie: rozłączyli się obojętnie, jakże się powitają? Kilka słów jakie otrzymała od niego, nic jęj nie mogły obiecywać; cóż więc teraz nastąpi nowego?

— Lawinio — rzekła Julia patrząc ze zdziwieniem na swą bratową — co ci jest? Czy przybycie Hermana wprowadza cię w ten stan?

Lawinia uśmiechnęła się i przybliżyła do okna. Jego to był powóz, on to był; uczucie jęj serca domagało się prędszego powitania: przebiegła salon jak strzała i spiesznie zeszła ze schodów.

XXII.

Powóz nie zatrzymał się jeszcze, kiedy Herman uradowany widząc swą żonę wybiegającą na jego spotkanie, otworzył drzwiczki powozu i wyskoczył na ganek. Wzrok obojga błyszczał radością, której już nie ukrywali, i zobo-

pólne zachwycenie sprowadziło rumieniec na ich lica. Zanim mieli czas pomyśleć o powstrzymaniu uczucia niebiańskiej radości, Herman objął kibić Lawinii i po raz pierwszy złożył na jej czole serdeczny pocałunek.

— Przebacz—rzekł pocichu i niemal tak pomieszany jak Lawinia, która schyliwszy głowę na jego ramię, nie miała siły podnieść ją—przebacz mi.

— Jakież oznaki czułości!—wyrzekła niecierpliwa Julia;—czyż na nas kolój nie przyjdzie?

— Bądź pobłażliwym dla naszej małej kapryśniczki, —szepnęła Lawinia wymykając się z objęć swego męża. On jej odpowiedział tym samym tonem:—wszystkie kaprysy świata nie mogłyby mnie dzisiaj znecierpliwzić.

Lawinia udała że nie słyszy słów tych, pośpieszyła powitać hrabiego Adryana, który jeszcze pozostał w powozie. W kilka chwil później, Lawinia przedstawiła swego gościa Julii, ale ta bezpośrednio osądziła go zanadto brzydkim ażeby zasłużył na starania jakie zamierzyła podjąć się około jego edukacji.

Przez ten czas Rudolf przyciągnął Hermana na balkon, który szedł wzdłuż wszystkich okien salonu.

— Rosenberg jest prawdziwym rajem, mój drogi bracie—przemówił z uśmiechem—teraz przyznaję że niczego nie brak mu do prawdziwego szczęścia.

Pułkownik zapłonił się, a z myślą o przyszłości przechodząc w przeszłość, użalał się przed samym sobą że przez przeciąg dziewięciu miesięcy tak mało użył szczęśliwych chwil, w tém mieszkaniu, gdzie dzisiaj przyjęto go tak serdecznie. I chcąc zniszczyć rozkoszne wrażenie jakiego doznał, mówił do siebie: wszystko to jest dziełem kaprysu, fantazyi dnia jednego, którą noc zmieni; jutro będzie ona inną, a w następnym dniu znowu w odmienną ukaże się postaci.

— Czy nie przeszkodzę?—zapytała Julia ukazując się we drzwiach balkonu.

— Prosimy—rzekł pułkownik chwytając z pośpiechem sposobność uniknięcia obszerniejszej z Rudolfem rozmowy—czy mogę przynieść krzesło?

— Dziękuję! ale proszę i o stołeczek pod nogi,

Mała trzpiotka zachwycona była sprowadzając niedźwiedzia do zmyślności psa uczonego; a pyszniąc się z praw gościa, usiłowała zmusić Hermana do wszystkich oznak grzeczności uprzejmego gospodarza, ale niedźwiedź zaprotestował temu.

— Dla tak niedoświadczonego w tego rodzaju przysługach, jak ja nim jestem, ofiarowanie krzesła jest dostatecznym; jedno przyniosę dla Lawinii, drugie dla pani.

— O! ja zajmę moje uprzywilejowane miejsce, na zielonej kozetce — rzekła Julia siadając na niej.

Pułkownik usiadł przy niej uśmiechając się.

— Jak widzę, wątpisz pani o tak spiesznym nawróceniu?

— W istocie szczerokość twoja nie obiecuje wiele, obawiam się że prędzej czy później natura weźmie górę; dziki nie łatwo dają się obłaskawić, a jeżeli zechcę obrać sobie jakiego *cavaliero servanto*, to wybór mój padnie na hrabiego Adryana.

— Bez obawy odwetu ze strony męża?

— O! bez żadnej obawy! ale zdaje mi się że hrabia nie jest usposobiony do przyjęcia łaski, jaką chcę go obdarzyć; lękam się ażeby trudy obozowe nie uczyniły go niezdolnym do ocenienia dostojności, jakim chcę go zaszczylić.

Pułkownik, który znał dobrze Adryana, zauważył rumieniec jaki przeszedł po jego licach, i przymus z jakim odpowiedział.

— Tak wysoko cenię zaszczyt jakim obdarza mnie wybór pani, że ażeby być jej posłusznym, oczekuję tylko jej rozkazów.

— Ale czyż nie mówiłem, że sprzeciwiam się wszelkiemu przeniewierzeniu się — rzekł Herman wesoło — a rozsądzać memi prawami, jest to rodzaj wiarołomstwa.

— O! to za nadto despotycznie — wyrzekła swawolna Julia — przeniewierzenie się żony nie może być policzone za rodzaj nieposłuszeństwa przeciwko rozkazom męża. Drogi Rudolfe, ty jesteś prawnikiem: powiedz nam, czy przyjąłbyś prośbę o uwzględnienie takiej zasady?

— Mogłoby to kiedyś nastąpić, ale dzisiaj obawa zbyt wielkiego z twój strony przekroczenia zmusza mnie do od-

rzucenia téj prośby, lubo znam ciebie jako nieposłuszną, ale wierną żonę.

— O! ty jesteś doskonałym, zachwycającym, cudownym mężem! Hermanie, bierz przykład z mego Rudolfa.

— Wielebym zapewne na tém skorzystał ale nieszczerze przyzwyczaiłem się więcej być wzorem dla drugih, jak ich naśladować; a ponieważ wiem że Lawinia nie jest tak wymagającą jak moja śliczna bratowa, biorę na siebie odwołanie hrabiego z urzędu, na który wyniósł go dzisiejszy wybór.

— Protestuję przeciw temu — wykrzyknął Adryan — i od despotycznego męża odwołuję się do pobłażającej żony.

— Czyż granice małżeńskiej władzy są tak obszerne, że pozwalają unieważnić wyrok pani Rozenberg?

— Lawinio, Lawinio, uważaj — wołała Julia grożąc jej swym małym paluszkim — Pamiętaj że od wydania wyroku do jakiego jesteś wezwana, zależy usamowolnienie naszej płci: broń ją po rycersku, i utwierdź naszą niezależność wobec téj drugiej płci chciwój władzy i tyraństwa.

— Ach mój Boże! — zawołała Lawinia — o wiele czuję się niższą od stanowiska jakie mi jest nadane, i wobec tak pięknej sprawy, jestem niegodnym obrońcą, przez przesąd świata poniżonym. Zły więc dam wam przykład oświadczając, że poddaję się sercem i duszą woli mego władcy i pana; ale urodzona w więzach, dla zerwania ich mam tylko ramiona niewolnika, nie szermierza. — A zatem wolę nosić te więzy jak rwać je bezsilnie; gdybym nawet mojem posłuszeństwem przeniwierzyć się miała dostojeństwu jakie mi zostało powierzone!

— O! renegatko! — zawołała Julia — a więc! lubo sama pozostałam, wypowiadam panowie, waszój despotycznej płci wojnę na śmierć, rzucam rękawicę; a wiem że w szrankach zostanę zwyciężcą: spróbuję sił moich i zmuszę was do błagania o przebaczenie i łaskę: słyszycie panowie?

I z zachwycającym dziecinnym gniewem rzuciła swą małą rękawiczkę pod nogi Hermana i Rudolf ją podniósł.

— Przyjmuje wyzwanie — rzekł śmiejąc się.

Ona odpowiedziała dumnie:

— A więc wojna!

XXIII.

Miesiąc ten będący takim postrachem dla Hermana, upłynął powierzchownie wesoły przez liczne rozrywki, ale w gruncie obudził tajemne niepokoje. Rzucił ziarno niezgody i podejrzeń. Trzeba było jednak utrzymać to życie czczych przyjemności; trzeba było ażeby w obec całego towarzystwa, każdy okazał się wesołym i żeby smutek osłonięty był uśmiechem; ale zdrowy rozsądek pani Brunsberg dobrze ją objaśnił, kiedy w pierwszych dniach obecności Julii w zamku, upewniała, że zły duch przybył nawiedzić Rosenberg. I tak się stało. W krótkim czasie to życie zapełnione rozrywkami wydało się Julii jednostajnem, pragnęła jakiego tragicznego wypadku, któryby zmienił ten tryb nagle; chciała wrażeń, zapamiętała nad tém przemyślała. Podczas bezsennych godzin, marzyła o tém bezustannie; a kiedy myślała o dziecinném wyzwaniu jakie rzuciła całej płci męzkiej, zapytywała siebie jak się utrzyma na tém stanowisku: nagła myśl oświeciła ją. „Cóż lepszego jak zaniepokoić podejrzeniami serce Rudolfa? Gdyby mógł stać się zazdrosnym—mówiła do siebie, podpierając małą rączką piękną główkę dla ułożenia owego świetnego planu; jakby to było zabawnie widzieć go dręczonego szaloną zazdrością! Tak, ale o kogo mógłby być zazdrosnym? o hrabiego.... O! on jest strasznie brzydki.... Tak, tak, mój kochany hrabiu, jesteś przerażająco brzydki. Wprawdzie mężczyźni nie wiedzą o tém, a wreszcie ja go wykształcę, wyuczę. Gdybym mogła zaniepokoić mego Rudolfa, gdybym go widziała należycie zazdrosnym, jaka przyjemność! Nastąpiłyby sceny, płacze, później pojednanie, i wtenczas odkryłabym mu ustawione przezemnie sidła, przyznałby, że jestem kochającą, wierną i cudowną kobietą, wszystko zaś skończyłoby się na śmiechach i.... ubawionoby się serdecznie!”

Plan raz ułożony, nie stawiał już żadnej przeszkody w wykonaniu; uprzedzające grzeczności okazywane hrabiemu, nudy objawione w obecności męża, nagłe pomieszanie kiedy wchodził Adryan, bezsenne noce, tłumione westchnienia, imię jego ciągle powtarzane we śnie, wszystko było próbowane i spełnione, co w końcu dostrzegł Rudolf a może i hra-

bia, bo dla uniknienia natarczywości Julii więcej jeszcze zbliżył się do Lawinii i powróciła dawniejsza między nimi zażyłość. Często chodził do jej gabinetu ażeby czytywać jakie niedokończone marzenia swęj dumającej wyobraźni, a młoda kobieta przyjmowała go życzliwie, lubiła bystrość dowcipu Adryana, powoli stawiała się sędzią, niemal kierownikiem jego utworów, a nie ostrzegało ją, że taki związek mógł się stać niebezpiecznym. Zbyt wiele było pokoju w jej sercu i niewinnęj czystości duszy, ażeby zaniepokoiło ją to braterstwo dwóch serc; pewna swojego które już nie należało do niej, jakże mogła myśleć, że kto inny poświęci dla niej gorące uczucie miłości, kiedy ona podobnem nie mogła odpowiedzieć? Ale ci którzy patrzą na tę zażyłość nie znając jej tajemnicy, ileż doznają niespokojnych myśli! ile zazdrosnych podejrzeń! ile pozorów które dla nich stają się przekonywającemi dowodami? Tego doznał Herman. Im więcej Lawinia czuła się owładnięta miłością, tém mniej unikała pozorów, co tém silniej niepokoiło pułkownika; w końcu mówił on do siebie, że to co u każdej innéj kobiety byłoby haniebnym dowodem wiarołomstwa, u niej było tylko swobodnym datkiem serca, które całkowicie do niej należało, i którego z tymczasowych więzów każdy dzień więcej oswobadzał. Lawinia mogła uzyskać rozgrzeszenie, ale on, czy mógł pocieszyć się, przyjąć cios ten z rezygnacją? Oskarżał Adryana, chciał w całym jego postępowaniu wynaleźć dowody pogwałcenia praw przyjaźni. Rozmyślał nad tém, jak hrabia w pierwszych dniach swego przybycia przez zbytęcną ostrożność, czy przeczcucie niebezpieczeństwa unikał Lawinii, poświęcając siebie na usługi Julii, ale powoli zwyciężony własném uniesieniem powrócił do Lawinii; odtąd pułkownik nieustannie śledził swego przyjaciela i czy skutkiem złudzenia wywołanego zazdrością, czy mylnych spostrzeżeń, zdawało mu się iż Adryan na widok Lawinii podlegał szczególniejszemu wzruszeniu.

Lubo Herman powtarzał sobie, że hrabia był człowiekiem honoru, i że gdyby czuł niebezpieczeństwo uciekłby przed nié, codziennie myśl mu przychodziła wyrzucenia go za drzwi jakby jakiego zdrajcę.

W téj chwili, mały chłopczyk przeszedł pod oknami salonu, ciągnąc za sobą karmiącą kozę, a Julia zawołała—ach!

mój Boże! zapomniałam o moim aniołku: przedewszystkiem trzeba być matką. Wyszła, a za nią Rudolf. Wkrótce potem hrabia Adryan udał się do swego pokoju; Lawinia i Herman zostali sami. Przez kilka chwil zachowali milczenie, Herman poszedł na balkon usunąć krzesła i zamykał okna salonu, Lawinia z roztargnieniem układała i zawijała haft, który przez czas rozmowy trzymała w ręku.

— Nie mogę opuścić ciebie Lawinio — rzekł nakoniec Herman, głosem w którym na nowo przebijała się gorycz i szyderstwo — nie mogę opuścić cię niedowiedziawszy się jakiej okoliczności zawdzięczam twoje dzisiejsze przyjęcie?

— Hermanie, ty mnie sądzisz być kapryśną — zapytała Lawinia uprzejmie?

— Chcę zapomnieć jak dotąd sądziłem: proszę ciebie tylko nie zasmucaj mnie więcej zmianami (przebacz mój szczeroci), których jedyną przyczyną jest kaprys lub niesprawiedliwość.

— Mam nadzieję, Hermanie, że na przyszłość uniknę tych wymówek i żałuję, że w przeszłości dałam ci do nich powód.

Dumna kobieta zatrzymała się na chwilę, jakby zdziwiona wyznaniem swęj słabości, ale miłość zwyciężyła tę wyniosłą duszę i mówiła dalej:

— Sądzę, że nie jestem ani kapryśną, ani niesprawiedliwą, ale okoliczności zmusiły mnie być taką. Przebacż Hermanie — odrzekła — nie mogę wytłumaczyć się, ale ponieważ jesteś tyle szlachetnym, że chcesz zapomnieć o przeszłości, nie wracajmy już do niej. Dla tego tylko wspomniałam o niej ażeby ci powiedzieć jak bardzo cierpiałam nad niedorzecznością obojętnego z méj strony przyjęcia, w chwili kiedy naprzeciw mnie przyjechałeś. Wierżaj mi, że szczerze tego żałowałam.

Na to wyznanie Lawinii rozkoszny uśmiech opromienił twarz Hermana.

— Żałowałaś Lawinio, a więc mogę ci teraz wyznać, że nigdy boleść tak głęboka nie udręczyła méj duszy, jak wtenczas kiedy dążąc do ciebie z całym zachwyceniem, ujrzałem radość moją zniszczoną oziębłością.

— Ale zemsta twoja była zbyt wielką, opuszczając mnie nazajutrz bez pożegnania, bez jednego słowa. Jakież było moje obudzenie, kiedy mi zwiastowano twój wyjazd.

Ręka młodej kobiety spoczywała na ramieniu pułkownika, ujął ją lekko i wlepiwszy w nią wzrok swój jakby dla uniknięcia jęj spojrzeń:

— Strzeż się — rzekł półgłosem — strzeż się, nie wiesz co czynisz mówiąc tak do mnie: kiedy słucham twojej mowy, głos twój czaruje mnie.

Lawinia cofnęła rękę.

— Mój kołhany Hermanie — przemówiła głosem, który rzeczywiście był czarującym — zapewne jesteś strudzony podróżą: nie zatrzymuję cię.

— A więc! do widzenia — rzekł Herman z westchnieniem — do jutra; śpij spokojnie — poszedł ku drzwiom, poczem nagle zwracając:

— Jak długo bawić będą nasi goście — zapytał?

— Jeszcze miesiąc, jeżeli życzysz sobie tego.

— Z całego serca, lubo zdaje mi się że wróciłem do moich lat dziecinnych.

— Mięj cierpliwość — rzekła Lawinia z uśmiechem. Potem widząc, że Herman nie wychodzi: — Słyszę nadchodzącą panią Brunsberg; mam jęj niektóre dać zlecenia: wybac, że cię opuszczę.

Herman spiesznie zwrócił do drzwi i kłaniając się z uśmiechem, opuścił szczęśliwą swą małżonkę.

Takie udręczenia drażniły humor pułkownika, a Lawinia stawiała się smutną i zamyśloną, lubo powierzchownie zachowała jednakowe obejście.

Rudolf tylko który miał prawo uskarżać się, usiłował wytłumaczyć przed samym sobą lekkomyślność, płochość Julii. Całą winę składał na wychowanie, powtarzając bezustannie, że nienależało obrażać tęg delikatnej natury, a obawiając się następstw, wstrzymywał się od skierowania jęj na właściwą drogę. Ale cierpiał w milczeniu i wkrótce rzeczy doszły do tego stopnia, że uczuł potrzebę przemówienia, bo Julia nie tylko jego, ale i syna swego zaniedbywała, przywiązując się chciwie do wszystkich rozrywek. Takie zupełne zapomnienie obowiązków, wymagało przynajmniej napomnienia i trzeba było wystąpić z niem, chociaż to było bardzo bolesnem dla łagodnej i pobożającej natury Rudolfa.

W gorący dzień lipcowy, pułkownik był zmuszonym wywalić się, i dopiero wieczorem spodziewany był z powro-

tem. Hrabia Adryan uskarżał się na ból głowy i nie opuszczał swego pokoju, a Lawinia była zajęta czytaniem w swym gabinecie. Julia w złym humorze od rana, który Rudolf napróżno starał się rozproszyć, położyła się na szesłagn.

— Czy życzysz sobie abym ci co czytał?— zapytał Rudolf.

— O! nie: ty bardzo źle czytasz; hrabia Adryan odstręcza od wszystkich lektorów i kto raz jeden słyszał go, nie może już słuchać nikogo.

— Tak, wiem, że wszystko co on robi jest doskonałym — odpowiedział Rudolf obrażony.

Ale usiłując żartować:

— Jednakże, w braku jego głosu...

— Nie wiem — rzekła Julia przerywając — dla czego mówisz zawsze o nim tak szczególnym tonem? Ale podaj mi tę książkę, chcę sama czytać.

— A więc nie chcesz żeby czytać głośno.

— Nie!

— Julio ty jesteś ...

— Dokończ, jaką jestem? — zapewne śpiącą, jak zwykle kiedy się nudzę.

— Czy chcesz żebym poszedł po naszego małego? Dawniej lubiłaś mieć go przy sobie.

— Dawniej! zdawałoby się że czynisz wymówki; nie znam człowieka więcej wymagającego. Dawniej! Czyż trzeba żebym się zamęczyła trzymając cały dzień na rękach tego dużego chłopca?

— Julio, bądź ostrożną! te niedorzeczności nie przystoją macierzyńskiej godności i czystości twego serca.

— Rudolfie, chciej odkryć mi natychmiast przyczynę twego niezadowolenia, i przyznaj że jesteś zazdrosnym o hrabiego.

Rudolf poblaskł.

— Nie — rzekł stanowczo — nie jestem nim, ale takie posądzenie jest więcej jak nierozważne!

— A dlaczego! jeżeli odgadnę prawdę? Czyż hrabia nie jest z liczby takich co mogą zaniepokoić mężów?

— Nie wiem, i mało mnie to zajmuje; ale, powtarzam ci Julio, takie domniemanie nie przystoi godności za-

mężnej kobiety, i nienależy igrać z rzeczą tak świętą jak małżeństwo.

— Rudolffie, zapominasz że mówisz do twój żony—za-wołała Julia z prześlicznie surową miną, ale w głębi uradowana widząc swego męża zatrwożonym.

— Wiem że mówię do rozpieszczonego dziecka, i że czas już naprowadzić je na drogę; nie wątpię o dobroci twojego serca, ale chcę żebyś się wyrzekła lekkomyślności. Nie przeciągaj tój niebezpiecznej gry z hrabią, jeżeli w niej nie chcesz utracić jego szacunku, a co jeszcze ważniejsze, szacunku twego męża.

— Rudolffie, ty nigdy nie przemawiałeś tak do mnie. O! mój Boże! on mnie już nie kocha! lepiej było umrzeć w czasie mój ciężkiej choroby, jak żyć wzgardzoną przez ciebie!

I młoda kobieta łkać zaczęła rozpaczliwie.

— Moja droga Julio! moja jedyna, co ty mówisz? Uspokój się, błagam cię, i przyrzeknij mi być więcej rozważną.

— Ale co mam czynić?

— Nie scigać tak hrabiego, częściej pozostawać ze mną, pozwolić mi nosić za sobą twój szal i kapelusz.

— O! nie myślisz o tem co mówisz! Wydawałoby się to jakbym go unikała uważając go niebezpiecznym; nie zmienię więc w niczem mego obejścia i to będzie najlepiej.

— Julio, cierpliwość moja ma swe granice.

— O! chciałabym wiedzieć jak daleko one idą.

— W niebezpieczną grę bawisz się: całe twoje szczęście może od niej zależeć.

— A więc, przyznaj żeś zazdrosny o hrabiego.

— Nie—odrzekł Rudolf—ale kiedy chcesz, wyznaję że mogę stać się zazdrosnym: spodziewam się że w takiej okoliczności moja Julia będzie wiedzieć co jej wskaże miłość i obowiązek.

Zwycięztwo zostało przy Julii, uspokoiła męża tysiącem pieszczot jakie zwykle czarowały Rudolffa: opromieniła jego oblicze pocałunkami i wesołością.

Podezas kiedy rozmowa toczyła się w pokoju Rudolffa, Lawinia ukończywszy korespondencją jaką ją zatrzymywała w jej gabinecie, zeszła do salonu i usiadła w oknie, które wychodziło na wielką aleję parku. Herman dopiero za kilka

godzin był spodziewany, a jednak to okno zdawało się Lawinii najprzyjemniejszém. Była już tam od półtorej godziny, kiedy wszedł Adryan.

— W samą rzecz, pani musisz mieć doskonałe oczy, kiedy umieściłaś się wprost słońca— rzekł z uśmiechem.

— Nigdy nie narzekałam na nie—odpowiedziała spokojnie młoda kobieta—wybrałam to okno ażeby widzieć mego męża wracającego.

— Ale mogłabyś pani jeszcze oszczędzić twe oczy na jaką godzinę, bo pułkownik nie wróci przed siódmą.

— O! czasem wyprzedza chwilę jaką mi oznaczył, i mam chęć zapytać się Rudolfa i Julii, czy nie chcieliby teraz kiedy największy upał już przeszedł, użyć przechadzki. Poszlibyśmy razem naprzeciw Hermana.

— W takim razie, chciałbym pani uważać dzisiaj jak piątą kołową u wozu.

— To jest jako zbyt wiele? Nie, nie przystaję na to. Na ból głowy nie ma nic zbawieniejszego jak ruch i rozrywka i jako doktor przepisuję panu pierwsze, a moja miłość własna pozwala mi mniemać że mogę panu ofiarować drugie, i dlategoż, zamiast być piątą kołową, zobowiążesz nas jak będziesz czwartą.

Hrabia uklonił się z uśmiechem, a Lawinia posłała swą garderobianą dowiedzieć się czy Rudolf z żoną będą jej towarzyszyć. W chwili kiedy garderobiana weszła do pokoju Julii, młoda kobieta ocierała łzy z oczu; odmówiła przechadzki, nie przeczuwała bowiem wielkiej przyjemności w spacerze gdzie hrabiego nie było, i gdzie zapewne Lawinia pytałaby ją o przyczynę jej smutku.

— Podziękuj twój pani— rzekła—jestem zbyt zmęczoną.

— Należało ci przyjąć ten projekt Julio—mówił Rudolf skoro garderobiana wyszła z pokoju—pragnę ażebyś jak najczęściej przebywała z Lawinią: mogłaby ona objaśnić ciębie w wielu przedmiotach, które ci są dotąd obce.

— Doprawdy?—zapytała Julia niecierpliwie.

— Tak sądząc: Lawinia jest spokojnego charakteru i widzi rzeczy bezstronnie.

— Bezstronnie! o zapewne! któż ci natenczas przeszkadza powierzyć jej twe niedorzeczne niepokoje i obrać ją za pośredniczkę pomiędzy nami?

— Nie chciałbym użyć tego; ale oddaj się w jej ręce, słuchaj jej rad: są to rady siostry i przyjaciółki.

— Wolę iść tylko za głosem sumienia: ono mi zawsze najlepsze podawało rady.

— Spodziewam się jednak, że moje także będą wysłuchane!

— Czyż miałbyś mi jakie udzielić?

— Tak jest, albo przedźję rozkaz!—wyrzekł Rudolf zniecierpliwiony wyzywającym tonem swęj żony.— Od czasu powrotu Hermana, ubiegło już trzy tygodnie, a lubo przyrzekliśmy pozostać tu jeszcze piętnaście dni, widzę się zmuszonym zmienić to postanowienie; i proszę cię przygotować wszystko, tak, ażebyśmy mogli opuścić Rosenberg na początku przyszłego tygodnia.

To mówiąc wyszedł z pokoju. Julia oniemiała z osłupienia: Rudolf rozkazywał! Rozkazywać... nie, to za wiele! Ta ubóstwiona kobieta, to pieszczone dziecko nie zniosłoby tego; pytała siebie czy trzeba było mieć napad nerwowy i zemścić, czy też nadeszła dla nięj chwila posłuszeństwa. Nie, jej dnie radości i władzy nie mogły przeminąć. Być posłuszną! jej panowanie znikłoby na zawsze. Ale może lepiej uczynić to ustępstwo na dzień jeden, dla odzyskania następnie przez łzy i pieszczoty, tęj władzy chwilowo z rąk jej odebranej.

Nie; byłyby to sposób zbyt pospolity: wysmiewała ona zawsze te kobiety które go używały. Nie podejściem chciała objąć władzę, ale głośnego pragnęła zwycięztwa.

Kiedy Julia rozmyślała nad sposobem wyjścia ze swęgo przykrego położenia, Rudolf zostawał w drugim pokoju niespokojny; nagle usłyszał lekkie kroki swęj żony: serce mu mocnięj забиło.

— O! moja luba! ja wiedziałem że ty powrócisz!

Julia weszła, ale zamiast rzucić się w objęcia męza, wzięła spieszenie kapelusz i rękawiczki. Rudolfa ogarnęło przeczucie: pobiegł do okna i ujrzał Lawinią idącą z hrabią przez wielką aleę.

— Co robisz? gdzie idziesz? zawołał.

— Do twojęj siostry: sam tego żądałeś.

— Tak, ale myślałem, że jest samą; wszak nie ponizysz się do tego stopnia, ażeby wszędzie śledzić tego człowieka?

— Śmieszném byłoby doprawdy, gdybym z przyczyny twój szalonej zazdrości, prowadziła życie klasztorne—i zbliżyła się ku drzwiom.

— Nie wyjdiesz, zabranian ci—wyrzekł oburzony Rudolf i wyrwijając z jej rąk kapelusz, rzucił go na łóżko, drzwi zamknął na klucz i wyszedł.

XXIV.

Zaledwie kwadrans upłynął, jak Lawinia z hrabią opuścili zamek, kiedy ujrzeli powóz Hermana; lubo w oddaleniu, pułkownik poznał Lawinią i Adryana, i tym samym rzutem oka dojrzał, że ani Rudolf, ani Julia nie towarzyszyli im.

— Dziwna rzecz! pomyślał, wiedzieli że tak wczesnie nie powrócę, dlaczego są razem? dlaczego niema z nimi Julii i Rudolfa? I natarczywe myśli nasuwały mu się znowu, a pamięć jego przedstawiła mu tę przeszłość, kiedy uważał ich tak do siebie zbliżonemi. Że Adryan kochał Lawinią, o tem nie mógł wątpić. Ale ona! ona!

— O! przekleństwo, przekleństwo — wołał! i z wściekłością popędzał konie, które nie biegły, ale szalenie pędziły.

Śliczny spacer w istocie, ten piękny las, to ukryte miejsce! Do kata! na cóż ja tak pędzę te biedne zwierzęta; zdawałoby się, że pilno mi wracać do domu; dobrze im tam jest bezemnie.

I czoło jego pobladło, a oko iskrzyło się widząc hrabiego podającego rękę młodej kobiecie, ażeby podnieść ją z wzgórką na jakim obok niego siedziała.

— Dzień dobry, Hermanie — wołała radośnie Lawinia witając go spojrzeniem i ręką—pędziłeś tak szybko jakby od biegu koni zależało twoje życie! Sądziłam, że przejeździesz, nie widząc nas nawet. Ale jak ci gorąco! szczęściem że jestem przezorną; przechodząc koło ogrodu zerwałam te owoce—i wyciągnęła ku niemu swe piękne białe rączki.

— Tak, tak jesteś uosobieniem przezorności—rzekł pułkownik z gorzkim uśmiechem, a wzrok jego szukał na przemian Adryana i owoców jakie mu Lawinia podawała. Rzucił leżące służącemu i zeskakując na ziemię, kazał furmanowi jechać dalej.

Lawinia stała zdumiona, zamiast wzroku jaśniejącego szczęściem jaki spodziewała się ujrzeć, widziała groźne spojrzenie: serce jęj ścisnęło się na chwilę, ale ze smutku nie z gniewu. Musiało mu się coś wydarzyć, pomyślała, ma jakiś powód do zmartwienia: wróciła do swęj wesołości i swobody jakby chciała dać mu do zrozumienia, że nie pragnie użyć odwetu i że mu przebacza. Hrabia który nie otrzymał żadnego znaku na swe powitanie, skinieniem nie zaspokoił się; widoczne niezadowolenie przebijało w tonie jakim wyrzekł:

— Pani Rosenberg jest nieocenioną w staraniach jakie podejmuje uprzedzając potrzeby swego męża.

Lawinia była zasmucona pochmurną postacią hrabiego, ale smutek przeszedł w trwogę, kiedy ujrzała wrażenie jakie wywarły na Hermanie słowa hrabiego. Gniew zmienił jego rysy, zatrzymał się nagle i podniósł powoli głowę; lecz skutkiem gwałtownej walki jaką odbył z samym sobą, zamilczał i szedł dalej. Lawinia czuła ile go kosztowało pokromienie gwałtownej natury, i chcąc mu okazać swą wdzięczność wzięła go pod rękę z ujmującym wdziękiem, zwracając ku niemu twarz swoją, którą uśmiech opromieniał.

— Rozenberg i wszystko co w nim zamieszkuje, niepodobnem jest do siebie, kiedy ich pan jest nieobecnym — przemówiła pieszczotliwym głosem.

Powiedziećby można, że ten dźwięczny głos zakłął wszystkie nieprzyjemne uczucia jakie niepokoiły serce Hermana, nachylił się bowiem z zachwyceniem do swęj żony.

— Dla mnie, wiedzieć że jedna tylko osoba oczekiwala i pragnęła mego powrotu, jest to więcej aniżeli mogłem się spodziewać.

— A gdyby nie znalazła się taka? — rzekła młoda kobieta żartobliwie — nikt nie byłby świadkiem przykrego zawodu jakiego doznałeś w twych interesach.

— W moich interesach — zapytał zdziwiony pułkownik? — jakto, czy uważasz mnie Lawinio, za jednego z tych niedołącznych ludzi, którzy składają na drugich przykrość doznanego zawodu? O! nie, pod najokrutniejszym naciskiem materyalnych niepowodzeń, potrafię zachować pogodne czoło; wreszcie moje interesa idą bardzo pomyślnie, a to co mnie zasmuciło była to tylko myśl przechodnia, która już znikła:

rozpierzchła się ona przed twojem dobroczynnem technieniem, bo ty Lawinio jesteś pełną miłosierdzia. Gdybyś nie była taką, moje serce które tak często buntuje się, może oziębiłoby twą duszę i oboje byłibyśmy nieszczęśliwi; ale ty zakłękaś burzę: nie wiem jak to czynisz? Wiem tylko, że jednem słowem, jednem technieniem rozpraszasz chmury i niebo rozjaśnia się.

— Twoje to dzieło: czy nie przypominasz sobie jaką mi dałeś naukę na cmentarzu, w dniu kiedy przybyłam do Rosenberga?

— Gdybym ciebie znał pierwój tak dobrze, jak znam teraz, wiele słów nie byłoby nigdy wymówionych: byłyby one zbyteczne.

— Dziś więc — rzekła Lawinia zniżając głos i rzucając spojrzenie na drugą stronę drogi gdzie hrabia szedł dumając — dziś pozwoliłbyś twój żonie uczynić jedną uwagę, gdyby dostrzegła, że pod pewnym względem zblądziła.

— Dlaczego nie? — odpowiedział Herman, zapłoniwszy się lekko na wspomnienie tego co niegdyś powiedział: że nie mógłby znieść niczyich uwag, mianowicie uwag swej żony. Pobląająca i światła kobieta, może wszystko co chce, bo ona tylko dobrego pragnie. — Lawinio w czemże poblądziłem?

— Obraziłeś hrabiego, zasmuciłeś go i nie przemówiłeś ani jednego słowa.

— Czyż niedosyć że milczę, słysząc jego niegrzeczną przymówkę?

— Nie rozumiem, ale hrabia jest twoim gościem, twoim przyjacielem, a przytém wymagającym; nie mam innych dowodzeń mój Hermanie, oprócz tego, że zrobisz mi przyjemność zbliżając się do hrabiego.

Pułkownik westchnął, a Lawinia która nie znała wszystkich jego udręczeń, nie umiała wytłumaczyć sobie ani jego wahania się, ani walki jego serca. Nakoniec przeszedł drogę i rzekł z udaną uprzejmością:

— Wybacz mi mój przyjacielu; rozmawiając z żoną, zapomniałem się, i ciebie zaniedbałem.

Adryan zatrzymał się, podniósł na pułkownika wzrok głęboki i łagodny: Herman dostrzegł w nim ślady smutku i przyszła mu na pamięć dwudziestoletnia przyjaźń, którą

jego podejrzenia znieważały. Hrabia rzekł z całą serdecznością:

— Rozmawiaj z Lawinią mój przyjacielu, ja was wyprzedzę, ażeby wypić filiżankę herbaty, którą przygotowała dla mnie pani Brunsberg, a od której odstąpiłem dla towarzyszenia twój żonie. Nie zdrów jestem; do widzenia!—i lekko kłaniając się, oddalił się. Herman przybliżył się do Lawinii.

— Czy jesteś zadowolniona?

— I zadowolniona i wdzięczna i dumna, Hermanie! Dumna, widząc że moje rady mogą czasem mieć wpływ nad tobą.

— O! one są wszechwładne Lawinio; od niejakiego czasu, jestem tyle szczęśliwym, że roztropna i życzliwa dłoń kieruje mnie ku dobremu; burzliwy niepokój duszy ucisza się pod tym dobroczynnym wpływem i dziękuję ci żeś przyjęła tak szlachetną rolę: dziękuję ci i błogosławię.

Lawinia nie odpowiedziała, czuła się zbyt wzruszoną tym pokornym wyznaniem człowieka niegdyś tak dumnego; umilkła i szła obok niego aż do bramy zamku.

— Co to jest? — zapytała Lawinia widząc panią Brunsberg wybiegającą naprzeciw siebie.

— Dzięki Bogu, że pani wraca! — zawołała klucznica. Od chwili jak pani wyszła nie wiemy co począć. Brat pani chodzi jak szalony, jego żona zemdląła i zaledwie w godzinę wróciła do przytomności.

Lawinia opuściła ramię Hermana i pobiegła do pokoju swój bratowej: Julia leżała na kanapie, a Rudolf klęcząc przy jej nogach, skrapiał jej twarz octem, wodą kolońską, wodą kamforową, nie mogąc wstrzymać łkań i nerwowych napadów jakie nią wstrząsały.

— Co to jest? na miłość Boga — zapytała Lawinia.

O! — zawołała Julia, — głowa moja jak w ogniu; serce mi pęka: umieram!

— O! przebacz mi, przebacz, moja ubóstwiana Julio, bo nie mogę sobie darować, że ja jestem powodem twój choroby.

— Ty! — zawołała Lawinia — ale cóż to jest?

— Cóż ci odpowiem? rozmawiałem z Julią o pewnej małej niedorzeczności.

— O niedorzeczności!... o fałszywy i złośliwy człowieka; powiedz istotną prawdę, powiedz, że twoja szalona zazdrość i dzika gwałtowność śmierć mi zadały!

— Droga Julio!—rzekła Lawinia z powagą—pozwól zwrócić twą uwagę, że służba jest w przyległym pokoju, i że nie wypada ażeby ciebie słyszano.

— Tak, a tobie wypada mówić; tobie, która przeistoczyłaś mego Rudolfa, na zazdrosną, gwałtowną i samowładną istotę; tobie, która bezustannie uniżasz się przed twym mężem, i chcesz cały świat przekonać, że kobiety przeznaczone tylko na to, aby usługiwać mężczyznom i słuchać ich rozkazów.

— O! przebacz jej—zawołał niespokojny Rudolf—moja dobra Lawinio; ona jest chora i nie wie co mówi.

— O!—mówiła łkając Julia—wiem dobrze co mówię, i wiem także że Rosenberg jest przeklętym miejscem które już jedną biedną młodą kobietę pozbawiło życia: wszyscy o tém wiedzą i ja także umrę tutaj.

— Zamilcz, na miłość Boga!—wyrzekła Lawinia—słyszę nadchodzącego Hermana.

— A cóż mnie to obchodzi! myślisz że się go obawiam, ja? nie pozwolę czynić sobie żadnych uwag.

— Muszę wyjść na chwilę—szepnęła Lawinia do swego brata.

A on odpowiedział wzdychając:

— Bogu tylko wiadomo jak się to wszystko skończy.

— O! cały świat może to przewidzieć—rzekła Lawinia z uśmiechem trochę złośliwym—do jutra wszystko przejdzie, i Julia będzie tak śmiejąca, tak żartobliwa jak przedtém.

To rzekłszy wyszła do salonu.

XXV.

Przepowiednia Lawinii urzeczywistniła się w zupełności.

Nazajutrz Julia w godzinie śniadania ukazała się tak świeża, tak wesoła jak nigdy. Uprzedzającą była dla swego męża, przyrządzała dla niego papierosy, przechadzała się przez dwie godzin ze swym aniołkiem, i prawdziwie po macierzyńsku opiekowała się nim. Siedziała przy Rudolfe,

nie zwracając uwagi na hrabiego, a biedny Rudolf pozwolił zwieść siebie temi pozorami; przyjął rolę zasługującego za grzechy, i rzekł do swej żony składając tklivy pocałunek na jej ustach:

— Ty jesteś aniołem, a ja potworem że mogłem tak dręczyć ciebie.

Julia tak samo osądziła i powtarzała z przerażeniem, że tego pamiętnego dla niej wieczora obawiała się pomieszanania zmysłów; w istocie, bardzo była przeleknięta i myślała jedynie o sposobie zemśczenia się. To co dotąd było tylko przedmiotem rozrywek i żartów, obecnie zostało obrane jako środek odwetu. Dwa dni jeszcze Julia odgrywała rolę przykładnej żony i matki. Nadszedł dzień trzeci. Julia spała dłużej jak zwykle, i wtenczas kiedy spoczywając udawała że jest we śnie, czy też w istocie nie obudziła się jeszcze, Rudolf blady i z wyrazem rozpaczony na twarzy, przebiegał pokój z gwałtownym wzruszeniem: przybliżył się nakoniec do łóżka i dotknął ręką czoła swej żony. Obudziła się.

— Dzień dobry Rudolfie—rzekła wyciągając do niego rękę.

Rudolf patrzył na nią wlepionym wzrokiem, nie czyniąc żadnego poruszenia.

— Co ci jest?—zapytała go z doskonale udaną niespokojnością.

— Nic!

— Ach! czyż trzeba żebym jeszcze dziś cierpiała? Czy jeszcze dotąd jesteś zagniewany? a jednak, Rudolfie, gdybyś.... gdybyś wiedział ile kosztuje mnie ta pozorna wesołość, ulitowałbyś się.—Zatrzymała się jakby chciała przytłumić oznaki nieprzewycięzonego smutku.

— Wiem o tém — odpowiedział z goryczą.

— Wiész o tém!—powtórzyła z równie udanym niepokojem.

— Tak, Julio, tej nocy zdradziłaś się, i odkryłaś mimowolnie to, co przeczuwałem oddawna. W chwili kiedy sądziłaś mnie śpiącym, słyszałem cię płaczącą i wymówiłaś imię którego nie powtórzę, ażeby nie ujrzyć ciebie zapłonią.

Julia głowę swą skryła w swe dłonie.

— O! co czynisz?—wykrzyknął. Czyż już żadna nie pozostaje nadzieja? Mów więc na miłość Boga, mów prędzej!

Julia milczała, kryjąc ciągle swą głowę, patrząc na męża przez szpary palców, i śmiejąc się z jego rozpacz, a jednak, ta kobieta tyle go kochała ile mogła, i jak umiała kochać.

— Ale—odrzekł—to jest sen, niedorzeczność dziecka. O! tak jest, to sen który zniknie wkrótce, i będę cię uważać jak czyste i nieskażone dziecko. Julio, przyrzeknij mi schronić się w moich objęciach przed grożącym ci niebezpieczeństwem: pociesz mnie tą nadzieją!

— Wszystko jest nieprawdą, prócz tego, że jestem bardzo nieszczęśliwa.

Rozpacz Rudolfa zdawała się dosięgać ostatnich granic.

Widząc go w takim stanie, uczucie spokojnego współczucia ogarnęło Julię. Postanowiła zaniechać bolesnych prób swoich; ale chciała rozwinąć je w zupełności. W zburzonym umyśle Rudolfa, jedna tylko myśl gorzała, ażeby wyrwać Julię z Rosenbergu, tego miejsca pokusy; miał bowiem przekonanie że zwróci ją na drogę właściwą. Usiłował zachować pozór spokoju, tak jednak był wzruszony, że nie chciał zejść do salonu: tłumaczył się lekką słabością.

— Śmieszném byłoby zostawać tutaj nam obojgu—rzekła Julia wracając ze śniadania—a nasza nieobecność w salonie dałaby powód do posądzeń, których przedewszystkiem należy unikać. Wezmę moją robotkę i zejść zaraz.

— Jak ci się podoba—odpowiedział Rudolf—ale pamiętaj że nie tylko mój spokój, pomyślność całego mego życia, ale honor mój nawet trzymasz w twym ręku, a jakiegokolwiek są twoje uczucia, pamiętaj kim jesteś...

Julia zapłoniła się. Lubo lekkomyślna, użuła ważność słów tych, i przymus, który Rudolf zadał sobie wymawiając je spokojnie, ale kierowana złym duchem, zamilczała; przez kilka chwil jednak wahała się, weszła do gabinetu przyległego do jej pokoju, i wyszła z niego trzymając w ręku bukiet kwiatów: dwa razy schodziła, i dwa razy wracała jakby walcząc między dwoma przeciwnemi sobie

uczuciami. Rudolf zamyślił się. Tak przywykł odgadywać postępowanie Julii po jej ruchach, że niezwłocznie odgadł jej wewnętrzną walkę; wstał więc, i przemówił z pozorną spokojnością:

— Daj mi te kwiaty, Julio!

— Nie! o, nie!—wyrzekła spiesznie ukrywając bukiet w chustkę.

— Czy przeznaczony jest dla kogo?

— Dla nikogo: zostawiam go sobie.

— Wybacz że cię zatrzymuję, chcę widzieć te kwiaty. Uchwycił je, i ze środka bukietu wyrwał ukryty bilecik.

— I cóż? pani, co teraz powiesz?

Julia byłaby gwałtowną wyprawiła scenę, gdyby nie obawiała się zdradzić siebie wybuchem śmiechu: dla tego też udając przestrah, zakryła twarz swoją. Rudolf otworzył bilecik i przeczytał:

„O siódmój godzinie będę w namiocie. Julia.”

Ani jedno słowo nie wyszło z ust obrażonego męża. Jak człowiek pogrążony w śnie magnetycznym, zbliżył się do stołu, usiadł przy nim, napisał kilka wierszy, zapieczętował list i wyszedł.

O! doskonale! pomyślała Julia, zapewne wyzywa swego rywala. Nie, nie mogę wstrzymać się od śmiechu wyobrażając sobie jaką hrabia robi minę odbierając to wyzwanie. O! cóż to za dzień! rano dramat, w południe tragedia, a wieczorem komedia ze śpiewkami. Mój dobry kochany Rudolfie, tym razem wyleczysz się, upewniam z chęci czuwania nademną, widząc jak ci jestem wierną.. .. słyszę go nadchodzącego.

Rudolf wszedł, chciała się wysunąć, ale on wyjął klucz mówiąc obojętnie:

— Przez kilka godzin zechcesz pani poprzestać na mojem towarzystwie.

XXVI.

— Adryanie, zrzuć mi parę cygar, bo już nie mam moich — wołał pułkownik zatrzymując się przed oknem swego przyjaciela, którego sądził być w pokoju. Potém obraca-

jąc się ku swój żonie która miała mu towarzyszyć na przechadzkę — czy dym nie robi ci przykrości? — zapytał.

— Mnie! wcale nie — odpowiedziała z uśmiechem — ale pewnie hrabia jest nieobecny, bo nie odpowiada.

— Natenczas trzeba mi będzie wziąć samemu to, co chciałem uzyskać prośbę — rzekł Herman swobodnie wchodząc na ganek.

Pozostawał tak długo w pokoju hrabiego, że Lawinia zawracała do zamku, kiedy spostrzegła go na tarassie: był tak blady, jakby grom bóleści uderzył w niego.

— Hermanie, na miłość Boga, co ci jest? — zawołała Lawinia biegnąc ku niemu — co się stało?

— Co się stało? — powtórzył chwiejąc się i opierając o filar — nic się nie stało... I kończył uśmiechając się: tylko że cygar nie znalazłem.

— Zapewne hrabia chory?

— Uspokój się, hrabia jest zupełnie zdrow; tak sędzę, bo jest nieobecny.

— Ale dlaczego utrzymujesz że nic się nie stało, kiedy cała twoja postać zaprzecza twoim słowom? Czy widziałeś Rudolfa?

— Czyż nie mówiłaś mi sama że Rudolf jest cierpiący i nie chce nikogo przyjąć; schodząc ze schodów dostałem zawrotu głowy: otóż i wszystko.

— Jeżeli czujesz się słabym, wróćmy, i przechadzkę odłożmy na jutro.

— Nie, nie — wyrzekł z rodzajem uniesienia — pod żadnym pozorem nie chcę jęj odłożyć. Uchwycił ramię Lawinii, jakby chciał ją odciągnąć daleko od Rosenbergu. Szła za nim zmieszana, on zaś milczący i zadyszany. Nagle wyjął zegarek ażeby zobaczyć godzinę, Lawinia machinalnie zrobiła to samo: jęj zegarek wskazywał szóstą bez dziesięciu minut.

— Jaki śliczny wieczór! — rzekła.

— Tak, śliczny — powtórzył z tą samą błędną fizjonomią.

— Czy nie życzysz sobie płynąć łódką?

I prowadził ją ku rzece. Ona wyrwała swoje ramię zatrzymując się z uśmiechem.

— Nie mogę—przyrzekłam być w domu o szóstej godzinie.

— Dlaczego?

— Mam niektóre zlecenia dla pani Brunsberg: ona czeka na mnie.

— Niechaj czeka, a my wsiądźmy w łódkę.

— Doprawdy, nie mogę.

— Lawinio?

— I cóż!

— Nie powracaj teraz do Rosenbergu, proszę ciebie, zaklinam cię!—Lawinia wyrzekła pomieszana.

— Trzeba abym wróciła—nie zatrzymuj mnie—potem kończyła żartobliwie: Jutro będziemy używać tej przejażdżki tak długo jak zechcesz, ale teraz żegnaj cię! I pobiegła śmiejąc się.

Herman stał nieporuszony, w miejscu gdzie go Lawinia zostawiła; ale dreszcz go przeszedł i był zmuszony oprzeć się o drzewo: Lawinii nie przywołał, w strasznym niepokoju jakiego doznawał, czuł silną rozpacz, rozpacz przerażającą która zmysły jego wprawiała w obłąkanie i odejmowała mu siły; nadewszystko czuł szaloną miłość dla kobiety która go unikała, unikała zawsze; bo otóż co dostrzegł wchodząc do pokoju hrabiego. Biorąc z biurka kapciuch z tytuniem, odpieczętowany list wypadł z niego i podnosząc go, poznał pismo Lawinii; bolesny i przekonywający dowód słusznej jego trwogi zawierał te słowa:

„O szóstej godzinie będę w namiocie; przyrzekłam Hermanowi przejść się z nim, ale potrafię znaleźć wolną dla siebie chwilę i proszę być rozważnym: od tego zależy honor kobiety.”

„Lawinia.”

Jak to już wiadomo, Herman potrzebował długiego czasu na zwalczenie pierwszego wrażenia z uczynionego odkrycia, ażeby być w możności wrócenia do oczekującej go żony; teraz kiedy sam został, pierwszy szal ogarnął go na nowo: zachwiał się i upadł.

Ta gwałtowna i skłonna do wszystkich wrażeń dusza, przepełniona była boleścią, tą nieskończoną boleścią, która jak ból fizyczny wirowała w jego głowie, i wszystkie członki przejmowała dreszczem. Lawinia którą w pełnej czci swego serca nazywał aniołem czystości, którą umieścić tak wysoko na ołtarzu swego bóstwa, ona upadła!

— Lawinio! O! dlaczego nie wydarłaś mi serca! Ty, tak wyniosła, tak szlachetna, zeszaś do takiego upodlenia! Zostałem więc oszukany, zdradzony, o! biedny szaleńcze, kiedy przeżywałem o mój hańbie szedłem radośnie upojony marzeniem o szczęściu; i to szczęście, tyś mi je wydarła, ty coś mi je odkryła; ale nie będziesz używać rozkoszy z twój zdrady: przysięgam, chociażbyś miała zapłacić życiem.... Ja także umrę!

Podniósł się z straszną gwałtownością; godzina ich schadzki zbliżała się; pobiegł szalenie, włosy w nieładzie, potykał się o kamienie, potraçał o drzewa, deptał kwiaty. Bezrozumna to droga, gdzie jedna tylko myśl wypływała jasna i dotkliwa: *Lawinia!* Nakoniec dosięgnął namiotu; o wściekłości! zasłony spuszczone; zadyszany, zbliżył się do drzwi, cudowném wysileniem stłumił swój oddech i przysłuchiwał się: słyszał głosy, ich głosy! Położył zwolna rękę na klamce, ale drzwi były zasunięte: zastukał.

— Kto tam?—zapytał głos Lawinii.

— Ja! otwórz pan!

Nastąpiła chwila milczenia, potem ten sam głos odezwał się:

— Zaczekaj chwilkę, zaraz wyjdę.

Wstrząsnął drzwiami z szaloném uniesieniem.

— Otwórz albo drzwi wyłamię, i cały dom będzie świadkiem twego wstydu.

Drzwi upadły, Herman wszedł.... Przed nim stała Lawinia, blada i obrażona; za nią.... Rudolf. Pułkownik cofnął się przerażony.

— Co to wszystko ma znaczyć?—pierwsze były słowa jakie wyrzekł; a ponieważ milezeli, obracając się do Lawinii: Powiedz mi—zawołał—kiedy naznaczyłaś tę schadzkę bratu twemu, i na co to widzenie się?

— Kiedy?—odpowiedziała Lawinia wyniośle—dziś rano, bilecikiem jaki do niego pisałam, a na co? dowiesz się wkrótce.

— Czyż niegodny byłem wiedzieć jaki był w tém powód?

— Nie moja to była tajemnica; ale ponieważ chciałeś ją podejść, a nawet wytłumaczyłeś ją sobie w sposób mnie obrażający, list ten uniewinni mnie w twoich oczach.

Herman uchwycił z chciwością bilecik, który mu Lawinia podała, i czytał te wyrazy naprędce kreślone:

„Lawinio, moja ukochana siostró, przybądź dziś do pawilonu o szóstej wieczorem; odkryłem nieszczęście, w obec którego jestem bezsilny: Julia mnie zdradza, Julia kocha hrabiego Adryana; wyznaczyła mu na dziś wieczór tajemną schadzkę. Nie mów nic Hermanowi, lękam się wszelkiej gwałtowności, i sam chcę rozmówić się z hrabią.

„Rudolf”

List ten wypadł z rąk pułkownika; w najgłębszej rozpacz podnieść się do nadziei szczęścia, to nagłe przejście zwyciężyło na chwilę jego silny charakter: schylił głowę, wzrok jego szukał Rudolfa nad którego położeniem ubolewał tak, jak pogardzał Julią.

— Uzbrój się przeciw samemu sobie—mówił do niego smutnie—a nie przeciw hrabiemu, bo, na mój honor, on nie przyłożył ręki do téj zdrady, i przepowiadam ci że jakiegokolwiek dostał zaproszenie na tę występna schadzkę, to jęj nie przyjmie.

— Jak możesz wiedzieć o tém?—zapytał Rudolf.

— Gdzie miłość milczy, tam rozsądek i honor przemawia, a że Adryan nie może kochać Julii, nie spełni więc jęj życzeń.

— Ale zawsze dla mnie ona już stracona! odbiegło mnie szczęście całego mego życia, bo gdyby nawet Julia zapomniała hrabiego, zniesławione imię pozostanie na zawsze! O! Boże! ileż cierpię, wiedząc że przyszłość nie będzie nigdy podobną do przeszłości!

Kiedy to Rudolf mówił, pułkownik patrzył przez okno; nagle otworzył je, z daleka, w jednę z ulic ogrodu przechadzał się hrabia.

— Patrz—zawołał Herman.

Adryan szedł zamyślony, i z głową schyloną zawracał powoli do zamku; siódma wybiła, wszyscy zadrżeli, oprócz samotnie przechadzającego się hrabiego, który niezatrzymując się ani na chwilę, znikł pod arkadą bramy Rosenberga.

XXVII.

Rudolf jak tylko opuścił namiot, pobiegł do swego pokoju, tam bowiem była zagadka którą chciał rozwiązać; widział tylko jak przez mgłę, że na dnie tego wszystkiego odkryje bolesną dla siebie tajemnicę, ale chciał ją zgłębić. Otworzył drzwi, i wszedł do pokoju gdzie zamknął Julię. Leżała na kozetce, świeża i wesoła; na jej twarzy nie było śladu łez ani niespokojności, przeglądała ryciny mód, i bawiła się bukietem który Rudolf zostawił na stole; słysząc chód swego męża, przybrała postawę osoby która nie wie jeszcze jaką rolę ma odegrać i chce zbadać fizyognomią tego, co ma jej naznaczyć tę rolę.

— Julio — rzekł Rudolf — czekam tłumaczenia. Co możesz powiedzieć?

— Ja? a cóż mam mówić?

— Nie staraj się oszukiwać mnie; zrozumieję nakoniec, że dnie dzieciństwa przeszły bezpowrotnie. Co myślisz czy nie? hrabia Adryan wyśmiewa się w tej chwili z ciebie, lub pogardza tobą.

— Hrabia Adryan — zawołała Julia z wybuchem dzwicznego i wesołego śmiechu — a więc ty uwierzyłeś wszystkiemu!

O! mój kochany, szaleńcze, zazdrosny Rudolfie! O! wy rozumni mężowie, co w waszej przeczorności uważacie siebie tyle wyższymi od żon waszych, gdzież wasz rozsądek?

Przewyższyłam ciebie, mój Rudolfie, zaprowadziłam cię tam, gdzie chciałam; ażeby ci powiedzieć mój luby, że twoja Julia żartowała tylko chcąc ci potem bezustannie powtarzać, że jesteś najczuliej kochanym, i najszczęśliwszym z ludzi.

I głośny śmiech porwał ją na nowo; ale przerwała go nagle.

— Rudolfie, co ci jest? śmieć się ze mną razem! dla czego stoisz jak przykuty, jakbyś miał tak pozostać na wieki? Podaj mi rękę, mężu zazdrosny i zawiedziony w twych podejrzeniach. Hrabia nie otrzymał odemnie żadnego listu, nigdy do niego nie pisałam; jednego twego uśmiechu nie oddałabym za całą jego osobę; ale obudź się przecież: czy myśłą sięgasz do nieba?

— Dosyć tego—zawołał nagle Rudolf— milcz pani!

Julia cofnęła się; pierwszy raz w życiu swoim uczuła że wpływ jej znikał, i że Rudolf wyrywał się powoli, boleśnie, ale stanowczo z więzów w jakich go tak długo trzymała. Stał przed nią blady, zamyślony i poważny, odrzucając z słabego, ale szlachetnego serca, tę niegodną miłość, która je zapełniała; a Julia nie odgadywała tej wielkiej walki w której całe przeznaczenie Rudolfa było grą hazardowną: widząc go milczącym, sądziła go uspokojonym.

— Rudolfie—rzekła najponętniejszym głosem— jak możesz być tak surowym względem twój biednej Julii? Ty wiesz że wadą moją jest roztrzepanie, ale kocham ciebie całym sercem, i wszystko co uczyniłam było w myśli przekonania cię o mej miłości.

— Nie staraj się usprawiedliwiać Julio—rzekł z bolesną powagą—zrozumiałem wszystko: przez te kilka dni, lepiej ciebie poznałem, jak przez rok naszego małżeństwa. O! kobieto, występniejsza twoją zbrodniczą lekkomyślnością jak nieprawą, ale głęboką miłością! A więc igrałaś z moją boleścią, widziałas ją, a ponimo tego przedłużałaś swą bezbożną rolę; męczyłaś mnie znając moje cierpienia, i śmiałaś się z twego dzieła! Odtąd nie próbuj twych wpływów które dawniej były tak skuteczne: pogarda moja otworzyła otchłań jaka nas dzieli.

Julia wstała spiesźnie, zbliżyła się do niego; na słowa wyrzeczone przez niego, burzliwość wrodzona charakterowi obudziła się w niej; tupnęła małą nóżką ze złością wołając:

— Tyś w obłąkaniu, Rudolfie!

— Może być—rzekł, wracając nagle do zwykłej sobie łagodności—ale jakim jestem, tobie winienem: pamiętaj o tem. Obecnie żartujesz sobie, ale później, jak zobaczysz przechodzącego koło ciebie człowieka który został starcem, bezrozumnym, szalonym, bo zdradzonym przez to co najwięcej ukochał; kiedy wzrok obojętnych przechodniów śledzić go będzie z politowaniem, i widząc jego dzikie wejrzenie, mówić będą, biedny obłąkany! wtenczas nie będziesz pani żartować. Ale dlaczegoż oczekujesz na ten wybuch szaleństwa, które mnie ogarnia? Ty coś miała spełnić tak wielką zbrodnię, cóż ci na tem zależy czem obciążysz twoje sumienie? Nie, ty nie będziesz dłużej żartować, bo prześladować

cię będzie publiczna pogarda, ogólny wstręt, który przywiązuje się do wiarołomnej kobiety.

Posunął się ku oknu, ale zanim doszedł, brakło mu siły i to tkliwe serce, tak silnie rozpaczą zmęczone, rwało się; upadł więc na ziemię nie dając znaku życia.

Wieczór dnia tego grobowym był dla Rosenberga. W godzinie herbaty wszyscy mieszkańcy zamku, oprócz Rudolfa który nie mógł opuścić swego pokoju, byli zebrani; Herman niespokojny i dotąd w zadziwieniu, wahający się, nie wiedział jaką przybrać postawę w obec Lawinii, która obrażona i obojętna, nie mogła wytłumaczyć sobie sceny w namiocie. Hrabia także zdawał się być zamyślony i nie starał się przerwać milczenia jakie panowało przez czas śniadania; ale w chwili kiedy odeszli od stołu i Julia wyszła, hrabia obracając się do Lawinii rzekł do niej.

— Wypadkiem którego nie umiem sobie wytłumaczyć, list pani pisany do jej brata dostał się do rąk moich; upadł on przy mych nogach w chwili kiedy przechodziłem pod balkonem, i na próżno szukałem dziś pani aby go jej zwrócić.

Mówiąc te słowa, wręczył jej bilecik dostrzeżony przez Hermana w pokoju hrabiego.

Lawinia wyciągnęła rękę.

— A więc nie wątpiłeś pan ani na chwilę, że list ten pisany jest do mego brata—wymówiła powoli i podnosząc oczy na swego męża; spotkała się z jego wzrokiem, stała go wytrzymała: Herman zmuszony był spuścić oczy.

— Dziwaczny sposób w jaki otrzymałem list ten, zmusił mnie do otworzenia go—rzekł hrabia z uśmiechem—myślałem, że dla mnie przeznaczony i odczytałem go, lubo obecnie żałuję tego, bo pismo to było cokolwiek tajemnicze.

— Ale cóż pana przekonywało, że pismo to nie było do niego?—mówiła dalej Lawinia z wzrokiem ciągle wlepionym w Hermana—i dlaczego nie przybyłeś pan na schadzke jaką ono naznaczało?

Hrabia podniósł głowę ze zdziwieniem, rzucił raptowny rzut oka najprzód na Lawinię, później na Hermana: w jej obliczu widział niewzruszoną spokojność, a w pułkowniku żal błagający przebaczenia, i zrozumiał lubo nie wyraźnie, że coś zaszło między nimi.

— Ażeby korzystać z podobnej pomyłki—rzekł uśmiechając się—trzeba być zarozumiałcem, albo żebyś pani mniej była dumną.

— Dziękuję ci hrabio, że znasz mnie tak dobrze—rzekła z ujmującą swobodą, a obracając się do swego męża:

— Już teraz Hermanie wiesz o wszystkim, bo ci mówił Rudolf—wyrzekła, list mu oddając: Herman wziął go i rozdzierając powiedział półgłosem:

— Lawinio, zaklinam cię: przebaczenia!

Lawinia opuszczając salon, udała się do pokoju swego brata; kilka chwil zastanowienia dały jej pojąć, że list ten musiał być znaleziony przez jej męża w pokoju hrabiego, a pytania jemu zadawane miały na celu wskazanie Hermanowi, że powinien znać ją lepiej i nieposądzać; ale miłość Lawinii była tak wielką, że ta oznaka zazdrości jej męża nie osłabiła uczucia jej serca, miłość była w nim panującą, niepokojąc je myślami szczęścia, lub bolesną obawą, i kierując wszystkimi wrażeniami jakie przez to serce przechodziły. Jedynie pytanie zostało dla niej nie rozwiązane: jakim sposobem list jej doszedł do Adryana? jakim trafem okoliczności wysunął się z rąk Rudolfa aby wpaść w ręce hrabiego?

Lawinia wszedłszy do pokoju Rudolfa, znalazła go bladym i osłabionym; głęboka boleść, przekonanie o niegodnym postępowaniu Julii, w jednej chwili go złamało: Lawinia starała się przynieść mu ulgę, a kiedy mówiła:

— Miej odwagę, nie ma ciosu tak gwałtownego, z któregoby czas nie podźwignął! boleści którejby nie ukoił!—On odpowiedział przygnębiony.

— Może być, ale nie wrócą już rozkosze moje: znikły one na wieki! Byłem stworzony do ufności i miłości, a jedno i drugie zgasło już we mnie; jeżeli żyć będę, jakże to życie będzie smutne: zostawię jej wszystko czego żądać będzie, ale rozłączyć się musimy, dłużej już żyć tak nie mogę, oszalałbym, a potem, wszakże ty mi pozostajesz Lawinio!

Pochylił głowę, i łkając, oparł blade czoło na ramieniu siostry; ona je podniosła, odsunęła rozrzucone włosy i pocałowała jak tkliva matka całuje słabe dziecko, czując dobrze że najpiękniejsze marzenia szczęśliwego życia zamarły w nim na wieki. Opuściwszy Rudolfa, udała się do Julii,

która odzyskała dawną śmiałość, i na wyraz „rozłączenie” wymówiony przez Lawinią zawołała:

— O! nie powątpiewam o twój dobrej chęci pogodzenia nas; ale zwycięstwo nie jest jeszcze po twój stronie, i obrót rzeczy inny może wziąć kierunek.

— Julio, w chwili tak strasznego udręczenia, czy możesz mówić tak lekkomyślnie? Wierżaj mi, jeżeli pragniesz przebaczenia, to możesz je otrzymać jedynie przez żal szczerzy, gorące prośby i długie dowody poświęcenia.

— Doprawdy? nie myślę okryć się welonem zakonnicy. Czyż moja w tym wina, że żart tak niewinny obrócony został w scenę tragiczną?

— Żart, o Julio, czyż mogłaś patrzeć na tę łagodną naturę dręczoną najsroższą boleścią? czy mogłaś tak okrutną obrać sobie zabawkę? czyż w duszy twój nie się nie mieści, coby powstało przeciw tak niegodnemu postępowaniu? Im więcej o tym myślę, tym mniej mogę zrozumieć.

— O! dosyć już tej rozmowy—zawołała Julia—łatwo bardzo rzucać kamieniem, ale oszczędź mnie nudnego kazania; nie jestem usposobiona słuchać go, a przytem cała ta rzecz nikogo nieobchodzi prócz nas dwojga.

— A jednak inni nad tym cierpieć będą—mówiła Lawinia, jakby sama do siebie.

— Inni—powtórzyła Julia, z rodzajem lekkiej obojętności—ach! to prawda, możnaby powiedzieć, że tym obrażonym był twój mąż, tak zdawał się rozdąsany jakąś urojoną zniewagą; tajemnica bileciku już jest wyjaśnioną; tak sądzę.

— Jakiego bileciku?

— Tego, którym hrabia a nie Rudolf został przez ciebie zaproszonym na schadzkę w namiocie.

— Jakże hrabia dostał go—zawołała Lawinia?

— Jak? mój Boże, wiesz przecie, że Rudolf znalazłszy bilecik w moim bukietcie, sądził, że on był pisany do hrabiego; wtenczas myślałam, że żart ten zakończy się wyzwaniem Adryana, który nie upoważniony nigdy przezemnie do żadnej grzeczności, osłupiałby na to wyzwanie, i cała rzecz byłaby wyjaśnioną; ale z twojej odpowiedzi, którą znalazłam na stole, poznałam, że zamiast wyzwania, Rudolf napisał bilecik do ciebie, prosząc abys się udała do namiotu; spostrzegłszy,

że plan moj chybił, wzięłam list twój i kiedy hrabia przechodził, rzuciłam mu go pod nogi, sądziłam bowiem, że uda się na to zaproszenie, i że natenczas hrabia z Rudolfem spotkają się, i żart mój zostanie odkrytym; ale nie wiem jakim sposobem, wszystko inny obrót wzięło.

— Boże, mój Boże! — zawołała Lawinia — jakaż otechłań lekkomyślności! jakież szeregi podstępów i oszukaństwa! a więc nie lękałaś się ohydzić mnie w oczach hrabiego, nie czułaś ile krok taki byłby z mój strony bezwstydnym, że mnie upodla; ale hrabia poznał mnie lepiej, podejrzywał on podstęp i nie przyszedł na ową schadzke. — Julio, nie będę ci czynić wymówek, ale pomyśl, jak okrutnie dręczyłaś serce twego męża; krzywdy te wymagają wynagrodzenia: oby Bóg nie żądał od ciebie bolesniejszej pokuty.

XXVIII.

Dnia następnego cisza zaległa Rozenberg. Wszyscy goście rozjechali się, a nawet i Herman z Lawinią dom opuścili. Wbrew przepowiedniom wszystkich, Rudolf dotrwał w chęci rozłączenia, oboje braterstwo towarzyszyli mu do Sztokolmu; Julia po daremnych staraniach i tysiącu bezskutecznych prób, powróciła do swój matki, a Lawinia pragnęła podźwignąć biednego Rudolfa, który jeszcze pytał siebie czy to rozłączenie będzie stanowcze, czy tylko czasowe. Spodziewał się widzieć Julią żałującą, i mówił sobie, że jeżeli kilka miesięcy niezmordowanych jej usiłowań okupiłyby dawniejsze postępowanie i świadczyły o jej moralném wyleczeniu, natenczas mógłby pozwolić na powrót Julii, co spełniłoby najskrytsze ale najgorętsze życzenia jego serca. Słaba i kochająca rzewno natura jego, potrzebowała miłości, jedna chwila gniewu i urazy mogła zniewolić do zerwania więzów jakie go łączyły z najukochańszą istotą, ale nie mogła zniszczyć potrzeby téj miłości, powracał do niej myślą i uczuciem, bo pragnął tkliwego przywiązania. Szukał środków do poprawienia jej błędów i chciałby sam na siebie przyjąć pokutę, ażeby tylko Julię rozgrzeszyć i przycisnąć do swego serca. Lawinia nawet pragnęła widzieć ją godną przebaczenia; ale Julia niezdarna do smutku i cierpienia, powoli wróciła do dawnych nawyknień: w miarę jak dłu-

ga boleść powlekała coraz większą bladością oblicze Rudolfa, jęć lica przybierały promieniejącą świeżość. Salon Julii który na czas jakiś zamkniętym był dla całego świata, otworzył się dla kilku usługnych przyjaciółek, którym opowiadała swe zmartwienia. Po dwóch miesiącach Rudolf otrzymał list pisany tą ręką zawsze jeszcze ukochaną.

„Ponieważ zamkniętej od dwóch miesięcy w najostrzejszym zaciszu, oddanej zupełnej samotności, nie udzieliłeś ani jednego słowa pociechy; ponieważ nie przedstawiasz żadnej dla mnie nadziei i na me listy nie przesałeś ani słówka odpowiedzi; kiedy nie ciebie nie wzruszyło, prośby, błagania ani groźby śmierci, powiem ci panie: że nie chcę być dłużej niewolnicą, podległą kaprysom swego pana. Wysłuchaj wyznania które cię zadziwi: już nie kocham ciebie. Nie kocham, nie, nie jestem już tą płaczącą i błagającą i teraz, nie rozłączenia, ale rozvodu żądam; chcę być wolną, wolną jak najprędzej: gdybyś całe trzy dni płakał, i błagał dwa miesiące, nie ustąpię: chcę być swobodną. Czekam twój odpowiedzi“

„Julia.“

Dwadzieścia razy Rudolf brał pióro do ręki, i zawsze rzucał je, zbolały tym niespodzianym ciosem. Wreszcie odpisał:

„Niech i tak będzie: rozwiedzmy się, ponieważ tego żądasz! Niestety! nie tego spodziewałem się, kiedy przed rokiem wprowadzałem cię do domu, do którego już nie wrócisz. O! Julio żegnaj cię! żegnaj na wieki! Jeżeli wejdziesz w powtórne związki małżeńskie, co zapewne wkrótce nastąpi, zastanów się dobrze, i niechaj Bóg ciebie strzeże! Pomimo boleści jaką mi zadałaś, błagam niebo o twoje szczęście; dziecko moje kocham przez uczucie dla ciebie. Tak je opuścić! Julio! śmiertelny cios zadałaś memu sercu. Żegnaj cię“

„Rudolf.“

Kiedy skończył to pismo, które wyczerpało wszystkie jego siły, opuścił głowę na piersi i płakał, płakał jak dziecko, bo w głębi jego serca została miłość.

Dwa miesiące upłynęły, a rok małżeństwa tych dwóch par tak sobie różnych, zbliżał się ku końcowi. Zmienił wiele rzeczy, ale najsilniejszej zmianie uległo serce Lawinii; nie była to już ta smutna i dumna kobieta, którą szacunek zniewolił do tego związku. Dzisiaj była to kobieta uległa,

zwyciężona uczuciem jakie zapełniało jej serce i powoli rozbudzona do tej miłości tak długo odpychanć, przyjęła ją obecnie z gorącym zapalem. Zbadawszy charakter Hermana przyjęła na wieki ten związek, który pierwój uważała przechodnim. Serce jego, nigdy nie było tajemnicą dla tej kobiety, która czuwała nad wszystkimi uniesieniami poskramiając jego wybuchy. Co do Hermana, on kochał! Ognisty, mimo swój pozorniej obojętności charakter, uległ całkowicie wpływowi miłości. Zwyciężony, poznał swą porażkę, i przed kobietą która mu odkryła tajemnicę miłości, stawał kochający i pokorny.

Obecnie wiedzieli oboje że się już nie rozstaną, czuli swe serca związane najsilniejszymi węzły, ale z sobą jeszcze o tém nie mówili. Nieszczęście Rudolfa usprawiedliwiało to milczenie. Lawinia była w żałobie po ubiegłym szczęściu swego brata. Po upływie pierwszego miesiąca obejście jej zmieniło się nagle; w obecności Hermana nie była już spokojną i szczęśliwą: spojrzenie jego pokrywało piękne czoło młodej kobiety gorącym rumieńcem, powieki jej spadały jak zasłony, na płomieniejące źrenice, a ręka jej drżała. Zdrowie jej nawet ucierpiało i Herman żądał żeby ostatni miesiąc lata przeżyła u wód.

Z nią razem pojechał i teraz spokojny i ufający, patrzył z uśmiechem na uprzedzające grzeczności jakimi piękną Lawinię otaczano; zanadto czuł się szczęśliwym ażeby być zazdrosnym.

Było to 25 września. Lawinia i mąż jej w wigilią dnia tego opuścili wody w E... z powrotem do Rosenberga w drodze, zatrzymawszy się w jednym z hotelów, widzieli wschodzącą jutrzenkę tej rocznicy, oczekiwanej z gorączkową niecierpliwością. W rannych godzinach dnia tego, Lawinia pierwsza weszła do oddzielnej sali gdzie przyrządzano dla nich śniadanie: była bladą i potrzebowała użyć całej siły woli ażeby zwalczyć wewnętrzne wzruszenie. Wszedł Herman: on także był bladym! doszedłszy do tej stanowczej dla jego przeznaczenia godziny, zaczął powątpiewać o swój przyszłości, tém więcej, że Lawinia od niejakiego czasu była bardzo zmieniona, i w obec niego pomieszana. Dzisiaj dowie się o wszystkiém. Po spożytym śniadaniu, służba oddaliła się, i sami pozostali. Dziwna sprzeczność. Herman

był zmieszany tém sam na sam, milczał; on co tak pragnął mówić. Powoli jednak odwaga wróciła, i zbliżając się do okna dla uniknienia wzroku Lawinii, wyrzekł niepewnym głosem, jakby mówił do siebie:

— Dziwném jest szaleństwo człowieka, który zwykle w jednej chwili chce rozrządzić swém życiem, i wróży o swęj przyszłości. Któżby był przed rokiem powiedział, Lawinio, że rozum nasz był tylko obłędem zaślepionych umysłów, nasze przewidzenie nieświadomością zobopólną?... Lawinio moja najmilsza.... Zatrzymał się, ta nazwa wyrzeczona po raz pierwszy, wstrząsnęła jego sercem, i czuł wrażenie jakie ogarniało go; ale mówił dalej:

— Luba moja, jak mam sobie wyobrazić przeobrażenie któremu uległem? Widziałas jak to nowe życie jakie wlewałaś w mą duszę odradzało powoli moją istotę, ja co przed rokiem nie znałem miłości, tę świętość znieważałem; dzisiaj ta duma zwalczona. O! Lawinio, nie znam języka miłości, a to serce, tak długo zamknięte, nie mogło otwierając się nagle ułożyć usta nie do modlitwy, do jakiej ta miłość pobudza; ale powiedz mi, chcesz być moją żoną, mojem dobrem, mojem życiem, mojem wszystkim? Czy umiesz kochać tego, na którego pierwój z obrazą patrzałaś? Jeżeli nie,—Lawinio,—jedyne szczęście jakie ukazało mi bramy nieba, zniknie na zawsze.

Umilkł, ona podniosła wzrok swój zachwycony.

— A więc Hermanie, gdybym cię kochała, cofnąłbyś słowa wyrzeczone w dzień naszego ślubu?

— Posłuchaj Lawinio — i po raz pierwszy objął kibić młodej kobiety, przyciskając ją do swęj piersi, jak skarb długo pożądany:

— Posłuchaj, gdybym ciebie utracił, świat cały byłby dla mnie pustynią; utraciłem drogie dzieci, utraciłem ten dumny spokój mego serca, który w braku gorętszych rozkoszy bronił mnie od zawodów tego życia, a więc wołałbym zostać samotnym na tym świecie, jak przy mojem sercu płomieniejącem miłością, widzieć zimną i obojętną kobietę, która udziela mi jedynie przez litość to, czego pragnie gorące me dla niej uczucie.

— Lawinio!

Lawinia uśmiechnęła się; niewidzianym dotąd płomieniem zatliło jęj oko, i zatopiła wzrok swój w spojrzeniu

Hermana, nie unikała uścisku jakim ją okrywał, i przybliżyła usta swe do jego ucha.

— Wszystko co powiedziałeś, moje serce powtarza, moje serce woła o to! Ja także pragnę tak być kochaną jak sama kocham! Hermanie, wiem dobrze że nie oddałbyś swego uczucia kobiecie, nie wierząc w jej szlachetność i miłość, ale oprócz uczuć które przychodzą same przez się, są jeszcze inne o które można się upomnieć... Zatrzymała się.

— Upominaj się o wszystko czego żądasz—zawołał Herman—dla ciebie uczynię ofiarę z wszystkiego, wszystko mieć będziesz czego zapragniesz; ja zaś, tylko miłości twój żądam.

— A więc! mój Hermanie, usiądź i posłuchaj mnie.... spokojnie—rzekła z uśmiechem widząc zniecierpliwienie swego męża—usiądź przy mnie, mam ci uczynić jedno wyznanie.

— Ach! zamilcz o niem, Lawinio!—zawołał Herman blednąc. Jeszcze twój Ludwik! Ach! niechaj przeszłość zostanie na zawsze zagrzebaną. W głowie mi się mięsza na myśl, że zmarły czy żywy zajmuje, on jeszcze jakąś część twych wspomnień.

— O! nedorzeczny—zawołała młoda kobieta opierając swą głowę na piersi Hermana. O! gwałtowny i zazdrośny człowieku, czyż nigdy nie zmienisz się? Ludwik! co mi o nim chcesz mówić? Jest to wspomnienie na wieki znikłe, myśl, imię, które nie już nie obudza w tém sercu całkowicie należącém do ciebie! Ale chcę ci powiedzieć... O! Hermanie, muszę upokorzyć się przed tobą, gardzę zazdrością a jednak ja także poznałam to uczucie, byłam jego ofiarą, trzy razy opanowało mnie ono, aż do zapomnienia własnej mej godności: pierwszy raz, tego wieczora kiedy wracaliśmy z probostwa; następnie, kiedy znalazłeś mnie z listem Ludwika; potem—mówiła dalej z oczami spuszczone—tego dnia, kiedy mówiłam że jestem cierpiącą i potrzebowałam przejażdżki; a nakoniec w dniu kiedy wyjechałeś naprzeciw mnie.

— I to wszystko—zawołał Herman—było.... o! nie, nie mogę temu wierzyć. Czyż podobna, mój Boże! ażebyś ty Lawinio, kochała mnie od tak dawna?

— Takie było moje przeznaczenie—rzekła z wyrazem tkliwego pomięszania—w tém była nasza kara, i próba; py-

chę i naszą dumną wolę, zwyciężyliśmy straszną walką; ale tak jest Hermanie, byłam zazdrosną, a jeżeli w ostatnich czasach naszego pobytu w Rosenbergu widziałeś w mém obliczu spokój, był on skutkiem odwiedzin moich w domu paui... pani Rehnmann. Dzisiaj kiedy związek nasz utrwała się na wieki, chciałam ci o tém powiedzieć, bo pragnę, ażebyś mi wytłumaczył rodzaj tych stosunków jakie istniały między Maryą a tobą.

— I które trwać będą tak długo, jak długo żyć będę, moja droga Lawinio.

— Hermanie, co mówisz?

— Powiadam ci Lawinio że gdyby nie myśl, że miłość twoja dla mnie wywołała takie podejrzenia, rzekłbym moja luba, że one są bardzo niedorzeczne.

— O! ja nie nie podejrzewałam, wiedziałam tylko że cierpiałam, ale w oczach twoich wyczytuję że byłam szaloną, przebaczysz mi, wszak prawda? Obraziłam ciebie takiem podejrzeniem, ale chcę ci powiedzieć wszystko, i doznając pewnego szczęścia upokorząc się przed tobą.

Opowiedziała natenczas szczerze wszystko o czem słyszała, swe podejrzenia usprawiedliwione listem Hermana do Maryi, długie niepokoje, oburzenia, te dowody miłości; Herman słuchał ją zdziwiony i uszczęśliwiony, w téj wiernej historii serca Lawinii widział nie mniej także jasną historią swojego serca, a kiedy już wszystko wypowiedziała okrył ją uściskiem gorącym.

Lawinia cofnęła się wołając:

— Nie wymkniesz mi się! wspomniałeś mi że byłeś w zamiarze żenienia się z Maryą Rehnmann, chcę wiedzieć o wszystkim: mów więc.

— Czy nie pamiętasz moja luba jak mówiłem tobie, że zanim oświadczyłem jej me zamiary, ona stała się niegodną mojego wyboru.

— A więc, mój Hermanie, cóż potem! nie wyjawileś mi tajemnicy o której pisałeś w twym bileciku, żądając aby nie doszła moich uszu.

— Nie chciałem natenczas abyś ją znała.

— Ale teraz.

— Teraz... spojrzij Lawinio, południe zbliża się, jeżeli jeszcze będziemy się opóźniać, nie dojedziemy dziś wie-

czorem do Rosenbergu; pozwól mi kazać zaprządz, dowiesz się o wszystkim.

— O! ty umiesz doskonale wynajdywać przyczyny; ale idź, idź, ja także chcę jeszcze dzisiaj widzieć Rosenberg.

Herman wyszedł, a kiedy powrócił do pokoju, Lawinia była już gotową do podróży. W pół godziny potem siedząc w powozie który ich unosił szybko, dalej prowadzili rozpoczętą rozmowę.

— Lawinio, chciałem ukryć przed tobą tajemnicę, chciałem ci oszczędzić tój bolesti; ale teraz, kiedy w mojej mocy jest pocieszyć ciebie, mogę ci ją odkryć, twoje losy więcej aniżeli możesz myśleć, łączyły się z przeznaczeniem Maryi Rehnmann.

— Jakto! wszakże nie zwodzisz mnie, Hermanie!

— Na honor, nie; ale czyż nie byłeś już raz zwiedzioną, przez innego? Ty błedniejesz, aniele mój.... O! nie dozwól mi myśleć że pamięć jego może jeszcze oddziaływać na twą boleść lub na twoje szczęście!

— Ludwik! Ludwik!—wyszeptała Lawinia.

Głowa jęj opadła i westchnienie boleśne wydobyło się z jęj piersi.

Herman milczał, z wlepionym wzrokiem w jęj schylone czoło; nakoniec Lawinia podniosła głowę:

— Pierwsze wzruszenie odurzyło mnie—rzekła—ale teraz, wszystko już przeszło.

— Wszystko?—powtórzył pułkownik z wyrazem powątpiewania.

— Tak jest,—wszystko, mój Heruanie;— ale mówmy o tobie, o tobie co tak szalchetnie wsparłeś tę, którą cały świat opuścił, o tobie, którego moje niesprawiedliwe podejrzenia obraziły. O! Hermanie, jesteś szlachetnym i dobrym, i czuję się dumną że mogę cię zarówno uwielbiać jak kochać. Pomówmy jeszcze o Ludwiku..., dziwném jest, że wymawiając to imię nie doznaję żadnego wzruszenia; że z zupełnym spokojem wpatruję się w tę przeszłość, którą on tak srodze zakłócił, ale list który w mém sercu na zawsze zatarł jego pamięć, odkrył mi tajemnicę jego występnej miłości. Wiedziałam że w swych przechadzkach u wód w S... ujrzał młodą osobę dla której uczuł miłość, pomimo że miesiąc przedtem, przy najtkliwszém zemną rozstaniu, naznaczył dzień nasze-

go ślubu. Pokażę ci list ten, dzisiaj nie sprawia mi to żadnej przykrości; to pismo przekona cię że nie mogłam już kochać tego człowieka. Ale jakim sposobem Marya Rhenmaun przebywała u wód?

— Nie było to u wód, ale w okolicy, u krewnych jej matki.

— Biedna, biedna Marya! myślała że on wolny.

— Nieszczęśliwy był to człowiek!—zawołał Herman, —a teraz moja najmilsza mogę ci powiedzieć, dla czego twoje szczególne postępowanie, które po śmierci twego narzeczonego zadziwiło świat cały, przyciągnęło mnie do ciebie nieprzezwykłą sympatją. W twój dumnej obojętności, widziałem siłę charakteru, którego zasady zwyciężyły miłość, odgadywałem bowiem że Ludwik przed śmiercią odkrył ci swą zdradę.

— Ale jakże dowiedziałeś się o nieszczęściu Maryi, i kto jej powiedział że była oszukaną?

— W godzinie rozstania, Ludwik oświadczył jej, że nie tylko opuszcza ją na zawsze, ale że nawet jest zaręczony z inną; powiedział jej wtenczas, o czém ta biedna dziewczyna często powtarza: „Ale Maryo ja do niej także należęć nie będę i niedługo niebo zawezwie mnie przed swój sąd, a gdyby nawet podobało się Wszechmocnemu przedłużyć moje życie, żadnej kobiety nie nazwę moją żoną, dawszy pierwój tobie, nazwę mojej ukochanej.“ Baron wyjechał, ona także, ale w swój boleści i ciężkim smutku wahając się odkryć przed matką straszne cierpienia, mnie wybrała za pośrednika, i ja to przygotowałem biedną kobietę do tego ciosu, który zniosła z niewyczerpaną rezygnacją i pobożnością; zbłąkaną córkę jeszcze mocniej przygarnęła do swego kochającego serca. Dopiero później dowiedziała się Marya, że ty Lawinio byłeś narzeczoną Ludwika; dla tego też nie mogła patrzeć na ciebie bez głębokiego wzruszenia. Obawiając się, ażeby wnioski niektórych osób jakoby miał dla Maryi uczucie miłości, nie doszły do twoich uszu, chciała odkryć przed tobą historię swego życia; ale sprzeciwiłem się temu, nie sądzac ażeby podobne podejrzenia mogły ci przyjść na myśl. Teraz Lawinio, wiesz o wszystkiém, nie ma więc już żadnej między nami tajemnicy.

— Dzięki ci Hermanie—wyrzekła opierając głowę o ramię swego męża—teraz jestem zupełnie szczęśliwą.

Oddawna już wieczorne chmury okryły góry otaczające Rosenberg, a pełny i jasny księżyc rozlewał promienie pogodnego światła na białe mury zamku. W łagodnym powietrzu téj jesiennéj nocy, był jakiś rodzaj niebiańskiego spokoju, który napełniał serce zachwyceniem i miłością.

— Czy nie należałoby, żeby poczytylion zawiózł nas do kościoła?—zapytała wesoła Lawinia.

— Do kościoła?—powtórzył Herman nagle obudzony z marzenia w jakim był pogrążony.

— Czyż rok temu jak wiozłeś mnie do Rosenberga; nie taką jechaliśmy drogą?

— O! złośliwa, sądziłem że jesteś aniołem, a teraz widzę że i djabełek mieści się w tobie!

Lawinia uśmiechnęła się.

— Patrz jak rozkosznie błyszczy ogień na wszystkich kominkach! Widać go nawet przez zasłonięte okno. Posłaniec twój przybył na czas, oświecono wszędzie.

— Ale zapewne usłyszano turkot naszego powozu, bo wybiegli na nasze spotkanie. O mój drogi Rosenberg! nasz Rosenberg!

— Tak, nasz Rosenberg—powtórzyła wzruszona Lawinia—a wiesz Hermanie dlaczego ja także tak go lubię? Najpierw, dla tego że nie odziedziczyłeś go po twój pierwszej żonie, a potem że tak szlachetnie odsunąłeś z niego wszystko, co mi ją mogło przypominać.

Herman przycisnął Lawinią do serca, powóz zatrzymał się, sierżant z klucznicą stali na stopniach ganku, wyraz promieniejącego szczęścia oświecał ich pocziwe twarze.

— Mam zaszczyt—odezwwała się pani Brunsberg, jak tylko weszli do salonu—mam zaszczyt oświadczyć papu i pani, że przybyliście w szczęśliwą chwilę, bo sierżant i ja.... Ale gdzie ty jesteś Stacke? przybliź się odebrać powinszowanie naszych państwa.

Sierżant i ja tworzymy teraz jedno; oddawna było to już ułożone między nami.

— W istocie—rzekł Stacke ośmieliwszy się wsunąć swoje słówko—oddawna ułożone.

— Niechaj was Bóg błogosławi moi przyjaciele!—rzekł pułkownik, biorąc ich serdecznie za ręce—ale spodziewam się że kiedy każde z was zyskuje na tym związku, Rosenberg nie na nim nie straci, i że ani jego inspektor, ani dozorczyńni nie opuszczą go.

— A ja spodziewam się, że pani Brunsberg zawsze wspomagać mnie będzie swém doświadczeniem, i swemi radami—rzekła uprzejmie Lawinia.

Pani Brunsberg podziękowała potokiem słów, poczem oboje z sierżantem odeszli.

Herman przechadzał się pod rękę z Lawinią, w jej pokoju. Światło w kandelabrach ostatni już błysk rzucało, a jasny promień księżyca, przedzierał się przez otwarte okno, i podniesione firanki.

Herman przechylił się przez balkon.

— Któraż z tych gwiazd co na nas spogląda, marzyła przed rokiem, że taką radością oświeci oblicze nasze; patrz moja luba, jaki czysty, świetlany promień pada na wszystko co nas otacza! Niebo nawet weseli się pogodą naszego spojrzenia, i szczęściem sere naszych.

— A czy widzisz jaki uroczy blask wydaje srebrna rosa perląca kwiaty mojego okna?

— Te kwiaty! to są twoje druchny, co jasne łzy radości składają nam na dzień wesela!



KRONIKA LITERACKA.

Spostrzeżenie literackie, odnoszące się do Rozprawy profess. Okolskiego pod napisem „O sporach administracyjnych”.

Z toku rozprawy tej, w *Ekonomiście* z miesiąca sierpnia r. b. umieszczonej okazuje się, że jej autor miał na celu rozprawiać o *Sądownictwie administracyjnem*; lecz jej napis „o sporach administracyjnych” nie wyobraża sądownictwa administracyjnego: gdy wyrażenie sporów administracyjnych nie tylko *technicznie* nie jest ustalonem, ale nadewszystko spory administracyjne w ogólnem swém, chwiejącem się znaczeniu, zachodzić mogą między samemi władzami administracyjnemi, a to w dwojakim względzie, bądź o właściwość ich attrybucyi, bądź o władzę dyskrecyonalną; albo między władzami administracyjnemi a magistraturami sądowemi; albo między władzami rządowemi a osobami prywatnemi: a to bez przypuszczenia bytu lub nawet pomysłu sądownictwa administracyjnego.

Lecz nie zamierzamy zapuszczać się w krytyczny rozbiór rozprawy w dziedzinie nader zagadkowego porządku organicznego, sięgającego najwyższych podstaw rządu i zarządu społeczeńskiego i odnoszącego się do pośrednich władz lub magistratur i do najniższych urzędów.

Jedynie z powodu wzmianki autora powyższej rozprawy: „że w naszej bardzo ubogiej literaturze prawniczej, znalazł jednę *tylko* rozprawę o sądownictwie administracyjnem w naszym kraju, dość dawno i pobieżnie przez A. K. Hoffinau’a napisaną,” pragniemy objawić zadziwienie, że autor zabiegł w poszukiwaniu po obcych stronach, po Francyi, Anglii i w Niemczech, wcale nie znał prac *podpisanego*, w przedmiocie sądownictwa ad-

ministracyjnego, historycznie, systematycznie i ku użytkowi praktycznemu wyrobionych, różnocześnie ogłoszonych a mianowicie:

a. Dzielka z roku 1834, o sądownictwie w królestwie polskiem, wykładu historycznego, w którym na stronicach 23, 57 95 i 105, pierwiastki i stan sądownictwa administracyjnego krajowego są wyłuszczone.

b. Rozprawy o sporach jurisdikcyjnych, między sądownictwem zwyczajnem a sądownictwem administracyjnem, z roku 1857 w Bibl. Warsz. tom I, str. 718.

c. Historyi organizaeyi sądownictwa w królestwie polskiem (tom I) z roku 1861, która od str. 51 do str. 56 w związku z stronicą 85, sądownictwo administracyjne, historycznie wywodzi i jego pierwiastki i rozłaje wykazuje, na str. 82 i 83, skład i kompleta sądów administracyjnych opisuje, od str. 84 do 90 przedmioty do jurisdikcyi administracyjnej należące wyszczególnia; na str. 95 o kompetencyi sądów administracyjnych traktuje.

d. Zbioru rozpraw jurisprudeneyjnych z r. 1865, zawierającego w sobie z uwzględnieniem sądownictwa administracyjnego „Rys historyczny przemian rady stanu od r. 1807; nowy kurs prawa organicznego; utworowanie rozwoju kursu prawa organicznego tak sądowego jak administracyjnego po uniwersytetach; nakoniec:

e. Rozpraw: o jurisprudeneyi organicznej, jej zakresie i pożytku, o rozwoju jurisprudeneyi organicznej według żywych przykładów: w Bibl. Warsz. pierwszej w miesiącu grudniu 1865 roku, drugiej w miesiącu maju 1865 r. ogłoszonych.

Podobnież autor nie zwrócił uwagi na jurisprudeneyą *drukowanych* wyroków Rady Stanu i ogólnego zebrania Senatu i znowu Rady Stanu, spory jurisdikcyjne rozstrzygających.

Zbytecznie nadmienić, ile każda praca literacka krajowa traci przez pominięcie krajowych materyałów.

Heylman.

Robert djabeł, dramat Ernesta Raupacha, przełożony na język polski przez Seweryna Goszczyńskiego. Warszawa. 1867.

Dramat ten napisany w epoce, w której romantyzm nie zawsze przebiegając w środkach, nader już butnie dobijał się uznania, nosi też niejedną cechę nierządu, który się był wtedy wkradł w państwo sztuki. Osnuły bowiem ne legendzie, rzeczy można zbyt na surowo wziął ją do serca, i skutkiem tego nazbyt

tęz dosłownie ją odtwarza. Stało się zaś to niewątpliwie teżyzną owych czasów, bez wyboru chwytających wszelkie możebne formy wyrażenia myśli, byle tylko po za obrębem uznanej, przez arystarchów za urzędową sztuki. Tą razą widocznie za wzór sobie wzięto hiszpańskie *autosy* tak jeszcze blizkie pierwocin odradzającego się w średnich wiekach, na chrześcijańskich zasadach teatru; tamte jednak w skromnych założach nie wiele jeszcze wymagającej publiczności, usprawiedliwienie swoje miały—tu zaś rzecz inna całkiem. Na scenie dramat niniejszy albo jest nie możebny, albo z ciężką sztuki krzywdą chybiający zadania; wyobraźni bowiem nazbyt popuściwszy skrzydeł, nie zaspakaja zgodnych z doświadczeniem estetycznych wymagań, zalecających jeśli nie całkiem spokojne, tedy przynajmniej harmonijne piękno. Można nie chwalić Goszczyńskiego podobnie niewymyślnego wyboru, ale trudno także przyznać słusność tym, co radziłyby przyczyny jego szukać w błędzie towianizmu, któremu wiekopomny zamku kaniowskiego twórca czas jakiś jak wiadomo hołdował. Dramat ten jakabyż jest jego wartość artystyczna, stoi przecież na idei czysto ewangelicznego przekonania. Opamiętanie się w duchu prawdy, i ztąd całkiem dobrowolna expiacja niemniej dobrowolnych czynów, z całym zaprzeczeniem sobie poprzedniemu, z jak najbierniejszem wyrzeczeniem tej własnej osobistości, z jak najzupełniejszem wyrzeczeniem się praw do jakiegobyż innej zasługi prócz odzyskania utraconego spokoju: oto przedmiot tego misterium, przeprowadzony przynależnie z bardzo ścisłą logiką i całkiem udzielającą się mocą przekonania. Ztąd też jakabyż to rzecz nie sceniczna, w czytaniu jednak sprawia przyjemność nie małą; porywa bowiem za sobą i ostatecznie u szlachetnego daje odpocząć cel. Przekład mocno niejednostajny, przedstawia wszystkie cechy równie wad jak i zalet stylowych Goszczyńskiego. Miejscami przedziwnie dosadny, indziej ciężki, ciemny, i w ogóle zdradzający nie mało mozółu, stwierdza poniekąd słowa przedmowy, w których tłumacz sam wyznaje, że dołożył wiele pracy, aby istota utworu miała formę ujmującą. Względ to w każdym razie godzien ocenienia, jakabyż tą razą możność nie wszędzie przybyła w pomoc dobrym chęciom.

F. F.

— Zwracamy uwagę na wydane w r. b. ważniejsze dzieła w obcych językach:

Recueil des Traites de la France par de Clercq. Paryż 1867, tom osmy.

P. de Clercq prowadzi dalej swe wydawnictwo traktatów od roku 1713, aż do dni naszych. Tom VIII, który wyszedł przed kilką miesiącami zawiera traktaty z lat 1860, 1861 i 1862: znaczne tu miejsce zajmują konwencye handlowe. Dzieło zaczyna się od umowy handlowej, zawartej w Paryżu w styczniu 1860 roku, między Francją i Anglią a zamyka je traktat przyjaźni

i handlu w Cambodge. Nieustanne zniżanie taryf celnych i stosunki od niedawna zaprowadzone z najodleglejszym Wschodem są w rzeczy samej, faktami najważniejszymi w dziejach ekonomicznych współczesnej Francji ze względów na jej związki z zagranicą. Polityka właściwa natomiast, przez ciąg tych trzech lat leżała ołłogiem i w tym względzie tom osmy „Zbioru traktatów” zawiera dokumenta odnoszące się: do wyprawy meksykańskiej, syryjskiej, akta dotyczące się urządzenia nowej dynastji w Grecji, i wreszcie materyały do historyi ustąpienia wysp Jonskich: wszystko ułożone metodycznie.

The Gouvernement of England: its Structure and its Development. By William Eduard Hearn, L. L. D., Professor of History and Political Economy in the University of Melbourne. 1867.

Przyjemnego uczucia doznaje bezwątpienia każdy, kto przegląda dzieło, takie jak p. Hearn: treściwe, pełne prawdziwej i gruntownej nauki, przekonywających dowodów i pięknego wyśłowienia. Teorya konstytucji angielskiej, jej budowa i rozwój, jestto przedmiot, który w chwili obecnej zajmuje wiele najpoważniejszych umysłów w całej Europie, a nawet po za jej granicami, jak tego żywym dowodem książka o której mówimy; przedmiot zatem teraz, więcej niż kiedykolwiek godzien jest obudzić prawdziwie naukowe studia w Anglikach. Dla Anglika jestto rzeczą jeszcze przyjemniejszą, gdy widzi, że studia takie jak obecne wychodzą z pośrodku angielskiej złotej kolonii, z miasta któremu wróżyć można (jeżeli ono już samo sobie nie wróży, dodajmy, z uwagi na miłość własną Anglików) że się stanie Londynem antypodów.

Gdyby prof. Hearn pisał swe dzieło w Londynie, lub w innym jakim mieście w Anglii, to i wtedy jeszcze wątpić się godzi, czyby mógł tętnąć w swą pracę ducha większej miłości ku swjej angielskiej ziemi i przyjaźniejszego ku niej usposobienia, niż to uczynił w obecnym swim dziele o rządzie w Anglii. Postępowanie to autora iż w sądzie swoim nie powodował się pojedynczemi faktami, które nieraz mogłyby może przemawiać na niekorzyść angielskiego systemu rządzenia, tém więcej zasługuje na pochwałę, że zapewne polityczna atmosfera uniwersytetu w Melbourne i w ogóle tamtejsze stosunki mogły autora łatwo w błąd wprowadzić, tak żeby mógł brać wyjątek za regułę, a jednorazowe nadużycia kłaść na karb złych praw.

W końcu zwracamy uwagę, że prof. Hearn nie narzuca nikomu swych zdań, lecz wszechstronne i wyczerpujące badanie dokonane widocznie *con amore*, budzi w każdym bezstronnym umyśle uszanowanie dla znakomitej jego pracy.

Geschichte der neuesten Zeit von 1816—1866 mit besonderer Berücksichtigung Deutschlands von Wilhelm Müller professor. Stuttgart. 1867.

Prof. Müller z Tübingen słusznie wyrzekł w przedmowie do swego dzieła, że wielka część nawet wykształconej publi-

czności nie zna dostatecznie dziejów ostatnich lat pięćdziesięciu. Gdyby w tym względzie posiadano nieco dokładniejsze wiadomości, nie słyszelibyśmy tak często wygłaszanych zdań politycznych, skrzywionych i fałszywych. W kongresie wiedeńskim i w ówczesnem położeniu Europy, w owym czasie leżały zarody wypadków politycznych z roku 1848 i 1866. Jasną to jest i niezaprzeczoną rzeczą, a jednak bardzo wielu ludzi, nawet mających pretensyę do uczoności nie wie o tém i ztąd najzupełniej mylne wygłasza sądy. Dzieło p. Müllera czyta się z wielkiem zajęciem i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, jeżeli nie świetnie, to przynajmniej sympatycznie wrożyć mu trzeba przyjęcie u ogółu. Zalecają je: treściwość (całe dzieło zawiera się w jednym tylko tomie) obok jasności w wykładzie: przymioty w dzisiejszej literaturze ważne niezmiernie; forma wykładu, nader pojętna, (co znowu też nie jest właściwością historycznej literatury niemieckiej) i w końcu stosunkowa taniść.

Wł. M.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Listopad 1867 r.—Dnia 3 listopada r. b. komitet redakcyjny *Encyklopedyi Powszechnej*, rozwiązał się ukończywszy swe zadanie, przez złożenie wydawcy rękopisów do ostatnich liter Z i Ż, z których pierwsza już znacznie posunęła się w druku. Dziewięć lat przeszło trwała praca nad tem ogromnem dziełem, którego całość obejmuje XXVIII tomów. Uzupełnić i powiększyć zamierza je wydawca przez wydanie *suplementów*, które kilka tomów niewątpliwie obejmą.

— Podług listów otrzymanych z Krakowa dowiadujemy się że Jan Matejko, którego obraz olejny ściągnał powszechną uwagę na tegoroczną Wystawie Paryżkiej, otrzymał za niego 50,000 franków i krzyż kawalerski cywilnej zasługi. Obraz ten zakupił Cesarz Austriacki do galeryi wiedeńskiej jak również rysunki Grottera Krakowianina za 8000 franków.

— Jan Hempel wydał rozprawę p. n. „Stanowisko pracy w rozwoju społeczném.” Dziełko to nosi napis już roku 1868.

— Nakładem i w drukarni S. Lewentala wyszła z pod prasy: „Historya Rzymska przez V. Duruy Ministra Oświecenia.” Przekład Michała Szymanowskiego. Obejmuje dzieje od początku Rzymu, aż do Teodozjusza czyli do roku 395 po Chrystusie.

— Uczeń Szkoły Główniej p. Józef Goldszmit, własnym nakładem rozpoczął wydawnictwo p. n. „*Wizerunki* wslawionych żydów XIX wieku” w drukarni J. Jaworskiego. Pierwszy zeszyt wyszły z pod prasy obejmuje życiorys Sir Moses Montefior’ego

z popiersiem rysunku Tegazzego, drzeworyt Dudraka krakowianina. Następny ma obejmować Achillesa Foulda, niedawno zmarłego ministra skarbu cesarstwa francuzkiego.

— Franciszek Slipler wydał w Münster, zupełny zbiór łacińskich religijnych poezyi Dantiszka, wraz z ich przekładem na język niemiecki. Do tego dołączył łacińskie poezye Kopernika z tłumaczeniem także niemieckim oraz wiersze i listy pisane przez Dantiszka lub też przez innych do niego. Zbiory te poprzedził wydawca obszernym żywotem Dantiszka. Dzieło to zajmujące dla nas wydanie zostało jeszcze w r. 1857, i nikt dotąd o jego wyjściu nie wspominał.

— Professor Uniwersytetu Jagiellońskiego Dr. Józef Lepkowski, w bibliotece Sieniawskiej między defektami, znalazł nieznaną edycyą *Żywota Chrystusa Pana* Opecia, wydanie niezawodnie z pierwszej ćwierci XVI stulecia, różne od opisanych przez bibliografów. Młody a zdolny pracownik p. Władysław Skrzydylka zajął się bibliograficznem studyum nad edycyami Opecia, tej pierwszej nieledwie polskiej drukowanej książki. Do czasu wydania dzieła tego w Bochni u Pizsa w roku 1864, jest do 14 wydań, z których prawie wszystkie do rzadkości należą, nawet i to, które niedawno bo w r. 1846 wydał T. Nowacki w Mikołowie. Rozchodzi się to na odpustach w tysiącach exemplarzy — niknie jak ów lud, gdy ciągnąc sznurem ścieżkami po powrocie z kościoła, przybywszy do wsi, po chatach się rozechodzi. Raczej też u organistów kościelnych, pod strzechą wieśniaka, jak po bibliotekach, szukać by wypadło rzadkich wydań takiego Opecia. P. Skrzydylka, rozszerzy, w pracy swęj którą rozpoczął, i dopełni to, co o wydaniach Opecia napisał śp. Stanisław Przyłęcki.

— Alexander hr. Przezdziecki, wydawnictwo pomnikowe Dzieł Długosza prowadzi wytrwale, chociaż dłużej jak zamierzył. Po ogłoszeniu *Liber beneficiorum*, wyszedł w Krakowie przekład polski dzieł Długosza tom pierwszy, drugi jest pod prassą w wyborнім tłumaczeniu Karola Mecherzyńskiego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, który obecnie czasowo zastępuje miejsce bibliotekarza po zgonie ś. p. Muchlińskiego. A. Przezdziecki rozpoczyna druk swego dzieła: *Listów Jagiellonek*. W piśmie kołońskiem: „*Organ für christliche Kunst*” jest recenzya o drukowanej rozprawie pomienionego pisarza: „O hymnie św. Kazimierza” przez Dr. W. Szmitz.

— Towarzystwo c. k. naukowo Krakowskie, postanowiło wydawać następne tomy: „*Monumenta historiae polonicae*” Bielowskiego, z funduszków przekazanych przez ś. p. księcia Jerzego Adama Lubomirskiego. Professor Uniwersytetu Jagiellońskiego Brandowski odczytuje teraz na posiedzeniach Towarzystwa Naukowego Krak. oddziału nauk moralnych, natęczywe krytyki swoje na dzieło Bielowskiego: „*Wstęp krytyczny*.” Archeologiczny oddział tegoż Towarzystwa, przygotował już zupełnie do druku wskazówkę konserwatorską dla kościołów wiejskich. Restauracya

wielkiego ołtarza Wita Stwosza w kościele Panny Maryi, przychodzi do pomyślnego ukończenia, bo stanie zupełnie odnowiony na wiosnę. Zachowanie tego arcydzieła naszego rzeźbiarza, zawdzięczamy głównie Dr. J. Łepkowskiemu, który przez długie lata czynił w tym przedmiocie zabiegi usilne. Teraz wzięto się do sprawy odbudowy Sukiennic, owego słynnego gmachu na rynku krakowskim, który wzniosł Kazimierz Wielki. Przedsięwzięto wydanie *Albumu* dzieł wszystkich Wita Stwosza.

— W Peszcie wydał Rudolf Temple broszurę p. n: *Ueber Gestaltung und Beschaffenheit des Bodens im Groschersogthume Krakau*. W wychodzącem piśmie: „*Mittheilungen*” wiedeńskiej centralnej konserwatorskiej komisyi w tomie XII są drzeworyty i staloryty infuł ze skarbeca katedry krakowskiej. Artykuł znakomitego ks. kauonika katedry kolońskiej Franciszka Bocka.

— W Sztudgardzie firma księgarska *Elbner et Seubert*, rozprawy Dr. J. Łepkowskiego które pisywał po niemiecku do różnych pism archeologicznych, wydaje teraz w jednym zbiorze.

— We Lwowie, księgarz tańeczny Richter robi przygotowania w celu wydawnictwa czasopisma miesięcznego ilustrowanego p. n. *Strzecha*. Będzie to pierwsza tutaj tego rodzaju publikaeya. Wydawca sprowadził rytownika który ma potrzebne drzeworyty przygotować. Niepotrzebny koszt, a zapewne niemały ponosi p. Rychter sprowadzając cudzoziemskiego rytownika, znalazłby nie wątpliwie artystę zdolnego w Warszawie, który wraz z młodszymi drzeworytnikami, mógłby uczynić zadość wszelkim potrzebom nie tylko jednego pisma. Tu wyszły dwie monografie: *Kronika pomorzńska* Bronisława Zamorskiego i *Rys dziejów księztw Zatorskiego a Oswiecimskiego* przez J. N. Gątkowskiego. Ten ostatni przepisując bardzo wiele z badań w tym przedmiocie Józefa Łepkowskiego, nie wskazał źródła z któregó pełną ręką czerpał swoje wiadomości.

— Leopold hr. Starzeński, znany na polu literatury dramatycznej, o którym już wspominaliśmy nieraz, ukończył nowy dramat: „*Syn Bohdana*” który ma być przedstawiony na scenie Lwowskiej.

— Jak się dowiadujemy z „*Allgemeine Bibliographie*” (kwiecień r. b.) wyszły dzieje naszego narodu po portugalsku w czterech tomach in 4-o pod napisem: *Historiae de Polonia desde e seu começo*. Lizbona. 1867. Autorem jest p. José Hermenegilda Correa.

— Wyszło w roku zeszłym w Brukselli dwutomowe dzieło pod napisem: *Histoire de la guerre de Moscovie (1601—1610) publiée pour la première fois, d'après le manuscrit hollandais original de 1610, avec d'autres opuscules sur la Russie, et des annotations par M. le prince Meh. Obolensky et M. A. von der Lände*, z kartą Moskwy.

— P. Cieszkowski wydał: *Pickietné meki. Popas w Żółkwi*. Dwie komedye. Lwów. 1867.

— P. Wołowski członek Instytutu przed kilką miesiącami ogłosił swą pracę: „*Banque d'Angleterre et les banques d'Ecosse*.” Krytyka francuzka zasłużone dziełu temu oddaje pochwały.

— Maliszewski, professor akademii duchownej w Kijowie, ma wkrótce wydać swoje historyczne studjum pod tytułem: *Jacek Odrowąż, mniemany apostoł Rusi w XII wieku.* Wł. M.

† Dnia 14 września r. b. umarł w mieście Chersonie Karol Kaczkowski doktor medycyny i chirurgii, professor b. uniwersytetu warszawskiego. Z pism wydał w czasie pobytu swego w Warszawie: *Lekcje higieny* (1826—1827), *Uwagi nad homeopatją, hydropatją* i t. d. (Wilno 1846). Oprócz wielu rozpraw w różnych pismach czasowych, wydał w pięciu tomikach: „*Dziennik podróży do Krymu*” (Warszawa 1820 r.).

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA wychodzić będzie regularnie i w roku następnym 1868. Cena prenumeraty pozostaje taż sama, t. j.: w Królestwie rub. sr. **9** rocznie, lub rub. sr. **4** kop **50** półrocznie; w Cesarstwie zaś tylko rocznie, z przesyłką pocztową w kopertach rub. sr. **10**.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.



Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Październik, 1867.

Październik, 1867.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25",5

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		743.21	742.91	743.96	748.92	744.750	+10°5	+11°0	+12°1	+7°7	+10°33
2		754.13	755.18	753.94	749.82	753.018	4.4	7.9	10.8	6.1	7.30
3		745.71	744.25	743.97	744.38	744.703	6.1	11.4	14.1	7.7	9.90
4		744.03	743.23	741.51	741.10	742.468	7.3	9.8	8.9	8.4	8.60
5	Apog.	743.85	744.32	742.87	741.56	743.150	7.0	7.6	7.8	6.3	7.18
6		742.76	743.98	746.19	747.40	745.083	5.1	5.8	6.5	2.9	5.08
7		747.05	746.75	745.81	743.41	745.783	2.2	6.0	7.1	3.7	4.75
8		738.20	738.19	739.41	738.56	738.590	4.8	6.5	9.0	6.7	6.75
9		736.38	738.82	743.75	745.81	741.190	7.0	7.8	8.8	4.8	7.10
10		744.53	743.81	743.14	743.56	743.760	4.7	4.0	5.1	4.6	4.60
11		746.73	749.29	752.34	752.70	750.265	5.6	6.5	8.1	5.4	6.40
12	Równ.	747.81	747.28	748.19	751.15	748.608	11.8	11.4	9.6	9.2	10.50
13	☉	752.70	753.55	754.48	755.10	753.958	8.1	9.2	7.1	6.3	7.68
14		755.48	756.28	756.45	757.04	756.313	6.0	7.9	9.5	8.4	7.95
15		757.91	758.96	758.92	759.29	758.770	7.7	11.2	13.4	8.3	10.15
16		759.28	759.36	758.19	758.15	758.745	6.1	10.6	13.9	8.7	9.88
17		757.64	757.48	756.08	755.49	756.673	6.7	7.4	9.2	9.2	8.13
18	Perig.	754.56	754.47	752.86	751.87	753.440	9.2	10.8	11.7	10.2	10.48
19		750.54	750.39	749.81	749.19	749.983	8.8	10.8	13.0	11.0	10.90
20	☾	748.99	750.52	752.05	753.92	751.370	9.8	11.6	14.7	11.0	11.78
21		754.55	755.99	757.20	759.29	756.758	10.2	12.4	13.8	11.1	11.88
22		761.45	762.16	761.04	760.33	761.245	7.7	7.8	11.2	7.5	8.55
23		759.43	759.92	759.05	759.21	759.403	7.9	10.4	12.3	6.9	9.38
24		755.81	758.81	756.71	756.31	757.868	5.8	6.9	10.7	5.4	7.20
25	Równ.	755.42	755.83	756.06	758.18	756.373	2.7	9.6	13.7	9.8	8.95
26		759.60	759.89	758.89	758.99	759.318	7.5	8.7	9.6	8.9	8.68
27	☉	755.32	754.40	750.47	747.73	751.980	5.1	9.2	10.5	7.3	8.63
28		743.61	742.13	740.29	740.63	741.660	2.6	8.2	10.6	10.6	8.25
29		747.49	750.78	752.12	751.54	750.483	0.7	6.9	6.7	4.2	4.25
30		747.82	745.79	743.20	748.75	746.390	4.8	5.9	9.1	7.9	7.00
31		750.79	772.93	754.16	754.12	753.000	5.9	6.0	8.7	3.8	5.10
Śr.		750.506	750.892	750.714	751.098	750.803	+6°67	+8°62	+10°26	+7°44	+ 8.25

W Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiem.

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",
na wschód względem południka paryzkiego.

Wielkość średnia dzienna	S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Ilość wa- dy co do wysokości w milim.		Wysok. wody na Wiśle	
	6	10	4	10	6	10	4	10	dęsz- czu	anie- gu	na m.p.	cał- k.
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.				
89.1	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ2.	Z2.	Z3.	Z2.	3.2		1	10
82.4	napół pog.	pochm.	pochm.	pogodny	Z1.	Z1.	PdZ2.	Pd1.			1	10
76.1	pogodny	pogodny	pochm.	pogodny	Pd1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.			1	9
93.7	poch.mgła	poch.dęsz.	poch.dęsz.	poch.dęsz.	PdW1.	PnW1.	PnW1.	Pn1.	12.3		1	9
97.1	pochm.	poch.dęsz.	poch.dęsz.	pochm.	PnZ1.	Pn1.	Z1.	Z1.	8.8		1	10
94.4	poch.dęsz.	poch.dęsz.	pochm.	pogodny	Z1.	Z1.	PdZ2.	Z1.	4.5		1	11
88.4	pogodny	napół pog.	pochm.	napół pog.	Z1.	PdZ1.	PdZ1.	Pd1.			1	11
96.0	poch.dęsz.	poch.dęsz.	poch.dęsz.	poch.dęsz.	PdW1.	Pd2.	PdW1.	PdW1.	9.0		2	1
90.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	PdZ1.	PdZ1.	Pd1.	2.5		2	4
96.1	poch.dęsz.	poch.dęsz.	pochm.	pochm.	PnZ1.	PnW1.	PnZ1.	PnZ1.	8.5		2	6
92.2	pochm.	poch.dęsz.	pochm.	napół pog.	PdZ1.	PdZ1.	PdW1.	PnW2.	0.6		2	9
88.7	pochm.	poch.dęsz.	pochm.	pochm.	W3.	W2.	PdW2.	PdW2.	1.7		3	5
96.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	W1.	W1.	PdW2.	PdW2.	2.5		3	9
94.1	pochm.	pochm.	poch.dęsz.	poch.dęsz.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	4.4		4	2
91.0	pochm.	pochm.	pog.z chm.	napół pog.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	1.5		5	11
90.5	poch.mgła	pochm.	pogodny	pogodny	Pd1.	Pd1.	PdW1.	PnW1.			6	5
97.4	mgła	poch.mgła	pochm.	pochm.	W1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.			6	3
95.6	mgła	poch.mgła	pochm.	pochm.	PdW1.	Pd1.	PdW1.	W1.			5	11
94.9	mgła	pochm.	pochm.	pochm.	PdW2.	PdW1.	PdW1.	PdW1.			5	6
92.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	Pd1.	PdZ1.	PdW1.			5	4
92.1	poch.mgła	pochm.	pochm.	pochm.	W1.	Pd1.	PdW1.	Pn2.	0.4		4	8
95.6	poch.mgła	poch.mgła	pochm.	napół pog.	PnZ1.	PdZ1.	PdZ1.	Z1.			4	4
92.8	poch.mgła	pochm.	napół pog.	napół pog.	Z1.	Z1.	Z1.	Pd1.			4	1
92.7	poch.mgła	poch.mgła	pogodny	pogodny	Pd1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.			3	11
88.4	pogodny	pogodny	pogodny	pochm.	Pd1.	Z1.	Z1.	PnZ1.			3	9
91.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	0.4		3	5
92.8	pogodny	pogodny	pog.z chm.	pogodny	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.			3	6
88.8	pogodny	pogodny	pog.z chm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	Pd1.	Pd1.	0.2		3	7
78.2	pochm.	napół pog.	napół pog.	pochm.	Z1.	PnZ1.	Z1.	PdZ1.			3	7
91.6	poch.dęsz.	poch.dęsz.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ2.	Z3.	Z1.	4.1		3	6
86.9	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pogodny	Z2.	Z2.	Z1.	PdZ1.			3	3
9.2									64.6		3	6.9

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.803	27	8.828
Najwyżej barometr dochodził d. 22 o g. 10 rano	762.16	28	1.863
Najniżej — d. 9 o g. 6 rano	736.38	27	2.434
Średnia dzienna zmiana barometru	4.182		1.853
Największa dzienna zmiana barometru d. 27—28 o godz. 10 r.	12.27		5.440
Średnia wysokość barometru jest mniejsza o	0.287		0.127
od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	751.090	27	8.955
Średnia temperatura października wynosi	+ 8° 25 C.	+	6° 60 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.89		1.51 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 11—22 o godz. 6 rano	6.2	"	5.0 "
Średnia temperatura października jest większa o	0.05	"	0.04 "
od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	+ 8.20	+	6.56 "
Termometrograf wskazał: Maximum: +15° 5 C. = +12° 4 R. d. 20 po poł.			
Minimum: + 20 " = + 1.6 " d. 7 rano.			
Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 91.2 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 8.05 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest większa o 6.0 setnych od normalnej (85.2).			
Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 64.6 mil. czyli 28.64 lin. par.; więcej o 19.1 mil. czyli 8.47 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w październiku spada (45.5 mil. czyli 20.17 lin. par.).			
Dni pogodnych było 2, napółpogodnych 8, pochmurnych 21.			
— deszczu 16: (d. 1, 4, 5, 6, od 8 do 15, 21, 26, 28, 30).			
— mgły 9: (d. 4, 16, 17, 18, 19, 21, 22, 23 i 24).			
— gradu 1: (d. 6).			
— wichrów 3: (d. 1, 12, 30).			
Wiatr panujący południowo-wschodni i południowo-zachodni.			
Październik b. r. był niepogodny, wilgotny, dżdżysty, lecz dość ciepły. Średnia jego temperatura + 6.6 stop. R. jest takąż sama jak w stanie normalnym a o 2.1 stop R. wyższa jak w r. z. Pierwsze trzy dni miesiąca były ciepłe i dość pogodne; w następnych dniach aż do 15. przy nieznacznem obniżeniu temperatury i niebie wciąż zachmurzonym, padał deszcz częsty i obfity, pomiędzy 15 a 21 temperatura nieco się podniosła, deszcz nie padał zupełnie, za to w godzinach rannych często panowała mgła, która w kilku następnych dniach jeszcze napłniała powietrze; przy końcu miesiąca było kilka dni dość pogodnych, nieco chłodniejszych jak poprzednie, lecz bez znacznych zmian w temperaturze. Największa zmiana dzienna temperatury 5.0 stop R. przypadała z d. 11 na 12 podczas przejścia księżyca przez równik niebieski. Barometr w pierwszej połowie miesiąca utrzymywał się nisko i mało stan swój zmieniał, w drugiej połowie stan jego był dość wysoki i zmienny. Największa zmiana barometru 5.44 lin. par. przypadała z d. 27 na 28 podczas nowiu księżyca. Dni deszczu było 16 o 5 więcej jak w stanie normalnym. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był niepogodny, stosunek bowiem dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak 5,6:9,4:16,0, gdy tymczasem w b. r. stosunek ten wynosi jak 2:8:21. Wiatr panujący z początku miesiąca południowo - zachodni lub zachodni, w środku południowo - wschodni, przy końcu znowu południowo - zachodni.			
Średnia wysokość wody na rzece Wiśle.....	stop	3 cali	6.9 n.m. polsk
Wysokość wody największa dochodziła d. 16.....	stop	6 "	5 " "
" " najmniejsza " d. 3 i 4.....	stop	1 "	3 " "

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1867.

Materiały historyczne.

	Stron.
Trzej Samozwańcy z czasów pierwszych cesarzy. Szkic historyczny przez <i>L. S. Wieczora</i> , Kan. fil.....	88

Życiorysy.

Jerzy Juliusz Kłowie, miniaturzysta chorwański. (1498 † 1578), przez <i>Franciszka Edwarda Matejkę</i>	100
--	-----

Filozofia.

Ustęp z dziejów filozofii scholastycznej. (Abelard i Heloiza przez Stefana Pawlickiego), skreślił <i>Kazimierz Kaszewski</i>	373
---	-----

Nauki społeczne.

O monecie międzynarodowej, przez <i>J. Belejowską</i>	7
---	---

Prawo.

	Stron.
Rękopism XVgo wieku. Postępowanie sądowe w Czechach, przez <i>Romulda Hubego</i>	1
O znaczeniu sądu przysięgłych. Rzecz publicznie w auli Szkoły Głównej Warszawskiej, d. 2 kwietnia 1867 r. wyłożona przez Prof. Dra <i>Walentego Miklaszewskiego</i>	203

Archeologia.

O usypiskach wydrążonych nad Czarnem morzem, przez <i>Andrzeja Podborskiego</i> . (Z dwiema tablicami).....	124
Sprawozdanie z posiedzeń kongresu archeologicznego międzynarodowego w Antwerpii, ułożone przez członka kongresu i delegata redakcyi Biblioteki Warszawskiej <i>Alexandra Przeczdzickiego</i>	341

Lud, jego zwyczaje i obrzędy.

Obrzędy i zwyczaje rolnicze w powiatach Kamienieckim, Płoskirowskim i Uszyckim, przez <i>Al. Kremera</i>	149
--	-----

Literatura.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Popisy: Polityka i wychowanie. — Posiedzenie pięciu akademii. — Posiedzenie akademii napisów. — Vaudeville i komedia. — Offenbach i wpływ jego. — Wznowienia w paryżkich teatrach. — Ambulanse na wystawie powszechnej: Historia Towarzystwa pomocy rannym. — Drewniana ręka wynalazku hrabi Beaufort'a. — Metalurgia, Zbiory mineralogiczne i Mapy geologiczne na wystawie powszechnej. — Francuzkie Towarzystwo geologiczne. — Wiadomości literackie.....	62
Eurypides nieprzyjaciół kobiet. Studium z literatury greckiej podług źródeł klasycznych, przez <i>L. S. Wieczora</i>	165
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Poeci Prowancyi. — Minstral'a poematy: „Mircio” i „Calendau.” — Pascal i Newton. — Fotografia medali Davida, wydanie nowe przepyszne. — David i Thorvaldsen. (Thorvaldsen, sa vie et son oeuvre par Eugene Plon). — Brauna fotografie rysunku sławnych mistrzów. (Photographies de m. Adolphe Braun, d'Après les dessins originaux des anciens maîtres). — „Albertine de Meris” komedia w trzech aktach Amedeusza Achard. — Wiadomości literackie.....	238
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna, „Żywot świętego Hieronima” przez Amedeusza Thierry. — Ostatni tom „Historyi francuzkiej” Micheleta: dawny i teraźniejszy sposób pisania dziejów; opowiedziana przez Micheleta sprawa Calasa. — „La Chine et l'Europe” przez deputowanego Ferrari. — Pośmiertne dzieła Bucher'a: Ocena jego doktryny. — Sielanka w teatrze. — „Les Petits Crévés” czteroaktowy wodewil p. Préal. — Wiadomości literackie.....	39

Rok małżeństwa. (Z angielskiego E. Carlen). Przekład Pawła z Czerniatyna.

24, 258, 423

Rozbiory.

Kilka słów o przekładach Ludwika Jenikego. (Torquato Tasso, dramat w 5 aktach, Goetego. — Ifigenia, dramat w 5 aktach. Goetego. — Zriny, tragedia z dziejów węgierskich w 5 aktach, (Teodora Körnera). Przez Kaz. Kaszewskiego.....	141
Statuta Ordynacyi Zamoyskiej od r. 1589—1848. Warszawa. 1867. Przez R..	148
Historja literatury greckiej przez Dra fil. Zygmunta Węcelewskiego. Warszawa. 1867. Przez I.....	318
Rys dziejów piśmiennictwa świata niechrześcijańskiego, skreślił i mnogiemii cytatami objaśnił Józef Szajski. Kraków. 1867. Przez Wł. Miłkowskiego	322
L'instruction populaire en Allemagne, en Suisse, et dans les pays Scandinaves par F. Mounier, auditeur au conseil d'état Paris. 1867.....	330
Les troubadours et leur influence sur la litterature du midi de l'Europe par Baret. Paris. 1867.....	330
Le génie des peuples dans les arts par le duc de Valmy. Paris. 1867. Przez Wł. M.....	331
Spostrzeżenia literackie, odnoszące się do Rozprawy profes. Okolskiego pod napisem „O sporach administracyjnych.” Przez Heylmana.....	501
Robert djabel, dramat Ernesta Raupacha, przłożony na język polski przez Seweryna Goszczyńskiego. Warszawa. 1867, Przez F. F.....	502
Recueil des Traités de la France par de Clercq. Paryż. 1867.....	503
The Gouvernement of England: its Structure and its Development. By William Eduard Hearn, L. L. D., Professor of History and Political Economy in the University of Melbourne. 1867.....	504
Geschichte der neuesten Zeit von 1816 — 1866 mit besonderer Berücksichtigung Deutschlands von Wilhelm Müller professor. Stuttgart. 1867. Przez Wł. M.....	504
Windomości literackie.....	155, 332, 505
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatorjum astronomiczném warszawskiem:	
za miesiąc sierpień r. b.....	161
— — wrzesień r. b.....	337
— — październik r. b.....	509

